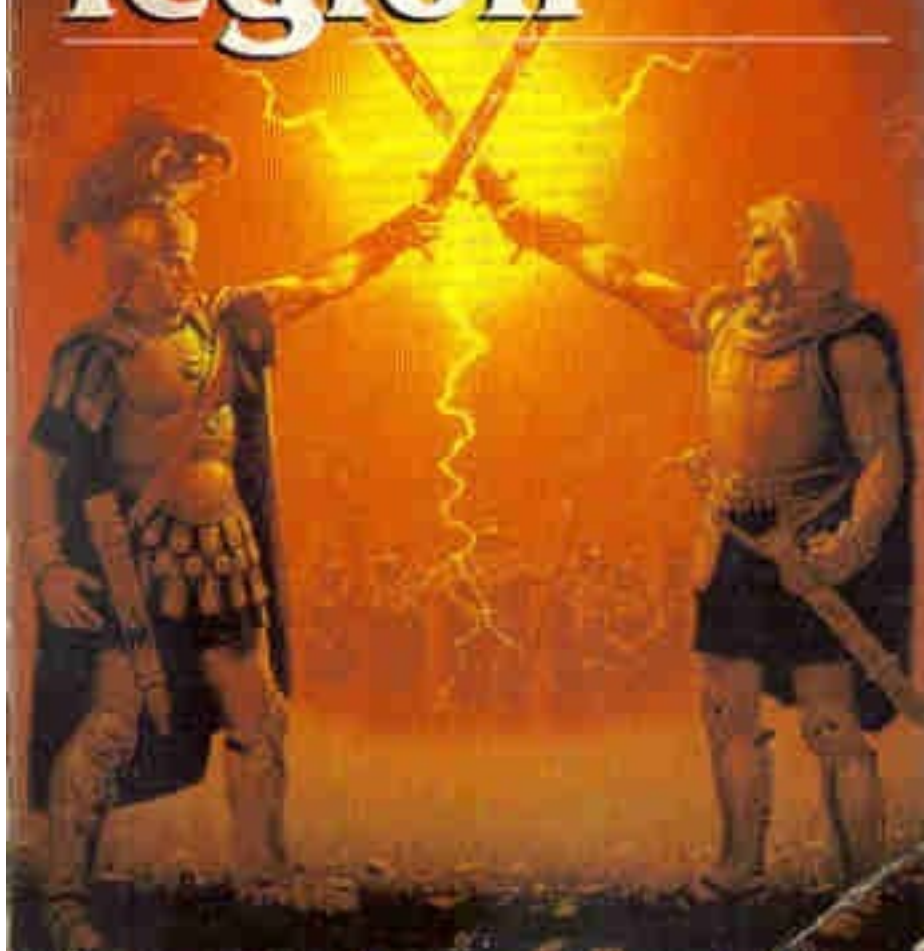


Harry Turtledove



Tom I z serii VIDESSOS

Zaginiony legion



Harry Turtledove

Zaginiony legion

Tom I z serii VIDESSOS

Przełożył JACEK KOZERSKI

HK

Na rozmaite sposoby książka ta poświęcona jest

L. Sprague'owi de Camp,

J.R.R. Tolkienowi, Speros Vryonis'owi, Jr.,

i, nade wszystko, Laurze.

I

Słońce północnej Galii było blade, w niczym nie przypominało gorącej, pełnej życia pochodni, która płonęła nad Italią. W przyćmionym bezruchu pod drzewami jego światło wydawało się wyblakłe, zielone i ruchome, niemal jak rozproszona poświata morskiej toni. Rzymianie brnęli wąskim leśnym duktem, poddając się nastrojowi otoczenia. Poruszali się cicho; żadne trąbki ani sprośne marszowe pieśni nie oznajmiały ich przybycia.

Próbując przeniknąć wzrokiem leśny gąszcz, Marek Emiliusz Skaurus żałował, że nie ma więcej ludzi. Cezar i główna armia rzymska znajdowali się sto mil dalej na południowym zachodzie, ścierając się z Wenetami na wybrzeżu Atlantyku. Trzy kohorty Skaurusa — „potężny zwiad”, jak nazwał ich dowódca — wystarczały aż nadto, by przyciągnąć uwagę Galów, ale mogły sobie z nią nie poradzić, gdyby już została przyciągnięta.

— Święta racja — odpowiedział Gajusz Filipus, kiedy trybun wyraził to głośno. Starszy centurion — człowiek o siwych włosach i twarzy, którą spędzone na wojennych kampaniach życie wygarbowało na brąz i poorало bruzdami — już dawno stracił optymizm razem z pozostałymi złudzeniami młodości. Choć pochodzenie Skaurusa dawało mu wyższą pozycję, miał dość rozumu, by polegać na ogromnym doświadczeniu życiowym swego zastępcy.

Gajusz Filipus zmierzył krytycznym spojrzeniem kolumnę Rzymian.

— Zewrzeć szeregi, wy tam! — zgrzytnął zaskakująco głośno w panującej ciszy. Jego sękata laska z krzewu winorośli, oznaka pełnionej funkcji, walnęła z trzaskiem o nagolennik, podkreślając rozkaz. Uniósł brew spoglądając na Skaurusa.

— W każdym razie, ty nie musisz się niczym martwić, panie. Jedno spojrzenie i Galowie pomyślały, że jesteś jednym z nich na balu przebierańców.

Trybun wojenny skinął głową z krzywym uśmiechem. Jego rodzina wywodziła się z Mediolanu w północnej Italii. Był wysoki i jasnowłosy, jak każdy Celt, i przywykł do kpin, jakie robili sobie z tego jest ziomkowie. Widząc, że nie udało mu się wywołać zamierzonej reakcji, Gajusz Filipus spróbował z innej strony.

— Tu nie chodzi tylko o twój wygląd, rozumiesz, panie — ten przeklęty miecz zdradza cię również.

To poskutkowało. Marek był dumny ze swej broni — trzystopowego galijskiego miecza, który przed rokiem zabrał zabitemu druidowi. Miał klingę z doskonałej stali lepiej pasował do wzrostu Marka i zasięgu ramion niż krótki i szeroki rzymski *gladius*.

— Wiesz równie dobrze jak ja, że porządne ostrze zależy od płatnerza. Kiedy ja używam miecza, nie jestem takim głupcem, żeby nim ciąć.

— Też racja. To pchnięcia, nie cięcia, powalają ludzi. Hej, co się tam dzieje? — dodał Gajusz Filipus, gdy czterej zwiadowcy małej armii rzucili się między drzewa z bronią w rękę. Wyłonili się parę chwil później; trzech z nich wlokło niskiego, chudego Gala, podczas gdy czwarty niósł jego włócznię.

Gdy zwiadowcy przywlekli jeńca do Skaurusa, ich dowódca, podoficer o imieniu Juniusz Blisus, powiedział:

— Wydawało mi się, że ktoś śledzi nas przez ostatnie pół godziny, albo i dłużej. W końcu nasz przyjaciel się pokazał.

Skaurus przyjrzał się Celtowi. Z wyjątkiem zakrwawionego nosa i podbitego oka, podarunku od Rzymian, wyglądał jak każdy z tysiąca galijskich rolników: workowate wełniane portki, kratkowa tunika — teraz podarta — długie, jasne włosy, źle ogolona twarz.

— Mówisz po łacinie? — zwrócił się do niego trybun. W odpowiedzi otrzymał jedynie wściekłe spojrzenie jednego oka i potrząśnięcie głową. Trybun wrzucił ramionami.

— Liscus! — Zawołał i tłumacz oddziału podbiegł do niego truchtem. Należał do Etui, klanu z południowo—środkowej Galii, od dawna zaprzyjaźnionego z Rzymem, i na jasnych, przyciętych krótko wedle rzymskiej mody włosach nosił grzebieniasty hełm legionisty. Więzień rzucił mu jeszcze posepniejcie spojrzenie niż to, którym obdarzył Skaurusa.

— Zapytaj go, po co za nami podążał.

— Zapytam, panie — odpowiedział Liscus i przełożył pytanie na melodyjną mowę Celtów. Jeńiec zawahał się, a potem odpowiedział pojedynczym, krótkim zdaniem. — Mówi, że polował na dzika — zameldował Liscus.

— Sam? Nikt nie byłby takim głupcem — rzekł Marek.

— W dodatku to nie jest włócznia na dziki — powiedział Gajusz Filipus, biorąc ją od zwiadowcy. — Gdzie jest poprzeczka poniżej grotu? Bez niej raniony dzik sam nadzieje się na drzewce i wyparuje flaki z człowieka.

Marek zwrócił się do Fiskusa.

— Powiedz mu, że tym razem ma mówić prawdę. I tak wydobędziemy ją z niego, w ten czy w inny sposób. Wybór należy do niego: może ją nam powiedzieć, albo możemy ją z niego wydusić. — Marek powątpiewał, czy potrafiłby z zimną krwią torturować człowieka, ale nie widział powodu, by powiadamiać o tym Celta.

Lecz Liscus zaczął mówić dopiero wtedy, kiedy więzień gibkim skrętem i szarpnięciem wyrwał się trzymającym go mężczyznom. Jego ręka śmignęła do sztyletu w kształcie liścia, chytrze podwieszono pod lewym barkiem. Zanim zaskoczeni Rzymianie zdążyli go powstrzymać, wbił sobie ostrze między żebra, dosięgając serca. Kiedy padał na ziemię, powiedział w najczystszej łacinie: — Żebyście zdechli.

Wiedząc, że to nic nie da, Skaurus krzyknął na lekarza; Celt wyzionął ducha nim mężczyzna zdążył podbiec. Lekarz, pyskаты Grek imieniem Gorgidas, spojrzął na sterczącą z piersi mężczyzny rękę i warknął:

— Zbyt wiele ode mnie żądasz. Jeśli chcesz, mogę zamknąć mu oczy.

— To nie ma znaczenia. Już kiedy cię wołałem wiedziałem, że nic nie możesz zrobić. — Trybun zwrócił się do Juniusza Blisusa. — Ty i twoi ludzie zasłużyliście na pochwałę za wytropienie i pojmanie szpiega, ale należy wam się nagana za to, że nie przeszukaliście go dokładnie i za to, że za słabo go trzymaliście. Ten Gal musiał coś wiedzieć, lecz straciliśmy szansę, by się dowiedzieć, co. Podwój liczbę patroli i wysuń je dalej naprzód; im więcej ostrzeżeń o kłopotach, tym lepiej. — Blisus zaszalutował i oddalił się pospiesznie wdzięczny, że obeszło się bez ostrzejszej reprimendy.

— Pełna gotowość bojowa, panie? — zapytał Gajusz Filipus.

— Tak. — Marek uniósł głowę, spoglądając na zachodzące słońce. — Mam nadzieję, że przed zmierzchem uda nam się znaleźć jakąś polanę na obozowisko. Czuję się bezpieczniej za szanćami.

— I ja. A jeszcze bezpieczniej czuję się mając za sobą parę legionów. — Centurion oddalił się, by wprowadzić odpowiednie zmiany w kolumnie marszowej Rzymian, wysuwając oszczepników i zmniejszając odległości pomiędzy manipułami. Pełen podniecenia szum przebiegł przez szeregi. Tu ktoś pospiesznie ostrzył miecz, tam ktoś inny odcinał zbyt długi pasek skórzanych sandałów, który mógł mu przeszkodzić w walce, jeszcze ktoś inny pociągał ostatni haust cierpkiego wina.

Gdzieś z przodu, z miejsca niewidocznego za zakrętem ścieżki, rozległy się okrzyki. Jakąś minutę później do głównej kolumny pobiegł wolno zwiadowca.

— Wyśledziliśmy jeszcze jednego czatownika w zaroślach, panie. Obawiam się, że ten zdołał uniknąć.

Marek gwizdnął krótko przez zęby. Odprawił zwiadowcę bez słowa podziękowania, a potem spojrzął na Gajusza Filipusa pewien, że centurion odczuwa taką samą nieuchronność nadciągających kłopotów, jak i on. Gajusz Filipus skinieniem głowy odpowiedział na jego nie wypowiedzianą myśl.

— Tak, niewątpliwie po to tu jesteśmy.

Lecz kiedy kolejny zwiadowca z przedniej straży wrócił, by zameldować, że ścieżka wychodzi

na sporych rozmiarów polanę, trybun odetchnął. Nawet niewielki oddział, który prowadził — mniej niż jedna trzecia legionu — mógł szybko zbudować ziemne fortyfikacje wystarczająco solidne, by odeprzeć wielokrotnie liczniejszą rzeszę barbarzyńców.

Polana była duża; łąka o średnicy kilkuset kroków w głębokim lesie. Wieczorna mgiełka zaczynała już unosić się nad trawami. Przez sam środek polany sączył się strumień; pół tuzina wystraszonych cyranek wzbilo się w powietrze, gdy z lasu zaczęły wyłaniać się Rzymianie.

— Rzeczywiście odpowiednia — rzekł Skaurus. — W rzeczy samej, doskonała.

— Obawiam się, że nie całkiem — odezwał się Gajusz Filipus. Wskazał na przeciwległy skraj polany, gdzie gromadziły się oddziały Celtów.

Marek zmarnował chwilę na przeklinanie; jeszcze godzina i jego ludzie byliby bezpieczni. Teraz nic już nie można było poradzić.

— Trąbki i kornety razem! — rozkazał trębaczom. Wraz z sygnałem do walki zadźwięczał głos Gajusza

Filipusa. Starszy centurion znajdował się w swoim żywiole, gotując oddziały.

— Rozwijać kolumnę w miejscu! — krzyczał. — Trzy szeregi — znacie musztrę! Z przodu procarze, potem wy, włócznicy, ze swoimi *pilis*, potem ciężkozbrojna piechota, na końcu odwody! Dalej, *ruszać się*. Tak, *ty tam*, ty bezwartościowy bękarcie! — Jego pręt z winorośli zadudnił na okrytych pancerzem plecach powolnego legionisty. Młodszy centurionowie i podoficerowie powtarzali i rozszerzali jego rozkazy, krzyżąc i popędzając ludzi na miejsce.

Rozwinięcie kolumny zajęło tylko kilka minut. Poza wystawieniem dodatkowego oddziału procarzy i kilku przybocznych oszczepników na małym wzniesieniu ze swej prawej strony, Skaurus utrzymał symetryczną linię frontu i czekał, by zobaczyć, jakiej sile wroga przyjdzie stawić mu czoło.

— Bez końca będą tak wychodzić? — mruknął stojący u jego boku Gajusz Filipus. Szereg za szeregiem Galowie wychodzili na polanę, z wolna ustawiając się w bojowym szyku. Zakuci w zbroje i uzbrojeni po zęby szlachcice wrzeszczeli i wymachiwali rękoma, gdy próbowali ustawić swoją czeladź w szyku, lecz jak zawsze wśród Celtów dyscyplina pozostawiała wiele do życzenia. Większość ludzi, których prowadzili szlachcice, była uzbrojona o wiele gorzej od nich: dzida albo obosieczny miecz, może jeszcze duża, podłużna drewniana tarcza pomalowana w jasne spirale.

Wyjąwszy szlachciców wielu nosiło tylko skórzany kaftan albo co najwyżej hełm. Z widocznych pancerzy, większość była dziełem Rzymian; zdobycz z poprzednich bitew.

— I co o nich powiesz? Jakież trzy tysiące, co? — zapytał Marek, kiedy potok Celtów przestał wreszcie płynąć.

— Tak. Mniej więcej ich dwóch na naszego jednego człowieka. Mogło być gorzej. Oczywiście — ciągnął Gajusz Filipus — ten cholerny widok mógł być też lepszy.

Po drugiej stronie polany dowódca Galów, wyglądający wspaniale w czarno— złotej zbroi i narzucie z barwionych na karmazynową czerwień skór, przemawiał do swoich ludzi, doprowadzając ich do bitewnego szału. Znajdował się zbyt daleko, by Rzymianie mogli rozróżnić słowa, lecz dzikie okrzyki słuchaczy i głuchy łomot drzewc włóczni o tarcze świadczyły o furii, jaką wzniewał.

Głowy zwróciły się w stronę Skaurusa, gdy wyszedł przed swoje oddziały. Przez chwilę nie odzywał się, zbierając myśli i czekając, by jego ludzie bez reszty skupili na nim swoją uwagę. Choć nigdy przedtem nie przemawiał przed bitwą, przywykł do publicznych wystąpień, mając za sobą dwukrotne ubieganie się o urząd sędziego w swoim rodzinnym mieście — za drugim razem uwieńczone powodzeniem. Technika, jeśli nie okoliczności, wydawała się podobna.

— Wszyscy słyszeliśmy Cezara — zaczął i wzmianka o ukochanym wodzu legionistów wywołała, na co miał nadzieję, pochwalne okrzyki. Ciągnął dalej: — Wszyscy też wiemy, że nie potrafię przemawiać tak dobrze i wcale nie mam zamiaru próbować. — Uciszył lekki śmiech wyciągniętą do góry ręką. — Tak czy owak, nie ma takiej potrzeby; sprawa jest zupełnie prosta. Cezara dzieli od nas najwyżej pięć dni marszu. Wielokrotnie biliśmy Galów. Jeszcze jedno zwycięstwo tutaj, teraz, i będą mieli taką samą szansę, by przeszkodzić nam w połączeniu się z nim, jaką ma żaba na biesiadzie wężów.

Rzymianie wzniesli radosne okrzyki. Galowie odpowiedzieli krzykami, potrząsając pięściami, wymachując dzidami i wyrzaskując krwiożercze groźby we własnym języku.

— Słyszałem gorsze — ocenił przemowę Gajusz Filipus. W jego ustach była to wyjątkowa pochwała, lecz Skaurus prawie go nie słyszał. Niemal całą swoją uwagę skupił na Celtach, którzy, za swoim wysokim dowódcą, zbliżali się truchtem do Rzymian. Wolałby spotkać się z nimi przy strumyku, pośrodku polany, lecz by to zrobić, musiałby odsunąć cały szyk od lasu, na którym wspierały się flanki.

Tylko strzelcy zareagowali na zbliżanie się wroga. Procarze ciskali ołowiane pociski, które ze świstem wpadały w szeregi Galów, z hukiem odbijając się od tarczy albo z miękkim młaśnięciem wchodząc w ciało. Łucznicy wzmogli ostrzał, naciągając cięciwy i opróżniając kołczany tak szybko jak mogli. Tu i tam w szyku barbarzyńców ktoś potknął się i upadł, lecz powodowało to znikomy uszczerbek w napierającej masie.

Celtowie podnieśli radosną wrzawę, kiedy jeden z ich łuczników przeszył strzałą rzymskiego procarza w chwili, gdy ten zamierzał się do rzutu. Pocisk, który miał posłać w szeregi nieprzyjaciół, wzleciał nieszkodliwie w powietrze.

Celtowie zbliżyli się, rozbryzgując głęboką po kostki wodę strumyka. Rzymscy strzelcy wypuścili kilka ostatnich pocisków, a potem pierzchnęli pod osłonę własnej formacji.

Długi galijski miecz wydawał się w ręku Marka lekki jak piórko. Druidyczne runy wybite na klindze zdawały się jarzyć własnym blaskiem w czerwonym świetle zachodzącego słońca. Jakaś

strzała wbiła się w ziemię przy stopach trybuna. Niemal nieświadomie przesunął się na bok o kilka kroków.

Barbarzyńcy byli już tak blisko, że mógł dostrzec groźne miny wykrzywające ich wąsate twarze, mógł stwierdzić, że miecz, który dzierżył ich dowódca, jest kopią jego własnego, i niemal policzyć szprychy koła z brązu, wieńczącego pokryty zdobieniami hełm Celta. Tupot stóp Galów na darni urósł do grzmotu.

— Na mój rozkaz! — krzyknął Marek do pierwszego szeregu, unosząc miecz wysoko nad głowę. Zważyli w dłoniach swoje *pilis i* czekali, spokojni i pośepnie fachowi. I już, z dzikimi okrzykami, Celtowie zaczęli ciskać swoje dzidy, z których większość nie doleciała do linii Rzymian.

Trybun mierzył wzrokiem nadszarpniętą masę. Jeszcze chwila... — W nich! — zawołał, opuszczając rękę, w której dzierżył miecz. Pół tysiąca ramion, jak jedna ręka, cisnęło swoje śmiercionośne brzemie w Galów.

Szeregi nieprzyjaciół zachwiały się. Ludzie wrzeszczeli, gdy oszczepy przeszywały ich ciała. Inni, ci co mieli więcej szczęścia, odbili pociski Rzymian tarczami. Jednak ich szczęście nie było pełne, gdyż trzonki *pilonan* z miękkiego żelaza zgięły się, gdy ostrza uderzyły w tarcze, uniemożliwiając odrzucenie broni z powrotem na Rzymian i tak uszkadzając tarcze, że je również musieli porzucić.

— W nich! — krzyknął znowu Skaurus. Kolejna salwa wystrzeliła w stronę nieprzyjaciół. Lecz Galowie, tak odważni jak niezdyscyplinowani, dalej parli naprzód. Ich dzidy również cięły powietrze, nawet jeśli nie równymi salwami, to gęsto. Stojący obok Marka mężczyzna upadł do tyłu, tryskając krwią z gardła przeszytego oszczepem, który znalazł drogę nad jego tarczą. Legioniści wyciągnęli z pochew krótkie miecze i runęli naprzód, związując się z przeciwnikiem walką wręcz.

Galowie wzniesli tryumfalne okrzyki, gdy prowadzeni przez dwóch olbrzymich, jasnogrzywych wojowników przerabali się przez pierwszy szereg Rzymian. Właśnie w chwili, gdy rogi trębaczy zatrąbiły ostrzegawczo, manipuł drugiego szeregu przesunął się, zamykając lukę. Ich krótkie miecze śmigały spadając i wznosząc się, szybkie i pewne jak atakujące węże; ich wysokie, wypukłe *scuta* odbijały ciosy przeciwników. W ciągu paru chwil celtyccy szermierze, każdy osaczony przez pół tuzina legionistów, byli już martwi. Większość ich towarzyszy, otoczona z trzech stron, padła wraz z nimi. Teraz z kolei Rzymianie wzniesli zwycięskie okrzyki.

Marek skierował kolejny manipuł, by zlikwidować wyłom na lewym skrzydle. Powstrzymali nieprzyjaciół, lecz ta część szyku wciąż się wyginała. Nacierał tam wódz Celtów, walcząc jak demon. Jego miecz błysnął czerwonym światłem, gdy odrąbał rękę legionście; kolejnym ciosem zabił mężczyznę, który stał wpatrując się z osłupieniem w bluzgający krwią kikut.

Jakiś Gal zaatakował Marka, wymachując mieczem nad głową, jakby była to proca. Kiedy trybun pochylił gwałtownie głowę, umykając przed jego dzikim cieciami, poczuł dochodzący od

mężczyzny odór piwa. Okręcił się na pięcie, by odpowiedzieć ciosem, i ujrzał, jak Gajusz Filipus wyciąga swój miecz z ciała Gala.

Centurion splunął pogardliwie.

— To głupcy. Walka to zbyt poważna sprawa, by pozwolić sobie na picie. — Rozejrzał się wokół. — Ale jest ich przekłete mnóstwo — dodał.

Skaurus mógł tylko skinąć głową. Środek szyku Rzymian nie ustępował pola, lecz oba skrzydła już się wyginały. W walce wręcz procarze na prawym skrzydle bardziej przeszkadzali niż pomagali, ponieważ osłaniający ich oszczepnicy musieli wykonać podwójne zadanie, by nie dopuścić do nich Celtów. Co gorsza, grupki Celtów wymykały się do lasu. Marek nie sądził, że uciekają. Obawiał się, że chcą zatoczyć koło i zaatakować Rzymian od tyłu.

Lekarz Gorgidas przemknął obok niego, by odciągnąć rannego legionistę z linii walki i zabandażować głęboką ciętą ranę, jaką otrzymał. Uchwyciwszy spojrzenie trybuna, powiedział: — Byłbym równie szczęśliwy bez takiej możliwości wykonywania mojego zawodu, wiesz? — W tej gorącej chwili przemówił w swej ojczystej grece.

— Wiem — odpowiedział Marek w tym samym języku. Niemal w tej samej chwili zaatakował go następny Celt — jakiś szlachcic, sądząc po jego spizowym napierśniku. Zamarkował dzidą pchnięcie nisko, uderzył wysoko. Skaurus odparował pchnięcie tarczą. Grot dzidy minął go, ześlizgując się po wypukłej powierzchni *scuti*; trybun znalazł się tuż przy przeciwniku. Gal próbował się cofnąć, walcząc o życie; szeroko rozwartymi i przeraźliwie baczными oczyma obserwował ruch miecza trybuna.

Marek zadał pchniecie, mierząc w szczelinę pod naramiennikiem pancerza. Nie trafił dokładnie, lecz pchnięcie przebiło zbroję przeciwnika i ostrze zagłębiło się w ciele. Barbarzyńca zachwiał się. Jasnoczerwona krew zapieniła się w jego nozdrzach i ustach, kiedy padał na ziemię.

— Dobrze uderzenie! — krzyknął Gajusz Filipus.

Jego prawa ręka była czerwona niemal do łokcia. Marek wzruszył ramionami, nie przypuszczając, by zadał aż tak silny cios. Bardziej prawdopodobne, że to partacka robota jakiegoś kowala doprowadziła do śmierci Gala — choć z drugiej strony większość celtyckich płatnerzy szczyciła się swymi wyrobami.

Coraz szybciej robiło się ciemno. Marek wysłał paru mężczyzn, dotychczas czekających w odwodzie, by przygotowali pochodnie i rozdali je legionistom. Jego żołnierze wykorzystali je nie tylko do oświetlania pola walki — jakiś Celt, ze stojącymi w ogniu długimi, tłustymi lokami, wrzeszcząc uciekł z pola walki.

Liscus padł, walcząc z ziomkami, których porzucił dla Rzymu. Skaurus poczuł ukłucie żalu. Tłumacz był bystrym, wesołym i szaleńczo odważnym człowiekiem — ale z drugiej strony, o ilu walczących po obu stronach można byłoby powiedzieć to samo? Teraz był po prostu martwy.

Galowie parli naprzód na obu skrzydłach, tnąc, zadając pchnięcia i rąbiąc. Ustupując przeciwnikowi pod względem liczebności, Rzymianie musieli się cofać; ich linia wyginała się, odsuwając od osłony lasu. Wzrastająca świadomość klęski spoczęła lodowatym ciężarem na barkach Skaurusa, gdy obserwował, jak są spychani na siebie. Walczył dalej, rzucając się to tu, to tam, gdzie tylko wrzała najzaciętsza walka, przez cały czas wykrzykując do swoich ludzi rozkazy i słowa zachęty.

Za szkolnych lat pobierał nauki u nauczycieli ze szkoły stoików. Ich nauki przydały mu się teraz. Nie dopuszczał do siebie strachu ani rozpacz, tylko dalej walczył ze wszystkich sił, choć wiedział, że może to nie wystarczyć. Klęska sama w sobie nie była godna potępienia. Zaniechanie wysiłków, by do niej nie dopuścić — z pewnością tak.

Gajusz Filipus, który widział więcej młodych, obnoszących się ze swoją ważnością oficerów, niż mógł zapamiętać, tego obserwował z coraz większym podziwem. Wynik walki nie zapowiadał się korzystnie dla Rzymian, lecz przy tak miążdzącej przewadze liczebnej Galów, trudno było spodziewać się czegoś innego.

Rogi trębaczy zagrały na trwogę. Las nie stanowił już osłony; podskakując, wyjąc, wypadli zeń Celtowie, atakując tyły Rzymian. Czując przedsmak ofiarowanego mu pucharu zagłady, Marek skierował przeciwko nim ostatnie odwody, krzycząc: — Tworzyć koło! Tworzyć koło!

Pospieszna obrona tyłów w jakiś sposób powstrzymała atak, odpierając niezgraną szarżę Celtów na czas potrzebny Rzymianom do sformowania kolistego szyku. Lecz pułapka zatrzasnęła się. Otoczeni w głębi kraju swych wrogów, legioniści mogli spodziewać się tylko jednego losu. Noc wypełniła się tryumfalnymi okrzykami Celtów, gdy otaczali pierścień Rzymian, tak jak morze otacza kolumnę z twardego, czarnego kamienia, którą wkrótce pochłonie.

Druidyczne runy błysnęły w świetle pochodni, gdy wódz Galów skoczył jak wilk na szeregi Rzymian. Wyrąbał sobie drogę przez trzy szeregi legionistów, a potem zawrócił i przebił się z powrotem do swoich ludzi.

— Mają wojownika, z którym wolałbym się nie spotkać — rzekł Gajusz Filipus, posępnie spozierając na poskręcane ciała i potrząskany oręż, które Gal zostawił za sobą.

Marek wyraził swe uznanie temu, komu się należało.

— To wielki wojownik.

Bitwa przygasła, wojownicy z obu stron opierali się na dzidach lub tarczach, próbując złapać trochę tchu. Jęki rannych popłynęły w noc. Gdzieś w pobliżu zagrał świerszcz.

Marek uświadomił sobie, jak bardzo jest wyczerpany. Oddech zmienił się w zdyszany szloch, nogi miał z ołowiu, a jego pancerz był cięższy niż brzemię, które dźwigał Atlas. Wszystko go swędziło; wyschnięty, zaskorupiały pot trzeszczał, kiedy tylko się poruszył. Dawno przestał zauważać jego słony smak w ustach i pieczenie, jakie wywoływał zalewając oczy.

Rękę od tak dawna zaciskał na rękojeści miecza, że rozwarcie jej po to, by sięgnąć po manierkę,

która zwisała u pasa, wymagało od niego całej siły woli. Ciepłe, cierpkie wino spiekło mu gardło, gdy przelykał.

Wszedł księżyc, z tarczą zmniejszającą się kilka dni po pełni i czerwoną, jak gdyby odbijały się w niej światła tego posępnego pola bitwy.

I, jakby to był jakiś sygnał, wódz Celtów ponownie ruszył ku Rzymianom. Spięli mięśnie w oczekiwaniu na jego zaciekły atak, lecz mężczyzna zatrzymał się, nie podejmując walki. Schował miecz i uniósł pustą, prawą rękę nad głowę.

— Dobrze walczyliście — zawołał do Rzymian w poprawnej łacinie. — Czy nie poddacie mi się teraz, by skończyć z tą bezsensowną rzezią? Uratujecie swoje życie, pamiętajcie.

Trybun wojenny zastanowił się rzetelnie nad poddaniem siebie i swoich ludzi. Z jakiegoś powodu był skłonny uwierzyć w dobre intencje Gala, lecz wątpił, czy barbarzyńca potrafi zapanować nad swoimi towarzyszami po tym, kiedy Rzymianie znajdą się już w ich mocy. Pamiętał aż nadto dobrze zwyczaj Galów, zgodnie z którym złodziei i rozbójników palono żywcem w wiklinowych klatkach w kształcie człowieka, i wiedział, że Rzymian, już jako jeńców, łatwo byłoby o coś takiego obwinić.

Głos legionisty komentujący propozycję wodza Galów zabrzmiał głośno w zapadłej ciszy.

— Pieprzyć bękart! Jeśli nas chce, niech nas sobie weźmie i zapłaci za to rachunek!

Po tym Marek nie czuł potrzeby udzielenia jakiegokolwiek wyraźnej odpowiedzi. Celt zrozumiał.

— Zatem zostanie wypisany na waszych głowach — ostrzegł.

Odwrócił się do swoich ludzi, wykrzykując rozkazy. Żołnierze, którzy postanowili usiąść na chwilę, dźwignęli się z ziemi, mocniej zaciskając ręce na dzidach, mieczach czy maczugach. Ruszyli naprzód i obłędny łoskot, jakby z kuźni szaleńców, rozległ się znowu.

Pierścień Rzymian wygiął się, lecz nie został przerwany. Nieruchome ciała zabitych i zmięte postacie rannych wstrzymywały natarcie Galów; niejeden potknął się śmiertelnie, próbując wspiąć się na nie. Parli jednak dalej.

— Poddajcie się, głupcy, kiedy większość z was jeszcze żyje! — ryknął wódz Celtów do swych przeciwników.

— Kiedy powiedzieliśmy „nie” pierwszy raz, nie uwierzyłeś nam? — odkrzyknął Marek.

Gal uniósł miecz w wyzwaniu. — Może kiedy zostaniesz zabity, następny Rzymianin na twoim miejscu będzie miał więcej rozumu!

— Twoje niedoczekanie, psiakrew! — warknął Gajusz Filipus, lecz wielki Celt już ruszył. Ściął jednego Rzymianina, a dwóch innych kopniakami odrzucił na bok. Uchylił się przed ciosem złamanej włóczni zadany takim, jakby to była maczuga i uderzeniem miecza z kolana posłał atakującego go żołnierza na ziemię. Kiedy znalazł się w szeregach Rzymian, rzucił się na Marka z gotowym do zadania ciosem mieczem.

Wielu legionistów, z Gajuszem Filipusem na czele, poderwało się, by zagrozić mu drogę, lecz Marek powstrzymał ich machnięciem ręki. Walka zamarła, gdy za obopólną, milczącą zgodą, obie armie złożyły broń, by obserwować pojedynek swych dowódców.

Uśmiech rozjaśnił twarz Celta, kiedy zobaczył, że Marek zgadza się na pojedynek. Uniósł miecz w pozdrowieniu i powiedział:

— Jesteś odważnym człowiekiem, drogi Rzymianinie. Chciałbym poznać twoje imię, na wypadek, gdybym miał cię zabić.

— Nazywam się Marek Emiliusz Skaurus — odparł trybun. Czuł, że w większym stopniu wypełnia go rozpacz niż odwaga. Wojna była dla Celta istotą jego życia, podczas gdy on sam tylko się w nią bawił; bardziej dla spełnienia swych politycznych ambicji niż z miłości do walki.

Pomyślał o swojej rodzinie w Mediolanie, o rodowym nazwisku, które przypadnie, jeśli on zginie tutaj. Jego rodzice żyli jeszcze, lecz minął już czas, kiedy mogli mieć dzieci, a trzy siostry Marka nie zapewniały ciągłości rodowego nazwiska w przypadku jego bezpotomnej śmierci.

Mniej czasu zajęła mu myśl o Waleriuszu Korwusie i o tym, jak — niemal trzy stulecia wcześniej — wyparł armię Celtów ze środkowej Italii, zabijając w pojedynku jego dowódcę. Nie wierzył, by ci Galowie umknęli, nawet gdyby zwyciężył. Lecz mógł pohamować i zmieszać ich na tyle, by uratować przed zgubą swoją armię.

Wszystko to przemknęło mu przez głowę, gdy uniósł klingę, by odwzajemnić grzeczność Gała.

— Czy ja również będę miał zaszczyt poznać twoje imię? — zapytał, wyczuwając uroczystą atmosferę chwili.

— Poznasz je. Jestem Viridoviks, syn Drappesa, wódz Lexovii.

Po dokonaniu formalności, Marek zaczął gotować się na atak Viridoviksa, lecz Celt, zaskoczony, wpatrywał się w jego miecz.

— Jak to się stało — zapytał — że jakiś Rzymianin dostał w swe ręce klingę druida?

— Druid, który ją nosił, próbował mi się przeciwstawić, lecz stwierdził, że nie może — odparł Marek zirytowany tym, że również jego wrogowie uważają za dziwne to, iż nosi miecz Celta.

— Ten miecz przybył do ciebie ze swej własnej woli, czyż nie? — mruknął Viridoviks, jeszcze bardziej zaskoczony. — Cóż, rzeczywiście posiadasz wspaniały miecz, zobaczysz jednak, że mój nie jest gorszy. — Ruszył naprzód w przysiadzie wytrawnego szermierza.

Celtyckie bzdury — pomyślał trybun; miecz jest narzędziem i nie ma więcej wolnej woli niż miotła. Lecz kiedy wznosił miecz do osłony, nagle poczuł, że ogarnia go niepewność. To nie złudne światło wieczornej zorzy sprawiło, że druidyczne runy wybite na całej długości ostrza migotały i lśniły. Jarzyły się własnym gorącym, złotym światłem; światłem, które potężniało i nabierało życia z każdym krokiem zbliżającego się Viridoviksa.

Miecz Gała również błyszczał migotliwym światłem. Dygotał w jego ręku jak żywa istota, usiłu-

jąc dosięgnąć ostrza, które dzierżył Rzymianin. Miecz Marka również wykręcał mu się w rękę, próbując się uwolnić.

Groza i przerażenie przemknęły po długiej twarzy Viridoviksa, rażąco wyraźne w demonicznym świetle mieczy. Marek wiedział, że jego własne rysy mają podobny wyraz.

Ludzie z obu armii jęknęli i zakryli rękoma oczy, zdając sobie sprawę, że są świadkami czegoś, co przekracza ich możliwość pojmowania.

Dwa ostrza spotkały się z rykiem głośniejszym niż grzmot. Czary, które druidzi rzucili na nie, zakłęcia utkane po to, by nigdy obcy władca nie zapanował nad krainą Galów, wyzwoliły się w chwili, gdy się spotkały. To, że jeden miecz znajdował się w ręku najeźdźcy, tylko spotęgowało wyzwoloną moc.

Celtowie stojący na zewnątrz kręgu Rzymian ujrzeli kopułę czerwonozłotego światła, która wystrzeliła ze skrzyżowanych mieczy i otoczyła legionistów. Któryś z Galów, odważniejszy, a może tylko głupszy od swoich towarzyszy, podbiegł i dotknął kopuły. Zawył z bólu, odrywając od kopuły przypaloną rękę. Kiedy świetlista kopuła zgasła, przestrzeń wewnątrz była pusta.

Rozmawiając szeptem o cudzie, jakiego byli świadkami, Celtowie pochowali swoich poległych, potem obdarli zwłoki Rzymian i pogrzebali ich w oddzielnym grobie. Pojedynczo lub dwójkami wyruszyli w powrotną drogę do swoich wiosek i zagród. Niewielu opowiedziało o tym, co widzieli, a jeszcze mniej w to uwierzyło.

Później tego roku do kraju Lexovia przybył Cezar i nawet cuda nie zdołały uratować przed nim Galów. Jediną magią, jaką uznawał, była magia imperium; dla niego w zupełności wystarczała. Kiedy pisał swoje pamiętniki, przypuszczalna masakra zwiadowczej kolumny wydała mu się niewarta wzmianki.

Wewnątrz złotej kopuły ziemia zniknęła Rzymianom spod stóp, pozostawiając ich zawieszonymi w nicości. Doznali wywołującego mdłości uczucia ruchu i braku równowagi, choć najlżejszy powiew wiatru, który świadczyłby o tym, że się poruszają, nie dotknął ich twarzy. Ludzie klęli, wrzeszczeli, wzywali swych bogów, lecz na próżno.

Potem, niespodziewanie, znowu stanęli na ziemi; Marek doznał niesamowitego wrażenia, jak gdyby wystrzeliła gdzieś z dołu i zatrzymała się dotykając jego sandałów. Kopuła światła zniknęła w mgnieniu oka. Rzymianie ponownie znaleźli się na leśnej polanie, mniejszej i ciemniejszej niż ta, którą tak nieoczekiwanie opuścili. Otaczała ich głęboka noc. Choć Skaurus wiedział, że niedawno wzeszedł księżyc, tutaj nie mógł go dostrzec. Nie było też gromady Celtów. Za to złożył losowi szczere podziękowania.

Uświadomił sobie, że wciąż krzyżuje miecz z Viridoviksem. Cofnął się i opuścił klingę. Widząc to, Viridoviks ostrożnie zrobił to samo.

— Rozejm? — zapytał Marek. Gal był częścią magii, która sprowadziła ich w to miejsce. Za-

bicie go teraz byłoby głupotą.

— Tak, na razie — rzekł z roztargnieniem Viridoviks. Wydawał się bardziej zainteresowany rozglądaniem się wokół niż walką. Sprawiał też wrażenie całkowicie obojętnego na niebezpieczeństwo, w jakim się znalazł, otoczony przez swych wrogów. Marek zastanawiał się, czy ta zachowatość była prawdziwa, czy też udawana. Otoczony przez Galów, on sam był zbyt przerażony, żeby udawać odwagę.

Przeniósł wzrok ze swojego miecza na miecz Viridoviksa. Teraz żaden z nich nie wydawał się czymś więcej niż kawałkiem zaostromej stali.

Wokół kręcili się Rzymianie, błakając się po otwartej przestrzeni polany. Ku zaskoczeniu trybuna, żaden z nich nie przybiegł żądając śmierci Viridoviksa. Może — tak jak Skaurusa — to, co się wydarzyło, ogłuszyło ich tak mocno, że nie śmieli nic mu zrobić, a może sprawiła to pewna siebie postawa Celta.

Do Marka podszedł Juniusz Blisus. Zupełnie nie zwracając uwagi na Viridoviksa, zwiadowca zsalutował zgrabnie swemu dowódcy, jak gdyby trwanie przy legionowym formalizmie mogło pomóc mu w uporaniu się z przerażającym nieznanym, w którego obliczu się znalazł.

— Nie sądzę, żeby to w ogóle była Galia, panie — powiedział. — Poszedłem na skraj polany i drzewa, które tam rosną, wydają się bardziej podobne do tych, jakie można spotkać w Grecji, albo w miejscu takim jak Cylicja.

— Chociaż nie można powiedzieć, żeby to było złe miejsce — ciągnął. — Jest tutaj staw i potok, który do niego wpływa. Przez chwilę myślałem, że skończymy w Tartarze, i nigdzie indziej, tylko tam.

— Nie byłeś jedynym — powiedział szczerze Marek. Potem zamrugnął. Nie przyszło mu do głowy, że cokolwiek się wydarzyło, mogło przecież pozostawić ich wciąż na ziemiach znajdujących się we władaniu Rzymu.

Salut zwiadowcy i jego domysły podsunęły trybunowi pomysł. Rozkazał swoim ludziom rozbić obóz nad stawem, który odkrył Blisus, zdając sobie sprawę, że rutynowe zajęcie — zadanie, które wykonywali przedtem setki razy — pomoże obedrzeć to miejsce z aury obcości.

Zastanowił się, jak zdoła wyjaśnić swoje przybycie rzymskim władzom, które mogły tu być. Niemal słyszał sceptyczny głos prokonsula: — Kopuła światła, powiadasz? Ta— ak, oczywiście. Powiedz mi, ile kosztowała cię cała droga...?

Wzniesiono szańce wyznaczające cztery boki kwadratu; wewnątrz, ustawione w równych rzędach, wyrosły ośmioosobowe namioty. Bez potrzeby przypominania im o tym, legioniści pozostawili spore miejsce, gdzie mógł pracować Gorgidas. Tam właśnie, niedaleko od Marka, Grek badał przy pomocy kleszczy ranę legionisty trafionego strzałą. Ranny żołnierz zagryzał wargi, by nie krzyknąć, a potem westchnął z ulgą, gdy Gorgidas wyciągnął haczykowany grot.

Gajusz Filipus, który nadzorował zakładanie obozu, podszedł do Skaurusa.

— Miałeś dobry pomysł — powiedział. — To nie pozwoli im myśleć o głupstwach.

I tak też było, lecz jedynie po części. Marek i Gorgidas byli wykształconymi ludźmi, Gajusza Filipusa twarde życie zahartowało tak, że potrafił poradzić sobie niemal ze wszystkim. Jednak legionieści w większości byli młodymi ludźmi z gospodarstw lub maleńkich wiosek, nie posiadającymi ani wykształcenia, ani doświadczenia, na których mogliby się oprzeć. Cud, który przeniósł ich w to miejsce, zbyt daleko odbiegał od codziennej harówki, by mogli potraktować go z obojętnością.

Rzymianie szemrali sypiąc szańce, pomrukiwali nosząc ekwipunek, szeptali do siebie wbijając kołki od namiotów. Składali dwa palce w znak przeciwko złemu oku, ściskając falliczne amulety, które nosili na szyjach, by ustrzec się przed nim.

I coraz częściej i częściej spoglądali w stronę Viridoviksa. Wraz z łagodzącym skutkiem codziennych zajęć, z wolna rozpraszala się otaczająca go atmosfera nietykalności. W pomrukach narastała wrogość. Ręce zaczęły kierować się ku mieczom i oszczepom. Na twarzy Viridoviksa pojawił się wyraz posępnej zaciętości. Wyciągnął swoją długą klingę z pochwy, ale nawet przy swej sile nie wytrzymałby długo naporu Rzymian.

Lecz legionieści, jak się wydawało, chcieli czegoś bardziej oficjalnego i wzbudzającego grozę niż samosąd. Wybrana przez nich delegacja zbliżyła się do Skaurusa; na jej czele stał kawalerzysta imieniem Luciliusz. I właśnie on przemówił w ich imieniu:

— Panie, co powiesz na to, żebyśmy podcięli gardło Galowi, by odwrócić od nas gniew tego boga, który nam to uczynił? — Stojący za nim mężczyźni skinęli głowami.

Trybun spojrział na Viridoviksa, który odwzajemnił mu wolne od lęku spojrzenie. Gdyby płaszczyl się ze strachu, Marek pewnie pozwoliłby swoim ludziom zrobić to, co chcieli, lecz Celt był człowiekiem, który zasługiwał na coś lepszego niż poświęcenie dla jakiegoś przesądu.

Skaurus powiedział to żołnierzom, dodając:

— Mógł czekać, dopóki jego ludzie nie wyrzną nas, zamiast tego jednak postanowił walczyć ze mną sam na sam. I bogowie uczynili mu to samo, co nam wszystkim. Może mieli swoje powody.

Część legionistów skinęła głowami, lecz większość dalej okazywała niezadowolenie. Luciliusz powiedział:

— Panie, może pozostawili go z nami właśnie po to, byśmy mogli złożyć go im w ofierze, i będą źli, jeśli tego nie uczynimy.

Lecz im więcej o tym myślał, tym bardziej pomysł, by świadomie złożyć człowieka w ofierze, stawał się Markowi nienawistny. Jako stoik nie wierzył, by cokolwiek to dało, a jako Rzymianin uważał składanie ofiar z ludzi za przeżytek. Od czasu rozpaczliwych chwil sprzed stu pięćdziesięciu lat — po tym, jak Hannibal rozbił Rzymian pod Kartaginą — nie wracano do tego zwyczaju. W

jeszcze dawniejszych czasach, podczas klęsk głodu, składano ofiary ze starych ludzi, lecz już od stuleci zamiast tego wrzucano do Tybru kukły z sitowia.

— Właśnie! — powiedział głośno. Zarówno Viridoviks jak i jego ludzie spojrzeli na niego; pierwszy ostrożnie, pozostali z wyczekiwaniem. Pamiętając swój strach wywołany tym, co Galowie zrobiliby jego ludziom, gdyby się poddali, ciągnął: — Nie pozwolę, byśmy stali się podobni do okrutnych barbarzyńców, z którymi walczyliśmy.

Nikogo to nie zadowoliło. Viridoviks prychnął gniewnie; Luciliusz zaprotestował: — Bogowie powinni dostać ofiarę.

— Dostaną — obiecał trybun. — Zamiast Viridoviksa złożymy w ofierze jego wizerunek, tak jak to robią kapłani, by wyróżnić uroczystości, podczas których zwykle składano ofiary z ludzi. Jeśli bogowie przyjmują tamte ofiary, tę również przyjmą; a w tej dzicy, gdziekolwiek to jest, lepiej mieć siłę Gala po swojej stronie, niż przeciwko sobie.

Luciliusz dalej był skłonny się sprzeciwiać, lecz praktyczna strona argumentu Skaurusa przekonała większość legionistów. Utraciwszy poparcie, Luciliusz poddał się. By oddzielić zniechęconego żołnierza od reszty, Marek odkomenderował go do prac związanych z przygotowaniem wizerunku; polecił mu przygotować materiał i zerwać sitowie rosnące na brzegu stawu. Nieco podbudowany w swym poczuciu ważności, Luciliusz oddalił się, by wykonać rozkazy.

— Dziękuję ci — rzekł Viridoviks.

— Nie zrobił tego dla ciebie — powiedział Gajusz Filipus. Dotychczas trzymał się na uboczu i milczał, gotów w razie potrzeby wesprzeć Marka. — Zrobił to, by utrzymać swoją władzę nad żołnierzami.

Nie było to do końca prawdą, lecz Marek postanowił nie pomniejszać autorytetu Gajusza Filipusa sprzeciwiając mu się. To, co Gal pomyśli sobie o przyczynach, dla których go uratował, nie miało znaczenia; liczył się rezultat.

Viridoviks spojrzął w dół na niskiego, krępego centuriona.

— I co chciałbyś, żeby teraz ze mną zrobił? Posiekał na mięso dla psów? Nażrą się nie tylko mną, jeśli spróbujesz to zrobić; będą miały o wiele więcej żarcia, jeśli pośle na mnie takich karzełków jak ty.

Skaurus spodziewał się, że Gajusz Filipus wpadnie w morderczą wściekłość, lecz zamiast tego centurion odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

— Dobrze powiedziane, ty wielkoludzie!

— Wielkolud, powiedziałeś? — Viridoviks zaklął po galijsku, lecz on również się uśmiechnął.

— Cóż więc? — zapytał Marek. — Czy zamierzasz dołączyć do nas, przynajmniej dopóki nie dowiemy się,

ładzie jesteśmy? Bogowie świadkami, że jesteś urodzonym i wojownikiem.

— Och, co za wstyd! Rzymianin prosi o moje towarzystwo, a ja mówię — tak. Lecz te lasy są niegościnnym miejscem dla biednego, samotnego Celta, a wy — Rzymianie — jesteście ludźmi, mimo całej waszej tępoty.

Gajusz Filipus prychnął.

— Jest jeszcze jedna sprawa — rzekł Viridoviks. — Czy wasi ludzie przyjmą mnie po tym, jak niejednego z nich wysłałem na drugi świat?

— Przemogą swoją niechęć — rzekł starszy centurion, uderzając prętem z winorośli w stwardniałą dłoń.

— Tępi — powtórzył Viridoviks. — Żadnej możliwości, by powiedzieć twojemu oficerowi, żeby się odpieprzył. Przy okazji: dzień, w którym przyjdzie ci do głowy rozkazywać mi, zapamiętasz na zawsze. Do tego maszerowanie w szeregu, obozowanie w szeregu, walka w szeregu. Powiedz mi, sracie też w szeregu?

Centurion zachował dyskretne milczenie pamiętając, że robił to niejedyn raz.

Im więcej się gryzą, pomyślał Marek, tym szybciej przywykną do siebie. Pacnął ręką komara. Musiał chybić, ponieważ usłyszał oddalające się bzyczenie.

Luciliusz zbliżył się pospiesznie, dźwigając w ramionach pęk sitowia, przewiązany tu i tam płóciennymi paskami. Nie bardzo przypominało to człowieka, lecz Skaurus nie miał zamiaru krytykować. W zupełności wystarczało, jeśli zadowalało to Luciliusza.

— Co z tym zrobimy, panie? — zapytał kawalerzysta. — Wrzucimy do wody, tak jak kapłani w Rzymie zrzucają kukły z mostu Sublicjusza do Tybru?

Marek potarł szczękę, zastanawiając się przez chwilę. Potrząsnął głową.

— Zważywszy na kolor kopuły światła, w której byliśmy, sędzę, że zamiast do wody, powinienem wrzucić to w płomienie.

Luciliusz skinął głową, wyraźnie pod wrażeniem rozumowania trybuna. — Proszę, panie. — Podał kukłę Skaurusowi i ustawił się za nim, by zapoczątkować procesję. Więcej mężczyzn przyłączyło się do niej, gdy trybun szedł wolno i uroczysto w stronę jednego z obozowych ognisk.

Zatrzymał się przed nim, tak by jeszcze więcej legionistów mogło się zgromadzić. Pozostali przerwali swe zajęcia i unieśli wzrok, by obserwować uroczystość. Wówczas Marek uniósł prymitywną kukłę z sitowia wysoko nad głowę, oznajmiając głośno:

— Którykolwiek bóg, albo bogini, jest odpowiedzialny za cud, który nas spotkał, wzywany imieniem lub imionami, jakimi chce być nazywany, niech przyjmie tę ofiarę składaną dla przejednanania jego gniewu! — Cisnął kukłę w ogień.

Płomienie strzeliły, obejmując wizerunek. — Patrzcie, jak bóg przyjmuje ofiarę! — zawołał Luciliusz. Marek ukrył uśmiech; wyglądało to tak, jakby legionista uważał kukłę, będącą namiastką ofiary, za człowieka.

Jednak trybun zastanowił się przez chwilę, czy Luciliusz nie zobaczył czegoś, czego on nie dostrzegł. Kukła z wilgotnego sitowia powinna palić się wolno, a tę ogień pochłonał, jakby była smolną drzazgą. Marek skrzywił się, tłumiąc przesadne myśli, które go opadły. Jeden cud na wieczór wystarczy — powiedział sobie stanowczo. Odwrócił się od ogniska i odszedł, by zobaczyć, jak Gorgidas radzi sobie z rannymi.

— Jak to wygląda? — warknął na niego Gorgidas.

— Niezbyt dobrze — przyznał Skaurus. Gorgidas biegał od jednego rannego do drugiego, tu bandażując, tam zszywając, gdzie indziej potrząsając głową nad ranami, których nie miał nadziei wyleczyć. Trybun zapytał:

— Jak mogę ci pomóc?

Greki uniósł wzrok, jak gdyby dopiero teraz zdał sobie sprawę z obecności Marka.

— Hmm? Niech pomyślę... Gdybyś rozkazał paru żołnierzom, żeby pracowali ze mną, mogłoby mi to odrobinę pomóc. Będą niezdarni, ale lepsze to niż nic, a niekiedy człowiek, który tak bardzo wije się z bólu, musi być przytrzymany, czy tego chce, czy nie.

— Zajmę się tym — odpowiedział trybun. — A co się stało z Attiliuszem i Publiuszem Kurtianusem?

— Z moimi pomocnikami? A jak sądzisz, co się z nimi stało?

Marek wycofał się pospiesznie z rozpaloną rumieńcem twarzą. Niemal zapomniał posłać Gorgidasowi legionistów.

Gajusz Filipus i Viridoviks wciąż klócili się na uboczu, z dala od miejsca, gdzie przebywała większość ludzi. Starszy centurion wyciągnął miecz. Skaurus podbiegł, by zapobiec walce. Stwierdził, że niczemu nie musi zapobiegać; Gajusz Filipus pokazywał Galowi pchnięcia.

— Wszystko pięknie i wspaniale, drogi Rzymianinie — rzekł Viridoviks — dlaczego więc psujecie to tak krótkimi ostrzami? Weteran wzruszył ramionami.

— Większość z nas nie jest na tyle duża, by posługiwać się swobodnie takim rzeźnickim nożem, jakim ty wymachujesz. Poza tym, pchnięcie, nawet zadane *gladio*, pozostawia atakującego w większej odległości od wroga, niż ciecie zadane długim mieczem.

Dwaj urodzeni wojownicy mogli być parą piekarzy rozmawiających o tym, jak sprawić, żeby ciasto na chleb lepiej wyrastało. Marek uśmiechnął się widząc, jak wspólna pasja pozwala nawet śmiertelnym wrogom zapomnieć o dzielącej ich nienawiści.

Jeden z młodszych centurionów, szczupły młodzieniec imieniem Kwintus Glabrio, podszedł do niego i powiedział:

— Proszę o wybaczenie, panie, ale czy mógłbyś mi powiedzieć, gdzie my jesteśmy, bym mógł przekazać to ludziom i uspokoić ich? Spierają się coraz gwałtowniej.

— Szczerze mówiąc, nie jestem pewien. Sądząc z terenu

I rosnących tutaj drzew, jeden ze zwiadowców uważa, że może to być Cylicja albo Grecja. Rankiem wysłemy zwiad, który odnajdzie jakichś wieśniaków i wtedy dowiemy się tego, co chcemy wiedzieć.

Glabrio gapił się na niego z otwartymi ustami. Nawet w nikłym świetle gwiazd Marek mógł dostrzec strach na jego twarzy; strach na tyle głęboki, że pozwalał zapomnieć mu o bólu rozplatanego przedramienia.

— Cylicja, panie? Grecja? Nie widziałeś...? — Język go zawiódł. Wskazał na niebo.

Zaintrygowany Marek uniósł wzrok. Była piękna, czysta noc. Zobaczmy — pomyślał — przebiegając wzrokiem nieboskłon, północ powinna być... gdzie? Zimne palce przebiegły mu po kręgosłupie, gdy wpatrywał się w nieznane układy gwiazd rozrzucone na niebie. Gdzie jest Wielka Niedźwiedzica, która wskazywała biegun? Gdzie gwiazdy lata; Skorpion, Orzeł, Lira? Gdzie konstelacje jesieni, które prowadziły ich przez noc; Andromeda, Pegaz? Gdzie gwiazdy zimy, albo dziwne gwiazdozbiory, które wzywały znad południowego horyzontu w tropikalnych krainach, takich jak Afryka lub Cyrenajka?

Gajusz Filipus i Viridoviks wytrzeszczali oczy razem z nim, dzieląc jego pragnienie, by okazało się to nieprawdą. Gal przeklinał w swoim ojczystym języku — jednak nie tak, jak wówczas, gdy obrzucał przekleństwami Gajusza Filipusa — tylko cicho, jakby w modlitwie. — Bogowie na Olimpie — mruknął starszy centurion i Marek musiał zdusić histeryczny śmiech. To miejsce znajdowało się poza królestwem bogów Olimpu. I również poza jego własnym; wizję rozgniewanego prokonsula rozwiał wiatr nieznanego.

Niewielu Rzymian wyspało się tej nocy. Siedzieli przed namiotami, obserwując nieczytelny krąg niebios i próbując, tak jak zawsze będą to robili ludzie, okiełznać nieznane przez ułożenie go we wzory i nadanie im nazw: Tarcza, Balista, Świerszcz, Pederasći.

Kolejne nazwy rozbrzmiewały w nocy, w miarę jak wschodziły nowe gwiazdy, by zastąpić swe zachodzące towarzyszeki. Wschód wstał blady, potem poróżowił. Las przestał być jednolitym ciemnym kształtem, zmieniając się w drzewa, krzewy i zarośla, nie bardziej niezwykle niż te w Galii, jeśli nie całkiem takie same. Potem wzeszło słońce i było to po prostu słońce.

A potem spomiędzy drzew ze świstem wyleciała strzała, w ślad za którą rozległo się w chwilę później wyzwanie wypowiedziane w obcym języku.

II

Widząc, w jaki sposób człowiek, który rzucił im wyzwanie, rozgarnia zarośla i kroczy w stronę Rzymian, Marek nabrał pewności, że nie jest to skradający się leśny rozbójnik, lecz człowiek, który czuje za sobą całą potęgę swego kraju. Wskazywała na to jego postawa, czujna podejrzliwość na jego twarzy, fakt, że ośmielił się wyjść sam jeden, by stawić czoło dwunastu setkom ludzi.

— Niewątpliwie masz rację — przytaknął Gajusz Filipus, gdy trybun głośno wyraził swoje myśli. — Choć nie jest całkiem sam — jeśli ja byłbym na jego miejscu, z pewnością nie zapomniabym zabrać swojego łuku. Założę się, że jego przyjaciele osłaniają go z lasu.

Wszystko na to wskazywało, bowiem wojownik zatrzymał się w zasięgu strzału z łuku od drzew, z których wyszedł, i czekał, z rękoma założonymi na piersiach.

— Zobaczmy, co ma do powiedzenia — rzekł Marek. — Gajuszu, pójdiesz ze mną, i ty Viridoviksie — może on rozumie po celtycku. Gorgidas!

Lekarz zawiązał ostatni zgrabny węzeł na opatrunku, który właśnie zakładał i dopiero potem uniósł wzrok.

— Po co *ja* jestem ci potrzebny?

— Jeśli wolisz, będę polegał na własnej grece...

— Idę, idę.

Trybun wybrał również Adiatuna, oficera procarzy. Jak i jego ludzie, pochodził z Balearów, wysp na Morzu Śródziemnym u wybrzeży Hiszpanii, i znał ich dziwny język jako język swego dzieciństwa. Jeden z legionistów, który służył na wschodzie, poduczył się nieco syryjskiego i aramejskiego, i ten również został wybrany. Tyle musi wystarczyć, zdecydował Marek. Jeszcze trochę i czekający wojownik uzna, że chcą atakować, a nie pertraktować.

I rzeczywiście, czekający cofnął się o krok, kiedy ujrzał pół tuzina mężczyzn zbliżających się do niego od obozu Rzymian. Lecz Marek i jego towarzysze szli wolno, z prawymi rękoma uniesionymi na wysokość oczu i rozwartymi dłońmi, by pokazać, że są puste. Po chwili wahania wojownik odwzajemnił gest i zbliżył się. Zatrzymał się jakieś dziesięć stóp przed nimi, mówiąc coś, co miało znaczyć — tak jest wystarczająco blisko. — Przyglądał się przybyszom z nieukrywaną ciekawością.

Marek odwzajemnił ją. Tubylec był szczupłym mężczyzną średniego wzrostu, mogącym mieć trzydzieści parę lat. Wyjąwszy dumny nos, rysy miał drobne i subtelne; szerokie czoło nadawało

jego twarzy trójkątny kształt. Jego oliwkowa skóra była opalona i ogorzała; miał długą bliznę na lewym policzku i jeszcze jedną nad lewym okiem. Zarys szczęki podkreślał wąski pasek brody; ciemnej, lecz ze srebrnymi paskami po obu stronach ust.

Gdyby nie ta niegustowna broda — pomyślał Marek — wyglądałby jak każdy Rzymianin, a jeszcze bardziej jak Grek. Miał na sobie kolczugę sięgającą do połowy ud. W przeciwieństwie do rzymskich, ta miała rękawy. Na niej nosił opończę z lekkiego materiału, barwy leśnej zieleni. Jego hełm był solidnym, żelaznym garnkiem; z tyłu przynitowano doń fartuszek kolczugi dla ochrony karku, a nosowa sztabka chroniła twarz. Ostrogi na piętach jego skórzanych, sięgających łydek butów świadczyły o tym, że jest kawalerzystą; przemawiał za tym również pałasz wiszący u pasa i mała, okrągła tarcza, zarzucona na plecy.

Żołnierz zapytał o coś, co prawdopodobnie — jak pomyślał Marek — znaczyło:

— Kim wy jesteście i co tutaj robicie?

Trybun spojrział na grupę swoich tak zwanych tłumaczy. Wszyscy potrząsnęli głowami. Odpowiedział w łacinie:

— Mamy takie samo pojęcie o tym, gdzie jesteśmy, jak ty o tym, kim my jesteśmy.

Tubylec rozłożył ręce i wzruszył ramionami, a potem spróbował znowu w języku, który wydawał się inny niż poprzedni. Z nie lepszym rezultatem. Rzymianie używali wszystkich języków, jakie znali, a sam żołnierz zdawał się mówić pięcioma albo sześcioma, ale nie znaleźli żadnego wspólnego.

Wojownik skrzywił się w końcu z irytacją. Klepnął ziemię, machnął ręką, wskazując wszystko, jak daleko sięgał wzrok. — Videssos — powiedział. Wskazał na Marka, potem na obóz, z którego przyszli i uniósł pytająco brwi.

— Rzymianie — odpowiedział trybun.

— Jesteś za włączeniem mnie do nich? — zapytał Viridoviks. — Co za wstyd!

— Tak, wszyscy go odczuwamy — odpowiedział mu Gajusz Filipus.

— Dość, wy tam — rzekł Gorgidas. — Jestem Rzymianinem nie bardziej niż ty, mój wąsaty przyjacielu, lecz musimy przedstawić wszystko tak prosto, jak to tylko możliwe.

— Dziękuję ci — powiedział Marek. — Rzymianie — powtórzył.

Videssańczyk obserwował tę wymianę zdań z wyraźnym zainteresowaniem. Teraz wskazał na siebie. — Neilos Tzimiskes.

Naśladując go, Skaurus i jego towarzysze wymienili swoje imiona. Viridoviks gderał: — Człowiek może zadławić się na śmierć tym jego „Tzimiskes” — lecz Neilosowi wcale łatwiej nie poszło z „Viridoviks, syn Drappesa”.

Tzimiskes odpiął swój pas z mieczem i położył go u swych stóp. Rozległ się ostrzegawczy okrzyk z lasu za nim, lecz uciszył go kilkoma wykrzyczanymi zdaniem. Wskazał na miecz, potem

na siebie i na Marka, i gestem wyraził odrazę.

— Nie ma kłótni między nami — przytaknął Skaurus wiedząc, że jego słowa nie zostaną zrozumiane, lecz mając nadzieję, że ton tak. Sięgnął do swojej torby po rację sucharów i podał je, wraz z na wpół jeszcze pełną manierką z winem, Tzimiskesowi. Videssańczyk skinął głową i uśmiechnął się, a kiedy to zrobił, ubyłoby mu kilka dobrych lat.

— Nie będzie taki szczęśliwy, kiedy zje to, co mu dałeś — rzekł Adiatun. — *Bucellum* smakuje zupełnie jak trociny.

Lecz Tzimiskes ugryzł spieczony suchar nie krzywiąc się i pociągnął długi łyk wina z miną człowieka, który kosztował już gorszych trunków. Klepnął się po brzuchu z przepraszającą miną, a potem ponownie krzyknął w stronę lasu. Parę chwil później z lasu wyłonił się jeszcze jeden, młodszy, Videssańczyk. Ubrany i uzbrojony był niemal tak samo jak Tzimiskes, choć jego opończa miała barwę bardziej brunatną niż zieloną. W lewej ręce niósł krótki łuk, a na prawym barku dyndała mu skórzana sakwa.

Młody Videssańczyk nazywał się Proklos Mouzalon. Ze swojego worka wyciągnął suszone jabłka i figi, oliwki, wędzoną soloną szynkę, twarde żółte ser, cebule i suchary, różniące się od rzymskich tylko tym, że były kwadratowe, a nie okrągłe — czyli zwykły podróżny, żołnierski prowiant. Wyjął również małą flaszkę gęstego, słodkiego wina. Markowi wydało się nieco mdle, bowiem przywykł do bardziej cierpkiego wina, w jakie zaopatrywano rzymską armię.

Zanim przytknęli flaszkę do ust, obaj Videssańczycy splunęli gniewnie na ziemię, a potem wzniesli ramiona i oczy ku niebu, równocześnie mamrocząc jakąś modlitwę. Marek miał zamiar wylać nieco wina dla bogów, lecz zamiast tego postanowił naśladować zwyczaj kraju, w którym się znalazł. Tzimiskes i Mouzalon skinęli z pochwałą głowami, gdy to zrobił, choć oczywiście nic nie zrozumieli z tego, co powiedział.

Na migi Neilos wyjaśnił, że parę dni drogi na południe od tego miejsca znajduje się miasto; stosowne miejsce do handlu, który mógłby na razie zapewnić rzymskim żołnierzom wyżywienie i zakwaterowanie. Wysłał Mouzalona naprzód, by przygotował miasto na ich przybycie. Tętent kopyt na leśnej ścieżce potwierdził, że Videssańczycy są jeźdźcami.

Kiedy Tzimiskes odszedł do swego spętanego wierzchowca, Marek streścił swoim ludziom to, co dotychczas ustalono.

— Myślę, że będziemy mogli zostać razem — powiedział. — Na tyle, na ile zrozumiałem całe to machanie palcami, ci ludzie najmują wojska zaciężne i często mają do czynienia z obcymi armiami. Cały problem polegał na tym, że Tzimiskes nigdy przedtem nie widział nikogo podobnego do nas i nie wiedział, czy jesteśmy najeźdźcami, wolontariuszami do najęcia, czy też ludźmi z drugiej strony księżycy.

Urwał nagle, przeklinając w duchu swój niezręczny język; obawiał się, że Rzymianie są o wiele

dalej od domu niż na Księżycu.

Z pomocą przyszedł mu Gajusz Filipus, który warknął:

— I jeszcze jedna rzecz, moje wilki. W czasie marszu traktujemy ten kraj jako sprzymierzeńca; żadnych kradzieży muła rolnika ani jego córki, tylko dlatego, że któreś z nich wam się spodobało. Na lewe jajo Wulkana, zobaczycie krzyż, jeśli któryś zrobi coś takiego. Dopóki wiemy, że mamy tutaj szansę na zajęcie, zachowujemy się spokojnie.

— Tępi, tępi, tępi — powiedział Viridoviks. Centurion zignorował go.

— Macie zamiar sprzedać nasze miecze tym barbarzyńcom? — zawołał ktoś.

Gajusz Filipus wściekłym wzrokiem próbował wyłowić tego, który się odezwał, lecz Skaurus powiedział:

— To dobre pytanie. Pozwólcie, że odpowiem na nie w taki sposób: nasze miecze są wszystkim, co mamy do sprzedania. Dopóki nie odnajdziecie drogi powrotnej do Rzymu, jesteśmy tutaj w mniejszości, niewielkiej, ale zawsze. — Był to kiepski dowcip, lecz tak oczywiście prawdziwy, że legionieści kiwali do siebie głowami, kiedy zaczynali zwijać obóz.

Marek nie miał zbyt wielkiej ochoty występować w roli najemnika, lecz zbrojny oddział za jego plecami dawał mu w spotkaniu z Videssańczykami siłę przetargową, jakiej nie dałoby mu nic innego. Dawało mu to również doskonały pretekst, by utrzymać Rzymian razem. W tym dziwnym obcym kraju mogli polegać jedynie na sobie.

Trybun zastanawiał się też nad przyczynami, które skłaniały Videssos do najmowania obcych wojsk. Według niego było to odpowiednie dla upadających królestw, takich jak Egipt Ptolemeuszy, nie zaś dla silnych państw. Lecz Tzimiskes i Mouzalon byli żołnierzami i bez wątplenia również tubylcami.

Westchnął. Tylu rzeczy trzeba się będzie dowiedzieć...

Na prośbę Gorgidasa, Skaurus odkomenderował drużynę do wycinania żerdzi na nosze; ponad dwudziestu Rzymian miało zbyt ciężkie rany, by maszerować.

— Część dostanie gorączki — rzekł Grek — lecz jeśli dostaną odpowiednie jedzenie i lekarstwa w tym mieście, większość powinna z tego wyjść.

Tzimiskes podjechał do skraju prowizorycznych szańców, jakie usypali Rzymianie. Ze swego konia mógł zajrzeć do środka. Wydawało się, że krzątanina i porządek, z jakim zwijano obóz, zrobiły na nim wrażenie.

Skaurusa z kolei zdumiało wyposażenie siodła i wierzchowca Videssańczyka, choć miał dość rozumu w głowie, by tego nie wyrazić. Nawet krótkie spojrzenie pozwoliło stwierdzić, że zastosowano tu rozwiązania, na które Rzymianie nigdy nie wpadli. Po pierwsze, Neilos siedział w siodle z nogami osadzonymi w strzemionach dostosowanych do kształtu jego stóp i przymocowanych do siodła za pomocą skórzanych pasów. Po drugie, kiedy wierzchowiec uniósł przednią nogę, trybun

zobaczył, że jego kopyto okute jest żelazem, chroniącym je przed kamieniami i cierniami.

— Czy to nie sprytne? — rzekł Gajusz Filipus, podchodząc do Marka. — Bękart może trzymać miecz albo łuk — albo nawet oszczep — oburącz i wspierać się na stopach. Dlaczego my nigdy o tym nie pomyśleliśmy?

— Może dobrze byłoby nie pozwolić, by domyślił się, że tego nie znamy.

— Nie urodziłem się wczoraj.

— Tak, wiem — rzekł Marek. Centurion nawet nie spojrzał na ekwipunek Tzimiskesa, gdy o nim mówił. Videssańczyk, przenosząc wzrok z jednego na drugiego, nie mógł domyślić się, o czym mówią.

Po jakiejś godzinie marszu wąską i krętą leśną ścieżką, Rzymianie wyszli z lasu i znaleźli się na skraju zagospodarowanych ziem. Horyzont poszerzył się, i gdy Marek wyszedł na otwarty teren, rozejrzał się wokół siebie z zaciekawieniem. Kraj, przez który szli, tworzyły faliste wzgórza i doliny; na północy i północnym wschodzie wysokie góry majaczyły purpurą na tle nieba.

Budynki gospodarstw, stada owiec i kóz cętkowały zbocza wzgórz. Niejeden wieśniak odganiał swoje zwierzęta od drogi, gdy tylko dostrzegł kolumnę obco wyglądających, uzbrojonych ludzi. Tzimiskes wykrzykiwał do nich uspokajająco, lecz większość wołała nie ryzykować.

— Chyba spotkali się już z tym wcześniej — rzekł Gajusz Filipus. Marek skinął z namysłem głową.

Powietrze było cieplejsze i bardziej suche niż w Galii, pomimo rzeńskiego wiatru wiejącego z zachodu. Wiatr miał słony posmak; jakaś mewa zaskrzeczała wysoko w górze, nim odleciała.

— Nie będziemy musieli najmować statku, żeby dotrzeć do tego miasta, co? — zapytał Marka Viridoviks.

— Nie sądzę. Dlaczego pytasz?

— Bo chociaż całe życie spędziłem nad oceanem, dostaję straszliwej choroby morskiej, kiedy żegluję. — Celt pobladł na samą myśl o tym.

Wąska ścieżka, którą podążali, doprowadziła ich do szerokiego traktu biegnącego z pomocy na południe. Przyzwyczajony do wykładanych kamiennymi płytami dróg, jakie budowali Rzymianie, Marek z niechęcią spoglądał na jego bitą nawierzchnię, dopóki Gajusz Filipus nie wyjaśnił:

— To jest naród jeźdźców, pamiętaj. Konie nie dbają wiele o twarde drogi; przypuszczam, że właśnie dlatego mają żelazne okucia na kopytach. Nasze drogi nie są przeznaczone dla zwierząt — służą szybkiemu przemieszczeniu piechoty z jednego miejsca na drugie.

Nie do końca przekonało to trybuna. Z nadejściem zimy ta droga będzie morzem błota. Nawet latem miała swoje wady — kaszlał od kurzu wzbijanego przez wierzchowca Tzimiskesa. Wysunął się naprzód, by spróbować porozmawiać z Videssańczykiem; wskazywał na różne rzeczy i uczył się ich nazw w języku Tzimiskesa i równocześnie uczył go łacińskich odpowiedników. Ku jego rozcza-

rowaniu, Tzimiskes o wiele szybciej oswajał się z łaciną, niż on zapamiętywał Videssańskie słowa.

Późnym popołudniem minęli niską kamienną budowlę o solidnej konstrukcji. Na wschodnim skraju płaskiego poza tym dachu strzelała w powietrze drewniana, pomalowana na błękitno iglica, zwieńczona pozłacaną kulą. Mężczyźni w błękitnych szatach, którzy golili głowy, lecz nosili bujne, krzaczaste brody, pracowali w ogrodach otaczających budowlę. Zarówno budynek jak i jego mieszkańcy byli tak niepodobni do wszystkiego, co dotychczas widział, że Marek spojrzał pytająco na Tzimiskesa:

Jego przewodnik wykonał ten sam rytuał gestów jak wówczas, kiedy pił wino, spluwając i wznosząc ku niebu ręce i głowę. Trybun doszedł do wniosku, że ludzie w błękitnych szatach byli jakimiś kapłanami, choć pielęgnowanie ogrodu wydawało się dziwnym sposobem czczenia bogów. Zastanowił się, czy pracują tak cały czas. Jeśli tak — pomyślał — to w takim razie muszą poważnie traktować swoją religię.

Na drodze panował niewielki ruch. Jakiś kupiec, dostrzegłszy maszerującą kolumnę ze szczytu wzniesienia jakieś pół mili dalej na południe, natychmiast zawrócił swoje juczne konie i umknął. Gajusz Filipus prychnął pogardliwie.

— Co wedle niego możemy zrobić? Przegonić jego konie na piechotę?

— Nawet o tym nie myśl — rzekł poważnie Viridoviks. — Moje stopy są całe w pęcherzach większych niż orzechy. Myślę, że wy, Rzymianie, urodziliście się w marszu, więc nie odczuwacie bólu w nogach. Łydki pieką mnie również.

Dla Skaurusa natomiast całodzienny marsz był jednym z łżejszych. Tempo jego ludzi spowalniały nosze, które nieśli w grupach. Wielu maszerujących było rannych, a wszyscy do cna wyczerpani. Czterech żołnierzy niesionych na noszach zmarło tego dnia, co dla Gorgidasa nie było niespodzianką.

Tzimiskes wyglądał na zadowolonego z tempa, jakie zdołali utrzymać legionieści. Zafascynowany obserwował, jak wykorzystywali ostatnie promienie zachodzącego słońca i purpurowe światło zmierzchu, by wznieść swoje fortyfikacje w kształcie kwadratu. Marek był dumny z umiejętności i dyscypliny, jaką wykazywali jego wyczerpani żołnierze.

Kiedy słońce zanurzyło się za zachodni horyzont, Neilos wykonał znany już rytuał, choć tym razem jego modlitwa trwała dłużej niż ta, którą odmówił przy winie.

— To wyjaśnia tę złotą kulę na budynku przy drodze — powiedział Gorgidas.

— Doprawdy? — Marek myślał o czymś innym.

— Oczywiście. Ci ludzie muszą być czcicielami Słońca. Trybun zastanowił się nad tym.

— Istnieją gorsze kultury — powiedział. — Oddawanie czci słońcu jest dość prostą religią. — Gorgidas skłonił głowę na potwierdzenie jego słów, lecz Marek długo miał pamiętać, jakiej naiwności i niewiedzy dał dowód swoją uwagą.

Wąski, srebrny rożek rosnącego księżyca ześlizgnął się na niebo, wkrótce pozostawiając je niepojętym gwiazdom. Marek ucieszył się widząc, że przynajmniej jest tu księżyc, nawet jeśli nie zgadzał się w fazie z tym, który znał. Wilk zawył wśród odległych wzgórz.

Dzień był ciepły, lecz po zachodzie słońca zrobiło się zaskakująco zimno. Dodając to do dojrzałych zbóż, jakie widział na polach, Marek domyślił się, że panuje tutaj jesień, choć w Galii było wczesne lato. Cóż — pomyślał — jeśli księżyc tej krainy nie zgadza się w fazie z moim księżycem, nie ma żadnych powodów, by zgadzały się pory roku. Wreszcie przestał o tym myśleć i zasnął.

Miasto nazywało się Imbros. Choć wzrok natykał się na trzy lub cztery zwieńczone kulami błękitne iglice, jego mury sięgały na tyle wysoko, by zasłaniać niemal wszystko. Fortyfikacje wydawały się solidne i w dobrym stanie. Lecz podczas gdy w większości szary kamień murów był stary i spłowiały, znaczna część pomocnej ściany wyglądała na niedawno odbudowaną. Trybun zastanawiał się, jak dawno temu splądrowano miasto i kim był wróg.

Wiedział, że miejscowi przywódcy nie pozwolą wkroczyć do miasta żadnej większej grupie jego ludzi, dopóki nie przekonają się, że legionistom można zaufać, lecz spodziewał się, że Imbros przygotowuje dla Rzymian rynek poza murami. Gdzie są zabiegani wieśniacy, krzątający się kupcy, dlaczego nie widać zbliżających się fur ze zbożem i innymi produktami? Miasto nie wyglądało na zamknięte w obawie przed oblężeniem, ale też nie sprawiało wrażenia, że oczekuje przybycia przyjaznej armii.

To mogło oznaczać kłopoty. Jego żołnierze już niemal kończyli żelazne racje, które nieśli w swoich workach, a pola i zagrody wokół Imbros wyglądały dostatnio. Nawet rzymska dyscyplina nie wytrzyma długo w obliczu głodu.

Przy pomocy paru słów i mnóstwa gestów spróbował przekazać to Tzimiskesowi. Videssańczyk, sam będąc żołnierzem, zrozumiał natychmiast; wydawał się zakłopotany i zatrwożony faktem, że posłaniec, którego wysłał naprzód, został zignorowany.

— To nie jest spokojny kraj — rzekł Gajusz Filipus. — Zastanawiam się, czy młody Mouzalon nie dostał gdzieś po głowie, jadąc tutaj.

— Czekaj — rzekł Viridoviks — czy to nie ów młodzieniec we własnej osobie galopuje do nas?

Mouzalon zaczął mówić nim jeszcze podjechał do Tzimiskesa. Odpowiedzi tego drugiego, początkowo krótkie, stawały się coraz głośniejsze; głośniejsze i gniewniejsze. W ich rozmowie często powtarzało się słowo lub imię „Vourtes”; kiedy wreszcie padło o raz za dużo, Tzimiskes splunął ze wstrętem.

— Musi być naprawdę wściekły, jeśli daje upust swej furii przez parodię modlitwy — rzekł cicho do Marka Gorgidas. Trybun skinął głową, zgadzając się ze spostrzeżeniem Greka.

W Imbros coś się działo. Zauważyli poruszenie przy północnej bramie, zapowiadające

pojawienie się procesji. Pierwszy szedł tłusty mężczyzna ze srebrną opaską na tysej głowie i w todzie z kasztanowatego brokatu. Z obu jego stron dwóch innych osłaniało go parasolami. Musiało tu chodzić o podkreślenie uroczystego charakteru procesji, bowiem niemal już zmierzchało. Tzimiskes zmierzył tłustego mężczyznę jadowitym spojrzeniem — zatem, czy był to ów Vourtzes?

Za Vourtzesem, jeśli to był on, szło czterech młodszych, szczuplejszych mężczyzn, mających na sobie skromniejsze szaty. Z ich poplamionych atramentem palców i nerwowych, krótkowzrocznych spojrzeń, jakie słali Rzymianom; Marek domyślił się, że są sekretarzami tłustego mężczyzny.

Wraz z nimi szła para kapłanów z wygolonymi głowami. Jeden miał na sobie prostą błękitną szatę; drugi, szczupłolicy mężczyzna z siwiejącą brodą i jasnymi, płonącymi oczyma, miał na wysokości lewej piersi na swym stroju wyhaftowane złotą nicią koło wielkości dłoni.

Po obu stronach pisarzy i kapłanów kroczył oddział żołnierzy: wielcy, jasnowłosi mężczyźni o kamiennych twarzach, w szkarłatno— srebrnych opończach narzuconych na kolczugi. Nieśli piki i niebezpiecznie wyglądające lekkie toporki; na ich prostokątnych tarczach widniały rozmaite godła. Najemnicy, zdecydował trybun — nie byli podobni do Videssańczyków, których dotychczas widział.

Za żołnierzami szło trzech trębaczy, tyłuż flecistów i mężczyzna, jeszcze tłuszcieszy niż Vourtzes, pchający kocioł na małym wózku z kołami.

Vourtzes zatrzymał się pół tuzina kroków przed Rzymianami. Jego gwardia honorowa znieruchomiała jak jeden mąż, wraz z ostatnim tupniętym krokiem i niemym okrzykiem; Marek poczuł, jak jego ludzie jeżą się na ten butny pokaz. Trębacze i fleciści zagrali skomplikowany tusz. Gruby jak beka bębniasta walnął w swój instrument z taką siłą, że Skaurus odniósł wrażenie, iż lada chwila sam kocioł albo wózek rozpadną się na kawałki.

Kiedy fanfara ucichła, dwaj Videssańczycy stojący z rzymską armią złożyli prawe ręce na pierśiach i skłonili głowy przed pulchnym dostojnikiem, który stał na czele procesji. Marek oddał mu rzymski salut, wyciągnąwszy przed siebie na wysokość oczu prawą rękę z zaciśniętą pięścią. Gajusz Filipus szczechnął rozkaz i legioniści równocześnie powtórzyli gest dowódcy.

Zaskoczony Videssańczyk cofnął się o krok. Spojrzał z wściekłością na Skaurusa, który musiał stłumić uśmiech. By ukryć swe zmieszanie, dostojnik gestem nakazał swym kapłanom, by wystąpili naprzód. Starszy wskazał kościstym palcem na Marka, wypaplawszy coś, co brzmiało jak ciąg pytań.

— Przykro mi, mój przyjacielu, lecz nie mówię w twoim języku — odparł po łacinie trybun. Kapłan warknął, zadając kilka pytań Tzimiskesowi.

Jego odpowiedź musiała nie do końca okazać się zadowolająca, gdyż kapłan głośno pociągnął nosem. Mimo to wzruszył ramionami i dał — jak miał nadzieję Marek — swe błogosławieństwo Rzymianom; jego machający kadzielnicą towarzysz co jakiś czas przyłączał się do recytowanej z

monotonnym zaśpiewem modlitwy.

Błogosławieństwo wydawało się dla Videssańczyków koniecznym wstępem do dalszej znajomości. Kiedy kapłani wrócili na swoje miejsce przy pisarzach, naczelnik procesji wystąpił naprzód, by uścisnąć ręce Marka. Jego własne były pulchne, ozdobione pierścieniami i spocone; uśmiech na jego twarzy miał niewiele wspólnego z tym, co naprawdę czuł, lecz był jowialną maską, jaką każdy dobry polityk może założyć, kiedy tylko zechce. Trybun doskonale rozumiał tę minę, ponieważ sam miał taką.

Przy pomocy Tzimiskesa, przywołując całą swoją cierpliwość, Skaurus dowiedział się, że rzeczywiście stoi przed nim Rhadenos Vourtzes, *hypasteos* miasta Imbros — rządcą mianowany przez Imperatora Videssos. Imię samego Imperatora, jak wywnioskował Marek, brzmiało Mavrikios, z rodu Gavras. Rzymianin odniósł wrażenie, że Tzimiskes jest lojalny wobec Mavrikiosa i że podejrzewa, iż Vourtzes nie podziela jego lojalności.

Dlaczego, usiłował zapytać Marek, *hypasteos* nie przygotował swego miasta na przybycie Rzymian? Vourtzes, kiedy je zrozumiał, rozłożył z ubolewaniem ręce. Wieści o ich pojawieniu się nadeszły zaledwie dzień wcześniej. Poza tym trudno było w nie uwierzyć, ponieważ Vourtzes nie miał wcześniej żadnych meldunków o jakimkolwiek oddziale przekraczającym granice Videssos. I w końcu, *hypasteos* nie bardzo ufał słowom *akrites*, która to nazwa, jak się wydawało, odnosiła się zarówno do Mouzalona jak i Tzimiskesa.

Młody Proklos poczerwieniał z gniewu usłyszawszy to i położył rękę na rękojeści miecza. Lecz Vourtzes obdarzył żołnierza swoim uśmiechem i uspokoił go paroma zdaniem. W tym przypadku, jak się wydawało, mylił się; nieporozumienia wkrótce zostaną wyjaśnione.

Choć Marek nie lubił człowieka, który grał to przedstawienie, przecież musiał je podziwiać. Co do składanych obietnic, zobaczy, jak to będzie.

Gorgidas pociągnął trybuna za ramię. Szczupła twarz Greka była przeźroczyta z wyczerpania.

— Czy mają lekarzy? — zapytał nagłym tonem. — Potrzebuję pomocy dla naszych rannych, albo przynajmniej makowego soku, by złagodzić cierpienia tych, którzy i tak umrą, bez względu na to, co zrobimy.

— Możemy o to zapytać — rzekł Skaurus. Nie miał pojęcia, jak brzmią słowa, których musiał użyć, by powiedzieć to Vourtzesowi, lecz niekiedy słowa nie są konieczne. Gestem zwrócił uwagę *hypasteosa*, potem podprowadził go do noszy. Świta dostojnika podążyła za nim.

Na widok rannych legionistów, Vourtzes zdławił w sobie okrzyk przerażenia. Mimo otaczających go żołnierzy, pomyślał Marek, niewiele wiedział o wojnie.

Ku zaskoczeniu trybuna, szczupły kapłan, który błogosławił Rzymian, pochylił się nad noszami.

— A po co on tam? — rzekł z oburzeniem Gorgidas. — Chcę jeszcze jednego doktora, a nie zaklęć i pustych słów.

— Równie dobrze możesz pozwolić mu, by zrobił to, co zamierza — powiedział Gajusz Filipus. — Sekstusowi Minucjuszowi jest to obojętne.

Spojrzawszy na jęczącego legionistę, Marek pomyślał, że starszy centurion ma rację. Bandaż, jakim owinięto ranę od dzidy na brzuchu Minucjusza, przesiąknięty był ropą i krwią. Z gnilnego odoru Skaurus domyślał się, że jego jelita zostały rozerwane. Takie rany zawsze bywały śmiertelne.

Gorgidas musiał dojść do takich samych wniosków. Dotknął czoła Minucjusza i cmoknął.

— Na tej gorączce można by ugotować mięso. Cóż, zobaczymy, co ten szarlatan zrobi dla niego. Biedny bękart nie może nawet utrzymać w sobie wody, więc makowy sok też by mu nic nie dał. Przy tej czarnej żółci, którą rzyga, zostało mu najwyżej kilka bolesnych dni.

Ranny żołnierz zwrócił głowę w kierunku, z którego dochodził głos Greka. Był wielkim, potężnie zbudowanym mężczyzną, lecz jego rysy przybrały pełen lęku, oszołomiony wyraz, który Marek nauczył się rozpoznawać jako minę człowieka, który wie, że umrze.

Jeśli chodzi o videssańskiego kapłana, wszyscy Rzymianie oprócz Minucjusza mogliby zniknąć. Kapłan rozsunął cuchnące bandaże i wsparł ręce na rozerwanym brzuchu legionisty, po jednej z obu stron rany. Skaurus spodziewał się, że Minucjusz krzyknie pod wpływem nagłego ucisku, lecz legionista milczał. Zamiast tego przestał wić się w męce i legł na noszach bez ruchu. Jego powieki opadły.

— To już coś, w każdym razie — rzekł Marek. — On...

— Cicho! — przerwał mu Gorgidas. Obserwował twarz kapłana, widział malującą się na niej głęboką koncentrację.

— Uważaj, jak zwracasz się do trybuna — ostrzegł go Gajusz Filipus, lecz bez przekonania; nie mając swego miejsca w całym łańcuchu dowodzenia, Gorgidas cieszył się większą swobodą niż prosty żołnierz.

— W porządku — zaczął Skaurus. Potem przerwał z własnej woli, a jego ramiona pokryły się gęsią skórą. Doznał tego samego wrażenia wkraczania w nieznaną, jakie czuł, kiedy jego ostrze zetknęło się z ostrzem Viridoviksa. Ta myśl kazała mu wysunąć miecz z pochwy. I rzeczywiście, druidyczne runy jarzyły się; nie tak oślepiająco jak wówczas, lecz łagodnym, żółtym światłem.

Kiedy myślał o tym później uznał, że ta magia musiała być słabsza od tej, która przeniosła ich do Videssos, i że on znalazł się bardziej na jej skraju niż w centrum. W każdym razie mógł wyczuć energię przechodzącą od kapłana do Minucjusza. Cichy gwizd Gajusza Filipusa powiedział mu, że starszy centurion również to spostrzegł.

— Potok zdrowia — szepnął Gorgidas. Mówił do siebie, lecz jego słowa lepiej nazywały to, co robił kapłan, niż wszystko, co mógł zaproponować Marek. Tak jak i nazywanie dziwnych tutejszych gwiazd — pomyślał — była to tylko etykieta do przyklejenia na niepojęte.

Videssańczyk cofnął ręce. Twarz miał bladą; spływały po niej krople potu, niknąc w brodzie.

Minucjusz otworzył oczy. — Jestem głodny — odezwał się rzeczowym tonem.

Gorgidas rzucił się na niego, jak wilk na jagnię. Rozerwał bandażę, które kapłan rozsunął. To, co zobaczyli sprawiło, że oniemiał, a Skaurus i Gajusz Filipus zdusili jęk. Wielka blizna po lewej stronie pępka Minucjusza była biała i pomarszczona, jak gdyby znajdowała się tam od pięciu lat.

— Jestem głodny — powtórzył legionista.

— Och, zamknij się — rzekł Gorgidas. Był zły, nie na Minucjusza, lecz na świat. To, czego właśnie był świadkiem, rozbiło w puch jego racjonalne, cyniczne podejście, jakie próbował stosować do wszelkich zjawisk otaczającego go świata. Zwycięstwo magii tam, gdzie bez wątpienia zawiodły cała jego wiedza i największy wysiłek, pozostawiło go zmieszonym, wściekłym i pełnym nabożnej czci, do której nie chciał się przyznać nawet przed samym sobą.

Przebywał jednak z Rzymianami wystarczająco długo, by nauczyć się, że tym, co się liczy, jest wynik. Porwał kapłana za ramię i pociągnął go do drugiego śmiertelnie rannego żołnierza — ten miał ranę piersi i przebite płuco.

Videssańczyk nacisnął dłońmi pierś legionisty. I znowu Marek i jego towarzysze wyczuli leczniczy prąd przechodzący od kapłana do Rzymianina, lecz tym razem kontakt trwał o wiele dłużej, nim Videssańczyk w końcu się odsunął. Gdy to zrobił, żołnierz poruszył się i usiłował wstać. Kiedy Gorgidas zbadał jego ranę, okazało się, że jest taka sama, jak rana Minucjusza: straszliwa blizna, lecz najwyraźniej od dawna już zagojona. Gorgidas dreptał w miejscu w męce zawodu.

— Na Asklepiosa, muszę nauczyć się języka, żeby dowiedzieć się, jak on to robi! — Wyglądał, jak gdyby chciał wydusić odpowiedź z kapłana; nawet rozpalonym żelazem, jeśli będzie musiał.

Zamiast tego chwycił Videssańczyka i powlókł go do kolejnego rannego legionisty. Tym razem kapłan próbował się cofnąć. — On umiera, draniu! — krzyknął. Zawołał w swej ojczystej grece, lecz kiedy wskazał na żołnierza, kapłan musiał go zrozumieć.

Westchnął, wzruszył ramionami i pochylił się. Kiedy wepchnął ręce pod bandażę Rzymianina, zaczął dygotać, jak gdyby w ataku malarii. Marek doznał wrażenia, że zaczyna się uzdrawiająca magia, lecz nim zdołał się upewnić, kapłan przewrócił się i zemdlął.

— Och, zaraza! — zaskowyczał Gorgidas. Pobiegł po drugiego mężczyznę ubranego w niebieskie szaty i, nie zważając na jego protesty, zaciągnął go do rannych żołnierzy. Ten kapłan tylko wzruszył ramionami i z ubolewaniem rozłożył ręce. W końcu Gorgidas zrozumiał, że ten nie jest uzdrowicielem. Zaklął i cofnął nogę, jakby mając zamiar kopniakiem zbudzić nieprzytomnego kapłana.

Gajusz Filipus pochwycił go.

— Straciłeś rozum? Uzdrowił dwóch, o których nigdy nie pomyślałbyś, że są do uratowania. Bądź wdzięczny za to, co masz i spójrz też na tego nieszczęśnika. Tyle zostało w nim sił, co wina w pustym dzbanie.

— Dwóch? — Gorgidas próbował bez powodzenia

wyswobodzić się z żelaznego uścisku weterana. — Chcę, żeby uzdrowił ich wszystkich!

— Ja też chcę — rzekł Gajusz Filipus. — Ja też. To dobrzy chłopcy i zasługują na coś lepszego, niż to paskudne umieranie, które sobie sprawili. Zabijesz tego kapłana, jeśli będziesz naciskał go dalej, a wówczas w ogóle nie będzie mógł się nimi zająć. A jeśli wypocznie, może wróci tutaj jutro.

— Niektórzy umrą do tego czasu — odpowiedział Gorgidas, lecz już mniej zapalczywie; starszy centurion, jak zwykle, okazał zdrowy rozsądek, który musiał zwyciężyć.

Gajusz Filipus odszedł nadzorować rozbijanie obozu na noc. Marek i Gorgidas pozostali przy kapłanie, dopóki parę minut później nie ocknął się i niepewnie powstał na nogi.

Trybun skłonił się przed nim niżej niż przed Vourtzesem. Było to aż nadto stosowne. Jak dotąd, kapłan zrobił dla Rzymian więcej niż Vourtzes.

Tego dnia wieczorem Skaurus zebrał niektórych ze swoich oficerów, by przedyskutować to, co legioniści powinni robić dalej. Po namyśle, do Gajusza Filipusa, Kwintusa Glabrio, Juniusza Blisusa i Adiatuna Iberyjczyka dołączył też Gorgidas. Kiedy do namiotu wszedł Viridoviks, nie przepędził go — chciał mieć tyle rozmaitych punktów widzenia, ile tylko było możliwe.

W Galii, mając za sobą całą potęgę Rzymu, podjąłby decyzję sam, a potem przekazał ją swoim ludziom. Zastanawiał się, czy nie osłabi swego autorytetu, omawiając teraz sprawy z nimi. Nie, zdecydował — ta sytuacja zbyt daleko odbiegała od zwykłej, wojskowej rutyny, by można było potraktować ją normalnie. Rzymianie byli republikanami; bardziej liczyło się głosowanie niż sam dowódca.

Blisus od razu przeszedł do rzeczy.

— Nie podoba mi się, panie, naprawdę nie podoba, że mamy najać się barbarzyńskiemu królowi. Kim my jesteśmy, jakimiś Fartami?

Gajusz Filipus pomrukiem wyraził swoje poparcie. To samo uczynił Viridoviks; dla niego nawet Rzymianie zbyt ślepo słuchali swych przywódców. On i starszy centurion spojrzeli na siebie z zaskoczeniem. Żaden z nich nie wydawał się zadowolony, że myśli podobnie jak drugi. Marek uśmiechnął się.

— Czy zauważyliście, w jaki sposób patrzył na nas ten miejscowy dostojnik? — wtrącił Kwintus Glabrio. — Dla niego *my* jesteśmy barbarzyńcami.

— Też to zauważyłem — powiedział Skaurus. — Nie spodobało mi się to.

— Mogą mieć rację. — To był Gorgidas. — Sekstus Minucjusz też by wam to powiedział. Widziałem go przed jego namiotem, siedzącego i cerującego tunikę. Kimkolwiek są ci Videssańczycy, wiedzą rzeczy, o których my nie mamy pojęcia.

— Zauważyliśmy to już z Gajuszem Filipusem — powiedział Marek i w paru słowach opisał

strzemiona oraz podkowy wierzchowca Tzimiskesa. Glabrio skinął głową; on spostrzegł to również. Tak samo Viridoviks, który zwracał szczególną uwagę na wszystko, co miało jakikolwiek związek z wojną. Blisus i Adiatun wyglądali na zaskoczonych.

— Oczywiście, zupełnie innym problemem jest to, co się z nami stanie, jeśli nie dołączymy do Videssańczyków — rzekł Glabrio.

Młodszy centurion ma szczególny dar trafiania w samo sedno rzeczy — pomyślał Skaurus.

— Nie moglibyśmy pozostać pod bronią; nie tutaj, w samym sercu ich kraju — rzekł Gajusz Filipus, niechętnie kiwając głową. — Jestem za stary, by mogło mnie cieszyć życie rozbójnika, a najwyżej na to moglibyśmy mieć nadzieję, próbując pozostać tutaj samodzielny. Jest nas zbyt mało, by podbić ten kraj.

— A jeśli złożymy broń, mogą załatwić się z nami po trochu, zrobić z nas niewolników, czy to, co zwykle robią z obcych — rzekł Marek. — Razem mamy siłę, ale osobno — żadnej.

Od czasu spotkania z Tzimiskesem próbował znaleźć lepsze rozwiązanie niż służba zaciężna, ale nie udało mu się. Miał nadzieję, że inni dostrzegą coś, co jemu umknęło, jednak wybór służby na-
jemnej wydawał się teraz nieunikniony.

— Mamy szczęście, że najmują żołnierzy — powiedział Adiatun. — W przeciwnym razie mielibyśmy ich już na karku. — Jako obcokrajowiec służący w wojskach sprzymierzonych, praktycznie był najemnikiem; przed zwolnieniem ze służby nie uzyskiwałoby obywatelstwa rzymskiego. Nie wydawał się zbyt zaniepokojony perspektywą otrzymania zamiast tego statusu Videssańczyka.

— Wszystkie te założenia przestaną mieć jakiegokolwiek znaczenie, jeśli dowiemy się, gdzie leży Rzym — powiedział Gajusz Filipus. Wszyscy skinęli głowami, lecz z tak nikłą nadzieją i ożywieniem, że jeszcze kilka dni wcześniej Skaurus uznałby to za niemożliwe. Widok obcych gwiazd, noc po nocy pojawiających się na niebie, przypominał mu boleśnie o tym, jak daleko od domu znaleźli się legionie. Uzdrowiająca magia videssańskiego kapłana wstrząsnęła nim jeszcze bardziej; tak jak Gorgidas, trybun wiedział, że żaden Grek ani Rzymianin nie zdołałby jej dorównać.

Ostatni z namiotu Skaurusa wychodził Gajusz Filipus. Oddał trybunowi salut prosto z placu ćwiczeń.

— Najlepiej zrobisz, przyzwyczajając się do tego — powiedział i zachichotał na widok oszołomienia, jakie pojawiło się na twarzy Marka. — Ostatecznie, ty jesteś teraz Cezarem.

Zaskoczony Marek wybuchnął śmiechem, lecz gdy wpelził do swego śpiwora uświadomił sobie, że starszy centurion miał rację. W rzeczy samej, Gajusz Filipus określił to właściwie. Nawet Cezar nigdy nie rozkazywał wszystkim Rzymianom, jacy żyli na świecie. Ta myśl była wystarczająco przygnębiająca, by nie dać mu zasnąć przez pół nocy.

Rynek poza murami Imbros założono w przeciągu paru następnych dni. Jakość towarów i

produktów, jakie oferowała miejscowa ludność, była wysoka, ceny zaś umiarkowane. To sprawiło, że Marek odetchnął z ulgą, bowiem przed wyruszeniem w ostatnią, nieszczęsną misję, jego ludzie znaczną część swego majątku pozostawili u bankierów legionu.

Z drugiej strony, Rzymianie nie byli jeszcze oficjalnie na służbie Videssos. Vourtzes oświadczył, że załatwi to najszybciej, jak tylko będzie mógł. Wysłał posłańca na południe, do stolicy, z wiadomością o ich przybyciu. Skaurus zauważył, że Proklos Mouzalon zniknął mniej więcej w tym samym czasie. Roztropnie nie wspominał o tym Tzimiskesowi, który ku niezadowoleniu Vourtzesza pozostał z Rzymianami jako nieoficjalny łącznik. Frakcja przeciwko frakcji...

Misja Mouzalona musiała zakończyć się powodzeniem, bowiem imperialny pełnomocnik, który przybył do Imbros dziesięć dni później, by dokonać inspekcji dziwnych oddziałów, nie był człowiekiem, który uradowałby serce Vourtzesza. Nie był biurokratą, lecz doświadczonym wojownikiem, którego rzeczowa fachowość i niecierpliwość, przy jednoczesnej pogardzie dla jakiegokolwiek etykiety, przypominały Markowi Gajusza Filipusa.

Pełnomocnik, który nazywał się Nephon Khoumnos, przeszedł przez czasowy obóz, który Rzymianie rozbili przed murami Imbros. Nie miał innych słów oprócz podziwu dla wspaniałego porządku, schludności i wyraźnej dbałości o sprawy higieny. Kiedy skończył inspekcję, rzekł do Marka:

— Piekło z lodu, człowieku, skąd wyście się wzięli? Na żołnierskim fachu znacie się może nawet lepiej od nas. Jesteście ludem, którego nigdy przedtem nie widzieliśmy i wygląda na to, że zjawiliście się w środku Imperium nie przekraczając jego granic. Jak to się stało?

Skaurus i jego oficerowie spędzali każdą wolną chwilę ucząc się videssańskiego — od Tzimiskesa, pisarzy Vourtzesza i kapłanów, którzy wydawali się zaskoczeni z jednej strony tym, że trybun chce się nauczyć czytać, z drugiej zaś, że tak szybko nauczył się pisanego języka. Po opanowaniu tak rzymskiego, jak i greckiego alfabetu, jeszcze jedno pismo nie było dlań niczym strasznym. O wiele większe trudności miał z rozmową. Mimo wszystko, zaczynał już rozumieć.

Miał jednak niewielką nadzieję, że zdoła wytłumaczyć, w jaki sposób znalazł się tutaj, a jeszcze mniejszą, że pełnomocnik mu uwierzy. Jednak polubił Khoumnosa i nie chciał go okłamywać. Przy pomocy Tzimiskesa wyjaśnił to najlepiej jak potrafił i czekał, by na twarzy oficera pojawił się wyraz niedowierzania.

Wcale się nie pojawił. Khoumnos pociągnął za znak słońca na swojej piersi.

— Phos! — mruknął, wymawiając imię boga swego ludu. — To wielka magia, przyjacielu Rzymianinie; musicie być narodem potężnych czarodziei.

Zaskoczony, że nie został wyśmiany, Marek musiał zaprzeczyć. Khoumnos mrugnął do niego konspiracyjnie.

— Zatem niech to zostanie twoją tajemnicą. Ten tłusty próżniak Vourtzes potraktuje cię lepiej,

jeśli będzie myślał, że możesz zmienić go w żabę, gdyby stanął ci na drodze.

— Myślę, obcy przybyszu— mówił dalej— że w Gwardii Imperatora mogłoby znaleźć się miejsce dla takich jak wy. Może zdołacie nauczyć Halogajczyków — tak nazywali się jasnowłosi mieszkańcy północy, z których składała się gwardia honorowa Vourtzesa i, najwyraźniej, również znaczna część Gwardii Imperatora — że żołnierka polega na czymś więcej niż tylko na dzikiej szarży na wszystko, co ci się nie spodobało. I powiem ci wprost: z uwagi na tych przeklętych Yezda — oby Skotos porwał ich do piekła! — wysysających krew z naszych zachodnich prowincji, naprawdę potrzebujemy ludzi.

Khoumnos uniósł wzrok, spoglądając na północ. Gromadziły się tam brudnoszare chmury, zwiastuny nadchodzących zimowych burz. Potarł szczękę.

— Czy odpowiadałoby wam poczekać do wiosny, nim przybędziecie do miasta? — zapytał Marka. Lekki nacisk położony na słowie „miasto” dał Skaurusowi do zrozumienia, że miał na myśli samą stolicę Videssos. — To da nam czas, by w pełni przygotować się na wasze przyjęcie...

Czas, by przygotować podłoże polityczne, zrozumiał go Marek. Propozycja Khoumnosa odpowiadała mu i powiedział to. Spokojna zima w Imbros pozwoliłaby jego ludziom odzyskać pełnię sił i sprawności oraz nauczyć się miejscowych zwyczajów i języka bez presji, której musieliby stawić czoło w stolicy. Rozstali się z Khoumnosem w najlepszych stosunkach.

Rhadenos Vourtzes, jak zauważył Marek, przez kilka następnych dni był niezwykle uprzejmy i pomocny. Był też dość niespokojny i przebywając z Rzymianami bez przerwy oglądał się przez ramię. Skaurus jeszcze bardziej polubił Nephona Khoumnosa.

Jesienne deszcze zaczęły się zaledwie kilka dni po zebraniu z pól ostatnich zbiorów. Z północy nadciągała z łoskotem jedna burza za drugą, zrywając ostatnie liście z drzew, zmieniając każdą drogę i ścieżkę w nieprzebyte koryto błota i wydobywając na światło dzienne wszystkie niedoróbki pospiesznej stolarki Rzymian. Legioniści przeklinali, ociekali wodą i przybijali łaty. Szorowali broje, narzędzia i broń, usuwając z nich nieustannie pojawiającą się na nowo rdzę.

Kiedy nadeszły prawdziwe chłody, błotnista ziemia zamarzała na kamień, po to tylko, by zostać pokrytą kobiercem śniegu tworzącego zaspę, w których człowiek mógł zapaść się z głową. Marek zaczął rozumieć, dlaczego w klimacie takim jak ten, togi przywdziewano na uroczystości, a spodnie noszono na co dzień. Sam zaczął je nosić.

Przy tak mroźnej pogodzie musztra stała się czymś upragnionym, pozwalając rozgrzać zmarznięte kości, i nikt jej nie unikał. Rzymianie ćwiczyli, kiedy tylko mogli. Gajusz Filipus nie pozwalał im odetchnąć. Z wyjątkiem najgwałtowniejszych zamieci, każdego tygodnia odbywali dwudziestomilowe marsze. Starszy centurion należał do najstarszych legionistów, lecz przedzierał się przez śnieg jak młodzieniec.

Pilnował też, by Rzymianie mieli zajęcie w obozie. Gdy tylko nauczył się videssańskiego na tyle,

by móc otrzymać to, czego potrzebował, nakłonił miejscowych, by zrobili podwójnie obciążone wiklinowe tarcze i drewniane miecze ćwiczebne dla legionistów. Ustawił manekiny, na których nieustannie ćwiczyli pchnięcia. Starając się podtrzymać w swoich ludziach ochotę do ćwiczeń i zainteresowania, odkomenderował nawet Adiatuna, by nauczył ich podstawowych zagadnień procarstwa.

Jedynym tradycyjnym ćwiczeniem legionistów, od którego ich zwolnił, było pływanie. Nawet on, przy całej swej twardości, wzdragał się poddać swoich ludzi zetknięciu z lodowatą wodą w zamrzniętych potokach i stawach.

Legioniści walczyli w pozorowanych potyczkach, używając drewnianych mieczy i dzid z zawiniętymi ostrzami. Początkowo występowali jedynie przeciwko sobie. Później mierzyli się z Halogajczykami, którzy w liczbie około dwustu ludzi tworzyli zwykły garnizon Imbros.

Wysocy mieszkańcy pomocy byli zręcznymi żołnierzami, czego należało się spodziewać po ich fachu najemników. Lecz, tak jak Galowie, walczyli pojedynczo lub klanami, nie zaś w zdyscyplinowanych szeregach. Jeśli pierwszym szturmem zdołali przerwać linię Rzymian, nic ich nie mogło powstrzymać, lecz o wiele częściej duże tarcze legionistów i kłujące oszczepy powstrzymywały ich do chwili, aż się zmęczeni i Rzymianie mogli przeprowadzić atak.

Podczas ćwiczeń Marek uważał, by nigdy nie skrzyżować miecza z Viridoviksem w obawie, by oni oraz wszyscy wokół nie zostali znowu gdzieś przeniesieni przez czary zaklęte w mieczach. Jego własny oręż wydawał się absolutnie zwyczajną bronią, kiedy ćwiczył ze swoimi towarzyszami legionistami. Lecz kiedy walczył przeciwko żołnierzom z garnizonu, zostawiał za sobą taką ścieżkę potrzaskanych tarcz i porozrywanych kolczug, że zdobył sobie opinię człowieka o nadludzkiej sile. To samo, jak zauważył, mówiono o Viridoviksie.

Dowódcą garnizonu był jednooki olbrzym, na którego wołano Skapti, syn Modolfa. Halogajczyk nie był młody, lecz włosy miał tak jasne, że trudno było stwierdzić, czy srebro przeziera przez złoto. Zachowywał się dość przyjacielsko, jak każdy wojownik z krwi i kości zainteresowany sposobem walki przybyszów, ale zawsze udawało mu się zdenerwować Skaurusa. Ze swoimi długimi, ponurymi rysami twarzy, burkliwym głosem i umysłem skoncentrowanym jedynie na sztuce walki, aż za bardzo przypominał Rzymianinowi wilka.

Viridoviks jednakże polubił Halogajczyków.

— To ponurzy chłopcy — przyznał — i zbyt lubiący śmierć, jak na mój gust, ale walczą jak ludzie i znacznie się ożywiają, kiedy łykną kropelkę wina.

To akurat, jak kilka dni później stwierdził Marek, było lekkim niedomówieniem. Po pijaństwie trwającym dzień i większą część nocy, Gal i pół tuzina najemników z pomocy dali pokaz wspaniałej bójki, która znacznie uszkodziła gospodę, gdzie miała miejsce, oraz większość uczestników.

Jednym z następstw tej bójki była wizyta Vourtzesa w obozie Rzymian. Marek nieczęsto widywał go ostatnio i tej okazji też by się wyrzekł, lecz dowiedział się, że *hypasteos* chce, by zapłacił za

wszystkie zniszczenia, do jakich doszło w gospodzie. Zirytowany wykazał, że trudno obciążać go wszystkimi kosztami, kiedy za zniszczenia, wspólnie z sześcioma czy siedmioma żołnierzami znajdującymi się pod jurysdykcją *hypasteosa*, odpowiedzialny jest tylko jeden jego człowiek. Vourtzes nie upierał się dalej, ale Marek wiedział, że nie jest szczęśliwy.

— Może powinienes załatwić to polubownie i zaoszczędzić sobie kłopotów — powiedział Gorgidas. — O ile znam naszego celtyckiego przyjaciela, to jego udział w tej awanturze był większy niż pozostałych.

— Wcale by mnie to nie zaskoczyło. Vourtzes należy jednak do ludzi, którzy wytoczą z człowieka krew do ostatniej kropli, jeśli im tylko na to pozwolić. Zastanawiam się — zadumał się Marek — jak wyglądałby jako żaba.

Tak jak i cała reszta Imperium Videssos, również Imbros świętowało zimowe przesilenie i ponowną wędrówkę słońca ku północy. Modlitwy przeznaczone właśnie na tę okoliczność wznosiły się ze świątyń ku niebu. Na rogach ulic płonęły ogniska; mieszkańcy miasta skakali przez nie na szczęście. Rozegrano tłumny, zgiełkliwy mecz hokeja na zamrożonym stawie. Upadki i poślizgi na lodzie wydawały się tak samo częścią gry, jak próby przepchnięcia kuli przez bramkę.

W głównym teatrze Imbros wystąpiła trupa mimów. Marek zobaczył, że wcale nie jest jedynym Rzymianinem na widowni. Bardzo podobne przedstawienia jego ludzie oglądali w Italii i fakt, że nie miały dialogów, tym bardziej ułatwiał przybyszom ich zrozumienie.

Przekupnie chodzili w górę i w dół przejściami, zachwalając swoje towary: przynoszące szczęście amulety, małe pieczone ptaszki, gorące korzenne wino sprzedawane w kubkach, kule piany słodzonej syropami i wiele innych rzeczy.

Krótkie skecze następowały szybko jeden po drugim i dotyczyły aktualnych, miejscowych spraw; dwa szczególnie utkwiły w pamięci Skaurusa. Pierwszy przedstawiał imponującego mężczyznę w złotej todze — Imperatora Mavrikiosa, jak wkrótce zrozumiał trybun — jako wieśniaka usiłującego powstrzymać niezdarnego koczownika przed ucieczką z jego owcami. Zadanie Imperatora — wieśniaka byłoby o wiele łatwiejsze, gdyby nie miał tchórzliwego syna, przyczepionego do jego ramienia i opóźniającego każdy jego ruch, tłustego syna w todze z czerwonego brokatu...

Drugi skecz był jeszcze mniej subtelny. Dotyczył zniszczenia samego Imbros, dokonanego w całkowicie mimowolny i niezłośliwy sposób przez wysokiego, chudego mężczyznę, który nosił czerwoną perukę i miał ogromne, ogniste wąsy przyklejone nad górną wargą. Viridoviks był na widowni. — To wcale tak nie było, wcale! — krzyknął do aktora na scenie, lecz śmiał się tak głośno jak wszyscy wokół niego.

Przekupnie handlujący jedzeniem i piciem nie byli jedynymi sprzedawcami krążącymi wśród tłumu. Choć gołe ciało narażone było na odmrożenia, to jednak na wpół obnażone kobiety lekkich obyczajów wcale nierzadko wpadały w oko. Makijaż, postawa i zachowanie nie pozostawiały wąt-

pliwości co do ich zawodu. Marek zwrócił uwagę na ciemnowłosą piękność w kaftaniku z owczej skóry i obcisłej, zielonej sukni. Odwzajemniła jego uśmiech i zaczęła przeciskać się przez tłum w jego stronę, wciągając brzuch pomiędzy parą pulchnych piekarzy.

Była zaledwie kilka stóp od Skaurusa, kiedy nagle skręciła i ruszyła w innym kierunku. Zmieszany, miał właśnie podążyć za nią, kiedy poczuł rękę na swoim ramieniu. Za nim stał ów kanciasty kapłan, który błogosławił i leczył Rzymian w dniu ich przybycia do Imbros.

— Niezła zabawa — powiedział. Skaurus myślał o lepszej, ale nie wspomniał o tym. Kapłan był ważną figurą w mieście. Mężczyzna mówił dalej: — Chyba nie pomyłę się powiedziawszy, że nie widziałem ciebie ani twoich ludzi w naszych świątyniach. Przybyliście z daleka i nie mogliście znać naszej wiary. Teraz, kiedy nauczyłeś się już nieco naszego języka i naszych zwyczajów, czy nie zechciałbyś omówić ze mną tej sprawy?

— Oczywiście, z przyjemnością — skłamał Marek. Dręczyło go parę problemów, kiedy szedł z hierarchą mroźnymi, krętymi ulicami Imbros w stronę głównej świątyni. Po pierwsze, nie miał najmniejszej ochoty na teologiczną debatę. Jak wielu Rzymian, deklarował oddawanie czci bogom, ale w głębi serca nie bardzo w nich wierzył. Videssańczycy o wiele poważniej traktowali swój kult i znacznie surowiej obchodzili się z tymi, którzy w nim nie uczestniczyli.

Jego drugi problem był jeszcze bardziej palący; za nic w świecie nie mógł przypomnieć sobie imienia swego towarzysza. Przez całą drogę do bramy sanktuarium Phosa unikał potrzeby jego wymawiania, równocześnie na próżno przeszukując swoją pamięć.

Słodki aromat kadzidła i czyste tony chóru powitały ich w wejściu. Skaurus był tak oszołomiony, że ledwie zauważył kłeryka, który pokłonił się, kiedy do środka wszedł jego duchowy przełożony. Potem młody kapłan wymruczał:

— Phos z tobą, opacie Apsimar, oraz z tobą, obcy przyjacielu. — Serdeczność i wdzięczność, jakie Marek włożył w kłaśnięcie rękoma sprawiły, że drobny mężczyzna z ogoloną głową zamrugał z zakłopotaniem.

Kolisty plac świątyni otaczała kolumnada; w jego jasno oświetlonym centrum kapłani odprawiali rytualne obrzędy przed ołtarzem Phosa i kierowali wiernymi w ich modlitwach. Apsimar pozostał w półmroku poza kolumnadą. Poprowadził Marka wzdłuż trzeciego kręgu kolumnady, zatrzymując się przed zawile rzeźbionymi z ciemnego, gęsto prążkowanego słojami drewna. Wydobywszy długi na palec żelazny klucz z woreczka przy pasie, otworzył ze szczękiem drzwi i odsunął się na bok, by przepuścić przed sobą Rzymianina.

Małą komnatę wypełniał niemal smolisty mrok, dopóki Apsimar nie zapalił świeczki. Wówczas Marek zobaczył wszędzie chaos tomów, choć większość z nich nie miała postaci długich zwojów, do których przywykł, lecz na videssańską modłę miała formę książek z małymi, prostokątnymi kartkami spiętymi razem w okładkach z drewna, metalu albo skóry. Zastanowił się, w jaki sposób

Apsimar, czytając przy świeczce, cokolwiek jeszcze widział w swoim wieku, choć kapłan nie zdradzał żadnych oznak, że ma kłopoty ze wzrokiem.

Ściany komnaty wypełnione były religijnymi obrazami, tak jak półki — książkami. Przeważał na nich temat walki; tutaj wojownik w zbroi, która lśniła złotą blachą, powalał swego przeciwnika w kolczudze czarnej jak noc; tam ta sama obleczona w złoto postać wbijała dzidę w serce ryczącej czarnej pantery; gdzie indziej gorejąca kula słońca rozpraszała mrok mętnego, czarnego jak sadza zwału mgły.

Apsimar usiadł na twardym, prostym krześle za swoim zawalonym biurkiem, gestem wskazując Skaurusowi wygodniejsze, stojące przed biurkiem krzesło. Kapłan pochylił się naprzód. — Opowiedz mi zatem co nieco o swoich wierzeniach — powiedział.

Nie mając pewności od czego zacząć, Rzymianin wymienił imiona niektórych bogów czczonych przez jego rodaków i ich atrybuty: Jowisz — król niebios, jego małżonka — Juno, jego brat — Neptun, który władał morzami, Wulkan — boski kowal, bóg wojny — Mars, Ceres — bogini płodności i rolnictwa...

Po każdym kolejnym imieniu i opisie szczupła twarz Apsimara wydłużała się coraz bardziej. W końcu nie wytrzymał i walnął rękoma w biurko. Marek zamilkł, zaskoczony.

Apsimar potrząsnął z przerażeniem głową.

— Jeszcze jeden śmieszny panteon — zawołał — nie lepszy niż ten niewiarygodny zestaw bożków— mieszańców, których czczą Halogajczycy! Miałem o tobie lepsze zdanie, Rzymianinie; ty i twoi żołnierze sprawiacie wrażenie cywilizowanych ludzi, a nie barbarzyńców, których jedyną radością w życiu jest rzeź.

Marek nie wszystko z tego zrozumiał, lecz najwyraźniej Apsimar nie miał pochlebnego zdania o jego religijnych przekonaniach. Zastanowił się przez chwilę. Z jego punktu widzenia stoicyzm był filozofią, nie religią, lecz może jego zasady zadowolą Apsimara bardziej niż dogmaty kultu olimpijskiego. Przedstawił więc jego elementy duchowe: dążenie do czystości, hartu i samokontroli oraz odrzucenie burz namiętności, na które podatni są wszyscy ludzie.

Dalej opisał, dlaczego stoicy uważają, że Umysł, ze wszystkich znanych żywiołów najlepiej można porównać z Ogniem — oba bowiem tworzą i zawierają w sobie wszechświat wraz z rozmaitymi jego aspektami.

Apsimar skinął głową.

— Zarówno w swych wartościach, jak i ideach, jest to lepsze wyznanie, i bardziej zbliżone do prawdy. Teraz wyjawię ci prawdę.

Trybun przygotował się na krótki kurs chwały boskiego słońca, wyrzucając sobie, że nie wspominał o Appolinie. Lecz „prawda”, tak jak widział ją Apsimar, nie miała nic wspólnego z kultem słońca.

Videssańcy, jak dowiedział się Marek, postrzegali wszechświat oraz wszystko, co się w nim mieściło, jako walkę pomiędzy dwoma bóstwami: Phosem, którego natura uosabiała dobro, a złym Skotosem. Odpowiednio, światło i ciemność były ich manifestacjami.

— Stąd właśnie kula słońca, która wieńczy nasze świątynie — powiedział Apsimar — bowiem słońce jest najpotężniejszym źródłem światła. Jednak jest to tylko symbol, ponieważ Phos przewyższa jego blask tak samo, jak ono zaćmiewa płomyk tej świecy, która stoi pomiędzy nami.

Phos i Skotos toczyli wojnę nie tylko w widzialnym świecie, lecz również w duszy każdego człowieka. Każda jednostka musi wybierać, któremu z nich chce służyć, i od tego wyboru zależy jej los w świecie, w którym się znajdzie po śmierci. Ci, którzy wybrali dobro, zdobędą po śmierci życie pełne rozkoszy, podczas gdy niegodziwi wpadną w szpony Skotosa, by cierpieć wieczne męki w jego lodowatych uściskach.

Jednak nawet wieczne szczęście tych dusz, które na to zasłużyły, może być zagrożone, gdyby na tym świecie Skotos zwyciężył Phosa. Opinie o możliwości tego panują różne. Dominująca w Imperium Videssos wiara wyraża przekonanie, że z ostatecznego starcia wyjdzie zwycięsko Phos. Jednakże inne sekty nie są tego tak pewne.

— Wiem, że macie udać się do miasta — powiedział Apsimar. — Tam na wschodzie spotkasz wielu ludzi; nie daj posłuchu głoszonym przez nich herezjom. — Wyjaśnił, że jakieś osiem stuleci wcześniej barbarzyńscy koczownicy znani jako Khamorthci najechali tereny stanowiące wschodnie prowincje Imperium. Po dziesięcioleciach wojen, zniszczeń i morderstw z chaosu wyłoniły się dwa dość stabilne organizmy państwowe Khamorth, Khatrish i Thatagush, podczas gdy w leżącym na północ od nich Królestwie Agderu wciąż panowała dynastia mająca w swych żyłach videssańską krew.

Jednakże wstrząs najazdów sprawił, że wszystkie te kraje pograżyły się w tym, co Videssos nazywa herezją. Ich teologowie, pamiętając długą noc zniszczeń, jaką przeszły ich kraje, nie uważali już zwycięstwa Phosa za nieuniknione, lecz twierdzili, że walka pomiędzy dobrem a złem znajduje się w absolutnej równowadze.

— Utrzymują, że ta doktryna pozwala człowiekowi w większym zakresie kierować się wolną wolą — prychnął pogardliwie Apsimar. — W rzeczywistości, umożliwia tylko uznanie Skotosa za równego Phosowi, i w konsekwencji, oddawanie mu czci. A czy ten cel wart jest zachodu?

Nie dał Markowi szansy na odpowiedź, przechodząc do opisu subtelniejszych odchyień od kanonów wiary, do jakich w ciągu paru minionych stuleci doszło na wyspie Księstwa Namdalen. Namdalen uniknęło dominacji Khamorthu, lecz zamiast tego uległo, o wiele później, piratom z kraju Haloga, którzy zazdroszcząc Videssańczykom ich stylu życia, we wszystkim go naśladowali, nawet wówczas, kiedy wyrwali im ich kraj.

— Ci głupcy szukali kompromisu pomiędzy naszymi zapatrywaniami a chorobliwymi wyobra-

zeniami, które zwyciężyły na wschodzie. Nie chcą uznać zwycięstwa Phosa za pewnik, jednak utrzymują, że wszyscy ludzie powinni działać tak, jak gdyby czuli, że jest zapewnione. Czy coś takiego jest teologią? To raczej hipokryzja w religijnym przebraniu!

Z bezlitosną logiką wynikało z tego, że jeśli jakikolwiek błąd w wierze daje siłę Skotosowi, ci, którzy zboczyli ze ścieżki prawdziwej wiary — co mogło się zdarzyć zawsze i wszędzie — mogli i powinni być nawróceni, i to siłą, jeśli zajdzie potrzeba. Przyzwyczajony do powszechnej tolerancji i w rzeczywistości lekceważący rozmaite wyznania, z jakimi spotkał się w Rzymie, Marek stwierdził, że koncepcja takiej wojującej religii wzbudza w nim niepokój.

Po omówieniu głównych odmian własnej wiary, Apsimar opowiedział krótko i pobieżnie o innych wyznaniach znanych Videssańczykom. O wierzeniach koczowników Khamorthu — wciąż zamieszkujących równiny Pardraji — im mniej się mówiło, tym lepiej. Słuchali szamanów i byli niewiele więcej niż czcicielami demonów. A ich kuzyni, którzy żyli w Yezd, byli jeszcze gorsi; odprawiano tam straszliwe obrzędy, otwarcie oddając cześć Skotosowi.

Wziąwszy wszystko razem, Halogajczycy byli prawdopodobnie najlepszymi z pogan. Nawet jeśli niesłuszne, ich wierzenia zbliżały ich do Phosa, bowiem sprzyjały odwadze i sprawiedliwości.

— Tych cech mają pod dostatkiem — przyznał Apsimar — lecz kosztem duchowego światła, które spływa tylko na tych, którzy czczą Phosa.

Potok dziwnych nazw, miejsc i idei sprawił, że Markowi zakręciło się w głowie. By zyskać chwilę czasu potrzebną na dojście do siebie, zapytał Apsimara:

— Czy masz jakąś mapę, bym mógł zobaczyć, gdzie żyją te wszystkie ludy, o których wspomniałeś?

— Oczywiście — odparł kapłan. Tak jak swoją teologiczną dyskusją, tak i teraz dał Skaurusowi więcej, niż trybun się spodziewał. Apsimar skinął ręką w stronę jednej z napelnionych książkami półek. Jak przywołane szczenię, jeden z tomów wysunął się spomiędzy swych sąsiadów i popłynął przez powietrze, by spocząć delikatnie na biurku kapłana. Apsimar pochylił się nad nim, by odnaleźć właściwą stronę.

Trybun potrzebował tych paru chwil, by przybrać obojętny wyraz twarzy. Wiedział, że nigdy ani w Mediolanie, ani w Rzymie, ani w Galii nie zobaczyłby niczego, co mogłoby się równać z tym niedbałym machnięciem ręką i tym, co nastąpiło potem. Sama swoboda, z jaką uczynił to Apsimar, wywarła na nim takie wrażenie, jakiego nawet uzdrawiająca magia nie zdołała na nim wyrzucić.

Dla Apsimara była to zwykła rzecz. Odwrócił książkę w stronę Marka. — Jesteśmy tutaj — powiedział, wskazując palcem. Zbliżywszy twarz do mapy, trybun odcyfrował słowo „Imbros”, umieszczone obok kropki.

— Wybacz mi — rzekł uprzejmie Apsimar. — Czytanie przy świetle świeczki może sprawiać trudność. — Wymruczał modlitwę, wyciągnął lewą rękę nad mapę... i perlista poświata wystrzeliła

z niej rozjaśniając pergamin tak samo jak światło pochmurny dzień.

Tym razem Skaurus musiał ze wszystkich sił powstrzymać się, by nie uciec. Nic dziwnego, kołatało mu się po głowie, że Apsimar nie martwi się zmęczeniem oczu. Kapłan był swoją własną lampą do czytania.

Gdy ustąpił pierwszy wstrząs zdumienia i strachu, kolejny, głębszy szok ściał krew w żyłach trybuna. Mapę sporządzono z niezmierną dbałością o szczegóły; lepiej, sądząc z wyglądu niż te, które widział w Rzymie. A krainy, jakie na niej widniały, absolutnie niczego mu nie przypominały. Gdzie jest Italia? Bez względu na to, jak prymitywna była mapa, kształt buta sam rzucał się w oczy. Tutaj nie mógł go znaleźć... ani żadnej innej znanej mu krainy.

Widząc dziwne kontury Imperium Videssos i jego sąsiadów, czytając obce nazwy mórz — Morze Żeglarzy, Północne Morze, niemal całkowicie otoczone lądami Videssańskie Morze, oraz całą resztę — trybun musiał uznać to, czego obawiał się od chwili, kiedy dwa miecze przeniosły go i jego legionistów do tej krainy, a co podejrzewał od czasu pierwszych czarów Apsimara. To był inny świat niż świat Rzymu; świat, z którego nigdy nie zdoła wrócić do domu.

Cicho pożegnał się z kapłanem. Gdy tylko znalazł się na ulicy, skierował się w stronę najbliższego zajazdu. Potrzebował kubka wina albo kilku, by uspokoić nerwy. Winne grona rzucały własną kojącą magię. I nawet z magią — powiedział sobie — ludzie wciąż byli ludźmi. A zdolny człowiek może zajść daleko.

Jeszcze raz pociągnął z kubka. Niespodziewanie przypomniał sobie sprawę, w której przeszkodził mu Apsimar. Zastanowił się, czy zdoła jeszcze odnaleźć jasnooką dziewczynę w zielonej sukni. Roześmiał się cicho. Mężczyźni zawsze będą mężczyznami, pomyślał.

Zbierając się do wyjścia zastanowił się przez chwilę, jak w walce pomiędzy Phosem i Skotosem oceniane jest zaspokajanie cielesnych żądz. Zdecydował, że nic go to nie obchodzi, i zamknął za sobą drzwi zajazdu.

III

Po ostatniej serii zamieci, które próbowały zrównać Imbros z ziemią, zima markotnie ustąpiła miejsca wiosnie. Tak jak na początku jesieni, drogi Imperium zmieniły się w grzęzawiska. Marek, z niecierpliwością oczekując wieści ze stolicy, narzekał na zdrowy rozsądek narodu, który chroniąc kopyta swych koni, doprowadził do tego, że kopyta te przez znaczną część roku były prawie bezużyteczne.

Nagie gałęzie drzew zaczynały okrywać się zielenią, kiedy z południa przybył zbryzgany błotem posłaniec. Tak jak przepowiedział Nephon Khoumnos, i na co Marek miał nadzieję, w swej skórzananej torbie posłańca przywiózł rozkaz wzywający Rzymian do miasta, do Videssos.

Vourtzes nie próbował nawet udawać, że widok pleców ostatniego z nich sprawi mu przykrość. Choć Rzymianie zachowywali się w Imbros dobrze — jak na żołnierzy najemnych, bardzo dobrze — to jednak od czasu ich przybycia nie było ono tak do końca miastem grubego rządcy. Mimo iż w większości spełniali jego życzenia, to zbyt przywykł do wydawania rozkazów dla samej radości rozkazywania i spełniania wszelkich zachcianek.

Ku zaskoczeniu Marka, Skapti syn Modolfa przyszedł, by się z nim pożegnać. Zwyczajem swego narodu wysoki Halogajczyk ujął dłoń Skaurusa w swoje. Utkwiwszy chłodne spojrzenie w Rzymianinie, powiedział:

— Spotkamy się znowu i to w mniej przyjemnym miejscu, jak sądzę. Byłoby lepiej dla mnie, gdybyśmy się nie spotkali, ale się spotkamy.

Zastanawiając się, co też to może znaczyć, trybun zapytał go, czy nie ma wieści o zbliżającej się letniej kampanii.

Skapti zachnął się na taką troskę o szczegóły. — Będzie jak będzie — odparł i dumnym krokiem odmaszerował w stronę Imbros. Wpatrując się w jego plecy, Marek zastanawiał się, czy Halogajczycy byli tak duchowo ślepi, jak uważał Apsimar.

Marsz do Videssos okazał się przyjemną tygodniową wyprawą przez krainę łagodnych, falistych wzgórz pokrytych polami, na których uprawiano pszenicę, jęczmień, oliwki i winorośl. Gorgidasowi krajobraz, uprawy i emaliowobłękitna kopuła nieba boleśnie przypominały ojczystą Grecję. Na zmianę wpadał w przygnębienie wywołane tęsknotą za domem i radość, jaką sprawiało mu piękno krajobrazu.

— Skończysz wreszcie gadać bez przerwy te głupstwa? — zapytał go Viridoviks. — W następ-

nym miesiącu będzie za gorąco, żeby człowiek podróżował za dnia, chyba że chce wysmażyć sobie rozum. Twoja winorośl to wspaniała roślina, nie przeczę, lecz lepiej mieć ją w dzbanie, niż oglądać na polu, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. A co do oliwki, to jeśli spróbujesz ją zjeść, złamiesz sobie zęby na pestce. Poza tym jej sok cuchnie i smakuje nie lepiej.

Gorgidas wpadł w taką wściekłość odpowiadając na tę potwarz, że przez kilka następnych godzin znowu był dawnym sobą. Marek zauważył, że Viridoviks uśmiecha się za plecami skorego do gniewu lekarza. Jego szacunek dla rozumu Celta wzrósł niepomrotnie.

Na jakiś dzień marszu od stolicy droga wiodąca do Videssos od północy zbiegła na wybrzeże morskie. Trakt coraz częściej przebiegał przez wioski i miasta, niektóre znacznej wielkości. Po przejściu przez jedno z dużych miast, Gajusz Filipus zauważył: — Jeśli to są peryferie, to jakie musi być Videssos?

Marek wyobrażał sobie stolicę Imperium jako miasto nieco późniejsze, lecz podobne do Rzymu. Popołudniem ósmego dnia od opuszczenia Imbros wreszcie mógł porównać swoje wyobrażenie z rzeczywistością, wobec której to pierwsze zbladło.

Videssos miało wspaniałe położenie. Zajmowało trójkątną połąć lądu wbijającą się w cieśninę, którą Tzimiskes nazywał Końskim Brodem. Z trudem też można było uznać tę nazwę za niewłaściwą — przeciwległy brzeg znajdował się w odległości zaledwie mili, z wyraźnie widocznymi, pomimo unoszącej się nad wodą mgiełki, nabrzeżami. Najbliższe z nich, jak dowiedział się trybun, nazywano po prostu „Po Drugiej Stronie”.

Lecz mając przed sobą takie cudo jak Videssos, nie zwracało się uwagi na drugi brzeg cieśniny. Wyznaczonej z dwóch stron przez wodę, trzeciej, lądowej granicy Videssos strzegły fortyfikacje bliższe miana niezdobytych niż jakiegokolwiek, które Marek sobie wyobrażał, nie mówiąc już o tych, które widział.

Rozpocynała je głęboka fosa, która śmiało mogła liczyć pięćdziesiąt stóp szerokości; za nią ciągnęło się ząbkowane blankami przedmurze. Za nim wznosił się pierwszy właściwy mur, o wysokości pięciokrotnie przekraczającej wzrost wysokiego mężczyzny, z kwadratowymi wieżycami umieszczonymi co każde pięćdziesiąt do stu kroków. Drugi mur, niemal dwukrotnie wyższy i zbudowany z jeszcze większych kamieni, biegł równoległe do tego pierwszego, w odległości

jakichś pięćdziesięciu kroków. Wieże głównego muru — nie wszystkie z nich były kwadratowe; niektóre były okrągłe albo nawet ośmioboczne — wzniesiono tak, że ostrzał z nich mógł pokryć te skrawki ziemi, do których nie sięgał z zewnętrznego muru.

Gajusz Filipus zamarł w bezruchu, kiedy ujrzał te niewiarygodne budowle. — Powiedz mi — zwrócił się do Tzimiskesa — czy to miasto kiedykolwiek zdobyto w wyniku oblężenia?

— Nigdy przez obcego wroga — odparł Videssańczyk — choć w naszych wojnach domowych dwukrotnie zostało zdobyte na skutek zdrady.

Jednak potężne mury nie kryły tak bardzo widoku miasta, jak czyniły to fortyfikacje Imbros, ponieważ Videssos, tak samo jak Rzym, miało siedem wzgórz. Marek dostrzegł budynki z drewna, cegły, pokryte stiukiem — podobne do tych, jakie widział w Imbros, ale też wspaniałe budowle z granitu i wielobarwnego marmuru. Wiele z nich otaczały parki i sady sprawiając, że ich blade kamienie lśniły jeszcze jaśniej. W całym mieście migotały pozłacane kule, które wieńczyły świątynie Phosa.

W portach pękate statki zbożowe, które karmiły stolicę, sąsiadowały w dokach ze smukłymi galeriami i statkami kupieckimi ze wszystkich państw znanych Imperium. Ulicami miasta przepływały fale ludzi zajętych swoimi sprawami. Małeńcy z oddali, wydali się Skaurusowi podobni do mnóstwa mrówek, zajętych sobą i nie zwracających uwagi na przybycie Rzymian. Myśl ta nie dodawała otuchy. Jak garstka jego ludzi mogła mieć nadzieję, że zdoła się wyróżnić wśród takiego mnóstwa?

Musiał powiedzieć to głośno, bowiem Kwintus Glabrio zauważył: — Videssańczycy nie najęliby nas, gdyby sądzili, że nie mamy żadnego znaczenia. — Wdzięczny za spokojny rozsądek Kwintusa, trybun skinął głową.

Tzimiskes przeprowadził Rzymian przez pierwszą z dwóch bram, które wiodły do miasta. Wyjaśnił: — Od Srebrnej Bramy będzie eskortowała nas do Videssos gwardia honorowa.

Marek nie miał pojęcia, dlaczego Srebrna Brama nosiła taką nazwę. Jej ogromne portale i kolczaste spuszczone kraty zbudowano z licowanego żelazem drewna; sądząc z tego, jak były pokiereszowane, musiały doświadczyć wielu walk. Nad każdym wejściem wisiał tryumfalny wizerunek Phosa.

— Równać tam, wy powłóczące nogami baranie głowy! — warknął Gajusz Filipus do już ustawionych w szyku legionistów. — To jest duże miasto i nie chcę, żeby wzięto nas za gamoniowatych kmiotków!

Tak jak obiecał Tzimiskes, honorowa gwardia kawalerzystów czekała tuż za głównym murem. Dowodził nią Nephon Khoumnos, który z uśmiechem wystąpił naprzód, by uścisnąć rękę Skaurusa.

— To dobrze widzieć cię znowu — powiedział. — Do waszych koszar trzeba przemaszerować jakieś dwie mile. Mam nadzieję, że nie będziesz miał nic przeciwko temu, jeśli zrobimy z tego paradę? To da ludziom temat do gadania i przyzwyczai ich do waszego wyglądu.

— To dobry pomysł — zgodził się Marek. Prawdę mówiąc spodziewał się czegoś takiego; Videsańczycy wręcz przepadali za pompą i uroczystościami. W każdym razie Khoumnos przyciągał tylko połowę jego uwagi. Resztę kierował na żołnierzy, którymi dowodził imperialny oficer.

Trzy oddziały gwardii honorowej sprawiały wrażenie bardziej zajętych obserwowaniem samych siebie niż Rzymian. Osobistym oddziałem Khoumnosa był szwadron *akritai* — poważnych Videsańczyków, stanowiących kopie Tzimiskesa albo Mouzalona. Pragnęli poświęcić Rzymianom całą

swoją uwagę, lecz nieustannie rzucali ukradkowe spojrzenia na prawo i lewo.

Z ich lewej strony stała zgraja — Marek odrzucał wszelkie inne słowa oznaczające coś bardziej uporządkowanego niż to — koczowników z równin Pardraji. Ciemnoskórzy, krępi mężczyźni z kędzierzawymi brodami dosiadali kosmatych stepowych kuców, nosili napierśniki z prażonej w ogniu skóry i lisie czapki oraz dzierżyli wzmocnione rogiem podwójnie gięte łuki. — Piesi żołnierze! — powiedział jeden z nich po videssańsku z wyraźnym obcym akcentem. Splunął, by pokazać swoją pogardę. Marek wbił w niego wzrok, aż koczownik zaczerwienił się i szybko spojrzał gdzie indziej.

O wiele trudniej przyszło trybunowi określić pochodzenie ostatniego oddziału eskorty. Składał się z wielkich, postawnych mężczyzn w ciężkich zbrojach, dosiadających największych koni, jakie Marek kiedykolwiek widział, i uzbrojonych w grube lance i proste, obosieczne miecze. Z wyglądu przypominali nieco Halogajczyków, lecz wydawali się raczej mniej — jakiego to określenia użył Viridoviks? — lubiący śmierć niż pochodzący z północy najemnicy. Poza tym mniej więcej połowa z nich miała ciemne włosy. Byli pierwszymi gładko wygolonymi mężczyznami, jakich zobaczył tutaj Skaurus. Jedynym państwem, jakie mogło ich wydać, zdecydował w końcu, było Namdalen. Tam to halogajscy władcy mieszały krew z dawnymi poddanymi Videssos, od których zresztą nauczyli się wielu *rzeczy*.

Dowodził nimi mniej więcej trzydziestoletni wojownik o wyrazistych rysach twarzy, którego ciemne oczy i ogorzała cera kontrastowały osobliwie z grzywą pszenicznoszłotych włosów. Ze-skoczył z siodła o wysokim łuku, by powitać Rzymian.

— Wygląda na to, że masz dobrych ludzi — powiedział do Marka, ujmując jego dłoń w swoje na halogajską

modłę. — Jestem Hemond z Metepont, z Księstwa. — To potwierdziło domysły Marka. Hemond ciągnął dalej:

— Kiedy już się zakwaterujecie, wpadnij do mnie na kubek wina. Możemy opowiedzieć sobie o naszych ojczyznach; twoja, jak słyszałem, to dziwna, odległa kraina.

— Z przyjemnością — odparł Marek. Namdalajczyk sprawiał wrażenie przyzwoitego człowieka; jego ciekawość była życzliwa i zupełnie naturalna. Podczas zimy najróżniejsze pogłoski o Rzymianach musiały krążyć po Videssos.

— Dobrze, dobrze, ruszajmy już — powiedział Khounnos. — Hemond, twoi ludzie na czoło; Khamorthci obejmą tylną straż, podczas gdy my pojedziemy z flanki.

— Dobrze. — Hemond zsalutował leniwie Videssańczykowi i wolnym krokiem wrócił do swego konia. Nagły pośpiech Khounnosa zakłopotał Marka; jeszcze przed chwilą wcale mu się nie spieszyło. Czyżby nie chciał, by Rzymianie zaprzyjaźnili się z Namdalajczykami? To już polityka, pomyślał trybun, postanawiając zachować ostrożność, dopóki nie pozna miejscowych reguł gry.

Pojedynczy Videssańczyk dysponujący potężnym głosem prowadził procesję od miejskich murów do koszar. Mniej więcej co minutę ryczał: — Z drogi, idą mężni Rzymianie, dzielni obrońcy Imperium! — Aleja, którą szli, opustoszała w mgnieniu oka; w równie magiczny sposób tłumy ludzi pojawiły się na chodnikach i w bocznych ulicach na każdym skrzyżowaniu. Niektórzy ludzie wiwatowali na cześć dzielnych Rzymian, więcej zdawało się zastanawiać, kim są ci dziwnie wyglądający najemnicy, podczas gdy przytłaczająca większość wyległaby na ulice dla jakiegokolwiek parady; po to tylko, by przerwać monotonię dnia.

Z oczyma wbitymi przed siebie i z uniesionymi w salucie rękoma, legioniści maszerowali na zachód. Przeszli przez dwa wielkie otwarte place, minęli targowisko, którego klienci w większości nie zadali sobie wysiłku, by na nich spojrzeć, oraz pomniki, kolumny i posągi upamiętniające dawno przebrzmiałe zwycięstwa i Imperatorów.

Do jedyne go zakłócenia procesji doszło pod sam jej koniec. Jakiś wychudzony mnich w podartej, brudnej sutannie wyskoczył na drogę przed heroldem Rzymian, który z konieczności zatrzymał się. Tocząc płonącymi oczyma, mnich zaskrzeczał:

— Strzeżcie się gniewu Phosa, wszyscy frymarzczący z niewiernymi takimi jak ci! Biada nam, którzy udzielamy im schronienia w sercu miasta Phosa!

W tłumie rozległ się szmer, najpierw pełen zmieszania, potem jednak zaczęły rozbrzmiewać w nim gniewne okrzyki. Kątem oka Marek zobaczył człowieka, który pochylał się, by podnieść kamień. Pomruk tłumu zabrzmiał głośniejszy i bardziej wrogo.

Nie chcąc dopuścić do zamieszek, trybun utorował sobie łokciami drogę pomiędzy stojącymi namdalajskimi jeźdźcami i stanął twarzą w twarz z mnichem. Chudy duchowny cofnął się ze zgrozą, jak gdyby ujrzał przed sobą demona, kreśląc na piersi znak swego boga. Ktoś w tłumie krzyknął: — Poganie!

Wyciągnąwszy przed siebie puste dłonie, Skaurus pokłonił się nisko przed mnichem, który wytrzeszczył na niego podejrzliwie oczy. Trybun narysował słoneczny krąg na własnym sercu, wołając jednocześnie: — Niech Phos będzie z tobą!

Komiczny wyraz zdumienia odbił się na twarzy mnicha. Podbiegł, by zamknąć Rzymianina w cuchnącym uścisku, którego trybun z przyjemnością by uniknął. Przez jedną straszliwą chwilę Marek myślał, że mnich zechce go pocałować, lecz ten, po paru krótkich, szybko wymamrotanych modlitwach, zniknął w dumie, który teraz wiwatował gromko.

Marek pozwolił sobie na luksus oddechu ulgi, nim wrócił do swych ludzi.

— Szybko myślisz, cudzoziemcze— powiedział Hemond, gdy Marek go mijał. — Mogliśmy wpaść tam w niezłe kłopoty.

— Nie musisz mi tego mówić — odparł z przekonaniem trybun.

— Z drogi, idą mężni Rzymianie! — zawołał herold i procesja znowu ruszyła naprzód.

— Nie wiedziałem, że zdecydowałeś się czcić Phosa — rzekł Tzimiskes.

— Ani słowa nie powiedziałem o sobie — odparł Marek. Na twarzy Tzimiskesa pojawił się wyraz zgorznienia. Przemierzyli ostatni rynek, większy niż oba poprzednie, minęli ogromny owalny amfiteatr i weszli do dzielnicy eleganckich budynków, wzniesionych wśród rozległych połaci krótko przystrzyżonych szmaragdowych trawników i gustownie przyciętych krzewów oraz winorośli.

— Jeszcze tylko parę chwil i wprowadzę was do waszych koszar — powiedział Khoumnos.

— Tutaj? — zapytał zaskoczony Marek. — To chyba zbyt piękne.

Teraz z kolei zdziwił się Videssańczyk.

— Dlaczego? Gdzie indziej miałyby kwaterować oddział Gwardii Imperialnej, jeśli nie w Pałacach Imperatora?

Budynki użytkowane przez Imperatorów Videssos tworzyły ogromny, rozległy kompleks, sam w sobie stanowiący jedną z wielu dzielnic stolicy Imperium. Rzymianie zostali zakwaterowani w pewnej odległości od właściwej rezydencji Imperatora, w czterech pokrytych sztukaterią salach koszar wśród drzew cytrusowych obsypanych pachnącym kwieciem.

— Miałem gorsze — powiedział ze śmiechem Gajusz Filipus, gdy zdjął swój marszowy tornister i położył go przy nowym i czystym sienniku.

Marek doskonale rozumiał ton, z jakim powiedział to centurion; nie mógł przypomnieć sobie jakichkolwiek kwater dających się porównać z tymi. Koszary były przewiewne, dobrze oświetlone i przestronne. W pobliżu znajdowały się łazienki oraz kuchnie; lepiej wyposażone niż niejeden wykwinny zajazd. Tylko brak prywatności czynił długie sale mniej komfortowymi niż zajazd czy gospoda. Jeśli już, to grzeszyły nadmiarem luksusu.

— W tak wspaniałych kwaterach ludzie mogą stracić swoją twardość — powiedział Marek.

Gajusz Filipus spojrział na trybuna z wilczym uśmiechem. — Nie ma obawy, już ja się tym zajmę. — Skaurus skinął głową, lecz zastanowił się, jak wyszkolona jest reszta Gwardii Imperatora.

Odpowiedź uzyskał na to w ciągu paru minut, bowiem trąbki zagrzmiały, kiedy Rzymianie wciąż jeszcze chowali swój dobytek. Zażywny urzędnik pojawił się w wejściu i wrzasnął:

— Jego Wysokość Sevastos Vardanes Sphrantzes! Jego 'Wysokość Sevastokrata Thorisin Gavras! Wszyscy korzą się przed Imperatorską Mością, Autokratą Videssańczyków, Mavrikiosem Gavrasem!

Trąbki zagrzmiały ponownie. Gajusz Filipus przekrzyczał fanfarami: — Cokolwiek trzymacie, rzućcie to! — Rzymianie, przyzwyczajeni do niespodziewanych inspekcji, wyprężyli się na baczność.

Poprzedzani tuzinem Halogajczyków, władcy Imperium weszli do sali koszar, by przeprowadzić inspekcję swych nowych wojowników. Zanim postawili w niej stopę, Marek rzucił ukradkowe spojrzenie na gwardzistów i to, co ujrzał, zrobiło na nim korzystne wrażenie. Mimo złocień na ich pancerzach, mimo delikatnych inkrustacji zdobiących ich toporki, byli prawdziwymi żołnierzami. Ich

oczy, zimne jak lód ich północnej ojczyzny, zmierzyły koszary sprawdzając, czy nie ma w nich czegoś podejrzanego. Dopiero gdy uznał, że wszystko jest w porządku, ich dowódca dał znak swym, podopiecznym, że mogą bezpiecznie wejść.

Kiedy to uczynili, Tzimiskes uklęknął, a potem wyciągnął j się na brzuchu w hołdzie, jaki wszyscy Videssańczycy oddawali swemu władcy. Marek, a za jego przykładem jego ludzie, dalej stali na baczność. Nie przyszło mu do głowy, by uczynić inaczej. Jeśli Videssańczycy chcieli poniżyć się | przed swym panem, to niech postępują zgodnie z tym zwyczajem, ale Rzymianom, republikanom od czterech i pół wieku, niełatwo przyjdzie go naśladować.

Halogajski kapitan, o twarzy mroźnej jak zima, wytrzeszczył oczy na Skaurusa. Trybun nie miał teraz czasu, by zmierzyć się z nim wzrokiem, bowiem całą swoją uwagę skupił na trzech mężczyźnach w wejściu.

Pierwszy przeszedł przez nie — jeśli szli w kolejności, w jakiej zapowiedział ich urzędnik — Vardanes Sphrantzes, którego tytuł Sevastosa oznaczał mniej więcej premiera. Raczej krępy niż tłusty, swoje wyszywane klejnotami urzędowe szaty nosił z elegancją strojnisia. Wąska linia brody okalała jego krągłą, rumianą twarz. Kiedy zobaczył, że Rzymianie wciąż stoją, jego oczy nie rozszerzyły, ale zwężyły z zaskoczenia.

Odwrócił się, by powiedzieć coś do Imperatora, lecz został odsunięty przez młodszego brata Mavrikiosa, Sevastokratę Thorisina Gavrasa. Dobiegający czterdziestki, Sevastokrata wyglądał, jak gdyby czuł się o wiele swobodniej w kolczudze niż w jedwabiach i złotych szatach, które miał na sobie. Włosy i brodę miał niedbale przycięte; miecz u jego boku nie był odświętną bronią, lecz wysłużonym pałaszem w pochwie z nie ozdobionej skóry.

Na widok stojących Rzymian zareagował nie zdziwieniem, lecz wściekłością. Jego wyrzeczane: — Na święte imię Phosa, myślą że kim są, te urodzone w rynsztoku obce bękarty? — przerwało bardziej wyważony protest Sphrantzesa: — Wasza Miłość, ci obcokrajowcy nie zachowują właściwej powagi...

Obaj mężczyźni zamilkli zmieszani; Skaurus odniósł wrażenie, że ci dwaj od lat w niczym się nie zgadzali. Zza ich pleców po raz pierwszy usłyszał głos Imperatora:

— Jeśli wy dwaj zejdziecie mi z drogi, sam zobaczę te potwory. — I wypowiedziawszy tę łagodną uwagę, Autokrata Videssańczyków wszedł do środka, by przyjrzeć się swym nowym najemnikom.

Nie ulegało wątpliwości, że jest bratem Thorisina; mieli te same długie twarze, te same silnie wygrzbiecone nosy, nawet te same brązowe włosy, które rzedły na skroniach. Lecz po pierwszym spojrzeniu Marek powiedziałby, że Mavrikios Gavras jest o jakieś piętnaście lat starszy od swego brata. Jego wyraziste, pełne siły usta okalały bruzdy, takie same marszczyły czoło; jego oczy były oczyma człowieka, który sypia bardzo mało.

Kiedy Rzymianin przyjrzał się bliżej stwierdził, że znaczna różnica w wieku pomiędzy braćmi Gavras była złudzeniem. Tak jak masywny złoty diadem, który miał na głowie, Mavrikios dźwigał na swych barkach ciężkie brzemię odpowiedzialności, i to pozostawiło na nim swój ślad. Niegdyś pewnie dzielił z Thorisinem jego wybuchowość i porywczą buńczuczność, lecz w nim cechy te zostały okiełznane świadomością ceny, jaką może kosztować błąd.

Kiedy Imperator się zbliżył, Tzimiskes powstał i stanął obok Marka, gotów służyć pomocą w tłumaczeniu. Lecz pytanie Mavrikiosa było wystarczająco jasne, by Skaurus je zrozumiał.

— Dlaczego nie oddaliście mi hołdu?

Gdyby zapytał go o to Sphrantzes, Marek mógłby zbyć go jakąś gładką odpowiedzią, lecz ten — czuł to instynktownie — był człowiekiem, któremu mówiło się prawdę. Powiedział więc:

— Nie należy do zwyczaju mojego kraju, by zginać kolana przed jakimkolwiek człowiekiem.

Oczy Autokraty błędziły po Rzymianach, gdy rozważał odpowiedź Skaurusa. Jego spojrzenie zatrzymało się na powyginanej tarczy; na sztywnej, chłopskiej twarzy młodego legionisty; na Viridoviksie, który wyróżniał się z powodu swego wzrostu i celtyckiej zbroi.

Wreszcie odwrócił się do czekających Sevastosa i Sevastokraty, mówiąc cicho: — To są żołnierze. — Wydawało się, że Thorisinowi Gavrasowi wyjaśniło to wszystko. Natychmiast rozluźnił się, tak samo jak halogajscy gwardziści. Jeśli ich zwierzchnik ma ochotę pozwolić, by ci obcokrajowcy dalej zachowywali się zgodnie ze swymi grubiańskimi zwyczajami, to im to wystarcza.

Sphrantzes natomiast już otwierał usta, by znowu zaprotestować, lecz wiedział, że to nic nie da. Jego oburzony wzrok spotkał się ze wzrokiem trybuna i Marek zrozumiał, że ma w nim wroga. Sphrantzes był człowiekiem, który nie potrafiłby znieść tego, że się myli albo, ściślej, świadomości tego, że ktoś dostrzegł jego pomyłkę. Jeśli popełniłby błąd, pogrzebałby go... a wraz z nim pewnie i jego świadków.

Pokrył jednak zręcznie swoje potknięcie; skinął przyjacielsko głową Markowi i powiedział:

— Wstępnie zaplanowaliśmy na jutrzejszy wieczór przyjęcie z okazji waszego przybycia w Sali Dziewiętnastu Tapczanów. Czy nie miałbyś nic przeciwko temu, by dołączyć do nas wraz z niewielką grupą swoich oficerów?

— Z przyjemnością. — Marek odpowiedział mu skinieniem głowy. Uśmiech Sevastosa sprawił, że zamiast oficerów zapragnął przyprowadzić tam kosztowaczy jedzenia.

Sala Dziewiętnastu Tapczanów była prostokątnym budynkiem z zielono żyłkowanego marmuru, znajdującym się niedaleko od kwater zajmowanych obecnie przez rodzinę Imperatora. Od pokoleń, jak dowiedział się Marek, nie było w niej już żadnych tapczanów, a mimo to dalej ją tak nazywano. Była największą i najczęściej wykorzystywaną z kilku pałacowych sal przyjęć.

Kiedy Skaurus i jego towarzysze — Gajusz Filipus, Kwintus Glabrio, Gorgidas, Viridoviks i Adiatun, dowódca procarzy — podeszli do podwójnych drzwi z polerowanego spiżu wiodących do

Sali i oznajmili swe przybycie, służący skłonił się i rozwarł szeroko drzwi, wołając:

— Panie i panowie, Rzymianie!

Wśród już obecnych gości rozległ się grzeczny szmer oklasków. Skaurus powściągnął chęć kopnięcia służącego-idioty i pogodził się z tym, że przez następny rok będzie nazywany Rzymianinem.

Do videssańskiego zwyczaju należało rozmawiać, kosztować potraw i popijać, nim siadło się do prawdziwego jedzenia. Marek wziął kubek mrożonego wina z płytkiej wazy ze śniegiem, w której spoczywał, przyjął małą soloną rybę ze srebrnej tacy podanej mu przez najbardziej znudzonego służącego, jakiego kiedykolwiek widział, i zaczął krążyć wśród tłumu gości.

Wkrótce uświadomił sobie, że goście dzielą się na cztery wyraźne grupy, a każda w znacznej części — i niekiedy dość uszczypliwie — ignorowała trzy pozostałe.

W kącie przy półmiskach z jedzeniem cywilni urzędnicy, wspaniali w swych jasnych togach i barwnych tunikach, chrupali przekąski, omawiając wspaniałą sztukę rządzenia nie siłą, lecz chytrością.

Rzucali lekceważące spojrzenia w stronę tłumu uzbrojonych oficerów, którzy okupowali środek sali, jak wzięte właśnie szturmem miasto. Choć należeli do kilku narodowości, oni również mieli wspólny temat. Ich rozmowa była głośniejsza i bardziej zgryźliwa niż dyskusja biurokratów, których szyderstwa odwzajemniali. — Przekłete gryzipiórki — mruknął młody Videssańczyk do jakiegoś Halogajczyka, ściskającego kufel z miodem niemal tak wielki, jak jego głowa. Już na wpół pijany, oficer z północy skinął poważnie głową.

Niemal połowa Rzymian roztopiła się w tej grupie. Gajusz Filipus i Nephon Khoumnos rozmawiali o placach ćwiczebnych i technikach szkolenia. Glabrio, żywo gestykułując, wyjaśniał mieszanemu audytorium składającemu się z Videssańczyków, Namdalajczyków i Halogajczyków, na czym polega taktyka rzymskiej piechoty. A Adiatun próbował przekonać odzianego w strój z jeleniej skóry Khamortha, że proca jest lepszą bronią niż łuk. Koczownik, lepszy łucznik niż Adiatun mógł sobie wyobrazić, był najwyraźniej przekonany, że Rzymianin stracił rozum.

Jeśli radnych porównać do pawi, a żołnierzy do jastrzębi, to ambasadorowie i posłowie z obcych krajów, którzy tworzyli trzecią grupę, byli ptakami o różnobarwnym upierzeniu. Pochodzący z równin krepki, kędzierzawobrodzi Khamorthci nosili kurtki z wilczych skór i skórzane spodnie i trzymali się z parą mieszkańców jeszcze odleglejszych równin, ludzi jakich Marek nigdy przedtem nie widział: szczupłych, śniadych, płaskolicych mężczyzn z opadającymi wąsami i rzadkimi, wiotkimi brodami. Trybun dowiedział się, że nazywano ich Arshaum.

Marek rozpoznał pustynnych nomadów z południowego zachodu i innych, z odległych krain po drugiej stronie Morza Żeglarszy. Było tam też kilku posłów w dziwnych strojach z dolin Erzerum, leżących na pomocy i zachodzie od zachodnich granic Videssos. W grupie tej kręciło się kilku halogajskich książąt i jakiś mężczyzna, o którym trybun powiedziałby, że to Videssańczyk, gdyby nie

jego północny strój i niezmiennie ponury wyraz twarzy, co kazało Skaurusowi kojarzyć go z Halo-gajczykami.

Jakiś olbrzym w pustynnych zawojach był tak w nie zakutany, że nawet krył w nich swoją twarz. Ciągnął wino przez słomkę i poruszał się w kręgu ciszy, bo nawet jego towarzysze ambasadorowie omijali go szerokim łukiem, Marek zrozumiał to, kiedy dowiedział się, że mężczyzna jest emisariuszem z Mashiz, stolicy śmiertelnego wroga Videssos z zachodu, Yezd.

Nienasycona ciekawość Gorgidasa pchała go oczywiście w stronę ambasadorów. Rozmawiał teraz z przejęciem z nieśmiałym małym człowieczkiem, który tworzyłby doskonały obraz widsańskiego duchownego, gdyby nie jego twarz pokryta rozczochranym owłosieniem Khamortha.

Zatem niemal wszyscy moi ludzie są zajęci — pomyślał Marek, i kiedy wybuch śmiechu sprawił, że spojrzawszy w lewo stwierdził, iż Viridoviks szybko zaskarbia sobie popularność wśród ostatniej grupy obecnej na przyjęciu: kobiet. Wyglądający niezwykle dziarsko w swej pelerynie ze szkarłatnych skór, zwisającej z jego szerokich ramion, wielki Gal kończył właśnie hałaśliwie jakąś nieprzyzwoitą opowieść, którą jego obcy akcent czynił tym śmieszniejszą. Dwie śliczne dziewczyny zwisały u jego ramion; jeszcze trzy lub cztery tłoczyły się wokół niego. Spojrzawszy na Skaurusa ponad ich głowami i posłał mu szczęśliwy uśmiech lubieżnego kocura.

Trybun odwzajemnił uśmiech, ale nie miał ochoty współzawodniczyć z Celtem. Nie pociągała go też żadna z pozostałych grup. Biurokraci z zasady lekceważyli żołnierzy, a Skaurus sam nie był na tyle zawodowym wojownikiem, by rozkoszować się dyskusją o zasadach ostrzenia pałaszy. I w przeciwieństwie do Gorgidasa, nie potrafił skierować swej ciekawości ku odległym krainom, kiedy wciąż tak niewiele wiedział o Videssos. W ten sposób, choć tu i tam zamienił uprzejmie parę słów, nie minęło wiele czasu, nim opadła go nuda.

Czując się jak dodatkowe koło u wozu, postanowił napić się więcej wina i ruszył w kierunku wazy. Właśnie wziął nowy kubek i napił się, kiedy jakiś głos z tyłu zapytał:

— Wspaniale dzisiaj grają, nie sądzisz?

— Hmm? — Odwrócił się tak szybko, że aż rozlał wino z kubka. — Tak, pani, doprawdy wspaniale. — W rzeczywistości nie miał zupełnie słuchu i nie zwracał uwagi na małą brzęczącą orkiestrę, lecz zaprzeczenie zakończyło by rozmowę, a tego, jak się nagle okazało, wcale nie chciał.

Wzrostem dorównywała wielu obecnym na przyjęciu mężczyznom. Swoje proste czarne włosy nosiła obcięte nad ramionami, co wyglądało o wiele prościej niż ulubione przez większość kobiet stopy loków, lecz do niej akurat! pasowało. Jej oczy miały barwę roziskrzonego błękitu. Miała na sobie suknię tego samego koloru, w nieco! ciemniejszym odcieniu, ze stanikiem z białej koronki i szerokimi, zdobnymi futrem rękawami. Piękna kobieta, pomyślał Marek.

— Wy Rzymianie — zauważył, że wypowiedziała tę nazwę prawidłowo, mimo przekreślonej zapowiedzi przy wejściu — pochodzicie z bardzo daleka, jak mówią. Powiedz mi, czy muzyka wa-

szego ojczyściego kraju jest bardzo podobna do tej, jaką grają tutaj?

Pragnąc, by znalazła jakiś inny temat, Skaurus zastanowił się nad pytaniem. — Nie bardzo, pani...?

— Och, błagam o wybaczenie — powiedziała z uśmiechem. — Nazywam się Helvis. Ciebie zaś zwa Markiem, czy tak?

Marek przytaknął.

— Jesteś z Namdalem, prawda? — zapytał. Było to uzasadnione przypuszczenie. Nie miała tak orlich rysów, jak videssańskie i z pewnością nie nosiła videssańskiego imienia.

Skinęła głową i ponownie się uśmiechnęła; usta miała szerokie i pełne. — Sporo dowiedziałeś się o tej części świata — stwierdziła, lecz potem, tak jak obawiał się tego trybun, powróciła do swej pierwotnej myśli. — W czym wasza muzyka różni się od naszej?

Skaurus się skrzywił. Niewiele wiedział o rzymskiej muzyce, a jeszcze mniej o tej, jaką grano tutaj. Co gorsza, jego słownictwo, choć wystarczające w koszarach, ziało ogromnymi dziurami, gdy chodziło o sprawy muzyczne.

W końcu powiedział: — My gramy... — Rękoma nakreślił kształt fletu.

Helvis wymieniła nazwę za niego. — My również mamy instrumenty tego rodzaju. Co jeszcze?

— Szarpiemy nasze instrumenty strunowe zamiast grać na nich tą rzeczą, jakiej używają wasi muzycy.

— Smyczkiem — odpowiedziała Helvis.

— I nigdy nie widziałem niczego podobnego do tej wysokiej skrzynki, w którą wali ten człowiek.

Brwi Helvis uniosły się. — Nie znacie klawikordu? Jakież to dziwne!

— Jest w mieście od dwóch dni, kochanie, a ty już męczysz go rozmową o klawikordzie? — Oficer gwardii, Hemond, podszedł i objął ręką talię Helvis z niedbałą poufałością, która powiedziała Markowi, że są ze sobą od lat.

— Nie męczono mnie — rzekł Skaurus, lecz Hemond parsknięciem odrzucił jego protest.

— Nie mów mi tego, przyjacielu. Jeśli pozwolisz jej gadać o muzyce, to po jakimś czasie ogłuchniesz. Chodźmy, kochanie — zwrócił się do Helvis — musisz spróbować smażonych krewetek. Są niewiarygodne! — Odchodząc wraz z Helvis, oblizywał się.

Marek dopił wino jednym długim łykiem. Czuł gorycz i urazę; tym większe, gdyż zdawał sobie sprawę z bezzasadności tych uczuć. Jeśli Helvis i Hemond stanowili parę, to tak było i nie należało sobie zawracać tym głowy. Tylko że wydawała się taka przyjacielska, otwarta i zupełnie wolna... i doprawdy była piękna.

Wielu Namdalajczyków, wśród nich Hemond, goliło sobie czaszki z tyłu między uszami, by ich głowy lepiej pasowały do hełmów. Wyglądało to obrzydliwie — stwierdził Marek — i poczuł się

odrobinę lepiej.

Sevastos Sphrantzes pojawił się kilka minut później. Jak gdyby jego przybycie było jakimś sygnałem — i prawdopodobnie było — służący usunęli stoliki z zakąskami i winem, zastępując je długimi stołami i złożonymi krzesłami o prostych oparciach.

Pracowali z wyćwiczoną sprawnością i właśnie kończyli ustawianie ostatniego krzesła, kiedy odzwierny zawołał:

— Jego Wysokość Sevastokrator Thorisin Gavras i jego pani, Komitta Rhangawe! Jej Wysokość Księżniczka Alypia Gavra! — Potem, na końcu, tak jak zasługiwała na to ranga zapowiadanego, zawołał: — Jego Imperatorska Wysokość, Autokrata Videssańczyków, Mavrikios Gavras!

Marek spodziewał się, że wszyscy obecni padną na podłogę i przygotował się na wstrząs, jaki wywoła jego postawa. Lecz, jako że spotkanie miało charakter bardziej towarzyski niż urzędowy, mężczyźni w sali tylko skłonili się po pas — a wraz z nimi Rzymianie — podczas gdy kobiety dygnęły głęboko przed Imperatorem.

Towarzyszką Thorisina Gavrasa była oliwkowoskóra piękność o błyszczących czarnych oczach, doskonale pasująca do gorącokrwistego Sevastokraty. Jej uroda całkowicie przyćmiewała Księżniczkę Alypię, jedyne pozostałe przy życiu dziecko Mavrikiosa, córkę jego dawno zmarłej żony. Pochodzenie księżniczki prawdopodobnie tłumaczyło fakt, dlaczego wciąż pozostawała niezamężna — była kartą w politycznej grze; zbyt cenna, by zagrać nią natychmiast. Nie była nieatrakcyjna, ze swoją owalną twarzą i czystymi, zielonymi oczyma, tak rzadkimi wśród Videssańczyków. Lecz sprawiała wrażenie, że całą swoją uwagę kieruje do wnętrza i szła przez salę przyjęć, jakby prawie nie zauważała zgromadzonych tam gości. W przeciwieństwie do swego ojca.

— Wy sobie tutaj plotkowaliście podjadając, a ja musiałem pracować — zahuczał — i teraz jestem głodny!

Skaurus sądził, że jemu i jego ludziom zostaną wyznaczone miejsca wraz z innymi dowódcami najemników: daleko w dole hierarchii ważności. Eunuch zarządca wyprowadził go z błędnego mniemania.

— Tę uroczystość zorganizowano na waszą cześć i byłoby bardziej niż niewłaściwe, gdybyś zajął miejsce gdzie indziej niż przy stole Imperatora.

Jako iż trybun niewiele wiedział o wytwornych manierach Videssańczyków, chętnie zrzekłby się tego wyróżnienia, lecz nieustępliwy w swej łagodności zarządca miał oczywiście rację. Tak więc, zamiast wśród żołnierzy, trybun znalazł się w towarzystwie arystokratów i zagranicznych posłów akredytowanych na videssańskim dworze.

Krzesła z prostymi oparciami okazały się tak twarde, na jakie wyglądały.

Marek zajął miejsce pomiędzy chudym małym człowieczkiem, z którym poprzednio rozmawiał Gorgidas, a wysokim srogim mężczyzną, wyglądającym jak Videssańczyk w halogajskim stroju.

Ten ostatni przedstawił się jako Katakolon Kekaumenos. Sadząc z nazwiska, trybun zapytał: — Zatem jesteś z Videssos?

— Nie, to nie tak — odparł Kekaumenos z wyraźnym akcentem. — Jestem ambasadorem Jego Wysokości Króla Sireliosza z Agderu w Videssos; zaprawdę, w jego żyłach płynie krew czystsza niż krew większości szlachty w tym mieście mieszańców. — Mężczyzna z Agderu rozejrzał się, by zobaczyć, czy ktoś sprzeciwi się temu stwierdzeniu. Mniejszy odłamek dawnego Imperium nauczył się od swoich halogajskich sąsiadów czegoś więcej niż tylko noszenia kaftanów ze skór śnieżnych panter: jego ambasador przemawiał z otwartością rzadko spotykaną w stolicy. Był również tak samo małomówny, jak wszyscy mieszkańcy północy i po wygłoszeniu swego oświadczenia pograżył się w ponurym milczeniu. Drugi sąsiad Marka szturchnął go w żebra.

— Można by pomyśleć, że staremu Katakolonowi wetknięto pogrzebacz w zadek, co? — rzekł do trybuna scenicznym szeptem, uśmiechając się łobuzersko. — Ach, prawda, nie wiesz kim jestem, by mówić takie rzeczy? Moje nazwisko brzmi Taso Vones, poseł Khagana Vologesa z Khatrish, tak więc mam przywileje dyplomaty. Poza tym, Kekaumenos od lat uważa mnie za stukniętego. Nieprawdaż, stary łajdaku?

— Tak jak ty mnie — burknął Kekaumenos, lecz jego surowe rysy nie zdołały ukryć uśmiechu. Najwyraźniej przyzwyczał się do takiego zachowania Vonesa.

Trajkoczący ambasador ponownie skierował swoją uwagę na Skaurusa. — Zauważyłem, że parę minut wcześniej podziwiałeś moją brodę.

Rozczochrany zarost wcale nie wywołał w Marku takiego uczucia. — Tak, ja...

— Straszna, prawda? Mój pan, Vologes, uważa, że nadaje mi wygląd prawdziwego Khamortha, zamiast jakiegoś zgrzybiałego Videssańczyka. Jak gdybym mógł tak wyglądać! — Wskazał ręką przez stół na posła Khaganate'a z Thatagush. — Hej, Gawtruz, ty baryło, już się upiłeś?

— Nie, jeszcze nie — odparł Gawtruz, który wyglądał raczej jak brodaty głaz. Mówił silnie akcentowanym videssańskim. — Lecz pytanie brzmi, czy będę pijany? Ba, tak, z pewnością!

— To świnia — zauważył Taso. — Ale to miły rodzaj świni i bystry człowiek na dodatek. Potrafi też mówić doskonałym videssańskim, kiedy mu się chce, co niestety nieczęsto się zdarza.

Nieco przygnieciony potokiem wymowy małego Khatrishy, Marek ucieszył się widząc, że zaczęto wносить jedzenie. W potrawach przeważały dania z ryb, co nie mogło dziwić w nadmorskim mieście, takim jak Videssos. Podano pieczone dorsze, smażone rekiny, homary w topionym maśle, smakowity gulasz z mięczaków, krabów i krewetek, jak również rozmaite inne smakołyki, wśród nich ostrygi na połówkach muszli.

Viridoviks, siedzący parę miejsc dalej od trybuna, wziął jedną z nich z pokruszonego lodu, na którym spoczywały. Obdarzył ją długim, powątpiewającym spojrzeniem, a potem połknął, lecz wcale nie wydawał się z tego zadowolony. Spojrzawszy na siedzącą przy nim dziewczynę, po-

wiedział do Marka: — Jeśli już zmusza się człowieka do jedzenia czegoś, co tak smakuje, to lepiej, żeby to było ciepłe.

Skaurus przełknął z trudem, choć sam wcale nie miał ostrygi w ustach. Zastanawiał się, dlaczego uwaga Celta nie przerwała rozmów przy całym stole, kiedy Księżniczka Alypia, która siedziała niemal na wprost niego, zapytała:

— Co twój towarzysz sądzi o ostrygach? — i dopiero wówczas uświadomił sobie, że Viridoviks odezwał się po łacinie.

A ty, głupcze — powiedział do siebie — myślałeś, że muzyka jest złym tematem. I jak teraz poradysz sobie z *tymi* Bez wahania poświęcił ducha wypowiedzi na rzecz dosłownego tłumaczenia, mówiąc: — Powiedział, że wolałby je podgrzane, Wasza Wysokość.

— Dziwne, że taka niewinna uwaga aż tak tobą wstrząsnęła — odparła, lecz ku jego uldze nie naciskała go dalej.

Siwowłosy służący klepnął delikatnie Rzymianina po ramieniu. Stawiając mały emaliowany półmisek przed Markiem, powiedział cicho: — Śledzie w winnym sosie, panie, z pozdrowieniami od Jego Wysokości Sevastosa. Są wspaniałe, powiada.

Pamiętając aż nadto dobrze swoją myśl z poprzedniego dnia o kosztowaczu jedzenia, Marek spojrział wzdłuż stołu! na Vardanesa Sphrantzesa. Sevastos uniósł kielich w towarzyskim pozdrowieniu. Skaurus wiedział, że musi skosztować smakołyku, a jednak nie mógł zapomnieć wyrazu zawołanej groźby, jaki dostrzegł wówczas w oczach Sphrantzesa.

Westchnął i skosztował. Śledzie smakowały wyśmienicie.

Alypia zauważyła jego wahanie. — Patrząc na ciebie można by powiedzieć, że ten posiłek uważasz za ostatni — powiedziała.

Niech diabli wezmą spostrzegawcze kobiety! — pomyślał czerwieniejąc. Czy nigdy nie będę mógł powiedzieć jej prawdy? Z pewnością jednak nie nastąpi to tutaj.

— Wasza Miłość, nie mogłem odrzucić daru Sevastosa, lecz obawiam się, iż śledzie i moje wnętrze nie pasują do siebie zbyt. To właśnie dlatego się zawahałem. — Ze zdziwieniem odkrył, że nie okłamał jej do końca. Jego żołądek, pod wpływem pikantnych ryb, *naprawdę* zaczął się burzyć.

Księżniczka zamrugła pod wrażeniem jego pozornej szczerości, a potem wybuchła śmiechem. Gdyby Rzymianin zauważył spojrzenie, jakie spod zmrużonych powiek posłał w jego stronę Sphrantzes, naprawdę pożałowałby, że zjadł śledzie. To, że doprowadzenie księżniczki krwi do śmiechu może okazać się niebezpieczne dla oficera najemników, nie przyszło mu jeszcze do głowy.

Chociaż Sevastokrata Thorisin pozostał, by dalej hulać, Imperator i jego córka, choć przybyli późno, wcześniej opuścili przyjęcie. Po ich wyjściu zabawa ożywiła się znacznie.

Dwaj pustynni koczownicy, zesłani do odległego stołu z powodu niewielkiego znaczenia ich

szczepów, nie znaleźli niczego lepszego do roboty niż pokłócić się ze sobą. Jeden z nich, mężczyzna o twarzy łasicy i nastroszonych wąsach, wywrzeszczał wspaniałe, gardłowe przekleństwo i rozbił swój kubek od wina na głowie rywala. Sąsiedzi przy stole odciągnęli ich od siebie, zanim zdolali sięgnąć po noże.

— To haniebne zachowanie — powiedział Taso Vones. — Dlaczego swych krwawych porachunków nie mogą załatwić w domu?

Urywki pijackich pieśni rozbrzmiewały w całej Sali Dziewiętnastu Tapczanów. Viridoviks zaczął zawodzić po galijsku, wystarczająco głośno, by wywołać brzęk naczyń. — Jak się nie ma słuchu, to się nie powinno śpiewać — warknął Gajusz Filipus. Celt udał, że go nie słyszy.

Kilku Khamorthów śpiewało w dialekcie równin. Uniósłszy twarz znad kubka, Gawtruz z Thata-gush spojrział na nich maślanym wzrokiem i podjął pieśń.

— Haniebne — rzekł znowu Taso; on również rozumiał język mieszkańców równin. — Nie ma przyjęcia z Khamorthami, by się nie zalali w pestkę i nie wzywali wszystkich możliwych demonów. Większość z nich w głębi serca czci Skotosa, rozumiesz; trwanie przy dobru jest zbyt nudne, by mogli je znieść.

Wino zaczęło iść trybunowi do głowy; tracił już rachubę, ile razy napełniał swój puchar ze stojącej przed nim srebrnej karafki. Sąsiad z lewej, Katakolon Kekaumenos, opuścił przyjęcie jakiś czas temu. Marek nie tęsknił za nim. Potępiające spojrzenie pruderyjnego mieszkańca północy mogło zmrozić każde towarzystwo.

Viridoviks również wyszedł, ale nie sam. Skaurus nie mógł sobie przypomnieć, czy wyszedł z gadatliwą brunetką, swoją sąsiadką przy stole, czy też z posagową służącą, która przez cały wieczór kręciła się koło niego. Jego własne kontakty z kobietami tego wieczoru były mniej niż zadowalające — z każdego punktu widzenia.

Powstał powoli i po raz ostatni napełnił swój puchar, by ogrzać się na powrotny, dziesięciominutowy spacer do koszar. Vones powstał również.

— Pozwól mi sobie towarzyszyć — powiedział. — Chciałbym usłyszeć coś jeszcze o waszym wodzu — Kezarze, czy tak? Z tego, co mi dotychczas powiedziałaś, musi to być fascynujący człowiek.

Marek z trudem przypominał sobie, co mówił, ale towarzystwo Vonesa odpowiadało mu. Ruszyli w stronę drugiego końca stołu Imperatora. Tam właśnie któryś z gości rozlał coś tłustego na wykładaną mozaiką podłogę; trybun poślizgnął się, wymachując dziko rękoma dla odzyskania równowagi. Utrzymał się na nogach, lecz wino, które niósł, spryskało białe szaty ambasadora Yezd.

— Proszę o wybaczenie, panie... — zaczął, a potem przerwał, zmieszany. — Podwójnie proszę o wybaczenie — nie znam twojego imienia.

— Nie znasz? — Wściekłość, tym straszliwsza, że zimna, brzmiała w słowach Yezdy. Powstał

płynnie, górując nawet nad wysokim Rzymianinem. Welon zasłaniający jego twarz był tak gęsty, że Skaurus nie mógł dojrzeć jego oczu, lecz wiedział, że na niego patrzają; poczuł się jak uderzony intensywnością tego ukrytego spojrzenia. — Doprawdy nie znasz? Zatem możesz nazywać mnie Avshahin.

Taso Vones wtrącił się z nerwowym chichotem.

— Mój drogi pan Avshar bawi się w grę słów, nazywając siebie „królem” w języku Videssos i swoim własnym. Z pewnością zrozumie, że mój przyjaciel nie chciał go urazić, lecz być może oglądał dno swego pucharu częściej, niż powinien...

Avshar zwrócił swe niewidoczne spojrzenie na Khatrisha. — Człowieczku, to ciebie nie dotyczy. Chyba że życzyłybyś sobie tego...? — Dalej mówił uprzejmym tonem, lecz w jego głosie rozbrzmiewała groźba, jak lodowata woda pod cienkim lodem. Vones, poblady, wzdrygnął się i potrząsnął głową.

— Dobrze. — Yezda zadał Markowi straszliwy zamaszty cios, pod którego wpływem trybun zatoczył się do tyłu, a z kącika jego ust popłynęła krew.

— Psie! Świnio! Nikczemny, pełzający robaku! Czy nie wystarczy, że muszę mieszkać w mieście moich wrogów? Czy muszę też być celem zniewag niewolników Videssos? Najemny szakalu, masz przywilej wyboru broni, która przyniesie ci śmierć.

W sali zapadła cisza. Spojrzenie wszystkich oczu spoczęło na Rzymianinie, który nagle zrozumiał wyzwanie Avshara. W jakiś osobliwy sposób czuł wdzięczność za to, że Yezda go uderzył; cios i wściekłość, jaką wywołał, wypaliły wino z jego krwi. Był zaskoczony pewnością swego głosu, kiedy odpowiadał:

— Wiesz równie dobrze jak ja, że oblałem cię winem przez przypadek. Lecz jeśli musisz brać to do siebie, miecz i tarcza załatwią się z tym doskonale.

Avshar odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem, wypełniając salę dźwiękiem zimniejszym i okrutniejszym niż wycie wszystkich zimowych zamieci, które spadały na Imbros.

— Niech tak będzie — własnymi ustami wypowiedziałeś swoją zagładę. Mebod! — krzyknął i służący Yezda o zaleknionej twarzy pojawił się przy nim. — Przynies broń z moich apartamentów. — Skłonił się szyderczo przed Rzymianinem. — Widzisz, Videssańczykom nie spodobałoby się, gdyby ktoś, kto *nie* darzy ich miłością, przybył uzbrojony na uroczystość, którą zaszczylił swoją obecnością ich drogocenny Imperator. Taso Vones szarpnął Skaurusa za ramię.

— Zupełnie straciłeś rozum? To najbardziej morderczy szermierz, jakiego w życiu widziałem, zwycięzca wielu! pojedynków, a poza tym czarownik. Błagaj go teraz o wybaczenie, zanim wytnie ci drugie usta w gardle.

— Prosiłem go raz, lecz wydaje się, że nie jest w nastroju do wybaczenia. Poza tym — rzekł Marek, myśląc o potężnej broni, którą miał u boku — może wiem coś, czego on nie wie.

Gajusz Filipus był tak pijany, że ledwo mógł utrzymać się na nogach, lecz mimo to stwierdził ze znajomością rzeczy człowieka walki:

— Ten wielki syn rajfurki najprawdopodobniej będzie próbował wykorzystać zasięg swych ramion, by porąbać cię na kawałki z niedostępnego dla ciebie dystansu. Zmniejsz więc dystans i wypuść z niego powietrze.

Marek skinął głową; sam postanowił obrać taką taktykę. — Poślij kogoś po moją tarczę, dobrze?

— Adiatun już po nią poszedł.

— Doskonale.

Kiedy wszyscy czekali na to, by przyniesiono broń walczących, paru wysokiej rangi oficerów oraz wielu służących odsuwało stoły pod ściany, by zrobić miejsce do walki.

Stawiano szybkie i wysokie zakłady. Okrzyki powiedziały Markowi, że nie liczone na jego zwycięstwo. Jednak poczuł zadowolenie, kiedy usłyszał, jak Helvis swym czystym kontraltem oznajmia: — Trzy sztuki złota na Rzymianina! — Gawtruz z Thatagush przybił jej zakład.

Sevastokrata Thorisin Gavras zawołał do Vardanesa Sphrantzesa: — Którego wybierasz, mistrzu pieczęci?

Niechęć na twarzy Sevastosa odnosiła się w równej mierze do Gavrasa, Avshara jak i Skaurusa. Potarł szczękę okoloną schludnie przyciętą brodą. — Choć mówię to ze smutkiem, wydaje się aż nadto prawdopodobne, że zwycięży Yezda.

— Jesteś tego pewien na tyle, by postawić sto sztuk złota? Sphrantzes zawahał się znowu, a potem skinął głową.

— Stoi! — zawołał Thorisin. Marek ucieszył się, że ma za sobą Sevastokratę, lecz wiedział, że brat Imperatora równie szybko postawiłby na Avshara, gdyby Sphrantzes wybrał jego.

W sali rozległ się okrzyk, kiedy służący ambasadora Yezd powrócił z orężem swego pana. Marek z zaskoczeniem stwierdził, że Avshar używa długiego, prostego miecza, a nie zakrzywionego pałasza, zwykłej broni mieszkańców zachodu. Tarczę miał okrągłą, ze sterzącym pośrodku kolcem.

Parę chwil później wrócił Adiatun ze *scuto* trybuna.

— Posiekaj go na plasterki — powiedział, klepnąwszy Skaurusa po ramieniu.

Rzymianin wyciągnął swój miecz, kiedy coś jeszcze przyszło mu do głowy. — Czy Avshar nie będzie chciał, bym ściągnął zbroję? — zapytał Taso Vonesa.

Vones potrząsnął głową. — Powszechnie wiadomo, że sam pod tymi szatami nosi kolczugę. Rozumiesz, nie jest posłem zaprzyjaźnionego kraju.

Ostatnią chwilę przed walką Marek spędził wyrzucając sobie, że tak się upił. Zastanowił się, ile wina ma w sobie Avshar. A potem było już za późno na takie zmartwienia. Pozostał tylko krąg ożywionych, obserwujących z napięciem twarzy, z nim i Yezdą pośrodku — a potem, gdy Avshar skoczył, by powalić go jednym ciosem, zapomniał o nich również.

Jak na człowieka tak wysokiego, Yezda był diabelnie szybki, i silny na dodatek. Marek sparował tarczą jego pierwsze ciecie i zachwiał się pod nim, zastanawiając się, czy nie złamało mu ręki. Pchnął w górę, w niewidoczną twarz Avshara. Yezda płynnie odskoczył, a potem zaatakował znowu jeszcze jednym ciecieniem, zadany z wykorzystaniem całej długości ręki.

Wydawało się, że ma tyle ramion co pajak i miecz w każdym z nich. W ciągu paru chwil Marek otrzymał ciecie w górną część prawego ramienia i jeszcze jedno, na szczęście płytkie, tuż nad prawym nagolennikiem. Tarczę miał porąbaną i powyginaną. Avshar władał swoim ciężkim mieczem jak wtką.

Przez zwyciężywszy rozpacz, Marek zaatakował. Avshar odbił cios tarczą. Nie pękła, na co Rzymianin miał nadzieję, lecz pod wpływem uderzenia zaskoczony Avshar zrobił do tyłu dwa kroki. Uniósł klingę w szyderczym salucie.

— Masz dobry miecz, włóczęgo, ale są zaklęcia chroniące przed taką bronią.

Jednak od tej chwili walczył ostrożniej, a gdy wysiłek walki pomógł wypędzić wino z krwiobiegu Skaurusa, Rzymianin nabrał pewności i większej wiary w siebie. Zaczął atakować; jego ostrze śmigało raz wysoko, raz nisko, a Avshar niechętnie oddawał pole krok po kroku.

Yezda, który dotychczas milczał, choć wszędzie wokół niego głosy wznosiły się w pieśni, zaczął monotonicznie śpiewać. Śpiewał w jakimś mrocznym języku, silnym, chrapliwym i mrozącym krew w żyłach, gorszym nawet niż jego śmiech. Światło pochodni przygasło i niemal zniknęło w pajęczynie ciemności wirującej przed oczyma Marka.

Lecz na całej długości klingi Rzymianina gorącym i złotym blaskiem zapłonęły druidyczne runy, odbijając zaklęcie, które rzucił czarownik. Skaurus sparował cios wymierzony w jego twarz.

Mogło to trwać tylko chwilę, bowiem kiedy odbijał cios, jakaś kobieta w tłumie — pomyślał, że to Helvis — krzyknęła: — Tylko bez czarów!

— Też coś! Żadne nie są potrzebne przeciwko robakowi takiemu jak ten! — warknął Avshar, ale przestał śpiewać. Teraz trybun zdobył przewagę. Jeden z jego ciosów ściał kolec na wypukłości tarczy Avshara. Szaty posła Yezd zaczęły przypominać strzępy i poczerwieniały nie tylko od wina.

Z okrzykiem zawiedzionej wściekłości Avshar rzucił się na Rzymianina, usiłując po raz ostatni zgnieść go ślepą siłą. Wyglądało to tak, jak stawienie czoła trąbie powietrznej ze stali, lecz w swym gniewie Yezda zapomniał o ostrożności i wreszcie Marek zrozumiał, że nadeszła jego chwila.

Zamarkował cios w twarz Avshara i wyszedł z finty szybkim pchnięciem mierzącym w brzuch. Yezda złożył paradę tylko po to, by zrozumieć, za późno, że to również jest finta. Miecz Rzymianina uderzył go w skroń. Parada, jaką zaczął składać, była o wiele za wolna, lecz by ją ominąć, Skaurus musiał skrócić nieco nadgarstek. Stąd jego miecz uderzył w bok głowy Avshara płazem, a nie ostrzem.

Yezda zachwiał się, jak rażone piorunem drzewo, a potem runął, upuszczając miecz. Skaurus

zrobił krok naprzód, by skończyć z nim, lecz zatrzymał się i potrząsnął głową.

— Zabicie nieprzytomnego człowieka to robota rzeźnika — powiedział. — To on kłócił się ze mną, nie ja z nim. — Wsunął klingę do pochwy.

Z pełnych wyczerpania chwil, które nastąpiły po walce, zapamiętał jedynie drobne odpryski z potoku gratulacji, jaki spłynął na niego. Komentarz Gajusza Filipusa był, jak zwykle, krótki i trafny: — To zły człowiek — powiedział, gdy Avshar, opierając się na swoim służącym, chwiejnym krokiem opuścił salę — i powinienes skończyć z nim, kiedy miałaś tę możliwość.

Z wygranym złotem podzwaniającym w dłoni, Helvis wyściskała i wycalowała trybuna, podczas gdy Hemond walił go w plecy i wyrzaskiwał do ucha pijackie gratulacje.

A Taso Vones, choć ucieszony widokiem upokorzonego Avshara, miał też do trybuna słowo przestrogi.

— Przypuszczam — gderał myśli człowieczek z Khatrish — że roi ci się, iż mógłbyś teraz zdobyć Mashiz w pojedynek, a wszystkie dziewczyny, tu i tam, będą rzucały ci się na szyję.

Marek skierował swoją uwagę na Helvis, lecz Vones nie przestawał mówić.

— Nie wierz w to! — powiedział. — Parę lat temu Avshar dowodził oddziałem, który najechał zachodnie kresy Videssos, i pewien szlachcic imieniem Mourtzouphlos obszedł się z nim doprawdy niezwykle szorstko, by nie powiedzieć brutalnie. Następnej wiosny największy wąż, jakiego kiedykolwiek widziano w tamtych stronach, połknął Mourtzouphlosa.

— Przypadek — odparł tknięty nagłym niepokojem Marek.

— Cóż, być może, ale ręce Yezdy są długie. Mądrej głowie dość dwie słowie, że tak powiem. — I wyszedł, strzepując jakiś pyłek z rękawa swej brązowej szaty, jak gdyby zdumiony, że ktokolwiek mógłby podejrzewać istnienie jakiegoś związku pomiędzy nim a tym obcokrajowcem — na tyle nierozważnym, by pobić Avshara.

IV

Kiedy Adiatun poszedł do koszar po tarczę Marka, musiał pewnie zbudzić śpiących tam Rzymian. Przez okna wydobywał się blask płonących pochodni; wszyscy podnieceni żołnierze byli na nogach i nim Marek wrócił do swej kwatery, uzbrojona po zęby spora grupa legionistów gotowała się, by go pomścić.

— Nie wykazaliście zbyt wielkiego zaufania do umiejętności bojowych swego dowódcy — zwrócił się do nich, starając się nie pokazać po sobie, jak bardzo jest zadowolony z ich postawy. Zgotowali mu gromką owację, a potem stłoczyli się wokół niego, pytając o szczegóły pojedynku. Opowiedział całą historię najlepiej jak potrafił, zrzucając z siebie pas, zbroję i nagolenniki w trakcie relacji. W końcu ani chwili dłużej nie mógł już utrzymać opadających powiek.

Gajusz Filipus przyszedł mu z pomocą.

— Dowiedzieliście się najważniejszego. Całą resztę możecie usłyszeć jutro rano; wcześniej rano — rzekł na poły z pogroźką. — Przez ostatnie dwa dni, kiedy się tu lokowaliście, nie robiliście nic innego oprócz objania się, ale nie wyobrażajcie sobie, że tak będzie dalej.

Tak jak spodziewał się tego centurion, jego oświadczenie wywołało chór gwizdów i jęków, ale też wybawiło Skaurusa od dalszych pytań. Zasycały gaszone pochodnie. Trybun, wpełzając pod gruby wełniany koc, cieszył się z perspektywy snu jak nigdy w życiu.

Wydawało się, że zaledwie po paru sekundach zbudził się potrząsany, lecz przez okna wlewało się już morelowe światło brzasku. Wciąż jeszcze mając załzawione od snu oczy, zobaczył pochylającego się nad nim z gniewną miną Viridoviksa.

— Niech cię diabli wezmą, południowcze bez serca! — zawołał Gal.

Marek uniósł się na łokciu. — Co ja ci zrobiłem? — wychrypiał. Ktoś, stwierdził z absolutną bezstronnością, przepędził stado kóz przez jego usta.

— Co ty zrobiłeś, człowieku? Jesteś stuknięty? Najpiękniejsza walka od czasu, kiedy tutaj przybyliśmy, a mnie tam nie było, żeby ją zobaczyć! Dlaczego nie posłałeś po mnie kogoś, bym mógł zobaczyć całą awanturę na własne oczy, a nie dowiadywać się o niej z drugiej ręki?

Skaurus usiadł ostrożnie. Choć nie miał żadnych określonych planów na rano, nie miał zamiaru tracić czasu na uspokajanie wściekłego Celta.

— Po pierwsze — stwierdził z naciskiem — nie miałem pojęcia, gdzie cię szukać. Wyszedłeś na

chwile przed tym, nim zderzyłem się z Avsharem. Poza tym, o ile się nie mylę, wyszedłeś nie sam.

— Och, to była zimna i niezdarna dziewczka, mimo jej wspaniałych piersi. — Zatem wyszedł ze służącą. — Ale to nie ma znaczenia. Żadnego. Zawsze można znaleźć dziewczęta, lecz teraz dobra walka to jednak zupełnie coś innego.

Marek wytrzeszczył na niego oczy, uświadamiając sobie, że Viridoviks mówi poważnie. Oszołomiony potrząsnął głową. Nie potrafił zrozumieć postawy Celta. Prawda, niektórzy Rzymianie lubowali się w rozlewie krwi, lecz większość — łącznie z nim — walczyła wówczas, kiedy zachodziła taka konieczność i kończyła walkę tak szybko, jak to tylko było możliwe.

— Jesteś dziwnym człowiekiem, Viridoviksie — powiedział w końcu.

— Gdybyś patrzył moimi oczami, pewnie i ty ujrzałbyś w sobie zabawne dziecko. Niegdyś pewien Grek wędrował przez moje ziemie, na kilka lat przedtem nim wy, Rzymianie — którzy nie macie do nich żadnego prawa — postanowiliście nam je odebrać. Ów Grek miał bzika na punkcie zrozumienia, w jaki sposób działają rzeczy. Taki właśnie był. Miał ze sobą mechanizm zegarowy; cudowną rzecz z trybami i naciągami, i nie wiem z czym jeszcze, i bez przerwy dłubał przy nim, by właściwie działał. Czasami zachowujesz się nieco podobnie, tylko że ty robisz to z ludźmi. Jeśli nie rozumiesz ich, dlaczego sądzisz, że to oni się mylą, a nie ty, i nie chcesz mieć z nimi nic wspólnego?

— Hmm, — Marek rozważył to i stwierdził, że uwadze Celta nie można odmówić słuszności. — Co się stało z tym twoim Grekiem?

— Miałem nadzieję, że zapytasz o to — odparł z uśmiechem Viridoviks. — Siedział pod starym, uschłym drzewem, zabawiając się swoim zegarem spokojnie jak zawsze, kiedy konar, którego nie zauważył, spadł na jego biedną, głupią głowę i zmiażdżył go na placek, tak że musieliśmy pochować jego zwłoki ułożone na drzwiach i przykryte drugimi. Biedaczyna. Uważaj, żeby to samo nie przytrafiło się tobie.

— Niech cię zaraza! Jeśli masz zamiar opowiadać historie z takimi morałami, możesz zacząć nosić błękitne szaty. Krwiożerczego Celta zniosę, lecz niech bogowie chronią mnie przed Celtem—kaznodzieją!

Po robocie, jaką wykonał poprzedniej nocy, trybun stwierdził, że ma prawo przekazać prowadzenie porannej musztry Gajuszowi Filipusowi. To, co pobieżnie zdążył zobaczyć przed kilkoma dniami, wzmogło jego apetyt na zwiedzanie. Było to większe, pełniejsze życia i bardziej rozawanturowane miasto niż Rzym. Pragnął skosztować jego życia, zamiast oglądać je skamieniałe okiem maszerującego w paradzie żołnierza.

Morskie ptaki wirowały i skrzeczały w górze, gdy opuścił wytworny spokój imperatorskiej dzielnicy i zanurzył się w zgiełk rynku Palamasa, wielkiego placu nazwanego imieniem zmarłego przed dziewięcioma wiekami Imperatora. Pośrodku placu stał Kamień Milowy, kolumna z czerwonego

granitu, od którego liczono odległości do różnych miejsc w całym Imperium. U podstawy kolumny sterczały zatknięte na pikach dwie głowy, niemal już pozbawione ciała przez upływ czasu i zabiegi padlinożerców. Umieszczone pod nimi tabliczki przedstawiały zbrodnie, jakich ich właściciele dopuścili się za życia. Znajomość pisanego języka Videssos, jaką posiadał Marek, wciąż pozostawiała co nieco do życzenia, lecz pogłowiwszy się trochę zrozumiał, że ci niegodziwcy byli zbuntowanymi generałami, na tyle w dodatku bezczelnymi, by pomocy dla rebelii szukać w Yezd. Stwierdził, że zasłużyli sobie co najmniej na żerdzie, które obecnie zajmowali.

Mieszkańcy Videssos nie zwracali uwagi na makabryczną ozdobę kolumny. Głowy na pikach widzieli już przedtem i spodziewali się, że te nie będą ostatnimi.

O Skaurusie natomiast można było powiedzieć wszystko tylko nie to, że nie zwracano na niego uwagi. Sądził, że będzie jednym z tysięcy obcokrajowców, lecz tajemnicza sieć przekazująca wieści, jaka istniała w każdym wielkim mieście, wyróżniła go jako człowieka, który pobił wzbudzącego przerażenie Avshara. Ludzie tłoczyli się, by potrząsnąć jego rękę, klepnąć po plecach, albo po prostu dotknąć go i zaraz cofnąć się z wyrazem nabożnej czci na twarzy. Z ich zachowania wobec siebie zaczął uświadamiać sobie, jak wielki strach musiał wzbudzać Yezda.

Wydostanie się stamtąd było prawie niemożliwe. Przy każdym straganie, który mijał, kupcy i handlarze wciskali mu próbki swych towarów; smażone w cukrze migdały; pieczone wróble nadszawane ziarnami sezamu; spiżowe skalpele; amulety przeciwko zgadze, biegunce albo opętaniu przez demona; wina i piwa ze wszystkich zakątków Imperium i spoza jego granic; książkę z erotycznymi wierszami, pechowo — kierowanymi do jakiegoś chłopca. Nikt nie chciał słyszeć od niego słowa „nie” i nikt nie chciał przyjąć nawet miedziaka zapłaty.

— To dla mnie zaszczyt, wielkie wyróżnienie, że mogę służyć Rzymianinowi — oświadczył rumianolicy piekarz z sumiastymi, czarnymi wąsami, gdy podawał trybunowi wciąż jeszcze parującą, słodką bułkę ze swego pieca.

Próbując uwolnić się przed własną popularnością, Marek umknął z rynku Palamasa w boczne uliczki i zaułki miasta. W takim labiryncie łatwo było się zgubić i wkrótce tak właśnie stało się z trybunem. Jego błakające się bez celu stopy zaprowadziły go do dzielnicy pełnej małych, brudnych tawern, domów, niegdyś porządných, lecz obecnie znajdujących się w opłakanym stanie z powodu opuszczenia bądź przeludnienia, i straganów zapchanych rupieciami albo podejrzanymi tanimi, albo niedorzecznie drogimi. Młodzi mężczyźni w jasno farbowanych trykotach i workowatych tunikach uliczników wałęsali się tu i tam w grupach po trzech lub czterech. Było to tego rodzaju miejsce, gdzie nawet psy chodziły parami.

Trybun nie miał zamiaru kosztować aż tak zjęłczalego smaku Videssos. Zaczął szukać drogi do jakiejś dzielnicy, gdzie mógłby czuć się bezpieczny bez manipułu żołnierzy za plecami, kiedy poczuł palce ukradkiem zaciskające się na jego pasie. Jako że spodziewał się tego rodzaju zaintere-

sowania sobą, spokojnie okręcił się na pięcie i zamknął nadgarstek niezręcznego złodzieja w żelaznym uścisku.

Sądził, że złapał jednego z uśmiechających się szyderczo młodzieńców, którzy włóczyli się tutaj w poszukiwaniu łupu, lecz okazało się, że jeńcem jest mężczyzna mniej więcej w jego wieku, ubrany w wyświechtany samodział. Niedoszły kieszonkowiec wcale nie próbował wyrwać się z jego uścisku. Zamiast tego oklapł, twarzą jak i całą postawą wyrażając absolutną rozpacz.

— W porządku, masz mnie, przekłety najemniku, ale diablo mało możesz mi zrobić — powiedział. — I tak w ciągu paru dni umarłbym z głodu.

Rzeczywiście *był* chudy. Spodnie i koszula trzepotały na nim luźno, a kości policzkowe wystawały ostro spod napiętej skóry. Lecz bary miał szerokie, a jego ręce wyglądały na silne — zarówno jego postawa jak i akcentowana mowa wskazywały, że bardziej przywykł do chodzenia za pługiem niż do czajenia się w tym zaułku. Kiedyś nosił też broń. Wyraz, jaki miały jego oczy, Marek widywał już przedtem u żołnierzy wiedzących, że poniosą klęskę z rąk przeważających sił wroga.

— Gdybyś poprosił mnie o pieniądze, z radością dałbym ci je — powiedział, puszczejąc rękę swego jeńca.

— Nie chcę niczyjego miłosierdzia, a już najmniej miłosierdzia jakiegoś zawszonego najemnika — warknął mężczyzna. — Gdyby nie najemnicy, nie byłoby mnie tutaj dzisiaj i zaprawdę wiele bym dał, żeby mnie nie było. — Zawahał się. — Nie masz zamiaru oddać mnie w ręce zarządcy?

Wymiar sprawiedliwości rządcy zwykł stosować kary szybko, pewnie i dolegliwie. Gdyby Skaurus pochwycił na próbie kradzieży jednego z uliczników, przekazałby go rządcy bez chwili namysłu. Lecz co ów zagubiony wieśniak robił w dzielnicy ruder Videssos, zmuszony do popełniania drobnych kradzieży po to, by przeżyć? I dlaczego za swoją nędzę winił najemników? Był z niego taki sam złodziej, jak z Marka drwał. Trybun podjął decyzję.

— Mam zamiar kupić ci jedzenie i dzban wina. Czekaj — zapracujesz na to. — Zobaczył, jak ręka mężczyzny podnosi się w geście odmowy. — W zamian odpowiesz na moje pytania i powiesz, dlaczego nie lubisz najemników. Dobiliśmy targu?

Grdyka wieśniaka przesunęła się pod skórą chudej szyi.

— Moja duma mówi — nie, ale mój brzuch mówi — tak, a ja nie miałem ostatnio wielu możliwości, by go słuchać. Jesteś dziwnym człowiekiem. Rozumiesz, nigdy nie widziałem takiego stroju i broni jak twoje, w dodatku mówisz śmiesznie i jesteś pierwszym najemnikiem, jakiego zdarzyło mi się widzieć, który chce nakarmić głodnego człowieka, zamiast kopnąć go w pusty brzuch. Nazywam się Phostis Apokavkos i bardzo ci dziękuję.

By dopełnić formalności, Skaurus przedstawił się również. Gospoda, do której zaprowadził ich Phostis, okazała się rudera, której właściciel smażył podejrzane kawałki mięsa w zatechłym oleju i podawał je na kawałkach jęczmiennego chleba z nie przesianej mąki. Lepiej było nie myśleć, z

czego zrobiono wino. Tego Apokavkos nie mógł znieść, nawet jeśli ta spelunka była miarą jego biedy.

Przez dłuższy czas niewiele mówił, zbyt zajęty żuciem i połykaniem, lecz w końcu zwolnił, czknął potężnie i poklepał się po brzuchu. — Tak przywykłem do tego, że jest pusty, że niemal zapominałem, jakie to miłe uczucie, kiedy jest pełen. Więc chcesz usłyszeć moją historię, czy tak?

— Teraz jeszcze bardziej niż przedtem. Nigdy nie widziałem człowieka, który zjadłby tak dużo.

— Łyżka nie wystarcza, kiedy kiszki grają marsza. — Pociągnął wina. — Toż to pomyje, czyż nie? Byłem zbyt głodny, by zauważyć to przedtem. Sam uprawiałem lepsze winorośle, dawniej, na moim gospodarstwie...

— Tak, od tego chyba mogę zacząć swoją opowieść. Otóż miałem gospodarstwo w prowincji Raban, niedaleko od granicy z Yezd. Sądzę, że znasz kraj?

— Niezbyt dobrze — przyznał Marek. — Jestem nowy w Videssos.

— Tak myślałem. No więc, prowincja Raban leży po drugiej stronie Końskiego Brodu, mniej więcej miesiąc drogi piechotą stąd. Wiem, bo byłem takim głupcem, że odbyłem tę drogę. W każdym razie, to gospodarstwo należało do naszej rodziny dłużej, niż sięgaliśmy pamięcią. Nie byliśmy też tylko wieśniakami; zawsze należeliśmy do miejscowej milicji. Na wezwanie milicji musieliśmy wysyłać człowieka na wojnę i trzymać konia oraz ekwipunek w każdej chwili gotowe do walki, lecz w zamian wymigiwaliśmy się od płacenia podatków. Czasami nawet otrzymywaliśmy za to zapłatę, kiedy rząd było na to stać.

— W każdym razie tak opowiadał o tym mój dziadek. Brzmiało to zbyt pięknie, by mogło być prawdziwe, jeśli o mnie chodzi. To właśnie za czasów mojego dziadunia rodzina Mankaphas wykupiła niemal wszystkie gospodarstwa w dolinie, łącznie z naszym. Tak więc służyliśmy Mankaphajom zamiast rządowi, lecz sprawy wciąż nie miały się źle; dalej nie dopuszczali do nas poborców podatków.

Marek pomyślał o tym, jak to wyglądało w Rzymie, gdzie przydział ziemi dla przechodzących w stan spoczynku żołnierzy zależał nie od Senatu, lecz od ich generałów. Znając aż nadto dobrze problemy, z jakimi borykał się jego własny kraj, domyślił się, o czym będzie następne zdanie Apokavkosa, zanim jeszcze zostało wypowiedziane

— Oczywiście, urzędnicy nie byli szczęśliwi z powodu utraty naszych podatków, a jeszcze mniej szczęśliwi byli Mankaphajowie płacąc podatki za nas; teraz, kiedy cała ziemia należała do nich. Pięć lat temu Phostis Mankaphas — po nim otrzymałem swoje imię — zbuntował się wraz ze sporą grupą innych szlachciców. Działo się to na rok przedtem, nim Mavrikios Gavras rozpetał awanturę na tyle wielką, że się powiodła, i zostaliśmy zgnieceni — powiedział ponuro Apokavkos. Trybun zauważył, że bez wahania stanął po stronie swego patrona. Po raz pierwszy też usłyszał, że obecnie panujący Imperator zdobył tron dzięki udanej rebelii.

— Gryzipiórki rozdrapały majątek Mankaphajów i powiedziały, że sprawy będą wyglądały tak, jak za czasów dziadunia. Ha! Nie mogli zaufać nam jako milicji; walczyliśmy po stronie szlachty. Tak więc pojawili się poborcy podatków, żądając od razu wszystkich opłat, i to od czasu, kiedy pradziadek Phostisa kupił naszą ziemię. Wytrzymałem to tak długo, jak się dało, lecz gdy krwio pijcy skończyli, nie miałem już na czym ani czego uprawiać.

— Wiedziałem, że tam nie mam szans, i pomyślałem, że może nie będzie tak tutaj, więc rok temu opuściłem swoje rodzinne strony. Rzeczywiście, dużo mi to dało. Nie potrafię kłamać ani oszukiwać; znam się tylko na żołnierce i uprawie roli. Zacząłem głodować od chwili mojego przybycia tutaj i tak już było przez cały czas. Całkiem się też z tym pogodziłem, aż nagle ty się zjawiłeś.

Skaurus pozwolił Apokavkosowi snuć jego opowieść nie przerywając. Teraz, kiedy skończył, Rzymianin stwierdził, że odpowiedzi, jakie usłyszał, zrodziły jeszcze więcej pytań. — Ziemie twojego pana graniczyły z Yezd?

— W każdym razie leżały dość blisko granicy.

— I zbuntował się przeciwko Imperatorowi. Czy miał wsparcie z zachodu?

— Od tych gnojożerców? Nie, walczyliśmy z nimi i równocześnie korowodziliśmy się z urzędnikami. To jeden z powodów, dla których przegraliśmy.

Marek zamrugął; nie była to najwspanialsza strategia. Coś innego nie dawało mu spokoju.

— Ty, i przypuszczam, że jeszcze sporo takich jak ty, tworzyliście milicję, tak powiedziałeś?

— Tak, tak właśnie powiedziałem.

— Lecz kiedy się zbuntowaliście, milicja się rozpadła?

— Słuchaj, przecież ci mówiłem, czy nie?

— Ale jesteście w stanie wojny z Yezd, albo tak blisko niej, że nie robi to żadnej różnicy — zaprotestował trybun. — Jak można rozpuszczać wojsko w takim czasie? Kto zajął jego miejsce?

Apokavkos spojrział na niego dziwnie. — Powinieneś wiedzieć.

Mnóstwo rzeczy stało się nagle jasnych dla Skaurusa. Nic dziwnego, że Imperium miało kłopoty! Jego władcy stwierdzili, że nie mogą ufać miejscowym żołnierzom widząc, jak są wykorzystywani przez żądnych władzy arystokratów do walki z centralnym rządem. Ale Imperium wciąż miało wrogów za granicą, jak również musiało tłumić miejscowe rebelie. Zatem biurokraci Videsos najmowali zacieżne wojska, by walczyły za nich, co — trybun był tego pewien — stanowiło kurację gorszą od choroby.

Najemnicy stanowili rozwiązanie; dopóki regularnie otrzymywali żołd i dopóki ich dowódcom bardziej zależało na pieniądzu niż na władzy. Jeśli zdarzyłaby się któraś z tych rzeczy... najemnicy mieli trzymać w szachu miejscową soldateskę, ale kto z kolei miałby ukrócić ich samowolę?

Potrząsnął głową w konsternacji.

— Co za bałagan! Och, jaki rozkoszny bałagan! — A my Rzymianie w samym jego środku, po-

myślał z niepokojem.

— Jesteś najosobliwszym usprawiedliwieniem najemnictwa, jakie kiedykolwiek widziałem — zauważył Apokavkos. — Każdy inny z tych drani intrygowałby, żeby dowiedzieć się, ile z tego może wycisnąć dla siebie i swoich ludzi, ale z pogłosek, jakie o tobie krążą wynika, że próbujesz ustalić, co jest najlepsze dla Imperium. Muszę przyznać, że tego nie rozumiem.

Marek zastanawiał się nad tym przez minutę czy dwie i stwierdził, że Apokavkos ma rację. Jak to mu jednak wyjaśnić?

— Jestem żołnierzem, to fakt, lecz nie zawodowym najemnikiem. Tak naprawdę nigdy nie planowałem wojskowej kariery. Moi ludzie i ja pochodzimy z miejsca leżącego dalej niż ktokolwiek — łącznie ze mną, jeśli już o to chodzi — może sobie wyobrazić. Videssos przyjął nas, choć przecież od razu mogliśmy zostać zabici. Jeśli mamy mieć dom, to musi nim być Imperium. Jeśli zginie, my zginiemy wraz z nim.

— Większość z tego potrafię zrozumieć i podoba mi się to, co mówisz. Jednak co miałeś na myśli mówiąc, że pochodzicie z tak daleka? Już ci powiedziałem, że wydajesz się tutaj nowy.

Tak więc chyba po raz dwudziesty trybun opowiedział o tym, jak Rzymianie — i kłótlivy Gal — pojawili się w Videssos. Kiedy skończył, Apokavkos wytrzeszczył na niego oczy.

— Musisz mówić prawdę; nikt nie mógłby żądać, by mu uwierzono, jeśli wymyśliłby taką historyjkę. Phos świadkiem, tysiące ludzi mogłoby opowiedzieć taką historię, jak moja albo podobną, ale odkąd żyję, nie słyszałem żadnej choć trochę podobnej do twojej. — Nakreślił ręką na piersi słoneczną tarczę.

— Było jak było. — Skaurus wzruszył ramionami. — Wciąż jednak pozostaje problem, co zrobić z tobą. — Zaczynał lubić tego tak osobliwie poznanego człowieka, doceniając jego trzeźwe spojrzenie na kłopoty, w jakich się znalazł. Nawet jeśli wiedziałby, że to nie wystarczy, Apokavkos dałby z siebie wszystko. W tym — pomyślał Marek — jest podobny do większości moich ludzi.

Ta myśl dała mu odpowiedź; zadowolony pstryknął palcami. Tych parę chwil, jakie poświęcił na zastanawianie się, było jednym z najgorszych dla Apokavkosa, w którym świeżo rozbudzona nadzieja walczyła z przecuciem nieszczęścia, jakiego nauczył się oczekiwać od życia.

— Przepraszam — powiedział Skaurus, ponieważ wszystko to odbiło się wyraźnie na twarzy Videssańczyka. — Nie chciałem cię martwić. Powiedz mi, czy nie zechciałbyś zostać Rzymianinem?

— Teraz wiem, że za tobą nie nadążam.

— To właśnie masz zrobić; podążyć za mną. Zaprowadzę cię do naszych koszar, otrzymasz tam ekwipunek i kwaterę wspólną z moimi ludźmi. Byłeś już przedtem żołnierzem; takie życie nie będzie dla ciebie ciężkie. Poza tym, niezbyt ci się powiodło jako Videssańczykowi, więc co masz do stracenia?

— Skłamałbym, jeśli powiedziałbym, że wiele — przyznał Apokavkos. Nieszczęśliwy pobyt w

stolicy zaowocował wielkomięjskim cynizmem, bowiem jego następne pytanie brzmiało: — A co będziesz z tego miał?

Skaurus wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Po pierwsze — dobrego żołnierza; jestem najemnikiem, pamiętasz? Jednak nie tylko o to chodzi. Szale twojej wagi przechyliły się na złą stronę i to nie była twoja wina. Jakoś mi się wydaje, że jeśli pomogę je nieco wyrównać, to będzie to sprawiedliwe.

Rolnik—wygnaniec ujął dłonie Marka w uścisku, który wciąż zawierał w sobie obietnicę wielkiej siły.

— Jestem twoim człowiekiem — powiedział, a jego oczy dziwnie załśniły. — Wszystko, czego kiedykolwiek pragnąłem, to równe szansę, i nigdy ich nie miałem, aż do tej chwili. Kto by pomyślał, że da mi je jakiś obcokrajowiec? Po zapłaceniu rachunku w tawernie — bezczelnie wygórowanego, jak na tak podłe jedzenie i picie — trybun pozwolił, by Apokavkos wyprowadził go z cuchnącego labiryntu, do którego się zabłąkał. Zaraz potem Videssańczyk powiedział:

— Teraz twoja kolej. To szczurze gniazdo jest jedyną częścią miasta, którą naprawdę znam. Nigdy nie miałem pieniędzy, by zobaczyć resztę.

Po krótkim błędzeniu i przy pomocy przechodniów dotarli na rynek Palamasa. Tam Marek, ku swej irytacji, natychmiast został ponownie rozpoznany. Apokavkosowi opadła szczęka, kiedy dowiedział się, że jego towarzysz pokonał na miecze wzbudzającego grozę Avshara.

— Raz czy dwa widziałem w akcji tego syna żmii, kiedy walczył przeciwko nam, dowodząc częścią armii króla Wulghasha. Sam wart jest połowy armii, ponieważ jest tak silny jak chytry, niestety. Pobił nas z kretezem.

Ogrody, place i budynki dzielnicy pałacowej wywarły na wieśniaku jeszcze większe wrażenie.

— Teraz wiem, czego oczekiwać, kiedy po śmierci zostanę łaskawie osądzony — zauważył. Uderzyła go jeszcze jedna myśl. — Światło Phosa! Będę spał pośrodku tego wszystkiego! Czy możesz to sobie wyobrazić? Naprawdę możesz? — Marek był pewien, że Apokavkos mówi do siebie.

Kiedy dotarli do koszar Rzymian, zastali przed nimi Tzimiskesa i Viridoviksa, pochylających się nad planszą do gry. Wielu Rzymian — jak również Gal — rozkochało się w wojennej grze, w jaką grali Videssańczycy. W przeciwieństwie do tych, które znali przedtem, rezultat zależał nie od szczęścia, lecz od zręczności graczy.

— Cieszę się, że cię widzę — powiedział Viridoviks, zmiatając pionki z planszy. — Teraz mogę powiedzieć temu oto naszemu przyjacielowi: „Dostałbym cię w końcu”, i w żaden sposób nie może zarzucić mi, że kłamie.

Trybun zauważył, jak niewiele własnych pionków usunął Celt i jak dużo Tzimiskesa. Videssańczyk zdecydowanie wygrywał i wszyscy trzej doskonale o tym wiedzieli — nie, wszyscy czterej,

jeśli uniesione brwi Apokavkosa cokolwiek znaczyły.

Tzimiskes zaczął coś mówić, lecz Viridoviks przerwał mu. — Gdzie znalazłeś tego stracha na wróble? — zapytał, wskazując na Apokavkosa.

— Jest co opowiadać. — Rzymianin zwrócił się do Tzimiskesa. — Neilos, cieszę się, że cię znalazłem. Chcę, byś zaopiekował się naszym przyjacielem — wymienił jego imię i przedstawił ich sobie — nakarmił go do syta, dał mu broń — i ubranie, jeśli już o to chodzi. Jest naszym pierwszym honorowym Rzymianinem. On... o co chodzi? Wyglądasz, jakbyś miał wybuchnąć.

— Skaurus, zrobię wszystko, czego sobie życzysz, a o powodach możesz opowiedzieć mi później. Imperator co godzinę od wczesnego ranka przysyła tu posłańców. Domyślam się, że chodzi o tę wczorajszą awanturę.

— Och. — To stawiało rzecz w odmiennym świetle. Uświadomił sobie, że bez względu na to, czy w mieście jest bohaterem, czy nie, Imperator wcale nie musi spoglądać przychylnym okiem na jednego ze swoich żołnierzy, który wszczął burdę z ambasadorem sąsiedniego państwa.

— Zastanawiam się, w jakie kłopoty się wpakowałem. Phostis, idź z Tzimiskesem. Jeśli mam zobaczyć się z Imperatorem, muszę się ogolić — wciąż nie chciał zapaść brody — umyć i przebrać.

Kolejny posłaniec Imperatora pojawił się, kiedy Marek zdrapywał ostatnie włosy z podbródka. Cekał ze źle ukrywanym zniecierpliwieniem, podczas gdy Rzymianin kąpał się i wdziawał świeżą opończę. — Najwyższy czas — powiedział, kiedy Marek wyszedł do niego, choć obaj wiedzieli, jak bardzo trybun się śpieszył.

Poprowadził Skaurusa obok Sali Dziewiętnastu Tapczanów, obok majaczącej bryły Głównego Sądu z jego niewiarygodnymi spizowymi wrotami, obok kompleksu dwupiętrowych koszar — kręcili się tam Namdalajczycy i Marek wypatrywał, lecz nie dostrzegł Hemonda — i przez zagajnik czereśniowych drzew, gęsto obsypanych pachnącym, różowym kwieciem, do ukrytego głęboko w nim odosobnionego budynku — prywatnych apartamentów imperatorskiej rodziny, jak uświadomił sobie Marek.

Jego niepokój zmniejszył się nieco. Gdyby Mavrikios zamierzał wyciągnąć wobec niego surowe konsekwencje, uczyniłby to publicznie, ażeby usatysfakcjonować urażoną godność Yezd.

Para strażników — obaj byli Videssańczykami — o wyglądzie próżniaków przechadzała się nonszalancko przy wejściu do prywatnych apartamentów. Zdjęli hełmy wystawiając się na promienie słońca; Videssańczycy uważali opaloną, ogorzałą cerę za oznakę męskiej urody; kobiet to nie dotyczyło.

Przewodnik Skaurusa musiał być dobrze znany strażnikom, którzy nawet symbolicznie nie wezwali go do opowiedzenia się, kiedy wprowadzał trybuna do środka. Okazało się jednak, że to nie do niego należało zaprowadzenie Skaurusa do samego Imperatora. Tuż za progiem wyszedł im na

spotkanie tłusty szambelan w kasztanowego koloru todze ozdobionej wzorami ze złotych żurawi. Szambelan spojrział pytająco na Rzymianina.

— W porządku, to ten — powiedział posłaniec. — Trochę trwało, nim się znalazł, co? — I nie czekając na odpowiedź wyszedł, by wykonać kolejne zadanie.

— Chodź ze mną, proszę — zwrócił się szambelan do Skaurusa. Mówił bardziej kontraltem niż tenorem, a jego policzki pozbawione były zarostu. Jak wielu videssańskich urzędników dworskich, był eunuchem. Marek przypuszczał, że było tak z tych samych powodów, dla których eunuchowie zapełniali dwory orientalnych monarchów w jego własnym świecie; jako niezdolnych z powodu kastracji do przejęcia tronu, uważano ich za bardziej godnych zaufania w bliskich kontaktach z osobą władcy.

Trybun wiedział, że tak jak wszystkie podobne reguły i ta ma swoje budzące grozę wyjątki.

Długi korytarz, którym prowadził go szambelan, rozjaśniało światło wpadające przez przezroczyste alabastrowe płytki umieszczone w stropie. Było mleczone i ciemniało, a potem znowu rozjaśniało się w miarę jak chmury przesłaniały słońce. Wyglądało to — pomyślał Marek — trochę jak światło rozproszone pod wodą.

A w jego blasku wiele było do obejrzenia. Co całkiem naturalne, mnóstwo najwspanialszych błyskotek z ponad tysiącletniej historii Imperium wystawiono tam dla przyjemności samych Imperatorów. W przejściu tłoczyły się rzeźby z marmuru i brązu; zapierająca dech w piersiach doskonałością swych kształtów ceramika, zdobiona wytworną precyzją wzorów; popiersia i portrety mężczyzn będących, jak domyślał się Skaurus, poprzednimi Imperatorami; religijne obrazy obasypane złotymi płytkami i szlifowanymi drogimi kamieniami; posązek stojącego dęba ogiera, tak dużego jak dłoń Marka, który musiał być wyrzeźbiony z pojedynczego szmaragdu. I wiele innych cudów, których nie widział dokładnie, ponieważ duma nie pozwalała mu nieustannie kręcić głową, jak pastuchowi na jarmarku w mieście. Nawet podłoga była wspaniałą mozaiką, przedstawiającą obrazy z życia wsi i sceny myśliwskie.

W takim towarzystwie zardzewiały, powyginany hełm na osobnym piedestale wydawał się razić nie na miejscu.

— Dlaczego to jest tutaj? — zapytał Marek szambelana.

— Jest to hełm króla Rishtaspa, władcy Makuranu — teraz powiedzielibyśmy „Yezd” — zdjęty z jego zwłok przez Imperatora Laskarisa, kiedy zdobył i złupił Mashiz siedemset — niech pomyślę chwilę — i trzydzieści dziewięć lat temu. Laskaris był najdzielniejszym z dzielnych. To jego portret wisi nad hełmem.

Obraz przedstawiał mężczyznę w początkach jesieni życia, o surowej twarzy okolonej szpakowatą brodą. Miał na sobie kolczugę z połączonych łusek, imperatorski diadem i purpurowe buty właściwe Imperatorom Videssos, lecz mimo to wyglądał bardziej jak starszy centurion niż

władca. Jego lewa dłoń spoczywała na rękojeści miecza; w prawej dzierżył lancę. Z włóczni zwisał błękitny jak niebo proporzec, z wielkim słonecznym symbolem Phosa.

Szambelan ciągnął dalej: — Laskaris przemocą nawrócił wszystkich pogan na prawdziwą wiarę, lecz, jako że Videssos okazał się niezdolny do utrzymania ich kraju pod swoim panowaniem, powrócili na drogę herezji.

Marek zastanowił się nad tym i żadna z myśli nie spodobała mu się. Nigdy przedtem nie przyszło mu do głowy, że można prowadzić wojny ze względów religijnych. Jeśli mieszkańcy Makuranu tak stanowczo obstawali przy swojej wierze, jak Videssańczycy czcili Phosa, to taka wojna musiała być niezwykle zacięta.

Eunuch wprowadził go do małej, zaskakująco skromnie urządzonej komnaty. Jej umeblowanie składało się z tapczanu, biurka i pary krzeseł, lecz pominiawszy obraz Phosa, była pozbawiona dzieł sztuki, które wypełniały korytarz. Papiery na biurku zostały zepchnięte na bok, by zrobić miejsce dla prostego glinianego dzbana z winem i tacy z ciastkami.

Na sofie siedział Imperator, jego córka Alypia i mniej więcej sześćdziesięcioletni mężczyzna z wielkim brzuchem, którego Marek widział, lecz nie miał okazji poznać poprzedniego wieczoru.

— Jeśli zechcesz oddać mi swój miecz, panie... — zaczął szambelan, lecz Mavrikios przerwał mu.

— Och, idź już sobie, Mizizios. Nie przyszedł tu po moją głowę, jeszcze nie, w każdym razie; nie poznał mnie wystarczająco dobrze. A ty niepotrzebnie stoisz tam czekając, by padł na twarz. To wbrew jego religii, czy tam czegoś równie głupiego. Idź już, niech cię nie widzę.

Z wyrazem lekkiego zgorszenia na twarzy, Mizizios zniknął. Kiedy odszedł, Imperator skinął ręką na oszołomionego Skaurusa, by wszedł do środka.

— Jestem teraz prywatną osobą, więc jeśli chcę, mogę zlekceważyć etykietę — a właśnie chcę — rzekł Gavras. To jednak był brat Thorisina; choć porywczą gwałtowność Thorisina byk w nim stłumiona, nie oznaczało to, że wygasa.

— Może powiesz mi, kim jestem — zasugerował starszy mężczyzna. Miał ujmująco nieładną twarz; jego sięgającą niemal brzucha śnieżnobiałą brodę znaczyły czarne jak węgiel pasemka. Wyglądał jak uczonec lub lekarz, lecz z jego szat wynikało, że mógł pełnić tylko jedną funkcję; miał na sobie obsypany klejnotami złotogłów z dużym kręgiem z błękitnego jedwabiu na lewej piersi.

— Pewnie, powiem — zgodził się Imperator, nie przejmując się pokrzywdzonym tonem mężczyzny. Nie ulegało wątpliwości, że ci dwaj mężczyźni znali się i lubili od lat. — Obcy przybyszu, ta oto beka słoniny nazywa się Balsamon. Kiedy obejmowałem tron, on zajmował stanowisko Patriarchy Videssos, a ja byłem na tyle głupi, by go na nim pozostawić.

— Ojczy! — upomniała go Alypia, lecz bez przekonania. Kiedy patriarcha się kłaniał, Marek badał wzrokiem jego

twarz, szukając w rysach śladów fanatyzmu, tak wyraźnie widocznych u Apsimara. Nie znalazł żadnych. Mądrość i radość dominowały na twarzy Balsamona; mimo wieku, brązowe oczy dostojnika wciąż patrzyły przenikliwie i należały do najbystrzejszych, jakie trybun kiedykolwiek widział.

— Bądź błogosławiony, mój przyjacielu poganinie — powiedział Balsamon. Wypowiedziane czystym tenorem, jego słowa stanowiły przyjacielskie pozdrowienie, bez śladu protekcyjności. — I usiądź w końcu. Jestem nieszkodliwy, zapewniam cię.

Całkowicie zdezorientowany, Marek osunął się na krzesło.

— Zatem do rzeczy — powiedział Gavras tonem, w którym zabrzmiała część jego imperatorskiej godności. Wskazał oskarżycielsko palcem na Rzymianina. — Masz wiedzieć, że udzielono ci nagany za to, że zaatakowałeś i grubiańsko znieważyleś ambasadora Khagana z Yezd. Zostałeś ukarany grzywną w wysokości tygodniowego żołdu. Moja córka i patriarcha Balsamon są świadkami tego wyroku.

Trybun, z kamiennym wyrazem twarzy, skinał głową; czegoś takiego oczekiwał. Imperator opuścił palec i jego twarz rozciągnęła się w uśmiechu.

— Kiedy już to powiedziałem, powiem coś jeszcze — brawo, chłopcze! Mój brat wpadł tutaj jak burza, by zbudzić mnie ze zdrowego snu i pokazać każde pchnięcie i paradę. Wysłanie do niego Avshara stanowiło rozmyślną zniewagę i to, że żart Wulghasha obrócił się przeciwko niemu, wcale mnie nie zasmuca.

Jeszcze raz spoważniał. — Yezd to choroba, nie naród i mam zamiar zetrzeć ją z powierzchni ziemi. Videssos i niegdysiejszy Makuran zawsze ze sobą walczyły; oni, by zdobyć dostęp do Morza Videssańskiego albo Morza Żeglarzy, my — by przejąć ich bogate rzeczne doliny; a obie strony, by kontrolować przełęcze, kopalnie i doskonałych wojowników Vaspurakanu, zamieszkujących ziemie leżące pomiędzy naszymi. Powiedziałbym, że w ciągu stuleci auty w tej grze były równo rozdzielone.

Skaurus, słuchając tego, żuł ciastko. Było znakomite; z orzechami i rodzynkami, obsypane z wierzchu cynamonem i doskonale pasowało do aromatycznego wina, jakie znajdowało się w dzbanie. Trybun starał się zapomnieć stęchłe pomyje, które pił przedtem w dzielnicy ruder Videssos.

— Jednak czterdzieści lat temu — ciągnął Imperator — Yezda ze stepów Shaumkhiil splądrowali Mashiz, zawładnęli całym Makuranem i poprzez Vaspurakan uderzyli na Imperium. Zabijają dla samej radości zabijania, kradną to, co mogą unieść, i niszczą to wszystko, czego nie mogą zabrać. A ponieważ są koczownikami, z radością pustoszą wszystkie rolnicze ziemie, przez które przechodzą. Nasi rolnicy, którzy stanowią najliczniejszą grupę podatników Imperium, zostali wymordowani albo pozbawieni środków do życia i w konsekwencji w miastach zachodnich prowincji zapanował głód, ponieważ nie miał kto dostarczyć im żywności.

— Co gorsza, Yezda czczą Skotosa — rzekł Balsamon. Kiedy Marek nic na to nie odpowiedział,

patriarcha spojrział na niego, unosząc krzaczastą siwą brew w wyrazie sardonicznego rozbawienia. — Myślisz może, że powiedziałbym tak pewnie o każdym, kto nie jest moim współwyznawcą? Musiałeś widzieć wystarczająco dużo naszych kapłanów, by wiedzieć, że większość z nich nie traktuje łagodnie niewiernych.

Marek wzruszył ramionami, nie mając ochoty dać wiążącej odpowiedzi. Miał nieprzyjemne uczucie, że patriarcha gra z nim w jakąś grę i jeszcze bardziej przykrą pewnością, że Balsamon jest o wiele zręczniejszym graczem.

Patriarcha roześmiał się z jego wymijającej odpowiedzi. Śmiał się głośno i radośnie, zapraszając wszystkich, którzy go słyszeli, do udziału w dowcipie. — Mavrikios, toż to dworzanin, nie żołnierz!

Wciąż z rozbawieniem w oczach, zwrócił się ponownie do Rzymianina.

— Obawiam się, że nie jestem typowym kapłanem. Był czas, kiedy Makurańczycy oddawali cześć swym Czterem Prorokom, których imiona wyleciały im z głowy. Myślę, że ich wiara była zła, myślę, że była głupia, ale nie uważam, by skazywała ich na potępienie albo uniemożliwiała pertraktowanie z nimi. Jednak Yezda czczą swych bogów wypatroszonymi ofiarami wijącymi się na ich ołtarzach i przyzywają demony, by nasyciły się resztkami. Są nikczemnym ludem i muszą być zmiżdżeni. — Jeśli cokolwiek przekonało Marka o szczerości słów Balsamona, to był tym prawdziwy żal, jaki brzmiał w jego głosie... to, i wspomnienie chłodnego głosu Avshara, rzucającego zaklęcie, kiedy walczyli.

— I ja ich zmiżdżę — podjął Mavrikios Gavras. Zrzucając z siebie opanowanie, uderzył prawą pięścią w lewą dłoń. — W ciągu dwóch pierwszych lat od chwili, kiedy objąłem tron, walczyłem z nimi i doprowadziłem do tego, że przywarowali przy naszych granicach. W zeszłym roku, z tych czy innych powodów — nie wdawał się w szczegóły, a jego twarz przybrała tak ponury wyraz, że Marek nie śmiał o nie zapytać — nie mogłem wyruszyć przeciwko nim. Ponieśliśmy tego skutki, w postaci najazdów, napadów i cierpień naszych ludzi. Tego roku, jeśli Phos zechce, będę mógł nająć dość wojsk zaciężnych, by zmiżdżyć Yezd raz na zawsze. Twoje przybycie tutaj odczytałem jako dobry omen, mój dumny przyjacielu z innego świata.

Przerwał, czekając na odpowiedź Rzymianina. Skaurus przypomniał sobie swoje pierwsze wrażenie na widok tego człowieka; wrażenie, że najlepszym sposobem postępowania z nim jest mówić mu prawdę.

— Myślę — powiedział, z uwagą dobierając słowa – że zamiast wydawać pieniądze na obce wojska, lepiej zrobiłbyś odtwarzając milicję wieśniaków, którą niegdyś miałeś.

Imperator wytrzeszczył na niego oczy z otwartymi ustami. Rzuciwszy spojrzenie na Balsamona, Marek doznał satysfakcji widząc, że patriarchą również udało mu się wstrząsnąć. Natomiast księżniczka Alypia, która jak dotąd nie wtrącała się do rozmowy, spoglądała na trybuna taksująco, z

wzrastającą aprobatą.

Patriarcha odzyskał mowę przed swym monarchą.

— Ciesz się, że masz tego człowieka po swojej stronie, Gavras. Dostrzega sedno rzeczy.

Mavrikios wciąż potrząsał głową ze zdumieniem. Odezwał się nie do Skaurusa, lecz do Balsamona.

— Kim on jest? Dwa dni w mieście? Trzy? Są ludzie, którzy mieszkają w pałacach dłużej niż on żyje i nie potrafią spojrzeć tak daleko. Powiedz mi, Marku Emiliuszu Skaurusie — trybun odczuł zadowolenie, choć nie zaskoczenie, że Gavras zna jego pełne nazwisko — w jaki sposób tak szybko dowiedziałeś się o naszych niedolach?

Marek opowiedział o swoim spotkaniu z Phostisem Apokavkosem. Nie wspomniał nazwiska rolnika—żołnierza, nie powiedział też, co z nim zrobił.

Nim Rzymianin skończył, Imperator wyraźnie się rozzłościł.

— Oby Phos usmażył wszystkich gryzipiórków! Aż do objęcia przeze mnie tronu, przekłęci biurokraci rządili Imperium przez ostatnie — z wyjątkiem dwóch — pięćdziesiąt lat, mimo wszystkich wysiłków, jakie podejmowała przeciwko nim szlachta z prowincji. Mieli pieniądze na najemników i trzymali w swoim ręku stolicę i to wystarczało marionetkowym Imperatorom, których osadzali na tronie, by utrzymać swoje stołki. I by zniszczyć swych rywali w walce o władzę, zmienili członków naszej milicji w chłopów pańszczyźnianych i wykończyli ich podatkami, by nie mogli walczyć za swych protektorów. Niech zaraza weźmie ich wszystkich, od Vardanesa Sphratzesa po ostatniego z nich!

— To nie jest takie proste, ojczcze, i doskonale zdajesz sobie z tego sprawę — powiedziała Alypia. — Sto lat temu chłopstwo było rzeczywiście wolne, nie związane z naszą szlachtą. Kiedy magnaci zaczęli skupywać chłopską ziemię i uzależniać od siebie rolników, nie obyło się to bez znacznego uszczerbku dla centralnego rządu. Czy jakkolwiek Imperator, bez względu na to, jak ograniczony, chciałby prywatnych armii mogących wystąpić przeciwko niemu, albo czy chciałby widzieć, jak należne mu podatki przechodzą w ręce ludzi, którzy marzą o tronie dla siebie?

Mavrikios spojrział na nią z mieszaniną rozdrażnienia i czułości. — Moja córka czyta historię — rzekł do Marka, jak gdyby przepraszająco.

Rzymianin nie sądził, by jakiegokolwiek przeprosiny były konieczne. Alypia mówiła dobrze i z sensem. Nie ulegało wątpliwości, że za jej oczyma kryje się bystry umysł, choć bardzo rzadko się wypowiadała. Trybun był również wdzięczny za wszelkie fakty, jakie mógł zdobyć. Videssos, do którego wkroczył wraz ze swymi ludźmi, stanowił labirynt splatających się frakcji, bardziej pogmatwany niż jakiegokolwiek, z którym Rzymianie mieli przedtem do czynienia.

Księżniczka zwróciła twarz ku ojcu; Skaurus podziwiał jej kształtny profil. Był łagodniejszy niż profil Mavrikiosa, zarówno z powodu płci, jak i wpływu rysów jej matki, lecz mimo to wciąż była

młodą kobietą odznaczającą się wybitną urodą. Kot może patrzeć na króla, pomyślał Marek, lecz co z królewską córką? Cóż — powiedział sobie — nikt jeszcze nie został zabity za myślenie, i bardzo dobrze, bo inaczej świat byłby bardzo odludnym miejscem.

— Mów co chcesz — zwrócił się Imperator do Alypii — o tym, jak się miały sprawy sto lat temu. Dziesięć lat temu, kiedy Strobilos Sphrantzes miażdżył tron swoim tłustym siedzeniem...

— Powiedziałbyś „dupą” do każdego oprócz mnie — wtrąciła Alypia. — Zdarzyło mi się już przedtem słyszeć to słowo.

— Prawdopodobnie z moich własnych ust, obawiam się — westchnął Gavras. — Próbuje pilnować języka, lecz zbyt wiele lat spędziłem z żołnierzami.

Marek puścił mimo uszu tę wymianę zdań. Jakiś Sphrantzes władał Videssos tuż przedtem, nim Mavrikios siłą przejął władzę? Więc co, na Jowisza — czy nawet Phosa — robi Vardanes Sphrantzes jako premier obecnego Imperatora?

— O czym mówiłem? — usłyszał głos Gavrasa. — Och, tak, o tym kretyńce Strobilosie. Był większym tumanem niż jego drogocenny bratanek. Za jednym zamachem zmienił pięćdziesiąt tysięcy rolników na granicy z Vaspurakanem z żołnierzy w chłopów pańszczyźnianych i przy tym przeciążył ich podatkami. I czy można się dziwić, że przy następnym najeździe połowa z nich przeszła na stronę tych cuchnących Yezda? Tak się mają rzeczy, Alypio, gdy nie rozważy się wszystkich za i przeciw.

Niech to — pomyślał Skaurus — nie jest to odpowiednia chwila, by zadać pytanie, które nie dawało mu spokoju. Kręcił się na krześle, tak zajęty bezskutecznymi próbami wypowiedzenia go, że nie zauważył, jak bacznie obserwuje go Balsamon.

Patriarcha przyszedł mu z pomocą. — Wasza Miłość, zanim ten biedny młodzieniec pęknie, może powiesz mu, dlaczego wciąż służy ci jakiś Sphrantzes?

— Ach, Skaurus, zatem jest coś, czego nie wiesz? Jestem zdumiony. Balsamon, ty mu to powiedz; jesteś w to wmieszany aż po swoje kędzierzawe brwi.

Balsamem przybrał komiczną minę urażonej niewinności. — Ja? Ja tylko zwróciłem uwagę paru osobom, że Strobilos nie jest, być może, idealnym władcą dla znajdującego się w kłopotach kraju.

— Co oznacza, Rzymianinie, że obecny tutaj nasz serdeczny przyjaciel—patriarcha wyłamał dziurę w szeregach biurokratów, przez którą mógłbyś przerzucić jego samego, co już mówi samo za siebie. Połowa gryzipiórków poparła mnie zamiast starego Sprantzesa; ich ceną było uczynienie młodszego Sphrantzesa Sevastosem. Sądzę, że się opłacało, lecz teraz on chce czerwonych butów dla siebie.

— Chce również mnie — wtrąciła Alypia. — Bez wzajemności.

— Wiem, kochanie, wiem. Mógłbym rozwiązać tak wiele problemów, gdybyś darzyła go wzajemnością, ale nie jestem pewien, czy dałbym mu ciebie, nawet gdyby tak było. Jego żona zmarła

zbyt dogodnie dla niego w zeszłym roku. Biedna Evphrosyne! I gdy tylko pozwoliły na to przyzwyczajenie i obyczaj — albo jeszcze wcześniej, gdy się nad tym teraz zastanowić — pojawił się Vardanes pełen pochwał dla planu „scementowania naszych dwóch wielkich rodów”. Nie ufam temu człowiekowi.

Marek stwierdził, że on również chciałby scementować Vardanesa Sphrantzesa — najchętniej z murem jakiejś fortecy.

Coś innego przyszło mu do głowy. Mavrikios, jak się wydawało, był człowiekiem, który równie chętnie mówił prawdę jak jej słuchał, tak więc trybun zdecydował, że może zapytać:

— Czy mogę się dowiedzieć, panie, co się stało ze Strobilosem Sphrantzesem?

— Chodzi ci o to, czy posiekałem go na kawałeczki, tak jak na to zasłużył? Nie, było to częścią ułożonego przez Balsamona targu. Dopełnił swego bezwartościowego życia w klasztorze na północ od Imbros i zmarł dwa lata temu.

Również Vardanes, co trzeba mu oddać, przysiągł, że nie będzie mi służył, jeśli zabiję jego stryja, a ja potrzebowałem go, na swoje nieszczęście.

— No, dość tego, zaniedbuję swoje gospodarskie obowiązki. Proszę, poczęstuj się jeszcze ciastkiem. — I Imperator Videssos, jak każdy dobry gospodarz, podsunął tacę Rzymianinowi.

— Z przyjemnością — powiedział Skaurus, biorąc jedno. — Są wyśmienite.

— Dziękuję ci — powiedziała Alypia. Kiedy Marek zamrugał, ciągnęła dalej, nieco obronnym tonem: — Widzisz, nie wychowałam się w pałacach, ze służącymi gotowymi spełnić każde twoje życzenie na skinienie palcem. Dość dobrze nauczyłam się kobiecych obowiązków i ostatecznie — tu uśmiechnęła się do swego ojca — nikt nie potrafi bez przerwy czytać historycznych książek.

— Wasza Wysokość, powiedziałem, że te ciastka są doskonałe, zanim dowiedziałem się, kto je upiekł — podkreślił Marek. — Podałaś mi tylko jeszcze jeden powód, by je lubić. — Wypowiedziawszy te słowa ugryzł się w język pragnąc, by nigdy nie wydobyły się z jego ust. Tam, gdzie chodziło o jego córkę, jedynym uczuciem Mavrikiosa wobec kogokolwiek mogła być tylko podejrzliwość.

Choć Alypia opuściła skromnie oczy, to jeśli ta uwaga rozdrażniła Imperatora, w żaden sposób nie dał tego po sobie poznać. — Doprawdy, dworzanin z niego, Balsamonie — zachichotał.

Kłaniając się na zakończenie audiencji u Imperatora, Marek doszedł do wniosku, że żołnierz w służbie Videssos bez smykałki do dyplomacji ma niewielkie szansę, by przetrwać na tyle długo, aby móc stawić czoło jego wrogom.

V

Eunuch Mizizios odprowadził Rzymianina do wejścia do imperatorskich apartamentów, a potem zniknął w głębi budynku, by załatwić jakieś swoje własne sprawy. Po posłańcu, który przyprowadził tutaj trybuna, nie było śladu. Videssańczycy najwyraźniej bardziej troszczyli się o wejścia niż wyjścia.

Również ich strażnicy spełniali swe obowiązki z mniejszą dbałością niż Marek uznałby za możliwą do zniesienia. Kiedy wyłonił się z budynku i stanął w złotym blasku późnego popołudnia, zastał obu strażników rozciągniętych przed wejściem i pogrążonych we śnie. Pasy z mieczami mieli rozpięte, ich włócznie leżały obok hełmów, które zdążyli zdjąć już wówczas, kiedy Skaurus zobaczył ich po raz pierwszy.

Ich gnuśność rozwścieczyła trybuna. Będąc na służbie u Imperatora wartego ochrony — i to pierwszego takiego od lat — ci tępi gburzy nie potrafili zrobić nic lepszego jak tylko przespać cały dzień. Tego Rzymianin nie mógł już ścierpieć. — Powstać! — ryknął. Równocześnie kopnął ich porzucone hełmy, które potoczyły się z głośnym brzękiem.

Wartownicy wzdrygnęli się i powstali niezdarne, macając za odłożoną na bok bronią. Marek roześmiał się pogardliwie. Sklął zaskoczonych wartowników wszystkimi bez wyjątku videssańskimi przekleństwami, jakich się nauczył. Żałował, że nie ma z nim Gajusza Filipusa; centurion miał szczególny dar do obelg. — Gdybyście byli pod moim dowództwem, zostalibyście wychłostani czymś więcej niż tylko moim językiem, bądźcie pewni — zakończył.

Pod wpływem tej tyrady na twarzach Videssańczyków pojawił się ponury wyraz, zastępując wcześniejsze osłupienie. Starszy z nich, krępy, pokieraszowany bliznami weteran, mruknął do swego towarzysza: — Co sobie myśli ten nieokrzesany barbarzyńca, że kim jest?

Chwilę później leżał na ziemi, tak samo bez życia jak wówczas, kiedy spał. Marek stanął nad nim, rozcierając bolące kłykcie i obserwując drugiego wartownika w oczekiwaniu na jakiś ruch, który mógł uczynić. Z wyjątkiem cofnięcia się, nie uczynił żadnego.

Widząc, że nie musi przejmować się tym wartownikiem, Marek szarpnął mężczyznę, którego zwałił z nóg. Nie był człowiekiem, z którym musiałby obchodzić się zbyt delikatnie. Wartownik potrząsnął głową, próbując pozbyć się uczucia oszołomienia. Pod jego lewym okiem już zaczynał

tworzyć się siniak.

— Kiedy przychodzi wasza zmiana? — warknął Skaurus do obu wartowników.

— Mniej więcej za godzinę — odpowiedział młodszy, potulniejszy wartownik. Mówił bardzo ostrożnie, jak ktoś mógłby mówić do tygrysa, który zapytał go o godzinę.

— Dobrze wiec. Opowiedzcie im, co wam się przydarzyło i poinformujcie, że znajdzie się ktoś, kto ich sprawdzi na warcie. I niech wasz Phos pomoże im i wam, jeśli zostaną przyłapani na spaniu!

Odwrócił się plecami do wartowników i odmaszerował, nie dając im możliwości zadania jakiegoś pytania czy wyrażenia protestu. W rzeczywistości nie miał zamiaru nikogo posyłać na przeszpiegi następnej warty. Sama groźba powinna wystarczyć, by zachowali czujność.

Kiedy przechodził obok budynku koszar należącego do najemników z Księstwa Namdalen, usłyszał jak ktoś woła jego imię. Z okna na piętrze wychylała się Helvis, trzymając coś w ręku. Rzymianin znajdował się zbyt daleko, by rozpoznać, co to jest, dopóki słońce nie odbiło się jasnym blaskiem złota — prawdopodobnie była to jakaś błyskotka, którą kupiła za pieniądze, jakie wygrała stawiając na niego. Uśmiechnęła się i machnęła ręką.

Uśmiechając się, machnął ręką w odpowiedzi, w jednej chwili zapominając o swej złości na strażników. Była przyjacielską dziewczyną i tylko siebie mógł winić za to, że poprzedniego wieczoru pomyślał, że nie jest z nikim związana. Hemond był również dobrym przyjacielem; Marek polubił go od chwili pierwszego spotkania przy Srebrnej Bramie. Jego uśmiech skrzywił się nieco, kiedy przyszło mu do głowy, że obie kobiety, które zainteresowały go najbardziej w Videssos, wydawały się całkowicie niedostępne. Zrozum, że to nie koniec świata — powiedział do siebie — zważywszy, że jesteś w tym mieście krócej niż tydzień.

Jego nastrój łagodnej kpiny z samego siebie został gwałtownie rozwiany przez widok wysokiej, odzianej w białe szaty postaci Avshara. Ręka Marka znalazła się na rękojeści miecza, nim jeszcze zdał sobie z tego sprawę. Wydawało się jednak, że poseł z Yezd nie zauważył go. Avshar stał w pewnej odległości od niego, zajęty bez reszty rozmową z przysadzistym, pałakonogim mężczyzną w futrach i skórach koczowników Pardraji. Trybun doznał uczucia, że widział już tego mieszkańca równin wcześniej, ale nie potrafił przypomnieć sobie kiedy ani gdzie — być może na wczorajszym przyjęciu, pomyślał niepewnie.

Tak był zajęty Avsharem, że nie zwrócił uwagi, dokąd niosą go stopy. Pierwsze wrażenie, że nie jest sam na ścieżce pojawiło się, gdy walnął w nadchodzącego z przeciwnej strony mężczyznę. — Wybacz, proszę! — zawołał, odwracając wzrok od Yezdy, by zobaczyć, kogo zepchnął ze ścieżki.

Jego ofiara, niski puciołowaty mężczyzna, miał na sobie błękitne szaty kapłanów Phosa. Jego ogolona głowa w jakiś dziwny sposób pozbawiała go wieku, lecz nie był stary; siwizna nie poznaczyła jego brody, a na twarzy miał ledwie kilka zmarszczek.

— Wszystko w porządku, wszystko w porządku — powiedział. — To moja wina, że nie zauwa-

żyłem, jak bardzo jesteś zamyślony.

— To ładnie z twojej strony, ale nie usprawiedliwia to mojej niezdarności.

— Nie martw się tym. Czy nie myślę się, rozpoznając w tobie dowódcę nowej kompanii zagranicznych najemników?

Marek potwierdził to.

— Zatem to właśnie z tobą chcę się spotkać od pewnego czasu. — Oczy kapłana zmarszczyły się w kącikach, gdy się uśmiechnął. — Choć może nie tak nagle.

— Masz przewagę nade mną — zauważył trybun.

— Hmm? Och, rzeczywiście. Czy nie chodzi o to, że powinieneś znać moje imię? Zważ mnie Nepos. Chciałbym móc twierdzić, że moje zainteresowanie twoją osobą jest całkowicie bezinteresowne, ale obawiam się, że nie mogę. Widzisz, jestem jednym z profesorów katedry czarów Akademii Videssańskiej.

Skaurus skinął głową ze zrozumieniem. W kraju, gdzie czarodziejstwo ma tak silną pozycję, czy mogło być coś bardziej logicznego niż to, że zajmuje równorzędne miejsce wraz z innymi dziedzinami nauki, takimi jak filozofia czy matematyka? A ponieważ powszechnie wiedziano, że Rzymianie nie przybyli do Videssos w normalny sposób, ich pojawienie się musiało wywołać wśród czarodziei Imperium ogromną ciekawość. Może więc on — Nepos, będzie potrafił pomóc mu lepiej zrozumieć ową przerażającą chwilę, która przeniosła ich do tego świata.

Zmierzył wzrokiem zachodzące słońce. — Moi ludzie już niedługo powinni zasiąść do kolacji. Czy nie miałbyś ochoty przyłączyć się do nas? Po kolacji mógłbyś zadawać tyle pytań, ile dusza zapragnie.

— Nic nie mogłoby mnie bardziej ucieszyć — odpowiedział Nepos, uśmiechając się promiennie do Marka. — Prowadź, a ja podążę za tobą najlepiej jak potrafię; twoje nogi są dłuższe od moich, obawiam się.

Mimo swej krągłej budowy, małeńki kapłan nie miał żadnych kłopotów z dotrzymaniem kroku Rzymianinowi. Jego obute w sandały stopy migały nad ziemią i idąc, nieustannie mówił. Kipiał nie kończącym się strumieniem pytań, nie tylko dotyczących religijnych i magicznych praktyk Rzymian i Galów, lecz również spraw społecznych i politycznych.

— Sądzę — rzekł Rzymianin, zastanawiając się nad związkiem występującym pomiędzy pewnymi sprawami, o które pytał Nepos — że wasza wiara odgrywa znacznie większą rolę we wszystkim, co robicie, niż ma to miejsce w naszym świecie.

— Sam zacząłem dochodzić do tego wniosku — przytaknął kapłan. — W Videssos nie zdołasz kupić kubka wina, nie słysząc przy okazji, że ostatecznie zatryumfuje Phos ani nie dobijesz targu z jubilerem z Khatrish, nie dowiedziawszy się, że siły w walce dobra ze złem są równo rozłożone. Wszyscy w mieście wyobrażają sobie, że są teologami. — Potrząsnął głową z udawaną irytacją.

Przy koszarach Rzymian Marek zastał wartowników czujnych i w postawie na baczność. Zdumiałby się, gdyby było inaczej.

Dla legionisty daleko mniej niebezpieczną sytuacją było stawienie czoła zbliżającemu się wrogowi niż oburzeniu Gajusza Filipusa, które niezawodnie spadało na próbujących uchylać się od swych obowiązków.

W sali większość legionistów kończyła już swój wieczorny posiłek: gęsty gulasz z jęczmienia, gotowanej wołowiny i kości szpikowych, grochu, marchwi, cebuli i rozmaitych ziół. Było to lepsze jedzenie niż to, które jadali w koszarach Cezara, lecz podobnego rodzaju. Nepos z podziękowaniem przyjął miskę i łyżkę.

Marek przedstawił kapłana Gajuszowi Filipusowi, Viridoviksowi, Gorgidasowi, Kwintusowi Glabrio, Adiatunowi, zwiadowcy Juniuszowi Blisusowi i paru innym Rzymianom. Znaleźli spokojny kąt i rozmawiali posilając się. Ile już razy — zastanowił się trybun — opowiadał swoją historię Videssańczykom? W przeciwieństwie do niemal wszystkich pozostałych, Nepos nie był biernym słuchaczem. Zadawał pytania życzliwie, lecz z dociekliwością, nie zaprzestając ani na chwilę wysiłków zmierzających do stworzenia spójnej relacji z rozmaitych wspomnień towarzyszy stołu.

Dlaczego, pytał, zarówno Gajusz Filipus jak i Adiatun utrzymują, że widzieli, jak Skaurus i Viridoviks wciąż wymieniali ciosy wewnątrz kopuły światła, choć ani trybun, ani Gal niczego takiego nie pamiętają? Dlaczego tylko Gorgidas miał trudności z oddychaniem, a oprócz niego nikt inny? Dlaczego Juniusz Blisus czuł przeszywające zimno, a Adiatun sływał potem?

Gajusz Filipus przez jakiś czas odpowiadał cierpliwie Neposowi, lecz wkrótce doszło do głosu jego czysto praktyczne usposobienie Rzymianina.

— Co ci przyjdzie z tego, jeśli dowiesz się, że Publiusz Flakkus pierdział, kiedy lecieliśmy?

— Bardzo możliwe, że nic w ogóle — odpowiedział z uśmiechem Nepos, nie obrażając się. — A pierdział?

Wśród ogólnego śmiechu, starszy centurion odparł:

— O to musisz zapytać jego, nie mnie.

— Jedynym sposobem, by zrozumieć cokolwiek, co zdarzyło się w przeszłości — podjął Nepos poważniejszym tonem — jest dowiedzieć się o tym tak wiele, jak można. Często ludzie nie mają pojęcia, ile potrafią zapamiętać albo, co gorsza, jak wiele z tego, co sądzą, że wiedzą, okazuje się nieprawdą. Tylko cierpliwe wypytywanie i porównywanie wielu relacji może zbliżyć nas do prawdy.

— Mówisz jak historyk, nie jak kapłan czy czarodziej — rzekł Gorgidas.

Nepos wzruszył ramionami, tak samo zaskoczony uwagą greckiego lekarza, jak Gorgidas jego słowami. Odpowiedział: — Mówię jak ja i nikt inny. Istnieją kapłani tak porażeni chwałą boskości Phosa, że rozważają boską istotę z wykluczeniem wszelkich doczesnych trosk i odrzucają świat,

jako pułapkę zastawioną przez Skotosa ku ich pokuszeniu. Czy o to ci chodziło?

— Niezupełnie. — Kapłan i lekarz spoglądali na życie z tak odmiennych punktów widzenia, że niemal uniemożliwiało to porozumienie między nimi, lecz każdego z nich pragnienie wiedzy pchało do poznawania świata.

— Moim zdaniem — ciągnął Nepos — świat i wszystko w nim odzwierciedla wspaniałość Phosa i zasługuje na badania ludzi, którzy chcą zbliżyć się do zrozumienia planu Phosa wobec Imperium i całego rodzaju ludzkiego.

Na to Gorgidas nie mógł w ogóle odpowiedzieć. W jego rozumieniu, świat i wszystko w nim warte było badań dla samej swej istoty i jakiś ostateczny sens był, jeśli w ogóle był, najprawdopodobniej niepoznawalny. Doceniał jednak szczerą i dobroć Neposa.

— „Niezliczone są cudy świata, lecz żaden nie jest cudowniejszy niż człowiek” — mruknął do siebie i odchylił się na krzesła sącząc wino, jak zawsze ukojony cytatem z Sofoklesa.

— Czy jako czarodziej dowiedziałeś się czegoś od nas? — zapytał Kwintus Glabrio, który aż do tej chwili przeważnie milczał.

— Muszę przyznać, że mniej niż chciałbym. Wszystko, co mogę wam powiedzieć, to tę oczywistą prawdę, że dwa miecze, Skaurusa i twój, Viridoviksie, sprowadziły was tutaj. Jeśli za waszym przybyciem kryje się jakiś większy cel, sądzę, że nie został jeszcze wyjawiony.

— Teraz wiem, że nie jesteś zwykłym kapłanem — zawołał Gorgidas. — W moim świecie nie spotkałem żadnego, który przyznałby się do niewiedzy.

— Jakże zarozumiali muszą być wasi kapłani! Czy może być większa nikczemność niż utrzymywanie, iż wie się wszystko, roszcząc sobie prawo do przywilejów boskości? — Nepos potrząsnął głową. — Phosowi niech będą dzięki, że nie jestem taki próżny. Tak ogromnie wielu rzeczy muszę się dowiedzieć. Miedzy innymi, moi przyjaciele, chciałbym zobaczyć, a nawet potrzymać, owe osławione miecze, którym zawdzięczacie swoją obecność tutaj.

Marek i Viridoviks wymienili spojrzenia, wypełnione taką samą niechęcią. Żaden z nich nie oddał swojej broni w obce ręce od czasu przybycia do Videssos. Wydawało się jednak, że nie ma sposobu, by odmówić tak rozsądnej prośbie. Obaj mężczyźni powoli wyciągnęli swoje miecze z pochew; każdy zwrócił go rękojeścią do Neposa. — Czeka! — powiedział Marek, wyciągając w ostrzegawczym geście rękę w stronę Viridoviksa. — Sądzę, że nie byłoby mądrym pozwolić, by nasze miecze się zetknęły, bez względu na okoliczności.

— Masz rację — zgodził się Viridoviks, chowając na razie miecz do pochwy. — Doprawdy, jedno takie pechowe wydarzenie zmniejsza apetyt na następne. Nepos ujął miecz Rzymianina, unosząc go do lampy, by przyjrzeć mu się uważnie. — Wydaje się całkiem zwyczajny — rzekł do Marka z nutą zakłopotania w głosie. — Nie czuję przyływu mocy ani nie jestem zmuszany, by przenieść się gdzie indziej — co nie oznacza, że się na to skarżę, rozumiesz chyba. Pominąwszy dziwne litery

wycięte na ostrzu jest to zaledwie jeszcze jeden długi miecz, nieco prymitywniejszy niż większość. Czy tymi literami wypisane jest jakieś zaklęcie? Co one mówią?

— Nie mam pojęcia — odparł Skaurus. — To celtycki miecz, wykuty przez rodaków Viridoviksa. Zdobyłem go jako łup wojenny i zatrzymałem, ponieważ lepiej pasuje do mojego wzrostu niż krótkie miecze, jakich używa większość Rzymian.

— Ach, rozumiem. Viridoviksie, czy mógłbyś mi odczytać ten napis i powiedzieć, co on oznacza?

Gal z pewnym zakłopotaniem pociągnął swe ogniste wąsy. — Nie, obawiam się, że nie mógłbym. Dla mojego ludu litery nie są zwykłą rzeczą, taką jak dla Rzymian — i dla twoich rodaków również, jak sądzę. Tylko druidzi — czyli kapłani — potrafią się nimi posługiwać, a ja nigdy nie byłem druidem i wcale tego nie żałuję. Powiem ci jednak, że mój miecz jest również tak oznaczony. Zobacz, jeśli chcesz.

Lecz kiedy jego miecz wyłonił się z pochwy, umieszczone na nim runy zaślniły złoto i jednocześnie rozjarzyły się te na klindze Marka. — Schowaj go! — krzyknął zatrwożony Marek. Wyrwał swój miecz z rąk Neposa i wepchnął go z powrotem do pochwy. Przeraził się, kiedy w pewnej chwili odniósł wrażenie, że wyrywa się z jego uścisku, lecz zaraz potem spoczął bezpiecznie w pochwie. Napięcie opadło z wolna.

Nagły pot zrosił czoło Neposa. Rzekł do Gorgidasa:

— W takich sprawach rzeczywiście byłem ignorantem i, by zacytować waszego rudowłosego przyjaciela, wcale tego nie żałuję. — Jego drżący śmiech zabrzmiał głośno w pełnej grozy i lęku ciszy, która wypełniła koszary. Wkrótce znalazł jakiś pretekst, by szybko zakończyć rozmowę i zniknął, rzuciwszy kilka krótkich słów na pożegnanie.

— Oto idzie człowiek, który zastawił sidła na królika, a znalazł w nich niedźwiedzia — powiedział Gajusz Filipus, lecz nawet jego chichot wydawał się wymuszony.

Niemal wszyscy Rzymianie, a Marek wraz z nimi, wcześniej tej nocy poszukali swoich sieniów. Skaurus skulił się pod kocem i z wolna zaczął pogrążyć się we śnie. Szorstka wełna drapała go, lecz jego ostatnim świadomym odczuciem była ulga, że wciąż ma koc — i koszary, jeśli już o to chodzi — nad sobą.

Następnego dnia wczesnym rankiem zbudził trybuna dochodzący z zewnątrz odgłos kłótni. Narzucił oponczę, zapiął pas z mieczem i, wciąż ścierając sen z oczu, wyszedł zobaczyć, w czym kłopot.

— Nie, panie, przykro mi — mówił wartownik — ale nie możesz zobaczyć się z moim dowódcą, dopóki się nie obudzi. — On i jego towarzysz trzymali oszczepy poziomo przy ciałach, zagradzając w ten sposób drogę nieproszonemu gościowi.

— Phos was usmaży, mówię wam, że to pilne! — krzyczał Naphon Khoumnos. — Muszę... och,

jesteś, Skaurus. Muszę natychmiast z tobą pomówić, a twoi tępi wartownicy nie chcą mi na to pozwolić.

— Nie możesz ich winić za to, że wykonują swoje zwykłe rozkazy. Nie przejmujcie się tym, Gneusz, Manliusz, dobrze zrobiliście. — Ponownie zwrócił się do Khounnosa. — Jeśli chciałeś mnie widzieć, oto jestem. Czy możemy przejść się ścieżką i pozwolić moim ludziom, by jeszcze trochę sobie pospali?

Wciąż zagniewany, Khounnos zgodził się na to. Wartownicy cofnęli się, by przepuścić swego dowódcę. Kamienne płyty ścieżki jego bosym stopom wydawały się zimne. Z wdzięcznością wciągał w płuca wczesnoporanne powietrze. Było wonne i świeże po dusznym, zadymionym wnętrzu sali.

Drozd o złotym gardziołku, siedzący na pobliskim drzewie, powitał wschodzące słońce potokiem dźwięcznych nut. Nawet tak niemuzykalna osoba, jak Skaurus, uznała to za śliczne.

Rzymianin nie próbował rozpocząć rozmowy. Szedł wolnym krokiem, podziwiając już to delikatny blask, jakim poranne światło rozjarzało marmur, już to geometryczną precyzję usianych kroplami rosy pajęczyn. Jeśli Khounnos miał tak pilną sprawę, to niech on rozpocznie o niej rozmowę.

Zrobił to, rozzłoszczony milczeniem Marka.

— Skaurus, kto na święte imię Phosa, upoważnił cię do bicia moich ludzi?

Skaurus zatrzymał się, ledwie wierząc swoim uszom.

— Masz na myśli wartowników, którzy wczoraj pełnili służbę przed apartamentami Imperatora?

— A kogo innego mógłbym mieć? — warknął Khounnos. — W Videssos bardzo źle patrzymy na to, jeśli najemnik napada na miejscowych żołnierzy. To nie po to postarałem się, byście przybyli do miasta; kiedy zobaczyłem ciebie i twoich ludzi w Imbros, odniosłem wrażenie, że nie jesteście zwyczajnymi barbarzyńcami.

— Powiedziałeś, że źle patrzycie na to, jeśli najemnik bije videssańskich żołnierzy?

Nephton Khounnos skinął niecierpliwie głową.

Marek wiedział, że Khounnos jest ważną postacią w Videssos, lecz wpadł w zbyt wielki gniew, by zwracać na to uwagę.

— Dobrze, a jak patrzycie na to, kiedy twoi wspaniali videssańscy żołnierze ucinają sobie smaczną popołudniową drzemkę przed wejściem do tych właśnie apartamentów, których mieli strzec?

— Co?

— Ktokolwiek rozpowiada takie rzeczy — rzekł trybun — powinien opowiedzieć całą historię, a nie tylko swoją cześć. — Opowiedział o tym, jak wychodząc z audiencji u Imperatora zastał obu wartowników drzemiących w słońcu. — Z jakiego powodu miałbym rzucić się na nich? Czy podali

ci jakiś?

— Nie — przyznał Khoumnos. — Powiedzieli, że zostali zaatakowani z tyłu, bez ostrzeżenia.

— Z góry byłoby bardziej zgodne z prawdą — prychnął Marek. — Mogą uważać się za szczęśliwców, że są twoimi żołnierzami, nie moimi; chłosta byłaby najłagodniejszą karą, na jaką mogliby mieć nadzieję w rzymskiej służbie.

Khoumnos nie był do końca przekonany. — Ich opowieści zgadzają się ze sobą od początku do końca.

— A czego można by się spodziewać?! Że dwóch obiboków będzie sobie nawzajem zadawało kłam? Khoumnos, niewiele mnie obchodzi, czy mi uwierzysz, czy nie. Pozbawiłeś mnie snu, a po tym, jak burczy mi w brzuchu, założyłbym się, że pozbawiłeś mnie również śniadania. Ale powiem ci to; jeśli ci wartownicy są najlepszymi ludźmi, jakich może wystawić Videssos, to nic dziwnego, że potrzebujecie najemników.

Myśląc o Tzimiskesie, Mouzalonie, Apokavkosie — tak, i samym Khoumnosie — Skaurus wiedział, jak bardzo niesprawiedliwie ich osądził, lecz był zbyt rozdrażniony, by pilnować języka. Strażnicy wykazali niewiarygodny tupet; nie tylko zataili swoją winę, ale jeszcze próbowali zwalić ją na niego! Potrząsnął ze zdumieniem głową.

Ukrywszy gniew pod kamiennymi rysami, Khoumnos zgiął się w sztywnym ukłonie.

— Sprawdźę to, co mi powiedziałaś, obiecuję ci to — powiedział. Skłonił się znowu i odmaszerował długim krokiem.

Odprowadzając wzrokiem jego wyprostowaną postać, Marek zastanowił się, czy zrobił sobie w nim kolejnego wroga. Sphrantzes, Avshar, teraz Khoumnos. Jak na człowieka z aspiracjami politycznymi — powiedział sobie — masz szczególny dar mówienia prawdy w niewłaściwym czasie. A jeśli zarówno Sphrantzes jak i Khoumnos będą twoimi wrogami, gdzie w Videssos znajdziesz przyjaciela?

Trybun westchnął. Jak zawsze było już za późno, by odwołać cokolwiek z tego, co się powiedziało. Teraz mógł tylko stawić czoło konsekwencjom tego, co już uczynił. A w takim razie — pomyślał — śniadanie nie wydaje się ostatecznie takim złym pomysłem. Ruszył z powrotem ku koszarom.

Pomimo swego stoickiego wychowania, mimo wysiłków, by przyjmować rzeczy takimi, jakie są, godziny tego ranka i wczesnego popołudnia wlokły się dlań nieznośnie. Próbując utopić swe troski w pracy, rzucił się w wir codziennej musztry z tak nerwową energią, że powalał każdego, kto stanął z nim w szranki. W każdej innej sytuacji byłby z tego dumny. Teraz jednak powarkiwał na swoich ludzi za podkładanie się swemu dowódcy.

— Panie — powiedział jeden z legionistów — gdybym miał zamiar podłożyć się tobie, uczyniłbym to wcześniej. — Mężczyzna rozcierał stłuczone ramię, kiedy kuśtykając opuszczał plac.

Próbował zwierzyć się ze swych trosk Viridoviksowi, lecz wielki Celt niewiele mu pomógł.

— Wiem, że to źle, ale co na to poradzisz? — powiedział. — Daj im cień możliwości, a ludzie prędzej będą spać niż pracować. Sam tak robię, jeśli nie ma walki ani kobiet do wzięcia.

Gajusz Filipus nadszedł pod koniec tej przemowy i wysłuchał jej z oczywistym oburzeniem.

— Jeśli twoi żołnierze nie będą słuchali rozkazów, to masz motłoch, nie armię. To właśnie dlatego my, Rzymianie, podbiliśmy Galię, rozumiesz? W walce indywidualnej Celtowie są najodważniejszymi ludźmi, jakich widziałem, lecz nie potraficie działać razem i dlatego jest to gównno war-te.

— Nie da się zaprzeczyć, że jesteśmy kłótliwym narodem. Ale jesteś większym głupcem, niż kiedykolwiek sądziłem, Gajuszu Filipusie, jeśli myślisz, że wy, słabowici Rzymianie, moglibyście zapanować nad całą Galią na przekór jej mieszkańcom.

— Głupcem, czy tak? — Tak jak w terierze, tak i w starszym centurionie nie było miejsca na myśl o odwrocie.

— Uważaj na to, co mówisz.

Viridoviks zjeżył się w odpowiedzi. — Troszcz się o własną gębę, bo inaczej wytnę a nową; taką, która ci się wcale nie spodoba.

Nim jego drażliwi towarzysze rozjątrzyli się jeszcze bardziej, Marek szybko wkroczył pomiędzy nich.

— Wy dwaj jesteście jak ten pies z bajki, próbujący chwycić odbicie kości. Żaden z nas tutaj nigdy nie dowie się, kto zwyciężył; Cezar, czy Galowie. Nie ma miejsca na wrogość pomiędzy nami; wicie przecież, że mamy dość wrogów poza naszymi szeregami. Poza tym, oświadczam wam teraz, że nim zdolacie rzucić się na siebie, najpierw będziecie musieli rozprawić się ze mną.

Trybun pieczołowicie umknął wzrokiem przed taksującymi spojrzeniami, jakimi obdarzyli go obaj jego przyjaciele. Lecz zdołał załagodzić starcie; centurion i Celt, po ostatnim, na wół przyjacielskim warknięciu, rozeszli się w swoich własnych sprawach.

Skaurusowi przyszło do głowy, że Viridoviks musi czuć się daleko bardziej samotny i zagubiony w nowym świecie, niż którykolwiek Rzymianin. Było ich ponad tysiąc, a Gal tylko jeden; w tym kraju nikt nawet nie mówił jego językiem. Nic dziwnego, że od czasu do czasu tracił panowanie nad sobą — dziwić się należało, że działo się to tak rzadko.

Mniej więcej o tej porze, kiedy poprzedniego dnia Imperator wezwał Skaurusa na audiencję, Tzimiskes odszukał trybuna, by powiedzieć mu, że Khounnos prosi o zezwolenie na rozmowę z nim. Na surowej twarzy Videssańczyka malowało się zdumienie, kiedy przekazywał tę wiadomość.

— „Prosi o zezwolenie”, tak powiedział. Nie sądziłem, że kiedykolwiek usłyszę, by Nephon Khounnos prosił kogoś o zezwolenie. „Prosi o zezwolenie” — powtórzył Tzimiskes, wciąż nie mogąc w to uwierzyć.

Khoumnos stał przed koszarami, pocierając swoją sękatą ręką szczękę porośłą stalowosiwą brodą. Kiedy Marek podszedł do niego, gwałtownie cofnął rękę, jak gdyby przyłapany na robieniu czegoś wstydlivego. Jego usta poruszyły się kilka razy, nim wydobyły się z nich słowa.

— Bądź przeklęty — powiedział w końcu. — Należą ci się moje przeprosiny. Wierz lub nie, ale je masz.

— Z radością je przyjmuję — odparł Marek. Mimo że bardzo go to ucieszyło, nie chciał pokazać tego Videssańczykowi. — Sądziłem jednak, iż będziesz wiedział, że miałem co innego do roboty niż rozbijanie głów twoim wartownikom.

— Skłamałbym, gdybym powiedział, że nie zaskoczyła mnie opowieść, z którą Blemmydes i Kourkouas przyszli do mnie. Ale nie możesz odmawiać wiary swoim ludziom bez uzasadnionego powodu; wiesz, jak to jest.

Skaurus mógł tylko skinąć głową; wiedział, jak to jest.

Oficer, który odmawia poparcia swym ludziom, jest bezużyteczny. Jeśli ludzie stracą do niego zaufanie, on nie może polegać na ich meldunkach, co czyni ich tylko mniej godnymi zaufania... Ta droga stanowiła wiodącą w dół spiralę, którą należało zatrzymać, nim jeszcze się zaczęła.

— Co sprawiło, że zmieniłeś zdanie?

— Po miłej rozmówce, jaką odbyłem z tobą tego ranka, wróciłem i przepytalem tych dwóch łotrzyków osobno. W końcu Kourkouas pękł.

— Ten młodszy?

— Tak. Interesujące, że się domyśliłeś. Umiesz patrzeć, prawda? Tak, Lexos Blemmydes aż do ostatniej chwili odgrywał skrzywdzone niewiniątko, niech Skotos zmrozi jego kłamliwe serce.

— Co masz zamiar zrobić z tymi dwoma?

— Już to zrobiłem. Mogłem popełnić przedtem pomyłkę, ale naprawiłem ją. Gdy tylko upewniłem się, jaka była prawda, zdarłem im pancerze z pleców i pierwszym promem wyprawilem na drugą stronę Końskiego Brodu. W zachodnich prowincjach, pomiędzy bandytami i Yezda, powinno panować wystarczające ożywienie, by nie pozwolić im na drzemki. Nie będę po nich płakał i tylko żałuję, że przez takich nicponiów przemówiłem do ciebie w gniewie.

— Nie przejmuj się tym — odpowiedział Marek przekonany, że przeprosiny Khoumnosa wzięty się zarówno z rozsądku jak i z serca. On również uświadomił sobie, że pozwolił, by jego gniew obarczył go winą za owe złośliwe szyderstwo o videssańskich żołnierzach. — Wiesz, nie ty jeden powiedziałeś rzeczy, których teraz żałujesz.

— To prawda. — Khoumnos wyciągnął rękę i trybun uściskał ją. Dłoń Videssańczyka była jeszcze twardsza niż jego własna; wpływ na to miała nie tylko walka, ale również całe lata trzymania cugli. Khoumnos klepnął go po plecach i odszedł, by zająć się swoimi sprawami. Marek podejrzewał, że będzie musiało minąć naprawdę dużo czasu, nim następna para wartowników utnie sobie

drzemkę przed apartamentami Imperatora.

Uwolniony bez reszty od dręczącego go napięcia, sam spał tej nocy głębokim i niezakłóconym przez kilka godzin snem. Zwykle dźwięki koszar i odgłosy ludzi, którzy wstawali, by napić się wody lub coś przekąsić, nigdy nie przeszkadzały mu w spoczynku; gdyby było inaczej, nigdy nie zdołałby zasnąć.

Dźwięk, który przebudził go teraz, nie był głośniejszy niż zwykle nocne odgłosy. Lecz nie należał do nich — obudziło go ciche przesuwanie obutych stóp po podłodze. Rzymianie albo chodzili boso i bezgłośnie, albo nosili klekoczące zelówkami sandały. Odgłos stąpania stóp ani bosych, ani obutych w sandały przeszył sen Marka i rozwarł jego powieki.

W sali płonęły tylko dwie pochodnie, dając akurat tyle światła, aby Rzymianie nie musieli potykać się o siebie w nocy. Lecz skulona postać przemykająca pomiędzy śpiącymi żołnierzami nie była legionistą. Przysadzista sylwetka i krzaczasta broda mogły należeć tylko do Khamortha; Marek poczuł zimny strach, kiedy rozpoznał koczownika, z którym poprzedniego wieczoru rozmawiał Avshar. Szedł w stronę trybuna, dzierżąc w ręku sztylet.

Koczownik potrząsnął głową, mrużąc coś pod nosem. Zobaczył Skaurusa w chwili, gdy Rzymianin odrzucał koc i chwycił za miecz. Khamorth ryknął i rzucił się na niego.

Nagi jak robak, Marek poderwał się na nogi. Nie miał czasu, by wyciągnąć miecz z pochwy. Wykorzystał ją jako maczugę, by odbić pierwsze pchnięcie Khamortha, a potem zwarł się z niższym mężczyzną, uchwyciwszy lewą dłoń napastnika za nadgarstek ręki, w której trzymał nóż.

Na mgnienie oka ujrzął twarz swego przeciwnika. Szeroko rozwarte oczy koczownika wypełniało trawiące je szaleństwo i jeszcze coś, czego trybun nie zdołał rozpoznać, dopóki w chwilę później nie zrozumiał, że jest to absolutny, paniczny strach.

Potoczyli się po podłodze, wciąż trzymając się mocno nawzajem.

W całych koszarach rozbrzmiewały teraz okrzyki — ryk Khamortha i odgłos walki poderwały mężczyzn z materacy. Jednak minęło parę chwil, nim zaspani żołnierze pojęli, skąd się bierze zgiełk.

Marek z całej siły trzymał rękę nomada i jednocześnie grzmocił go po głowie ręką miecza, próbując w ten sposób zmusić go do poddania się. Lecz jego przeciwnik zdawał się mieć czaszkę twardą jak skała. Mimo wszystkich ciosów, jakie otrzymał, wciąż wił się i wykręcał, usiłując wbić nóż w ciało trybuna.

Potem druga silna ręka dołączyła do ręki Marka zaciśniętej na nadgarstku koczownika. Viridoviks, tak nagi jak Skaurus, zgniótł ścięgna Khamortha, zmuszając jego palce do rozwarcia się. Nóż upadł na podłogę.

Viridoviks potrząsnął Khamorthem jak wielkim szczurem. — Dlaczego miałby żywić do ciebie urazę, drogi Rzymianinie? — zapytał. Potem, zwracając się do swego więźnia, warknął: — Nie

kręć się, no już! — Potrząsnął nim znowu. Khamorth, z oczyma przykutymi do leżącego na podłodze sztyletu, nie zwrócił na niego uwagi.

— Nie wiem — odpowiedział Marek. — Choć myślę, że musi być na żołdzie Avshara. Widziałem ich wczoraj, jak spacerowali razem.

— Avshar, czy tak? Dlaczego tamten cię nie lubi, wszyscy wiemy, ale co z tym chłopkiem? Albo jest najętym nożownikiem, albo może zrobiłeś coś, by go urazić?

Część ze zgromadzonych Rzymian pomnikiem pokazała, że nie spodobał jej się ton, jakim powiedział to Gal, lecz Marek uciszył ich machnięciem ręki. Miał właśnie powiedzieć, że widział Khamortha tylko razem z Avsharem, lecz nie dawało mu spokoju wrażenie, że skądś zna tego człowieka; że zna sposób, w jaki nie spuszczał wzroku z noża, którego już nie trzymał.

Skaurus strzelił palcami. — Pamiętasz tego mieszkańca równin, który próbował zmusić mnie do opuszczenia wzroku przy Srebrnej Bramie, kiedy wchodziliśmy do Videssos?

— Pamiętam to — potwierdził Viridoviks. — Chcesz powiedzieć...? Nie ruszaj się, przekłeta wywłoko! — warknął na swego więźnia, który wciąż usiłował się uwolnić.

— Nie ma potrzeby trzymać go przez całą noc — rzekł Gajusz Filipus. Starszy centurion znalazł kawał mocnej liny. — Tytus, Sekstus, Paulus, pomóżcie mi. Zwiążemy naszego ptaszka.

Wszyscy czterej Rzymianie i wielki Gal mieli co robić, by związać Khamortha. Walczył z liną z jeszcze większą furią niż przeciwko samemu Skaurusowi, wrzeszcząc i przeklinając w swym zgrzytliwym rodzimym języku. Tak szaleńczo kopał, drapał i gryzł, że żaden z tych, którzy go trzymali, nie wyszedł bez szwanku, lecz ostatecznie nic mu to nie dało. Nawet kiedy już został mocno związany liną, dalej próbował wyrwać się z ich twardych chwytów.

Nic dziwnego — pomyślał trybun — że Avshar postanowił wykorzystać tego mężczyznę przeciwko niemu. Zakorzeniona pogarda koczownika dla piechoty jakiegokolwiek rodzaju musiała zmienić się w osobistą nienawiść, kiedy Skaurus zwyciężył w pojedynku woli przy miejskiej bramie. Tak jak powiedział Viridoviks, Khamorth miał powód, by przyjść z pomocą knowaniom posła z Yezd.

Lecz mimo to, przy Srebrnej Bramie koczownik w pełni

kontrolował swoje zachowanie, podczas gdy teraz zachowywał się jak szaleniec. Czy Avshar podał mu jakiś narkotyk, by spotęgować jego furie? Może istniał sposób, by się tego dowiedzieć.

— Gorgidas! — zawołał trybun.

— O co chodzi? — odezwał się Grek spoza kręgu Rzymian stłoczonych wokół związanego Khamortha.

Marek wyjaśnił lekarzowi, o co mu chodzi, dodając:

— Czy możesz go zbadać i spróbować odpowiedzieć na pytanie, dlaczego jego osobowość zmieniła się tak bardzo od czasu, kiedy widzieliśmy go ostatnio?

— A jak sadzisz, co próbuję zrobić? Ale ci wszyscy gamonie są zbyt mocno ściśnięci, bym mógł przejść. — Lekarz był zbyt drobny, by udało mu się przepchać przez tłum.

— Przepuście go. Rozsuńcie się, wy, tam — rozkazał trybun, usuwając ludzi z drogi, tak by Gorgidas mógł dotrzeć do koczownika, który leżał teraz w poprzek siennika Skaurusa. Lekarz uklęknął przy mężczyźnie, dotykając jego czoła, zaglądając w oczy i wysłuchując oddechu.

Kiedy powstał, na jego twarzy malował się niepokój.

— Miałeś rację, panie. — Marek wiedział, jak bardzo musi być zaniepokojony, jeśli zwraca się do niego tak oficjalnie; Gorgidas zwykle nie zwracał sobie głowy formalnościami. — Ten biedny hultaj jest umierający; powiedziałbym, że na skutek jakiejś trucizny.

— Umierający? — powtórzył zaskoczony Skaurus. — Jeszcze parę minut temu był aż nadto ożywiony.

Gorgidas machnął niecierpliwie ręką.

— Nie mówię, że może umrzeć w ciągu następnej godziny, może nie nawet w ciągu jutrzejszego dnia. Ale umrzeć, umrze; oczy zapadają mu się w głąb czaszki, a jedna źrenica jest dwa razy większa od drugiej. Oddycha jak człowiek pogrążony w malignie; głęboko i wolno.

A pomiędzy tymi sapnięciami słychać jak zgrzyta zębami, wystarczająco mocno, by je złamać. Każdy, kto czytał prace Hipokratesa, powie ci; to są fatalne symptomy.

— Jednak nie ma gorączki — ciągnął lekarz — i nie dostrzegam żadnych owrzodzeń ani krost, które wskazywałyby, że jakaś choroba trzyma go w swych szponach. Stąd też muszę wnioskować, że został znarkotyzowany; otruty pasowałoby bardziej.

— Jak sądzisz, możesz go wyleczyć? — zapytał Marek. Gorgidas potrząsnął gwałtownie głową w stanowczym, greckim przeczeniu.

— Powiedziałem ci już, jestem lekarzem, a nie cudotwórcą. Nie wiedząc, jakim piekielnym odwarem go napojono, nie wiedziałbym od czego zacząć, a jeśli zacząłbym go leczyć, to i tak okazałoby się to prawdopodobnie bezskuteczne.

— Cudotwórcza, czy tak powiedziała wasza czcigodność? — wtrącił Viridoviks. — Czy możliwe jest, żeby kapłani Phosa mogli go uratować, jeśli ty nie możesz?

— Nie bądź śmie... — zaczął Gorgidas, lecz przerwał zmieszany. Marek musiał podziwiać sposób, w jaki stawiał czoło myśli, której nie lubił. Niechętnie przyznał:

— To mogłoby nie być głupie, ostatecznie. Niektórzy z nich potrafią zrobić rzeczy, w które nie uwierzyłbym; czy nie tak, Minicjuszu?

Legionista, którego kapłan uratował pod murami Imbros, był roslym, młodym mężczyzną, noszącym szczeciniaste wąsy; tak czarne, że niemal błękitne.

— To właśnie bez przerwy mi powtarzasz — odpowiedział. — Nie mogę sobie nic z tego przy-

pomnieć; gorączka musiała pozbawić mnie pamięci.

— Ten braciszek Nepos, którego przyprowadziłeś wczoraj wieczorem, sprawiał wrażenie rozsądnego człowieka — zasugerował Gorgidas Markowi.

— Myślę, że masz rację. Nephon Khoumnos również musi się o tym dowiedzieć, choć nie zdziwiłoby mnie posądzenie, że próbuję rozbić od środka armię Videssos.

— Jeśli znajdują w niej zatrudnienie takie śmieci, powiedziałbym, że armii Videssos przydałoby się małe rozbicie — rzekł Gajusz Filipus. W głębi ducha jego dowódca zaczynał się z nim zgadzać, lecz Skaurus zrozumiał już, że nie jest to coś, co mógłby powiedzieć Videssańczykom.

Trybun pochylił się, by podnieść sztylet, do upuszczenia którego zmuszono Khamortha. Nie spodobał mu się, nim jeszcze go dotknął. Gałka była wyrzeźbiona w nikczemny, łypiący ślepiami koci pysk, zaś samą rękojeść pokrywała zielona aksamitna skóra, która musiała być zrobiona ze skóry węża. Ostrze, wstrętne bezbarwne, wyglądało jak gdyby ostrzono je zbyt długo lub zbyt często.

Ledwie palce Marka zamknęły się na rękojeści, gdy odrzucił broń z okrzykiem trwogi. Bezbarwne ostrze zaczęło się jarzyć, jednak nie uczciwym czerwonozłotym blaskiem, jak druidyczne runy na jego mieczu i mieczu Viridoviksa, tylko migotliwą, żółtawą zielenią. Trybunowi przypomniały się pewne cuchnące grzyby, lśniące chorobliwym światłem rozkładu. Pociągnął nosem... nie, to nie była jego wyobraźnia. Ze sztyletu unosił się słaby zaduch rozkładu.

Dziękował wszystkim bogom, jakich znał, że zębna broń nie przeszła jego ciała; śmierć, jaką by sprawiła, nie byłaby ani łatwa, ani czysta.

— Nepos musi natychmiast to zobaczyć — rzekł Gorgidas. — Magia to jego dziedzina.

Marek przytaknął, lecz nie mógł zmusić się, żeby znowu podnieść nikczemną broń. Magia nie była jego dziedziną.

— Zaświecił, kiedy go dotknąłeś — powiedział Gorgidas. — Czy jarzyło się, kiedy ten koczownik cię atakował?

— Prawdę powiedziawszy, nie mam pojęcia. Miałem wtedy inne *rzeczy* na głowie.

Gorgidas pociągnął nosem. — Cóż, sądzę, że nie można cię za to winić — powiedział, lecz jego ton przeczył słowom. Gorgidas był człowiekiem, który — jeśli zdarzyłoby mu się położyć głowę na katowskim pieńku — zauważyłby barwę oczu kata pod jego maską.

Teraz pochylił się, by ująć ostrożnie niebezpieczny sztylet za trzonek. Ostrze zamigotało niepewnie, jak oczy na wpeł uspionego drapieznika. Lekarz oderwał pasek materiału od żołnierskiej opończy i owinał go kilka razy wokół rękojeści sztyletu, zawiązując końce w zgrabny węzeł, jakiego zwykle używał, kiedy kończył bandażowanie ręki lub nogi.

Dopiero kiedy zawiązał węzeł, dotknął rękojeści gołą ręką. Chrząknął z zadowoleniem, gdy ostrze pozostało ciemne. — To powinno stanowić wystarczające zabezpieczenie — powiedział,

ostrożnie podając broń Skaurusowi, który ujął ją z równą ostrożnością.

Trzymając nóż z dala od ciała, trybun ruszył do drzwi tylko po to, by zatrzymać się na parsknięcie Viridoviksa.

— Czy wasza czcigodność nie sądzi, że dobrze byłoby nałożyć płaszcz, zanim zgorszy jakąś wcześniej wstającą dziewczynę?

Marek zamrugał; miał na głowie mnóstwo poważniejszych trosk w tym zamieszaniu, by pomyśleć o swoim ubiorze. Nie czując żadnej przykrości, że się z nim rozstaje, odłożył na chwilę sztylet, by samemu owinąć się opończą i zawiązać sandały. Potem podniósł go znowu z westchnięciem i wyszedł na zewnątrz, zanurzając się w rześkim wczesnoporannym chłodzie.

Gdy tylko dotarł do drzwi odkrył, w jaki sposób koczownik zdołał przedostać się do koszar, nie zostając zatrzymanym przez wartowników ani nie wywołując alarmu. Obaj wartownicy leżeli przed wejściem, pogrążeni w głębokim śnie. Zdumiony i rozwścieczony, Marek szturchnął jednego z nich bez zbytej delikatności stopą. Mężczyzna mruknął coś cicho, lecz nie zbudził się—nawet po kolejnym, mocniejszym szturchnięciu. Marek nie mógł również zbudzić jego towarzysza. Obaj zdawali się nie nosić śladów jakichkolwiek obrażeń, lecz nie można było ich ocucić.

Kiedy Marek przywołał Gorgidasa, grecki lekarz również nie potrafił rozbudzić strażników.

— Jak sądzisz, co im się stało? — zapytał trybun.

— Skąd, u licha, mam wiedzieć? — Gorgidas wydawał się całkowicie wytrącony z równowagi. — W tym przekętym kraju musisz być zarówno lekarzem jak i czarownikiem, i tego mi właśnie brakuje. Idź, idź, sprowadź Neposa; oddychają dobrze i mają silny puls. Nie umrą, kiedy cię tu nie będzie.

Pierwsze promienie słońca lizały już szczyty wyższych budynków miasta, kiedy trybun ruszył w drogę do Akademii Videssańskiej, leżącej na północnym skraju kompleksu pałacowego. Nie wiedział, czy zastanie tam Neposa tak wcześnie, lecz nie przychodziło mu do głowy lepsze miejsce do rozpoczęcia poszukiwań kapłana.

Kiedy szedł, obserwował jak słońce sunie w dół ścian budynków, które mijał, widział jak pieści kwitnące drzewa w pałacowych ogrodach i sadach, zauważał jak ich kwiecie zaczyna rozchyłać się pod jego światłem. I gdy wyszedł z długiego, błękitnego cienia granitowej kolumnady, promienie słońca dosięgły i jego.

Sztylet, który niósł, nagle zrobił się gorący w jego dłoni. Pod wpływem pierwszego dotyku słońca ostrze zaczęło płonąć, wypływając chmury gryzącego, żółtego dymu. Rzymianin rzucił sztylet na ziemię i odsunął się, kaszląc i chwytając powietrze — dym drażnił jego płuca jak płonące węgle.

Wydało mu się, że słyszy, jak metal zawodzi jak gdyby w męczarni i postanowił powściągnąć rozbudzoną wyobraźnię.

Ogień płonął tak gwałtownie, że wkrótce się wypalił. Po powiewie wiatru, który rozwiął gryzące

opary, Marek ostrożnie zbliżył się do zaczarowanej broni. Spodziewał się ujrzeć tylko bryłkę poskręcane go, stopione go metalu, lecz ku swemu przerażeniu stwierdził, że rękojeść, gałka, a nawet zabezpieczenie Gorgidasa są nietknięte, jak nietknięty jest cienki stalowy pręt, mający taką samą długość jak to, co kiedyś było ostrzem.

Ostrożne dotknięcie powiedziało mu, że sztylet jest wystarczająco chłodny, by móc go nieść. Tłumiąc dreszcz, trybun podniósł go i pospieszył do Akademii.

Czteropiętrowy budynek z szarego piaskowca mieścił centrum videssańskiej nauki. Choć nauczano tutaj zarówno świeckich jak i religijnych dziedzin wiedzy, iglice i złote kule wieńczyły budowlę; tutaj, jak wszędzie w Imperium, religia miała ostatnie słowo.

Odźwierny, na wpół śpiący po śniadaniu składającym się z chleba i gorącego wina, był zaskoczony, że jego pierwszym gościem jest dowódca najemników, lecz na tyle grzeczny, by próbować to ukryć.

— Brat Nepos? — powiedział. — Tak, jest tutaj — zawsze wcześniej wstaje. Prawdopodobnie znajdziesz go w refektarzu, prosto tym korytarzem, trzecie drzwi na prawo.

O tak wczesnej porze korytarz Akademii był niemal opustoszały. Młodzieniec w błękitnej szacie spojrzął z zaciekawieniem na przechodzącego Rzymianina, lecz tak jak odźwierny, nie uczynił żadnej uwagi.

Słoneczny blask wlewał się przez wysokie, witrażowe okna refektarza, zalewając sponiewierane stoły i zniszczone, wygodne, zmaltretowane krzesła. Lecz w jakiś sposób, zamiast podkreślać ich zużycie, ciepłe światło sprawiało wrażenie, że stare meble są świeżo lakierowane i niedawno pokryte nowymi obiciami.

Z wyjątkiem tłustego kucharza z nieogoloną głową, pocącego się przy swoich garnkach, Nepos był jedyną osobą w pokoju, kiedy wkroczył tam Marek. Kapłan znieruchomiał, z dymiącą łyżką owsianki zawisłą w połowie drogi do ust.

— Wyglądasz jak ponura śmierć — powiedział do trybuna. — Co sprowadza cię tutaj tak wcześniej?

Zamiast odpowiedzi, Skaurus upuścił ze szczękiem to, co pozostało ze sztyletu Khamortha, na stół kapłana. Nepos nie zareagowałby gwałtowniej na widok leżącej przed nim tłustej żmii. Zapominając o trzymanej w ręku łyżce, odepchnął krzesło od stołu tak szybko, jak potrafił. Owsianka rozprysnęła się na wszystkie strony. Kapłan najpierw poczerwieniał, a potem zbladł aż po sam czubek swej ogolonej głowy.

— Skąd to wzięłeś? — zapytał; surowość, jaką mógł przybrać jego zwykle niefrasobliwy głos, była zdumiewająca.

Jego krągła twarz poważniała coraz bardziej i bardziej w miarę jak Rzymianin kontynuował swoją opowieść. Kiedy wreszcie Marek skończył, Nepos siedział przez całą minutę bez słowa, z brodą

wspartą na dłoniach. Potem poderwał się na nogi, wołając: — Skotos jest między nami! — z taką gwałtownością, że zaskoczony kucharz upuścił łyżkę do kociołka i musiał wyławiać ją widelcem o długim trzonku.

— Teraz, kiedy już wiesz — zaczął Marek — powinienem również powiadomić o tym Nephona Khoumnosa, by mógł wypytać...

— Khoumnos, wypytać? — przerwał mu Nepos. — Nie! Potrzebna nam tutaj chytryść, nie siła. Sam wypytam tego twojego koczownika. Chodźmy! — warknął, porywając sztylet ze stołu i ruszając do drzwi tak szybko, że Marek musiał na wpół bieć, by dotrzymać mu kroku.

— Dokąd idziesz, Wasza Ekscelencjo? — zapytał odźwierny Akademii, kiedy kapłan mijał go w pośpiechu. — Twój wykład ma się zacząć za niecałą godzinę, a...

Nepos nawet nie odwrócił głowy. — Odwołaj go! — A potem, do Marka: — Śpiesz się, człowieku! Wszystkie lodowate potęgi piekła deptają ci po piętach, choć ty o tym nie wiesz!

Kiedy wrócili do koszar, związany Khamorth wrzasnął z rozpacz, gdy ujrzał w ręku Neposa spaloną broń. Więzień skurczył się w sobie, przyciągając kolana do brzucha i chowając głowę między ramionami.

Gajusz Filipus, stanowczy zwolennik zbawczego działania rutyny, wysłał już większość Rzymian na plac ćwiczeń. Teraz Nepos usunął z koszarów wszystkich oprócz siebie, koczownika, dwóch nieprzytomnych rzymskich wartowników i Gorgidasa, któremu pozwolił pozostać w roli swego pomocnika.

— Idźcie, idźcie — mówił, wyganiając ich. — Nie możecie mi pomóc, a jakieś słowo w nieodpowiedniej chwili mogłoby przynieść ogromną szkodę.

— Prawdziwy z niego druid — mruknął Viridoviks. — Jest przekonany, że wie dwa razy tyle, co każdy inny.

— Widzę, że jesteś tu na zewnątrz z nami wszystkimi — zauważył Gajusz Filipus.

— Jestem—przyznał Celt. — Aż nadto często taki druid ma rację. Sprzeciwić mu się to bardzo ryzykowna rzecz.

Zdażyło minąć zaledwie parę minut i z budynku koszar wyszli rzymscy wartownicy. Sprawiali wrażenie, że to, co im się przydarzyło, nie uczyniło im żadnej krzywdy, lecz nie pamiętali, jak zaczął się ich niechciany sen. Pamiętali tylko, że w jednej chwili stali na warcie, podczas gdy w następnej pochylał się nad nimi pogrążony w modlitwie Nepos. Obaj czuli zarówno gniew, jak i zakłopotanie wywołane tym, że nie wykonali swych obowiązków.

— Nie kłopotcie się tym — pocieszył ich Marek. — Nie można nikogo winić, że padł ofiarą czarów. — Wysłał ich na ćwiczenia razem z ich towarzyszami, a potem usiadł, by poczekać na Neposa.

I naczekał się; małeńki tłusty kapłan nie wyszedł z koszar w ciągu następnych dwóch godzin z

okładem. Kiedy w końcu się pojawił, Skaurus zdusił w sobie wywołany wstrząsem okrzyk. Nepos szedł jak ktoś krańcowo wyczerpany; czepiał się łokcia Gorgidasa jak rozbitek zbawczej deski. Jego toga była przesiąknięta potem, a oczy otoczone czarnymi obwódkami. Mrugając w jasnym blasku słońca, osunął się z wdzięcznością na ławkę. Siedział tak przez kilka minut, zbierając siły, nim zaczął mówić.

— Ty, mój przyjacielu — rzekł ze znużeniem do Marka — nie wyobrażasz sobie, jakie miałeś szczęście, że się przebudziłeś, i że — co jest jeszcze większym szczęściem — nie zostałeś zadraśnięty tym przeklętym nożem. Gdyby cię przebił, czy nawet ukłuł, wyssałoby to duszę z twego ciała i wtłoczyło w najgłębsze lochy piekła, gdzie byłaby dręczona przez całą wieczność. W tym ostrzu zaklęto demona; demona, który miał być uwolniony po skosztowaniu krwi — lub zniszczony blaskiem słońca Phosa, jak to się w rzeczywistości stało.

W swym własnym świecie trybun wszystko to wzięłoby za metaforę określającą działanie trucizny. Tutaj nie był tego taki pewny... i nagle niemal w to uwierzył, kiedy przypomniał sobie, jak sztylet wrzasnął, gdy został porażony blaskiem słońca.

Kapłan ciągnął dalej: — Miałeś rację obwiniając Avshara o nasłanie na ciebie tego biednego, przeklętego koczownika w czasie, kiedy spałeś w koszarach. Biedna, stracona dusza; czarownik związał jego życie z życiem demona zaklętego w ostrzu noża i kiedy ono zgasło, on również zaczął przygasać, jak płomień świecy bez dostępu powietrza. Lecz zniszczenie demona przerwało więź władzy, jaką Avshar miał nad nim, i dowiedziałem się wiele, nim jego płomień zgasł w nicości.

— Czy wasza czcigodność chce powiedzieć, że on nie żyje? — zapytał Viridoviks. — Nie odniósł prawie żadnych obrażeń, kiedy go braliśmy.

— Nie żyje — potwierdził Gorgidas. — Jego dusza, jego wola życia, nazwij to jak chcesz, opuściły go i zmarł.

Marek przypomniał sobie wypełniony przecuciem zguby okrzyk, jaki wydobył się z ust Kharmortha, kiedy ujrzał resztki swej broni; przypomniał sobie, jak załamał się i zwinął.

— Czy można zaufać wiadomościom, jakie wydobyłeś od umierającego człowieka, będącego narzędziem w rękach twego wroga? — zapytał Neposa.

— Dobre pytanie. — Kapłan skinął głową. Z wolna, w miarę jak odpoczywał siedząc na ławce, oznaki całkowitego wyczerpania zaczęły znikać z jego głosu i zachowania. — Więzy, jakie Yezda nałożył na niego, były silne; przekląłbym go, lecz on sam przeklął się z siłą większą niż moja moc do rzucania klątw. Niemniej jednak, Phos obdarza tych, którzy go czczą, znajomością środków służących do przecinania takich więzów...

— Użyliśmy wywaru z lulka czarnego — wtrącił Gorgidas, zniecierpliwiony okrężnym sposobem wyrażania się Neposa. — Używałem go już wcześniej, nie zważając na Phosa. Uśmierza ból i uwalnia język człowieka spod jego kontroli. Jednak trzeba być ostrożnym; zbyt duża dawka i

pacjent zostaje uwolniony od cierpienia na zawsze.

Kapłan nie dał wyraźnie do zrozumienia, że przejął się przypadkowym ujawnieniem przez Gorgidasa tajemnic swego magicznego rzemiosła. Kierowany poważniejszymi troskami zapanował nad sobą, mówiąc:

— Wystarczy, że wiemy dwie rzeczy: to Avshar przypuścił na ciebie ten zdradziecki atak; i jest on czarodziejem potężniejszym w swej nikczemności niż jakikolwiek, z którym spotkaliśmy się od niezliczonych lat. Jednak przez działanie, o którym wyżej wspomniałem, stracił poparcie wszystkich posłów, bez względu na to, jak niegodziwych, jakie posiadał.

Uśmiech oczekiwania przemknął przez twarz Neposa, kiedy mówił dalej.

— Tak więc, moi zagraniczni przyjaciele, ten diabeł sam oddał się w nasze ręce! *Teraz* pošlemy po Nephona Khoumnosa!

VI

Wizja głowy Avshara osadzonej na kamieniu milowym miała dla Marka tak nieprzeparty urok, że wybiegł spod koszar nim jeszcze uświadomił sobie, że nie jest pewien, gdzie szukać Khoumnosa. Nie wiedział tego też Nepos, który sapał, dziarsko dotrzymując mu kroku.

— Rozumiesz, wiem o człowieku — powiedział do Rzymianina — ale nie znam go osobiście.

Skaurus nie zmartwił się nadmiernie jego niewiedzą. Miał pewność, że każdy żołnierz, przebywający w Videssos dłużej niż tydzień, udzieli mu wskazówek, których potrzebował. Pierwszą grupą, jaką zobaczył, był oddział Namdalajczyków powracający z musztry. Prowadził go Hemond z Metepont, ze swym stożkowatym hełmem wetkniętym pod ramię. On również dostrzegł trybuna; machnął ręką swym ludziom, by się zatrzymali, i wolnym krokiem podszedł do Skaurusa.

— Jak na niedawno przybyłego najemnika, zdążyłeś pozawierać niezmiernie dziwne znajomości — zauważył z uśmiechem. — Długa droga wiedzie od czarownika—posła z Yezd do kapłana Akademii.

Szaty Neposa niczym nie różniły się od szat jakiegokolwiek innego kapłana podobnej rangi; Hemond — pomyślał Marek — jest nadzwyczaj dobrze poinformowany.

Po przedstawieniu go Neposowi, Namdalajczyk skinął przyjaźnie głową. — Doprawdy — ciągnął Skaurus — możesz zrobić nam przysługę, jeśli zechcesz.

— Powiedz tylko, o co chodzi — rzekł wylewnym tonem Hemond.

— Musimy zobaczyć się z Nephonem Khoumnosem tak szybko, jak to tylko możliwe, a żaden z nas nie jest pewien, gdzie można go zastać.

— Ho—ho! — Hemond przyłożył palec do nosa i mrugnął. — Zamierzacie zmierzić jego brodę czymś więcej niż wartownikami śpiochami, czy tak?

Rzeczywiście nadzwyczaj dobrze poinformowany — pomyślał Marek — lecz w tym wypadku niezupełnie dokładnie. Zastanowił się nad tym przez chwilę. Wspomniawszy, że Hemond i Helvis poparli go przeciwko Avsharowi postanowił, że może opowiedzieć Namdalajczykowi swoją historię. — Nie o to chodzi... — zaczął.

Kiedy skończył, Hemond potarł ręką wygolony tył głowy i zaklął w silnie akcentowanym

dialekcie swej ojczyzny.

— Tym razem ten wąż naprawdę przeholował — powiedział bardziej do siebie niż do Marka czy Neposa. Nagle jego twarz przybrała wyraz twarzy łowcy, który ma właśnie dopaść swej zdobyczy.

— Bors! Fayard! — warknął i dwaj jego ludzie wyprężyli się na baczność. — Wracajcie na kwatery i zawiadomcie ludzi, że reszta z nas się spóźni. — Gdy żołnierze oddalili się pospiesznie, ich dowódca odwrócił się z powrotem do Rzymianina. — Oddałbym roczny żołd, żeby dopaść tego drania, a ty umożliwiasz mi to za darmo!

Pochwycił dłoń Skaurusa i zamknął ją w podwójnym uścisku, zaś do swoich żołnierzy warknął:

— Najpierw po Khournosa i jakąś pomoc, a potem upieczemy czarownika Avshara na wolnym ogniu! — Ich pełen entuzjazmu pochwalny okrzyk pozwolił Markowi zrozumieć, jak powszechnie znienawidzony był Yezda.

Hemond może i wołał walczyć konno, lecz jego nogom nic nie można było zarzucić. Ruszył krokiem, za którym nawet Marek z trudem nadążał, a który zmuszał Neposa do niezgrabnego półtruchtu.

Dziesięć minut i trzy protestujące warty później znaleźli się w biurze Khournosa, dobrze oświetlonym pokoju sąsiadującym z Wielką Salą Sądu w pałacowym kompleksie. Videssańczyk uniósł wzrok znad papierkowej roboty, z którą się zmagał. Jego krzaczaste brwi opadły na widok Skaurusa i Neposa z Hemondem i jego oddziałem.

— Przebywasz w dziwnym towarzystwie — powiedział do trybuna, nieświadomie parafrazując Namdalajczyka, któremu nie dowierzał.

— Być może. — Rzymianin wrzucił ramionami. — Jednak pomogli mi *znaleźć* ciebie, kiedy tego potrzebowałem. — I opowiedział Khournosowi tę samą historię, którą nieco wcześniej przedstawił Hemondowi.

Na długo nim skończył, Videssańczykowi udzieliło się to samo drapieżne ożywienie, jakie wypełniało jego i Hemonda. Tryumfalny uśmiech wykrzywił twarz Khournosa; jego pięść spadła z trzaskiem na biurko. Atrament wyprysnął z kałamarza, plamiąc papiery, nad którymi pracował. Nie zwrócił na to żadnej uwagi.

— Zigabenos! — krzyknął i jego pomocnik wyłonił się z sąsiedniego pokoju. •— Jeśli natychmiast nie zjawi się tutaj oddział, dowiesz się, czy zapamiętałeś, za którym końcem sochy należy stać!

Zigabenos mrugnął, zasalutował i zniknął.

— Moi ludzie i ja chcemy kawałek czarownika — ostrzegł Hemond.

— Będziesz go miał — zgodził się Videssańczyk. Marek spodziewał się sprzeciwu Khournosa, lecz jeśli Videssańczyk nie dowierzał wierności Namdalajczyków wobec Imperium, to nie miał żadnych wątpliwości, że bez porównania bardziej nienawidzą Avshara.

Khoumnos wciąż jeszcze zapinał swój pas z mieczem, kiedy spocony Zigabenos wprowadził oddział *akritai* do biura swego zwierzchnika. Ich przybycie niemal przepęliło pokój. Rodzimi videssańscy żołnierze spoglądali podejrzliwie na najemników Hemonda.

Lecz Khoumnos był panem sytuacji. Wiedział, że ma w ręku sprawę stojącą ponad jakąkolwiek rywalizacją wewnątrz videssańskiej armii. Jedno zdanie wystarczyło, żeby bez reszty skupić uwagę i podniecić jego ludzi.

— Oto, co zrobimy razem z wyspiarzami, chłopcy: pomaszujemy do Pałacu Ambasadorów, wykurzymy naszego *drogiego* przyjaciela Avshara Yezda z jego dziury i zakujemy w kajdany.

Po chwili niedowierzającej ciszy, Videssańczycy wybuchnęli radosnymi okrzykami. Hemond i jego Namdalajczycy, choć już raz wiwatowali, z największą ochotą zrobili to znowu. W ograniczonej przestrzeni hałas był ogłuszający. Zapomniawszy o wszelkich swarach, podwójny oddział — a Nepos i Marek razem z nim — popędził do Pałacu Ambasadorów jak ogary do legowiska lamparta.

Pałac, co zupełnie naturalne, leżał w pobliżu Wielkiej Sali Sądu, tak by zarówno Imperator, jak i zagraniczni posłowie mieli do siebie blisko. Ponad nim trzepotały, powiewały, czy po prostu zwisały godła czterdziestu narodów, szczepów, frakcji i innych politycznych jednostek nieco trudniejszych do określenia; wśród nich znajdowała się skacząca pantera Yezd.

Dyplomatyczny spokój, jaki kultywowali ambasadorzy, w żaden sposób nie mógł się oprzeć dwóm tuzinom uzbrojonych mężczyzn, pędzących ku kwaterze Avshara. Taso Vones z Khatrish stał na schodach Pałacu omawiając z koczownikiem z odległych zachodnich równin Shaumkhiil ceny w handlu korzeniami i futrami, kiedy usłyszał gwar zbliżających się ku niemu żołnierzy. Uniósł wzrok, zobaczył źródło wrzawy, mruknął do Arshauma: — Wybaczysz mi, mam nadzieje — i umknął co sił w nogach.

Koczownik pobiegł również — po łuk, jaki trzymał w swej kwaterze, by sprzedać swoje życie tak drogo, jak to tylko możliwe.

Lecz wojownicy nie zwrócili na niego uwagi, tak jak nie zwrócili uwagi na okrzyki trwogi, które rozległy się w westybulu Pałacu, kiedy przemknęli przezeń za Nephonem Khoumnosem. Videssańczyk poprowadził ich w górę po szerokich schodach z polerowanego marmuru, wznoszących się w głąbi westybulu. Gdy wspięli się na nie, wydyszał:

— Pokoje tego bękarta znajdują się na drugim piętrze. Niejeden raz byłem tutaj z okupem za więźniów; o wiele bardziej wolę tę robotę! — Towarzyszący mu ludzie poparli go okrzykiem.

Gawtruz z Thatagush niósł do własnych apartamentów srebrną tacę zastawioną smażonym mięsem i kandyzowanymi owocami, kiedy schody za nim wybuchnęły wrzawą żołnierzy. Choć tłusty i po pięćdziesiątce, nie postradał refleksu wojownika. Cisnął swoją tacę z jedzeniem i wszystkim, co się na niej znajdowało, w tych, których uznał za napastników.

Hemond odbił wirującą tacę tarczą. Jeden czy drugi żołnierz krzyknął, kiedy trafiły go gorące

kawałki mięsa. Jeszcze inny poślizgnął się na tłuszczu, jaki pozostawił za sobą spadający po schodach drób, i rozciągnął się jak długi.

— Phos! — mruknął Khoumnos. Zawołał do Gawtruza: — Litości, mężny panie! Nic do ciebie nie mamy; szukamy Avshara.

Usłyszawszy to, Gawtruz opuścił nóż, który wyciągnął zza pasa. Jego oczy rozszerzyły się. — Człowieka z Yezd?

On i wy jesteście wrogami — tak, lecz jest ambasadorem i nie może być napastowany. — Marek zauważył, że Taso Vones miał rację na tym nieszczęsnym przyjęciu przed paroma dniami; w potrzebie, videssański Gawtruza był doskonały, elegancki i bez akcentu.

— Ambasadorowie, którzy przestrzegają prawa narodów, posiadają jego ochronę — odparował Khoumnos. — Czarownicy, którzy wynajmują nożowników do nocnych zamachów, nie mają jej. — Jego ludzie i ludzie Hemonda zgromadzili się już przed solidnymi drzwiami, na których widniała pantera Yezd. Khoumnos rozkazał: — Zapukać raz, delikatnie. Nie chciałbym, by mówiono, że wdarliśmy się do apartamentów bez ostrzeżenia.

Ostrzegawcze puknięcie z trudem można było nazwać delikatnym; tuzin ciężkich pięści walnęło w drzwi. Nie usłyszeli żadnej odpowiedzi. — Wyłamać je! — warknął Khoumnos. Lecz drzwi tak zagorzale opierały się barkom i obutym stopom, że Skaurus zastanowił się, czy to tylko mocny rygiel, czy też może magia trzyma je zamknięte.

— Dość tej głupoty! Zejdźcie mi z drogi! — Jeden z Namdalajczyków, ciemnowłosy olbrzym o potężnych ramionach, wołał używać topora swych halogajskich kuzynów. Ludzie szybko cofnęli się, by zrobić mu miejsce do zamachu. Poleciały drzazgi, a deski rozszczerpiły się, gdy jego topór wrąbał się w drzwi aż po stylisko.

Po tuzinie uderzeń pokonane drzwi obwisły na zawiasach. Żołnierze wkroczyli do pokoi wroga z gotową do użycia bronią. Khoumnos stał przed drzwiami, wciąż od nowa wyjaśniając wstrząśniętym, przestraszonym albo rozgniewanym dyplomatom, którzy zarzucali go pytaniami, po co przybyli Videssańczycy.

Po wejściu Marek pomyślał najpierw, że choć żądza władzy i zniszczenia Avshara nie miała granic, to nie pociągała za sobą pragnienia osobistego luksusu. Z wyjątkiem videssańskiego biurka, ambasada Yezd umeblowana była w stylu koczowników. Poduszki zajmowały miejsca krzeseł, a stoły były wystarczająco niskie, by mogli z nich korzystać siedzący na ziemi ludzie. Zarówno poduszki jak i stoły były czarne, ściany zaś miały barwę szarego dymu.

Drzwi pomiędzy oficjalnymi biurami Yezd a prywatną kwaterą Avshara były zamknięte, lecz parę uderzeń topora poradziło sobie z tym. W prywatnych pokojach Avshara nie znaleziono go tak samo, jak w oficjalnej części ambasady Yezd. Nie zaskoczyło to Marka; pokoje sprawiały wrażenie martwych, jak coś porzuconego i zapomnianego. Videssańczycy przybyli za późno.

Pokój Yezda był równie oszczędnie wyposażony co biura: jeszcze trochę niskich, czarno lakierowanych stołów, poduszek i mata do spania z wojłoku wypchanego końskim włosiem. Nad matą wisiał obraz przedstawiający wojownika o srogim obliczu, całego ubranego na czarno i ciskającego jaskrawoblękitny piorun. Kroczył przez stopy nagich, zakrwawionych ofiar, ścigając uciekające słońce. — Skotos! — mruknęli do siebie videssańscy żołnierze; ich palce ułożyły się w znaki odpędzające zło.

Na jednym ze stołów stał mały metalowy koszyk i jeszcze jeden obraz mrocznego boga, którego czcili mieszkańcy Yezd. Obok obrazu leżały żalosne szczątki białego gołębia z ukreconym łebkiem. Koszyk wypełniony był popiołem; Avshar wyjechał nie mając zamiaru wrócić i spalił te papiery, których nie chciał pokazać swoim wrogom.

Ani Videssańczycy, ani Namdalajczycy nie chcieli zbliżyć się do tego stołu, lecz kiedy Marek obszedł go, zobaczył na podłodze skrawek pergaminu zwęglony na skraju; musiał wypaść z koszyka, zanim zdążył objąć go ogień. Pochylił się, by go podnieść, i krzyknął w nagłym podnieceniu: była to mapa z naszkicowanymi konturami miasta i jego murów, z pajęczą czerwoną linią wiodącą od Pałacu Ambasadorów do jakiejś wieży nad brzegiem morza.

Jego towarzysze stłoczyli się wokół niego słysząc okrzyk, zaglądając mu przez ramię i pytając, co znalazł. Ich zawód, wywołany faktem, że nie pochwycili Avshara w jego legowisku zniknął, kiedy zrozumieli, co Rzymianin trzyma w ręku. Składali mu gratulacje potrząsając ręką i klepiąc po plecach.

— Druga szansa! — krzyknął Hemond. — Phos naprawdę jest dzisiaj z nami!

— Wciąż nie ma czasu do stracenia — rzekł Nepos. — Powinniśmy świętować po złapaniu Yezda, nie przedtem.

— Racja, kapłanie — przytaknął Hemond. Pozostawiwszy dwóch swoich ludzi i tyłuż Videssańczyków, by dalej przeszukiwali pomieszczenia ambasady, wyprowadził resztę do Nephona Khoumnosa, który wciąż usprawiedliwiał obecność żołnierzy przed otaczającymi go dyplomatami.

Marek wetknął mu kawałek pergaminu pod nos. Oczy Khoumnosa zbiegły się, kiedy wyrwał go z rąk Rzymianina i próbował skupić na nim wzrok. — Zatem gra jeszcze nie skończona! — zawołał. Skłonił się posłom i ich pomocnikom, mówiąc: — Dalsze wyjaśnienia muszą poczekać na to, co się wydarzy. — Przepchnął się przez tłum, krzycząc do swych ludzi: — Czekajcie, głupcy, to ja mam mapę!

Wieża pokazana na mapie Avshara znajdowała się w północnozachodnim krańcu Videssos, tam gdzie miasto wcinęło się najdalej w cieśninę zwaną Końskim Brodem. Było to jakieś pół mili na północ i nieco na zachód od Pałacu Ambasadorów i miało się wrażenie, że droga wiedzie przede wszystkim pod górę.

Trybun czuł, jak serce mu wali a pot kapie z czoła, kiedy biegł truchtem przez miasto. Towarzy-

szący mu żołnierze cierpieli o wiele bardziej, ponieważ on miał na sobie tylko opończę i sandały, oni zaś biegli w pełnym uzbrojeniu.

Jeden z Namdalajczyków nie wytrzymał tempa i pozostał w tyle, z twarzą czerwoną jak ugotowany homar.

Do biegu przynagliła Skaurusa świadomość, że tak zimnokrwisty rachmistrz jak Avshar mógł popełnić błąd — i to tak gruby błąd. Nie tylko próba zamachu spelzła na niczym, lecz kiedy zabrał się do niszczenia swych papierów, najistotniejszy z nich wszystkich, szlak jego ucieczki, nie spalił się i dał ścigającym jeszcze jedną szansę do opadnięcia go. Gdyby tylko wiedział — pomyślał Marek — z pewnością zazgrzytałyby zębami za tymi swoimi welonami osłaniającymi mu twarz.

Droga skręciła w dół, odsłaniając widok na nadbrzeżny mur Videssos. — To ta! — wydyszał Khoumnos, wskazując na kwadratową wieżę prosto przed nimi. Lecz kiedy łapał oddech, oficerowi w średnim wieku zostało dość powietrza w płucach, by krzyknąć: — Hej, straż wieży! Żadnego śladu Avshara Yezda?

Nikt nie odkrzyknął w odpowiedzi. Kiedy żołnierze minęli ostatnie budynki dzielące ich od muru, ujrzeli czteroosobową wartę leżącą bez ruchu przed otwartymi wrotami wieży strażniczej. Khoumnos zaklął straszliwie. Do Marka powiedział: — Nie mogę sobie przypomnieć, bym przez ostatnie pięć lat słyszał o śpiących strażnikach. Teraz znajduję takich dwukrotnie w ciągu dwóch dni i za każdym razem ty jesteś tego świadkiem. Na święte imię Phosa, jest mi wstyd przed tobą.

Lecz na widok rozciągniętych strażników trybun pomyślał tylko o jednym; o magii, jakiej użył kierowany przez Avshara koczownik, by dostać się do koszar. Wyjaśnił to w paru słowach, dodając:

— Sądzę, że w ten sposób nie zawinili temu, że śpią. To skutek jakiegoś, znanego Avsharowi, czaru. Jego mapa nie kłamała; może wciąż mamy dość czasu, by go złapać, nim przedostanie się na drugą stronę muru.

Nepson Khoumnos wyciągnął rękę i ścisnął go za ramię. — Przybyszu z obcej krainy, jesteś człowiekiem honoru.

— Dziękuję ci — rzekł Marek, zaskoczony i nieco wzruszony.

— Wy dwaj, dajcie już temu spokój! — zawołał Hemond, wyciągając swój prosty miecz z pochwy. — Później będzie dość czasu na dworne rozmówki! — Rzucił się w stronę wieży i przebiegł przez wrota, a reszta wojowników pobiegła za nim, depcząc mu po piętach. Nepos pozostał w tyle, by ocucić zaczarowanych przez Avshara wartowników.

Marek na parę chwil niemal oślepl w nagłym mroku wnętrza wieży. Potykając się, ruszył w górę ciasno skręconej spirali schodów; jedyne światło przedostawało się tutaj przez wąskie otwory strzelnicze pozostawione w murze.

— Stać! — zawołał z góry Hemond. Ludzie klęli, gdy zderzali się ze sobą i potykali, próbując szybko się zatrzymać.

— Co się dzieje? — zapytał Khoumnos, który stał niżej, oddzielony od Namdalajczyka kilkoma żołnierzami.

— Jestem u wejścia do korytarza — odparł Hemond. — Musi prowadzić do magazynu broni albo czegoś podobnego i, widać to wyraźnie w smudze światła padającej przez otwór strzelniczy, jest tutaj skrawek białej wełny, jaki mógł się oderwać od szaty koczownika, gdy przebiegał obok czegoś wystającego i ostrego. Mamy bękarta! — Roześmiał się głośno z czystej radości.

Pełen podniecenia pomruk przebiegł wzdłuż spiralnej linii łowców. Kolejne miecze wyslizgnęły się z pochew. Jeden po drugim mężczyźni wchodzili do odkrytego przez Hemonda korytarza.

Wąski korytarz biegł w murze jakieś pięćdziesiąt stóp, nim kończył się pojedynczymi drzwiami. Ściskając rękojeść miecza, Marek przesunął się naprzód z resztą wojowników.

Nie patrzył już na Avshara jak na wzbudzającego przerażenie, niktzemnego maga, jakim przedstawił go Nepos, lecz jak na niegodziwego, przestraszonego głupca, który potykał się na każdym zakręcie ucieczki i który w końcu zamknął się w pomieszczeniu z jednym tylko wyjściem. Mógł niemal współczuć uwięzionemu po drugiej stronie drzwi Yezda.

Hemond pchnął na próbę drzwi. Otworzyły się nie stawiając żadnego oporu. Przypuszczenia najemnika co do funkcji komnaty sprawdziły się; to rzeczywiście była zbrojownia. Przez wejście Marek mógł dojrzeć zgrabne pęki strzał, ustawione w kozły dzidy, rzędy maczug i mieczy, i — w miarę jak się zbliżał, poszerzając pole widzenia — koniuszek wyciągniętej na podłodze stopy.

Razem z resztą żołnierzy Skaurus wepchnął się do zbrojowni, by przyjrzeć się lepiej. W odróżnieniu od większości z nich, trybun rozpoznał martwego mężczyznę leżącego pod przeciwległą ścianą — to był Mebod, ciągle przestraszony podręczny Avshara. Głowę miał wykręconą pod nienaturalnym kątem; jego kark został złamany tak samo, jak szyja gołębia na ołtarzu Skotosa w prywatnej kwaterze Avshara.

Bezsensowność i złośliwe okrucieństwo zabójstwa tego nieszkodliwego, małego człowieka oszołomiły trybuna. Sprawily też coś jeszcze — Avshar z pewnością był tutaj, lecz już go nie ma — pomyślał Marek. Gdzie zatem podziewa się zbiegły emisariusz Yezd?

Niemal w tej samej chwili, kiedy ta myśl przemknęła mu przez głowę, rozległ się za nimi huk zatraskujących się drzwi. Choć przedtem otworzyły się kusząco pod najlżejszym dotknięciem Hemonda, teraz nie chciały poddać się oszalałym szarpnięciom wszystkich uwięzionych za nimi wojowników. Niespodziewanie sam zamiast ofiary pochwycony w pułapkę, Marek poczuł przebiegający po ciele dreszcz przerażenia.

— Ach, jak miło. Moi goście przybyli wreszcie. — Na dźwięk tego głębokiego głosu, pełnego lodowatej nienawiści, ręce żołnierzy opadły z mosiężnej klamki. Odwrócili cię jak jeden mąż w pełnym grozy niedowierzaniu. Z głową wciąż opartą na prawym ramieniu, z wytrzeszczonymi, ślepyimi oczyma, zwłoki Meboda stały na nogach, lecz z martwych ust wydobywał się głos Avshara.

— Byliście tak dobrzy, i tak sprytni, by odpowiedzieć na zaproszenia, jakie wam zostawiłem — ciągnął czarownik, podporządkowawszy służącego swej woli tak samo po śmierci, jak za życia — iż pomyślałem, że powinienem przygotować na wasze przybycie stosowne powitanie. — Z podrygującym wdziękiem kierowanej sznurkami marionetki to, co kiedyś było Mebodem, rozrzuciło szeroko ręce. Na ten ruch broń zmagazynowana w zbrojowni ożyła i poleciała na ogłuszonych mężczyzn, którzy przed paroma jeszcze chwilami myśleli o pojmaniu czarownika—posła z Yezd.

Jeden z Videssańczyków padł od razu, kiedy włócznia przeszła tak jego kolczugę, jak i ciało. W chwilę później jakiś Namdalajczyk znalazł się na ziemi obok niego; w jego szyi tkwił, wbity od tyłu, sztylet. Inny krzyknął ze strachu i bólu, gdy na jego ramieniu wylądowała maczuga.

Marek nigdy nie wyobrażał sobie — nigdy nie chciał sobie wyobrażać — walki takiej jak ta, walki mężczyzn z dzidami i mieczami, które unosiły się w powietrzu i uderzały jak olbrzymie, rozłoszczone osy. Nic nie dawało oddawanie ciosów; nie istniał szermierz, którego można było powalić. Gorzej: żadne szurnięcie stopy, żadne zdradzieckie spojrzenie nie dawało wskazówek, gdzie spadnie następny cios. Wojownicy zostali zmuszeni do czysto obronnej walki i, porażeni w ten sposób beznadziejnością swych wysiłków, odnosili rany zadane ciosami, które łatwo odbiliby, gdyby mieli za przeciwnika człowieka. Nie tracąc swej zwykłej bystrości, Hemond uderzył mieczem ożywionego trupa Meboda, lecz jego cios nic nie dał — broń wciąż na nich spadała.

Wraz z pierwszym brzękiem zaczarowanej stali druidyczne runy na ostrzu Skaurusa zapłonęły ognistym blaskiem. Miecz, który zetknął się z rozplamionym ostrzem, spadł ze szczękiem na podłogę i nie uniósł się już. To samo powtórzyło się znowu i znowu. Jednak tak wiele ostrzy unosiło się w powietrzu, żeby zadać cios, że Rzymianin musiał wyczerpać wszystkie siły, by pozostać przy życiu. Robił też co w jego mocy, by ochronić swych towarzyszy, lecz kiedy spróbował podążyć śladem Hemonda i powalić Meboda swym potężnym mieczem, odcieleśniona broń zatrzymała go i odepchnęła, krwawiącego z kilku ran.

Od zewnątrz ktoś zaczął walić w drzwi. Marek krzyknął ostrzegawczo, lecz jego okrzyk został zagłuszony rykiem bólu Hemonda. Z piersi Namdalajczyka sterczał wbity aż po rękojeść miecz. Jego ręce zacisnęły się na rękojeści morderczej broni, a potem opadły bezwładnie, gdy osuwał się na ziemię.

Po drugiej stronie drzwi rozległ się okrzyk głośniejszy nawet od krzyku Hemonda. — Otwórz się, na święte imię Phosa! — ryknął Nepos i drzwi runęły do środka, jak gdyby kopnięte. Kapłan—mag wskoczył do zbrojowni z uniesionymi ramionami. Był niskim człowiekiem, lecz otaczająca jego krągłą postać trzeszcząca aura mocy sprawiała wrażenie, że jest wyższy niż w rzeczywistości.

Rozpoznawszy tkwiące w Neposie niebezpieczeństwo, atakująca z powietrza broń Avshara porzuciła uzbrojonych w zwykłe miecze ludzi i rzuciła się na tego nowego wroga. Lecz w kapłanie znalazły równego sobie przeciwnika. Nepos wykonał rękoma trzy szybkie ruchy, przy każdym z

nich wykrzykując fragment modlitwy albo zaklęcia. Nim ostrza zdołały go dotknąć, spadły bezwładnie na podłogę. Ciało Meboda osunęło się razem z nimi, by znowu stać się niczym więcej niż zwłokami.

Było to jak przebudzenie się z koszmaru. Żołnierze, którzy wciąż jeszcze trzymali się na nogach, przez parę chwil nie opuszczali broni, ledwie śmiać uwierzyć, że powietrze znowu jest puste i spokojne. Lecz mimo tej ciszy rozrzucona wszędzie broń i ciała na podłodze wskazywały, że nie był to sen.

Gdy ci, którzy przeżyli czarodziejski atak, pochylili się oszołomieni nad leżącymi na podłodze żołnierzami stwierdzili, że czterech z nich nie żyje: Videssańczyk, zabity na samym początku, i trzech Namdalajczyków, wśród nich Hemond. Oficer najemników poległ, kiedy wybawienie było tuż—tuż. Marek potrząsnął głową, gdy zamykał nieruchome oczy Hemonda. Gdyby nie natknął się na Namdalajczyków szukając Nephona Khoumnosa, dobry żołnierz, który stawał się dobrym przyjacielem, nadal by żył.

Wciąż spoglądając na ciało Hemonda, trybun wzdrygnął się, gdy ktoś dotknął jego ramienia. Odwróciwszy się ujrzał Neposa; puciołowata twarz kapłana była wymizerowana i ściągnięta. — Pozwól, że ci je podwiążę — powiedział kapłan.

— Hmm? Och, tak, bierz się do roboty. — Zamyślony, Skaurus niemal zapomniał o własnych ranach. Nepos zabandażował je z taką samą zręcznością, jaką w podobnych przypadkach okazywał Gorgidas.

Bandażując, kapłan mówił, i Marek dowiedział się, że nie jest jedynym, który obarcza się winą. Nepos mógł mówić do każdego bądź do nikogo; słuchając go, Rzymianin pojął, że Nepos stara się zrozumieć przyczyny tego, co się stało.

— Gdybym nie zatrzymał się, aby unicestwić drobne zaklęcie —mówił gorzko kapłan — mógłbym powstrzymać to o wiele nikczemniejsze. Phos zna swoje ścieżki, lecz to gorzka rzecz obudzić ze snu czterech mężczyzn tylko po to, by ujrzeć, jak umiera czterech innych.

— Zrobiłeś to, co leży w twojej naturze — pomagać tam, gdzie tylko ujrzałeś, że pomoc jest potrzebna — powiedział mu Marek. — Nie możesz być tym, czym jesteś, i postępować inaczej. Nic nie można poradzić na to, co stało się potem.

Nepos nie zgodził się z tym.

— Odbierasz to jak Halogajczyk — uważasz, że istnieje przeznaczenie, przed którym żaden człowiek nie ma szans uciec. Lecz my, którzy czcimy Phosa, wiemy, że to nasz bóg jest tym, który kształtuje nasze życie, i usiłujemy zrozumieć jego zamiary. Jednak w życiu człowieka są chwile, kiedy trudno, naprawdę trudno jest je zrozumieć.

Poruszając się powoli, jak gdyby wciąż ogarnięci złym snem, z którego właśnie przed chwilą się wyrwali, wojownicy podwiązywali sobie nawzajem rany. Niemal w zupełnej ciszy dźwignęli ciała

swych poległych towarzyszy — również ciało Meboda — i potykając się znieśli je po spiralnych schodach i wynieśli w blask słońca.

Spotkali tam wartowników, których ocucił Nepos. Jeden z wartowników, z trwogą na twarzy, rzekł do Marka:

— Proszę, nie wiń nas za niedopełnienie naszych obowiązków. W jednej chwili staliśmy wszyscy na warcie, a zaraz potem pochylał się nad nami ten kapłan, odczyniając magię, która nas powaliła. Nie zasnęliśmy z własnej woli.

W każdym innym czasie Rzymianina ucieszyłby sposób, w jaki jego reputacja rozprzestrzeniła się w szeregach Videssańskiej armii. Teraz jednak mógł tylko powiedzieć ze znużeniem:

— Wiem. Czarodziej, który was podszedł, oszukał nas wszystkich. Umknął i nie wątpię, że wielu w Imperium będzie miało powody, by tego żałować.

— Ten podrzutek nie jest jeszcze bezpieczny — oświadczył Nephon Khoumnos. — Choć przedostał się przez cieśninę, czeka go pięćset mil drogi przez nasze zachodnie prowincje, nim dotrze do granic swego przeklętego kraju. Nasze latarnie sygnałowe mogą przesłać wiadomość, by zamknąć granice, o wiele szybciej, niż zdoła dotrzeć do nich jakikolwiek człowiek, nawet czarodziej. Wydam zaraz rozkazy, by rozpaść latarnie; zobaczymy, jakie powitanie nasi *akritai* zgotują dla tego bękarta czarownika! — I Khoumnos odszedł, z ramionami pochylonymi naprzód, jak gotowy na wszystko człowiek, który stawia czoło burzy.

Skaurus mógł tylko podziwiać jego nieustępliwość, lecz nie sadził, by to cokolwiek dało. Jeśli Avshar zdołał umknąć z najsilniej strzeżonego miasta, jakie znał ten świat, to niewiarygodne było, by żołnierze pilnujący granic Videssos, bez względu na to, jak zręczni, potrafili powstrzymać go przed prześlizgnięciem się do własnego, mrocznego kraju.

Odwrócił się do Namdalajczyków. Choć wzdragał się przed tym, czuł że jest coś, co musi zrobić; coś, do czego potrzebował dobrej woli tych ludzi. Powiedział:

— To nieszczęśliwy traf wiódł mnie tego ranka. Teraz trzech z was nie żyje, przez ten nieszczęśliwy traf. Nie znałem go długo, lecz byłem szczęśliwy nazywając Hemonda swoim przyjacielem. Jeśli nie jest to wbrew waszym zwyczajom, wydaje mi się aż nadto zasadne, bym należał do tych, którzy zainoszą jego pani wieść o jego zgubie. Czuję się odpowiedzialny za jego śmierć.

— Człowiek żyje tak długo jak żyje, i ani dnia dłużej — rzekł jeden z najemników z Księstwa. Czy wyznawał kult Phosa, czy nie, pozostałości jego halogajskich przodków wciąż były w nim żywe. Namdalajczyk mówił dalej: — Robiłeś co mogłeś, by powstrzymać atak swoim mieczem. Tak jak i my. Honorowa przysługa może sprawić ból, lecz nie jest czymś, za co można się winić.

Przerwał na chwilę, by spojrzeć w oczy swych rodaków. Zadowolony z tego, co w nich wyczytał, powiedział:

— Nic w naszych zwyczajach nie przemawia przeciwko temu, byś był człowiekiem, który zanieś Helvis miecz Hemonda. — Dostrzegłszy na twarzy Skaurusa brak zrozumienia, powiedział: — To jest nasz zwyczaj mówienia bez słów tego, co jest zbyt bolesne do wyrażenia słowami. Nie ciąży na tobie żadna wina — powtórzył najemnik — lecz gdyby tak było, to co uczyniłeś teraz, zmasałoby ją. Zwiąż mnie Embriak, syn Rengara, i jestem zaszczycony tym, że cię znam.

Pozostałych sześciu Namdalajczyków skinęło poważnie głowami; jeden po drugim wymieniali swe imiona i ujmowali rękę trybuna w podwójny uścisk swych rąk zgodnie ze zwyczajem, jaki zdawał się wspólny dla wszystkich mieszkańców północy. Po zakończeniu tej krótkiej formalności podnieśli ponownie swoje brzemie i rozpoczęli smutną wędrówkę z powrotem do swych kwater.

Wieści o tym, co się wydarzyło, rozprzestrzeniły się jak wichur, jak to zawsze działo się w Videsos. Nim jeszcze żołnierze przebyli połowę krótkiej przecież drogi, w mieście zaczęły rozbrzmiewać pierwsze okrzyki — Śmierć Yezd! — Skaurus ujrzał grupę mężczyzn uzbrojonych w maczugi i sztylety, pędzących aleją za jakimś obcokrajowcem lub kimś innym — nigdy się nie dowiedział, czy był to Yezda, czy nie.

W czasie mozolnego marszu do pałacowego kompleksu, martwy ciężar ciała Hemonda wywołał ból w ramionach trybuna, choć niósł go wraz z drugim Namdalajczykiem. Marek i wszyscy jego towarzysze byli ranni. Powoli przemierzali drogę do koszar najemników, zatrzymując się niejednokrotnie, by złożyć na ziemi ciała zabitych i odpocząć przez chwilę. Ich brzemie wydawało się cięższe po każdym odpoczynku.

Marek bez przerwy zastanawiał się, dlaczego obarczył się zadaniem powiadomienia kobiety Hemonda o jego śmierci. To, co powiedział Namdalajczykowi, było prawdą, lecz miał niepokojącą świadomość, że nie była to cała prawda. Pamiętał, jak pociągająca wydała mu się Helvis, nim dowiedział się, że jest związana z innym mężczyzną, i podejrzewał, że pozwolił, by jej powab wpłynął na jego zachowanie.

Dość tego, półgłówku — powiedział sobie — robisz tylko to, co musisz zrobić. Lecz... Helvis była bardzo piękna.

Koszary Namdalajczyków stanowiły wyspę ironicznego spokoju wśród wzbierającego w Videsos fermentu. Ponieważ byli obcokrajowcami i heretykami, ludzie z Księstwa mieli niewiele powiązań z nieustannie obracającym się miejskim młynem pogłosek i nic nie wiedzieli o pułapce, jaką Avshar zastawił na ich rodaków. Dwóch mężczyzn mocowało się przed koszarami. Wielki tłum zagrzewał ich do walki, wykrzykując słowa zachęty i stawki zakładów. Dwóch innych żołnierzy ćwiczyło walkę na miecze, krzyżując z brzękiem klingi. Z pobliskiej kuźni do uszu Marka doszedł głębszy brzęk — młota kującego gorącą stal. Kilku wyspiarzy klęczało albo siedziało na ziemi grając w kości. Marek uświadomił sobie, że ilekroć mijał ich koszary, widział grających w kości żołnierzy, a poza tym namiętnie zakładali się o niemal wszystko. Wydawało się, że hazard bardzo ich

pociągał.

Ktoś z obrzeża tłumu odwrócił wzrok od półnagich zapaśników i ujrzał zbliżających się wojowników i ich posepne brzmie. Jego przekleństwo skierowało ku nim więcej oczu; jeden z szermierzy odwrócił nagle głowę i upuścił swój miecz, zaskoczony i wstrząśnięty. Ostrze przeciwnika rozpoczynało właśnie swe zwycięskie uderzenie, kiedy jego posiadacz również dostrzegł ciała, jakie nieśli powracający żołnierze. Cios nie dotarł do celu.

Namdalajczycy popędzili ku powracającym, wykrzykując pytania w silnie akcentowanym dialekcie, jakim mówili między sobą. Marek w najlepszym razie ledwie rozumiał ich język; teraz zbyt mocno przycisnęła go własna niedola, by wysilać się na to. On i najemnik, który pomagał mu nieść Hemonda, po raz ostatni złożyli swe brzemie. Rzymianin odpiął pochwę z mieczem od pasa Hemonda i torując sobie drogę wśród tłumu Namdalajczyków ruszył ku ich koszarom.

Większość najemników cofnęła się, by go przepuścić, kiedy zobaczyli co niesie, lecz jeden z nich chwycił go za ramię, wykrzykując coś we własnym języku. Skaurus zrozumiał zaledwie jedno czy dwa słowa, ale Embriak odparł: — Wziął to na siebie i ma do tego prawo. — Mówił w czystym videssańskim, tak by zarówno jego rodak, jak i trybun mogli go zrozumieć. Drugi wyspiarz skinął głową i puścił Marka.

Koszary Namdalajczyków były, jeśli to w ogóle możliwe, jeszcze bardziej komfortowe niż kwatery Rzymian. Po części wynikało to oczywiście z tego, że namdalajski kontyngent znajdował się w videssańskiej armii już od lat i w ciągu tych lat przybysze z Księstwa poświęcili wiele pracy, by uczynić swe mieszkania tak przytulnymi, jak to tylko możliwe. W przeciwieństwie do nich, Rzymianie nie przekształcili jeszcze swej sali na swoją modłę.

Ponieważ wielu najemników spędzało znaczną część swego życia w służbie Videssos, nie mogło dziwić, że zakładali w stolicy rodziny albo z kobietami z Imperium, albo z żonami czy z ukochanymi, które przybyły wraz z nimi z Księstwa. Ich koszary odzwierciedlały tę sytuację. Tylko parter stanowił wspólną salę tak jak u Rzymian; salę, gdzie mieszkali wojownicy, którzy nie założyli rodzin.

Piętro zostało podzielone na rozmaitych rozmiarów apartamenty.

Wspominając Helvis machającą do niego z okna na górze — zaledwie przed dwoma dniami? — Marek wspiął się schodami; szerokim, prostym rzędem stopni, w niczym nie przypominających wąskiej spirali, która zawiodła ich w pułapkę zastawioną przez Avshara, na piętro. Teraz odczuwał więcej obaw niż wówczas, kiedy ścigał czarownika; miecz Hemonda ciążył mu jak ołów.

Dzięki wspomnieniu Helvis pokazującej mu klejnot, który nabyła za wygrane pieniądze, trybun wiedział, gdzie skręcić w korytarzach na piętrze. Z otwartych drzwi przed sobą usłyszał czysty kontrakt, który dobrze pamiętał.

— Teraz zostaniesz tutaj przez parę chwil — mówiła stanowczym tonem Hel vis. — Chcę się

dowiedzieć, skąd to całe zamieszanie na dole.

Marek i Helvis równocześnie znaleźli się w wejściu. Cofnęła się o krok, śmiejąc się z zaskoczenia.

— Witaj, Marku! — powiedziała. — Szukasz Hemonda? Nie wiem, gdzie jest; powinien wrócić z placu ćwiczeń już jakiś czas temu. I co się tam dzieje na zewnątrz? Moje okno nie pozwala mi zobaczyć.

Przerwała, teraz dopiero przyjrzawszy mu się dobrze.

— Dlaczegoś taki ponury? Czy coś... — Zająknęła się, gdy w końcu *rozpoznała*, schowany w pochwie miecz, który trzymał Marek. — Nie — powiedziała. — Nie. — Krew odpłynęła jej z twarzy; kostki pobieleły, kiedy zacisnęła rękę na klamce, szukając wsparcia, którego nie mogła tam znaleźć.

— Kim jest ten człowiek, mamó? — Nagi, mniej więcej trzyletni chłopiec podszedł, by spojrzeć na Skaurusa zza spódnicy Helvis. Miał niebieskie oczy i taką jak Hemond strzechę blond włosów. Marek nie wyobrażał sobie, że mógłby czuć się gorzej, lecz nie wiedział wówczas, że Hemond ma syna.

— Nie schodzisz na dół? — zapytał matkę berbeć.

— Tak. Nie. Za chwilę. — Helvis wpatrywała się w twarz trybuna, błagając oczyma o inne, jakiegokolwiek inne wyjaśnienie niż to, którego lękała się na widok miecza Hemonda w jego rękach. Zagryzł usta, aż ból sprawił, że zamrugał, lecz nie mógł powiedzieć ani uczynić nic, co wymazałoby niemą wieść o stracie, którą przyniósł.

— Nie schodzisz na dół, mamó? — zapytał znowu chłopczyk.

— Cicho, Malrik — odpowiedziała nieobecnym tonem Helvis. — Wracaj do środka. — Wyszła na korytarz, zamykając za sobą drzwi. — Więc to prawda? — spytała głosem, w którym bardziej niż cokolwiek innego pobrzmiwało zdumienie. Choć wypowiedziała te słowa, oczywiste było, że w nie wierzy.

Marek mógł tylko skinać głową.

— To prawda — odpowiedział tak łagodnie, jak potrafił. Nie patrząc na trybuna, poruszając się powoli, jakby we

śnie, ujęła miecz Hemonda w swoje ręce i odebrała go Markowi. Dotknęła pieśczośliwie wysłużonej, owiniętej w niewyprawioną skórę rękojeści. Jej dłoń — jak zauważył Marek w jednym z tych oderwanych przeblysków, o których wiedział, że zapamięta je na zawsze — choć duża jak na kobiecą dłoń, była o wiele za mała, by uchwycić porządnie rękojeść.

Nie unosząc głowy, oparła miecz o ścianę przy zamkniętych drzwiach wiodących do jej pokoi. Gdy w końcu spojrzała na trybuna, po jej policzkach płynęły łzy, choć nie słyszał, by zaczęła płakać. — Zaprowadź mnie do niego — powiedziała. Kiedy szli korytarzem, zaciskała ręce na jego ra-

mieniu, jak tonący człowiek obejmujący złomek masztu, by parę chwil dłużej utrzymać się na wodzie.

Wciąż szukała drobiazgów, których nie rozumiała, by umknąć przed koniecznością stawienia czoła wielkiemu niepojętemu, które leżało, zimne i sztywniejące, przed koszarami.

— Dlaczego ty przyniosłeś mi jego miecz? — zapytała trybuna. — Nie mam nic złego na myśli, nie chcę cię urazić, lecz nie jesteś jednym z nas, nie znasz naszych zwyczajów. Wiec dlaczego ty?

Skaurus wysłuchał tego pytania z zamierającym sercem. Dałby wiele za wiarygodne kłamstwo, lecz nie miał żadnego pod ręką; w każdym razie taka fałszywa dobroć byłaby gorsza niż żadna.

— Wydawało się, że powinienem to zrobić — powiedział — ponieważ to ja jestem winien temu, że poległ.

Zatrzymała się tak nagle, jak gdyby ją uderzył; jej paznokcie zmieniły się w pazury wbijające się w jego ciało. Dopiero po chwili, stopniowo, zaczęła docierać do niej żalność malująca się na twarzy i brzmiąca w głosie Rzymianina. Twarz Helvis straciła dziki wyraz, który się na niej pojawił. Jej ręka rozluźniła się; Marek czuł krew ściekającą po ramieniu z miejsca, gdzie wryły się w niego jej paznokcie.

— Opowiedz mi — powiedziała i zrobił to, kiedy schodzili na dół; początkowo niepewnie, lecz w miarę, jak rozwijała się opowieść, coraz potoczniej.

— Koniec był bardzo szybki, pani — zakończył niezręcznie, starając się znaleźć w tym tyle pociechy, ile mógł. — Chyba nawet nie zdążył poczuć wielkiego bólu. Ja... — Wzbierająca świadomość daremności jakichkolwiek przeprosin czy wyrazów współczucia, jakie mógł jej złożyć, uciszyła go tak skutecznie jak knebel.

Poczuł na ramieniu dotyk ręki Helvis; tak łagodny, jak przed chwilą był dziki.

— Nie możesz dręczyć się, że zrobiłeś coś, co było tylko twoim obowiązkiem — powiedziała. — Gdyby Hemond znalazł się na twoim miejscu, poprosiłby cię o to samo. Taki już był — dodała cicho i znowu zapłakała, gdy prawda o jego śmierci zaczęła przedzierać się przez zapory, które wzniosła.

To, że próbowała pocieszyć go, sama cierpiąc, zdumiało Marka i równocześnie sprawiło, że poczuł się jeszcze gorzej. Taka kobieta nie zasługiwała, by jej życie przewróciło się do góry nogami przez przypadkowe spotkanie i knowania czarodzieja. Kolejny punkt przeciwko Avsharowi — stwierdził — jakby jeszcze jakieś były potrzebne.

Po półmroku panującym w koszarach, jasne słońce na zewnątrz oślepiło Rzymianina. Ujrzawszy tłum wciąż hałasujący nad ciałami Hemonda i jego towarzyszy, Helvis puściła ramię Skaurusa i pobiegła ku nim. Nagle samotny wśród obcych, trybun poczuł kolejny przypływ zrozumienia dla sytuacji Viridoviksa. Najszybciej jak zdołał, znalazł jakąś wymówkę, by odejść, i pragnąc cofnąć czas, by przeżyć ten dzień zupełnie inaczej, ruszył z powrotem do koszar Rzymian.

Kiedy tak stał pocąc się w pełnym rynsztunku na wyniesieniu centralnego kręgu amfiteatru Videssos, Skaurus stwierdził, że nigdy nie widział takiego morza ludzi zgromadzonych w jednym miejscu. Pięćdziesiąt tysięcy, siedemdziesiąt tysięcy, sto dwadzieścia tysięcy? — nie istniał żaden sposób, by określić ich liczbę. Przez trzy dni heroldzi biegali po mieście obwieszczając, że tego dnia w południe przemówi Imperator; wielka arena zaczęła wypełniać się o świcie i teraz, parę minut przed południem, niemal każdy jej skrawek był zapchany ludźmi.

Jedynie wolne od ludzi miejsce w całym tym ścisku stanowiła aleja wiodąca do Wrót Imperatora w zachodnim krańcu długiego owalu amfiteatru do jego grzbietu, i sam ów grzbiet. A brak ludzi na tym drugim był jedynie względny. Wraz z posągami z marmuru, brązu i złota, wraz ze strzelającymi w niebo iglicami ze złożonego granitu, grzbiet mieścił mnóstwo videssańskich urzędników w ich barwnych, uroczystych szatach, kapłanów rozmaitych stopni w błękitnych togach swego stanu i oddziały wszystkich narodów znajdujących się w służbie Imperium. Wśród nich Skaurus i dowodzony przez niego manipuł zajmowali tego dnia zaszczytne miejsce, bowiem stali tuż pod podwyższoną trybuną, z której wkrótce Mavrikios Gavras miał przemówić do tłumu.

Rzymian oskrzydlały szwadrony wysokich Halogajczyków, tak nieruchomych jak rzeźby, przed którymi stali. Jednak cała dyscyplina świata nie mogła nic poradzić na to, by na ich twarzach nie malował się wyraz urazy. Zaszczytne miejsce, jakie przywłaszczyli sobie Rzymianie, najczęściej należało do nich, i nie byli szczęśliwi z odsunięcia przez przybyszy; ludzi, którzy nie chcieli nawet okazywać właściwego szacunku swemu panu, Imperatorowi.

Lecz dzisiaj centralne miejsce słusznie należało się Rzymianom; w rzeczy samej oni dali powód do zwołania tego zgromadzenia. Wieści o magicznym ataku Avshara na Skaurusa przemknęły przez miasto jak ogień przez spieczony słońcem las. Pościg rozjątrzonej tłuszczy za uciekającym obcokrajowcem — który widział Marek — był tylko początkiem zamieszek. Wielu Videssańczyków rozumowało tak: jeśli Yezd potrafi sięgnąć do ich stolicy, by ich napadać, to ich świętym, danym przez Phosa prawem, jest brać odwet na każdym, kogo uznają za Yezda — albo, w ostateczności, na każdym innym obcokrajowcu, jakiego zdołają znaleźć.

Niemal wszyscy ludzie z ziem, które obecnie stanowiły Yezd, a którzy mieszkali w Videssos, należeli do kupieckich rodów osiadłych w stolicy od czasów, kiedy zachodni sąsiad Imperium nazywał się jeszcze Makuran. Nienawidzili koczowniczych najeźdźców należącej do ich przodków ojczyzny jeszcze zawzięciej niż mieszkańcy Imperium. Jednak ich nienawiść nie zdała się na nic, kiedy videssański motłoch nadszedł z rykiem, by plądrować i palić ich magazyny. — Śmierć Yezda! — krzyczała tłuszcza i nie zadawała pytań swym ofiarom.

Trzeba było żołnierzy, by stłumić zamieszki i zgasić pożary — żołnierzy rodzimych, videssańskich. Znając swych rodaków, Imperator wiedział, że widok obcokrajowców próbujących stłumić zamieszki roznieciłby je tylko jeszcze bardziej. Tak więc Rzymianie, Halogajczycy, Khamorthci i

Namdalajczycy nie opuszczali koszar, kiedy Khoumnos wykorzystywał swych *akritai* do przywrócenia porządku w mieście. Marek docenił sprawne, zawodowe wykonanie tego zadania.

— Cóż, dlaczego nie? — rzekł Gajusz Filipus. — Prawdopodobnie ma w tym wystarczającą praktykę.

Te trzy dni nie przebiegły jednak zupełnie beczynn timer. Imperatorski pisarz przybył, by spisać zeznania wszystkich Rzymian, którzy brali udział w obezwładnieniu nieszczęsnego koczownika, pionka Avshara. Inny, wyższy rangą pisarz, wypytywał drobiazgowo Marka o każdy, najmniejszy nawet szczegół, jaki mógł sobie przypomnieć, dotyczący koczownika, samego Avshara i czaru, jaki rzucił na nich w zbrojowni. Kiedy trybun zapytał, jaki sens ma ta indagacja, pisarz wzruszył ramionami, powiedział uprzejmie: — Wiedzy nigdy za dużo — i wrócił do przesłuchania.

Pomruk rozbrzmiewający w amfiteatrze spotężniał nagle, gdy para nosicieli parasoli wyłoniła się z cieni za Bramą Imperatora i wkroczyła w pole widzenia tłumu. Pojawiła się następna para, i następna, i jeszcze jedna, dopóki dwanaście jedwabnych, różnobarwnych kwiatów nie zakwitło w wąskim przejściu strzeżonym z obu stron przez podwójne szeregi *akritai*. Rhadenos Vourtzes szczycił się dwoma parasolami, do których uprawniała go ranga prowincjonalnego rządcy; imperatorską świta była sześciokroć wspanialsza.

Radosne okrzyki, które rozpoczęły się na widok pierwszych nosicieli parasoli, zmieniły się w ogłuszającą wrzawę krzyków, oklasków i tupania, gdy w pole widzenia tłumu weszła właściwa świta Imperatora. Marek poczuł, jak obrzeże areny zadrżało pod jego stopami; hałas, jaki podniósł tłum, przekraczał granice słyszalności. Porażone uszy i umysł nie pozwalały go słyszeć; można go było tylko czuć.

Pierwszy w świecie szedł Vardanes Sphrantzes. Może była to jedynie wyobraźnia Marka, ale odniósł wrażenie, że niewiele radosnych okrzyków kierowano ku Sevastosowi. Ludzie o wiele bardziej kochali swego patriarchę, Balsamona. Nominalnie, w zakresie ceremonii, jego pozycja przewyższała nawet pozycję pierwszego ministra, i stąd jego miejsce pomiędzy Sphrantzesem a samą imperatorską rodziną.

Stary, tłusty kapłan rozkwitał wśród pochlebnych okrzyków jak bez w słońcu. Jego bystre oczy marszczyły się w figlarnym uśmiechu; promieniejąc odpowiadał na pozdrowienia tłumu uniesionymi do błogosławieństwa rękoma. Kiedy ludzie sięgali pomiędzy stojącymi w ciasnych szeregach gwardzistami, by dotknąć jego szat, niejeden raz zatrzymywał się, by na chwilę ująć ich dłonie, nim ruszył dalej.

Thorisin Gavras również cieszył się w mieście popularnością. Był dla każdego młodszym bratem, z całą rozbawioną wyrozumiałością, jaka wiązała się z tą pozycją. Gdyby Imperator wdał się w burdę w tawernie lub pofiglował ze służącą, straciłby wszelki szacunek należny jego urzędowi. Sevastokrator, pozbawiony brzemienia swego brata, mógł — i robił to — bawić się bez ograniczeń.

Teraz szedł zwawo, wyciągniętym krokiem, z miną człowieka spełniającego ważne zadanie, które jednakże uważał za nudne, i pragnął, by jak najszybciej się skończyło.

Jego bratanica, córka Mavrikiosa, Alypia, szła tuż przed swym ojcem, Z jej postawy i zachowania wynikało, że dla niej amfiteatr równie dobrze mógł być cichy i pusty, nie zaś zapchany do ostatniej ławki wrzeszczącymi obywatelami. Na jej twarzy malował się taki sam wyraz zaabsorbowania własnymi sprawami, jaki miała przychodząc na przyjęcie. Marek zastanowił się, czy miało to swe korzenie bardziej w nieśmiałości, czy też w obojętności; zachowywała się o wiele mniej powściągliwie przy stole na przyjęciu i w imperatorskich apartamentach.

Już kilka razy trybun uznawał, że wrzawa na arenie nie może być już większa, i kilka razy mylił się. I wraz z wejściem Imperatora stwierdził, że pomylił się kolejny raz. Hałas okazał się prawdziwym i natarczywym bólem, jak gdyby ktoś wpychał mu przez uszy do mózgu tępe pręty.

Mavrikios Gavras nie był, być może, idealnym władcą dla pogrążonego w zamięcie kraju. Żadne związki krwi nie wzmacniały jego prawa do tronu; był tylko generałem — uzurpatorem, któremu powiodło się bardziej niż jego poprzednikom. Nawet kiedy władał, jego rząd występował przeciwko niemu, a najwyżsi cywilni urzędnicy zdecydowani byli wyciągnąć jak najwięcej korzyści z jego upadku i robili co mogli, by zahamować jakiegokolwiek reformy, które mogłyby osłabić ich pozycje.

Lecz idealny czy nie, Mavrikios był tym, co Videssos miało, i w godzinie kryzysu jego mieszkańcy udzielali mu swego poparcia. Z każdym jego krokiem natężenie hałasu rosło. Wszyscy w amfiteatrze stali i krzyczeli. Za Imperatorem podążała grupa trębaczy, lecz w takiej wrzawie nawet oni nie mogli siebie słyszeć.

Imperator, za Sevastosem, patriarchą i swoją rodziną, wspiął się po dwunastu stopniach na grzbiet areny. Każdy oddział żołnierzy prezentował broń, kiedy go mijał; Khamorthci i rodzimi Videssańczycy wciągnawszy puste łuki, Halogajczycy unosząc w pozdrowieniu swe topory, a Namdalajczycy i wreszcie Rzymianie zaprezentowali się z oszczepami wyciągniętymi przed siebie na długość ramienia.

Thorisin Gavras, mijając Marka, obdarzył go żywym, drapieżnym uśmiechem. Jego myśli dawały się łatwo odczytać — chciał walczyć z Yezd, Skaurus dostarczył znakomitego powodu do walki, tak więc zaskarbił sobie jego względy. Mavrikiosa nie dawało się tak łatwo odczytać. Powiedział coś do Skaurusa, lecz zagłuszył to ryk tłumu. Widząc, że nie ma nadziei, by mógł być zrozumiany, Imperator niemal potulnie wzruszył ramionami i ruszył dalej.

Gavras zatrzymał się na parę chwil u podstawy trybuny, z której miał przemawiać, podczas gdy jego orszak, kołyszac parasolami, ustawił się wokół niej. I kiedy stopa Imperatora dotknęła jej drewnianego stopnia, Marek zastanowił się, czy to Nepos i jego koledzy w czarodziejskim fachu utkali jakąś potężną magię, czy też jego zmaltretowane uszy w końcu przestały mu służyć. Zapadła nagła, bolesna cisza, przerywana tylko dzwonieniem w jego głowie i dalekim krzykiem handlarza

ryb, wołającego za areną: — Świeże mątwy!

Imperator zmierzył wzrokiem tłum, obserwując jak opada na swe ławki. Rzymianin pomyślał, że nie ma żadnej nadziei, by jeden człowiek został usłyszany przez tak wielu, lecz nie miał pojęcia o wyrafinowaniu, z jakim videssańscy rzemieślnicy zbudowali amfiteatr. Środek krawędzi areny stanowił ognisko skupiające i odbijające wszelkie dźwięki, tak że słowa wypowiedane z tego jednego miejsca rozbrzmiewały wyraźnie w całym amfiteatrze.

— Nie potrafię kwieciście mówić — zaczął Imperator i Marek musiał się uśmiechnąć, pamiętając jak na galijskiej polanie, nie tak dawno temu, zarzekł się podobnie, by rozpocząć mowę.

Mavrikios mówił dalej: — Dorastałem jako żołnierz, całe moje życie spędziłem wśród żołnierzy i nauczyłem się cenić żołnierską otwartość. Jeśli ktoś woli retorykę, nie musi jej dzisiaj szukać daleko. — Machnął ręką, by wskazać szeregi siedzących biurokratów. Tłum zachichotał. Odwróciwszy głowę, Skaurus zobaczył zaciśnięte z odrazą usta Vardanesa Sphrantzesa.

Choć Imperator nie mógł powstrzymać się przed tym docinkiem, to jednak nie wbijał szpilki głębiej. Wiedział, że potrzebuje całej jedności, na jaką mógł zdobyć się ten podzielony kraj, i mówił dalej w sposób zrozumiały dla wszystkich jego poddanych.

— W stolicy — ciągnął — jesteśmy szczęśliwi. Jesteśmy bezpieczni, jesteśmy syci, jesteśmy chronieni murami i flotą, z jakimi nie może się mierzyć żaden kraj na świecie. Większość z was należy do rodzin od dawna osiadłych w mieście i większość z was żyje w dostatku. — Marek pomyślał o Phostisie Apokavkosie powoli umierającym z głodu w ruderach Videssos. Żaden król — zadumał się — nawet tak otwarty i niepodobny do innych jak Mavrikios, nie mógł mieć nadziei na poznanie wszystkich kłopotów swego kraju.

Jednak Imperator aż nadto dobrze zdawał sobie sprawę z niektórych z nich. Ciągnął: — Na naszych zachodnich ziemiach, po drugiej stronie cieśniny, zazdroszczą wam. Już od wielu lat trucizna Yezd zalewa nasze ziemie paląc nasze pola, zabijając naszych rolników, plądrując i morząc głodem nasze miasta i sioła, i bezczeszcząc świątynie naszego boga.

— Biliśmy czcicieli Skotosa, ilekroć mogliśmy dopaść ich obładowanych łupem. Lecz są tak liczni jak szarańcza; na miejsce każdego, który umiera, czeka już dwóch innych. A teraz, w osobie ich ambasadora, rozciągnęli swe zgubne oddziaływanie nawet na samo Videssos. Avshar, o którym Phos zapomniał, niezdolny przeciwstawić się jednemu żołnierzowi Imperium w uczciwej walce, zarzucił sieć swych oszukaństw na drugiego i posłał go jak żmiję w nocy, by zamordował człowieka, któremu sam nie śmiało stawić czoła z otwartą przyłbicą.

Tłum, do którego się zwracał, wydał złowieszczy pomruk; niski, gniewny dźwięk, jak dudnienie poprzedzające trzęsienie ziemi. Mavrikios pozwolił, by grzmot narastał przez chwilę, nim uniósł ręce prosząc o ciszę.

Gniew brmiący w głosie Imperatora był prawdziwym gniewem, nie jakąś sztuczką krasomów-

czą. — Kiedy jego zbrodnia została odkryta, morderca z Yezd zbiegł jak tchórz, którym jest; znowu uciekając się do pomocy swej nieczystej magii, by ukryła jego ślady, i by raz jeszcze zabiła za niego, tak żeby sam nie musiał stawiać czoła niebezpieczeństwu! — Tym razem gniew tłumu nie opadł od razu.

— Dość, powiadam, dość! Yezd uderzał zbyt często i zbyt mało ciosów otrzymywał w odpowiedzi. Jego zbroje muszą otrzymać lekcję, którą zapamiętają na zawsze: że choć jesteśmy cierpliwi wobec naszych sąsiadów, nasza pamięć wyrządzonych nam krzywd również jest długa. A krzywdy, jakie Yezd nam wyrządził, są niewybaczalne! — Jego ostatnie zdanie zostało niemal zagłuszone przez zajadły ryk tłumu, teraz bliskiego wrzenia.

Krytyczna strona Skaurusa podziwiała sposób, w jaki Imperator krok po kroku rozniecał w swych słuchaczach wściekłość; jak murarz, który wznosi dom kładąc warstwami cegły. Podczas gdy Rzymianin, by rozgrzać swych ludzi, sięgał po mowy, jakie wygłaszał nim został żołnierzem, Gavras wykorzystywał dawne przemowy z pól bitewnych, by poruszyć tłum cywilów. Jeśli biurokraci stanowili wzór, do jakiego przywykli mieszkańcy miasta, to burkliwa otwartość Mavrikiosa skutecznie to zmieniała.

— Wojna! — krzyczał tłum. — Wojna! Wojna! — Jak barbarzyńca bijący w żelazny dzwon, słowo to rozbrzmiewało i powracało echem w amfiteatrze. Imperator nie przerywał krzyków. Może cieszył się chwilą rzadkiej jedności, którą stworzył; może — pomyślał Marek — próbował wykorzystać tę burzę nienawiści do Yezd, by zastraszyć biurokratów, którzy przeciwstawiali się wszystkim jego poczynaniom.

W końcu Imperator uniósł ręce prosząc o ciszę i cisza z wolna zapadła.

— Dziękuję wam — powiedział do tłumu — za to, że każecie mi zrobić to, co od początku do końca jest słuszne. Czas półśrodków minął. W tym roku uderzymy całą siłą, jaka znajduje się do naszej dyspozycji; kiedy w następnym roku zobaczycie mnie tutaj, Yezd nie będzie sprawiał już kłopotu!

Arena pustoszała po ostatnich gromkich owacjach; wychodzących ludzi otaczał podniecony gwar. Dopiero kiedy ostatni z nich wyszli, oddziały gwardii mogły również opuścić swe stanowiska i wrócić do mniej uroczystych obowiązków.

— Co o tym sądzisz? — zapytał Skaurus Gajusza Filipusa, kiedy maszerowali z powrotem do koszar.

Starszy centurion potarł bliznę na policzku. — Jest dobry, co do tego nie ma wątpliwości, ale też nie jest Cezarem. — Skaurus musiał się zgodzić. Mavrikios rozpałił tłum — tak — lecz Skaurus nie miał wątpliwości, że wrogowie Imperatora w rządzie ani nie zostali przekonani jego słowami, ani nie dali się zastraszyć namietnościami, które rozniecił. Takie przedstawienie nic nie znaczyło dla tak zimnych rachmistrzów jak Sphrantzes.

— Poza tym — dodał nieoczekiwanie Gajusz Filipus — to nieroztropne mówić o swoich zwycięstwach nim się je odniosło. — Również i tej myśli trybun nie mógł podważyć.

VII

Przed koszarami jest jakiś Namdalajczyk, który chce się z tobą widzieć — powiedział Skaurusowi Phostis Apokavkos rankiem drugiego dnia po wypowiedzeniu przez Imperatora wojny. — Mówi, że nazywa się Soteryk, czyjs tam syn. To imię nic Markowi nie mówiło.

— Czy powiedział, dlaczego chce się ze mną widzieć?

— Nie; ani też go o to nie pytałem. Nie przepadam za Namdalajczykami. Wedle mnie większość z nich nie jest niczym więcej jak... — i tu Apokavkos rzucił jędrne, łacińskie przekleństwo.

Były rolnik przystosował się do Rzymian lepiej, niż Marek mógł się spodziewać, kiedy wyciągał go z żalosego życia w dzielnicy złodziei Videssos. Wymizerowanie zaczynało znikać z jego twarzy i ciała, lecz tego można się było spodziewać przy regularnych posiłkach.

Jednak było to najmniejsze z jego przystosowań. Odrzucony przez naród, który go wydał, robił wszystko, co mógł, by stać się w pełni częścią tego, który go przyjął. Mimo to, że Rzymianie nauczyli się Videssańskiego, by ułatwić sobie życie w Imperium, Phostis uczył się łaciny, aby wtopić się w swoje nowe otoczenie. Ćwiczył ciężko z krótkim mieczem i oszczepem, choć do żadnej z tych broni nie był przyzwyczajony.

I... mózg Marka wreszcie zauważył to, co mówiły mu jego oczy. — Ogoiliłeś się! — zawołał.

Apokavkos z zakłopotaniem potarł swoją ogoloną szczękę. — Co z tego? Czujesz się naprawdę dziwnie, kiedy jesteś jedynym w koszarach człowiekiem z zarośniętą twarzą. Nigdy nie będę piękny, z wąsami czy bez. Choć nie potrafię zrozumieć, dlaczego zawracacie sobie tym głowę; więcej boli niż jest tego warte, gdyby mnie ktoś pytał. Ale moja naga broda nie jest tym, z czym przyszedłem do ciebie. Będiesz rozmawiał z tym przeklętym Namdalajczykiem, czy też mam mu powiedzieć, żeby się stąd zabrał?

— Sądzę, że się z nim zobaczę. Jak to powiedział ów kapłan parę dni temu? „Wiedzy nigdy za dużo”. — Tylko siebie posłuchaj — pomyślał — komuś mogłoby przyjść do głowy, że to mówi Gorgidas.

Oparty wygodnie o ścianę koszarowej sali, najemnik ze wschodnich wysp nie wydawał się wcale zirytowany tym, że musiał czekać na Skaurusa. Był mocno zbudowanym mężczyzną średniego wzrostu o ciemnobrązowych włosach, błękitnych oczach i bardzo jasnej skórze, która świadczyła o

północnym pochodzeniu Namdalajczyków. W przeciwieństwie do wielu swych rodaków nie golił tyłu głowy, lecz pozwalał, by jego włosy spływały długimi fałami aż na kark. Marek wątpił, by więcej niż o rok czy dwa przekroczył trzydziestkę.

Kiedy rozpoznał trybuna, wyprostował się i podszedł do niego, wyciągnawszy obie ręce do zwykłego namdalajskiego uścisku. Skaurus podał mu swoją, lecz musiał powiedzieć: — Masz nademną przewagę, obawiam się.

— Mam? Przepraszani; podałem swoje imię twojemu człowiekowi. Jestem Soteryk, syn Dostiego, z Metepont. Z Księżstwa, oczywiście.

Apokavkos zapomniał imienia rodowego Soteryka, ale pełne imię najemnika dalej nie Skaurusowi nie mówiło. Lecz Rzymianin słyszał już gdzieś nazwę jego rodzinnego miasta. — Metepont? — powtórzył. Potem przypomniał sobie. — Rodzinne miasto Hemonda?

— To samo. A ściślej, również Helvis. Widzisz, ona jest moją siostrą.

I rzeczywiście Marek widział; teraz, kiedy dowiedział się o pokrewieństwie. Helvis nie wspominała przy nim o swym bracie ani nie wymieniła imienia swego ojca, by mógł domyślić się pokrewieństwa, jednak teraz łatwo dostrzegał podobieństwo między nią a Soterykiem. Nie chodziło tu tylko o barwę ich skóry; wielu Namdalajczyków miało podobną cerę. Soteryk miał twardszą wersję pełnych ust Helvis i, tak jak ona, szeroką twarz z wyraźnie zaznaczonymi kośćmi policzkowymi. Z drugiej jednak strony, jego nos był na tyle wydatny, by zaszczyścić każdego Videssańczyka, podczas gdy jej był mały i prosty.

Uświadomił sobie, że wytrzeszcza niegrzecznie oczy na gościa. — Wybacz. Czy zechcesz wejść i przy porannym kubku wina opowiedzieć mi o tym, co cię tu sprowadza?

— Chętnie. — Soteryk wszedł za trybunem do koszar; Skaurus przedstawił go legionistom, których mijali. Namdalajczyk pozdrawiał wszystkich serdecznie, lecz Marek zauważył, że dyskretnie ocenia zarówno Rzymian jak i salę, w której mieszkali. Nie rozdrażniło to trybuna — sam zrobiłby tak samo.

Kiedy siadali, Soteryk wybrał krzesło, którego oparcie nie zwracało się ku żadnym drzwiom. Marek rzekł z uśmiechem:

— Teraz, kiedy jesteś już zupełnie pewien, że nie zostaniesz nagle zabity, czy zaryzykujesz wypicie ze mną kubka czerwonego wina? Dla mnie jest zbyt słodkie, lecz wszyscy tutaj przepadają za nim.

Jasna twarz Soteryka pokryła się wyraźnym rumieńcem. — Tak łatwo to dostrzec? — zapytał Namdalajczyk, potrząsając ponuro głową. — Jestem już dość długo wśród Videssańczyków, by przestać ufać własnemu cieniowi, lecz jak się wydaje nie na tyle długo, by zatrzymać to dla siebie. Tak, czerwone będzie dobre, dziękuję ci.

Przez chwilę sączyli wino w milczeniu. Sala koszar była niemal pusta, ponieważ większość Rzy-

mian znajdowała się na ćwiczeniach. Phostis Apokavkos, gdy tylko zobaczył jak Namdalajczyk wchodzi frontowym wejściem, natychmiast wymknął się tylnym, nie chcąc mieć z najemnikiem nic więcej do czynienia.

W końcu Soteryk odstawił kubek i spojrzął na Marka znad złączonych palców. — Nie jesteś taki, jak sobie wyobrażałem.

— O? — Na takie stwierdzenie żadna rzeczowa odpowiedź nie wydawała się możliwa. Rzymianin znowu uniósł kubek do ust. To wino — pomyślał — rzeczywiście jest lepkie.

— Hemond — niech Phos da mu wieczne spoczywanie — i moja siostra twierdzi, że nie masz cierpliwości do tego jadowitego wyrafinowania, które tak kocha Imperium, lecz ja im nie wierzyłem. Za bardzo zaprzyjaźniłeś się z połową Videssańczyków i zbyt szybko zdobyłeś zaufanie Imperatora. Lecz spotkawszy cię zrozumiałem, że ostatecznie to oni mieli rację.

— Cieszę się, że tak uważasz, lecz w rzeczywistości moje wyrafinowanie jest tak wielkie, że bierzesz je za otwartość.

Soteryk znowu się zaczerwienił. — Miałem takie wrażenie.

— Ty wiesz lepiej. Nie oceniaj też tak nisko własnej subtelności; minęło już pół godziny, a ja nie mam większego pojęcia o tym, co cię tutaj sprowadza niż wówczas, kiedy ujrzałem cię po raz pierwszy.

— Z pewnością musisz wiedzieć, że... — zaczął Namdalajczyk, lecz potem zrozumiał, że ocenia Marka wedle kryteriów własnego narodu. — Nie, skąd niby miałbyś wiedzieć — stwierdził i wyjaśnił: — Nasz zwyczaj nakazuje złożyć oficjalne podziękowania człowiekowi, który zaniósł miecz poległego wojownika jego rodzinie. Poprzez Helvis jestem tutaj najbliższym męskim krewnym Hemonda, toteż ten obowiązek spada na mnie. Nasz ród ma wobec ciebie dług wdzięczności.

— Mielibyście wobec mnie większy dług, gdybym tamtego ranka nie spotkał Hemonda — rzekł gorzko Marek. — Nie macie wobec mnie żadnego długu, to raczej ja mam wobec was. Przez to nieszczęsne spotkanie człowiek, który stawał się moim przyjacielem, nie żyje, wspaniała kobieta owdowiała, a chłopiec, o którego istnieniu nawet nie wiedziałem, jest sierotą. A ty mówisz o długach?

— Nasz ród ma wobec ciebie dług wdzięczności — powtórzył Soteryk i Marek zrozumiał, że rzeczywiście są mu zobowiązani, bez względu na okoliczności. Wzruszył ramionami i rozłożył ręce, niechętnie to uznając.

Soteryk skinął głową, z powodzeniem zakończywszy posłanie, do którego zobowiązywały go zwyczaje Namdalajczyków. Marek pomyślał, że teraz wstanie i pożegna się, lecz Soteryk miał jeszcze inne rzeczy na głowie oprócz podziękowania.

Nalał sobie drugi kubek wina, rozparł się na krześle i powiedział: — Mam pewną rangę wśród moich rodaków i mówię teraz w imieniu nas wszystkich. Obserwowaliśmy was na polu ćwiczeń.

Wy i nasi kuzyni Halogajczycy jesteście jedynymi ludźmi, jakich znamy, którzy wolą walczyć pieszo. Z tego, co widzieliśmy, wasz styl walki różni się od ich stylu i jest o wiele bardziej precyzyjny. Czy interesują cię wspólne ćwiczenia twoich ludzi z naszymi, tak byście mogli pokazać nam choć trochę z tego, co umiecie? Wolimy walczyć konno, to prawda, lecz są chwile i miejsca, gdzie walka musi toczyć się pieszo. Co ty na to? Była to propozycja, na którą trybun mógł zgodzić się z przyjemnością.

— My również możemy się czegoś od was nauczyć — powiedział. — Wasi wojownicy, sądząc z tego co udało mi się zobaczyć, są odważni, dobrze uzbrojeni i bardziej zdyscyplinowani niż większość żołnierzy, których tutaj widziałem.

Soteryk pochylił głowę, przyjmując komplement. Po paru minutach dyskusji nad porą i dniem, odpowiadającymi zarówno Rzymianom jak i Namdalajczykom ustalili, że spotkanie odbędzie się za trzy dni i weźmie w nim udział po trzystu ludzi z każdej strony.

— Czy masz ochotę postawić na wynik? — zapytał Soteryk. Nie po raz pierwszy Marek pomyślał, że Namdalajczycy zdają się uwielbiać zakłady.

— Lepiej niech stawka będzie niewielka, żeby harcownicy nie rozpalili się bardziej niż powinni — powiedział. Zastanowił się przez chwilę. — Co powiesz na to: niech przegrywająca strona podejmie zwycięzców ucztą w swych koszarach; zarówno jedzeniem, jak i piciem. Czy to nie wydaje się sprawiedliwe?

— Tak będzie znakomicie. — Soteryk uśmiechnął się szeroko. — To lepsze niż pieniężny zakład, ponieważ powinno wyleczyć wszystkie animozje, jakie pozostaną po walce, zamiast je rozjątrzyć. Na Phosa Hazardzistę! Rzymianinie, lubię cię.

Ta przysięga na chwilę zakłopotła Marka. Potem przypomniał sobie lekceważącą wzmiankę Ap-simara o wierze Namdalajczyków, że — choć rezultat walki pomiędzy złem a dobrem jest niepewny — ludzie powinni działać tak, jakby uważali, że dobro zwycięży. Wyznając taką teologię — pomyślał trybun — nic dziwnego, że mieszkańcy Księstwa uwielbiają się zakładać.

Soteryk opróżnił kubek i zaczął się podnosić, lecz zaraz usiadł. — Mam dla ciebie jeszcze jedną wiadomość — powiedział wolno.

Milczał tak długo, że Marek zapytał: — Nie masz zamiaru mi jej przekazać?

Wyspiarz zaskoczył go, mówiąc: — Kiedy przyszedłem tutaj, nie miałem zamiaru. Lecz, tak jak powiedziałem przedtem, wy Rzymianie — i ty sam — nie jesteście tacy, jak sobie wyobrażałem, tak więc mogę ci ją przekazać. Widzisz, to jest wiadomość od Helvis.

To wystarczyło, by Skaurus skupił na nim całą swoją uwagę. Nie mając pojęcia, czego oczekiwać, zrobił wszystko, by na jego twarzy nie pojawiło się nic innego oprócz grzecznego zainteresowania. Soteryk mówił dalej:

— Prosiła mnie, jeśli uznam to za właściwe, aby powiedzieć ci, że nie nosi w sobie urazy do

ciebie za to, co się wydarzyło. Uważa też, że dług wdzięczności wobec człowieka, który przyniósł miecz, rozciąga się tak samo na nią, jak i na mnie.

— Jest łaskawa i jestem jej za to wdzięczny — odparł szczerze Marek. Nie byłoby nic łatwiejszego dla Helvis, po paru dniach gorzkich rozmyślań, jak znienawidzić go za udział w śmierci Hemonda.

Podczas musztry Rzymianie okazali się tak chętni do potyczki z Namdalajczykami, jak przewidywał to Skaurus. Robi J co mogli, pracując ciężiej niż zdarzało im się to od tygodni, by spoczęło na nich oko oficera, który wybierał żołnierzy do doborowych trzech setek. Zakład Marka zagrał na ich dumie; w potyczkach pod Imbros nabrali przekonania, że są lepszymi żołnierzami od jakiegokolwiek innej piechoty w służbie Imperium. Palili się, by udowodnić to ponownie w stolicy.

— Chyba nie chcesz wyłączyć mnie z tej awantury dlatego, że nie lubię walczyć w szeregu, co? — zapytał z niepokojem Viridoviks, gdy wlekli się przez miasto wracając z pola ćwiczeń.

— Nawet o tym nie pomyślałem — uspokoił go Skaurus. — Gdybym próbował to zrobić, ruszyłbyś za mną z tym swoim mieczem. Lepiej, żebyś pogonił nim Namdalajczyków.

— Zatem wszystko w porządku.

— Skąd taka namiętność do siekania swoich bliźnich? — zapytał Celta Gorgidas. — Jakie zadowolenie ci to daje?

— Mimo całego swojego szczekania, mój przyjacielu Greku, jesteś, jak sądzę, zimnokrwistym człowiekiem. Walka jest winem, kobietami i złotem stopionym w jedno. Nigdy nie czujesz się bardziej żywy niż wówczas, kiedy trafisz wroga i widzisz, jak pada przed tobą.

— I nigdy bardziej martwy, kiedy on trafi ciebie — odciął się Gorgidas. — To otwarłoby ci oczy, żeby zobaczyć wojnę z punktu widzenia lekarza; brud, rany, ropa, ręce i nogi, które już nigdy nie będą zdrowe, twarz człowieka umierającego przez wiele dni z raną w brzuchu.

— Chwała! — zawołał Viridoviks.

— Powiedz to zakrwawionemu chłopcu, który właśnie stracił rękę. Nie mów mi o chwale; łam ciała, na których budujesz swoją chwałę. — Lekarz tupnął nogą i odszedł z wyrazem obrzydzenia na twarzy.

— Gdybyś uniósł twarz znad brudu, zobaczyłbyś więcej! — zawołał za nim Viridoviks.

— Gdybyś nie rozrzucał w nim zwłok, nigdy nie spotkałbym się z brudem.

— Nie ma w nim właściwego ducha w ogóle, w ogóle — rzekł ze smutkiem Viridoviks do Skaurusa.

Myśli trybuna wciąż kierowały się ku Hemondowi. — Nie ma? Zastanawiam się. — Gal wytrzeszczył na niego oczy, a potem odsunął się, jakby w obawie, że może się czymś zarazić.

Przy koszarach czekał na nich Nepos. Tłusta twarz kapłana była zbyt puciołowata, by przybrać naprawdę ponury wyraz, lecz nie wyglądał na szczęśliwego człowieka. Po uprzejmym powitaniu w

jego głosie pojawił się błagalny ton, kiedy zapytał Marka: — Powiedz mi, czy przypomniałeś sobie cokolwiek, co dotyczy Avshara od czasu, kiedy wypytywali cię urzędnicy Imperatora? W ogóle cokolwiek?

— Nie sędzę, bym kiedykolwiek przypomniał sobie o Avsharze cokolwiek więcej ponad to, co wyciągnęli ze mnie — rzekł Marek, wspominając przesłuchanie, jakiemu został poddany. — Nawet cęgami i rozpalonym żelazem nie wycisnęliby ze mnie więcej.

Ramiona Neposa opadły. — Obawiałem się, że tak właśnie powiesz. Zatem nic nie możemy zrobić, a przekłety Yezda — oby Phos pozbawił go jego pewności siebie — wygrał kolejną rundę. Jak łasica prześlizguje się przez najmniejsze dziury.

Rzymianin uważał, że stracili wszelkie szansę pochwylenia Avshara z chwilą, kiedy dotarł na zachodni brzeg Końskiego Brodu. Nie wierzył w skuteczność latarni sygnałowych Khoumnosa, mających zawiadomić straż graniczną; granica była zbyt długa, zbyt słabo strzeżona

i zbyt często przekraczana przez najeźdźców — a nawet armie — z Yezd. Lecz z wyrazu rozczarowania na twarzy Neposa można było odnieść wrażenie, że miał uzasadnioną nadzieję na odnalezienie Avshara, nadzieję teraz zniweczoną. Kiedy Skaurus zapytał go o to, w odpowiedzi skinął z przygnębieniem głową.

— Tak, rzeczywiście. Nie powinno być nic łatwiejszego niż wytropienie go. Kiedy uciekał z Pałacu Ambasadorów, musiał zostawić niemal cały swój dobytek, nie tylko dymiący ołtarz swego mrocznego boga. To, co niegdyś było jego, zachowuje oczywiście związek z nim i poprzez te rzeczy nasi magowie potrafią znaleźć ich właściciela. Albo przynajmniej powinni. Lecz w swych poszukiwaniach natrafili jedynie na ogromną pustkę, pustkę tak rozległą jak kraj, w którym mógł ukryć się Avshar. Wywiódł w pole siedmiu naszych najpotężniejszych magów, twego sługę wśród nich. Jego czary nic sobie nie robią ze skrupułów, których ci, co spełniają wymagania dobra, muszą przestrzegać, a poza tym ten diabeł jest silny, naprawdę silny.

Nepos miał tak posępną minę, że Marek chciał pocieszyć go w jakiś sposób, lecz nie potrafił znaleźć niczego pocieszającego do powiedzenia. Jak olbrzym ścigany przez karłów, Avshar strząsnął z siebie tych, którzy chcieli go powstrzymać, i mógł teraz bez przeszkód zadać Imperium każdy cios, jaki zdoła wymyślić jego nikczemnie bystry umysł.

— W czasach nim jeszcze pochłonęli ich Yezda — powiedział Nepos — mieszkańcy Makuranu mieli ulubione przekleństwo: „Obyś żył w ciekawych czasach”. Dopóki ty i twoi ludzie nie przybyście do Videssos, mój przyjacielu z bardzo daleka, nigdy nie przyszło mi do głowy, jak potężnym przekleństwem może ono być.

Pole, gdzie żołnierze Videssos odbywali musztrę, znajdowało się tuż za południowym krańcem wielkich miejskich murów. Spoglądając na południowy wschód, bez trudu można było zobaczyć wyspę, którą Videssańczycy zwali Kluczem, rozciągającą się purpurową masą na szarym horyzon-

cie. Leżąc pomiędzy wschodnimi i zachodnimi dominiami Imperium, strzegła również dostępu do stolicy od Morza Żeglarzy. Była też, jak wiedział Marek, drugim po samej stolicy centrum imperialnej floty.

Lecz myśli trybuna tak naprawdę nie skupiały się na odległym Kluczu; nie w chwili, kiedy zajmowały go o wiele pilniejsze sprawy. Jego doborowy oddział składający się z trzystu legionistów spoglądał na Namdalajczyków ustawiających się po drugiej stronie ćwiczebnego pola. Gorgidas chciał, żeby oddział nazywał się „Spartanie”, ponieważ liczył tylu samo ludzi, ilu liczyła owa waleczna kompania, która stawiała czoło Persom Kserksesa pod Termopilami.

Skaurus sprzeciwił się temu, mówiąc: — Wiem, że są trwałą częścią waszej narodowej, greckiej dumy, lecz my potrzebujemy nazwy, która by lepiej wróżyła; o ile pamiętam, żaden z tych wojowników nie przeżył.

— Nie, dwóch przeżyło, tak powiadają. Jeden zmaszał płamę walcząc dzielnie pod Płatają w następnym roku; drugi powiesił się ze wstydu. Jednak rozumiem twój punkt widzenia.

Obserwując rozciągające się i skręcające szeregi Namdalajczyków, trybun pomyślał, nie po raz pierwszy, jak imponująco zbudowani są ich wojownicy. Przynajmniej tyle wyżsi od Rzymian co Celtowie, wzbudzali swym wzrostem jeszcze większe onieśmienie z powodu stożkowatych hełmów, jakich używali. Mieli również szersze ramiona i potężniejsze piersi niż Galowie i nosili cięższe zbroje. To jednak dawało im tylko częściową przewagę, ponieważ lubili walczyć konno; pieszo, tak ciężkie zbroje mogły ich szybko zmęczyć.

Pomiędzy Namdalajczykami i Rzymianami znajdowała się grupa sędziów, Videssańczyków i Halogajczyków znanych z uczciwości. Ci mieli przy sobie cynowe gwizdki i białe pręty. Oszczepy bez ostrzy nie stanowiły zagrożenia dla wojowników, lecz walka na miecze, nawet dla sportu, mogła zakończyć się krwawo, gdyby nie była kontrolowana.

Marek przywykł już do tego, jak szybko wszelkiego rodzaju plotki rozchodzą się po Videssos, lecz mimo to zaskoczył go widok tłumu, jaki zgromadził się na skraju pola ćwiczeń. Oczywiście było tam mnóstwo Rzymian i Namdalajczyków, jak również videssańskich oficerów i żołnierzy. Lecz skąd o mających mieć miejsce zawodach dowiedzieli się barwnie przyodziani cywilni służący i wielka grupa zwykłych mieszczan? I kiedy ostatnio Skaurus widział chudego posła z Arshaum, biegł on po swój łuk do Pałacu Ambasadorów. W jaki sposób on dowiedział się o tym spotkaniu?

Po paru chwilach trybun uzyskał odpowiedź przynajmniej na to. Koczownik krzyknął coś do Rzymian i Viridoviks odpowiedział mu machnąwszy ręką. Wysoki, jasnoskóry Gal i smagły, niski mieszkaniec równin sprawiali wrażenie dziwnej pary, lecz najwyraźniej zdążyli się już poznać i polubić.

Główny sędzia, halogajski dowódca znany jako Czerwony Zeprin, skinieniem ręki przywołał obu dowódców na środek pola. Tęgi Halogajczyk zawdzięczał swe przezwisko nie włosom, które były

jasne, lecz swej cerze. Nad grubą szyją jego twarz miała niemal barwę gotowanego łososia. Gorgidas nazwałby go odpowiednim kandydatem do apopleksji, lecz Halogajczyk nie był człowiekiem, któremu można by cokolwiek wyperswadować.

Marek ucieszył się, kiedy zobaczył, że to Soteryk jest jego przeciwnikiem. To prawda, że wśród Namdalajczyków byli wyżsi rangą oficerowie, lecz syn Dostiego otrzymał przywilej dowodzenia wojownikami Księstwa, ponieważ to on doprowadził do ich spotkania z Rzymianami.

Zeprin spojrział surowo na obu dowódców. Jego wolny, przeciągły halogajski akcent przydawał mówionym przez niego słowom powagi.

— Tę zabawę urządza się dla zaszczytu i dla sportu. Wiecie to i wiedzą to wasi ludzie — teraz. Zobaczymy, czy będą o tym pamiętać, kiedy dostaną drzewcem oszczepu po żebrach. Nie chcemy tu żadnej burdy. — Rozejrzał się szybko, by zobaczyć, czy któryś z jego *videssańskich* towarzyszy jest na tyle blisko, by go usłyszeć. Zadowolony, zniżył głos, mówiąc dalej: — Prawdę mówiąc, nie boję się o to; nie ma wśród was mieszczan. Bawcie się dobrze; bardzo bym chciał dołączyć do was z mieczem w rękę, zamiast tego śmiesznego patyka.

Skaurus i Soteryk wrócili truchtem do swoich żołnierzy. Rzymianie byli ustawieni w trzy manipuły, dwa obok siebie na czele, a trzeci w rezerwie, z tyłu za nimi. Ich przeciwnicy tworzyli pojedynczą głęboką kolumnę, z wysuniętym naprzód lasem oszczepów. Soteryk stał pośrodku pierwszego szeregu.

Kiedy Zeprin upewnił się, że obie strony są gotowe, zakreślił swym prętem koło nad głową. Jego towarzysze sędziowie rozbiegli się na boki, gdy Rzymianie i Namdalajczycy ruszyli na siebie.

Tak jak powiedział główny sędzia, z trudem przychodziło pamiętać, że nie jest to prawdziwa walka. Spod hełmów wyzierały zawzięte i posepne twarze Namdalajczyków; pochylone naprzód ciała, ręce z pobielalymi kłykciami zaciśnięte na długich włóczniach — *poles*, przypomniał sobie trybun — wrzask, mający przerazić wroga — i tylko chłodnego błysku stali na ostrzach włóczni brakowało w tym wszystkim.

Zbliżali się coraz bardziej i bardziej. — Rzucić! — krzyknął trybun i jego pierwszy szereg cisnął swoje sztuczne *pilq*. Większość odskoczyła nieszkodliwie od tarczy Namdalajczyków. Nie tak powinno być; prawdziwe *pilq* z ostrzami i trzonkami z miękkiego żelaza utkwilyby w tarczach, czyniąc je niezdatnymi do użytku i zmuszając najemników do ich porzucenia.

Tu i tam jakiś oszczep trafił w cel, uderzając głucho w kolczugę lub ciało. Sędziowie gwizdali jak szaleni i machali swymi prętami, rozkazując „zabitym” wojownikom zejść z pola. Jakiś wyspiarz, który uważał, że jego zbroja bezpiecznie odbiłaby oszczep, wrzeszcząc zasypał przekleństwami sędziego, który uznał go za martwego. Sędzią był Halogajczyk o pól głowy wyższy od rozwścieczonego wojownika z Księstwa. Słuchał przez parę chwil, potem położył ogromną rękę na piersi Namdalajczyka i pchnął. Nim jeszcze padający najemnik dotknął ziemi, sędzia całą swoją

uwagę skupił ponownie na walce.

Namdalajczycy nie użyli swych pik do miotania. Nie ustępując przed salwami Rzymian, godzili się ze swymi stratami aż do chwili gdy zbliżyli się dostatecznie do legionistów. Wówczas ciężar ich falangi i długość włóczni zaczęły robić swoje. Nie mogąc podejść tyle blisko do swych przeciwników, by skutecznie użyć mieczy, Rzymianie zobaczyli, że ich linia zaczyna wyginać się w środku. Coraz częściej i częściej gwizdki i pręty sędziów wskazywały ludzi Skaurusa, którzy mieli zejść z pola.

Wojownicy z Namdalen, przewidując zwycięstwo, wznieśli tryumfalny okrzyk. Gajusz Filipus został osaczony przez dwóch Namdalajczyków jednocześnie. Jego miecz śmigał jak język żmii, gdy rozpaczliwie starał się ich odeprzeć. Nagle za wyspiarzami pojawił się walczący jak w bojowym szale Viridoviks. Jednego rozciągnął na ziemi uderzeniem potężnej pięści; z drugim przez parę gorących chwil wymieniał ciosy, a potem, tak delikatnie jak chirurg, ledwie dotknął karku wyspiarza ostrzem swej klingi. Namdalajczyk, popielaty na twarzy, zatoczył się do tyłu. Gwizdek sędziego, wyłączający go z walki, przyjął z niczym więcej jak z ulgą. Rzymianie — i cześć Namdalajczyków również — nagrodziła szermierkę Viridoviksa pochwalnym okrzykiem.

Niejeden żołnierz doznał prawdziwych ran; nawet bez ostrzy, drzewca, jakich używały obie strony, były skuteczną bronią. Tutaj jakiś wojownik zataczał się, ściskając złamane ramię, tam inny leżał rozciągnięty na ziemi, ogłuszony albo i gorzej, ciosem, jaki otrzymał w skroń. Paru po obu stronach odniosło również rany zadane mieczami. Wojownicy starali się ze wszystkich sił uderzać płazem, a nie sztychem lub ostrzem, lecz mimo to wypadki musiały się zdarzać.

Marek nie zwracał uwagi na straty. Zbyt był zajęty powstrzymywaniem Namdalajczyków przed rozdarciem jego rozciągniętych szeregów i rozbiciem Rzymian w proch. Poza tym, dzięki swemu wysokiemu, grzebieniastemu hełmowi i czerwonej opończy dowódcy, stanowił główny cel dla wyspiarzy. Niektórzy unikali jego sławnego już miecza, lecz najodważniejszych z odważnych przyciągał, a nie odstraszał.

Na samym początku Soteryk przyskoczył do niego z wyrazem radości na twarzy. Rzymianin uchylił się przed pchnięciem jego włóczni. Zanim zdołał odpowiedzieć swoją krótszą bronią, rozdzielił ich wir walczących. Inny Namdalajczyk walnął go złamanym drzewcem włóczni. Trybun zobaczył gwiazdy i czekał na pręt lub gwizdek wyłączający go z walki, lecz żaden z sędziów nie spostrzegł uderzenia.

Skaurus przedarł się przez ścisk do swego starszego centuriona, który właśnie odesłał z pola jakiegoś wyspiarza, minawszy jego pchnięcie i uderzywszy go w pierś mieczem. Trybun resztką tchu wykrzyczał mu swój plan. Niektórzy z Namdalajczyków musieli go słyszeć, lecz nie obchodziło go to; gdzie w tym świecie mieliby nauczyć się łaciny?

Kiedy skończył, Gajusz Filipus uniósł z zaskoczeniem brew. — Jesteś pewien?

— Tak. Z pewnością pobiją nas, jeśli dalej będziemy walczyć w sposób, jaki im odpowiada.

— Dobrze. — Centurion otarł pot z czoła ręką, w której dzierżył miecz. — To uzależnia wszystko od jednego uderzenia, prawda? Ale myślę, że masz rację; nie mamy nic do stracenia. Te bękarty są po prostu za wielkie, żeby dać im radę w czołowym starciu. Chcesz, żebym ja to poprowadził, mam nadzieję?

— Nikt inny. Weź też Gala ze sobą, jeśli go znajdziesz. Gajusz Filipus wyszczerzył zęby w wilczym uśmiechu.

— Tak, jeśli to się uda, będzie właśnie tym człowiekiem, którego potrzebuję. Życz mi szczęścia. — Prześlizgnął się do tyłu przez szeregi Rzymian, wykrzykując po drodze rozkazy.

Trzeci, ostatni manipuł, mimo naporu od czoła, nie związał się jeszcze całkowicie z przeciwnikiem. Gajusz Filipus odciągnął mniej więcej trzydziestu żołnierzy z ostatnich dwóch szeregów i poprowadził ich szybkim truchtem wokół lewego skrzydła rzymskiej linii. Biegając, zauważył Viridoviksa i machnięciem ręki dał mu do zrozumienia, by się do niego przyłączył.

— No to na razie — rzucił Celt do wojownika, z którym walczył; zastopował cięcie na włos od przerażonej, wzdragającej się twarzy Namdalajczyka. Zanim pobliski sędzia zdołał dotknąć prętem jego ofiarę, Viridoviks wyrwał się już z cizby i sadził susami za centurionem i jego oskrzydłającą grupą.

Marek wiedział, że następna minuta czy dwie rozstrzygną o wszystkim. Jeśli Namdalajczycy zdołają przerwać jego niespodziewanie osłabioną linię, zanim Gajusz Filipus zajdzie ich od flanki, walka będzie skończona. Jeśli jednak by się tak nie stało, mógłby stworzyć sobie miniaturę Kynoskefalaj. Tak jak Flaminiusz przed stu czterdziestu laty przeciwko falandze króla Filipa Macedońskiego, tak

1 on teraz wykorzystywał zdolność swych żołnierzy do manewrów i walki w małych oddziałach, by pokonać ciężej uzbrojonego i mniej ruchliwego przeciwnika.

Nauka historii Grecji mimo wszystko przydała się na coś — pomyślał z roztargnieniem. Gdybym nie przeczytał tego u Polibiusza, pewnie nigdy nie przyszłoby mi to do głowy.

Choć klęska była tuż—tuż, środek rzymskiej linii był napięty do ostateczności. Tam, w samym sercu bitewnej zawieruchy, legionista Minicjusz stał jak kamienna ściana. Jakiś cios wcisnął mu hełm na jedno ucho, tarczę miał niemal zupełnie roztrzaskaną, lecz powstrzymał Namdalajczyków. Inni Rzymianie, zepchnięci do tyłu przez żołnierzy z Księstwa, skupili się przy nim i nie dali przerwać linii.

Potem napór na nich niespodziewanie zelżał, kiedy Gajusz Filipus i jego mały oddział uderzyli w wyspiarzy od flanki. Piki, które sprawiły Rzymianom tak wiele kłopotu, teraz okazały się dla Namdalajczyków zgubą. Długie drzewca nie pozwalały wyspiarzom odwrócić się na spotkanie nowego zagrożenia, bez zderzania się ze sobą i wprowadzenia chaosu we własnych szeregach. Wy-

krzykując własny zwycięski pean, Rzymianie wślizgnęli się w otwarte tym sposobem luki i rozpoczęli coś, co byłoby upiorną rzezią. Za nimi podążali spoceni, zziębnięci sędziowie, by liczyć ich ofiary.

W takiej walce, gdzie wszelki porządek przestał się liczyć, Viridoviks pokazał, co potrafi. Jak jakaś straszliwa maszyna zniszczenia runął z wyciem przez rozbite szeregi Namdalajczyków, gruchocząc drzewca pik na drzazgi i dziurawiąc tarcze ciosami swego potężnego miecza. Jego długie rude loki wysunęły się spod hełmu, powiewając za nim jak osobisty, bojowy sztandar.

Gdy szeregi Namdalajczyków zachwiały się, główna linia Rzymian przesunęła się naprzód, kończąc dzieło rozpoczęte przez oskrzydlałą kolumnę. Zdemoralizowani wyspiarze nie potrafili stawić im oporu. Wkrótce ci, którzy nie zostali wskazani przez sędziów jako zabici, stanowili już tylko małą, szamoczącą się grupkę, niemal całkowicie otoczoną przez zwycięzców.

Soteryk, wraz z najlepszymi ze swych ludzi, wciąż walczył. Kiedy zobaczył Marka okrążającego Namdalajczyków w poszukiwaniu jakiejś luki, zawołał ze śmiechem:

— Nikczemny wrogu, nie dostaniesz mnie żywym! — Runął na trybuna, z mieczem uniesionym wysoko nad głową. Szcherząc zęby w odpowiedzi, Skaurus wyszedł mu na spotkanie.

Brat Helvis był szybki i silny, i tak zręcznie posługiwał się mieczem, jak żaden z przeciwników, z którymi dotychczas spotkał się Marek. Rzymianin musiał wyęźać wszystkie siły, by nie zostać trafionym, parując ciosy Soteryka własną klingą i blokując cieciami tarczą. Natychmiast się zdyszał, tak jak i wyspiarz; wydawało się, że udawana walka jest niemal tak męcząca jak prawdziwa.

Jeden z legionistów podbiegł, by pomóc swemu dowódcy. Zmuszony do zwrócenia uwagi na nowe zagrożenie, Soteryk odsłonił się na chwilę. To wystarczyło, by ostrze Marka przemknęło obok tarczy Namdalajczyka i zadźwięczało na jego napierśniku. Czerwony Zeprin dmuchnął w gwizdek i wskazał Soteryka swoim prętem.

Soteryk wyrzucił obie ręce do góry.

— Osaczony przez dwóch wrogów jednocześnie, wasz dzielny dowódca pada! — krzyknął do swych ludzi. — Nadszedł czas, by prosić wroga o litość. — Całkiem realistycznie przewrócił się na ziemię. Garstka wyspiarzy, która wciąż walczyła, zdjęła hełmy na znak poddania.

— Brawo dla naszych przeciwników w tej walce, a przyjaciół w następnej! — zawołał Marek, a Rzymianie odpowiedzieli z radością. Namdalajczycy odwzajemnili komplement. Dwie grupy opuszczały pole jako jedna. Marek widział, jak żołnierz z Księstwa pomaga utykającemu Rzymianinowi, jak jeden z jego legionistów demonstruje pchnięcia dwóm wyspiarzom i stwierdził, że poranne spotkanie zakończyło się wielkim sukcesem.

Cudownie zmartwychwstały Soteryk zrównał się z trybunem.

— Gratulacje — powiedział, ujmując dłoń Rzymianina. — Muszę cię prosić o zgodę na odroczenie wypłaty waszej wygranej na dzień lub dwa. Byłem tak pewien, iż wygramy, że nie

zgromadziliśmy żadnych zapasów na ucztę, w przekonaniu, że nie będziemy musieli jej wydawać.

— Nie ma pośpiechu — odparł Marek. — Twoi ludzie walczyli bardzo dobrze. — Mówił szczerze; Namdalajczycy, z zasady przecież nie walczący jako piechota, zmusili Rzymian do najwyższego wysiłku.

— Dzięki. Sądziłem, że przebijemy się przez was, dopóki nie wyskoczyłeś z tym oskrzydla-
jącym manewrem. To było chytrze pomyślane.

— Obawiam się, że pomysł nie był tak do końca mój. — Wyjaśnił, jak skorzystał z rozwiązania Flaminiusza, zastosowanego w podobnej sytuacji taktycznej.

Soteryk skinął z namysłem głową. — Interesujące — zauważył. — Korzystasz z wiedzy wojen-
nej, z którą nikt tutaj nie może się równać. To może okazać się bardzo cenne pewnego dnia.

Teraz z kolei Rzymianin skinął głową; ta sama myśl przemknęła mu przez głowę. A ponieważ miał naturę człowieka, który potrafi spojrzeć na problem nie tylko z jednej strony, zastanowił się też, co takiego Videssańczycy i ich sąsiedzi wiedzą o wojnie, czego Rzymianie nigdy się nie dowiedzieli... i jaką cenę będzie musiał zapłacić za naukę.

W świetle pochodni, lamp i grubych świec z pszczelego wosku dziedziniec przed koszarami Namdalajczyków wydawał się jasny jak w dzień, choć słońce zaszło już przed paroma godzinami. Dziedziniec, zwykle będący przyjemnym, otwartym miejscem, teraz zapełniały prowizoryczne ławki i stoły, pospiesznie zrobione z desek przybitych do kozłów. Ławki zaś zapełniali biesiadnicy, a na stołach piętrzyły się góry jedzenia.

Oprócz nieszczęśliwej garstki, która wylosowała pełnienie warty, wszyscy Rzymianie zgromadzili się tutaj, by odebrać nagrodę, którą wygrali od Namdalajczyków. Jedni i drudzy zdawali się odnosić do siebie z samym tylko szacunkiem. Miejsca, jakie wyznaczono biesiadnikom, zmieszały obie grupy, a ci z obu stron, którzy trzy dni wcześniej brali udział w próbie sił, raczyli się nawzajem opowieściami z tego zdarzenia i z dumą pokazywali bandaże swym pełnym podziwu towarzyszom.

Na główne dania składały się pieczenie z wieprzowego, wołowego, baraniego i koziego mięsa, uzupełnione drobiem, rybami i innymi owocami morza, tak łatwo dostępnymi w stolicy. Ku przerażeniu Namdalajczyków, większość Rzymian szczerze podlewała wszystko pikantnym sosem ze sfermentowanych ryb, za którym przepadali Videssańczycy. Mieszkańcy Księstwa zachowali surowe upodobania kulinarne swych przodków z północy, lecz dla Rzymian ostry sos był znaną i ukochaną od wielu lat przyprawą.

— Przypuszczam, że lubisz też czosnek — rzekł ze wzdrygnięciem Soteryk.

— A ty nie? — odparł Marek, zdumiony, że ktoś może nie lubić.

Wino, piwo i miód lały się jak woda. Dzięki nieznośnej słodczy miejscowego wina trybun odkrył w sobie prawdziwe upodobanie do gęstego, ciemnego piwa, jakie warzyli Videssańczycy. Lecz

kiedy powiedział to Soterykowi, wywołało to z kolei zdumienie wyspiarza. — Te pomyje? — zawołał. — Powinieneś przybyć do Księstwa, gdzie piłyś swoje piwo widelcem.

Viridoviks, z glinianym kuflem w ręku, powiedział:

— Dlaczego ktokolwiek miałby pić piwo — widelcem czy nie, proszę zważyć — kiedy w każdej chwili może mieć sok z winorośli? To przekracza zdolność mojego pojmowania. W kraju, gdzie się urodziłem, piwo było napojem wieśniaków. Wino pijali wodzowie, kiedy udało się nam je zdobyć i kiedy mogliśmy sobie na nie pozwolić. Było też kosztowne, to wam powiem.

Niektóre doskonałe gatunki win pochodziły z Galii Narbońskiej, posiadającej ciepły, śródziemnomorski klimat, lecz teraz Marek uświadomił sobie, że nie widział wina w jej pomocnych prowincjach, będących ojczyzną Viridoviksa. Jak większość Rzymian, trybun pił wino od dzieciństwa i uważał je za coś zupełnie naturalnego. Po raz pierwszy przyszło mu do głowy, jak mogło być cenne, kiedy było trudno osiągalne.

Po prawej ręce Celta siedział jego przyjaciel, koczownik z dalekiego pomocnego zachodu; Arshaum przedstawił się jako Arigh, syn Arghuna. Noc była ciepła, lecz on miał na sobie kurtkę z wilczej skóry i czapę z rudego lisa. Jego żylaste, szczupłe ciało i gibka, opanowana żywość ruchów przypominały Skaurusowi polującego jastrzębia. Aż do tej pory niewiele mówił, zajęty pochłanianiem olbrzymich ilości jedzenia, lecz rozmowa o trunkach zainteresowała go.

— Piwo, miód, wino — co to za różnica? — powiedział. Mówił po videssańsku całkiem dobrze; z obcinającym końcówki, szybkim akcentem, doskonale pasującym do jego zachowania i sposobu bycia. — Otóż to kumys jest trunkiem mężczyzny; robiony z mleka jego koni i tak silnie uderzający do głowy jak ich kopnięcie.

Brzmiało to okropnie — pomyślał Marek. Zauważył też, że urągliwa uwaga Arigha co do stojących przed nim trunków nie przeszkadzała mu w ich pochłanianiu i to w całkiem sporych ilościach.

Przy takim tempie, z jakim znikало jedzenie, utrzymywanie zastawionych stołów wcale nie było łatwym zadaniem. Niemal jak brygada strażaków donosząca w kubłach wód? do pożaru, tak namdalajskie kobiety nie ustawały w swych wędrówkach, przynosząc z kuchni pełne tace i dzbany, a odnosząc puste. Marek z zaskoczeniem zauważył, że jedną z nich jest Helvis. Kiedy wspomniał o tym, Soteryk odpowiedział wzruszając ramionami: — Powiedziała mi, że szybciej otrząśnie się robiąc to, niż siedząc samotnie i bolejąc. Co mogłem na to powiedzieć?

Obsługujące ich kobiety w większości bardzo przypominały towarzyszkę życia żołnierzy, jakie Skaurus poznał w dominiach Rzymu. Z największą swobodą wymieniały sprośności z mężczyznami, których obsługiwały; klapsy i podszczypywania wywoływały tyle samo śmiechu co pisków oburzenia. Przez wszystko to Helvis przechodziła nietknięta; nosiła swoją żalobę jak niewidzialną zbroję. Malujący się na jej twarzy wyraz spokojnego smutku i postawa wyobcowania, nawet kiedy

pochylała się nad ramieniem mężczyzny, by napęłnić winem jego kubek wystarczały, by powstrzymać najbardziej nawet gruboskórnego rozpustnika.

W miarę upływu czasu przynoszono coraz więcej i więcej trunków, a coraz mniej i mniej jedzenia. Uczta nie mogła być nazwana stateczną nawet na samym początku, zaś teraz hałas wzrastał nieustannie. Rzymianie i Namdalajczycy uczyli się nawzajem swoich przekleństw, próbowali śpiewać pieśni współbiesiadników i niezgrabnie naśladować tańce swych nowych przyjaciół. Wywiązało się parę bójek, lecz natychmiast zostały stłumione przez sąsiadów kłócących się biesiadników — tej nocy wzajemna życzliwość wezbrała zbyt wysoko, by umożliwić jakiegokolwiek awantury.

Więcej niż parę osób zawędrowało na dziedziniec, by zobaczyć, skąd ta wrzawa, i większości spodobało się to, co zastali. Parę stołów dalej Skaurus zobaczył Taso Vonesa z kuflem wina w jednej ręce i udkiem kuropatwy w drugiej. Machnął ręką do ambasadora Khatrish, który utorował sobie drogę przez tłum i wcisnął się na ławkę obok trybuna.

— Jesteś łaskawy, chcąc mieć ze mną cokolwiek do czynienia — rzekł do Skaurusa — szczególnie, jeśli przypomnisz sobie, że ostatnim razem, kiedy cię widziałem, zamiast powitania wziąłem nogi za pas.

Marek wypił już dość wina i piwa, by przejść do porządku dziennego nad takimi drobiazgami. — Nie przejmuj się tym — rzekł wielkodusznie. — To Avshara szukaliśmy, nie ciebie. — To jednak przypomniało mu o pościgu i jego smutnym zakończeniu. Umilkł, czując się jak głupiec.

Vones przechylił głowę i przyglądał się Rzymianinowi spod oka, przypominając kropka w kropkę jakiegoś jasnookiego, małego wróbla.

— Jakież to ciekawe — rzekł. — Ze wszystkich ludzi jesteś ostatnim, po którym spodziewałbym się, że będzie popijał z Namdalajczykami.

— Dlaczego się nie zamkniesz, Taso? — zapytał Soteryk, lecz jego zrezygowany ton świadczył o tym, iż zdaje sobie sprawę z daremności prób odebrania głosu Vonesowi. Najwyraźniej znał Khatrisha i tak jak wielu, wielu innych, przywykł do dawania mu całkowitej swobody w tym, co mówił. — Myślę, że gadasz po to, by słuchać samego siebie.

— Znasz jakiś lepszy powód? — odparował z uśmiechem Vones.

Powiedziałby więcej, lecz Marek, kierowany ciekawością rozpaloną uwagą Vonesa, przerwał mu. — Co masz przeciwko tym ludziom? — zapytał, machnięciem ręki wskazując dziedziniec i wszystkich na nim zgromadzonych. — Dobrze się z nimi rozumiemy. Czy jest w tym coś złego?

— Spokojnie, spokojnie. — Ambasador ostrzegawczym gestem dotknął ramienia trybuna i Marek uświadomił sobie, jak głośno to powiedział. — Dlaczego nie mielibyśmy udać się na wieczorną przechadzkę? Zakwitający nocą jaśmin jest szczególnie przyjemny o tej porze roku, nie sądzisz? — Odwrócił się do Soteryka. — Nie martw się, mój przyjacielu z wysp. Nie opróżnię mu

kieszeni; domyślam się, jakie rozrywki planujecie na później.

Soteryk wzruszył ramionami; wdał się w rozmowę z Namdalajczykiem siedzącym po jego lewej ręce, który omawiał zalety psów myśliwskich. — Nie lubię ras ze ściętymi nosami — mówił mężczyzna. — To sprawia, że ich pyski są za małe, żeby złapać zająca. A jeśli jeszcze mają szare oczy, to tym gorzej; nie widzą na tyle dobrze, żeby chwycić zwierza.

— Co do tego, to nie jestem taki pewien — odparł Soteryk, pociągając z kufła. Im więcej pił, tym wyraźniejszy stawał się jego przeciągły, wyspiarski akcent; ostatnie słowo zabrzmiało niemal jak „peł—len”. — Mówił dalej: — Szarookie psy mają czuły węch, tak mówią.

Nie mogąc wzbudzić w sobie zainteresowania psami myśliwskimi — szarookimi czy jakimikolwiek innymi — Marek chętnie podążył za Taso Vonesem, który spacerowym krokiem zmierzał ku ciemności zalegającej za dziedzińcem. Poseł nieustannie szczebiotał o nocnych kwiatach i innych nieistotnych sprawach, dopóki nie wydostali się z cizby. Kiedy przekonał się, że nikt ich nie może podsłuchać, jego zachowanie zmieniło się. Obdarzywszy Rzymianina kolejnym badawczym, jednookim spojrzeniem, powiedział: — Muszę jeszcze zdecydować, czy jesteś najsprytniejszym człowiekiem, czy też największym głupcem, jakiego ostatnio spotkałem.

— Zawsze mówisz zagadkami? — zapytał Marek.

— W rzeczy samej, zwykle tak; to odpowiedni trening dla dyplomaty. Lecz zapomnij o mnie na chwilę i spójrz na siebie. Kiedy zmierzyłeś się z Avsharem na miecze, byłem pewien, że nasza znajomość okaże się bardzo krótka. Lecz zwyciężyłeś, a ja odniosłem wrażenie, że mimo wszystko dobrze wiedziałeś, co robisz. A teraz to!

— Co teraz? — zdumiał się trybun, całkowicie oszołomiony.

— Ty i twoi ludzie pobiliście Namdalajczyków na ćwiczeniach. Znakomicie. Nephon Khoumnos z pewnością poczuł się dumny i prawdopodobnie poprawiliście też samopoczucie Imperatorowi. Mieszkańcy Księstwa to doskonali żołnierze; Mavrikios ucieszy się wiedząc, że ma lojalnych ludzi, którzy w razie potrzeby potrafią się im przeciwstawić.

Gwałtownym ruchem wyciągnął rękę, wskazując oskarżycielsko na Skaurusa.

— Ale czy wy jesteście lojalni? Pobiliście ich i co robicie? Chełpicie się tym? Skądże. Pijecie razem wino, jak byście byli najlepszymi przyjaciółmi. Spróbujecie zdenerwować Imperatora? A może sądzisz, że Sevastos polubi cię teraz bardziej? Po tych śledziach? — śmiem wątpić. Tak, widziałem, jak się zawahałeś, a twój żołądek wydaje mi się całkiem zdrowy.

— Co ma do tego Sphrantzes... — zaczął Skaurus. Jego usta zamknęły się nagle nim jeszcze dokończył pytanie, ponieważ znał odpowiedź. Namdalajczycy byli najemnikami, to oczywiste, lecz dopiero teraz zrozumiał, co to znaczyło. To nie obecny Imperator ani jego zwolennicy byli tymi, którzy zatrudniali najemników. To była polityka biurokratów stolicy, którzy wykorzystywali najęte miecze, by trzymać w szachu Gavrasy i jego stronników, podczas gdy oni rządili Imperium dla

własnych korzyści... A na ich czele stał Vardanes Sphrantzes.

Zaklął, najpierw po videssańsku, ze względu na Taso Vonesa, potem po łacinie, by dać upust własnym uczuciom.

— Widzę, że wreszcie mnie zrozumiałeś — rzekł Vones,

— To tylko uregulowanie zakładu – zaprotestował Skaurus. Taso Vones uniósł wymownie brew. Żaden inny komentarz nie był potrzebny. Rzymianin wiedział, jak łatwo osądzić człowieka poprzez towarzystwo, z którym przestawał. Sam Cezar za czasów młodości znalazł się w niebezpieczeństwie z powodu swych związków z przegraną frakcją Mariusza. Poza tym, nie można było zaprzeczyć, że lubi Namdalajczyków. Cechowało ich praktyczne, rzetelne podejście do życia, tak podobne do filozofii życiowej Rzymian. Nie było w nich drażliwej dumy i krętej przebiegłości Videssańczyków ani też ponurego fatalizmu Halogajczyków. Mieszkańcy Księstwa w każdej sytuacji starali się dać z siebie wszystko i postawa ta harmonizowała ze stoickim wychowaniem i przeszłością trybuna. Były też inne powody — rzekł do siebie w głębi ducha.

— Chyba za późno, by martwić się tym teraz, nie sądzisz? — zauważył. Potem zapytał: — Dlaczego zawracasz sobie głowę, ostrzegając mnie? Ledwie się znamy.

Vones roześmiał się głośno; tak jak w śmiechu patriarchy Balsamona, i w jego śmiechu brzmiała prawdziwa radość.

— Już osiem lat prowadzę placówkę w stolicy i wcale nie jestem tutaj najstarszym posłem; Gawtruz jest ambasadorem ponad dwukrotnie dłużej. Znam wszystkich i wszyscy znają mnie. Znamy gierki, w których uczestniczymy; podstępny, których próbujemy; interesy, które załatwiamy — i większość z nas, jak sądzę, potwornie się nudzi. Przynajmniej ja się nudzę, czasami.

— Jednak ty, ty i twoi Rzymianie... — spokojnie przyglądał się, jak Marek skrzywił twarz — jesteście parą nowych kości w kubku, i to kości znaczone. Widać to bez względu na to, czy rzucasz jedyńki, czy szóstki. — Podrapał się w szczękę porośniętą kędzierzawą brodą.

— Co przypomina mi, że chyba powinniśmy już wracać. Soteryk nie będzie bez końca gadał o psach ze świętymi nosami, zapewniam cię.

Kiedy trybun naciskał go, by wytłumaczył, o co mu chodzi, nie zgodził się, mówiąc: — Sam zrozumiesz, i to wcale szybko, podejrzewam. — Ruszył w stronę dziedzińca, pozostawiając Skaurusowi do wyboru czy zostać, czy pójść za nim. Wybrał to drugie.

Taso Vones chrząknął z zadowoleniem, kiedy wychynęli zza ostatniego zakrętu.

— Nieco wcześniej — powiedział — ale nieźle. Lepiej przyjść za wcześniej niż za późno, bo inaczej nie znaleźlibyśmy miejsca w grze, którą lubimy; w każdym razie nie ze względu na stawki, na jakie możemy sobie pozwolić. — Złoto i srebro zadźwięczało, kiedy sięgnął do sakiewki po pieniądze.

Wytrzeszczywszy oczy na scenę, jaką przed sobą ujrzał, Marek zastanowił się nad swoimi

wcześniejszymi analizami charakteru Namdalajczyków. Czy lubili hazard, ponieważ wierzyli w Phosa Hazardzistę, czy też ich teologowie wykoncypowali Hazardzistę, ponieważ byli urodzonymi hazardzistami? W tej chwili postawiłby na to drugie — i prawdopodobnie znalazłby jakiegoś wyspiarza, który przyjąłby zakład.

Większość stołów i ławek zniknęła. Ich miejsce zajmowały narysowane kredą na ziemi kręgi do rzucania kośćmi, koła fortuny, deski do rzucania strzałkami, inne do ciskania nożami, metalowa misa pośrodku rozległego, pustego kręgu do celowania resztkami z kubków do wina — Skaurus, tak jak się spodziewał, zobaczył tam Gorgidasa; Grek był specjalistą w grze w kottabos — oraz przyrządy do innych gier losowych i zręcznościowych, których trybun nie rozpoznał na pierwszy rzut oka.

Przetrzęsął własną sakiewkę, by zobaczyć, ile ma pieniędzy. Było tego mniej więcej tyle, ile się spodziewał; kilka sztuk mosiądzu, o rozmaitych rozmiarach i wadze, trochę srebra i pół tuzina sztuk złota, każda wielkości paznokcia jego kciuka. Starsze, mocniej wytarte, były z czystego złota, lecz nowsze, wykonane z domieszką srebra, połyskiwały blado albo też płonęły czerwienią od dodatku miedzi. W obliczu spadających dochodów rząd, tak jak muszą to robić wszystkie rządy, uciekł się do obniżenia wartości waluty. Wszystkie jego złote pieniądze, bez względu na wiek, nominalnie miały tę samą wartość, lecz na rynku czy w sklepie stare monety pozwalały nabyć więcej.

Videssańskie zasady gry w kości, jak dowiedział się podczas długiej zimy w Imbros, różniły się od tych znanych mu z Rzymu. Zwykle używali tutaj dwóch kości, nie trzech, i Wenus — potrójna szóstka, najlepszy rzut w jego grze — wywołałaby tylko szydercze gwizdy, nawet gdyby dopuszczono do gry trzecią kość. Para jedynek — nazywali je „słoneczkami Phosa” — była tutaj najwyższą figurą. Gracz dysponował kośćmi, dopóki nie wyrzucił ich przeciwieństwa — „demonów”, podwójnej szóstki — co oznaczało przegraną. Dodatkowo zakładano się o to, co gracz wyrzuci najpierw, przez ile rzutów zatrzyma kości przy sobie i poza tym o wszystko, co zdołał wymyślić pomysły hazardzista w związku z toczącą się grą.

Kiedy kości po raz pierwszy trafiły do Skaurusa, trzy razy wyrzucił słońca, nim w końcu wyskoczyły demony, przez co małe kościane sześciany trafiły do rąk siedzącego po jego lewej stronie Namdalajczyka. To pozwoliło mu zwiększyć stawkę, którą natychmiast przegrał w następnej kolejce — już w pierwszym rzucie ujrzał fatalne szóstki.

Od kręgu mieszczącego misę kottabosu rozległy się okrzyki i oklaski. Marek na chwilę uniósł wzrok znad gry, by ujrzeć dokładnie to, co spodziewał się zobaczyć; z niezawodną zręcznością swego nadgarstka, Gorgidas z coraz większych odległości trafiał resztkami wina do misy, która dźwięczała jak dzwon. Gdyby nie to, że wino w końcu zważyło go z nóg, do świtu ogołociłby połowę Namdalajczyków.

Skaurus grał z mieszanym szczęściem; wygrywał trochę, by zaraz to stracić, tracił i znowu odzy-

skiwał. Jego uwaga ograniczyła się do narysowanego przed nim kredowego kręgu — leżących w nim pieniędzy, wirujących kości, męskich rąk sięgających po nie, zgarniających wygrane albo stawiających nowe zakłady.

Potem, nagle, kości ujęła zupełnie inna ręka, zgrabna, szczupła w nadgarstku kobieca ręka, z pomalowanymi paznokciami i szmaragdową obrączką na palcu wskazującym. Marek, zaskoczony, uniósł wzrok i ujrzał Komittę Rhangawe, z Thorisinem Gavrasem u boku. Sevastokrata miał na sobie zwykłe spodnie i tunikę, i mógł grać już od godziny, nim Skaurus go zauważył.

Komitta nieco opacznie zrozumiała jego zaskoczenie. Uśmiechając się ślicznie, powiedziała: — Wiem, że to wbrew zwyczajom, ale tak lubię grać. Czy nie masz nic przeciwko temu? — Jej ton ostrzegał, że lepiej, by nie miał.

Tym swobodniej, że rzeczywiście nic przeciwko temu nie miał, powiedział: — Oczywiście, że nie, pani. — Z drugiej strony, nawet gdyby miał, nie mógłby tego powiedzieć; nie kobiecie Sevastokraty.

Wygrała szybko dwa razy po sobie, za każdym razem zwiększając stawkę o wygraną. Kiedy w trzeciej serii rzutów straciła to wszystko, odrzuciła ze złością kości i zakląła z niegodną damy biegłością. Gracze parsknęli śmiechem. Ktoś wyjął nową parę kości i od tej chwili Komittę traktowano jak każdego innego gracza w kręgu.

Ze swym bogactwem właściciela ziemskiego, Thorisin bez trudu mógł wyłączyć innych z gry, obstawiając stawki, na jakie nie mogliby sobie pozwolić. Pamiętając o jego zakładzie z Vardanesem Sphrantzesem, gdzie stawką było sto sztuk złota, Marek wiedział, że Sevastokrata nie czuje odrazy do wysokich zakładów. Lecz grając z ludźmi o ograniczonych środkach, poprzestawał na stawianiu to jednej, to dwóch sztuk złota, a niekiedy garści srebra. Przyjmował swoje wygrane i przegrane tak poważnie, jak gdyby grał o całe prowincje — cokolwiek robił, lubił robić to dobrze. Był też doświadczonym, rozważnym graczem; wkrótce piętrzył się przed nim wcale spory stos złota i srebra.

— Zdobyłeś to przytykając im miecz do gardła, czy też przegrywają po to, by się tobie przychlebić? — zapytał ktoś Sevastokratę i Marek ze zdumieniem ujrzał Mavrikiosa Gavrasa stojącego nad swym bratem. Imperator miał na sobie szaty nie bardziej królewskie niż Sevastokrata i towarzyszyło mu tylko dwóch przybocznych halogajskich gwardzistów.

— Nie dostrzegasz prawdziwego talentu nawet kiedy masz go przed oczyma — odciął się Thorisin. — Ha! — Zgarnął kolejną stawkę, kiedy siedzący naprzeciwko niego Namdalajczyk wyrzucił demony.

— Przesuń się i pozwól, by twój starszy brat pokazał ci, jak to się robi. Od rana wysłuchiwałem księgowych i już mi się wnętrzości przewracały od tego ich: „Niezmiernie mi przykro, Wasza Imperatorska Wysokość, lecz w chwili obecnej odradzałbym to”. Ba! Czasami wydaje mi się, że dwor-

ski ceremoniał jest jakąś wolno działającą trucizną, którą wymyślili biurokraci, żeby zanudzić na śmierć uzurpatorów, tak by sami mogli cichcem znowu objąć władze. — Uśmiechnął się do Marka. — Moja córka twierdzi, że jest inaczej, ale ja jej już nie wierzę.

Mruknąwszy: — Dziękuję ci, kochanie — wziął kubek z winem od przechodzącej dziewczyny. Aż zatoczyła się z zaskoczenia, kiedy uświadomiła sobie, kogo obsłużyła. Mavrikios może i nie ufał Namdalajczykom, gdy w grę wchodziły interesy Imperium — pomyślał Marek — lecz z pewnością nie obawiał się o swoją osobę, kiedy przebywał wśród nich.

Bracia Gavras, rzecz oczywista, przy każdym zakładzie zajmowali odmienne stanowiska. Nie przerywając szczęśliwej passy, która trwała przez większość wieczoru, Thorisin wygrał kilka razy z rzędu po tym, jak jego brat zasiadł w kręgu graczy.

— Wracaj do swoich gryzipiórków i zostaw kości ludziom, którzy je rozumieją — powiedział. — Prędzej doprowadzisz nieboszczyka do pierdnięcia, niż odbierzesz mi miedziaka.

Mavrikios prychnął. — Nawet ślepy wieprz co jakiś czas natknie się na żołędź. Mam cię! — zawołał. Marek wyrzucił właśnie słońca, a Thorisin postawił przeciwko niemu. Imperator zwrócił się do swego brata z wyciągniętą ręką. Wzruszywszy ramionami, Thorisin podał mu wygraną.

Marek szybko doszedł do wniosku, że ci dwaj mężczyźni nie powinni grać przeciwko sobie. Tak bardzo angażowali się w grę, że każdą przegraną traktowali jako osobistą kieskę i wkrótce z ich przekomarzania zniknęła dobroduszość. Z zaciśniętymi wargami nie spuszczała oczu z kości; ich zakłady przeciwko sobie wielokrotnie przewyższały zakłady jakichkolwiek innych graczy w kręgu. Stos wygranych wcześniej przez Thorisina pieniędzy zniknął. Kiedy Mavrikios kolejny raz wyrzucił słońca, jego brat musiał sięgnąć do sakiewki, by zapłacić.

Mavrikios wytrzeszczył oczy na monety, jakie wyciągnął jego brat. — Co to jest? — zapytał, rzucając połowę z nich na ziemię. — Płacisz mi pieniędzmi z Yezd?

Thorisin ponownie wzruszył ramionami.

— Dla mnie wyglądają jak złoto i są lepsze niż te, które obecnie bijemy, jeśli już o to chodzi. — Podniósł z ziemi te, które rzucił Mavrikios, i cisnął je daleko w tłum. Radosne okrzyki powiedziały, że nie zginęły na długo. Ujrawszy minę swojego brata, Thorisin powiedział: — Jeśli nie mogę płacić nimi swoich zobowiązań, to na co mi pieniądze? — Twarz Mavrikiosa z wolna stała się ciemnoczerwona.

Każdy, kto był świadkiem tej wymiany zdań pomiędzy braćmi, ze wszystkich sił starał się udawać, że nic nie widział ani nie słyszał. Niemniej jednak atmosfera koleżeństwa otaczająca krąg graczy rozwiała się bez śladu i Marek nie zmartwił się, kiedy parę minut później gra się skończyła. Bowiem mogło tylko źle wróżyć Imperium to, że brat Imperatora zawstydza go publicznie, a Marek wiedział, że plotki jedynie wyolbrzymią całe to zdarzenie.

Wchodząc po schodach w ogromnym budynku, który mieścił Wielką Salę Sądu — od przeciwnej

strony niż biura Nephona Khoumnosa — Marek zastanawiał się, jak szeroko w ciągu paru ostatnich dni rozeszły się pogłoski. Przed nim po schodach wspinał się chudy urzędnik, który przyniósł mu zaproszenie na to spotkanie, a jeszcze wyżej przed urzędnikiem znajdowało się miejsce, do którego, jak sądził Skaurus, nigdy nie zostanie zaproszony — biura Vardanesa Sphrantzesa.

— Tędy, jeśli łaska — powiedział urzędnik skręcając w lewo, gdy dotarł na szczyt schodów. Poprowadził Rzymianina wzdłuż ciągu dużych pokoi, przez których otwarte drzwi Skaurus mógł zobaczyć całe manipuły mężczyzn zajętych rylcami i woskowymi tabliczkami, piórami, atramentem, pergaminem oraz ramkami z ruchomymi paciorkami, dzięki którym wprawieni Videssańczycy mogli rachować z niewiarygodną szybkością. Trybun daleko swobodniej czuł się z władzą, której podlegały koszary, lecz obserwując biurokratów, pracujących w tym nerwowym centrum Videssos, nie mógł zaprzeczyć, że tutaj również zamieszkiwała władza.

Para krępych koczowników z równin Pardraji trzymała wartę pod drzwiami, do których zmierzał urzędnik. Ich twarze, zubożały w wyrazie nudy, nagle stały się czujne, gdy spostrzegli urzędnika, a chmurne i zacięte, kiedy rozpoznali podążającego za nim Rzymianina. Skaurus ani chciał, ani nie musiał mieć wiele do czynienia z Khamorthami od czasu swego przybycia do Videssos, lecz nie ulegało wątpliwości, iż uważali, że zostali przez niego upokorzeni na skutek zdemaskowania jednego z nich jako narzędzia Avshara.

Z mrocznych spojrzeń, jakie mu rzucali, Marek wywnioskował, że woleliby, aby ich rodakowi udało się wbić w Rzymianina aż po rękojeść nawiedzony przez demona sztylet.

— Szef chce to widzieć? — zapytał jeden z nich przewodnika trybuna, rozmyślnie obraźliwym gestem wskazując kciukiem na Skaurusa. — Jesteś pewien?

— Oczywiście, że jestem — warknął urzędnik. — A teraz odsuńcie się, dobrze? Nie zyskacie wdzięczności zamieszanie się w tę sprawę.

Bezczelnie wolno, Khamorthci odsunęli się od drzwi. Gdy Skaurus wkroczył pomiędzy nich, któryś wydał z siebie okropny bulgot, jak śmiertelne rżenie człowieka z rozplątanym gardłem. Zabrzmiało to tak straszliwie autentycznie, że trybun odwrócił gwałtownie głowę, nim zdołał zapanować nad sobą. Koczownik uśmiechnął się paskudnie.

Wściekły z powodu utraty twarzy przed barbarzyńcami, Skaurus wszedł do biura Sevastosa w maksymalnej gotowości do odparcia wszelkich ataków. Kiedy towarzyszący mu urzędnik oznajmił jego przybycie, skłonił się z taką samą skrupulatnością, jaką okazałby Imperatorowi; tak by przez jakiegokolwiek zaniedbanie nie dać Sphrantzesowi moralnej przewagi nad sobą.

— Chodź, chodź, witamy cię najserdeczniej — rzekł Sevastos. Jak zawsze, jego gładki, dźwięczny głos nie ujawniał nic prócz tego, czego życzył sobie Sphrantzes; teraz akurat uprzejmość dobrze wychowanego człowieka. Nim Marek zdołał do końca skupić swoją pełną podejrzeń uwagę na Sevastosie, drugi przebywający w biurze mężczyzna — chudy jak tyka, niezgrabny młody człowiek

z rzadką brodą, mający niewiele ponad dwadzieścia lat — poderwał się ze swego miejsca i podbiegł do trybuna, by potrząsnąć jego dłonią.

— Olśniewający pokaz sztuki wojennej, naprawdę olśniewający! — zawołał, dodając: — Widziałem, jak pobiliście Namdalajczyków. Gdyby to była prawdziwa walka, a nie tylko sport, ziemia musiałaby być spragnioną gąbką, by wchłonąć ich krew. Olśniewający! — powtórzył.

— Ee... tak, oczywiście — wydukał Skaurus, nie potrafiąc pogodzić z pozoru wcale nie wojowniczego młodzieńca z jego krwiożerczą przemową.

Vardanes Sphrantzes kaszlnął sucho.

— Jednym z powodów, dla których zaprosiłem cię tutaj, mój przyjacielu z obcej krainy, była chęć przedstawienia cię mojemu bratankowi, spathariosowi Ortaiasowi Sphrantzesowi. Od chwili twego zwycięstwa nad wyspiarzami nie robił nic innego, jak tylko zawracał mi głowę zorganizowaniem tego spotkania.

Choć w dosłownym tłumaczeniu spatharios oznaczał „nosiela miecza”, to w rzeczywistości był to dość pojemny tytuł, często znaczący niewiele więcej niż „pomocnik”. Jak się wydawało, odnosiło się to również do młodego Ortaiasa; wyglądał jak gdyby uniesienie miecza przekraczało jego siły.

Jednak aż tryskał entuzjazmem.

— Byłem zafascynowany widząc, jak z powodzeniem przeciwstawiliście się Namdalajczykom i to jako piechota — powiedział. — W swej *Sztuce Dowodzenia* Mindes Kalokyres zaleca zasypywanie ich strzałami z daleka i wyraźnie daje do zrozumienia, że w bezpośrednim starciu są niezwyciężeni. Wielka szkoda, że od wieku spoczywa już w grobie; chciałbym usłyszeć, jak komentuje obalenie przez ciebie jego tezy.

— Jestem pewien, że byłoby to interesujące, wasza ekscelencjo — przytaknął Skaurus, zastanawiając się, ile zrozumiał z przemowy Ortaiasa. Młody szlachcic mówił bardzo szybko; w powiązaniu z jego afektowanym akcentem i wyraźnym upodobaniem do długich słów zrozumienie go stanowiło ciężką próbę dla kogoś, kto tak jak trybun jeszcze niedoskonale władał videssańskim.

— Kalokyres jest naszym największym komentatorem spraw militarnych — wyjaśnił grzecznie stryj Ortaiasa.

— Usiądźcie jednak, obaj — zwrócił im uwagę. — Skaurus — w videssańskim zabrzmiało to bardziej jak Skavros — poczęstuj się winem, jeśli masz ochotę. To dobry rocznik, z zachodniej prowincji Raban, i dość trudny do zdobycia w tych smutnych czasach.

Blade wino polało się jedwabistym strumieniem z wytwornej, alabastrowej karafki. Marek pociągnął raz z samej grzeczności, potem drugi raz z prawdziwym uznaniem; to wino smakowało mu bardziej niż jakiegokolwiek z tych, które dotychczas kosztował w Videssos.

— Spodziewałem się, że będzie ci smakować — rzekł Vardanes, popijając wraz z nim. — Jest

dla mnie odrobinę zbyt pikantne, by lubić je na co dzień, lecz z pewnością stanowi miłą odmianę. — Skaurus musiał z niechęcią przyznać, że go podziwia. Z pewnością niełatwo było mu dowiedzieć się, w jakim winie gustuje Rzymianin, a potem specjalnie załatwić je dla niego. Oczywisty wysiłek, na jaki zdobył się Sphrantzes, by mu się przypodobać, kazał tylko trybunowi zastanawiać się dalej, jaki też może być prawdziwy cel tego spotkania.

Bez względu na to, jaki był ten cel, Sevastos nie spieszył się, by go odsłonić. Z wdziękiem i rozsądnie mówił o plotkach, z jakimi zetknął się w ciągu paru ostatnich dni,

1 nie oszczędzał przy tym swych kolegów biurokratów.

— Są tacy — zauważył — którzy sądzą, że oznaczenie jakiejś rzeczy w rejestrze jest samą tą rzeczą. — Unosząc puchar do ust, mówił dalej: — Wystarczy tylko skosztować tego wina, by zrozumieć, jak bardzo są głupi.

Trybun musiał się z tym zgodzić, lecz zauważył, jak zachłannie ręka Sphrantzesa zamykała się na polerowanym pucharze.

Biuro Sevastosa było urządzone z o wiele większym przepychem niż prywatne apartamenty Mavrikiosa Gavrasa. Ściany zdobiły draperie z jedwabnego brokatu, migoczące złotymi i srebrnymi nićmi; pod ścianami stały wyściełane tapczany i krzesła z hebanowymi poręczami, inkrustowanymi kością słoniową i półszlachetnymi kamieniami. Jednak całość sprawiała wrażenie nie sybaryckiej dekadencji, a raczej siedziby człowieka, który kocha wygody, nie pozwalając, by nim zawładnęły.

W Rzymie Marek znał ludzi, którzy cieszyli się posiadaniem sadzawek z rybami w ogrodach swych willi, lecz nigdy nie widział ozdoby podobnej do tej, jaka stała na biurku Sphrantzesa — kulisty zbiornik z przezroczystego szkła z kilkoma małymi, jaskrawo ubarwionymi rybkami, śmigającymi wśród wodorostów zakorzenionych w warstwie leżącego na dnie żwiru. W jakiś dziwny sposób przyglądanie im się uspokajało. Oczy trybuna nieustannie wracały ku nim, a i Sphrantzes spoglądał czule na swe małe pieszczoszki w ich przezroczystym więzieniu.

Kiedy zauważył, że Skaurus patrzy na nie, powiedział:

— Jeden z moich służących ma obowiązek łapania tyłu komarów, much i innych podobnych stworzeń, by miały co jeść i nie zginęły z głodu. Jest pewien, że straciłem rozum, lecz płacę mu na tyle dużo, że tego nie mówi.

Rzymianin zdecydował już, że za zaproszeniem Sphrantzesa nie kryło się nic bardziej złowieszczego jak towarzyska wizyta. Zaczął szukać usprawiedliwienia do wyjścia, kiedy Sevastos zauważył: — Cieszę się, że ta niedawna bójka nie zrodziła pomiędzy wami a Namdalajczykami żadnych uraz.

— Właśnie! To niezwykle pomyslnie! — zawołał z entuzjazmem Ortaias. — Wytwałość mieszkańców Księstwa jest legendarna, tak jak ich hart ducha. Gdyby połączyć to z umiejętnościami wyspecjalizowanej piechoty, którą macie wy, Rzymianie...

— Rzymianie — poprawił go stryj.

— Wybacz — rzekł Ortaias, płonąć jak dziewczyna. Zbity z tropu, zakończył najprostszym zdaniem, jakie Skaurus miał okazję usłyszeć od niego: — Będziecie walczyć dla nas naprawdę dobrze!

— Mam nadzieję, wasza ekscelencjo — odparł Marek. Zainteresowany wzmianką Vardanesa o wyspiarzach, postanowił zostać nieco dłużej. Może Sevastos w końcu się odsłoni.

— Mój bratanek ma rację — rzekł starszy Sphrantzes. — Gdyby pomiędzy wami a Namdalajczykami pozostały jakieś trwałe urazy, należałoby uznać to za wielce niepomysłne. W przeszłości służyli nam dobrze i tego samego spodziewamy się po was. W naszej armii już teraz jest zbyt wiele niesnasek, zbyt wiele gadania o tym, że rodzimi żołnierze zwalczają najemników. Każdy żołnierz jest najemnikiem, tylko dla niektórych płatnik i król są jednym i tym samym.

Trybun nic na to nie odpowiedział, jedynie wsparł się na łokciach, złączywszy koniuszki palców. Ostatnie stwierdzenie Sevastosa było według niego bzdurą, i do tego niebezpieczną bzdurą. Nie sądził też, by Sphrantzes wierzył w nie bardziej niż on sam — kimkolwiek był Vardanes Sphrantzes, z pewnością nie był głupcem.

Zastanawiał się też, w jakim znaczeniu Vardanes użył swego „nam” i „spodziewamy się”. Czy mówił jako przywódca frakcji biurokratów, jako pierwszy minister całego Imperium, czy też używał tego w znaczeniu pierwszej osoby królewskiej liczby mnogiej? Zastanowił się, czy sam Sphrantzes potrafiłby odpowiedzieć na to pytanie.

— Godne pożałowania, lecz prawdziwe jest — mówił Sevastos — że żołnierze obcego pochodzenia nie cieszą się w Imperium najlepszą reputacją. Jednym z powodów jest to, że tak często musiano wykorzystywać ich przeciwko buntownikom z końca świata, ludziom, którzy nawet na tronie nie znajdują w sobie więcej godności, niż mieli w zbójceckich jaskiniach prostaków, z których się wywodzą. — Po raz pierwszy jego pogarda zabrzmiała wyraźnie.

— Nie mają wychowania! — zawołał Ortaias Sphrantzes. — Żadnego! Bo i skąd mają mieć; pradziadek Mavrikiosa Gavrasa był pastuchem kóz, podczas gdy my, ród Sphrantzesów... — Zimne spojrzenie, jakie posłał mu Vardanes, sprawiło, że umilkł zmieszany.

— Racz wybaczyć jeszcze raz mojemu bratankowi, proszę cię — rzekł gładko Sevastos. — Przemawia ze zwykłą młodzieńczą przesadą. Rodzina Jego Wysokości Imperatora cieszy się szlachectwem od niemal dwóch stuleci. — Lecz z ironii brzmiącej w jego głosie wynikało jasno, że wcale w to nie wierzy.

Rozmowa znowu skierowała się ku błahostkom, tym razem na dobre. Interesująco nie rozstrzygnięte spotkanie, pomyślał Marek w drodze powrotnej do koszar. Spodziewał się, że Sevastos ujawni mu więcej ze swych zamiarów, lecz po namyśle stwierdził, iż nie ma powodów, dla których powinien to uczynić wobec człowieka stojącego, w jego mniemaniu, po przeciwnej stronie. W takim razie, jego bratanek jednym chlapnięciem języka powiedział o wiele więcej, niż starszy Sphrantzes

chciał wyjawic. Dwie inne rzeczy przyszly trybunowi do glowy. Pierwsza, ze mial szczescie poznajac Taso Vonesa. Maly Khatrish posiadal niesamowita wiedze o Videssos, jego mieszkancach i ich sprawach, i chetnie sie nia dzielil. Druga byl wniosek, do jakiego doszedl zastanawiajac sie, dlaczego wciaz tak bardzo nie ufa Sphrantzesowi. Stwierdzil, ze doskonale pasuje do Sevastosa czerpanie radości z trzymania malych, bezradnych stworzeń w przezroczystej klatce.

VIII

W miarę jak mijały tygodnie od chwili, kiedy Mavrikios Gavras obwieścił gromko o wojnie przeciwko Yezd, Videssos zapelniał się coraz bardziej wojownikami ściąganyymi na wielką kampanię, jaką planował Imperator. Ogrody, sady i inne otwarte przestrzenie, które czyniły z imperialnej stolicy tak urocze miejsce, ujrzały całe miasta namiotów wyrastające na nich jak grzyby po deszczu. Zdawało się, że każda ulica ma swój oddział żołnierzy kroczących buńczucznie, spychających cywilów na bok w poszukiwaniu jedzenia, picia i kobiet... albo po prostu stojących i gapiących się z otwartymi ustami na cuda, jakie Videssos oferowało oczom przybyszów.

Wojsko napływało dzień po dniu. Imperator ściągał ludzi z garnizonów w miastach, które uważał za bezpieczne, by zwiększyć swoją siłę uderzeniową. Stu ludzi przybyło stąd, czterystu stamtąd, kolejne dwie setki jeszcze skądinąd. Marek dowiedział się, że przybył również garnizon z Imbros i zastanawiał się, czy wśród tamtejszych żołnierzy jest Skapti, syn Modolfa. Nawet ponury Halogajczyk miałby trudności z nazwaniem stolicy mniej przyjemnym miejscem niż Imbros.

Żołnierze Imperium nie byli jedynymi, którzy doprowadzali Videssos do wrzenia. Zgodnie ze swą obietnicą, Mavrikios skierował do swych sąsiadów wezwania o wojska zaciężne do walki z Yezd i otrzymał odpowiedź zgodną ze swymi oczekiwaniami. Videssańskie statki płynące z Prista, granicznego portu Imperium leżącego na północnym wybrzeżu Morza Videssańskiego, przywiozły na swych pokładach oddziały Khamorthów z równin, a wraz z nimi ich stepowe kuce. Na podstawie specjalnego zezwolenia inne jeszcze oddziały koczowników przekroczyły rzekę Astris. Przybyli do stolicy lądem od południa, idąc równolegle do wybrzeża morskiego, a na ostatnim etapie swej podróży wkroczyli na ten sam szlak, z którego niegdyś skorzystali Rzymianie, idąc z Imbros do Videssos. Oddziały videssańskiej jazdy pilnowały, by koczownicy nie łupili mijanych po drodze wiosek.

Khatrish, który graniczył z Videssos od wschodu, przysłał do Imperium oddział lekkiej konnicy. Pod względem uzbrojenia i wyglądu można go było umieścić mniej więcej w połowie pomiędzy imperialną kawalerią a mieszkańcami równin, z którymi zresztą łączyły Khatrishów więzy krwi. Większość z nich zdawała się cechować taką samą otwartą wesołością jak Taso Vones. Skaurus miał okazję poznać wielu z nich na hucznej zabawie, którą zorganizował ambasador Khatrish. Viridoviks

upamiętnił tę noc wyrzucając jakiegoś Khamortha przez niezwykle solidne drzwi składu win, nie zawracając sobie głowy takim drobnym szczegółem jak to, by je przedtem otworzyć. Taso Vones pokrył koszty naprawy z własnej kieszeni, oświadczając:

— Taka siła zasługuje, by ją szanować.

— Daj spokój — zaprotestował Celt. — Ten człowiek był urodzonym głupcem, czego dowiodła twardość jego głowy. To właśnie dlatego tak wspaniale udawał szarżującego tryka.

Namdalajczycy również odpowiedzieli na wołanie Imperium o wojsko. Wąskie rejonce Księstwa dowiozły do Videssos dwa regimenty żołnierzy do walki z Yezd. Jednak wprowadzenie ich do stolicy było dość delikatną sprawą. Zbyt świeża była pamięć wojny pomiędzy Namdalen i Imperium, by obie strony okrzepły w zaufaniu do siebie. Mavrikios, choć zadowolony z dodatkowych sił, wcale nie pragnął ujrzeć okrętów wojennych Namdalajczyków zakotwiczonych u nabrzeży Videssos podejrzewając, że instynkty pirackie wyspiarzy mogą wziąć górę nad ich dobrymi zamiarami. Z tego też powodu Namdalajczycy odpłynęli na Klucz i weszli do portu pod osłoną imperialskich oddziałów. Rzeczowość, z jaką przyjęli decyzję Imperatora, przekonała Marka, że podejrzewania Gavrasa były w pełni uzasadnione.

— Oczywiście, że masz rację — zgodził się Gajusz Filipus. — Nawet nie próbowali udawać niewiniątek. Gdyby mieli choć cień szansy, rzuciliby się na Mavrikiosa bez wahania. On wie o tym, a oni wiedzą, że on to wie. I na takich warunkach mogą ze sobą współpracować.

Dla Rzymian wiosna i wczesne lato były czasem przystosowania, czasem na znalezienie i stworzenie sobie domu w nowej ojczyźnie. Ich pozycji w armii nikt nigdy nie kwestionował; nie po zwycięstwie nad wojownikami z Księstwa w walce na niby. Marek stał się wyrocznią w sprawach piechoty. Niemal codziennie wysokiej rangi Videssańczycy albo oficerowie najemników pojawiali się na musztrze Rzymian, by obserwować i zadawać pytania. Schlebiało to trybunowi i jednocześnie napełniało ironicznym rozbawieniem, bowiem wiedział, że jest tylko żołnierzem amatorem.

Kiedy inne zajęcia uniemożliwiały mu prowadzenie musztry, obowiązek radzenia sobie z obserwatorami spadał na Gajusza Filipusa. Starszy centurion żył dobrze ze swymi towarzyszami po fachu z innych jednostek, lecz organicznie nie cierpiał głupców. Po jednym z takich spotkań zapytał Skaurusa: — Kim jest ten chudy, nieodogolony głupek, który bez przerwy się tutaj kręci? Wiesz, ten z książką pod pachą.

— Ortaias Sphrantzes? — zapytał Marek z zamierającym sercem.

— O, właśnie. Chciał wiedzieć, jak zagrzewam ludzi przed bitwą; i zanim zdołałem powiedzieć słowo, zaczął gadać, że musi zapisać własne przemowy. Głupia kukła. Żeby zwyciężyć po takiej przemowie, musiałyby dowodzić nie żołnierzami, ale półbogami.

— Mam nadzieję, że nie powiedziałeś mu tego?

— Ja? Powiedziałem mu, że powinien zaoszczędzić swoje przemowy dla wroga; zanudziłby go

na śmierć i zwyciężył bez walki. No i po tym poszedł sobie.

— Och. — Przez kilka następnych dni trybun nieustannie spodziewał się trucizny w jedzeniu albo przynajmniej wezwania od stryja Ortaiasa. Ale nic się nie wydarzyło. Albo młody Sphrantzes nie opowiedział stryjowi o poniżeniu, jakie go spotkało, albo też Vardanes pogodził się z tym, że jego bratanek co jakiś czas potyka się o swoje zabawki. Marek doszedł do wniosku, że w grę wchodziło to pierwsze; rezygnacja z pewnością nie była wyrazem, który chętnie gościł na twarzy Vardanesa Sphrantzesa.

Właśnie gdy Rzymianie zmieniali pojęcie Videssańczyków o sztuce wojennej, obyczaje Imperium odbiły na nich samych swe piętno. Ku zaskoczeniu trybuna, wielu jego ludzi zaczęło czcić Phosa. Choć nie miał nic przeciwko wierze Videssos, to jednak nie przemawiała do niego. Martwił się, by uznanie przez legionistów boga Imperium nie okazało się pierwszym krokiem wiodącym do zapomnienia Rzymu.

Gajusz Filipus podzielał jego troskę.

— To nie w porządku słyszeć, jak chłopcy mówią: „Phos cię usmaży!”, kiedy ktoś potknie się o ich nogi. Powinniśmy rozkazać im, żeby natychmiast przestali gadać takie bzdury.

Szukając bardziej obiektywnej rady, trybun zapytał o to Gorgidasa. — Rozkazać? Przestań pleść bzdury. Możesz powiedzieć ludziom, co mają robić, ale nawet twój centurion o żelaznych pięściach nie może im powiedzieć, co mają myśleć. Nie posłuchają go, jeśli będzie próbował. A jeśli nie wykonają jednego rozkazu, kto zapewni, że wykonają następny? Najłatwiej jechać koniem w kierunku, w którym już podąża.

Skaurus uznał, że lekarz mówi rozsądnie; sam doszedł do wniosku, którym Grek podsumował swoje słowa. Lecz pewność brzmiąca w następnej uwadze Gorgidasa niemal zwała go z nóg. — To oczywiste, że zapomnimy Rzym; i Grecję, i Galię.

— Co? Nigdy! — sprzeciwił się bez zastanowienia Marek.

— Daj spokój, w głębi ducha wiesz, że mam rację, choć może ci się to nie podobać. Och, nie chcę przez to powiedzieć, że wszystkie wspomnienia świata, który znaliśmy, znikną; to naprawdę niemożliwe. Lecz w miarę upływu lat Videssos będzie kładło na nas swoją rękę; łagodnie—tak, jednak nadejdzie dzień, kiedy odkryjesz, że zapomniałeś imion połowy sąsiadów swoich rodziców... i tak naprawdę niewiele cię to obejdzie. — Oczy Gorgidasa utkwione były w dal.

Trybuna przebiegł dreszcz. — Patrzysz daleko przed siebie, prawda?

— Co? Nie. Daleko za siebie. Już raz wyrwałem swoje życie z korzeniami, kiedy opuściłem Elis, by wykonywać swój zawód w Rzymie. To daje mi perspektywę, której ty nie możesz mieć.

— Poza tym — ciągnął Grek — będziemy mieć sporo Videssańczyków w naszych szeregach. Apokavkos sprawuje się dobrze, a my nie znajdziemy innych Rzymian, by uzupełnić straty, jakich doznamy.

Skaurus nic na to nie odpowiedział; Gorgidas miał dar poruszania spraw, nad którymi on raczej wolałby się nie zastanawiać. Postanowił utrwalić każde swoje wspomnienie tak mocno, by nigdy nie zdołało się zatrzeć. Jednak nawet kiedy czynił to postanowienie, czuł na plecach zimny powiew daremności. Cóż, zatem staraj się najlepiej jak potrafisz — powiedział sobie — i to go zadowoliło. Niepowodzenie nie hańbiło; obojętność — tak.

Zwyczajnie Videssańczyków zaczęły również zmieniać to, co Marek uważał za podstawę woj-skowego myślenia Rzymian — ich postawę wobec kobiet. Armia Rzymu tak często brała udział w rozmaitych kampaniach, że małżeństwa w czasie służby legionowej były zakazane, jako wpływające niekorzystnie na dyscyplinę. Ani Videssańczycy, ani ich wojska zaciężne nie kierowali się tą zasadą. Wiele czasu spędzali w garnizonach, co dawało im możliwość tworzenia długotrwałych związków, jakie nie mogłyby istnieć w bardziej aktywnej armii.

Trybun zdawał sobie sprawę, że tak jak przed czczeniem boga Imperium, tak nie zdoła powstrzymać swoich ludzi przed wiązaniem się z kobietami Videssos. Gdyby próbował, musiałby stawić czoło buntowi; tym bardziej że miejscowi żołnierze posiadali ów przywilej, jakiego chcieli dla siebie legioniści. Najpierw jedna, a potem druga z czterech sal koszar, gdzie stacjonowali Rzymianie, została przeobrażona przez pospiesznie wznoszone przepierzenia z drewna i materiału w kwatery, które mogły zapewnić prywatność. Nie minęło też wiele czasu, nim pierwsi dumni Rzymianie zaczęli się chełpić, że zostaną ojcami wspaniałych synów — przynajmniej taką mieli nadzieję — którzy kiedyś zajmą ich miejsce.

Dla Gajusza Filipusa stanowiło to nieustanny powód do narzekań. — Już nas widzę za parę lat — berbecie wrzeszczące pod stopami, żołnierze awanturujący się, ponieważ ich gałganice się posprzeczały. Na Marsa w niebiesiech, do czego my zdążamy?! — W przeczuciu nadchodzących złych czasów ćwiczył z legionistami ciężiej niż kiedykolwiek przedtem.

Skaurus również odnosił się do tego z rezerwą, lecz spostrzegł, że choć większość Namdalajczyków miała kobiety, wcale, jak się zdawało, nie czyniło to z nich gorszych żołnierzy. Z pewnego punktu widzenia mógł nawet patrzeć na to, jak na zaletę — tak osobiście zaangażowani w istnienie Videssos, legioniści mogli zacieklej walczyć o Imperium.

Jednak rozumiał też, że towarzyski życia były jeszcze jednym uderzeniem w klin, który Videssos wbijał w dusze jego ludzi; kolejnym krokiem wiodącym do ich całkowitego wchłonięcia przez Imperium. Za każdym razem, kiedy widział jakiegoś Rzymianina nie zwracającego uwagi na nic z wyjątkiem kobiety, której kibić obejmował swym ramieniem, na nowo uderzała go nieuchronność tego, o czym mówił Gorgidas. Rzymianie byli kroplą atramentu, która spadła do wielkiego jeziora; z czasem ich barwa musiała zniknąć.

Ze wszystkich ludzi, których poznali w stolicy, legioniści zdawali się najlepiej rozumieć z Namdalajczykami. Wprawiało to Skaurusa w zakłopotanie, bowiem rezerwował swoją lojalność dla

Imperatora i wiedział, że mieszkańcy Księstwa z radością rzuciliby się na Videssos, gdyby tylko nadarzyła się sposobność. Lecz nie można było na to zamknąć oczu — Rzymianie i Namdalajczycy przyglnęli do siebie jak dawno rozdzieleni krewni. Może wspólna walka na niby i uczta, która miała później miejsce, ułatwiły przyjaźń; a może po prostu chodziło o to, że Namdalajczycy byli mniej powściągliwi niż Videssańczycy i chętniej wychodzili Rzymianom naprzeciw. Bez względu na to, jakibył powód, legionistów zawsze radośnie witano w tawernach, które obsługiwały wyspiarzy, a pomiędzy koszarami Namdalajczyków i kwaterami Rzymian płynął stały strumień drobnego handlu.

Pewnego razu, kiedy Marek zamartwiał się, że pociąg jego żołnierzy do mieszkańców Księstwa podkopie jego przyjaźń z Videssańczykami, Gajusz Filipus położył ramię na jego barkach.

— Wszędzie chcesz mieć przyjaciół — powiedział jak znacznie starszy brat. — Przypuszczam, że to kwestia twojego wieku; każdy po trzydziestce sądzi, że potrzebuje przyjaciół. Jednak kiedy przekroczysz czterdziestkę stwierdzisz, że nie obesli się z tobą ani odrobinę lepiej niż twoja ukochana.

— Żeby cię kruki zadziobały! — zawołał przerażonym głosem Marek. — Jesteś gorszy niż Gorgidas.

Któregoś ranka Soteryk, syn Dostiego, przybył, by zaprosić kilku rzymskich oficerów na mającą się odbyć tego dnia musztrę Namdalajczyków. — Tak, pokonaliśmy nas na piechotę — powiedział — lecz teraz zobaczycie nas w tym, w czym jesteśmy najlepsi.

Marek już przedtem obserwował ćwiczenia Namdalajczyków i czuł zdrowy szacunek dla ich ciężkozbrojnej kawalerii. Pochwalał również sposób, w jaki prowadzili musztrę. Tak jak Rzymianie, Namdalajczycy robili co mogli, by jak najbardziej upodobnić swoje ćwiczenia do walki, tak aby prawdziwe pole bitwy nikogo nie mogło zaskoczyć. Lecz z zadowolonego uśmiechu, jaki Soteryk usiłował ukryć, należało wnosić, że zaproszenie miało jakiś szczególny cel.

Kilku Khamorthów ćwiczyło się w strzelaniu z łuku na skraju ćwiczebnego pola. Ich krótkie, podwójnie gięte łuki słały strzałę za strzałą w wypchane słomą skóry, które służyły im za cel. Oni i grupa, którą prowadził Marek, byli tego dnia jedynymi nie—Namdalajczykami na polu ćwiczeń.

Na jednym końcu pola ciągnął się długi szereg bel siana, na drugim, niemal równie nieruchoma, linia namdalajskich jeźdźców. Wyspiarze mieli na sobie pełen rynsztunek. Na ich hełmach, lancach i rzędach ich wielkich koni trzepotały w wietrze jasne wstęgi proporców. Każdy jeździec miał na kolczudze opończę, której barwa odpowiadała barwie proporców. Sto lanc uniosło się w salucie jak jedna, kiedy wyspiarze zauważyli nadchodzących Rzymian.

— Och, jaki piękny pokaz — rzekł z podziwem Viridoviks. Skaurus pomyślał, że Gal znalazł słowo, które doskonale oddawało istotę rzeczy; to był pokaz, coś przygotowanego specjalnie dla niego. Postanowił, że jeśli będzie mógł, oceni to właśnie z tego punktu widzenia.

Dowódca Namdalajczyków szczechnął jakiś rozkaz. Lance opadły, znowu jednocześnie. Sto lśniących stalowych ostrzy w kształcie liści, każde wieńczące lancę o długości dwunastu stóp, zrównało się z belami siana odległymi od nich o ósmą część mili. Dowódca pozostawił ich tak przez długą, pełną dramatyzmu chwilę, a potem krzyknął rozkaz, który kazał im ruszyć naprzód.

Tak jak lawina schodząca z grzmiotem alpejską przełęczą, tak i oni ruszyli najpierw wolno. Ciężkie konie nie od razu nabrały impetu, zważywszy na własną masę i wagę ciężkozbrojnych jeźdźców na grzbietach. Lecz z każdym krokiem nabierały pędu i nim minęły połowę drogi do celu, były już w pełnym galopie. Ziemia drżała jak kocioł pod werblem ich wywołujących grzmiot kopyt; żelazne podkowy wyrzucały w górę wielkie pecyny ziemi i trawy.

Marek próbował wyobrazić sobie siebie samego stojącego na miejscu bel siana, obserwującego spadające nań z grzmiotem konie, ich łyskające purpurą nozdrza; wytrzeszczającego oczy na stal, która pozbawi go życia. Na myśl o tym poczuł, jak cierpnie mu skóra na brzuchu. Zastanawiał się, jak ktokolwiek potrafi zdobyć się na to, by przeciwstawić się takiej szarzy.

Kiedy lance, konie i jeźdźcy uderzyli w nie, bele po prostu przestały istnieć. Siano zostało wbite kopytami w ziemię, rozrzucone na wszystkie strony i wyrzucone wysoko w górę. Namdalajczycy zatrzymali swe wierzchowce; zaczęli zbierać wiązki siana z grzyw i czapraków swych wierzchowców oraz z własnych opończy i włosów.

Soteryk spojrział pytająco na Skaurusa. — Niewiarygodne — powiedział trybun i nie kłamał. — Nie sądzę, bym widział cokolwiek podobnego, zarówno jeśli chodzi o widowisko, jak i pokaz siły uderzeniowej.

— Wy Namdalajczycy musicie być okrutnie twardym narodem — rzekł Viridoviks — żeby tak roznieść na strzepy biedne bele siana, które nie zrobiły wam żadnej krzywdy.

Gajusz Filipus dodał: — Jeśli to jest wasz sposób wyzwania nas do odwzajemnienia potyczki na końskich grzbietach, to musicie, psiakrew, wymyślić coś innego. Niezmiernie uprzejmie wam dziękuję, ale mam zamiar spocząć na własnych laurach. — Pochwała weterana sprawiła, że Soteryk zapłonął z dumy, a ów dzień, jak zgodziła się reszta wyspiarzy, okazał się wielkim sukcesem.

Lecz w rzeczywistości centurion wcale nie był pod tak wielkim wrażeniem, jak wydawało się Namdalajczykom.

— Są mocni, nie zrozum mnie źle — rzekł do Skaurusa, kiedy wracali do swych kwater po spożytym wspólnie z wyspiarzami południowym posiłku. — Jednak pewna stopa może okazać się wszystkim, co na nich potrzeba. Cała sprawa leży w tym, by ich szarża nie rozbiła cię w pierwszym uderzeniu.

— Tak sadzisz? — zapytał Marek. Nie poświęcił słowom Gajusza Filipusa tyle uwagi, ile powinien. Musiało być to widoczne, ponieważ Viridoviks spojrział na niego z figlarnym błyskiem w oku.

— Wydaje mi się, że marnujesz czas, jeśli mówisz do tego chłopca o wojnie — rzekł do cen-

turiona. — Nic go nie obchodzi z wyjątkiem pary pięknych, błękitnych oczu; to pewne. To rzadkiej piękności dziewczyna, Rzymianinie; życzę ci, żeby ci się z nią poszczęściło.

— Helvis? — zapytał Marek, zatrwożony, że jego uczucia są tak oczywiste. Krył się z nimi najlepiej jak potrafił.

— Co każe ci tak sądzić? Dzisiaj nie było jej nawet przy stole.

— Tak, to prawda; i czy nie jesteś z tego powodu zawiedziony? — Viridoviks robił co mógł, by przybrać minę człowieka dającego poważną radę, coś co na jego z natury wesołej twarzy z góry było skazane na niepowodzenie. — Muszę powiedzieć, że postępujesz właściwie. Działając zbyt zdecydowanie i zbyt szybko tylko byś ją do siebie zniechęcił. Te śliwki w miodzie, które przyniosłeś dla jej chłopca; tak, to jest przebiegłe posunięcie. Jeśli ten skrzat polubi cię, jak nie mogłaby polubić cię jego matka? A prosząc Soteryka, by je mu przekazał sprawiłeś, że on również pomyśli o tobie lepiej, co z pewnością nie zmniejszy twoich szans.

— Och, przestań pleść, dobrze? Jeśli Helvis tam nie było, to komu miałem przekazać słodycze, jak nie jej bratu? — Lecz choć wykręcał się ze szczegółów, wiedział, że w ogólnym zarysie Celt ma rację. Czuł nieodparty pociąg do Helvis, ale całą sprawę komplikowało poczucie winy, wynikające z roli — choć tak przypadkowej — jaką odegrał w śmierci Hemonda. Jednak w ciągu tych kilku razy, kiedy spotykał się z nią od tamtego fatalnego dnia, wciąż potwierdzała, że nie ma mu tego za złe. A Soteryk, ze swej strony, musiałby chyba stracić wzrok, żeby nie zauważyć uwagi, jaką Skaurus darzy jego siostrę, a przecież nie wyrażał żadnych sprzeciwów — co było obiecującym znakiem.

To, że jego uczucia stały się powszechnie znane, że być może — nie, z pewnością — były przedmiotem plotek krążących wśród wojskowej społeczności Videssos, mogło tylko przerazić trybuna, który nie chciał odsłaniać się przed kimkolwiek z wyjątkiem swoich przyjaciół.

Odetchnął z ulgą, kiedy Gajusz Filipus powrócił do pierwotnego tematu ich rozmowy.

— Wystarczy wzmocnić własną linię pikarzami i poczęstować ich gęstą salwą *pilą*, gdy tylko znajdą się w zasięgu, a nasi wspaniali namdalajscy koniarze przeżyją naprawdę gorące chwile. Konie mają więcej rozumu w głowie, niż biec na cokolwiek ostrego.

Viridoviks spojrział na centuriona z rozdrażnieniem.

— Niech cię wszyscy diabli wezmą za to, że upierasz się przy najbardziej bezsensownym pomyśle, jaki kiedykolwiek słyszałem. Mogliśmy sprawić, że wiłby się jak robaczek w kuflu piwa, a ty dalej bajdurzysz o biednych konikach, oby je Epona miała w swojej opiece. — Wymierni imię głównej galijskiej bogini, opiekunki koni.

— Ktoregoś dnia, być może, to ty wpadniesz do kufla z piwem — rzekł Gajusz Filipus, spoglądając mu w oczy. — Wówczas zobaczymy, czy ucieszysz się, gdy zmienię temat.

Kiedy Mavrikios przygotowywał swój atak, by raz na zawsze skończyć z Yezd, zachodni wróg

Imperium nie pozostawał bezczynny. Jak zawsze potok dzikich koczowników spływał stepem; znad rzeki Yegird, i dalej do północnozachodnich prowincji kraju zwanego niegdyś Makuranem. W taki to właśnie sposób przed pięćdziesięciu laty Yezda wkroczyli do tego kraju. Khagan Wulghash, dla Marka nie ulegało to wątpliwości, nie był głupcem. Zamiast pozwalać przybyszom na osiedlanie się i sianie zamętu we własnym państwie, pchał ich dalej na wschód przeciwko Videssos, nęcąc obietnicami walki, łupów i wsparcia armii Yezd.

Koczownicy, ruchliwsi od swych przeciwników, przemykali przez górskie doliny Vaspurakanu i wdzierali się na leżące za nimi żyzne równiny, niosąc ze sobą okrucieństwo i grabieżę, pozostawiając zabitych i okaleczonych. Najeźdźcy byli jak woda; gdy zatkało się jeden przeciek, przeciskali się innym, zawsze wyszukując słabe miejsca i aż nadto często znajdując je.

A na ich czele stał Avshar. Marek przeklinał, a Nephon Khoumnos przysięgał, że pierwsze doniesienia o nim są kłamstwami, lecz szybko musieli uznać je za prawdziwe. Zbyt wielu uciekinierów przybywających do Videssos z tym tylko, co zdołali unieść, opowiadało rzeczy, które nie pozostawiały miejsca na wątpliwości. Wódz—czarodziej z Yezd nie próbował ukryć swej obecności. Przeciwnie, chępił się nią, by jeszcze bardziej przerazić swych wrogów.

Pozostając wiernym białym szatom, jakie zawsze nosił, na wierzchowca wybrał sobie ogromnego, czarnego rumaka, o połowę większego od stepowych kuców swych podwładnych. Jego miecz zrąbał tych paru na tyle odważnych, by mu się przeciwstawić, a jego potężny łuk słał strzały śmierci, dolatujące dalej niż strzały, które jakkolwiek normalny człowiek —jakkolwiek człowiek z krwi i kości — zdołał wystrzelić ze swego łuku. Powiadano, że każdy, kogo trafią te strzały, musi umrzeć, choćby był tylko draśnięty. Powiadano też, że żadna strzała ani dzida nie mogą go zranić i że sam jego widok pozbawia odwagi nawet największego bohatera. Pamiętając czar, jaki odparowało jego wspaniałe galijskie ostrze, Marek z łatwością mógł uwierzyć w to ostatnie.

Zbliżała się pełnia lata, a Imperator wciąż gromadził wojska. Na zachodzie miejscowe oddziały walczyły z Yezd bez wsparcia armii, którą koncentrowano w stolicy. Żaden z Rzymian nie potrafił zrozumieć, dlaczego Mavrikios, z pewnością człowiek czynu, nie wyruszył jeszcze w pole. Kiedy Skaurus zapytał o to Neilosa Tzimiskesa, ów odpowiedział: — Zbyt szybko może okazać się gorsze niż zbyt późno, rozumiesz.

— Sześć tygodni temu — nawet trzy tygodnie temu — odpowiedziałbym na to „tak”. Lecz jeśli szybko nie weźmiemy się do roboty, to niewiele pozostanie z Imperium do uratowania.

— Uwierz mi, przyjacielu, sprawy nie przedstawiają się tak prosto, jak to się wydaje. — Jednak kiedy Marek próbował wyciągnąć od Tzimiskesa coś więcej, Neilos wycofał się w niejasne obietnice, że wszystko ułoży się jak najlepiej. Rzymianin nabrał pewności, że Tzimiskes wie więcej, niż chce powiedzieć.

Następnego dnia Skaurus palnął się w czoło, że nie próbował dowiedzieć się tego, co chciał, od

Phostisa Apokavkosa. Prawda, dawny wieśniak wtopił się tak dobrze w szeregi Rzymian, że trybun często zapominał, iż Apokavkos nie wędrował razem z legionistami przez galijskie puszcze. Jego nowe otoczenie — rozumował Marek — może uczyniło go bardziej rozmownym od Tzimiskesa.

— Nie wiesz, dlaczego nie wyszliśmy w pole? Chcesz mi powiedzieć, że naprawdę tego nie wiesz? — Apokavkos wytrzeszczył oczy na trybuna. Szarpnął za powietrze w miejscu, gdzie niegdyś była jego broda, a potem roześmiał się sam z siebie. — Wciąż nie mogę przywyknąć do tego golenia. Odpowiedź na twoje pytanie jest bardzo prosta; Mavrikios nie opuści miasta, dopóki nie zdobędzie pewności, że wciąż będzie Imperatorem, kiedy tu wróci.

Markowi przyszło jeszcze raz uderzyć się w czoło.

— Zaraza na tych polityków! Stawką jest przecież całe Imperium, a nie to, kto siedzi na tronie.

— Patrzyłbyś na to odrobinę inaczej, gdybyś to ty na nim siedział.

Skaurus zaczął protestować, a potem cofnął się myślami do ostatnich dziesięcioleci historii Rzymu. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że wojny przeciwko królowi Mitrydatesowi z Pontu ciągnęły się tak długo tylko dlatego, że walczące z nim legiony raz przechodziły na stronę Sulli, a raz Mariusza. Bieda polegała nie tylko na braku współpracy pomiędzy obiema tymi frakcjami; obie grupy nieustannie wracały z Azji Mniejszej do Italii, by brać udział w kolejnym etapie wojny domowej. Videssańczycy byli takimi samymi ludźmi jak wszyscy inni. Nie można było od nich wymagać, by nie byli takimi głupcami jak wszyscy inni.

— Zrozumiałeś, to dobrze — powiedział Apokavkos, widząc niechętnie przytaknięcie Marka. — Poza tym, jeśli wątpisz w moje słowa, to jak wyjaśnisz fakt, że w zeszłym roku Mavrikios pozostał w mieście i nie wyruszył walczyć z Yezd? Wówczas sprawy miały się jeszcze gorzej niż teraz; po prostu nie ośmielił się wyjechać.

Komentarz adoptowanego Rzymianina wyjaśnił coś, nad czym Skaurus łamał sobie głowę już od pewnego czasu. Nic dziwnego, że Mavrikios wyglądał tak ponuro, kiedy przyznawał, że wcześniej nie mógł wyruszyć przeciwko Yezd! W ciągu ubiegłego roku potęga Imperium niezmiernie wzrosła i, w obliczu zagrożenia ze strony Yezd, również jego jedność. Teraz trybun lepiej rozumiał podpuchnięte i zaczerwienione oczy Mavrikiosa; dziwne było, że w ogóle ośmielał się sypiać.

Jednak potęga i jedność wciąż nie maszerowały ręka w rękę w Videssos, jak to Marek odkrył kilka dni później. Trybun nalegał na Apokavkosa, by ten podtrzymywał uliczne znajomości, jakie pozawierał podczas pobytu w mieście. Marek widział, jak nieustannie kipiący potok wieści i pogłoszek omijał Namdalajczyków, i nie chciał, by z Rzymianami stało się podobnie. Meldunek, jaki mu złożył Phostis sprawił, że trybun podziękował sobie za przezorność.

— Gdyby to nie dotyczyło i nas, pewnie bym ci tego nie powiedział — rzekł Apokavkos — ale myślę, że dobrze zrobimy, jeśli przez kilka następnych dni nie będziemy zbyt często opuszczać koszar. Szykują się kłopoty dla przeklętych wyspiarzy, a zbyt wielu w mieście stawia nas i ich w

jednym rzędzie.

— Dla Namdalajczyków? — zapytał Marek. Kiedy Phostis skinął głową, powiedział: — Ale dlaczego? Wojowali z Imperium, to prawda, lecz wszyscy Namdalajczycy, którzy są teraz w mieście, są tutaj po to, by walczyć z Yezd.

— Jest ich zbyt wielu i są zbyt dumni z siebie; buńczuczni kmiotkowie. — Przejęcie przez Phostisa upodobań Rzymian nie obejmowało mieszkańców Księstwa. — Nie tylko o to chodzi; przejęli też pół tuzina kaplic na swoje potrzeby, przekłęci heretycy. I dobrze wiesz, że potem zaczną nawracać uczciwych ludzi na swoją wiarę. Tak nie może być.

Marek stłumił gwałtowną chęć, by wrzasnąć. Czy nikt w tym fanatycznym świecie nie może zapomnieć o religii choćby tylko na tak długo, by zrobić to, co trzeba? Jeśli ci wyznawcy Phosa, którzy uważają, że na pewno zwycięży zło, walczą z tymi, którzy wierzą w Phosa Hazardzistę, to jedynymi zwycięzcami będą czciciele Skotosa. Lecz kiedy Rzymianin zasugerował to Apokavkosowi, usłyszał w odpowiedzi:

— Nie wiem, czy prędzej na tronie Videssos nie wolałbym ujrzeć Wulghasha niż Księcia Tomonda z Namdalen.

Wyrzuciwszy ręce do góry, Skaurus odszedł, by przekazać ostrzeżenie Soterykowi. Nie zastał wyspiarza w jego kwaterze na parterze koszar. — Myślę, że jest u swej siostry.

Prawdopodobnie znajdziesz go tam — oświadczył jeden z mężczyzn, którego łóżko sąsiadowało z łóżkiem Soteryka.

— Dzięki — odpowiedział trybun, kierując się ku schodom. Jak zwykle, perspektywa ujrzenia Helvis równocześnie napełniła go lękiem i ożywieniem. Zdawał sobie sprawę, że niejednokrotnie wynajdował preteksty do odwiedzenia Soteryka w nadziei, że spotka jego siostrę. Jednak tym razem — upomniał siebie — miał rzeczywisty i pilny powód, by zobaczyć się z Namdalajczykiem.

— Na Hazardzistę! — zawołał Soteryk, kiedy zobaczył, kto puka do drzwi Helvis. — Wystarczy, żeby o kimś zacząć rozmawiać, a już się pokazuje. — To powitanie całkowicie zbiło Skaurusa z pantafelku; tym bardziej że Namdalajczyk nie rozwinął go, pozostawiając Marka na pastwę domysłów.

— Czy nie mielibyście ochoty na odrobinę wina, chleb albo ser? — zapytała Helvis, kiedy Rzymianin poczuł się swobodniej. Wciąż jej było daleko do tej pełnej życia kobiety, która tak mu przypadła do serca przed kilkoma tygodniami, lecz czas — jak zawsze w takich przypadkach — już rozpoczynał swe lecznicze dzieło. Wyraz bólu, który tak mocno ściągnął jej żywe rysy, nie był już tak wyraźny; znowu zdarzały się chwile, kiedy uśmiech sięgał jej oczu.

Malrik wpadł do pokoju ze znajdującej się za nim sypialni. W rączce ścisnął mały drewniany miecz. — Zabić Yezda! — wykrzyknął, wymachując drewnianym ostrzem ze srogością trzylatka.

Helvis pochwyciła syna i podrzuciła do góry. Zapiszczał z radości, upuszczając zabawkę. —

Jeszcze! — zawołał. — Jeszcze! — Zamiast tego matka przytuliła go do siebie z niepohamowaną gwałtownością, wspominając żyjącego w nim Hemonda.

— Baw się dalej, synu — powiedział Soteryk, kiedy jego

siostrzeniec znalazł się znowu na nogach. Pochwyciwszy swój miecz, chłopiec wybiegł z pokoju z taką samą karkołomną szybkością, z jaką do niego wbiegł. Wspominając dzieciństwo swych własnych, młodszych sióstr Skaurus wiedział, że wszystkie małe dzieci albo pędzą na złamanie karku, albo śpią, a pomiędzy tymi dwiema skrajnościami nie znajduje się prawie nic.

Gdy tylko Malrik wybiegł, trybun opowiedział Soterykowi to, czego dowiedział się od Phostisa Apokavkosa. Pierwszą reakcją wyspiarza nie była trwoga, którą odczuwał Marek, lecz raczej tłumiona zapalczywość.

— Niech tylko ten motłoch przyjdzie! — powiedział, uderzając pięścią w rozwartą dłoń dla podkreślenia swoich słów. — Zmieciemy bękartów i to da nam pretekst potrzebny do wojny z Imperium. Namdalen i tak już wkrótce odziedziczy spuściznę po Videssos; dlaczego nie teraz?

Skaurus gapił się na niego, zdumiony aż do oszołomienia. Wiedział, że mieszkańcy Księstwa patrzą łakomym okiem na miasto i całe imperium, lecz arogancja Soteryka poraziła go swym zupełnym nieliczeniem się ze zdrowym rozsądkiem. Helvis również wytrzeszczała oczy na swego brata. Najdelikatniej jak potrafił, Marek próbował sprowadzić go na ziemię. — Chcesz zdobyć i utrzymać stolicę sześcioma tysiącami ludzi?

— Ośmioma tysiącami! A część Khamorthów z pewnością dołączy do nas; dla nich plądrowanie to rozrywka.

— To się w zupełności zgadza, jestem pewien. I kiedy już rozprawicie się z resztą koczowników, halogajską gwardią Imperatora i czterdziestoma mniej więcej tysiącami videssańskich wojowników przebywających w mieście, to pozostanie wam tylko zdusić opór mieszkańców całej stolicy. Zniechęcą was podwójnie; zarówno za to, że jesteście zdobywcami, jak i heretykami. Życzę ci szczęścia; będzie ci potrzebne.

Namdalajski oficer spojrział na niego, jakby spojrział na Skaurusa Malrik, gdyby Rzymianin złaźniał na kolanie jego mieczyk. — Więc nie wesprzesz nas swoimi ludźmi w walce?

— Wesprzeć w walce? — Gdyby doszło do walki, tak jak przewidywał to Soteryk, Skaurus miał nadzieję, że Rzymianie znajdą się po drugiej stronie, lecz domyślał się, że powiedzenie tego wyspiarzowi bardziej by go rozwścieczyło, niż utemperowało. Soteryk zdumiewał trybuna swoją niewiarygodną... łacina nie miała na to odpowiedniego słowa. Musiał pomyśleć po grecku, żeby znaleźć pojęcie, którego mu brakowało w ojczystym języku: *hubris*. Jak to ujął ów tragediopisarz, „Kogo bogowie chcą zniszczyć, temu najpierw odbierają rozum”?

Gorgidas będzie wiedział, pomyślał.

Kiedy Soteryk ujrzał odmowę Marka, część żarłocznego błysku w jego oczach zgasła. Spojrział

na swoją siostrę, szukając u niej wsparcia, lecz Helvis nie chciała spojrzeć mu w oczy. Tak samo żarliwie kochała Namdalen jak jej brat, lecz była zbyt mocno osadzona w rzeczywistości, by dać się porwać wizji podboju; bez względu na to, jak promiennej.

— Chciałem zapobiec zamieszkom, a nie wszczynać wojnę — rzekł Marek w zapadłej ciszy. Szukał jakiegoś argumentu, którego mógłby użyć do odciążenia Soteryka od jego niebezpiecznych zamierzeń, nie zmuszając go jednocześnie do utraty twarzy. Na szczęście, jeden miał pod ręką. — Przy czekającej nas wojnie z Yezd ani wy, ani Imperium nie możecie pozwolić sobie na dodatkowe walki.

W stwierdzeniu tym było aż nadto prawdy, by zmusić Soteryka do zastanowienia się. Uśmiech, jaki wypełził na jego twarz, nie miał nic wspólnego z rozbawieniem; bardziej przypominał stłumione warknięcie.

— Co chciałbyś, żebyśmy zrobili? — zapytał w końcu. — Żebyśmy ukryli naszą wiarę? Schowali się jak tchórze, żeby motłoch nas nie spalił? Videssańczycy bez cienia wstydu

rzucają nam w twarz swoją wiarę. Prędzej będę walczył, niż poniżę się przed uliczną hałasą i niech diabli wezmą konsekwencje, ot co! — Lecz z dumą wojownika brzmiącą w jego głosie mieszała się pełna zawodu świadomość, że wynik takiej walki prawdopodobnie nie spełniłby jego oczekiwań.

Marek próbował wykorzystać z wolna dochodzący do głosu zdrowy rozsądek wyspiarza. — Nikt nie oczekuje od was, byście się ponizali — powiedział. — Lecz odrobinę opanowania teraz mogłoby zapobiec ogromnym kłopotom później.

— Niech przekłete Pyszałki okażą opanowanie—warknął Soteryk, używając przezwiska, jakim mieszkańcy Księstwa określali ortodoksyjnych Videssańczyków.

Przedłużająca się rozmowa z drażliwym Namdalajczykiem sprawiła, że i Skaurusa zaczęły ponosić nerwy. — Właśnie o tym mówię — powiedział. — Nazwij kogoś raz za dużo „Pyszałkiem”, a możesz być pewien, że bójka cię nie ominie.

Aż do tej chwili Helvis przysłuchiwała się ich sprzeczce nie biorąc w niej udziału. Teraz powiedziała: — Wydaje mi się, że obaj dotykacie tylko jednej strony problemu. Mieszkańcy stolicy może polubią nas bardziej, jeśli mniej się będziemy afiszować ze sprawami, za którymi oni nie przepadają, ale od naszego zachowania zależy tylko tyle. Jeśli zaś Videssos potrzebuje naszej służby, to Imperator — lub ktoś inny — powinien powiedzieć ludziom, że jesteśmy dla nich ważni i że nie mają nas lżyć.

— Powinien, powinien, powinien — powtórzył szyderczo Soteryk. — Kto położy głowę pod topór dla nędznej bandy najemników?

Nie ulegało wątpliwości, iż nie sądzi, by jego siostra odpowiedziała mu na to. Przebiegając w myślach przywódców rządu, jakich znał, Marek też nie potrafił znaleźć odpowiedzi na to pytanie.

Mavrikios i Thorisin Gavras poświęciliby mieszkańców Księstwa bez żadnych skrupułów, gdyby przeszkodzili wielkiej kampanii przeciwko Yezd. Nephon Khoumnos mógł poświęcić ich tak czy inaczej, ze względów zasadniczych. Prawda, Namdalajczycy stanowili część siły, którą Vardanes Sphrantzes wygrywał przeciwko Gavrasom, lecz Sevastos — co do tego Skaurus nie miał żadnych wątpliwości — był zbyt niepopularny w mieście, by jego słowa, nawet gdyby się na to zdobył, mogły cokolwiek zmienić.

Jednak Helvis miała na to odpowiedź i to tak trafną, że Marek poczuł się jak dureń, że sam na to nie wpadł.

— Co powiesz o Balsamonie? — zapytała. — Sprawia na mnie wrażenie uczciwego człowieka; i to takiego, którego Videssańczycy słuchają.

— Patriarcha Pyszałków? — odpowiedział z niedowierzaniem Soteryk. — Każdy Videssańczyk w błękitnej szacie posłałby nas do wiecznego lodu, nim ruszyłby palcem w naszej sprawie.

— O większości z nich powiedziałabym, że to prawda, lecz wydaje się, że Balsamon jest inny. Nigdy nam nie dokuczał, przecież wiesz — powiedziała Helvis.

— Sądzę, że twoja siostra ma rację — poparł ją Marek. Opowiedział Soterykowi o wrażeniu zaskakującej tolerancji, jakie wyniósł ze spotkania z patriarchą w apartamentach Imperatora.

— Hmm. Dość łatwo być tolerancyjnym prywatnie — rzekł Soteryk. — Czy zechce być takim publicznie? W tym sęk. — Poderwał się na nogi. — No, na co czekacie? Najlepiej sprawdźmy to; ja sam uwierzę, kiedy usłyszę to na własne uszy.

Bezlitosna energia, którą Soteryk chciał zwrócić przeciwko Videssos, teraz skierowała się na siostrę i trybuna. Helvis zatrzymała się tylko po to, by wziąć na ręce swego syna — Chodź, Malrik, idziemy się z kimś zobaczyć — a Marek natychmiast poderwał się na nogi, lecz i tak nie byli dość szybcy, by zadowolić Soteryka. Szydząc z pomysłu Helvis i równocześnie popędzając do jego realizacji, jej brat wyprowadził ją i Skaurusa z koszar Namdalajczyków, z pałacowego kompleksu i pociągnął za sobą w zgiełk miasta tak szybko, że Rzymianin ledwie zdążył mrugnąć.

Rezydencja patriarchy znajdowała się na pomocy centralnej części Videssos, na terenie Głównej Świątyni Phosa. Skaurus nie pofatygował się, by ją odwiedzić, lecz ci jego ludzie, którzy nawrócili się na Phosa, opowiadali cuda o jej wspaniałościach. Igllice Głównej Świątyni, zwieńczone złotymi kulami widoczne były w całym mieście; jedyny problem, by do nich dotrzeć, polegał na wybraniu właściwej drogi przez labirynt uliczek, zaułków i alej Videssos. Soteryk prowadził jednak bez wahania.

Marek odczuł, jak niemile widzianymi w stolicy stali się obcokrajowcy; lecz bardziej przez to, czego ludzie nie robili niż przez to, co robili. Odnosiło się wrażenie, że mieszkańcy miasta próbują udawać, jakby obcokrajowcy wcale nie istnieli. Żaden kupiec nie wybiegł ze swego sklepu, by ich nagabywać, żaden kramarz nie zbliżył się, by wciskać im w ręce swe towary, żaden chłopiec nie

podbiegł, by zaprowadzić ich do zajazdu swego ojca. Trybun z krzywym uśmiechem przypomniał sobie, jak zirytował go brak anonimowości po walce z Avsharem. Teraz ją miał i stwierdził, że wcale jej nie chce.

Malrika oczarowały barwy, dźwięki i zapachy miasta, tak odmienne i bez porównania bardziej podniecające od tych, do których przywykł w koszarach. Przez połowę drogi szedł płacząc się pod nogami Helvis, Soteryka i Marka; potem nieśli go, przekazując go sobie po kolei. Jego trzy niezmiennie żądania brzmiały: „Postaw mnie”, „Weź mnie” i, nade wszystko, „Powiedz, co to jest?”. To ostatnie pytanie prowokowało wszystko: srokaty koń, rusztowanie malarza, prostytutka o trudnej do określenia płci.

— Dobre pytanie — zachichotał Soteryk, kiedy ladacznica minęła ich powłócząc nogami. Jego siostrzeniec nie usłyszał tego jednak — jego uwagę przykuło chude, czarne szczenię z kłapciastymi uszami.

Główna Świątynia Phosa wznosiła się w wyniosłej samotności pośrodku wielkiego, ogrodzonego dziedzińca. Tak jak arena sąsiadująca z pałacowym kompleksem, tak ów dziedziniec był jednym z głównych punktów zgromadzeń mieszkańców miasta. W razie potrzeby pomniejsi kapłani mogli przemawiać do mas zgromadzonych przed Świątynią, podczas gdy patriarcha zwracał się do mniejszej, dostojniejszej grupy słuchaczy wewnątrz.

Rezydencja patriarchy Videssos stykała się z zewnętrzną stroną ogrodzenia dziedzińca. Była to zaskakująco skromna budowla; wielu wcale nie najbogatszych kupców miało większe, wspanialsze siedziby. Lecz skromny budynek sprawiał wrażenie ponadczasowości, na naśladowanie której domy nowobogackich nie mogły nawet mieć nadziei. Same sosny rosnące wokół rezydencji miały pnie sękaty i poskręcane od starości, a mimo to wciąż rosły i zieleniły się.

Pochodząc z młodego Rzymu, którego historia — nawet ostatnich trzech stuleci przed jego urodzeniem — była niewiele więcej niż legendą, Marek nigdy bez reszty nie zdusił w sobie nabożnej czci, jaką wzbudzała w nim przeszłość Videssos. Dla niego stare, lecz żywotne drzewa, stanowiły doskonałą metaforę Imperium jako całości.

Kiedy powiedział to głośno, Soteryk wybuchnął pozbawionym radości śmiechem, mówiąc: — Rzeczywiście, bo wyglądają tak, jakby pierwsza większa burza miała wyrwać je z korzeniami.

— Musiały przejść parę, żeby tak wyrosnąć — rzekł Marek. Soteryk zbył uwagę machnięciem ręki.

Drzwi otworzyły się przed nimi; wysokiej rangi duchowny wyprowadzał jakiegoś videssańskiego szlachcica w białych lnianych spodniach i tunice z limonowozielonego jedwabiu.

— Ufam, że Jego Wielbność potrafił wam pomóc, panie Dragatzes? — zapytał uprzejmie kapłan.

— Tak, tak sądzę — odparł Dragatzes, lecz jego chmurne spojrzenie nie wyglądało zachęcająco.

Minął Marka, Helvis i Soteryka, zdając się ich nie zauważać.

Kapłan również nie zwrócił na nich żadnej uwagi, dopóki jego wzrok, którym odprowadzał oddalającego się Dragatzesa, przypadkowo nie padł na nich. — Czy mogę wam w czymś pomóc? — zapytał. W jego głosie słychać było powątpiewanie; w Helvis i jej bracie bez trudu rozpoznawało się Namdalajczyków, zaś Marek wyglądał bardziej jak mieszkaniec Księstwa niż Videssańczyk. Nie istniał żaden oczywisty powód, by ludzie tacy jak oni mieli odwiedzać najwyższego duchownego wiary, której nie wyznawali.

I nawet kiedy Marek poprosił o rozmowę z Balsamonem, kapłan stojący u drzwi nie odsunął się, by ich wpuścić.

— Jak z pewnością wiecie, rozkład dnia Jego Wielebności jest wypełniony. Jutro byłoby lepiej albo pojutrze... — Odejdźcie i nie zwracajcie sobie głowy, by wracać — przetłumaczył Marek.

— Kto to jest, Gennadios? — dobiegł z głębi rezydencji głos patriarchy. W chwilę później on sam pojawił się przy drugim kapłanie, ubrany nie w swoje wspaniałe insygnia patriarchy, lecz we wcale nie najczystszą szatę mnicha z prostej, niebieskiej wełny. Ujrawszy stojącą przed drzwiami czwórkę, powitał ich swym zaraźliwym chichotem.

— No, no, kogo my tu mamy? Poganin i paru heretyków chcą się ze mną widzieć? Czuję się niezmiernie zaszczycony, zapewniam. Wejdźcie, proszę. — Odsunął na bok bełkoczącego Gennadiosa, by przepuścić ich przed sobą.

— Ale Wasza Wielebność, za kwadrans masz się spotkać z... — zaprotestował Gennadios, lecz patriarcha przerwał mu.

— Bez względu na to, kto to jest, poczeka. To fascynująca zagadka, nie sądzisz, Gennadios? Dlaczego niewierni chcą się ze mną zobaczyć? Może chcą nawrócić się na naszą wiarę? To byłaby cenna zdobycz i wielkie zwycięstwo prawdziwej wiary Phosa, nie sądzisz? A może nawrócą *mnie* — i to byłby skandal, co?

Gennadios rzucił swemu przełożonemu cierpkie spojrzenie, najwyraźniej uznając jego poczucie humoru za wątpliwej jakości. Soteryk wpatrywał się w patriarchę z niedowierzaniem, Helvis z radością. Marek również musiał się uśmiechnąć; po ostatnim spotkaniu z Balsamonem wiedział, jak wiele radości czerpie patriarcha z bycia niekonwencjonalnym duchownym.

Helvis trzymała Malrika w ramionach. Kiedy mijała Balsamona, chłopiec wyciągnął obie rączki i złapał patriarchę za brodę. Helvis zatrzymała się natychmiast, zatrwożona tym, co Balsamon może zrobić, jak i nie chcąc pociągnąć go za sobą.

Przestrach, jaki poczuła, musiał pokazać się na jej twarzy, gdyż patriarcha roześmiał się głośno. — Wiesz, moja droga, nie jadam dzieci; przynajmniej ostatnio. — Łagodnie wyplątał dłonie Malrika ze swej brody. — Pewnie pomyślałaś, że jestem starym capem, co? — powiedział, szturchając chłopca palcem w żebra. — Pomyślałaś? — Malrik skinął głową, śmiejąc się radośnie.

— Jak masz na imię, synu? — zapytał patriarcha.

— Jestem Malrik, syn Hemonda — odpowiedział wyraźnie chłopiec.

— Sym Hemonda? — Uśmiech spłynął z twarzy Balsamona. — To była przykra sprawa, naprawdę przykra. Zatem ty musisz być Helvis — rzekł do matki Malrika. Skinęła głową. Na Marku, nie po raz pierwszy, zrobiła wrażenie wiedza patriarchy i jego znajomość szczegółów. Balsamon zwrócił się do brata Helvis. — Nie sędzę, bym cię znał, panie.

— Nie ma żadnego powodu, dla którego powinienes — przytaknął Soteryk. — Jestem Soteryk, syn Dostiego; Helvis jest moją siostrą.

— Znakomicie — Balsamon skinął głową. — Chodźcie ze mną, wszyscy. Gennadios, bądź tak dobry i powiedz mojemu następnemu gościowi, że się nieco spóźnię, dobrze?

— Ale... — Zrozumiawszy bezcelowość wszelkich protestów, Gennadios skinął szybko głową, z zaciętym wyrazem twarzy.

— Mój pies łańcuchowy — westchnął Balsamon, gdy prowadził gości do swych apartamentów. — Strobilos poszczuł go na mnie przed laty, by mnie pilnował. Przypuszczam, że Mavrikios zabralby go ode mnie, gdybym go o to poprosił, ale jakoś nigdy nie chciało mi się zwracać mu tym głową.

— Poza tym musi bawić cię szczucie tego nadąsanego głupca — rzekł Soteryk. Markowi to samo przyszło do głowy, lecz nie sformułował swej myśli w tak okrutny sposób, w jaki wyraził to Namdalajczyk.

Helvis położyła rękę na ramieniu brata, lecz Balsamon nie wydawał się wzburzony jego uwagą. — Ma rację, wiesz — zwrócił się do niej patriarcha. Spojrzał z zadumą na Soteryka, mrużąc: — Taki ładny chłopiec, a ma takie ostre zęby. — Soteryk zaczerwienił się; przypomniało to Markowi, że patriarcha potrafi zadbać o siebie w każdej słownej utarczce.

Pokój przyjęć Balsamona był jeszcze bardziej zawałony książkami niż komnata Apsimara w Imbros i w dodatku panował w nim o wiele mniejszy porządek. Tomy opierały się nierównymi stosami o sfatygowane krzesła, które wyglądały jak rupiecie z refektarza Akademii. Inne rozpychały półki, pokrywały stoły i robiły co mogły, by uczynić z tapczanów sprzęty nie nadające się do użytku przez zwykłą ludzką istotę.

Z paru miejsc nie zakrytych pergaminem wyzierało mnóstwo figurek z kości słoniowej, niektóre nie większe od paznokcia, inne wielkości ramienia dużego mężczyzny. Figurki były komiczne, sprośne, majestatyczne, wściekle, i jakie można sobie było tylko wyobrazić, a wszystkie wyrzeźbiono z zawiłą ekstrawagancją linii, obcą sztuce videssańskiej, z jaką dotychczas zetknął się Skaurus.

— Odkryliście mój haniebny nałóg, obawiam się — rzekł Balsamon, widząc jak oczy trybuna wędrują od jednej figurki do drugiej — i jeszcze jedną, przyznaję, że nieusprawiedliwioną, przyczy-

nę mojej niechęci do Yezd. One wszystkie powstały w byłym Królestwie Makuran; pod jego nowymi panami sztuka nie kwitnie. Właściwie niewiele kwitnie, z wyjątkiem nienawiści.

— Lecz nie przyszliście tutaj, by słuchać moich wywodów o rzeźbach z kości słoniowej — mówił dalej patriarcha porządkując pokój na tyle, by mogli usiąść. — A jeśli tak, to może rzeczywiście zostanę Hazardzistą; z czystej wdzięczności. — Jak zwykle, to co byłoby prowokacją w ustach innego człowieka, w jego nie niosło ze sobą żadnej obrazy. Rozpostarł ręce w geście powitania. — Powiedzcie mi, co mogę dla was zrobić?

Helvis, Soteryk i Marek spojrzeli po sobie, żadne nie mając ochoty zacząć. Po paru chwilach ciszy zdecydował się Soteryk i, jak zawsze, wygarnął wszystko bez osłonek.

— Otrzymaliśmy doniesienia, że mieszkańcy Videssos zamierzają dopuścić się na nas gwałtu z powodu naszej wiary.

— To byłoby niepomysłne, szczególnie dla was — zgodził się Balsamon. — A co ja mam z tym zrobić? I dlaczego prosicie właśnie mnie, bym coś z tym zrobił, jeśli już o to chodzi? Dlaczego miałbym cokolwiek robić? Ostatecznie, trudno powiedzieć, bym wyznawał waszą wiarę. — Wskazał na szatę patriarchy, rzuconą niedbale na krzesło.

Soteryk nabrał powietrza, by skłąć dostojnika za to, że okazał się takim głupcem o sztywnym karku, za jakiego go uważał, lecz Helvis dostrzegła błysk rozbawienia w oczach Balsamona, który uszedł uwadze jej brata. Ona również skinęła ręką, wskazując zmięte insygnia.

— Z pewnością twoja trzódka uszanuje urząd, jaki sprawujesz, jeśli już nic innego — powiedziała słodko.

Balsamon odrzucił głowę do tyłu i obejmując swój wielki brzuch obiema rękoma wybuchnął śmiechem, aż w oczach zaszklily mu się łzy. Kiedy opanował nieco spazmy śmiechu, powiedział: — Człowiek zapomina, jak ostre ostrze ma ironia; dopóki sam się nim nie zatnie — dodał, wciąż chichocząc. — Tak, oczywiście, wyleję wodę na te gorące głowy; poczęstuję ich taką dawką ekumenizmu, że się nią zadławią. Wasza zarozumiałość, jeśli już nic innego, zasługuje na to. Mamy gorszych wrogów niż ci, którzy mogą być naszymi przyjaciółmi.

Patriarcha skierował bystre spojrzenie swoich czarnych oczu na Marka. — A kim ty jesteś, milczącym uczestnikiem tej intrygi?

— Przyznaję. — W przeciwieństwie do obojga Namdalajczyków, Skaurus nie miał zamiaru dać się wciągać w słowną potyczkę z Balsamonem, wiedząc, że jej wynik może być tylko jeden.

Helvis uznała, że nie chce mówić ze skromności, nie z dyplomatycznego wyrachowania, i stanęła w jego obronie. — Marek zawiadomił nas o nadciągających kłopotach — powiedziała.

— Masz dobrych informatorów, mój milczący przyjacielu — rzekł do Rzymianina Balsamon — ale z drugiej strony, już to wiem, nieprawdaż? Uznałem, że taką właśnie odegrałeś rolę; do ludzi tak wyobcowanych jak wyspiarze swąd zamieszek nie dotarłby tak prędko. Sam pracuję nad tym kaza-

niem nie dłużej niż dzień czy dwa.

— Co? — krzyknął Marek, wyrwany ze spokoju, który postanowił zachować. Soteryk i Helvis po prostu gapili się na patriarchę z otwartymi ustami. Malrik niemal zasnął w ramionach swej matki; wyrwany z drzemki nagłym okrzykiem, zaczął płakać. Helvis uspokoiła go odruchowo, jednak większość swej uwagi wciąż skupiała na Balsamonie.

— Zaufajcie choć trochę memu rozumowi, moi młodzi przyjaciele. — Patriarcha uśmiechnął się. — Trudno usprawiedliwić kapłana, który nie wie, co myślą jego wierni. Wielu uważało, że trudno usprawiedliwić mnie w roli kapłana, ale nie z tego powodu.

Wstał, odprowadzając swych zdumionych gości do drzwi; jednak nie tych, którymi ich wprowadził. — Najlepiej, jeśli wyjdziecie tędy — powiedział. — Gennadios miał rację, jak to aż nadto często mu się zdarza. Rzeczywiście oczekuję wkrótce jeszcze jednego gościa; gościa, który mógłby zrobić kwaśną minę na widok towarzystwa, w którym przebywają niektórzy z was.

Gęsty żywopłot osłaniał boczne wejście przed widokiem od frontu rezydencji patriarchy. Spoglądając przez zbitą masę zieleni, Marek zobaczył Gennadiosa kłaniającego się Thorisinowi Gavrasowi. Balsamon miał rację; Sevastokrata nie byłby zadowolony, widząc trybuna w towarzystwie Namdalajczyków.

— Rację? — zawołał Soteryk, kiedy Skaurus zwrócił na to uwagę. Wyspiarz wciąż potrząsał głową ze zdumieniem. — Czy on się kiedykolwiek myli?

Trybun torował sobie drogę przez gęsty tłum otaczający Główną Świątynię Phosa. W ręku dzierżył mały rulon pergaminu, uprawniający go do zajęcia jednego z tak pożądaných miejsc wewnątrz samej Świątyni, z którego miał wysłuchać przemówienia Balsamona. Jakiś kapłan dostarczył pergamin do koszar Rzymian poprzedniego dnia; opatrzony był pieczęcią z błękitnego jak niebo wosku, co stanowiło przywilej samego patriarchy.

W swym cudzoziemskim stroju Marek ściągał na siebie wrogie spojrzenia części Videssańczyków, wśród których się przepychał. Niewspółmierna ich liczba zdawała się być miejskimi chuliganami, jakich Skaurus widział owego dnia, kiedy spotkał po raz pierwszy Phostisa Apokavkosa. Nigdy nie odnosili się życzliwie do obcokrajowców, lecz widok przepustki Rzymianina opatrzonej błękitną pieczęcią stanowił dla nich wystarczający dowód, że cieszy się on względami ich ukochanego patriarchy i nikt tak naprawdę nie przeszkadzał mu, kiedy posuwał się naprzód.

Videssańscy żołnierze stojący u podstawy szerokich schodów wiodących do Świątyni powstrzymywali gawieź przed zajęciem miejsc przysługujących posiadaczom przepustek. Widok kapitana najemników z zezwoleniem wstępu zakłopotał ich, lecz odsunęli się, by go przepuścić. Na szczycie schodów jakiś kapłan odebrał od niego pergamin i przekreślił jego nazwisko na liście zaproszonych osób.

— Oby słowa naszego patriarchy oświeciły cię — rzekł kapłan.

— Oświecają mnie za każdym razem, kiedy go słyszę — odparł Marek. Kapłan spojrział na niego ostro, podejrzewając szyderstwo ze strony tego niewątpliwie niewiernego, lecz Rzymianin mówił szczerze. Zrozumiawszy to, kapłan skłonił się oschle i machnięciem ręki zaprosił go do Głównej Świątyni.

Z zewnątrz Świątynia wydawała się Markowi raczej brzydka, wywierająca wrażenie jedynie przez swój ogrom. Przywykł do czystej, oszczędnej architektury, jaką Rzymianie zapożyczyli od Greków, i zaprojektowane z rozmachem przypory Świątyni wydały mu się niezgrabne, nieporządne i ciężkie. Jednak wewnątrz jej architekci stworzyli cudo i trybun stanął oniemiały zastanawiając się, czy nagle nie został przeniesiony do niebios, w jakich po śmierci spodziewają się znaleźć wyznawcy Phosa.

Podstawowy plan budowli przypominał plan głównej świątyni Phosa w Imbros: w jej centrum znajdowała się nakryta kopułą kolista przestrzeń, gdzie odprawiano obrzędy z rzędami ławek rozchodzącymi się w czterech głównych kierunkach. Lecz świątynia w Imbros wyglądała jak dzieło niezbyt uzdolnionego dziecka w porównaniu z tym pysznym klejnotem budownictwa.

Tym, co najpierw i przede wszystkim rzucało się w oczy był fakt, iż rzemieślnicy stolicy Imperium dysponowali bez porównania większymi i bogatszymi zasobami materiałów dla upiększenia swego dzieła. Ławki Głównej Świątyni zrobiono nie z praktycznego jesionu, lecz ze złocistego dębu, nawoskowanego i wypolerowanego do lśniącej doskonałości oraz wykładanego hebanem, pachnącym, czerwonym drzewem sandałowym, cienkimi warstwami półszlachetnych kamieni i całymi arkuszami łamiącej światło macicy perłowej. Pasma złotej blachy i srebrnej folii biegły nieprzerwanie przez Świątynię, rzucając miękkie snopy światła w najdalsze jej zakamarki. Przed centralnym ołtarzem stał tron patriarchy. Dla Balsamona sam ów tron powinien czynić z Głównej Świątyni miejsce rozkoszy, ponieważ jego wysokie oparcie tworzyły szeregi pokrytych płaskorzeźbami płytek z kości słoniowej. Skaurus znajdował się zbyt daleko, by rozpoznać szczegóły, lecz w tym miejscu z pewnością tolerowano tylko najprzyzwoitsze.

Próbował obliczyć, ile musiało kosztować wzniesienie tej niewiarygodnej budowli. Jednakże jego umysł, oszołomiony tym Pelionem cudów, nie potrafił zdobyć się na żadne sensowne przypuszczenie, a tylko dalej zdumiewał się niezwykłościami, o jakich donosiły jego oczy.

Dziesiątki kolumn, powleczonych błyszczącym mchem agatów, wypełniały szpalerami cztery wybiegające krzyżem spod kopuły skrzydła Świątyni. Akantowe kapitele kolumn, choć bardziej przeładowane ozdobami niż te znane Markowi z jego świata, harmonizowały z rozrzutnością Świątyni jako całości. Jej wewnętrzne ściany wyłożono najczystszy białym marmurem, turkusem, a od wschodu i zachodu bladoróżowym kwarcem i pomarańczowym, półprzezroczystym chalcedonem, które odtwarzały barwy nieba Phosa.

W połowie wysokości wschodniej ściany znajdowała się nisza zarezerwowana dla imperatorskiej

rodziny. Przepierzenie zdobione w zawile i drobne wzory odgradzało niszę, pozwalając Imperatorom i ich bliskim śledzić uroczystości w ukryciu przed wzrokiem tłumu.

Mimo wszystkich skarbów, tak hojnie zdobiących Świątynię, najbardziej przykuwała wzrok jej wspaniała konstrukcja. Kolumny, ściany, łuki, pomocnicze półkopuły — wszystko to wiodło gładko oczy ku wielkiej kopule, a ona była cudem sama w sobie.

Wydawała się unosić w powietrzu, od realnego, rozbrzmiewającego gdzieś daleko w dole świata, oddzielona migotliwymi snopami słonecznego światła, wlewającymi się do środka przez wiele okien, które dziurawiły jej podstawę. Tak ciężka z zewnątrz, oglądana od wewnątrz wydawała się lekka, niemal szybująca w powietrzu, pełna wdzięku — prawie że niematerialna. Znacznego wysiłku woli wymagało pomyślenie o straszliwej wadze kopuły i o masywnych sklepieniach i filarach, na których spoczywała. O wiele łatwiej było uwierzyć, że jest lekka jak bańka mydlana i tak delikatnie przytwierdzona do reszty Świątyni, że najslabszy powiew może zerwać ją i unieść, pozostawiając przybytek Phosa jedynie pod kopułą samego nieba.

Gra światła rzucanego przez tysiące płytek z jednostronnie powleczonego złotem szkła wzmagała wrażenie niematerialności kopuły i podkreślała nieziemskość wizerunku Phosa umieszczonego w najwyższym punkcie sklepienia. Videssańczycy przedstawiali swego boga na rozmaite sposoby: dobrego stwórcy, wojownika walczącego z ciemnością, promiennego młodzieńca, lub, tak jak tutaj, surowego, wszechmocnego sędziego. Ten Phos czuwał nad swym zgromadzeniem z poważną, jednak szlachetną twarzą i oczyma tak wszystkowidzącymi, że zdawały się śledzić Skaurusa, gdy przesuwał się pod nimi. Bóg Videssos unosił prawą rękę w geście błogosławieństwa, ale w swej lewej dzierżył księgę, w której zapisane były wszelkie dobre i złe uczynki. Sprawiedliwość z pewnością wymierzał, lecz czy okazywał miłosierdzie? Trybun nie potrafił znaleźć litości w tych wzbudzających grozę oczach.

Bardziej niż odrobinę przestraszony, Marek zajął swoje miejsce. Nie mógł się powstrzymać, by nie rzucać ukradkowych spojrzeń na ową surową wszechmoc zawisłą wysoko nad nim i zauważył, że twardolicy videssańscy szlachcice, którzy musieli widzieć tego Phosa setki razy, robią to samo. Był po prostu zbyt potężny, by go ignorować.

Świątynia napełniała się równomiernie; spóźnialscy narzekali zajmując miejsca odległe od centralnego ołtarza. Jednak podłoga opadała niemal niedostrzegalnie ku środkowi, tak że nikt nie był pozbawiony widoku ołtarza.

Soteryk wkroczył do środka z godnością równą dumie, z jaką obnosił swoją narzutę z wilczej skóry i obcisłe spodnie, które nie pozostawiały wątpliwości, że jest Namdalajczykiem. Zauważywszy Skaurusa, przesłał mu salut. Lecz nawet jego chłodne opanowanie zaczęło się rysować, kiedy spotkał się ze wzrokiem boga na kopule. Pod ciężarem tego spojrzenia jego dumnie wyprężone ramiona opadły nieco i usiadł z wyraźną ulgą. Marek nie miał do niego o to pretensji; nie byłby czło-

wiekim, gdyby nie poruszył go nagły widok tego wszechwiedzącego, majestatycznego zmarszczenia brwi.

Niski pomruk rozmów rozbrzmiewających w Świątyni zamarł, gdy chór mnichów w błękitnych szatach wmaszerował w szeregu na kolistą przestrzeń i ustawił się wokół ołtarza. W towarzystwie zebranych wiernych i przy akompaniamencie czystych tonów ręcznych dzwonek, rozbrzmiewających z tyłu za trybunem, mnisi zaśpiewali hymn ku chwale Phosa.

Marek musiał poprzestać na słuchaniu, bowiem nie znał słów. Słuchanie też niewiele mu dało, bowiem kantyczkę śpiewano w tak archaicznym dialekcie, że rozumiał tylko poszczególne słowa. Nieco znudzony, chciał niegrzecznie odwrócić głowę, by przyjrzeć się występowi ludzi grających na dzwonek; powstrzymał się przed tym z niechęcią. Muzycy prezentowali najwyższy kunszt; grali wystarczająco czysto i prosto, by ich muzyka przemówiła nawet do trybuna.

Grube ściany Głównej Świątyni tłumy wrzawę, jaką wzniecał tłum tłoczący się na zewnątrz. Gdy ucichły ostatnie słodkie tony hymnu, zgłęb tłum wzmożł się, potężniejąc jak ryk grzywaczy, kiedy przyplw zalewa plażę. Wszystkie pytania o przyczynę wzmagającego się tumultu zniknęły, kiedy Balsamon, poprzedzany przez parę wymachujących kadzidłami akolitów, wkroczył do Świątyni. Jego twarz promieniowała uśmiechami, kiedy szedł ku ołtarzowi.

Na widok patriarchy wszyscy powstali. Kątem oka Marek uchwycił poruszenie za przepierzeniem osłaniającym łożę rodziny Imperatora. Nawet Imperator składał hołd przedstawicielowi Phosa; przynajmniej tutaj, w Świątyni, w sercu ziemskiej domeny Phosa.

Trybun przysięgłby, że Balsamon mrugnął do niego, kiedy go mijał. W chwilę później nie był już tego taki pewien; z każdym krokiem, jaki patriarcha robił w stronę tronu, okrywała go coraz silniejsza aura godności. Nie sprzeciwiało się to postaci, jaką był prywatnie, a tylko uzupełniało w jakiś sposób jego osobowość.

Balsamon osunął się na tron patriarchy z bezgłośnym westchnieniem. Marek musiał sobie przypomnieć, że nie jest on młodzieńcem. Umysł i dusza patriarchy oznaczały się taką żywotnością, że z trudem pamiętało się o jego ciele, nie zawsze mogącym im dorównać.

Po niecałej minucie Balsamon dźwignął się z tronu; z szacunku dla niego cała zatłoczona świątynia pozostała na nogach. Uniósł obie ręce ku promieniującemu mocą wizerunkowi swego boga na sklepieniu i, wraz ze wszystkimi zgromadzonymi, zaintonował modlitwę, którą Marek po raz pierwszy usłyszał z ust Neilosa Tzimiskesa na północny wschód od Imbros, choć oczywiście wówczas jej nie rozumiał: — Wielbimy cię, Phosie, Panie o prawym i łaskawym umyśle, z łaski swej nasz obrońco, pilnujący, by wielka próba życia mogła być rozstrzygnięta na naszą korzyść.

Wśród głosów mruczających końcowe „amen” Skaurus usłyszał, jak Soteryk dodaje stanowczo: — No co stawiamy nasze dusze. — Z całej Świątyni pomknęły ku Namdalajczykowi wściekłe spojrzenia, lecz on odpowiedział im wyzywającym wzrokiem; to, że mieszkańcy Imperium postanowili

pozostawić swe wyzwanie wiary niekompletnym, nie oznaczało przecież, że on ma postąpić podobnie.

Balsamon opuścił ramiona; wierni ponownie zajęli swoje miejsca, choć ich szyje dalej wykręcały się, by widzieć siedzącego wraz z nimi zuchwałego heretyka. Marek oczekiwał, że patriarcha, bez względu na to, jak bardzo osobiście wyrozumiały w kwestiach wiary, zwróci publicznie uwagę na zuchwalstwo Soteryka.

I rzeczywiście, uczynił to, lecz wcale nie w sposób, jakiego spodziewał się Marek. Balsamon spojrzął na Namdalajczyka niemal z wdzięcznością. — Na co stawiamy nasze dusze — powtórzył spokojnie. Jego oczy śmigały to tu, to tam, mierząc się ze wzrokiem tych, którzy najgniewniej wpatrywali się w Soteryka. — Ma rację, wiecie? Stawiamy.

Patriarcha stuknęła delikatnie w oparcie swego tronu z kości słoniowej; w jego uśmiechu pojawiła się ironia.

— Nie, nie mówię herezji. W najbardziej dosłownym sensie, namdalajskie uzupełnienie naszego wyznania wiary jest prawdziwe. Wszyscy stawiamy nasze dusze na rzecz poglądu, że kiedyś w końcu dobro zwycięży zło. Gdyby nie to, byłibyśmy tacy jak Yezda, a ta Świątynia nie byłaby miejscem niezmaconego uwielbienia naszego boga, lecz kostnicą, gdzie krew płynęłaby tak, jak leje się nasze wino i zamiast kadzideł ku niebiosom unosiłby się cuchnący dym palonych ciał.

Rozejrzał się po zgromadzonych, rzucając wyzwanie, by zaprzeczono jego słowom. Niektórzy z jego słuchaczy poruszyli się na swoich miejscach, lecz nikt się nie odezwał.

— Wiem, co myślicie, a czego nie chcecie powiedzieć — ciągnął dalej patriarcha. — „Ten przeklęty barbarzyńca wcale nie to miał na myśli!” — Obniżył głos do burkliwego barytonu, parodiując sposób mówienia połowy videssańskich oficerów w Świątyni.

— I macie rację. — Wrócił do własnego głosu. — Lecz pytanie wciąż pozostaje: Kiedy my i mieszkańcy Księstwa kłócimy się o teologię, kiedy przeklinamy się i miotamy na siebie przez morze klątwy jak kamienie, kto zyskuje? Phos, którego wszyscy czcimy? Czy może Skotos, tam na dole w swym lodowatym piekle, śmiejący się na widok zmagających się ze sobą jego wrogów?

— Najsmutniejszy zaś z naszej niezgody jest fakt, iż nasze wyznania różnią się od siebie nie bardziej niż dwie ulicznice. Bo czyż nie jest to prawdą, że choć prawowierność jest rzeczywiście moją kochanką, to herezja jest niczym więcej jak kochanką mojego sąsiada? — Słuchacze Balsamona, każdy zgodnie ze swym temperamentem, wytrzeszczali na niego oczy pełne albo przerażenia, albo przejętego grozą podziwu.

Patriarcha znowu spoważniał. — Nie wyznaję wiary Phosa Hazardzisty, tak jak to czynią wyspirarze; wszyscy to wiecie, nawet ci, którzy za mną nie przepadają. Uważam tę koncepcję za dzieciinną i niedojrzałą. Lecz wedle naszych norm, Namdalajczycy są dziecinni i niedojrzali. I czy należy się dziwić, że wyznają doktrynę odpowiadającą ich charakterowi? I czy tylko z tego powodu, iż

uważam, że się mylą, muszę obarczać ich winą za niewybaczalne zbrodnie?

Jego głos zdawał się przemawiać do każdego z osobna, gdy przenosił wzrok z jednej twarzy na drugą. Wrzawa tłumu zgromadzonego przed Świątynią ucichła; do Marka dochodził donośny głos jakiegoś kapłana, odczytującego słowa patriarchy tam zgromadzonym.

Balsamon podjął na nowo. — Jeśli wiara mieszkańców Księstwa opiera się na prawdziwej pobożności; a w to żaden rozsądny człowiek wątpić nie może, i jeśli gwarantują nam swobodę naszych zwyczajów w naszym własnym kraju, to z jakiego powodu mamy się martwić? Czy będziemy kłócili się z naszym bratem, kiedy złodziej stoi pod drzwiami, szczególnie gdy ów brat przybył po to, by pomóc osaczyć złodzieja? Skotos z radością powita tego, który odpowie na to — tak.

— My, Videssańczycy też nie jesteśmy bez winy w tej bezsensownej kłótni o naturę naszego boga. Stulecia naszej kultury obdarzyły nas, obawiam się, zarozumiałością dorównującą naszej świętości. Jesteśmy znakomitymi logikami i wytykaczami błędów, kiedy sądzymy, że należy krytykować naszych sąsiadów, lecz, och! zaczynamy wrzeszczeć jak piętnowane cieleta, kiedy oni ośmielają się odwzajemnić nam tym samym.

— Moi przyjaciele, moi bracia, moje dzieci, jeśli rozewrzemy ramiona okazując miłosierdzie, nawet tylko taką odrobinę miłosierdzia, która nie uwłaczałaby godności poborcy podatków... — bez względu na powagę chwili, Balsamon musiał zażartować i nagły, pełen zaskoczenia śmiech z zewnątrz, kiedy lektor odczytywał ten fragment kazania potwierdził, że dowcip dotarł do uważnych słuchaczy — ...to z pewnością zdołamy wznieść się ponad dzielące nas różnice i spojrzeć na siebie z życzliwością. A nasiona wzajemnej życzliwości istnieją; gdyby ich nie było, czy ludzie z Namdalen przyplęnęliby do nas przez morze, by wspomóc nas w walce przeciwko naszemu wrogowi?

Patriarcha rozejrzał się po raz ostatni, prosząc, pragnąc, by jego słuchacze zrozumieli, że istnieje coś większego niż oni sami. Martwa cisza zaległa przez chwilę w Świątyni, nim rozległy się oklaski. I kiedy w końcu zabrzmiały, nie był to grzmot, którego Balsamon — i Skaurus — życzyliby sobie. Tutaj klaskał jakiś człowiek, tam inny, gdzie indziej jeszcze paru. Niektórzy mieli kwaśne miny nawet kiedy klaskali, oddając cześć patriarsze, lecz w najlepszym razie ze względu na niego; tylko tolerując jego posłanie.

Mavrikios nie należał do nich. Powstał i odsunął ozdobną, ażurową barierkę, głośno oklaskując Balsamona. U jego boku, również klaszcząc, stała Alypia. Natomiast nigdzie nie było widać Thorsina Gavrasa.

Marek znalazł chwilę, by zmartwić się nieobecnością Sevastokraty. Nie mógł sobie przypomnieć, by widział obu Gavrasów razem po owym niefortunnym spotkaniu przy kościach. Jeszcze jedna rzecz, która mogła dręczyć Imperatora — pomyślał. W bardzo niepomyślnym dla siebie czasie Mavrikios posprzeczał się ze swym porywczym bratem.

I nawet otwarte poparcie Imperatora nie zdołało przychylniej nastawić zebranych w Świątyni dostojników do kazania Balsamona. Takie samo zamieszanie, niepewne oklaski rozległy się wśród większego tłumu zgromadzonego

na zewnątrz. Marek przypomniał sobie, co powiedział Gorgidas; nawet patriarcha miał kłopoty, by zawrócić mieszkańców miasta z drogi, jaką obrali.

A jednak Balsamem odniósł pewien sukces. Kiedy Soteryk wyłonił się z Głównej Świątyni, nikt na niego nie powarkiwał. W rzeczy samej, parę osób zdawało się nawet wziąć do serca słowa Balsamona, gdyż krzyknęli „Śmierć Yezda!” do najemnika. Soteryk uśmiechnął się okrutnie i machnął mieczem w powietrzu, czym zdobył sobie szczerą, choć nieliczną, brawa.

Takie niepełne zwycięstwo nie zadowoliło go. Zwrócił się do Skaurusa, narzekając: — Myślałem, że kiedy patriarcha przemawia, wszyscy zrywają się, żeby zrobić, co mówi. I jakim prawem nazywa mieszkańców Księstwa dziećmi? Pewnego pięknego dnia pokażemy mu, jakimi jesteśmy dziećmi.

Marek ułagodził go w paru słowach. Nie spodziewając się żadnego polepszenia sytuacji, trybun cieszył się tym, co udało się zyskać.

Powróciwszy wieczorem do koszar, Skaurus zastanowił się poważnie nad Soterykiem. Zachowanie brata Helvis mogło budzić trwogę. Był, jeśli to w ogóle możliwe, jeszcze bardziej zawzięty i uparty niż Thorisin Gavras — a to już coś mówiło. Co gorsza, brakowało mu beztróskiego uroku Sevastokraty. Soteryk zawsze traktował wszystko ze śmiertelną powagą. A jednak nie można było odmówić mu odwagi, energii, zdolności wojskowych ani nawet rozumu. Trybun westchnął. Ludzie są tacy, jacy są, a nie tacy, jakimi chciałby ich widzieć, i głupotą było — szczególnie dla kogoś, kto uważał się za stoika — oczekiwać, że będą inni.

Niemniej jednak przypomniał sobie powiedzenie, które

w duchu zastosował do Soteryka, kiedy wyspiarz snuł wizję zdobycia Videssos na przekór całej imperialnej armii. Marek odszukał Gorgidasa. Zapytał Greka: — Kto powiedział, „Kogo bogowie chcą zniszczyć, temu najpierw odbierają rozum”? Sofokles?

— Miłosierny Zeusie, nie! — zawołał Gorgidas. — To mógł być tylko Eurypides, choć zapomniałem, z jakiej to sztuki. Kiedy Sofokles mówi o ludzkiej naturze, jest tak szlachetny, że chce się, żeby jego słowa były prawdziwe. Kiedy Eurypides odkrywa prawdę, to chce się, żeby jej nie mówił.

Trybun zadumał się, jaką też sztukę oglądał tego popołudnia.

XI IX

Wspólnota uczuć, którą Balsam on próbował tak mężnie stworzyć, rozpadła się, jak się okazało, pod naporem wściekłości oburzonego odłamu jego własnego duchowieństwa — mnichów. Wiedzę i współczucie Neposa podzielała zbyt nieliczna garstka; większość z butą obnosiła swój fanatyzm. Wyroili się ze swych klasztorów jak rozwścieczone pszczoły, by krytykować wezwanie swego patriarchy do spokoju i ponownie zagrzewać Videssos do nienawiści.

Marek wracał na czele dwóch manipułów Rzymian z pola ćwiczeń, kiedy stwierdził, że drogę blokuje mu wielki tłum, chciwie słuchający oracji jednego z takich mnichów. Mnich, wysoki, chudy mężczyzna o dziobatej twarzy i płonących oczach, stał na przewróconej na sztorc pace przed sklepem handlarza serów i wywrzaskiwał swoją nienawiść herezji do każdego, kto chciał słuchać.

— Ktokolwiek manipuluje kanonami naszej wiary, sprzedaje — nie, wydaje! — swoją duszę lodowatym otchłaniom piekieł! Plugawi obcokrajowcy swym gadaniem o zakładach przekręcają święte słowa samego Phosa. Próbują zwieść nas z drogi prawdy i wtrącić w lodowate objęcia Skotosa, a nasz wielki patriarcha — w swej wściekłości wręcz wypluł to słowo — podjudza ich i pomaga rozgłaszać posłanie demona.

— Albowiem powiadam wam, moi przyjaciele, nie ma, nie może być, żadnego kompromisu ze złem. Sprzedawczyki wiary prowadzą innych do zguby, którą wybrali dla siebie, i jest to tak pewne, jak to, że jedno zgniłe jabłko w beczce zepsuje całą resztę. Balsamem gada dziś o tolerancji; czy jutro będzie tolerował świątynię Skotosa? — W ustach mnicha tolerancja zabrzmiała jak coś nieprzyzwoitego.

Jego głos stał się jeszcze ostrzejszy. — Jeśli barbarzyńcy ze wschodu nie zechcą uznać prawdy naszej wiary, wypędźmy ich z miasta, powiadam! Należy się ich bać tak samo jak Yezda; bardziej, gdyż noszą maskę cnoty dla ukrycia swej herezji!

Słuchacze, których zgromadził, krzykami wyrazili swoje poparcie. Pięści uniosły się do góry; rozległy się okrzyki: „Brudni barbarzyńcy!” i „Zaraza na Namdalen!”.

— Jeśli podjudzi ich jeszcze trochę, może będziemy musieli porozbijać im głowy, żeby się przestało — rzekł Viridoviks do Marka.

— Jeśli to zrobimy, całe miasto stanie w ogniu — odpowiedział trybun. Lecz zauważył, jak jego ludzie wysuwają miecze z pochew i mocniej ujmują kije, które nieśli zamiast oszczepów.

Właśnie wtedy mnich spojrzał ponad głowami stojącego przed nim tłumu i spostrzegł nietutejsze stroje i uzbrojenie Rzymian. Prawdopodobnie nie rozpoznałby prawdziwego Namdalajczyka, gdyby go zobaczył, lecz w jego uniesieniu każdy obcokrajowiec nadawał się do tego, co chciał zrobić.

Wyciągnął długi, kościsty palec w stronę legionistów, krzyząc: — Patrzcie! Oto ludzie z Księstwa, którzy przyszedli mnie zarębać, bym nie rozgłaszał prawdy!

— Doprawdy, nie! — odkrzyknął Marek, gdy tłum zakreślił się, by spojrzeć na Rzymianina. Za sobą usłyszał

Gajusza Filipusa, który przestrzegł: — Bez względu na to, co zrobi ten motłoch, rozbiję głowę pierwszemu z was, który poruszy się bez rozkazu!

— Nie? — zapytał podejrzliwie mnich Skaurusa. Tłum zbliżał się powoli, gotując się do ataku.

— Nie rozpoznajesz nas? Jesteśmy grupą mierniczych, która ma zrobić obmiary pod świątynię Skotosa, o której mówiłeś. Nie wiesz, gdzie ona ma stać?

Mnich wytrzeszczył oczy jak wyjęty właśnie z wody leszcz. Niedoszli napastnicy znieruchomieli tam gdzie każdy stał, z otwartymi ustami gapiąc się na Rzymianina, porażeni jego bezczelnością. Skaurus obserwował ich uważnie; rozumieją żart, czy też spróbują rozerwać Rzymian na kawałki?

Najpierw jeden, potem drugi, potem jeszcze trzech ludzi w tłumie ryknęło śmiechem. W jednej chwili wszyscy wyli ze śmiechu; ludzie podbiegali do legionistów nie po to, by ich atakować, lecz by wychwalać dowcip ich dowódcy. Nagle opuszczony przez swych słuchaczy, mnich, rzuciwszy Skaurusowi ostatnie wściekłe spojrzenie, zszedł ze swego prowizorycznego podium i zniknął, by gdzie indziej głosić swoją nienawiść — co do tego Marek nie miał wątpliwości.

Jednak jego odejście wzbudziło niezadowolenie w ludziach, których zgromadził. Mnich zabałował ich i teraz oczekiwali tego samego od Skaurusa. Milczenie przeciągało się niezręcznie; wydawało się, że ten jeden dowcip, na który zdobył się trybun, zupełnie wyczyścił mu umysł.

Viridoviks we wspaniałym stylu przyszedł mu z pomocą, intonując pieśń mieszkańców pogranicza mówiącą o złodziejach bydła z Yezd. Tylko całkowity brak zainteresowania muzyką nie pozwolił Markowi zauważyć, jak wspaniałym głosem dysponował Viridoviks. Nawet jego galijski akcent nadawał jego mowie śpiewne brzmienie. Ktoś z tłumu miał przy sobie komplet fujarek; Celt, Videssańczycy i ci z Rzymian, którzy znali słowa, odśpiewali pieśń co sił w płucach.

Kiedy skończyli, któryś z mieszkańców miasta zaczął kolejną piosenkę, sprośną pijacką śpiewkę, którą wszyscy w tłumie zdawali się znać. Tym razem więcej legionistów mogło się przyłączyć; sam Marek spędził dość czasu w tawernach, by nauczyć się refrenu: „Wino upija, lecz ty jeszcze bardziej!”

Po jeszcze dwóch czy trzech pieśniach można było odnieść wrażenie, że Rzymianie i Videssańczycy są przyjaciółmi od zawsze. Zmieszali się ze sobą, wymieniając się nawzajem imionami i rząc anegdotami. Marek nie miał żadnych kłopotów w dalszej drodze do koszar. Parę tuzinów Videssańczyków towarzyszyło legionistom przez większość drogi; co parę domów ktoś intonował nową pieśń i wszyscy zatrzymywali się, by ją odśpiewać.

Gdy w końcu znaleźli się w budynku koszar, czterech ludzi Skaurusa odkryło, że od pasów odci-

ęto im sakiewki. Lecz nawet Gajusz Filipus, który w każdej innej sytuacji pognałby z powrotem do miasta, by ścigać złodziei, przyjął stratę z filozoficznym spokojem. — To dość niska cena za uniknięcie zamieszek — powiedział.

— Może dla ciebie — mruknął jeden z okradzionych legionistów, lecz tak cicho, że centurion nie zdołałby rozróżnić który. Prychnął i bezceremonialnie obdarzył wszystkich wściekłym spojrzeniem.

— Pewnie, i bystre było to, co powiedziałaś, żeby powstrzymać awanturę, nim jeszcze się zaczęła — rzekł Viridoviks do Skaurusa. — Ale czy wasza dostojność nie obawiała się, że to zupełnie rozjuszy tych nicponiów?

— Tak — przyznał Marek — ale nie sadziłem, żebyśmy znaleźli się w gorszej sytuacji, gdyby tak się stało. Nie było czasu, by przemówić im do rozsądku ani też większej nadziei, by to coś dało; nie przy tym szalonym mnichu, który ich podjudzał. Uznałem, że muszę nimi wstrząsnąć albo ich rozśmieszyć; na szczęście udało mi się zrobić jedno i drugie równocześnie. Sam mi odrobinę pomogłeś, wiesz przecież; doskonale śpiewasz.

— Nieźle, co? — przyznał z zadowoleniem Celt. — Nie ma nic lepszego od dobrej pieśni, żeby człowiek zapomniał o przyczynie swego gniewu. Videssańczycy też mają parę pięknych pieśni. Ta pierwsza, którą zaśpiewałem, przypomina mi taką jedną piosnkę, którą znałem u siebie w domu. Kradzież bydła jest u nas niemal czymś w rodzaju gry; wygrywający zdobywa szacunek innych i jest z tego dumny.

I bardzo lubimy o tym śpiewać.

— Albo lubiliśmy — dodał pośepnie. Na chwilę, co zdarzało się niezmiernie rzadko, odkrył przed Markiem swoją samotność, którą zwykle ukrywał tak dobrze.

Wzruszony trybun wyciągnął ręce i uściskał go serdecznie. — Jesteś wśród przyjaciół, wiesz przecież — powiedział. I była to prawda; nie było Rzymianina, który nie lubiłby ich dawnego wroga.

Viridoviks też to wiedział. — Tak — rzekł, szarpiąc za swe długie wąsy — i cieszę się z tego, lecz są chwile, kiedy to nie wystarcza. — Powiedział coś we własnym języku, a potem potrzęsął głową. — Nawet w moich uszach celtycka mowa zaczyna brzmieć dziwnie.

Zamieszki przeciwko Namdalajczykom zaczęły się tak naprawdę następnego dnia, wywołane — jak obawiał się tego Marek — przez mnichów. Ów dzień był dniem poświęconym Phosowi. Wierni maszerowali w procesjach ulicami miasta, niosąc pochodnie, pozłacane kule, drewniane tarcze, i śpiewali hymny na cześć swego boga. Jak o wiele później dowiedział się trybun, jedna z takich procesji przechodziła główną arterią Videssos — miejscowi, w swym upodobaniu do prostych nazw, nazywali ją Ulicą Środkową — kiedy natknęła się na małą świątynię, gdzie Namdalajczycy z okazji święta odprawiali własne obrzędy.

Widok grupy wyspiarzy wchodzącej do przybytku schizmy rozwścieczył mnichów prowa-

dzących procesję. — Precz z heretykami! — krzyknęli. Tym razem żadne żarty ani łagodne słowa nie odciągnęły uwagi ich zwolenników. Pochodnie Phosa podpaliły świątynię Phosa; wierny zabijał innego wiernego wierząc, że ten drugi jest ciemnym barbarzyńcą. A kiedy Namdalajczycy wypadli z kłębow dymu, odważni jak zawsze, również krew Videssańczyków pokryła czerwienią kocie łby Ulicy Środkowej.

Motłoch, czerpiący odwagę jedynie ze swej liczby, rozjuszył się jeszcze bardziej, kiedy padło kilku z jego szeregów. — Zemsty! — wrzasnęli i, nie pamiętając o własnej winie, ruszyli przez miasto, szukając Namdalajczyków, których mogliby zniszczyć. Tak jak to się dzieje z rozruchami, te również szybko przerosły swój pierwotny cel. Podpalenia, grabież i gwałt dawały zbyt wiele przyjemności, by ograniczać je do samych tylko wyspiarzy; wkrótce motłoch rozciągnął swoją zabawę również na rodzimych mieszkańców miasta. Niemniej jednak, mieszkańcy Księstwa pozostali głównym celem tłumu.

Dochodzące z oddali wycie motłochu oraz czarne słupy dymu strzelające w niebo zawiadomiły Rzymian o rozruchach. Skaurus dziękował wszystkim bogom, że miasto nie wybuchło aż do południa, które było czasem najbardziej czczonym przez wyznawców Phosa. Wstający wcześniej legionieści zdążyli skończyć musztrę i wrócić do pałacowego kompleksu, nim rozpętała się burza. Mogliby znaleźć się w tarapatach, uwięzieni w labiryncie uliczek, który biorący udział w zamieszkach znali bez porównania lepiej od nich.

Początkowo Skaurus uważał, że zamieszki nie rozprzestrzenia się, podobnie jak te, które wybuchły po jego spotkaniu z czarną magią Avshara. Kilka batalionów miejscowych żołnierzy wystarczyło, by stłumić tamte rozruchy. Trybun obserwował Videssańczyków wkraczających teraz do akcji, uzbrojonych na tę okazję w maczugi i włócznie bez ostrzy. Po dwóch godzinach wrócili w nieładzie, wlokąc ze sobą poległych i rannych. Ich osmolone dymem twarze wyrażały tępe niedowierzanie. Poza pałacowym kompleksem, Videssos znajdował się w rękach motłochu.

Wysłanie niewystarczającej siły przeciwko tłumowi okazało się gorsze niż niewysłanie żadnej. Wyjąca tłuszcza, podniesiona na duchu łatwym zwycięstwem, stała się jeszcze zuchwalsza. Marek wdrapał się na dach koszar Rzymian, by zobaczyć ile się da z toczących się w mieście zmagania. Obserwował teraz grupki uzbrojonych w byle co mężczyzn, przepychające się przez bujne ogrody dzielnicy pałacowej w poszukiwaniu łupu lub ofiar.

Wciąż odległy, lecz straszliwie wyraźny, dochodził do jego uszu bojowy okrzyk motłochu: — Wykopać kości Namdalajczyków! — Ów okrzyk należał do pospolitego żargonu miejskich szumowin; kiedy ktoś naraził się miejscowym złodziejom lub stręczycielom, życzyli mu, by nie, zasnął spoczynku w grobie. Gdyby Rzymianin potrzebował jeszcze jakichś informacji, ten okrzyk powiedziałby mu, kim byli biorący udział w rozruchach.

Skaurus rozstawił manipuł uzbrojonych legionistów wokół koszar swoich żołnierzy. Czy to ob-

nażona stal, którą dzierżyli, odstraszyła tłum, czy też po prostu Videssańczycy nie mieli nic do Rzymian, w każdym razie nikt ich nie niepokoił.

Słońce zaszło w krwawej łunie; wydawało się czymś posepnie właściwym dla symbolu Phosa, że został zmieniony w kulę krwi znikającą w gęstym dymie.

Płomienie, jak smocze języki, lizały nocne niebo. Na swej wyspie spokoju Rzymianie spędzali godziny ciemności w pełnej gotowości bojowej. Marek nie sądził, by Videssańczycy — wnioskując z dotychczasowej praktyki — zechcieli skorzystać z jego ludzi do stłumienia zamieszek, lecz nawet w przybliżeniu nie był tak pewien, czy motłoch pozostawi legionistów w spokoju.

Trybun pozostał na nogach przez większość nocy. Dawno minęła północ, nim zdecydował, że koszary prawdopodobnie nie zostaną zaatakowane. Położył się na swoim sienniku, by skorzystać z kilku godzin niespokojnego snu.

Jeden z jego żołnierzy obudził go na długo przed świtem. — O co chodzi? — zapytał niewyraźnie, na wpół przebudzony. Przypomniawszy sobie wszystko, poderwał się na nogi. — Zostaliśmy zaatakowani?

— Nie, panie. Jest niemal zbyt spokojnie, zważywszy na piekło, które otacza nas zewsząd. Nephon Khoumnos mówi, że chce z tobą rozmawiać; mój oficer uważa, że wydaje się to na tyle ważne, bym cię obudził. Jeśli jednak chcesz, odeślę go.

— Kto tam jest na zewnątrz? Glabrio?

— Tak, panie.

Marek ufał osądowi i dyskrecji tego spokojnego, młodego centuriona. — Zobaczę się z Khoumnosem — powiedział — lecz jeśli możesz, zatrzymaj go na parę minut, żebym mógł dojść do siebie.

— Zadbam o to — obiecał legionista i wyszedł pospiesznie. Skaurus spryskał twarz wodą z dzbanka stojącego przy jego poślaniu, przeczesał zmierzwione przez sen włosy i spróbował strzepnąć z płaszcza nieco pomiętych fałd, nim go nałożył.

Okazało się, że mógł całkowicie pominąć te przygotowania, nawet tak pobieżne, jak były. Kiedy rzymski wartownik wprowadził Nephona Khoumnosa do sali koszar, jedno spojrzenie wystarczyło, by stwierdzić, że videssański oficer znajduje się w ostatnim stadium wyczerpania. Jego zwykle rzeński krok zmienił się w rozkołysany, niemal pijany chód; wydawało się, że przemocą trzyma uniesione powieki. Z głębokim westchnieniem ulgi opadł na podsunięte mu przez Rzymian krzesło.

— Nie, żadnego wina, dziękuję ci. Jeśli się napiję, zasnę, a na to nie mogę sobie jeszcze pozwolić. — Ziewnął rozdzierająco, równocześnie przecierając kłykciami zaczerwienione oczy. — Na Phosa, co za noc! — mruknął.

Siedział tak, nie wdając się w szczegóły, więc Marek ponaglił go: — Jak mają się sprawy tam, na zewnątrz?

— A jak sądzisz? Źle, bardzo źle. Wolałbym już iść nagi przez las pełen wilków niż dzisiejszej

nocy jako uczciwy obywatel przez ulice tego miasta. To, że zostaniesz obrabowany, jest najlepszą rzeczą, na jaką możesz mieć nadzieję; reszta jest tylko gorsza.

Gajusz Filipus podszedł akurat w tej chwili, by to usłyszeć. Ze swoją zwykłą bezceremonialnością rzekł: — Więc na co czekacie? To tylko rozwydrzony motłoch, nie żadna armia. Masz dość ludzi, by go zgnieść w ciągu godziny.

Khoumnos skrzywił się w swej kolczudze, jak gdyby nagle jej ciężar okazał się nie do zniesienia. — Chciałbym, żeby sprawy miały się tak prosto, jak ty je widzisz.

— Lepiej, bym się odwrócił — rzekł Gajusz Filipus — bo coś mi się wydaje, że zaraz mnie wypieprzysz.

— W tej chwili nie zdołałbym zrobić tego najwspanialszej dziwce w mieście, a cóż dopiero takiej szpetnej, starej małpie jak ty. — Khoumnos szczerknął śmiechem na widok miny starszego centuriona, lecz natychmiast znowu spowaźniał. — Nie bardziej mógłbym wypuścić armię na miasto. Po pierwsze, zbyt wielu żołnierzy nie bardzo by się starało powstrzymać tłum przed atakami na Namdalajczyków; sami nie przepadają za wyspiarzami.

— To przykre słyszeć, że jedna część waszej pieprzonej armii nie chce pomóc drugiej — zauważył Gajusz Filipus.

— Być może, ale przez to nie staje się to mniej prawdziwe. Choć ten kij ma dwa końce: mieszkańcy Księstwa ufają videssańskim żołnierzom niewiele więcej, niż jakimkolwiek innym Videssańczykom.

Skaurus miał ochotę sam się odwrócić; domyślił się, do czego zmierza Nephon Khoumnos, i nie podobało mu się to. Następne słowa imperatorskiego oficera potwierdziły obawy trybuna. — W całej stolicy są tylko dwie grupy żołnierzy, które cieszą się szacunkiem zarówno mieszkańców miasta jak i Namdalajczyków: Halogajczycy i twoi ludzie. Chcę was wykorzystać jako tarczę do oddzielenia motłochu od wyspiarzy, podczas gdy oddziały videssańskie opanują całe miasto. Jeśli wy i Halogajczycy otoczycie kordonem główne zarzewie, ogień zamieszek powinien szybko wygasnąć.

Trybun nie miał najmniejszej ochoty, by jego ludzi wykorzystano do tłumienia ulicznych walk, które rujnowały miasto. Przyswoił już sobie pierwszą lekcję dowódcy najemników: jego ludzie stanowili jego kapitał, którego nie należało trwonić lekką ręką ani rozdawać po trosze w drobnych, bezsensownych awanturach w zaułkach miasta. Niestety, to co proponował Khoumnos miało sens. Bez podniecającego polowania na heretyków, rozruchy dla samych rozruchów stracą wiele ze swego powabu. — Zatem rozkazujesz nam wkroczyć do akcji? — zapytał.

Gdyby Nephon Khoumnos odpowiedział mu władczy „tak”, Marek prawdopodobnie odmówiłby mu otwarcie — przy zamieszaniu panującym w mieście, Khoumnos nie zdołałby wymusić spełnienia rozkazu. Lecz Videssańczyk był starym żołnierzem i znał zwyczaje najemników lepiej niż

sam Skaurus. Poznał też dobrze trybuna.

— Rozkazać wam? — zapytał. — Nie. Gdybym zamierzał wydać wam rozkazy, mógłbym przesłać je wam przez spathariosa. Przyszedłem prosić o przysługę, ze względu na Imperium. Balsamon wyraził to lepiej niż ja; walka przeciwko Yezd usuwa w cień wszystko inne. Jest to prawda bez względu na wszystko, co mówią ci idioci mnisi. Wojna z Yezd nie może się toczyć bez pokoju tutaj. Czy pomożesz mi doprowadzić do pokoju?

— Niech cię — rzekł ze znużeniem Skaurus, trafiony w czuły punkt swego poczucia obowiązku. Są chwile — pomyślał — kiedy odrobina prostego egoizmu byłaby o wiele przyjemniejsza niż odpowiedzialność, którą wpoił w niego trening. Zastanowił się, ile ze swych ograniczonych zasobów ludzkich może przeznaczyć do tego zadania.

— Czterystu ludzi — zdecydował. — Dwadzieścia oddziałów po dwudziestu żołnierzy. Żadnych mniejszych jednostek, chyba że moi oficerowie tak rozkażą. Nie postawię na każdym rogu samotnego kawalerzysty, żeby młode rzezimieszki próbowały na nich swego szczęścia.

— Załatwione — powiedział natychmiast Khoumnos —

1 dziękuję ci.

— Gdybym powiedział, że twoja wizyta sprawiła mi radość, skłamałbym. — Przechodząc na łacinę, Skaurus zwrócił się do Gajusza Filipusa. — Pomóż mi znaleźć ludzi, których będę potrzebował. Trzymaj tutaj wszystko w pełnej gotowości, kiedy odejdziemy, i w imię bogów nie narażaj naszych ludzi na dalsze niepotrzebne straty, gdyby nam przytrafiło się coś złego. Jeśliby się tak stało, wciąż pozostanie ci więcej niż kohorta; to licząca się siła w tym świecie, który nie ma pojęcia o prawdziwej piechocie.

— Hola, tam. Co to za gadanie o tym, że nie wrócisz i o tym, co mam robić, gdyby tak się stało? — zapytał starszy centurion. — Sam pójdę z wami.

Marek potrząsnął głową. — Nie tym razem, przyjacielu. Ja muszę iść; to moje rozkazy pakują nas w to i nie poślę ludzi w taką kaszę bez siebie. I tak zbyt wielu oficerów znajdzie się w mieście; musi tu zostać ktoś, kto będzie umiał zebrać wszystko razem, gdyby paru z nas nie wróciło. Obawiam się, że wypada na ciebie. Na Jowisza, nie utrudniaj tego jeszcze bardziej; nie ośmielę się narażać nas obu jednocześnie.

Na twarzy Gajusza Filipusa dyscyplina zmagająca się z pragnieniem i w końcu pokonała je. — Tak, panie — powiedział, lecz jego bezbarwny głos podkreślał zamiast ukrywać zawód, jakiego doznał. — Wybierzmy zatem ludzi.

Khounnos, trybun i Gajusz Filipus naradzali się przyciszonymi głosami, lecz gdy już wybrano ludzi, którzy mieli wyjść do miasta i zaczęli się oni zbierać, wszelka nadzieja na spokój prysnęła. Tak jak obawiał się tego Skaurus, Viridoviks zapalał gwałtownym pragnieniem, by pójść do miasta i walczyć.

Trybun musiał powiedzieć mu — nie. — Chcą naszej pomocy, by stłumić zamieszki, a nie rozpaść je jeszcze bardziej. Znasz swoje usposobienie, Viridoviksie. Powiedz mi szczerze, cieszy cię to zadanie?

Marek musiał oddać sprawiedliwość wielkiemu Galowi; Viridoviks zastanowił się nad sobą, żując w zadumie wąsy. — Zaraza na ciebie, za to, że jesteś okrutnym, twardym człowiekiem, Marku Emiliuszu Skaurusie, i jeszcze jedna za to, że masz rację. Jakież to zimny świat, gdzie człowiek sam uznaje się za zbyt krewkiego, by można mu powierzyć rozbijanie głów.

— Możesz tu zostać i poawanturować się ze mną — rzekł Gajusz Filipus. — Ja też nie idę.

— Co? Ty? — Viridoviks wytrzeszczył na niego oczy. — Tfu, człowieku, to byłoby wymarzone zajęcie dla ciebie — jak na dobrego żołnierza, jesteś najnudniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek zdarzyło mi się spotkać.

— Syn capa — warknął centurion i ich stara wojna rozgorzała na nowo. Słuchając ich, Skaurus uśmiechnął się w duchu; wiedział, że każdy z nich wyładuje na drugim cześć swego rozgoryczenia.

Kiedy wybrani legionieści przygotowywali się do akcji, trybun zapytał Khoumnosa: — Gdzie chcesz nas posłać?

Videssańczyk zastanowił się nad tym. — Mnóstwo niedawno przybyłych Namdalajczyków znajduje się w południowej dzielnicy portowej, szczególnie wokół małego portu; wiesz, portu Kontoskalion. Z doniesień, jakie otrzymuję, wynika, że toczą się tam gwałtowne walki; mieszkańcy miasta mordują wyspiarzy, a wyspiarze odpowiadają tym samym, gdy przewaga znajduje się po ich stronie. To ropiejący wrzód, który trzeba oczyścić.

— To po to tam będziemy, prawda? — rzekł Marek. Nawet nie próbował udawać entuzjazmu, którego nie czuł. — Dzielnica portowa, powiadasz? Na południowy wschód stąd, tak?

— Tak — przytaknął Khoumnos. Zaczął coś mówić, lecz trybun mu przerwał.

— Dość gadania. Teraz chcę tylko skończyć tę bezwartościową robotę. Im szybciej zaczniemy, tym szybciej skończymy. Więc zabierzmy się do tego. — Wymaszerował długim krokiem z koszar w mrok przedświt.

Kiedy legionieści stanęli w postawie na baczność, wyszedł na czoło kolumny. Czuł, że musi udzielić swoim ludziom paru przestróg, nim wprowadzi ich do akcji. — Pamiętajcie, zostaliście odkomenderowani do służby przy tłumieniu zamieszek, nie do walki, mam nadzieję. Chcemy zaprowadzić porządek jak najmniejszą siłą, nie największą, żeby rozruchy nie skierowały się przeciw nam. Jeśli ktoś rzuci w was zgniłą główką kapusty, w odpowiedzi nie rzucajcie w niego oszczepem.

— To jedna strona medalu. Oto druga: jeśli wasze życie znajdzie się w niebezpieczeństwie, nie poświęcajcie go; jeśli staniecie przed wyborem: ja albo awanturnik, pamiętajcie, że wasze życie jest dziesięć tysięcy razy ważniejsze, więc nie podejmujcie żadnego głupiego ryzyka. Jesteśmy wszystkimi Rzymianami, jacy tutaj są, i wszystkimi Rzymianami, jacy tutaj kiedykolwiek będą.

Wykonajcie swoje zadanie; zróbcie to, co musicie zrobić, lecz korzystajcie przy tym ze swoich głów.

Dając te rady zdawał sobie sprawę, że są dwuznaczne, lecz wiernie odzwierciedlały mieszane uczucia, jakie wywołała w nim zlecona mu przez Khoumnosa misja. Kiedy słońce weszło czerwono wśród spowijających miasto dymów, powiedział: — Ruszajmy — i wyprowadził swych ludzi z koszar, z kompleksu pałacowego i szybkim marszem wprowadził do rozdieranego ulicznymi wałkami serca miasta.

Niemal zawsze delectował się pięknem wczesnych ranków Videssos, lecz nie dzisiaj. Dym gryzł w oczy, wypełniał cuchnącym odorem nozdrza. Zamiast skwiru mew i ptasich trelów w mieście rozlegały się — zagłuszające wszystkie inne dźwięki — krzyki łupieżców, brzęk tłuczonego szkła i trzask pękających desek, towarzyszące plądrowaniu domów i sklepów, a niekiedy huk walącego się, strawionego ogniem budynku.

Drogę do portu Kontoskalion legionieści przebyli nie rozdzielając się, w jednym oddziale. Skaurus nie miał zamiaru narażać swoich ludzi wcześniej nim będzie musiał i liczył na to, że widok czterystu uzbrojonych, chronionych tarczami wojowników maszerujących ulicą wystarczy, by jakikolwiek motłoch dobrze się zastanowił, nim zdecyduje się z nimi zdrzeć.

Okazało się, że miał rację; oprócz przekleństw i paru ciśniętych w ich stronę kamieni, nikt nie przeszkadzał Rzymianom, kiedy maszerowali. Lecz stanowili maleńką, ruchomą banieczkę porządku dryfującą wśród chaosu. Videssos, jak się wydawało, zrezygnował z ograniczeń prawa na rzecz starszej, prymitywniejszej zasady: silniejszym, szybszym, sprytniejszym przypadały łupy.

Tam, gdzie znajdowano garstkę Namdalajczyków do upolowania, rozruchy traciły część ze swej dzikości i stawały się jakimś dziwnym karnawalem. Trzej młodzieńcy wyciągali obciążone aksamitem poduszki z jakiegoś sklepu i ciskali je w wyciągnięte ramiona czekającego, wznoszącego radosne okrzyki tłumu. Marek zobaczył mężczyznę w średnim wieku i kobietę wlokących ciężkie łoże w głąb bocznej uliczki, przypuszczalnie w stronę ich domu.

Jakaś młodsza para, wykorzystując swoje ubrania jako materac, kochała się na szczycie kupy gruzu; ich również oklaskiwała wniebowzięta widownia. Rzymianie przeszli obok wytrzeszczając oczy i pokrzykując z takim samym entuzjazmem jak wszyscy Videssańczycy. Swoją uciechę wyrazili kocią muzyką, uderzając tarczami o nagolenniki. Kiedy para skończyła, poderwała się na nogi i pierzchnęła, zapominając o ubraniach.

W morzu szaleństwa zdarzające się sporadycznie wyspy normalności były dziwne same w sobie. Marek kupił bułkę z kielbasą z wieprzowiny od sprzedawcy zajmującego się swym handlem tak, jak gdyby wokół nic się nie działo.

— Nie miałeś żadnych kłopotów? — zapytał trybun, podając mężczyźnie miedziaka.

— Kłopotów? A dlaczego miałbym mieć? Przecież wszyscy mnie znają. Największy problem

mam z wydaniem reszty z tych wszystkich sztuk złota, które dzisiaj dostałem. Wedle mnie takie coś od czasu do czasu dobrze robi miastu; pobudza koniunkturę, wzmacnia handel, że tak powiem. — I odszedł, głośno zachwalając swoje towary.

Dwie przecznice dalej na południe, Rzymianie natknęli się na kilka trupów rozciągniętych na kocich łbach. Z tego, co można było dostrzec pod szerniałą, zakrzepłą warstwą krwi, która ich okrywała, niektórzy zabici byli Namdałajczykami, inni zaś mieszkańcami miasta. Okrywało ich niewiele więcej niż własna krew; wszystkie ciała, zarówno obcych jak i obywateli miasta, zostały obdarte w ciągu nocy.

Wkrótce do uszu Rzymian dotarły odgłosy walki. — Biegiem! — zawołał Skaurus. Jego ludzie skoczyli naprzód. Kiedy wybiegli za róg, zobaczyli czterech Namdałajczyków, dwóch z nich uzbrojonych tylko w noże, którzy usiłowali powstrzymać przynajmniej trzykrotnie liczniejszą grupę napastników. Na ziemi leżał jeszcze jeden wyspiarz oraz dwóch odzianych w łachmany Videssańczyków.

Ich śmierć wyraźnie pozbawiła napastników ochoty do walki. Choć ci z tyłu krzydzeli „Naprzód!”, ich towarzysze z przodu ociągali się, nagle niezwykle ostrożni w obliczu zawodowych żołnierzy z gotową do użycia bronią.

Videssańczycy krzyknęli z przerażenia, kiedy ujrzeli i usłyszeli pędzących na nich Rzymian. Odwrócili się, by umknąć, porzucając broń, która przeszkadzałaby im w ucieczce.

Mieszkańcy Księstwa radośnie powitali swych nieoczekiwanych wybawicieli. Ich dowódca przedstawił się jako Utprand, syn Dagobera. Marek widział go po raz pierwszy; trybun domyślił się, że musi być jednym z niedawno przybyłych namdałajskich najemników. Jego wyspiarski akcent był tak silny, że mówił niemal jak Halogajczyk. Lecz jeśli zrozumienie niektórych odcieni znaczenia mogło sprawić kłopot trybunowi, to nie miał żadnych wątpliwości, czego chciał Utprand.

— Nie gonisz tych diabłów? — zapytał. — Zdążyli zabić trzech moich dzielnych chłopców; mieliśmy nieszczęście znaleźć się w pobliżu ich Głównej Świątyni, kiedy rzucili się na nas, i od tego czasu przekradaliśmy się cuchnącymi zaułkami, próbując dołączyć do naszych towarzyszy. Skończmy z nimi, powiadam! — Pozostali wyspiarze, którzy wciąż trzymali się na nogach, warknęli potakująco.

Po pewnych rzeczach, które zobaczył w Videssos, Marka kusiło, by wypuścić swych ludzi jak stado wilków. Choć nic by to nie dało — a ostatecznie wyrządziłoby niepowetowaną szkodę — byłoby takie satysfakcjonujące! W tym wybuchu nienawiści mieszkańcy miasta postradali ogromną część szacunku, który nauczył się czuć do ich państwa. Widział też, jak jego legionieści aż dygoczą z pragnienia, by spuścić ich ze smyczy.

Potrząsnął głową z zalem, lecz stanowczo. — Zostaliśmy przysłani, by uspokoić sytuację, a nie rozjątrzyć ją, i aby utworzyć kordon pomiędzy wami a Videssańczykami, tak żeby rozruchy wypali-

ły się same. Tak musi być, sam wiesz — powiedział, przedstawiając Utprandowi ten sam argument, jakiego użył dyskutując z Soterykiem. — Jeśli imperialna armia wystąpi przeciwko wam razem z motłochem, jesteście zgubieni. Czy chcesz, żebyśmy zachęcili ich do tego?

Utprand zmierzył go wzrokiem; jego oczy wydawały się blade w wymęczonej, osmolonej dymem twarzy. — Nigdy nie sądziłem, że mógłbym chcieć znienawidzić rozsądnie myślącego człowieka. Bądź przeklęty za to, że masz rację; skręca mi wnętrzności jak zielone jabłko, którym jesteś.

On i dwaj jego ludzie podnieśli z ziemi swego poległego towarzysza i jego sztylet, którym na próżno starał się obronić. Marek zastanowił się, gdzie mógł się podziąć miecz poległego żołnierza i kto zanieśie sztylet jego krewnym. Cała trójka, dźwigając swe brzemie, ruszyła do obozu rozbitego w porcie. Czwarty wyspiarz, Grasulf, syn Gisulfa, został z Rzymianinami, by wskazać najkorzystniejsze miejsca, które należało obsadzić żołnierzami w celu odcięcia portu Kontoskalion od reszty miasta.

Trybun wystawił posterunki składające się z dwóch drużyn w miejscach zalecanych przez Grasulfa; większość znajdowała się na głównych ulicach biegnących z północy na południe. Skaurus nie miał powodów, by narzekać na wybrane przez Grasulfa miejsca. Namdalajczyk doskonale zdawał sobie sprawę, jakie pozycje najlepiej nadają się do obrony.

Tak jak przewidywał, że może będzie musiał to uczynić, Marek zezwolił swoim podoficerom na rozdzielenie ich drużyn w celu odstawienia większego terenu. — Ale nie chcę, by jakakolwiek grupa liczyła mniej niż dziesięciu ludzi — przestrzegł ich — i jeśli już podzielicie drużyny, mają pozostać w zasięgu głosu, żeby w razie potrzeby mogły szybko się połączyć.

Rzymianie wytrwale torowali sobie drogę na zachód. Przeszli przez dzielnicę małych sklepików, tawern i stłoczonych, niechlujnych domów i wkroczyli do dzielnicy zamieszkałej przez kupców, którzy dorobili się swoich fortun w portach Videssos i dalej mieszkali w pobliżu. Ich wspaniałe siedziby oddzielały od krętych uliczek trawniki i ogrody, a nadto strzegły wysokie parkany albo ciemne żywopłoty. Nie zawsze jednak zdołały one ochronić rezydencje kupców przed furją motłochu. Z kilku pozostały tylko dymiące, splądrowane zgliszcza. Innym, choć wciąż stały, brakowało niemal wszystkich szyb w oknach. Wiele otaczała nieomylna atmosfera opuszczenia. Ich właściciele, wiedząc jak łatwo gniew tłumu może przenieść się z obcokrajowców na po prostu bogatych, nie chcieli ryzykować i na wszelki wypadek wynieśli się na przedmieścia lub zachodni brzeg Końskiego Brodu.

Do czasu, gdy przebyli większość drogi wiodącej przez tę część miasta, przy Marku pozostały zaledwie dwie drużyny legionistów. Jedną umieścił na posterunku pomiędzy świątynią Phosa, zbudowaną wystarczająco solidnie, by mogła występować w roli fortecy, a murowanym ogrodzeniem jakiejś rezydencji. Wraz z Grasulfem i ostatnią dwudziestką legionistów posuwał się dalej, szukając odpowiedniego miejsca na zamknięcie kordonu. Szum morza, nigdy nie cichnący w

Videssos, rozbrzmiewał wyraźnie w jego uszach; właściwa końcowa pozycja powinna oddzielić od siebie Videssańczyków i Namdalajczyków.

Miejsce szybko się znalazło. W nocy motłoch rozwalił na kawałki mur otaczający posiadłość jakiegoś bogacza i przedostał się do środka, by splądrować jego willę. Kolczasty żywoplot po drugiej stronie ulicy wciąż stał nienaruszony. — Możemy wznieść tutaj barykadę — powiedział trybun — i utrzymać to miejsce bez względu na to, z której strony pojawiają się kłopoty.

Jego ludzie zabrali się do pracy ze zwykłą rzymską sumiennością; wkrótce wał z potrzaskanych cegieł i kamieni rozciągnął się w poprzek ulicy. Marek przyjrzał się barykadzie z niemałą dumą. Walcząc pod jej osłoną—pomyślał — legionści mogliby powstrzymać wielokrotnie liczniejszych napastników.

Ta myśl nasunęła mu jeszcze jedną. Pozycja zajęta właśnie przez Rzymian była tak silna, że utrzymanie jej doprawdy nie wymagało dwudziestu ludzi. Mógłby pozostawić tutaj dziesięciu, a z resztą przedostać się jeszcze bliżej morza. To powinno być dość bezpieczne — pomyślał. Ta część miasta, w przeciwieństwie do ogarniętej zamieszkami dzielnicy, którą przebył wcześniej, wydawała się opuszczona przez ludzi. Większość prawowitych właścicieli zdążyła uciec, a po przejściu fali grabieży ani mieszkańcy miasta, ani przybysze z Księstwa nie korzystali zbyt często z tych ulic, by dopaść się.

Podniesiony na duchu tym spostrzeżeniem, Marek podzielił swój mały oddział na dwa. — Znam odpowiednie miejsce dla ciebie — powiedział mu Grasulf. Poprowadził Rzymian do skrzyżowania pomiędzy czterema rezydencjami. Każda sięgała solidnym, murowanym ogrodzeniem do skrajów ulicy. Do morza było stąd już bardzo blisko; wraz z nieustannym hukiem wody rozbijającej się o nadbrzeże, do uszu trybuna dochodziły plaśnięcia poszczególnych fal, uderzających o statki i pale portu Kontoskalion.

W mieście wciąż wrzało. Nowe słupy dymu wzbijały się w południowe niebo, a z oddali dochodziły odgłosy walki. Skaurus zastanawiał się, czy motłoch walczy z Namdalajczykami, z regularną armią Videssos, czy też sam z sobą. Zastanawiał się też, ile jeszcze czasu i ofiar trzeba, nim Nephon Khoumnos — lub, po sprawiedliwości, sam Imperator — zdecyduje się dać niesfornemu pospólstwu stolicy lekcję, którą zapamięta na długo.

W tej chwilowej oazie spokoju łatwo było zapomnieć o takich rzeczach. Przez pierwsze dwie godziny Rzymianie stali na swoim posterunku w pełnej gotowości bojowej, lecz kiedy nie zetknęli się z niczym bardziej niebezpiecznym od zabłąkanego psa i szmaciarza, z wielkim workiem odpadków zarzuconym na plecy, trybun uznał, że nie stanie się nic złego, jeśli pozwoli im trochę się odprężyć. Podczas gdy pierwsza trójka legionistów stanęła na warcie, pozostali usiedli w wąskim cieniu południowego muru. Podzielili się jedzeniem i winem z Grasulfem. Namdalajczyk skrzywił usta nad ich kwaśnym winem, choć dla Skaurusa wciąż było zbyt słodkie.

Cienie zaczęły się wydłużać, kiedy odległy zgiełk dochodzący z innych punktów Videssos zabrzmiał nagle głośniej. Niewiele czasu zajęło Markowi stwierdzenie, że doszło do nowego wybuchu, dokładnie na wschód od jego posterunku — i że, sądząc z narastającego hałasu, tumult z niepokojącą szybkością przesuwa się na zachód.

Na jego rozkaz legioniści poderwali się na nogi, z gderaniem porzucając chłodny cień na rzecz palącego słońca. Jak wszyscy dobrzy żołnierze, szybko sprawdzili swój ekwipunek upewniając się, czy krótkie miecze swobodnie wysuwają się z pochew i czy rzemienne uchwyty tarcz nie przetarły się na tyle, by grozić zerwaniem w czasie walki.

Wąskie, kręte uliczki Videssos w osobliwy sposób zniekształcały dźwięki. Ryk motłochu stawał się coraz bliższy, lecz dopóki nie znalazł się tuż przed nim, Skaurus nie przypuszczał, że znajduje się na jego drodze. Był gotów pospieszyć ze swymi ludźmi na pomoc innej grupie Rzymian, kiedy pierwsi uczestnicy zamieszek wychynęli zza rogu nie dalej jak sto kroków przed nim i spostrzegli jego mały oddział, który zagradzał im drogę.

Zatrzymali się zmieszani. W przeciwieństwie do mnicha, który przed kilkoma dniami judził przeciwko heretykom wiedzieli, że stojący przed nimi wojownicy nie są Namdalajczykami i musieli zdecydować, czy uznać ich za swych wrogów.

Wykorzystując ich niezdecydowanie, Marek wysunął się na kilka kroków przed swoich ludzi. — Wracajcie do domów! — krzyknął. — Nic wam nie zrobimy, jeśli odejdziecie spokojnie! — Wiedział, jak bardzo mija się z prawdą, lecz przy odrobinie szczęścia mógł liczyć na to, że tłum nie będzie wiedział.

Przez chwilę sądził, że udało mu się ich oszukać. Dwóch mężczyzn na czele tłumu, zażywnych osobników ze średnio zamożnych klas stolicy, z wyglądu wyraźnie odstających od reszty uliczników, odwróciło się, jak gdyby chcąc się wycofać. Lecz wówczas jakiś człowiek stojący za nimi — śliska, mała kreatura o twarzy łasicy — rozpoznał w Grasulfie Namdalajczyka. — Wyspiarz! — wrzasnął przeraźliwie. — Próbują nie dopuścić nas do niego! — I tłum nierówną linią runął do ataku, wymachując zdobytym orężem i całą kolekcją rozmaitych przedmiotów mających uchodzić za broń.

— Och, co za gówno — mruknął jeden ze stojących obok Marka legionistów, gdy wyciągał miecz. Trybun poczuł mdlącą pustkę w dołku. Zza przeklętego rogu wybiegali wciąż nowi Videssańscy. Rzymianie byli zawodowymi żołnierzami, to prawda, lecz jako zawodowiec Skaurus wiedział dość, by nie lubić bitwy, w której jego przeciwnik ma siedmio— albo ośmiokrotną przewagę liczebną.

— Do mnie! Do mnie! — krzyknął, zastanawiając się, ilu Rzymian zdoła ściągnąć na pomoc swej drużynie, czy nie przybędą zbyt późno i czy tłum nie pochłonie ich, oddział po oddziale.

Grasulf ścisnął go za ramię. — Zanieś mój miecz do domu, jeśli zdołasz — powiedział. I z

dzikim okrzykiem Namdalajczyk popędził na spotkanie motłochu. Jego klinga śmignęła kreśląc dwa błyszczące łuki; dwie głowy zeskoczyły z ramion napastników i potoczyły się po ziemi. Gdyby wiodło mu się tak dalej, pewnie zdołałby w pojedynkę zastraszyć i powstrzymać swych wrogów. Lecz ten sam mały, przebiegły złodziejasek, który pierwszy wypatrzył go wśród Rzymian, teraz prześlizgnął się do niego i przez kolczugę wbił sztylet w plecy Namdalajczyka. Grasulf upadł; tłum zawył tryumfalnie, trając jego zwłoki i rzucił się na Rzymian.

Rzymianie byli świetnie wyszkoleni i dobrze uzbrojeni. Chroniły ich kolczugi i nagolenniki oraz licowane metalem półcyldryczne tarcze. Lecz ich przeciwnicy parli naprzód tak ogromną masą, że linia Rzymian, która tutaj z natury rzeczy mogła składać się tylko z trzech trójek legionistów, została rozerwana niemal natychmiast. Bitwa zmieniła się w serię dzikich potyczek, gdzie jednego czy dwóch Rzymian atakowało bez porównania więcej napastników.

Na Marka, stojącego na czele legionistów, natarło jednocześnie trzech mężczyzn. Jeden zgiął, gdy zderzył się z trybunem, który chcąc mieć pewność, że jego cios będzie śmiertelny, przekreślił miecz wbity we wnętrze przeciwnika. Lecz siła rozpędu mężczyzny i jego dwóch pozostałych przy życiu towarzyszy rzuciła Skaurusa na ziemię. Nasunął na siebie tarczę i to uchroniło go przed stratowaniem, gdy tłum przebiegał nad nim, lecz tylko szczęściu zawdzięczał, że nikt nie wymierzył w niego niczego bardziej śmiertelniejszego niż zadany w przelocie cios maczugą.

Uderzając rozpaczliwie mieczem na wszystkie strony, po niecałej minucie zdołał podnieść się z ziemi, by stwierdzić, że znajduje się sam pośrodku wyjącej tłuszczy. *Zaczął* wyrąbywać sobie drogę ku ścianie, która osłoniłaby mu plecy. Sądząc z odgłosów i zawirowań w tłumie Rzymianie, którzy jeszcze trzymali się na nogach, robili to samo.

Jakiś Videssańczyk, uzbrojony w krótki, myśliwski oszczep, rzucił się na trybuna. Pchnięcie oszczepu daleko minęło się z celem; jego impet rzucił mężczyznę na tarczę Rzymianina. Marek odepchnął go tak mocno, jak potrafił. Tracąc równowagę, napastnik zatoczył się do tyłu na jednego ze swych towarzyszy. Miecz Skaurusa kazał im obu zapłacić za ich niezdarność.

Na szczęście nie wszyscy uczestnicy rozruchów pozostawali, by walczyć z Rzymianami. Część dalej parła na zachód, w nadziei znalezienia Namdalajczyków, których mogliby wyróżnić. Wkrótce już tylko ci, którzy znajdowali się na końcu tłumy, dalej atakowali trybuna. Kiedy napór zelżał, zaświtała mu nadzieja, że może uda mu się przeżyć.

Wśród bitewnego zgiełku usłyszał okrzyki i szcęk broni Rzymian przybyłych na pomoc obleganej drużynie. Motłoch, nie posiadający dyscypliny prawdziwych wojowników, nie zdołał oprzeć się ich naporowi. Marek zaczął zwoływać swoich ludzi, lecz w tej właśnie chwili jakiś kamień zadźwięczał zderzając się z jego hełmem i głowę trybuna wypełnił deszcz srebrzystych iskier. Zatoczył się, wypuszczając miecz z ręki. Jakiś Videssańczyk pochylił się, porwał go i rzucił się do ucieczki; uzbrojony czy nie, zaznał już dość walki jak na ten dzień.

Lodowaty wiatr paniki zawył w mózgu Marka. Gdyby to był zwyczajny krótki miecz, jakich używali Rzymianie, trybun, ucieszony z odsieczy, pewnie pozwoliłby złodziejowi zatrzymać łup. Lecz była to klinga, której magia sprowadziła go do tego właśnie świata; klinga, która pokonała Avshara i jego czarnoksiężstwo; klinga, która użyczała mu mocy. Odrzucił tarczę, wyciągnął swój od dawna nie używany sztylet i rzucił się w pościg.

Dziękował bogom, że walka niemal go ominęła. Jego ciśnięta *scutum* zmiotła mu z drogi jednego Videssańczyka, a drugi, z ramieniem przeciętym ciosem sztyletu, zatoczył się do tyłu. Wyrwawszy się w ten sposób z cizby, Skaurus, łomocząc butami o bruk, pomknął za złodziejem miecza.

Krew tętniła mu głucho w uszach, kiedy biegł; z radością pozbyłby się swej zbroi i ciężkich butów. Lecz jego długie susy wciąż zmniejszały dzielącą go od złodzieja odległość. Mężczyzna — który umykał przed nim w podskokach — był niskim, tłustym człowieczkiem wyglądającym na zbyt dobrze sytuowanego, by rozruchy mogły mu się na cokolwiek przydać. Słyszając odgłosy pościgu obejrzał się przez ramię i niemal wpadł na mur. Uratował się w ostatniej chwili i umknął w boczną uliczkę, mając Marka dziesięć kroków za sobą.

Choć trybun wyęczał wszystkie siły, nie mógł zbliżyć się do uciekiniera. Ani też jego ofiara nie mogła uwolnić się od pościgu, choć biegnąc krętą drogą przez boczne uliczki i zaułki Skaurus całkowicie zagubił się w labiryncie Videssos.

Złodziej zaprezentował znajomość szlaków miasta nie bardziej doskonałą niż Skaurus. Przebiegł połowę drogi w głąb zaułka nie uświadamiając sobie tego, że jest ślepy. Nim zdołał naprawić swój błąd, zdyszany trybun zablokował mu drogę ucieczki.

Ocierając pot z twarzy, pulchny złodziej uniósł skradziony miecz do gardy. Niewłaściwe ustawienie stóp i próbne wypady dowodziły, że nie jest szermierzem. Mimo to Skaurus zbliżał się do niego zachowując wszelkie środki ostrożności. Jego przeciwnik dzierżył, niezdarnie czy nie, klingę trzykrotnie dłuższą niż jego sztylet.

Zrobił jeszcze jeden krok naprzód, mówiąc: — Nie chcę z tobą walczyć. Połóż mój miecz na ziemi i możesz sobie iść, jeśli o mnie chodzi.

Skaurus nigdy nie dowiedział się czy mężczyzna uznał, że mówi z tchórzostwa i to go rozzułchwaliło, czy też po prostu bał się pozostać bezbronnym wobec Rzymianina. Skoczył na Marka, zadając mieczem trybuna zamaszysty cios, który potwierdził jego nieudolność. Lecz zanim umysł Marka uświadomił sobie, że ma do czynienia z nowicjuszem, jego ciało odpowiedziało ruchami, jakie wpoili w nie długie godziny spędzone na polu ćwiczeń. Zanurkował pod dyletanckim cięciem i zrobił krok naprzód wbijając sztylet w brzuch wroga.

Usta pulchnego złodzieja ułożyły się w bezdźwięczne „Och”. Upuścił miecz Rzymianina, by obiema rękoma ścisnąć ranę. Jego oczy rozszerzyły się, a potem nagle pokazały się same białka, kiedy padał na ziemię.

Marek pochylił się, by podnieść swój miecz. Nie czuł żadnej dumy z odniesionego zwycięstwa, a raczej odrazę do siebie, wywołaną zabiciem przeciwnika, którego tak bardzo przewyższał umiejętnościami. Spojrzał z wyrzutem na skręcone zwłoki u swych stóp. Dlaczego ten tłusty głupiec nie miał dość rozumu, by zabarykadować drzwi swego domu i pozostać za nimi, zamiast bawić się w coś, o czym nie miał pojęcia?

Trybun sądził, że pozwoli, by słuch zaprowadził go z powrotem w miejsce bijatyki między jego ludzi a motłochem, lecz odtworzenie drogi, jaką przebył, okazało się nie takie proste. Kręte uliczki nieustannie sprowadzały go z pożądanego kierunku, a i sam ów kierunek zdawał się

zmieniać, w miarę jak szedł. Mijane domy dostarczały mu niewielu wskazówek. Ich zewnętrzne ściany i żywopłoty były tak do siebie podobne, że tylko długotrwałe zamieszkiwanie w ich sąsiedztwie umożliwiłoby kierowanie się ich wyglądem.

Mijał właśnie kolejny dom, niewiele różniący się od reszty, kiedy usłyszał odgłos bójki dochodzący zza muru. Bójki tego dnia były czymś zupełnie powszechnym; martwiąc się o odnalezienie drogi powrotnej do Rzymian, Skaurus miał zamiar zignorować i tę, kiedy nagle wyróżnił ją kobiecy krzyk.

Przerwał go odgłos uderzenia. — Cicho, suko! — ryknął grubiański, męski głos.

— A niech sobie skowyczy — odparł drugi, zimny i nieczuły. — Kto na to zwróci uwagę?

Mur był zbyt wysoki, by móc zajrzeć przez niego do środka, a obciążony zbroją człowiek nie mógł marzyć, by się nań wspiąć. Oczy Marka pomknęły ku bramie. Podbiegł do niej, waląc w nią swym okrytym żelazem barkiem. Rozwarła się gwałtownie i trybun, potykając się, wpadł na rozległą przestrzeń porośniętą krótko przyszyżoną trawą.

Dwaj mężczyźni trzymający kobietę rozciągniętą na tej trawie unieśli ze zdumieniem wzrok, gdy ich zabawa została przerwana. Jeden trzymał ją za obnażone ramiona; rozerwana tunika leżała w pobliżu. Drugi klęczał pomiędzy jej mlójącymi powietrze nogami, podciągając sutą spódnicę nad talię.

Ten drugi zginał, gdy próbował powstać, z gardłem przeszytym klingą Marka. Trybun poczuł przelotny żal, że pozwolił mu tak łatwo umrzeć, lecz potem stanął przed towarzyszem zabitego, który okazał się twardszym orzechem do zgryzienia. Choć wyglądał na ulicznego rzeźmieszka, nosił krótki miecz zamiast sztyletu i z pierwszego cięcia Skaurus wywnioskował, że wie, jak go używać.

Po tym pierwszym cięciu, które nie posłało Rzymianina na ziemię, Videssańczyk zdecydował się na czysto obronną walkę, sprawiając wrażenie, że chce oderwać się od przeciwnika i uciec. Lecz kiedy spróbował umknąć, kobieta, którą przygniatał do ziemi, błyskawicznym ruchem chwyciła go za nogę. Marek przeszył mieczem padającego mężczyznę. Choć niedawno żałował, zabijając żalowanego, małego człowieczka, który uciekał z jego mieczem, teraz czuł tylko zadowolenie, że uwalnia

świat od tego ludzkiego śmiecia.

Uklęknął, by wytrzeć klingę koszulą zabitego, a potem odwrócił się, mówiąc: — Dzięki, dziewczyno, ten bękart mógłby uciec, gdybyś... — I tak pozostał z otwartymi ustami, z których nie wydo-
było się już żadne słowo. Kobieta, która właśnie siadała, była Helvis.

Ona również wytrzeszczyła na niego oczy, dopiero teraz widząc, kim jest jej wybawiciel. — Marek? — powiedziała, jak gdyby wątpiąc w to, co widzi. Potem, szlochając rozpaczliwie w reakcji na grozę, która otaczała ją jeszcze przed chwilą, podbiegła do niego. Jego ramiona, same z siebie, objęły ją. Skóra jej pleców była niezwykle gładka i wciąż jeszcze chłodna od dotyku trawy, do której ją przygnieciono. Dygotała w jego objęciach.

— Dziękuję ci, och, dziękuję ci — powtarzała bez przerwy, przyciskając głowę do jego opancerzonego ramienia. Po chwili dodała: — Masz tyle metalu na sobie; czy musisz więzić mnie w zbroi?

Skaurus dopiero teraz uświadomił sobie, jak mocno przyciska ją do swego pokrytego zbroją ciała. Zwolnił nieco uścisk; nie odsunęła się, lecz dalej tak samo przywierała do niego. — W imię waszego Phosa, co ty tu robisz? — zapytał szorstko. Zdenerwowanie, jakie odczuwał sprawiło, że w jego głosie zamiast troski zabrzmiał gniew. — Sądziłem, że siedzisz bezpiecznie w koszarach swoich rodaków.

I jak się dowiedział, dokładnie z powodu Phosa nie przebywała teraz w koszarach Namdalajczyków. Postanowiła uczcić święto swego boga — czy to było zaledwie wczoraj? Marek zadumał się; to wydawało się niemożliwe — przez modlitwę nie w świątyni w pobliżu koszar, lecz w innej, znajdującej się tutaj, w południowej części Videssos. Ta kaplica cieszyła się wśród Namdalajczyków popularnością, ponieważ była poświęcona jakiemuś świętemu, który żył i pracował na wyspie Namdalen, choć zmarł trzysta lat przed tym, nim przybysze z północy wyrwali jego ojczysty kraj spod władania Imperium.

Helvis mówiła dalej: — Kiedy zaczęły się zamieszki i usłyszałam, jak tłum krzyczy: „Wykopać kości Hazardzistów!”, zrozumiałam, że nie mogę wracać do domu ulicami. Wiedziałam, że moi rodacy rozłożyli się obozem w pobliżu portu i postanowiłam przedostać się tam. Noc spędziłam w opuszczonym domu. Kiedy usłyszałam wrzask motłochu kierujący się w stronę portu pomyślałam, że znowu powinnam się ukryć.

— Druga brama, o tam, była otwarta — powiedziała, wskazując ręką. — Aż za szybko dowiedziałam się, dlaczego. Ci... — nie potrafiła znaleźć odpowiedniego słowa; zamiast tego zadrżała — plądrowali dom, a ja byłam jeszcze jednym, łatwym łupem — dodała ponuro.

— Już wszystko dobrze — powiedział Skaurus, gładząc jej potargane włosy tym samym łagodnym ruchem, jakiego zwykle używał, by uspokoić przestraszonego konia. Westchnęła i przytuliła się mocniej. Po raz pierwszy uświadomił sobie z całą wyrazistością, że jest na wpół rozebrana i że

ich uścisk nabiera zupełnie innego charakteru.

Pochylił się, by pocałować jej włosy. Dłonie Helvis gładziły jego kark, gdy unosił jej twarz ku swojej. Całował jej usta, uszy; jego wargi przesunęły się po jej szyi ku odkrytym piersiom. Spódnica zaszeleściła, gdy ześlizgnęła się z jej bioder i osunęła na ziemię. Jego własne okrycie nastroczało nieco więcej kłopotu, lecz pozbył się go wystarczająco szybko. Przez chwilę martwił się o swych walczących z motłochem ludzi, lecz tym razem cała jego dyscyplina nie mogła powstrzymać go przed osunięciem się na trawę obok kobiety, która tam na niego czekała.

Niemal wszyscy kochankowie, którzy kochają się ze sobą po raz pierwszy, doznają uczucia, że ich miłość stanie się pełniejsza, gdy poznają się lepiej nawzajem. Tak było i tutaj; wychodziło im to nieco niezgrabnie, nieporadnie, jak to bywa między dwojgiem ludzi, którzy obydwójce nie mają pewności, co najbardziej lubi drugie. Jednak dla trybuna było to bez porównania rozkoszniejsze niż wszystko, co poznał przedtem i znalazł się tak blisko własnej chwili uniesienia, że niemal nie zauważył, że imię, które wykrzyknęła Helvis, gdy wbiła paznokcie w jego plecy, nie było jego imieniem.

Kiedy było po wszystkim, nie chciał robić nic innego, jak leżeć przy niej przez wieczność, pogodzony z całym światem. Lecz teraz wyrzuty sumienia były zbyt silne, by je zignorować. Już teraz czuł pierwsze ukłucia winy z powodu czasu, który spędził sprawiając sobie przyjemność, podczas gdy jego żołnierze walczyli. Próbował utopić je w ustach Helvis, lecz jak to zawsze się dzieje w takich przypadkach, tylko je tym spotęgował.

Jego zbroja nigdy nie wydawała się bardziej niewygodna niż teraz, kiedy nakładał ją znowu. Podał Helvis krótki miecz zabitego mężczyzny, mówiąc: — Czekaj na mnie, kochanie. Będziesz tutaj bezpieczniejsza, nawet sama, niż ze mną na ulicach. Pospieszę się, obiecuję.

Inna kobieta może by protestowała, że się ją zostawia, lecz Hel vis widziała walkę i wiedziała, co Marek zamierza zrobić. Powstała, przesunęła palcem po jego policzku, zatrzymując się przy kąciku ust. — Tak — powiedziała. — Och, tak. Wróć po mnie szybko.

Jak człowiek dochodzący do siebie po trawiącej go gorączce, tak Videssos powoli odzyskiwał swe zwykłe oblicze. Rozruchy, tak jak przepowiedział to Khoumnos, zamarły, kiedy Halogajczycy i Rzymianie skutecznie otoczyli kordonem Namdalajczyków, którzy ogniskowali na sobie nienawiść tłumu. Nim minął tydzień, miasto niemal całkowicie powróciło do normalności, z wyjątkiem stosów gruzu wskazujących miejsca, które zaatakował motłoch. Cienkie, uparte wstęgi dymu wciąż unosiły się znad kilku takich miejsc, lecz niebezpieczeństwo totalnej pożogi minęło.

Podczas gdy miasto było już znowu niemal sobą, życie Skaurusa, w ciągu dwóch tygodni, które nastąpiły po zamieszkach, uległo dramatycznej zmianie. On i grupa jego ludzi zaprowadzili najpierw Helvis do Namdalajczyków obozujących przy porcie Kontoskalion, a potem, gdy Videssos zaczął się uspokajać, mogła już wrócić do koszar wyspiarzy w kompleksie pałacowym.

Jednak nie pozostawała tam długo. Ich pierwsze nieoczekiwane zespolenie nie uśmierzyło, lecz zaostrzyło apetyty, tak jej jak i trybuna. Minęło zaledwie kilka dni nim Helvis i Marek — oraz Malrik — zajęli kwatery w jednej z dwóch sal, zarezerwowanej przez Rzymian dla mężczyzn, którzy założyli rodziny.

Choć nigdy przedtem nie pragnął niczyjego towarzystwa tak bardzo jak teraz jej, parę rzeczy wciąż budziło jego niepokój. Przede wszystkim niepokoiło go to, jaką postawę przyjmie Soteryk. Trybun niejedną raz miał okazję widzieć, jak bardzo nieprzyjemny potrafi być Soteryk, kiedy uważał, że jego honor został urażony. Jak zareaguje na to, że Rzymianin najpierw zdobył względy jego siostry, a potem zabrał ją do siebie?

Kiedy przedstawił swoje wątpliwości Helvis, zbyła je z kobiecą praktycznością. — Nie martw się tym. Jeśli cokolwiek trzeba będzie powiedzieć, ja to zrobię, choć nie sądzę, żeby to było konieczne. Trudno mówić, byś uwiódł zawstydzoną dziewicę, rozumiesz, a gdybyś się tam nie znalazł, te psy, które mnie dopadły, prawdopodobnie poderżnęłyby mi gardło, kiedy już zmęczyłyby się za bardzo, by robić ze mną coś innego. Najdroższy, to że mnie uratowałeś, będzie liczyło się dla Soteryka bardziej niż cokolwiek innego, i tak być powinno.

— Ale... — Helvis uciszyła jego protest pocałunkiem, lecz nie zdołała tak łatwo stłumić dręczącego go niepokojem. Jednak wydarzenia potwierdziły, że miała rację. Wdzięczność Soteryka za jej ocalenie rozciągnęła się również na jej wybawiciela. Potraktował Marka jak członka rodziny, a za jego przykładem postąpiła reszta Namdalajczyków. Wiedzieli, co Rzymianie zrobili dla nich podczas zamieszek; kiedy dowódca legionistów zakochał się w ich kobiecie, uznali to za jeszcze jeden powód, by traktować go jak jednego ze swoich.

Mając ten problem za sobą, Marek czekał, jak na nową sytuację zareagują jego ludzie. Spotkał się z dobrodusznym pokpiwaniem, gdyż Rzymianie wiedzieli, że niechętnie godził się na związki legionistów z kobietami, a teraz stał się jednym z nich.

— Nie zwracaj na nich żadnej uwagi — poradził mu Gajusz Filipus. — Nikogo nie będzie obchodziło, czy śpisz z kobietą, chłopcem, czy z zaświerzbioną owcą, dopóki będziesz myślał głową a nie tym, co masz między nogami. — I rzuciwszy tę sarkastyczną, lecz trafną uwagę, centurion odszedł, by dalej ćwiczyć swoich żołnierzy.

Skaurus musiał jednak stwierdzić, że łatwiej dawać taką radę, niż postępować zgodnie z nią. Przyłapał się na tym, że nurza się w zmysłowości w sposób niepodobny do niczego, z czym miał okazję spotkać się wcześniej. Przedtem był zawsze powściągliwy w folgowaniu swoim chuciom — w przypadłym gdzieś Mediolanie, w armii Cezara i przez okres swego dotychczasowego pobytu w Videssos. Kiedy potrzebował odprężenia, zwykł je kupować i raczej się nie zdarzało, by tej samej kobiety szukał po raz drugi. Teraz, z Helvis, stwierdził, że odrabia długi okres wyrzeczeń i z każdą minioną nocą pała do niej coraz większą żądzą.

Ona również czerpała z ich miłości rozkosz, której siła nieustannie wzrastała. Wypełniała ją prosta, niepohamowana żądza; choć od śmierci Hemonda nie spojrzała na żadnego mężczyznę, to jednak jej ciało tęskniło za tym, do czego przywykło, i z rozkoszą zareagowało na powrót tegoż. Marek stwierdził, że od czasu kiedy był chłopcem, nigdy nie sypiał tak mocno jak teraz. Szczęśliwie się złożyło — pomyślał pewnego razu — że Khamorth Avshara nie przybył szukać go po tym, jak on znalazł Hel vis. Pewnie nie obudziłby się, tak jak wówczas, na odgłos jego zbliżających się kroków.

Skaurus zastanawiał się, jak Malrik odbierze zmianę, która nastąpiła w jego życiu, lecz syn Helvis był jeszcze dość młody, by szybko przejść do porządku dziennego niemal nad wszystkim. Wkrótce nazywał trybuna „Markiem” równie często jak „tata”, co wypełniało Rzymianina dziwnym uczuciem; na poły dumą, na poły smutkiem, że tak nie jest. Chłopczyk z miejsca stał się pieśczochem legionistów. W koszarach było niewiele dzieci i żołnierze rozpieszczali je wszystkie. Malrik uczył się łaciny z niewiarygodną łatwością, jaką mają małe dzieci.

Były to dni, kiedy trybun niemal zapominał, że znajduje się w mieście gotującym się do wojny. Pragnął, by mogło być ich więcej; nigdy w życiu nie był tak szczęśliwy jak teraz.

X

To paskudnie niedobry czas — stwierdził Gajusz Filipus, kiedy przyszły wezwania na imperialną radę wojenną.

— Kampania powinna rozpocząć się dwa miesiące temu, albo wcześniej.

— Polityka — odpowiedział Marek, a potem dodał: — Rozruchy też nie pomogły. Gdyby nie one, sądzę, że już bylibyśmy w drodze. — Z delikatną ironią słuchał siebie usprawiedliwiającego opóźnienia, na które narzekał jeszcze nie tak dawno temu. Teraz o wiele mniej pragnął wyruszyć niż wówczas i aż nadto wyraziście zdawał sobie sprawę, dlaczego. Jednak równie jasno wiedział, że nie ma na to żadnego wpływu.

Trybun nie był w Sali Dziewiętnastu Tapczanów od owej nocy, kiedy pojedynekował się z Avsharem. Jak zawsze, tak i teraz, w sali przyjęć nie było żadnych tapczanów. Ciąg stołów łączył jeden koniec z drugim, tworząc linię przechodzącą przez środek sali. Na stołach leżały mapy z wykreślonymi, proponowanymi szlakami przemarszu videssańskiej armii; za stołami siedzieli dowódcy wszystkich kontyngentów wojska wchodzących w skład tej armii: Videssańczycy, Khatriše, wodzowie koczowniczych Khamorthów, namdalajscy oficerowie, a teraz również Rzymianie.

Mavrikios Gavras, zgodnie ze swym przywilejem, siedział u szczytu stołów. Marek ucieszył się na widok Thorisina, siedzącego po prawej ręce swego brata. Miał nadzieję, że jest to znakiem uzdrowienia stosunków pomiędzy nimi. Lecz dwie inne osoby siedzące przy Imperatorze sprawiły, że Skaurus zapragnął przetrzeć oczy, by się upewnić, że nie płatają mu figla.

Po lewej ręce Mavrikiosa siedział Ortaias Sphrantzes. Mimo wszystkich książkowych wiadomości o wojnie, jakie posiadał młody arystokrata, Marek dałby głowę, że nie ma on ani wystarczającej wiedzy, ani też odpowiedniego usposobienia, by uczestniczyć w tej naradzie, nawet gdyby był członkiem frakcji Imperatora, a nie bratankiem największego rywala Gavrasa. Jednak był tutaj i właśnie wodził po mapie ostrzem swego sztyletu z ozdobną rękojeścią, odtwarzając bieg jakiejś rzeki. Skinął głową i machnął ręką, kiedy spostrzegł wchodzących Rzymian. Marek odpowiedział mu skinieniem głowy, lecz Gajusz Filipus, mruczając coś nieprzyjemnego pod nosem, udał że go nie widzi.

Córka Imperatora siedziała po prawej ręce Thorisina Gavrasa, pomiędzy nim a Nephonem Khoumnosem. Alypia była jedyną kobietą wśród zgromadzonych i, jak to zwykła czynić, więcej słuchała, niż mówiła. Notowała coś na skrawku pergaminu, kiedy Rzymianie weszli do Sali Dziewiętnastu Tapczanów i nie uniosła wzroku, dopóki służący nie zaprowadził ich do wyznaczonych im miejsc, znajdujących się zaszczycające blisko szczytu stołów. Jej spojrzenie rzucone Skaurusowi było chłodne, szacujące i bardziej powściągliwe, niż tego oczekiwał trybun; nagle zastanowił się, czy wiedziała o jego związku z Hel vis. Z jej twarzy nie dawało się nic odczytać; stanowiła doskonałą maskę, kryjącą jej myśli.

Marek zajął swoje miejsce z niejaką ulgą. Pochylił głowę, by przyjrzeć się leżącej przed nim mapie. Jeśli dobrze odczytał pajęczę pismo Videssańczyków, przedstawiała góry Vaspurakanu, kresowej krainy, której przełęcz ofiarowywały kuszące przejścia pomiędzy Yezd a Imperium.

Tak jak mapy Apsimara, ta również wyglądała na zdumiewająco dokładną, daleko bardziej niż jakiegokolwiek, które sporządzali Rzymianie. Szczyty, rzeki, jeziora, osady — wszystko to zostało odtworzone z drobiazgową dokładnością. Mimo to Skaurus zastanawiał się, w jakim stopniu można polegać na tej mapie. Wiedział, że nawet posiadający jak najlepsze zamiary i zwykle dokładni ludzie mogą się mylić. W trzeciej księdze swej historii, Polibiusz — najdokładniejszy z badaczy, jaki kiedykolwiek się urodził — twierdził, że rzeka Rodan płynie ze wschodu na zachód nim skręca na południe i spływa przez Galię Narbońską do Morza Śródziemnego. Przewędrowawszy wzdłuż całego niemal jej biegu, Rzymianin miał niezbitą pewność, że przez całą swoją długość płynie z północy na południe.

Mavrikios nie rozpoczynał oficjalnie narady jeszcze przez godzinę po przybyciu Rzymian. Dopiero kiedy ostatni spóźnialscy — w większości Khamorthci — zajęli swe miejsca, przerwał cichą rozmowę, jaką prowadził ze swym bratem, i podniósł głos na tyle, by można go było słyszeć w

całej sali.

— Dziękuję wam, że chcieliście spotkać się z nami tego ranka — powiedział. Pomruk rozmów żołnierzy omawiających swoje sprawy, który unosił się nad stołami, zamarł. Odczekał, aż ucichnie zupełnie, nim podjął: — Dla tych, którzy już odbyli wyprawę na zachód i tam walczyli, wiele z tego, co dzisiaj usłyszycie, okaże się rzeczami znanymi, lecz jest wśród nas tak wielu nowych przybyszów, iż sędzę, że warto odbyć tę naradę ze względu na nich samych.

— Jest tutaj mniej nowych ludzi niż powinno być, dzięki waszym przeklętym mnichom — zawołał ktoś i Marek rozpoznał Utpranda, syna Dagobera. Twarz Namdalajczyka wciąż wykrzywił ten sam wyraz zimnej furii, który widniał na niej wówczas, kiedy trybun uratował go przed motłochem; oto człowiek — osądził Skaurus — którego niełatwo odwieść od tego, co sobie zamierzył. Pozostali wyspiarze poparli go gniewnymi pomrukami. Marek zobaczył Soteryka, siedzącego wśród młodszych oficerów daleko, przy drugim końcu stołów.

Ortaias Sphrantzes i Thorisin Gavras wydawali się w równym stopniu urażeni tym, co tak bez ogródek powiedział Utprand. Choć z całkowicie odmiennych powodów. — Nie wiń naszych świętych za owoce waszej herezji! — zawołał Ortaias, podczas gdy Sevastokrata warknął: — Ty tam, nie zapominaj okazywać Jego Imperatorskiej Wysokości należnego mu szacunku! — Siedzący przy stołach Videssańczycy poparli jednego albo drugiego — lub też obu — zależnie od swych zapatrywań.

Namdalajczycy odpowiedzieli wyzywającymi spojrzeniami. — Jaki szacunek mamy okazywać, kiedy wasi święci mordują naszych ludzi? — zapytał z gniewem Utprand, odpowiadając jednocześnie na obie przygany. Temperatura w Sali Dziewiętnastu Tapczanów błyskawicznie podniosła się do punktu wrzenia. Jak szakale czające się na skraju pola walki, Khamorthci sprężyli się na swoich krzesłach, gotowi skoczyć na tego z walczących, którego uznają za słabszego.

Marek poczuł tę samą potęgującą się rozpacz, której zaznał już tylekroć przedtem w Videssos. Cechował go spokój wynikający zarówno z wychowania, jak i usposobienia i uważał skłonność do irytujących klótni wszystkich tych drażliwych i pobudliwych mieszkańców Imperium i jego sąsiadów za ich wrodzoną cechę.

Mavrikios sprawiał wrażenie ulepionego z podobnej co on gliny. Położył jedną rękę na ramieniu brata, a drugą na ramieniu Ortaiasa Sphrantzesa. Obaj uspokoili się, choć Thorisin poruszył się niespokojnie. Imperator spojrział przez stoły na Utpranda, a jego brązowe oczy zwarły się spojrzeniem z wilczoszarymi oczyma Namdalajczyka. — Mniej *jest* was tutaj, niż powinno być — przyznał — i nie jest to wasza wina. — Teraz z kolei Sphrantzes skreślił się niespokojnie.

Imperator zignorował go, dalej całą swoją uwagę skupiając na Utprandzie. — Czy jednak w ogóle pamiętacie, dlaczego tu jesteście? — W jego głosie brzmiała ta sama natarczywość, jaką miał głos Balsamona, kiedy w Wielkiej Świątyni zwracał się do całego Videssos z prośbą o jedność,

która nie została mu dana.

Jak już Marek zdążył być tego świadkiem, Utprand potrafił rozpoznać prawdę, kiedy ją usłyszał. Namdalajczyk myślał przez chwilę, a potem skinął niechętnie głową.

— Masz rację — powiedział. Dla niego wystarczyło to, by uznać sprawę za załatwioną. Kiedy kilku zapalczywych młodych Namdalajczyków podjęło próbę dalszego roztrząsania tej sprawy, łód w jego oczach uciszył ich szybciej niż wszystko, co mogliby zrobić Videssańczycy.

— To twardy orzech do zgryzienia — szepnął z podziwem Gajusz Filipus.

— Prawda? Pomyślałem to samo, kiedy spotkałem go podczas zamieszek — odparł Skaurus.

— Więc to o tym człowieku mówiłeś? Teraz potrafię zrozumieć, co chciałeś powiedzieć przez...

— Centurion przerwał w połowie zdania, ponieważ głos zabrał Imperator.

Spokojnie, jak gdyby nie wydarzyło się nic niestosownego, Mavrikios rzekł do Ortaiasa Sphrantzesa: — Czy byłbyś tak dobry i pokazał tę mapę zachodnich ziem? — Spatharios posłusznie uniósł pergamin tak, by wszyscy mogli go zobaczyć.

Na tej mapie zachodnie dominia Videssos wyglądały jak długi, sękaty paluch wyciągnięty w kierunku imperialnej stolicy i oddzielający niemal całkowicie śródlądowe Videssańskie Morze na północy od wielkiego Morza Żeglarzy na południu.

Imperator poczekał, dopóki paru krótkowzrocznych oficerów nie zamieniło się miejscami ze swymi kolegami siedzącymi w pobliżu mapy, a potem zaczął raptownie, szorstkim tonem. — Chcę wyruszyć w ciągu tygodnia. Albo przygotujecie swoich żołnierzy do przeprawy przez Koński Bród w ciągu tego czasu, albo zostaniecie. — Niespodziewanie posłał im w najwyższym stopniu nieprzyjemny uśmiech. — Każdy, kto utrzymuje, że nie zdoła się przez ten czas przygotować, będzie miał okazję zapoznać się z rozkazem przenoszącym go do najparszywszego, najbardziej zapomnianego przez Phosa garnizonu, gdzie jego największym marzeniem będzie walka z Yezd — obiecuję wam to.

Mavrikios zamilkł na chwilę, pozwalając, by nagły, podniecony rozgwar przebiegł wzdłuż stołów. Marek czuł to samo odczucie, które wypełniało innych oficerów Imperatora — data wymarszu wreszcie wyznaczona, i to tak bliska! Trybun nie sądził, by Gavras spełnił swoją groźbę.

— Dla tych z was, którzy nie wiedzą — podjął Imperator — naszą zachodnią granicę z Yezd dzieli od stolicy jakieś pięćset mil. Z armią tak wielką jak ta, którą tutaj zgromadziliśmy, powinniśmy przeprowić się przez Vaspurakan i wkroczyć do Yezd w ciągu mniej więcej czterdziestu dni. — Skaurus uważał, że w razie potrzeby jego legionści zdołaliby przebyć tę trasę w czasie o połowę krótszym, lecz Imperator prawdopodobnie miał rację. Żadna armia nie może poruszać się szybciej niż jej najwolniejsi członkowie, a przy tak wielkiej formacji problemy związane z zapewnieniem zaopatrzenia będą opóźniały ją jeszcze bardziej.

Gavras przerwał na chwilę, by wziąć ze stołu drewnianą pałeczkę, którą nakreślił linię biegnącą na południowy zachód od Videssos do zbiegu dwóch rzek. — Odbędziemy naszą podróż w czterech etapach — powiedział. — Pierwszy będzie krótki i łatwy, stąd do Garsavru, gdzie Eriza wpływa do Arandosu. Tam spotkamy się z Baanesem Onomagoulosem; dołączy do nas ze swymi żołnierzami z południowych gór. Przyprowadziłby więcej, ale gryzpiórki z nieprawego łoża zbyt wielu z nich pozabawiły wolności za niezapłacone podatki.

Mapa, którą trzymał Ortaias Sphrantzes, nie pozwalała Skaurusowi zobaczyć jego twarzy. Żałował tego; dałby wiele, by dowiedzieć się, jak młody arystokrata zareagował na wykpiwanie polityki jego rodziny. Mapa zaczęła drżeć — trybun uświadomił sobie, że siedzenie za stołem z wyciągniętymi przed siebie na całą długość ramionami nie może być dla Ortaiasa wygodne. Ani chybi, Imperator znalazł sposób, by pokazać mu, gdzie jego miejsce.

— Z Garsavru skierujemy się na zachód wzdłuż Arandosu na wyżyny płaskowyż do Amorionu. Ten etap będzie dłuższy od pierwszego, ale nie powinien być trudniejszy. — Marek zobaczył, jak brew Alypii powędrowała ku górze, lecz księżniczka nie uczyniła nic innego, by wyrazić sprzeciw wobec słów ojca. Znowu zaczęła coś bazgrać na skrawku pergaminu.

— Wzdłuż całej linii przemarszu będą na nas czekały ukryte punkty zaopatrzenia — ciągnął Gavras — i nie chcę słyszeć, by ktokolwiek łupił chłopów po wsiach — ani też, by dla zabawy dopuszczał się na nich grabieży. — Zmierzył wzrokiem dwa rzędy siedzących przed nim oficerów, zatrzymując spojrzenie na wodzach Khamortów, niedawno przybyłych z równin. Nie wszyscy z nich posługiwali się videssańskim; ci, którzy znali ten język, tłumaczyli półgłosem swoim towarzyszom słowa Imperatora.

Jeden z przybyszów ze stepów Pardraji odwzajemnił spojrzenie Mavrikiosa wzrokiem, w którym widniał sprzeciw. Imperator skinieniem głowy udzielił mu głosu. — O co chodzi? — zapytał.

— Jestem Firdosi Poskramiacz Koni — rzekł dowódca koczowników w chropawym videssańskim. — Ja i moi ludzie wzięliśmy wasze złoto, by walczyć, nie żeby rabować. Zabijanie wieśniaków to babska robota — czy nie wyglądamy na mężczyzn, którym można zaufać, że będą walczyli jak mężczyźni? — Inni Khamorthci siedzący na prawo i lewo od niego pochyłili głowy aż na piersi w geście oznaczającym zgodę i poparcie.

— Dobrze powiedziane — oznajmił Imperator. Bez żołnierzy za plecami, Marek z pewnością nie zaufałby Firdosiemu ani żadnemu innemu mieszkańcowi stepów, lecz nie była to odpowiednia chwila, by wzniecać waśnie w szeregach armii.

I wtedy Thorisin Gavras dodał, cedząc słowa: — Oczywiście, to co powiedział mój brat, powinno odnosić się nie tylko do naszych sprzymierzeńców z północy; wszyscy zaciężni żołnierze muszą o tym pamiętać. — I spojrział nie na Khamorthów, lecz na Namdalajczyków.

Na jego szydercze spojrzenie odpowiedzieli kamiennym milczeniem, które na długą chwilę wy-

pełniło rolę. Nozdrza Mavrikiosa rozszerzyły się w gniewie, któremu nie mógł dać folgi przed obserwującymi go oficerami. Tak jak podczas gry w kości na przyjęciu u Soteryka, zebrani spoglądali tu i tam, próbując ukryć swe zmieszanie. Jedyne Alypia zdawała się przyjmować to wszystko obojętnie, spoglądając na ojca i stryja z wyrazem, który w oczach Skaurusa wyglądał na rozba- wione niezaangażowanie.

Z wyraźnym wysiłkiem, Mavrikios skierował swoją uwagę z powrotem na mapę, którą Ortaias wciąż trzymał nad stołem. Odetchnął głęboko, nim podjął na nowo.

W Amorionie spotkamy się z kolejnym oddziałem, dowodzonym przez Gagika Bagratouniego. Stamtąd ruszymy na północny zachód, do Soli nad rzeką Rhamnos, która stanowi wschodnią rubież krainy Vaspurakan, ziemi książąt — jeśli wierzyć temu, co mówią — dodał sardonicznie.

— To może być głodny marsz. Yezda grasują tam swobodnie i nikomu z tu obecnych nie muszą mówić, co robią w rolniczym kraju. Phos ich za to pokaże. Jeśli ziemia nie wyda swych płodów, wszyscy — tak samo wieśniak, rzemieślnik jak i szlachcic — muszą głodować.

Marek zauważył, jak dwaj koczownicy wymienili pełne pogardy spojrzenia. Przy swych ogrom- nych stadach i trzodach nie potrzebowali produktów rolnictwa i odczuwali tę samą wrogość wobec chłopów co ich kuzynowie Yezda. Firdosi wyraził to jasno — dla mieszkańców równin chłopci nie zasługiwali nawet na pogardę i nawet śmierć z ręki prawdziwego mężczyzny była dla nich zbyt do- bra.

— Po opuszczeniu Soli wkroczymy do samego Vaspurakanu — rzekł Imperator. — Łatwiej będzie dopaść Yezda w przełęczach niż na równinie, a łupy, które będą unosili, dodatkowo spowol- nią ich marsz. Vaspurakanie też nam pomogą; książęta może i nie pałają do Imperium zbyt wielką miłością, lecz Yezda wielokrotnie plądrowali ich ziemie.

— A pewne zwycięstwo czy dwa nad zbieraniną Avshara zmusi samego Wulghasha do wymar- szu z Mashiz z jego prawdziwą armią; albo to zrobi, albo dzikusci zwrócą się przeciwko niemu. — Oczekiwanie rozjaśniło twarz Mavrikiosa. — Wystarczy zmiażdżyć tę armię, a nic nie przeszkodzi nam w oczyszczeniu Yezd. I zmiażdżymy ją. Od stuleci Videssos nie wystawił siły dorównującej tej, jaką zgromadziliśmy tutaj dzisiaj. Jak jakikolwiek czczący Skotosa zbrodniczy władca może marzyć, by nam się przeciwstawić?

Mavrikios potrafił lepiej rozpalic wyobraźnię swoich żołnierzy niż tłumy w amfiteatrze — spra- wił, że jego oficerowie naprawdę ujrzeni Yezd leżące bezsilnie u ich stóp. Ta perspektywa podobała się im wszystkim z rozmaitych powodów: politycznych korzyści, możliwości nawrócenia pogan, czy po prostu zdobycia mnóstwa łupów.

Kiedy Ortaias Sphrantzes zrozumiał, że Imperator wreszcie skończył, z westchnieniem ulgi poło- żył mapę na stole.

Marek podzielał entuzjazm innych oficerów. Plan Mavrikiosa odpowiadał temu, czego Rzy-

mianin przywykł oczekiwać od projektów Videssańczyków — był niezbyt finezyjny, lecz prawdopodobnie skuteczny. Imperator zdawał się niewiele pozostawiać przypadkowi. Tego należało się spodziewać, mając na uwadze jego wojskową przeszłość. Teraz pozostało tylko wprowadzić ten plan w życie.

Tak jak wszystko inne w Imperium, tak i przygotowania wielkiej armii do wymarszu odbywały się w otoczce ceremonii. Mieszkańcy Videssos, którzy jeszcze nie tak dawno temu robili co w ich mocy, by rozbić tę armię, teraz ślali ku niebiosom niezliczone modlitwy w intencji jej zwycięstwa. Na noc poprzedzającą wymarsz wojsk, w Głównej Świątyni zapowiedziano uroczystą mszę.

Skaurus, jako dowódca Rzymian, otrzymał opieczętowany zwitek sztywnego pergaminu, upoważniający go do zajęcia dwóch — tak pożądanym przez wiernych — miejsc podczas obrzędu. — Jak sądzisz, komu mógłbym je odstąpić? — zapytał Helvis. — Masz jakichś przyjaciół, którzy mogliby je chcieć?

— Jeśli to miał być żart, wcale nie uważam, by był śmieszny — odparła. — Sami pójdziemy, oczywiście. Nawet jeśli nie w pełni wyznaję zasady wiary Videssańczyków,

byłoby wielkim błędem rozpoczynać tak ważne przedsięwzięcie nie prosząc Phosa o to, by je błogosławił.

Marek westchnął. Kiedy prosił Helvis o to, by zechciała dzielić z nim życie, nie przewidywał, że tak bardzo będzie się starała ukształtować je według odpowiadającego jej wzoru. Nie miał nic przeciwko czczeniu Phosa, lecz kiedy popychano go w kierunku, którego nie chciał obrać, odruchowo się temu sprzeciwiał.

Nie był też przyzwyczajony do uwzględniania czyichkolwiek życzeń w planach dotyczących jego własnych zamierzeń. Od chwili wkroczenia w wiek męski sam kierował swym postępowaniem i ignorował rady, których nie szukał. Lecz Helvis przywykła do tego, by uwzględniano jej zdanie; Skaurus pamiętał, jak bardzo się rozłościła, kiedy nie chciał puścić pary z ust o tym, co postanowiono na radzie wojennej. Znowu westchnął. Nic nie było takie proste, jakie wydawało się na początku.

Trwał stanowczo w swym zamiarze nieuczestniczenia w nabożeństwie mającym się odbyć w Głównej Świątyni aż do chwili, kiedy ujrzał przerażenie na twarzy Neilosa Tzimiskesa, gdy proponował mu, by poszedł tam zamiast niego. — Dziękuję ci za ten zaszczyt — wyjąkał Videssańczyk — lecz to doprawdy będzie źle wyglądało, jeśli nie weźmiesz udziału w nabożeństwie. Wszyscy główni dowódcy tam będą — nawet Khamorthci przyjdą, choć oni niewiele mają wspólnego z Phosem.

— Tak przypuszczam — burknął Skaurus. Lecz spojrzawszy na to z tego punktu widzenia, potrafił zrozumieć potrzebę uczestnictwa; tak samo jak pechowe kazanie Balsamona, tak i to wydarzenie było okazją do publicznej manifestacji jedności. I — pomyślał — z pewnością pomoże to zjedno-

czyć jego nową rodzinę. W tym przynajmniej się nie mylił.

I dobrze się stało; przygotowania do nadchodzącej kampanii sprawiały, że pod koniec każdego dnia czuł się wyczerpany i skory do gniewu. Rzymska dyscyplina i porządek wciąż pozostawały nienaruszone, tak że osiągnięcie pełnej gotowości jego ludzi nie stanowiło żadnego problemu. Mogliby wyruszyć dzień po naradzie wojennej — albo dzień przed. Lecz armie videssańskie maszerowały w luksusie, jakiego Cezar z pewnością nie ścierpiałby. Tak jak to było typowe dla znanych Rzymianinowi wschodnich monarchii, całe chmary cywilów towarzyszyły żołnierzom, łącznie z ich kobietami. A próby zaprowadzenia wśród nich jakiegokolwiek marszowego porządku okazały się zadaniem, które pozwoliło Markowi zrozumieć los przypadły w udziale Syzyfowi.

Trybun zaczął wyczekiwać uroczystej mszy nim jeszcze nadeszła noc, na którą ją wyznaczono, i zastanawiał się, czymże tym razem Balsamon zdoła zdumieć swych słuchaczy. Kiedy wchodził do Głównej Świątyni, z Helvis dumnie przytuloną do jego ramienia, stwierdził, że ona i Tzimiskes mieli rację — nie mógłby pozwolić sobie na nieuczestniczenie w tym zgromadzeniu. Świątynia była zapchana wysokiej rangi oficerami i urzędnikami wszystkich państw sprzymierzonych przeciwko Yezd i ich kobietami. Wielką trudność sprawiało rozstrzygnięcie, która pleć prezentuje się okazalej; mężczyźni, przybrani w polerowaną stal i spiż, wilcze szuby i skóry, czy też kobiety, paradujące w sukniach z lnu i przywierającego do ciała jedwabiu, i popisujące się delikatnymi, upudrowanymi ciałami.

Zarówno mężczyźni jak i kobiety powstali, gdy pojawił się patriarcha Videssos, zmierzając do swego tronu z kości słoniowej. Kiedy tego wieczoru on i jego orszak wzniesli do Phosa podstawową modlitwę, wielu Namdalajczyków zakończyło wyznanie wiary własnym dodatkiem: „Na co stawiamy nasze dusze”. U boku Marka Helvis wypowiedziała to stanowczym głosem, z wielkim oddaniem i rozejrzała się wyzywająco, by zobaczyć, czy ktoś zechce się sprzeciwić. Niewielu Videssańczyków sprawiało wrażenie urażonych; tej nocy, przy tak wielu heretykach i zwyczajnych niewiernych obecnych w Świątyni, woleli przymknąć oczy na barbarzyńskie praktyki obcokrajowców.

Kiedy nabożeństwo się skończyło, Balsamon wniósł własną modlitwę w intencji powodzenia zadania, jakiego podjął się Videssos, i mówił dość szczegółowo o wadze konfliktu i o potrzebie jedności celu w obliczu wroga z zachodu. Wszystko, co mówił, było prawdziwe i potrzebne, lecz mimo to jego kazanie zawiodło Marka. Niewiele w nim było zwykłego oschłego dowcipu Balsamona, a swych słów nie wypowiadał z normalnym animuszem. Patriarcha wydawał się niezmiernie znużony i nieprzekonany do swego kazania. Zakłopotało to Marka i również zatroskało.

Lecz Balsamon ożywał się w miarę jak mówił i zakończył zdecydowanie. — Jedyńm przewodnikiem człowieka jest jego sumienie — jest jego tarczą, kiedy czyni dobrze i ostrzem, które go rani, kiedy błądzi. Podnieście teraz tarczę prawdy i odbijcie miecz zła — nie pochylajcie się przed wolą nikczemności, a ten miecz nic wam nie zrobi!

Gdy słuchacze oklaskiwali jego słowa, a w całej Świątyni rozległy się okrzyki „Dobrze powiedziane!”, nad wrzawę wzniosł się zjednoczony głos chóru śpiewającego tryumfalny hymn do Phosa, a wraz z nim muzyka dzwonów, która poprzednio tak zaintrygowała Skaurusa. Teraz siedział w kącie, z którego mógł obserwować muzyków, i urzeczenie tym, co robili wystarczyło, by zatrzeć w jego umyśle zawód wywołany nudnym przemówieniem Balsamona.

Czterdziestu muzyków stało za długim, wyściełanym stołem. Każdy miał przed sobą jakieś pół tuzina lśniących dzwonów o rozmaitej wielkości i różnych tonach. Muzycy ubrani byli w togi i mieli rękawiczki z koźlącej skóry, by uniknąć pobrudzenia błyszczącego metalu dzwonów. Wskazówki swego dyrygenta spełniali ze zdumiewającą szybkością i zręcznością, w doskonałej jedności zmieniając dzwony i uderzając w nie. Obserwowanie ich, stwierdził Marek, było równie urzekające, co słuchanie.

Dyrygent był widowiskiem sam w sobie. Zgrabny, mały mężczyzna, prowadził swych podopiecznych z nieco przesadną, teatralną gestykulacją, kołysząc ciałem w takt hymnu, którym dyrygował. Na jego twarzy widniał wyraz zachwyty, a jego powieki nie uniosły się nawet na mgnienie. Minęło parę minut, nim Skaurus uświadomił sobie, że jest ślepy; sprawiał wrażenie, że zdolność widzenia wcale nie jest mu potrzebna, ponieważ jego uszy mówiły mu więcej niż oczy większości ludzi.

O ile muzyka dzwonów wywarła na niemuzykalnym trybunie wrażenie, to Helvis napełniła czystą rozkoszą. — Wielokrotnie słyszałam, jak ludzie chwalą grę dzwonników Świątyni, lecz nigdy przedtem nie miałam okazji ich słuchać. To jeszcze jeden powód, dla którego chciałam być tutaj dziś w nocy. — Spojrzała figlarnie na Marka. — Gdybym wiedziała, że ich lubisz, użyłabym tego jako argumentu, by tu przyjść.

Musiał się uśmiechnąć. — Prawdopodobnie dobrze się stało, że tego nie zrobiłaś. — Stwierdził, że trudno mu sobie wyobrazić, by ktokolwiek obietnicą muzyki zdołał go przekonać, żeby gdzieś poszedł. Jednak nie ulegało wątpliwości, że muzyka dzwonów dodała smaku temu, co w innych okolicznościach byłoby nudnym wieczorem.

Imperator wysłał obwoływaczy na ulice dla ostrzeżenia mieszkańców Videssos, by następnego dnia spędzili w domach. Główne arterie zostały szczelnie wypełnione żołnierzami w pełnym rynsztunku, nerwowymi końmi i ryczącymi osłami, wozami wiozącymi rodziny wojowników i ich osobisty dobytek, innymi wozami powożonymi przez markietanki, i jeszcze innymi załadowanymi wszelkim możliwym do wyobrażenia sprzętem wojennym. Spokój pryskał o wiele szybciej, niż skracały się szeregi ludzi, zwierząt i wozów, wlokących się ku nadbrzeżom, gdzie czekały na nich statki i łodzie, by przewieźć to wszystko przez Koński Bród na zachodnie ziemie Imperium.

Rzymianie, jako część Imperialnej Gwardii Mavrikiosa, nie musieli długo czekać na przeprawę. Wszystko przebiegło tak gładko, jak to tylko było możliwe, z wyjątkiem Viridoviksa. Nieszczęsny

Celt spędził całą podróż — na szczęście dla niego trwającą niecałe pół godziny — przechylony przez reling galery i bezradnie wymiotujący.

— Zdarza się to za każdym razem, kiedy jestem na wodzie — jęknął pomiędzy skurczami. Zwykła czerstwość zniknęła z jego twarzy, pozostawiając go bladym jak brzuch ryby.

— Jedz suchary rozkruszone w winie — zalecił Gorgidas — albo, jeśli chcesz, mam wywar z opium, który pomoże, choć po zażyciu będziesz senny przez dzień lub coś koło tego.

— Jeść... — Samo słowo wystarczyło, by Gal na chwiejnych nogach potoczył się ku relingowi. Kiedy skończył, odwrócił się do Gorgidasasa. Łzy niedoli błyszczały w jego oczach. — Dziękuję waszej czcigodności za radę i za wszystko, ale już za późno, by mi to cokolwiek pomogło. Suchy ląd — niech będzie błogosławiony — pod stopami, posłuży mi lepiej niż jakiegokolwiek panaceum, które kiedykolwiek zrobiłeś. — Złapał się za brzuch, gdy kolejna fala uniosła łagodnie dziób statku.

Ze swymi małymi portami, przedmieścia Videssos na zachodnim brzegu Końskiego Brodu nie mogły marzyć o uporaniu się z lawiną statków, która się na nie zwała. Stolica pełniła rolę głównego portu Imperium i, zazdrosna o swoją pozycję, pilnowała, by żadne z pobliskich miast nie mogło odebrać jej płynących z tego korzyści.

Niemniej jednak armada ostrodziobych, wąskich galer, statków handlowych, łodzi rybackich, szkut i rozmaitych pstrych stateczków nie musiała czekać na redzie, by wylądować przewożoną armię. Videssańskie statki, tak jak te, które budowali Rzymianie, nawet w przypadku największych jednostek były na tyle małe i lekkie, by bez obawy uszkodzenia mogły osiąść na mieliźnie. Na odcinku długości kilku mil w górę i w dół brzegu wiosła wprowadziły statki na przybrzeżne płycizny, tak że ludzie i zwierzęta mogli, brnąc przez pianę przyboju, wydostać się na brzeg. Marynarze i żołnierze przeklinali razem, gdy mozolili się przenosząc ładunek ze statków na ląd. Pozbawione ładunku, tym samym lżejsze statki, można było łatwiej zepchnąć z mielizny na pełną wodę.

Viridoviks tak bardzo pragnął wydostać się na ląd, że przeskoczył przez reling, zanim statek na dobre osiadł na mieliźnie, i z pluskiem runął do wody, zanurzając się w niej po szyję. Przeklinając po galijsku, wygramolił się na plażę, gdzie wyciągnął się jak długi tuż poza zasięgiem fal. Przytulił się do złotego piasku jak do kochanki. Nie tak wymęczeni, a stąd bardziej cierpliwi, Rzymianie podążyli jego śladem.

Imperatorska galera dobiła do brzegu niedaleko miejsca, gdzie wylądowali Rzymianie. Pierwsi zeszli z niej — nigdy go nie odstępujący — halogajscy gwardziści Mavrikiosa. Tak jak Rzymianie, opuścili swój statek schodząc po drabinkach sznurowych i sieciach przerzuconych przez burtę. Potem, czujni jak zawsze, pospiesznie zajęli pozycje zabezpieczające przed jakąkolwiek niespodziewaną, zdradziecką napaścią.

Jednak dla Imperatora, nawet takiego, który przywiązywał do ceremonii tak wielką wagę jak Mavrikios Gavras, złażenie po linie nie było odpowiednim sposobem zejścia na ląd. Gdy tylko

gwardziści zajęli pozycje, ze statku przerzucono na plażę pomost z połączonych desek. Lecz kiedy Imperator miał zstąpić na piasek, jego obuta stopa przydepnęła skraj długiej, purpurowej togi. Mavrikios potknął się i wylądował na plaży na czworakach.

Zarówno Rzymianie, Halogajczycy, jak i videssańscy marynarze wytrzeszczyli na to oczy z przerażeniem. Jaki znak mógł wróżyć gorzej dla kampanii niż to, że jej dowódca upadł, nim się jeszcze zaczęła?

Lecz Mavrikios stanął na wysokości zadania. Unosząc się na kolana, podniósł do góry dwie pięści pełne piasku i rzekł głośno: — Videssos, dźierzę cię mocno! — Powstał i zajął się swoimi sprawami, jak gdyby nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego.

I, po chwili czy dwóch, to samo uczynili ludzie, którzy byli świadkami wypadku. Szybka orientacja Imperatora pozwoliła zmienić zły omen w dobry. Rozmawiając wieczorem o tym wydarzeniu, Gajusz Filipus złożył Mavrikiosowi wyrazy swego najwyższego uznania. — Cezar — oświadczył stary weteran — nie mógłby zrobić tego lepiej.

Jak mnóstwo małych potoków zlewających się, by utworzyć wielką rzekę, tak oddziały videssańskiej armii gromadziły się na zachodnim brzegu Końskiego Brodu. Przemieszczenie armii ze stolicy okazało się daleko łatwiejsze, niż spodziewał się tego Marek. Jak się wydawało, organizacja, która stanowiła tak istotną część życia Imperium, ostatecznie dawała jakieś korzyści.

Ta organizacja pokazała swoje zalety ponownie, kiedy rozpoczął się marsz do Garsavru. Skaurus wątpił, czy Rzym zdołałby zapewnić tak ogromnej armii żywność bez łupienia wsi, i wydał swoim ludziom surowe rozkazy zakazujące plądrowania. Lecz grabież dla zdobycia żywności nigdy nie stała się koniecznością. Yezda nie posunęli się jeszcze tak daleko na wschód i miejscowi urzędnicy nie mieli kłopotów, by zaopatrzyć armię i towarzyszące jej osoby w produkty w ilościach odpowiednich dla ich potrzeb. Zboże dostarczały wozy zaprzężone w woły i barki rzeczne, razem ze stadami bydła i owiec przeznaczonymi na mięso.

Myśliwi uzupełniali zaopatrzenie armii w mięso zwierzyną płową i dzikami. W przypadku tych ostatnich bywały chwile, kiedy Skaurus nie miał całkowitej pewności, czy świnie naprawdę były dzikie. Trzoda hodowana przez Videssańczyków miała ze swymi dzikimi kuzynami szczupłą, wysmukłą budowę, pasek szczeciniastej sierści na grzbietach i dzikie usposobienie. Kradzież którejś z domowych świń mogła dać grupie myśliwych równie radosne chwile, co pościg za dzikiem. Trybun za bardzo cieszył się ogryzając z kości tłuste, smakowite mięso, by zbyt długo martwić się jego pochodzeniem.

Pierwszy etap marszu z miasta był czasem osvajania się; czasem, by żołnierze, którzy zbyt długo przebywali w wygodnych kwaterach, przypomnieli sobie, za co biorą żołd. Bowiem pomimo całej musztry i wszystkich pozorowanych walk, przez które dzięki Gajuszowi Filipusowi przeszli Rzymianie, nie byli oni tak do końca tą samą twardą, wygłodzoną zgrają, która walczyła w Galii.

Od tamtego czasu każdy z nich musiał popuścić pas o dziurkę czy dwie i, przede wszystkim, odwykli od całodziennego marszu; nawet w tak wolnym tempie jak tempo armii, której towarzyszyli.

Pod koniec każdego z kilku pierwszych dni po opuszczeniu stolicy, legionieści cieszyli się mogąc osunąć się na ziemię i spróbować wetrzeć z powrotem nieco życia w bolące łydki i uda. Gorgidas i inni medycy mieli pełne ręce roboty lecząc pęcherze, które smarowali gęstą maścią ze smalcu zmieszanego z żywicą, na co zakładali opatrunek z miękkich, puszystych wełnianych bandaży obficie zroszonych oliwą i winem. Żołnierze przeklinali ściągające działanie opatrunku, lecz służyło im to dobrze, dopóki ich stopy nie zaczęły ponownie twardnieć.

Marek spodziewał się tego wszystkiego, więc żadna z tych rzeczy nie wytrąciła go z równowagi. Nie przewidział jednak zupełnie, z jaką urazą jego Rzymianie potraktują wezwanie do zakładania na każdą noc przepisowego legionowego obozu. Codzienne usypywanie szańców nie przemawiało do nich po wygodnych miesiącach spędzonych w stałych koszarach Videssos.

Gajusz Filipus zmusił żołnierzy do posłuszeństwa przez pierwsze trzy noce marszu, lecz było to coraz bardziej ponure, coraz bardziej wymuszone posłuszeństwo. Trzeci wieczór wpędził go w chrypkę, wściekłość i rosnącą rozpacz. Następnego dnia deputacja legionistów przysłała do Skaurusa za skargą. Gdyby to byli ludzie uchylający się od obowiązków lub niewiele warci, załatwiłby sprawę krótko, karząc ich i nie słuchając ani przez chwilę. Lecz wśród dziewięciu nerwowych żołnierzy — po jednym z każdego manipułu — znajdowali się najlepsi jego ludzie, łącznie z mężnym Minicjuszem. Postanowił ich wysłuchać.

Po pierwsze, powiedzieli, żaden z innych oddziałów imperialnej armii nie robi niczego podobnego na miejscu nocnego postoju. Wiedzą, że są w głębi videssańskiego terytorium i ich namioty wyrastają w radosnym, przypadkowym nieładzie, gdziekolwiek ich oficerom spodoba się je rozbić. Co gorsza, w przepisowym rzymskim obozie nie ma miejsca dla kobiet, a wielu legionistów chce spędzać noce z towarzyszkami, które znaleźli sobie w Videssos.

Trybun nie potrafił znaleźć zrozumienia dla pierwszego z tych argumentów. Powiedział: — To, co robi reszta armii, to jej rzecz. Niezwykle łatwo popaść w lenistwo, kiedy sprawy mają się dobrze, i nie zawracać sobie głowy ponownym zaostreniem dyscypliny — dopóki to nic nie kosztuje, a potem jest już za późno na cokolwiek. Wszyscy jesteście weteranami; dobrze wiecie, że to, co mówię, jest prawdą. Musieli potakująco skinąć głowami. Minicjusz, człowiek

o grzmiącym głosie i swobodnym zachowaniu, stłumionym teraz nienormalną sytuacją, w jakiej znalazł się z własnej woli, rzekł nieśmiało: — To nie o samą pracę nam chodzi, panie. Idzie o to, że... gdy obóz już powstanie, to jest jak więzienie, nie można z niego wyjść. Moja kobieta jest w ciąży

1 martwię się o nią. — Jego towarzysze mruknęli potakująco; przenosząc wzrok z jednego na drugiego, Marek stwierdził, że niemal wszyscy z nich są związani z kobietami.

Rozumiał, co czują. Przez parę ostatnich nocy spał niespokojnie wiedząc, że Helvis znajduje się zaledwie kilkaset kroków od niego, lecz nie chciał dawać swoim żołnierzom złego przykładu, łamiąc dyscyplinę dla zaspokojenia własnych pragnień.

Zastanowił się nad tym przez parę chwil; kobiety towarzyszyły mniej niż jednej trzeciej Rzymian. Gdyby grupa licząca około stu osób opuszczała obóz co noc, to każdy żołnierz mógłby widzieć się ze swoją ukochaną mniej niż dwa razy w tygodniu. Podwyższone morale w szeregach jego ludzi prawdopodobnie opłaciłoby z nawiązką koszt drobnego rozluźnienia dyscypliny.

Przekazał legionistom swoją decyzję, dodając: — Oczywiście, zezwolenie zostanie udzielone tylko po spełnieniu wszystkich należnych obowiązków.

— Tak, panie! Dziękujemy, panie! — odpowiedzieli, szczerząc zęby z ulgi, że nie rozkazał zakuć ich w kajdany.

Wiedział, że nie może pozwolić, by sądzili, iż mogą naruszyć hierarchię służbową z powodu byle zachcianki. Zakaszlał sucho i przyglądał się, jak uśmiechy znikają z ich twarzy. — Wszyscy zostajecie ukarani grzywną w wysokości dwutygodniowego żołdu, za poruszenie tej sprawy bez zezwolenia waszych oficerów — powiedział. — Uważajcie, by to już się nie powtórzyło.

Przyjęli grzywnę bez szmeru, wciąż w strachu, że może wymierzyć im daleko surowszą karę. Zgodnie z prawem legionistów mógł skonfiskować ich dobytek, wychłostać, albo poddać *fustuario* — rozkazać, by towarzysze broni pobili ich maczugami i ukamienowali na śmierć. Kiedy warknął: — Wyoście się stąd! — powpadali na siebie, pospiesznie opuszczając jego namiot. Pod pewnymi względami rzymska dyscyplina wciąż trzymała legionistów mocno w swych korbach.

Rozkaz wykonano skrupulatnie i narzekanie w szeregach ucichło albo przeistoczyło się w zwyczajne zrzędzenie, jakie istnieje w każdej armii od początku czasu. — Przypuszczam, że musiałeś to zrobić — rzekł Gajusz Filipus — lecz dalej mi się to nie podoba. Może na krótką metę coś się zyskuje, j lecz w ostatecznym rozrachunku wszystko, co narusza] dyscyplinę, jest złe.

— Myślałem o tym — przyznał Skaurus — lecz jest j dyscyplina i dyscyplina. By zachować rzeczy najistotniejsze, musisz poświęcić te, które takimi nie są. Ludzie muszą nieustannie myśleć o sobie jako o Rzymianach i *chcieć* myśleć w taki sposób, bo w przeciwnym razie ich — i nas — czeka zguba. Jeśli zdecydują, że woleliby raczej wymknąć się cichaczem i zostać rolnikami na wsi, co zdołamy na to poradzić? Gdzie znajdziemy legiony, generałów, Senat do wsparcia naszej rzymskiej dyscypliny? Czy myślisz, że Videssańczyków cokolwiek obchodzą nasze sprawy? Nie mogę rozkazać, byśmy czuli jak Rzymianie; to *musi* być wewnątrz każdego z nas.

Gajusz Filipus spojrział na niego jak Videssańczyk postawiony nagle w obliczu herezji. Centurion starał się — i, w znacznej mierze, reszta legionistów również — na tyle na ile mógł nie zauważać faktu, że Rzym zniknął z jego życia na zawsze. Skaurus mówiący otwarcie o tym, o czym on nie próbował nawet myśleć, wstrząsnął jego światem. Potrząsając głową wyszedł z namiotu trybuna.

Parę minut później Marek usłyszał go, jak łaje jakiegoś nieszczęsnego żołnierza za plamkę rdzy na nagolenniku. Skaurus skrzywił się. Dałby wiele, żeby równie łatwo mógł pozbyć się własnych trosk.

Zgoda na opuszczanie przez Rzymian obozu nocą okazała się korzystna również ze względu, o którym trybun nie pomyślał, kiedy się na to decydował. Włączyło to ich znowu w główny strumień armijnych plotek, równie niezmienny jak ów, który przepływał przez stolicę. Kobiety słyszały wszystkie nowiny, prawdziwe czy nie, i stąd też słyszeli je towarzyszący im legionieści. Z tego to właśnie źródła Skaurus dowiedział się, że Ortaias Sphrantzes wciąż przebywa z armią. Stwierdził, że trudno mu w to uwierzyć, wiedząc o wzajemnej odrazie, jaką czuli do siebie Gavrasowie i Sphrantzesowie, lecz musiał uznać prawdziwość tej pogłoski, kiedy następnego nocy idąc do Helvis niemal zderzył się ze spathariosem.

— Wybacz, proszę — rzekł młody Sphrantzes, ustępując mu z drogi. Tak jak wówczas, kiedy obserwował musztrę Rzymian i gdy złażał go Gajusz Filipus, tak i teraz miał pod pachą gruby tom. — Tak, to znowu o sztuce dowodzenia Kalokyresa — powiedział. — Muszę nauczyć się tak wielu rzeczy i tak niewiele mam na to czasu.

Myśl o Ortaiasie Sphrantzesie jako dowódcy wystarczyła, by odebrać trybunowi mowę. Musiał jednak unieść brew, ponieważ Ortaias powiedział: — Żałuję tylko, mój przyjacielu Rzymianinie — uważnie wypowiedział to słowo — że wasza straszliwa piechota nie znalazła się pod moim dowództwem.

— O? A co to za dowództwo, panie? — zapytał Marek, przypuszczając, że Mavrikios mógł dać młodzieńcowi kilka setek Khamorthów do zabawy. Odpowiedź wstrząsnęła każdą cząsteczką jego ciała.

— Mam dowodzić lewym skrzydłem — odparł z dumą Sphrantzes — podczas gdy ^Imperator dowodzić będzie środkiem, a jego brat prawym skrzydłem. Zetrzemy w puch wroga! W puch! Teraz musisz mi niestety wybaczyć; studiuje właśnie odpowiednie manewry ciężkiej kawalerii w obliczu wroga. — I świeżo mianowany marszałek polny zniknął w ciepłym zmierzchu, kartkując księgę w poszukiwaniu potrzebnego miejsca.

Tej nocy Helvis narzekała, że Skaurus jest myślami gdzie indziej.

Rankiem trybun przekazał Gajuszowi Filipusowi tę okropną wieść. Starszy centurion złapał się rękoma za głowę. — Gratulacje — rzekł. — Właśnie spaskudziłeś mi śniadanie.

— Wydaje się mieć dobre intencje — powiedział Marek, usiłując znaleźć jaśniejszą stronę całej sprawy.

— Tak samo jak lekarz leczący kogoś chorego na dżumę. Nieszczęsny bękart i tak umrze.

— To nie jest dobre porównanie — zaprotestował Gorgidas. — To prawda, dżuma znajduje się poza zasięgiem moich umiejętności leczniczych, ale ja przynajmniej mam jakieś doświadczenie w

swoim zawodzie. Po przeczytaniu jednej książki medycznej nie ufałbym sobie na tyle, by leczyć zwykłą niestrawność.

— Jak każdy, kto ma odrobinę rozumu — odparł Gajusz Filipus. — Sądziłem, że Mavrikios ma dość rozumu, by nie dawać szczeniakowi trzeciej części swojej armii. Odsunął miskę z jęczmienną kaszą, jednocześnie zwracając się do Greka: — Czy możesz wyleczyć *moją* niestrawność? Bogowie widzą, że ją mam.

Gorgidas spoważniał. — Jęczmień po pszenicy, do której przywykłeś, będzie powodował niestrawność, przynajmniej tak twierdzi Hipokrates.

— Nigdy przedtem nie powodował — odparł Gajusz Filipus. — Jestem oburzony, to wszystko. Ten nieudolny pajac!

„Pajac” we własnej osobie pojawił się później tego samego dnia; najwyraźniej spotkanie ze Skaurusem przypomniało mu o istnieniu Rzymian. Sphrantzes wyglądał niezwykle dziarsko, gdy podjechał do maszerujących legionistów; jego koń drobił nogami w sposób charakterystyczny dla Videssańskich wierzchowców czystej krwi. Połączany napierśnik i hełm podkreślały jego rangę, a ciemnoniebieska opończa powiewała za nim na wietrze. Jediną skazę w obrazie wojskowego wigoru stanowiła książka, którą ścisnął pod lewym ramieniem.

Zrównawszy się z czołem kolumny Rzymian, Sphrantzes ściągnął wodze, dostosowując krok konia do jej tempa. Nieustannie oglądał się do tyłu, jak gdyby badając wzrokiem kolumnę legionistów. Wroga ciekawość Gajusza Filipusa wkrótce wzięła górę. Zapytał: — Co możemy zrobić dzisiaj dla ciebie, panie? — Jego ton przeczył tytułowi, jakim obdarzył Sphrantzesa.

— Co? — Ortaias mrugnął. — Och, rzeczywiście — powiedz mi, jeśli możesz, czy to są sztandary, pod którymi walcycie? — Wskazał na dziewięć wysokich *signa*, które z dumą dzierżyli chorążowie każdego z dziewięciu manipułów. Każde *signum* wieńczyła otwarta dłoń w wieńcu laurowym, symbolizująca oddanie służbie.

— Tak. I co z tego? — odpowiedział szorstko Gajusz Filipus.

Marek zrozumiał, dlaczego ten temat jest tak bolesny dla centuriona. Wyjaśnił Sphrantzesowi: — Byliśmy tylko oddziałem większej jednostki, której godłem jest orzeł. Nie mamy tutaj orła i ludzie bardzo za nim tęsknią.

Nie oddawało to istoty rzeczy, lecz żaden Videssańczyk nie potrafiłby zrozumieć uczucia, jakim każdy legion darzył swego orła, święty symbol samej jego istoty. Podczas zimy w Imbros mówiono o zrobieniu nowego orła, lecz żołnierze nie odnieśli się do tego z sercem. Ich *aquila* pozostał w Galii, przypadły dla nich na zawsze, lecz nie chcieli innego. Pomniejsze *signa* będą musiały wystarczyć.

— Niezwykle interesujące — stwierdził Ortaias. Jednak jego zainteresowanie sztandarami Rzymian wynikało z czegoś innego. — Czy zawsze pod każdym znakiem grupujecie taką samą liczbę

żołnierzy?

— Oczywiście — odparł Skaurus, nie wiedząc, do czego zmierza Ortaias.

— A dlaczego by nie? — dodał centurion.

— Przepraszam na chwilę — rzekł Sphrantzes. Zjechał z linii marszu Rzymian, tak że mógł zatrzymać konia i skorzystać z obu rąk do przewertowania swego tomu. Kiedy znalazł potrzebny mu fragment, ponownie podjechał do Rzymian.

— Cytuję z Kalokyresa — powiedział. — Księga pierwsza, rozdział czwarty, ustęp szósty: „Konieczne należy zadbać o to, by stan liczebny poszczególnych kompanii różnił się od siebie, żeby przeciwnik, licząc sztandary, nie mógł wyrobić sobie dokładnego pojęcia o ich liczebności. Zwrócić uwagę na tę okoliczność: jak powiedzieliśmy, kompania nie powinna liczyć więcej niż czterystu ani mniej niż dwustu ludzi”. Oczywiście, wasze oddziały są mniejsze niż te, o których traktuje Kalokyres, lecz zasada, powiedziałbym, pozostaje taka sama. Życzę wam dobrego dnia, panowie. — I odjechał, pozostawiając za sobą oniemiałych Rzymian.

— Wiesz — rzekł w końcu Gajusz Filipus — że to wcale nie jest taka głupia myśl?

— Bo nie jest — potwierdził Marek. — W rzeczywistości jest całkiem mądra. Jak jednak, u licha, Ortaias Sphrantzes w ogóle wpadł na to?

— To nie jest tak, jak gdyby on sam to wymyślił — odparł centurion, próbując w jakiś sposób pokryć zmieszanie. — Ten Kalo—jak—mu—tam musiał mieć głowę na swoim miejscu. Tak, tak. — Próbował pocieszyć się tą myślą, lecz wciąż wyglądał na wstrząśniętego.

Viridoviks obserwował całą tę wymianę zdań z ogromną uciechą.

— Oto i on, człowiek, który wysłał żołnierkę z mlekiem matki — sama była centurionem, nie wątpię — rzucony na kolana przez największego cymbała, jaki wylął się na tym świecie. To wszystko dowodzi, że celtycki sposób walki jest najlepszy — dostań się tam i zrób to, ponieważ im więcej myślisz, w tym większe pakujesz się tarapaty.

Gajusz Filipus był zbyt mocno zakłopotany, by się kłócić. — Och, zamknij się — burknął. — Gdzie się podział Gorgidas? Znowu rozbolał mnie żołądek.

Nadbrzeżna równina, rozciągająca się pomiędzy przedmieściami Videssos na zachodnim brzegu Końskiego Brodu a miastem Garsavra, należała do najżyźniejszych ziem, jakie kiedykolwiek widzieli Rzymianie. Glebę stanowił miękki, ilasty czarnoziem, który kruszył się łatwo w rękę i pachniał intensywnie, niemal jak mięso, w swej obietnicy bujnych plonów. Mnóstwo rzek i mniejszych potoków spływało z centralnego płaskowyżu, tak by ziemia mogła spełnić swoją obietnicę. Ciepłe deszcze, przynoszone tutaj przez wiatr wiejący stale od Morza Żeglarzy, zraszały tych parę skrawków, które rzeki omijały.

Okropne przepowiednie pogody Viridoviksa, poczynione przed paroma miesiącami, sprawdziły

się z nawiązką. Było tak upalnie i wilgotno, że ziemia parowała każdego ranka, kiedy słońce wznosiło się znad horyzontu. Błazi Halogajczycy, przyzwyczajeni do chłodnego, chmurnego lata swej północnej ojczyzny, cierpieli bardziej niż inni; każdego dnia mdleli w swych zbrojach i musiano ich cucić, chlując im w twarz wodą z hełmów.

— Był czerwony jak gotowany rak — powiedział Viridoviks o jednym z tych, którzy doznali porażenia słonecznego.

Gorgidas spojrział na niego spod uniesionej brwi. — Sam wyglądasz wcale nie lepiej — powiedział. — W czasie marszu zamiast hełmu lepiej noś sukienny kapelusz.

— Dajże mi spokój — zaprotestował Celt. — Trzeba czegoś więcej niż odrobiny słońca, żeby mnie powalić. — Lecz Skaurus zauważył, że postąpił zgodnie z radą lekarza.

Przy doskonałej glebie, obfitości wody i upalnym słońcu nic dziwnego, że tutaj znajdował się spichlerz Imperium. Ziemię okrywał płaszcz roślin uprawnych w rozmaitych odcieniach zieleni. Ciągnęły się tutaj pola pszenicy, prosa, owsa i jęczmienia, i inne, gdzie rósł len i bawełna, którą Gorgidas uparcie nazwał „ziemną wełną”. Sady rodziły figi, brzoskwinie, śliwki i egzotyczne owoce cytrusowe. Jako że żadne z tych ostatnich nie były pospolite na zachodnim obszarze Morza Śródziemnego, Marek miał kłopoty z odróżnieniem jednych od drugich — dopóki nie wgrzył się w cytrynę, sądząc, że to pomarańcza. To go nauczyło.

Winnice występowały tutaj rzadko; przeszkadzała zbyt żyzna gleba i zbyt duża obfitość wody. Skaurus nie widział też zbyt wielu drzew oliwnych, aż do chwili, kiedy mniej więcej dzień drogi od Garsavru teren nie zaczął wznosić się ku płaskowyżowi.

Lud, który uprawiał tę żyzną równinę, okazał się dla trybuna takim samym objawieniem jak jego kraj. Nigdy nie widział ludzi tak cichych, statecznych i pracowitych jak tutejsi. Przywykł do krzykliwych mieszkańców stolicy Videssos, z ich hałaśliwym, nie baczącym na nic sposobem chodzenia, z ich butnym mniemaniem o swej wyższości nad resztą rodzaju ludzkiego i z ich nieustanną huśtawką nastrojów. Niejednokrotnie zastanawiał się, w jaki sposób Imperium potrafiło rozwijać się w dobrobycie przez tak wiele stuleci, mając za budulec tak niesforny materiał.

Ubawiło to Gorgidasę, kiedy powiedział mu o tym któreś nocy. Grecki lekarz zawsze brał udział w nie kończących się rozmowach toczonych wokół ognisk obozowych Rzymian. Rzadko opuszczał obóz po zapadnięciu zmierzchu. Skaurus wiedział, że Gorgidas nie ma kobiety, lecz wykorzystuje towarzystwo legionistów, by nie dopuszczać do siebie uczucia osamotnienia.

Teraz zauważył: — Równie dobrze mógłbyś osądzić Italię według pieczeniary tłoczących się w sądach Rzymu. Od chwili, kiedy Videssos ma swoje imperium, imperatorzy psuli mieszkańców stolicy, by zyskać sobie ich przychyłność. Zresztą trudno ich za to winić — sądząc z zamieszek sprzed kilku tygodni odpowiedzieliby głową, gdyby przestali rozpieszczać spóółstwo. Nie zapominaj; Imperium trwa już bardzo długo; mieszkańcy stolicy uważają luksus za należne im prawo.

Trybun przypomniał sobie narzekania Katona ponad wiek przed jego urodzeniem, że piękny chłopiec może kosztować więcej niż działka ziemi, a dzban zagranicznego pachnidła więcej niż oracz. Rzym nie mniej polubił przyjemności w ciągu minionych lat. Jak brzmiał ten dowcip o Cezarze powtarzany za Kurionem Starszym? — że jest „mężem wszystkich kobiet i żoną wszystkich mężczyzn”. Skaurus potrząsnął głową, zastanawiając się, jaki będzie Rzym po stuleciach występowania w roli stolicy imperium.

Garsavrowi, do którego armia dotarła dziewiątego dnia od opuszczenia Videssos, daleko było do pozycji imperialnej stolicy. W rzeczywistości miasto było jeszcze mniejsze niż Imbros. Dzięki swemu położeniu u zbiegu rzek stanowiło centrum handlowe dla znacznej części zachodnich ziem. Niemniej jednak, kiedy siły ekspedycyjne rozłożyły się obozem wokół miasta, zwiększyło to ponad dwukrotnie liczbę mieszkańców Garsavru.

Kontury miasta miały w sobie coś dziwnego. Marek nie potrafił dokładnie określić, na czym polega owa osobliwość. Za to Gajusz Filipus nie miał żadnych wątpliwości. — Niech mnie diabli porwą! — powiedział. — To cholerne miasto nie ma murów!

Miał rację; domy Garsavru, jego sklepy i publiczne budowle stały odsłonięte przed otaczającym je światem, bezbronne wobec jakiegokolwiek ataku. Bardziej niż cokolwiek innego, co dotychczas widział w Imperium, unaocznilo to Markowi osiągnięcia Videssos. Imbros, nawet sama stolica, musiały odpierać barbarzyńców z pomocy, lecz kraj, który osłaniały, zaznawał spokoju od tak dawna, że nawet zapomniał o fortyfikacjach.

Ze swym umysłem drapieżcy, Viridoviks natychmiast dostrzegł drugą stronę medalu. — Czy to nie będą rozkoszne chwile dla Yezda, kiedy rzucą się na miasto takie bezbronne i odsłonięte? Doprawdy, grzbiety ich biednych koników nie wytrzymają ciężaru łupów, które stąd wyniosą.

Mysł o wilkach Avshara pustoszących tę spokojną, żyzną krainę wystarczyła niemal, by Skaurus poczuł się fizycznie chory. Jak złośliwe dzieci wpuszczone do garncarni, tak oni mogli w ciągu paru chwil zniszczyć to, czego stworzenie wymagało całych lat i tylko rozkoszowałiby się dziełem zniszczenia.

— Właśnie dlatego nam płacą — rzekł Gajusz Filipus — żebyśmy umierali, aby oni dalej mogli żyć szczęśliwi i tłuści.

Słowa Gajusza Filipusa podziałały na Marka niewiele lepiej niż uwaga Viridoviksa. Nie były też tak do końca sprawiedliwe; Videssańczycy tworzyli bez porównania największą część armii Mavrikiosa, a jeszcze kilka tysięcy rodzimych żołnierzy czekało już tutaj na przybycie Imperatora.

Jednak w cynicznych słowach centuriona kryło się ziarno prawdy. Ludzie Baanesa Onomagoulo-sa, zmobilizowani żołnierze—chłopi zamieszkujący ten rolniczy okręg, aż nadto wyraźnie przedkładali uprawę roli nad żołnierkę. Ich wierzchowce stanowiły kolekcję ruchomych przynęt na sępy, ekwipunek mieli stary i ubogi, a o musztrze można było powiedzieć tylko tyle, że o niej słyszeli.

Ich dowódca był znowu zupełnie kimś innym; generałem z tej samej szkoły, z której wyszedł Mavrikios Gavras. Skaurus miał okazję przyjrzeć mu się dobrze podczas przeglądu wojska, jaki Imperator zarządził na powitanie nowego kontyngentu dołączającego do jego armii. Onomagoulos przejechał obok Rzymian zmierzając do Mavrikiosa; co jakiś czas spinał konia ostrogą, by wierzchowiec stawał dęba. Nie należał do olbrzymów, jednak sposób w jaki siedział na koniu oraz rysy jego jastrzębionosej twarzy wskazywały, że jest zahartowanym wojownikiem. Dawno już przekroczył czterdziestkę; lata zmiotły większość włosów z jego głowy, lecz ani ich resztki, ani spiczasta bródka nie zostały przyprószone siwizną.

Protokół wymagał, by zatrzymał wierzchowca, zeskoczył z siodła i oddał hołd przed zwróceniem się do Imperatora. Zamiast tego podjechał prosto do Mavrikiosa, który również dosiadł konia, i zawołał: — Gavras, ty stary bękarcie, co się z tobą działo?

Marek oczekiwał, że świat rozpadnie się na kawałki, albo że przynajmniej Halogajczycy stojący u boku Imperatora rozedrą świętokradcę na strzępy. Niektórzy z młodszych gwardzistów sięgnęli do mieczy, lecz Czerwony Zeprin nie spuszczał oczu z Mavrikiosa. Widząc, że Imperator nie jest zły, oficer najemników uczynił szybki gest ręką i jego ludzie odprężyli się.

Gavras uśmiechnął się z przymusem. — Wciąż byłem zajęty — zwykle zbyt zajęty. Może mimo wszystko ty powinieneś mieć tę posadę. — Wysunął się z koniem naprzód i klepnął Onomagoulosa po plecach. Onomagoulos zamierzył się leniwie na Imperatora, który uchylił się, już z szerszym uśmiechem na twarzy.

Trybun nagle zrozumiał bardzo wiele. Dla Baanesa Onomagoulosa Mavrikios Gavras nie był dalekim, wszechwładnym monarchą, lecz równym mu człowiekiem, któremu powiodło się w życiu — jak ktoś, komu poszczęściło się w miłości — i Skaurus pomyślał o Helvis, czując jak ogarnia go przelotna fala żaru. Zastanowił się, jak długo znają się ci dwaj wodzowie i co musieli razem widzieć, że ich przyjaźń oparła się wyzwaniu rzuconemu przez imperatorską pozycję Mavrikiosa.

Baanes spojrzał na Thorisina i zapytał: — A jak ty się masz, szczeniaku?

— Nie najgorzej — odpowiedział Sevastokrata. Jego głos nie był tak ciepły jak głos Mavrikiosa. Marek zauważył, że nie uczynił żadnego ruchu, by dołączyć do Baanesa i Imperatora.

— „Szczeniak”, słyszałeś? — tchnął Skaurusowi w ucho Viridoviks. — To musi być rzadkiej śmiałości człowiek, żeby tak nazywać Thorisina Gavrasa, pamiętając o tym, jaki tamten jest zادیorny i w ogóle.

— Onomagoulos prawdopodobnie zna go od czasu nim jeszcze umiał chodzić — odparł szeptem Rzymianin.

— To tym większy powód, by takie nazwanie teraz go rozjątrzyło. Nie masz starszego rodzeństwa, jak sądzę?

— Nie — przyznał Skaurus.

— Nie ma niczego gorszego niż przyjaciele twojego starszego brata. Pierwsze co w tobie widzą, to maleńki, zasmarkany brzdąc i nigdy tego nie zapominają, nawet kiedy jesteś wyższy od nich wszystkich. — W głosie Celta zabrzmiała uraza, jaką Marek rzadko miał okazję u niego słyszeć; kiedy się obejrzał zobaczył, że Viridoviks bez reszty sposepniał, jakby przeżywając jakieś wspomnienie, którego smaku nie znośił.

Rzeka Arandos spływała z płaskowyżu na równiny ciągiem katarakt, obok których armia musiała przejść w swej drodze na zachód. Pieniąc się na wielkich głazach zalegających łożysko, Arandos ciskał tęczący pył wodny na setki stóp wzdłuż obu brzegów. Maleńkie kropelki, wysychające na twarzach żołnierzy brnących na zachód, stanowiły dla nich niemal jedyną ulgę w palącym upale.

Centralne wyżyny różniły się zupełnie od soczystych, nadbrzeżnych równin. Ziemia była spieczona na brudny, szarobrunatny kolor i pocięta żlebami, suchymi przez dziewięć dziesiątych części roku, a w dziesiątej zmieniającymi się w rozszalałe potoki. Pszenica rosła tu również, lecz bardzo niechętnie w porównaniu z orgią żyzności na wschodzie.

Znaczne obszary kraju były zbyt nieurodzajne dla jakichkolwiek upraw, potrafiąc wyżywić jedynie lichą trawę i kolczaste krzewy. Pasterze pędzili ogromne stada owiec, bydła i kóz przez niegościnne ziemie, żyjąc bardziej jak koczowniczy Khamorthci niż jak mieszkańcy innych rejonów Imperium.

Tutaj po raz pierwszy zaczęły dawać o sobie znać problemy z zaopatrzeniem, których obawiał się Marek. Chleb z nizin wciąż podążał za armią w górę Arandos, transportowany przez bystrzyny. To pomagało, ponieważ dostawy miejscowej mąki i zboża dochodziły nieregularnie i w niewystarczających ilościach. Część braków uzupełniano zwierzętami ze stad, co dało Rzymianom powód do narzekań. Podczas kampanii woleli dietę w przeważającej mierze wegetariańską czując, że spożywanie zbyt dużych ilości mięsa rozgrzewa ich, czyni ociężałymi i powolnymi.

Większość Videssańczyków, przyzwyczajonych do klimatu Italii, również gustowała w oszczędnej, wegetariańskiej diecie. Natomiast Halogajczycy i ich kuzyni z Namdalen obzerali się pieczoną baraniną i wołowiną — i, jak zawsze, cierpieli z powodu upału bardziej niż reszta armii.

Khamorthci jedli wszystko co się nadawało do jedzenia i nie narzekali.

Z każdym dniem, który mijał, Marek odczuwał coraz większą wdzięczność do Arandos. Bez niego i jego rzadkich dopływów płaskowyż byłby pustynią, na której nic nie zdołałoby przeżyć. Jego wody były obrzydliwie ciepłe i niekiedy muliste, lecz nigdy ich nie brakowało i nigdy nie stawały się zatechłe. W skwarne popołudnie trybun nie potrafił wyobrazić sobie niczego wspanialszego niż nabranie pełnego hełmu wody i wylanie jej sobie na głowę. Jednak powietrze tak było spragnione wilgoci, że pół godziny później musiał robić to znowu.

W połowie trzeciego tygodnia marszu armia zaczęła stawać się prawdziwą jednością, nie

pstrokatą zbieraniną wojsk, która wyruszyła z Videssos. Mavrikios przyspieszył ten proces serią ćwiczeń, ustawiając na gwałt kolumny marszowe w szyku bojowym, rozkazując im bronić się przed atakiem od czoła, to znów z prawej czy lewej flanki.

Manewry przeprowadzane w takim upale wyczerpywały, lecz ludzie zaczęli poznawać się nawzajem i dowiadywać, czego w bitwie mogą oczekiwać od swoich towarzyszy: niezłomnej odwagi Halogajczyków, niezawodności Rzymian, druzgocących szarż Namdalajczyków, zaciętości małych kompanii lekkiej konnicy z Khatrish, szybkości i okrucieństwa oddziałów Khamorthów oraz wszechstronnej fachowości Videssańskiego trzonu armii — choć nie tak wyspecjalizowani w swych technikach wojennych jak ich sprzymierzeńcy, Videssańczycy przewyższali wszystkie inne kontyngenty swoją uniwersalnością.

Lewe skrzydło armii wydawało się wcale nie wolniejsze w rozwijaniu szyku niż prawe czy środek, ani bardziej niezdarne w swych manewrach. Marek zaczął dopuszczać do siebie myśl, że wyrządził Ortaiasowi Sphrantzesowi krzywdę, osądzając go niesprawiedliwie. Potem, któregoś dnia, usłyszał byczy głos Nephona Khournosa ryczący na lewym skrzydle, zagłuszający popiskiwanie Sphrantzesa, lecz uważający, by każdy rozkaz poprzedzić wstępem: — Dalej, ruszać się, cymbały, słyszeliście generała. Teraz... — Po czym wykrzykiwał wszystko, co było potrzebne.

Gajusz Filipus usłyszał go również i powiedział: — Co za ulga. Teraz przynajmniej wiemy, że nasza flanka się nie rozleci.

— Zgadza się — przytaknął Skaurus. Jego uzasadniony szacunek dla rozumu Gavrasa wzrósł jeszcze bardziej. Imperator zdołał dać młodej latorośli rywalizującej frakcji stanowisko, które wydawało się potężne, lecz tak, by randze Ortaiasa nie towarzyszyła żadna władza. W pewnych okolicznościach videssańskie wyrachowanie wcale nie było godne pogardy.

Kiedy po ćwiczeniach on i jego ludzie z wolna kierowali się, by zająć wyznaczoną dla Rzymian pozycję w kolumnie marszowej, trybun spostrzegł nagle znajomą pulchną postać podskakującą na grzbiecie osła. — Nepos! — zawołał. — Nie wiedziałem, że jesteś z nami.

Thusty mały kapłan skierował swego wierzchowca ku Rzymianom. Stożkowaty słomiany kapełusz chronił jego wygoloną czaszkę przed gniewnymi atakami słońca. — Są chwile, kiedy wolałbym wykładać w Akademii — przyznał. — Dolne partie mojego ciała nie są stworzone do tego, by sterczeć całe dnie w siodle. Och, jaki paskudny kalambur. Wybaczcie, proszę — to było niezamierzone. — Przesunął się na siodle z żalosną miną, kontynuując: — Jednak poproszono mnie, bym wyruszył, tak więc jestem tutaj.

— Sądziłbym, że Imperator może znaleźć dość kapłanów do interpretowania znaków, dodawania otuchy ludziom i tym podobnych rzeczy bez odciągania ciebie od twoich badań — rzekł Gorgidas.

— I tak też jest — rzekł Nepos, zakłopotany niedomyślnością lekarza. — Robię takie rzeczy, bądź pewien, lecz one raczej nie są powodem mojej obecności tutaj.

— Więc co, wasza czcigodność? — zapytał z chytrym uśmiechem Viridoviks. — Magia?

— Cóż, oczywiście — odparł Nepos, zaskoczony, że ktoś musi go pytać o rzecz tak oczywistą. Potem jego zmarszczone czoło wygładziło się, gdy sobie przypomniał. — Racja — w waszym świecie o magii częściej się mówi, niż się ją widzi, prawda? Cóż, moi przyjaciele, odpowiedzcie mi zatem na to — jeśli nie przez magię, to jak i dlaczego stało się tak, że maszerujecie teraz przez najmniej gościnne ziemie Imperium Videssos? Czy rozmawialibyście ze mną teraz, gdyby nie magia?

Viridoviks, Gorgidas i Rzymianie znajdujący się w zasięgu głosu wyglądali na speszonych. Nepos skinął ku nim głową. — Widzę, że zaczynacie rozumieć.

Podczas gdy jego towarzysze wciąż przetrawiali słowa Neposa, Gajusz Filipus ujął istotę rzeczy. — Jeśli używacie magii w swoich walkach, czego możemy oczekiwać my, biedni śmiertelnicy? Hord demonów wrzeszczących z niebios? Ognistych kul wielkości człowieka wystrzeliwanych na nas z odległości wielu mil? Bogowie w niebiesiach, czy sama ziemia rozstąpi nam się pod stopami?

Nepos zmarszczył brwi, kiedy usłyszał, jak centurion odwołuje się do bogów, lecz z twarzy swych słuchaczy wyczytał, jak bardzo zatrważa ich perspektywa nieznanego. Zrobił więc wszystko, by ich uspokoić. — Nic tak dramatycznego, obiecuję wam. Bitewna magia to wielce niepewna rzecz — w obliczu ludzkich myśli i uczuć skupionych na walce, często nawet najpospolitsze czary zawodzą. Jeśli już

o to chodzi, to czarodzieje są często zbyt zajęci ratowaniem własnej skóry, by znaleźć spokojną chwilę potrzebną dla utkania magii.

— I musicie pamiętać — ciągnął kapłan — że obie strony będą miały swoich magów. Zwykle kończy się to tym, że nawzajem neutralizują swoją robotę i rozstrzygnięcie pozostawiają wam, uzbrojonym brutalom. Krótko mówiąc, nie macie się czego bać. Sądzę, że moi koledzy z Akademii i ja zdołamy całkiem skutecznie zaszachować naszego biegłego w czarnej magii przyjaciela Avshara, a być może i dać mu więcej, niż się spodziewa.

Nepos mówił z pewnością siebie. Jednak mimo wszystkich zapewnień kapłana o niewielkiej przydatności czarów w bitwie, Marek nie potrafił zapomnieć gadających zwłok w zbrojowni w nadmorskim murze Videssos, ani powstrzymać się przed przypominaniem sobie złowieszczych pogłosków krążących wokół imienia Avshara w związku z jego nadnaturalnym powodzeniem w dotychczasowych walkach. Jego dłoń osunęła się na rękojeść niezawodnego galijskiego miecza. Tu przynajmniej znajdowało się coś, na co mógł liczyć, że nie dopuści do niego okropieństw czarnej magii.

Pierwsze oznaki tego, że Videssos jest krajem, na który dokonano napaści, pokazały się po kilku dniach marszu na wschód od opuszczenia Amorionu. Sznur splądrowanych, spalonych wiosek mówił wyraźniej niż jakiegokolwiek słowa, że przeszli tędy rabusie z Yezd. O tym samym świadczyły porzucone zagrody oraz złupiony klasztor i jego spustoszone pola. Niektóre ślady zniszczenia były bardzo świeże; para wygłodzonych psów wciąż wałęsała się w pobliżu klasztoru, czekając na swych panów, którzy nigdy już nie mieli wrócić.

Zniszczenia, jakie koczownicy spowodowali poza klasztorem, nie były większe od zniszczeń, jakich mógł spodziewać się każdy kraj znajdujący się w stanie wojny. Jednak dla boga Imperium Yezda zarezerwowali szczególną furję. Mała kaplica przy kwaterach mieszkalnych mnichów została złośliwie zbezczeszczona. Obrazy wiszące na jej ścianach podarto na strzępy, a ołtarz porąbano i użyto na rozpałkę. Jako ostatni akt zniewagi, rabusie wprowadzili tam swoje konie.

Jeśli Yezda sądzili, że taką taktyką wzbudzą grozę w swych przeciwnikach, to się pomylili. Videssańczycy mieli już wystarczające powody, by nienawidzić swych

zachodnich sąsiadów. Teraz taka sama nienawiść została wszczepiona najemnikom, którzy czcili Phosa, ponieważ Mavrikios dopilnował, aby wszyscy jego żołnierze zajrzeli do sprofanowanej kaplicy. Imperator słowem nie skomentował tego, co tam zobaczyli. Żaden komentarz nie był potrzebny.

Zniszczenia poruszyły Marka z jeszcze jednego powodu. Już dawno zdecydował, że Yezd jest wrogiem, z którym warto walczyć. Kraj, który przyznawał tak wysokie stanowiska komuś takiemu jak Avshar, nie był krajem, w którym przyzwoici ludzie mogli mieć nadzieję na życie w pokoju.

Trybun nie uświadamiał sobie jednak jednej rzeczy — jak silne było Yezd. Imperialna armia znajdowała się niewiele dalej niż w połowie drogi do zachodniej granicy Videssos, a jednak kraj nosił już ślady ciosów, jakie koczownicy zadawali Imperium. A to, co ujrzeli dzisiaj, stanowiło tylko najslabsze, najodleglejsze dotknięcie Yezda. Jak będzie wyglądał ten kraj po jeszcze pięciu dniach marszu na zachód, albo dziesięciu? Czy tam w ogóle cokolwiek będzie rosło?

Tej nocy nikt z Rzymian nie narzekał z powodu wznoszenia zwykłych polowych fortyfikacji; z kanałem, ziemnym przedpiersiem i palisadą. Nie dostrzeżono śladu Yezda, lecz cała imperialna armia zakładała obóz tak, jakby znajdowała się we wrogim kraju.

Skaurus ucieszył się, że tej nocy na jego grupę legionistów wypadła kolej na odwiedziny u kobiet. Gdy wraz ze swymi ludźmi przechodził do obozu kobiet, przyglądał się z ukosa miejscowym wyobrażeniom tego, jak powinien wyglądać warowny obóz. Zawsze to robił.

To prawda, namioty kobiet otaczało coś w rodzaju palisady, lecz wyglądała nie lepiej niż inne tego rodzaju dzieła Videssańczyków. Było w niej zbyt wiele dużych, na chybił trafił przyciętych pni drzew — jeśliby tylko dwóch lub trzech żołnierzy wroga wpadło na to, by wyciągnąć jeden pień

spośród jego towarzyszy, w palisadzie utworzyłby się wyłom. Rzymianie natomiast mieli obowiązek noszenia po kilka żerdzi, które każdej nocy ustawiali w palisadę, przeplatając ich rozgałęzienia. Trudno je było wydobyć z ziemi, a nawet gdyby któraś została wyrwana, nie pozostawiało to luki na tyle dużej, by mógł się przez nią przecisnąć człowiek. Skaurus kilkakrotnie zwracał na to uwagę Videssańczykom; za każdym razem wydawali się zainteresowani, lecz nie zrobili nic, by to zmienić.

W ciągu pięciominutowego spaceru nerwowi wartownicy sześć razy wzywali Rzymian do opowiedzenia się. — Pomyśl trochę, głupcze! — warknął Marek do ostatniego z wzywających go wartowników. — Czy nie wiesz, że Yezda walczą konno?

— Oczywiście, panie — odpowiedział urażonym tonem wartownik. Skaurus zawahał się, a potem przeprosił. Możliwe były wszelkiego rodzaju podstępny, a ostatnią rzeczą, jaką powinien robić, to kpić z czujności żołnierzy. Nerwy miał bardziej rozstrojone, niż przypuszczał; tej nocy bardzo potrzebował spokoju, jaki mogła mu dać Helvis.

Jednak niełatwo przychodziło mu znaleźć ów spokój, choć Helvis posłała Malrika, by spał z przyjaciółmi, jakich zdobył podczas marszu. Skaurus od tak dawna nie miał zwyczaju zwierzać się komukolwiek ze swych trosk — a w szczególności kobiecie — że nie wspomniał ani słowem o dręczących go niepokojach i rozmawiał tylko o przebytej tego dnia drodze i innych nieistotnych sprawach. Helvis bez trudu wyczuła jego niepokój, lecz Skaurus otoczył się tak twardą skorupą, że nie potrafiła rozpoznać jego przyczyn.

Nawet ich miłość tej nocy nie zdołała przynieść Rzymianinowi ulgi, której tak pragnął. Zbyt mocno zamknął się w sobie, by móc wiele z siebie dać, i to, co uchodziło za kochanie, przyniosło ze sobą nieznaną zupełnie przedtem uczucia niepewności i braku spełnienia. Czując się tym gorzej, że spodziewał się poczuć lepiej, trybun zapadł w niespokojny sen.

Potem zobaczył siebie na galijskiej polanie, którą pamiętał aż nadto dobrze, pośrodku małego oddziału legionistów — w chwili, gdy Celtowie zaczęli rzeź. Jak oszalały rozejrzał się wokół siebie. Gdzie był Videssos, Imperator, spieczona równina, którą on i pozostali przy życiu tej właśnie nocy przemierzali? A czy w ogóle ktokolwiek przeżył? Czy Imperium nie było tylko wytworem fantazji oszalałego ze strachu człowieka?

Oto zbliżył się Viridoviks, wymachując długim mieczem, bliźniaczo podobnym do miecza Skaurusa. Trybun uniósł swoją klingę, by sparować cios albo taki miał zamiar, lecz dłoń, którą wyciągnął ku górze, była pusta. Klinga Celta runęła w dół... —

— Co się stało, kochanie? — Jego policzka dotykała ręka Helvis, a nie paląca stal miecza. — Rzuciłeś się we śnie i mnie zbudziłeś, a potem krzyknąłeś wystarczająco głośno, żeby obudzić połowę obozu.

Marek przez kilka chwil leżał na plecach, zanim odpowiedział. Noc była niemal tak samo upal-

na, jak poprzedzający ją dzień, lecz jego pierś i ramiona pokrywał zimny pot. Spoglądał na sufit namiotu, w myślach wciąż widząc błyski światła pochodni odbijające się od celtyckiej klingi.

— To był sen — powiedział, bardziej do siebie niż do Hel vis.

— Oczywiście — odpowiedziała, ponownie dotykając pieszczotliwie jego policzka. — To był tylko zły sen.

— Bogowie niech poświadczą, jakżeż rzeczywisty się wydawał! W tym koszmarze śniłem zły sen, że Videssos jest tylko snem, a ja mam właśnie umrzeć w Galii — co powinno się stać, wedle praw wszystkich zdrowych na umyśle ludzi.

— Jakież on był rzeczywisty! — powtórzył znowu. — Czy tamto było snem, czy jest nim ta rzeczywistość? Co ja tutaj robię, w kraju, którego nigdy sobie nie wyobrażałem, mówiąc jego językiem, walcząc w jego wojnach? Czy Videssos jest rzeczywisty? Czy też — och, łaskawi bogowie, i ty również — zniknie któregoś dnia, jak przekłuta igłą bańka mydlana? I czy jestem skazany na to, by wówczas walczyć dalej dla jakiegoś nowego króla, którego znajdę, i na nowo uczyć się zwyczajów i języka?

Zadrzał; w tych godzinach, kiedy jeden dzień już dawno przepadł, a drugiemu daleko do narodzin, ta wizja sprawiała wrażenie przerażająco prawdopodobnej.

Helvis przycisnęła do niego swe ciepłe, nagie ciało. — Koszmar minął, kiedy się zbudziłeś. To jest prawdziwe — powiedziała zdecydowanie. — Widzisz to, czujesz to, smakujesz to — czego jeszcze trzeba? Nie jestem niczym snem tylko swoim własnym — jednak daje mi radość, którą ty dzielisz. — W ciemności jej oczy były ogromne.

— Ależ jesteś spięty — powiedziała, dotykając palcami jego piersi i szyi. — Odwróć się! — rozkazała i Skaurus posłusznie przewrócił się na brzuch. Usiadła na jego pośladkach; chrząknął z zadowoleniem, kiedy jej silne dłonie zaczęły ugniatać jego mięśnie, usuwając napięcie z jego pleców. Jej masaż zawsze sprawiał, że chciało mu się mrużyć po kociemu; nigdy bardziej jak teraz.

Po paru minutach przekreślił się z powrotem na plecy, uważając by nie zrzucić jej z siebie. — Co robisz? — zapytała, choć znała odpowiedź. Uniósł się na łokciach, by łatwiej móc ją całować. Pasma jej włosów znalazło się pomiędzy nimi; odrzuciła je ze śmiechem. Owionął go jej oddech, kiedy pochylała się nad nim.

— *To* jest również prawdziwe — powiedziała, gdy zaczęła się poruszać. Trybun nie mógł zaprzeczyć ani też nie chciał.

Trzy dni później armia dostrzegła swych pierwszych żywych Yezda; mały oddział jeźdźców, których sylwetki rysowały się na tle zachodniego nieba. Imperator wysłał w pościg szwadron widesańskiej konnicy, lecz koczownicy na swych stopowych kucykach umknęli pogoni.

Orataias Sphrantzes bez umiaru krytykował decyzję Mavrikiosa. Mówił każdemu, kto chciał służyć: — Kalokyres wyraźnie stwierdza, że jedynie koczowników powinno się wysyłać w pościg za

innymi koczownikami, ponieważ od dziecka przyzwyczajeni do siodła, są niedościgłymi jeźdźcami. Po co są z nami Khamorthci, jeśli nie do takich właśnie celów?

— Jeżeli nie przestanie obnosić się ze swoją drogocenną książką, to Gavras któregoś pięknego dnia każe mu ją zjeść — rzekł Viridoviks. Marek podzielał tę opinię, lecz jeśli Imperator czuł się dotknięty krytyką, w żaden sposób nie pokazywał tego po sobie.

Rankiem następnego dnia po zauważeniu Yezda, kiedy Skaurus wracał do obozu Rzymian po wizycie w kwaterach kobiet, ktoś zawołał go po imieniu. Odwrócił się i zobaczył za sobą Thorisina Gavrasa. Sevastokrata zataczał się odrobinę; wyglądał jak gdyby miał za sobą całkiem wesoło spędzoną noc.

— Dzień dobry, Wasza Wysokość — powitał go Skaurus. Thorisin uniósł kpiąco brew. — Dzień dobry, wasza wysokość — przedrzeźniał go. — Cóż, to miło widzieć, że wciąż jesteś grzeczny dla ręki, która cię karmi, nawet jeśli sypiasz z wyspiarską dziewczką.

Marek poczuł, jak jego twarz oblewa żar; przy jego jasnej cerze rumieniec musiał być aż nadto widoczny. Zauważywszy go, Thorisin powiedział: — Nie ma się czego wstydzić. Dziewczęciu daleko do pospolitości, przyznaję ci to. Nie jest też głupia, z tego co słyszałem, bez względu na to, czy jej brat każdego ranka karmi się gwoździami.

— To wygląda na Soteryka. — Marek musiał się uśmiechnąć, uderzony trafnością opisu Thorisina.

Gavras wzruszył ramionami. — Nigdy nie ufaj Namdalajczykowi. Utrzymywać z nimi stosunki — tak, lecz ufać? Nigdy — powtórzył. Podszedł wolno do Skaurusa, a potem okrążył go, przyglądając się uważnie oszołomionemu Rzymianinowi jak koniowi, którego zamierzał kupić. Marek bez trudu mógł wyczuć zapach wina w oddechu Sevastokraty. Thorisin zastanawiał się w milczeniu okrążając Skaurusa, a potem wypalił: — No więc co jest z wami?

— Panie? — Stając przed przełożonym, którego nastroju nie dawało się przewidzieć, im mniej się mówiło, tym lepiej. Trybun znał tę lekcję równie dobrze jak najskromniejszy z jego żołnierzy.

— Co jest z wami? — Wydawało się, że Thorisin może podążać za swoimi myślami tylko powtarzając je sobie głośno. — Wy przekłęci Rzymianie najchętniej kumacie się z wyspiarzami; na zamarznąłą brodę Skotosa, Igniecie do nich jak muchy do zgniłego mięsa. — Mimo niepochlebnego porównania, w głosie Sevastokraty nie było słyhać urazy, a tylko zaintrygowanie. — Zatem, po sprawiedliwości, powinniście kipieć buntami, rebeliami i spiskiem po to, żeby osadzić jakiegoś Skaurusa na tronie mojego brata, z jego czaszką w roli pucharu.

Teraz na dobre już zatrwożony, Rzymianin zacząj uroczyście zapewniać o swojej lojalności. — Zaniknij się — rzekł Thorisin z tak niepodważalną mocą rozkazywania, jaką niekiedy połączenie wina i władzy potrafi nadać głosowi człowieka. — Pójdiesz ze mną — dodał i ruszył z powrotem do własnego namiotu, nie oglądając się, by zobaczyć, czy trybun podąża za nim.

Marek zastanowił się, czy nie powinien zniknąć i żywić nadziei, że Sevastokrata zapomni o ich spotkaniu, gdy już wytrzeźwieje. Zdecydował jednak, że nie może ryzykować;

Thorisin miał zbyt duże doświadczenie w picciu, by w taki sposób tracić pamięć. Cały rozdygotany, trybun powlókł się za bratem Mavrikiosa.

Namiot Gavrasa, choć zrobiony z błękitnego jedwabiu, swymi rozmiarami niewiele przewyższał płócienne i wełniane schronienia prostych żołnierzy videssańskiej armii. Sevastokrata za bardzo był wojownikiem, by troszczyć się o zbytki w czasie kampanii. Jedyne para przybocznych halogajskich wartowników stojąca przed wejściem wskazywała na jego prawdziwą rangę. Poderwali się na baczność, kiedy spostrzegli Sevastokratę. — Panie — rzekł jeden — pani Komitta pyta o ciebie od...

Komitta Rhangawe we własnej osobie wybrała tę chwilę, by wysunąć głowę z namiotu. Jej lśniące, czarne włosy były związane z tyłu, odsłaniając twarz i podkreślając jej orle rysy. I rzeczywiście, wyglądała jak ledwie oswojony, rozwścieczony sokół, a potok słów, jaki z jej ust zwałił się na Thorisina, w żaden sposób nie zmniejszył podobieństwa.

— Gdzie byłeś, ty nic nie warty, rozbuchany dziadu? — wrzasnęła. — Wystarczy na ciebie spojrzeć: znowu chlałeś z góralami i pastuchami kóz, i pieprzyłeś ich kobiety — albo ich kozy! Pochodzę ze szlacheckiego rodu — jak śmiesz mnie tak upokarzać, ty... — i zaklęła z taką samą biegłością jak wówczas, kiedy grała w kości z Namdalajczykami.

— Słoneczka Phosa — mruknął Thorisin, cofając się o krok pod wpływem tego wybuchu. — Niepotrzebne mi to; czy ma rację, czy nie. Głowa i tak mnie już boli.

Dwaj gwardziści stali sztywno wyprostowani, z obojętnymi twarzami zastygli w karykaturze głuchoty. Wysiłki Rzymianina zmierzające w tym samym kierunku okazały się nie tak skuteczne, ale z drugiej strony, pomyślał, biedni gwardziści prawdopodobnie mieli w tym o wiele większą praktykę.

Skaurus musiał podziwiać to, w jaki sposób Sevastokrata zebrał się w sobie i odpowiedział na ogień zaporowy swej drażliwej pani. — Nie próbuj mi się tu rządzić, flądro! — ryknął barytonem, który zagłuszył jej wykrzykiwane sopranem przekleństwa. — Daj mi spokój, albo przetrzepię ci twój szlachecki tyłek!

Komitta nie ustawała w obelgach przez kilka następnych sekund, lecz kiedy Thorisin Gavras ruszył do namiotu z wyraźnym zamiarem spełnienia swej groźby, odwróciła się i zanurkowała do środka tylko po to, by wyłonić się chwilę później. Krocząc dumnie jak kotka, z zadartą głową minęła Thorisina. — Będę u swoich kuzynek — poinformowała go z lodowatą wyniosłością.

— Znakomicie — odparł przyjacielskim tonem; Marek pomyślał, że w znacznej mierze udawał swój gniew. Gavras wyglądał, jakby nagle przypomniał sobie o stojącym przy nim Rzymianinie. — Prawdziwa miłość to cudowna rzecz, nieprawdaż? — zauważył z kwaśnym uśmiechem. Po krótkiej

chwili dodał: — Jeśli modlisz się do Phosa, cudzoziemcze, dołącz też modlitwę, by uchronił cię przed pociągiem do pobudliwych kobiet. Są niezmiernie zabawne, lecz męczą... och, jakże męczą.

Sevastokrata wydawał się bardzo znużony, lecz odzyskał rzeźkość, kiedy zwrócił się do jednego z gwardzistów: — Ljot, sprowadź do mnie mojego brata, dobrze? Mamy parę spraw do omówienia z tym oto młodzieńcem. — Dźgnął kciukiem w stronę Marka. Ljot, który okazał się gwardzistą stojącym po prawej stronie wejścia, oddalił się pospiesznie.

Thorisin odsunął klapę namiotu, by przepuścić Rzymianina. — Wejdz — powiedział, powracając do ironicznego tonu, w jakim rozpoczął ich spotkanie. — Jeśli nie tron Autokraty, czy mata Sevastokraty zadowoli waszą wysokość?

Skaurus pochylił się, by wejść do namiotu; w środku wciąż unosił się piżmowy aromat perfum Komitty. Osunął się na wyściełaną jedwabiem podłogę, czekając, by Sevastokrata uczynił to samo. Żartobliwy nastrój Thorisina, jego rzucane na wpeł poważnym tonem groźby i sardoniczne komplementy tylko potęgowały zdenerwowanie trybuna. Tak jak w apartamentach Imperatora, tak i tutaj czuł, że został wciągnięty w skomplikowaną grę, której zasad nie rozumiał, lecz w której kara za błędne posunięcie mogła równać się zgubie.

Sevastokrata i Rzymianin czekali zaledwie parę minut na powrót gwardzisty Ljota. — Jego Wysokość prosiła, bym przekazał ci, że się spóźni — zameldował Halogajczyk. — Je śniadanie z Baanese Onomagoulosem i przyjdzie do ciebie, kiedy skończą.

Jeśli Thorisin Gavras musiał udawać gniew, by stawić czoło gniewowi Komitty, teraz nie miał na kogo skierować swej prawdziwej złości. — Więc jestem mniej ważny od tego łysogłowego syna kowala, co? — warknął. — Ljot, zabierz swoją dupę z powrotem do Mavrikiosa i powiedz mu, że może się na nią wdrapać razem ze swoim śniadaniem.

W tej właśnie chwili w namiocie pojawiła się głowa Imperatora, z szerokim uśmiechem na twarzy. — Braciszku, jeśli masz zamiar dopuścić się obrazy majestatu, nigdy nie rób tego przez posłańca. Musiałbym stracić i jego, a to już marnotrawstwo.

Thorisin wytrzeszczył na niego oczy, a potem wybuchnął śmiechem. — Ty stary bękarcie — powiedział. — Wejdz i posadź tutaj swoje stare, żyłaste truchło. — Mavrikios uczynił to; w namiocie zrobiło się nieco tłoczno, lecz dzięki jedwabnym ścianom, nie zapanowała w nim nieznośna duszność.

Otworzywszy poobijaną skrzynię z sosnowego drewna, jakiej właścicielem mógł być byłe jaki prosty żołnierz, Thorisin wyciągnął z niej gliniany dzban z winem, z którego pociągnął łąpczywie. — Ach, jakie dobre. Jeśli Phos zechce, uwolni mnie od bólu głowy. — Pociągnął znowu. — A tak na poważnie, bracie, nie powinienesz wykorzystywać Baanesa, by ze mnie kpić — aż za dobrze pamiętam, jak bardzo byłem o niego zazdrosny w dzieciństwie.

— Wiem, lecz możliwość posłuchania, jak się wściekasz, była zbyt nęcąca, by z niej nie skorzy-

stać. — Mavrikios wydawał się na wpół skruszony, na wpół rozbawiony swym żartem.

— Bękart — powiedział znowu Thorisin, tym razem bez zawziętości.

Marek przenosił wzrok z jednego Gavrasa na drugiego; choć nic nie pił, odnosił wrażenie, że świat zaczyna się kręcić. Wiele z tego, co wydawało mu się zrozumiałe z videssańskiej polityki, rozpadło się na jego oczach w kawałki. Gdzie jest ta nieprzyjaźń, która tak poróżniła Gavrasów, że się do siebie prawie nie odzywali?

— Och, mój drogi — rzekł Mavrikios, zauważywszy oszołomienie, które Skaurus ze wszystkich sił starał się ukryć. — Obawiam się, że udało nam się zmieszać naszego gościa.

— Zmieszać, naprawdę? Cóż, niech mnie Skotos porwie, jeśli przepraszę jakiegoś zakochanego w Namdalajce barbarzyńcę. — Słowa Thorisina brzmiały wystarczająco zawzięcie, by trybun pode-rwał się przerażony, lecz towarzyszyło im niedwuznaczne mrugnięcie okiem. Marek osunął się na ziemię, zupełnie nie wiedząc, co myśleć.

— Całkiem słusznie powinien być zmieszany — ciągnął Sevastokrata, zagrzewając się do tematu. — On i wszyscy jego ludzie lubią wyspiarzy tak bardzo, że cały obóz powinien trząść się od pogłosek, że zmawiają się, by zabić nas wszystkich. Phos świadkiem, że zapłaciliśmy dość złota, by wywęszyć te plotki.

— I żadne do nas nie dotarły — rzekł oskarżycielsko Mavrikios. — Co prowadzi do jednego z dwóch wniosków: albo jesteście niezrównanie sprytni, albo też może jesteście lojalni, pomimo waszych perwersyjnych wyborów w zakresie przyjaciół.

— Nie wydaje mi się, by wyglądał na aż tak bystrego, Mavrikiosie — wtrącił Thorisin.

— Sam nie wyglądasz lepiej, braciszku — odparował Imperator, lecz znowu ton łagodnego pokpiwania był tym, czego należało się spodziewać po kochającym bracie.

Z wytrwałością, którą może dać zbyt wiele wypitego wina, Thorisin powiedział: — Jeśli nie jest tak sprytny, by oszukać nas wszystkich, to najprawdopodobniej jest lojalny. Kto mógłby spodziewać się czegoś takiego po przyjacielu Namdalajczyków? — Potrząsnął głową ze zdumieniem, a potem beknął cicho.

— Bogom niech będą dzięki — mruknął do siebie Marek. Kiedy obaj Gavrasowie spojrzeli na niego pytająco, uświadomił sobie, że powiedział to po łacinie. — Przykro mi, że mieliście jakiś powód, by wątpić w moją lojalność — zwrócił się do nich, przechodząc na videssański — i niezmiernie się cieszę, że już nie macie.

Odczuł tak wielką ulgę, że wszystkie jego mechanizmy obronne puściły, łącznie z tymi, które strzegły jego języka. — Więc wy dwaj nie kłóciliście się ze sobą? — wypalił, a potem zamilkł jeszcze bardziej zmieszany niż przedtem.

Bracia Gavras nagle zaczęli sprawiać wrażenie małych chłopców, których sekret został odkryty. Mavrikios wyskubał sobie jakiś włos z brody, przyjrzał mu się ze skupieniem, a potem wyrzucił. —

Thorisin, on może być sprytniejszy, niż się wydaje na pierwszy rzut oka.

— Co? — powiedział niewyraźnie Thorisin. — Nie miałbym nic przeciwko temu. — Wyciągnął się na boku i toczył z góry przegraną walkę ze snem.

— Leniwy nicpoń — uśmiechnął się Mavrikios. Odwrócił się z powrotem do Skaurusa. — Masz absolutną rację, cudzoziemcze. Odegraliśmy małe przedstawienie, dla zafascynowanej widowni, mogę dodać.

— Lecz byłem przy tym, kiedy się pokłóciliście, stawiając przeciwko sobie — zaprotestował trybun. — To nie mogło być zaplanowane.

Szerokość uśmiechu Imperatora zmniejszyła się odrobinę. Spojrzał na swego brata, lecz Thorisin zaczął już chrapać. — Tak, to było dość prawdziwe — przyznał. — Thorisin zawsze miał język zbyt prędko, żeby mogło mu to wyjść na dobre, i przyznaję, że rozzłościł mnie tamtej nocy. Ale następnego dnia rano pogodziliśmy się — zawsze się godzimy.

Mavrikios znowu uśmiechnął się szerzej. — Jednak wówczas mój przewrotny brat postanowił zrobić z siebie osła na oczach setki ludzi. I natychmiast sępy zaczęły gromadzić się nad trupem naszej braterskiej miłości. — Uniósł brew, spoglądając na Rzymianina. — Niektóre z nich zatrzepotały blisko ciebie, słyszałem.

— Rzeczywiście — przyznał Skaurus, wspominając swoje dziwne spotkanie z Vardanesem Sphrantzesem.

— Zatem wiesz, co mam na myśli. — Mavrikios skinął głową. — Nawiasem mówiąc, nie byłeś jedynym, którego próbowano wybadać. Przyszło nam z Thorisinem do głowy, że jeśli będziemy leżeć zupełnie bez ruchu i pozwolimy sępom wylądować z nadzieją, że zabiorą się do oczyszczania naszych kości, to może uda nam się przyrządzić pyszny sępi gulasz dla nas samych.

— Mogę to zrozumieć — przyznał Marek. — Ale dlaczego, zastawiwszy swoją pułapkę, daliście jednak Ortaiasowi Sphrantzesowi lewe skrzydło swojej armii, nawet z Khoumnosem, by trzymał go na wodzy?

— To prawdziwy imbecyl, prawda? — zachichotał Imperator. — Jednak Nephon pilnuje go, więc z tej strony nie ma się czego bać.

— Zauważyłem to. Ale dlaczego w ogóle jest tutaj? Bez swej drogocennej książki wie mniej o wojsku i wojnie niż jego koń, a z nią staje się jeszcze niebezpieczniejszy, ponieważ sądzi, że wie rzeczy, o których w istocie nie ma pojęcia.

— Jest tutaj z tego samego powodu, z jakiego otrzymał swoje nic niewarte dowództwo: Vardanes prosił mnie o to.

Marek milczał przez chwilę, próbując to przetrawić. W końcu potrząsnął głową; przecinające się nici intrygi, która mogła kazać Sevastosowi prosić o coś takiego, a imperatorowi zgodzić się na to, były zbyt splątane, by zdołał je przeniknąć.

Mavrikios obserwował jego zmagania i poddanie się. — To miłe uczucie stwierdzić, że jednak są pewne rzeczy, których nie rozumiesz — powiedział. — Masz większe uzdolnienia w zakresie polityki niż większość zaciężnych żołnierzy, których znam.

Myśląc o władającym Rzymem triumwiracie Cezara, Krassusa i Pompejusza — z których każdy z radością wyrwałby serce dwom pozostałym, gdyby mógł to zrobić bez wtrącania kraju w wojnę domową — Skaurus powiedział: — Wiem co nieco o frakcjach politycznych, lecz wasze, jak sędzę, są gorsze. — Zaczekał, by zobaczyć, czy Mavrikios zechce rozwiązać tę zagadkę za niego.

Imperator uczynił to, przybierając postawę profesora udzielającego wyjaśnień niedoświadczonemu studentowi, który być może ma talent.

— Przemyśl to. Mając tutaj Ortaiasa, Vardanes ma oko na armię — może nie najlepsze, ponieważ ja wiem, że ono tu jest, ale mimo wszystko ma. A kto wie? Nawet jeśli to Khoumnos ma rzeczywistą władzę na lewym skrzydle, Ortaias może w końcu nauczyć się czegoś o wojnie i w ten sposób stać się bardziej użytecznym dla swego stryja. Jasne jak dotąd?

— W każdym razie wystarczająco.

— Dobrze. Gdybym powiedział Vardanesowi — nie, nie przestałby spiskować przeciwko mnie — prędzej przestałby oddychać. Uznałem, że bezpieczniej jest mieć Ortaiasa tutaj, gdzie mogę go pilnować, niż wikłać się w Phos wie jak niepewny powrót do miasta.

— To rozumowanie przemawia do mnie. Z tej odrobiny, której dowiedziałem się o Vardanesie Sphrantzesie, powiedziałbym, że jest to rozsądne rozwiązanie, lecz ty wiesz o nim daleko więcej niż ja.

— To żmija — rzekł stanowczo Mavrikios. Jego głos sposepniał. — Istniał jeszcze jeden powód, by pozwolić Ortaiasowi wyruszyć z nami. Gdyby sprawy przybrały zupełnie zły obrót, to jest coś wart jako zakładnik. Prawdopodobnie niewiele, kiedy przypomnę sobie, jak dogodnie dla nich zmarła Evphrosyne, lecz coś jednak tak. — Wciąż w roli wykładowcy, rozpostarł ręce, dłońmi na zewnątrz, jakby właśnie udowodnił, że dwie linie w skomplikowanej figurze są mimo wszystko równoległe.

Jego ręce nie były jednak bladymi, miękkimi rękoma żyjącego pod dachem wielmoży. Oszczep, miecz i łuk pokryły je bliznami i uczyniły twardymi, a słońce i wiatr nadały im smagłość i szorstkość. Miał ręce wojownika; tak, lecz wojownika, który wykazał się umiejętnościami również na innej arenie, tam gdzie oręż jest tym bardziej śmiertelny, bo niewidzialny.

Imperator dostrzegł podziw Skaurusa i pochylił głowę, dziękując zań. — Czas dla nas obu wracać do pracy — powiedział. — Wyglądaj na rozgniewanego, kiedy będziesz stąd wychodził. Zbesztalem cię, a Thorisin i ja znowu na siebie warczeliśmy. Ludzie w żadnym wypadku nie powinni sądzić, że między nami jest przyjaźń.

— Dziwnie wyglądacie, co, Rzymianie? — Powiedział to z uśmiechem na ustach przystojny,

śniady młodzieniec, dosiadający krępego, rączego z wyglądu konia. Za nim na koniu siedziała dziewczyna mniej więcej w jego wieku, obejmując go w pasie ozdobionymi srebrnymi bransoletami rękoma.

Oboje mieli na sobie typowy strój videssańskich jeźdźców; lekkie tuniki z długimi rękawami na luźnych wełnianych spodniach wetkniętych w buty. Każde z nich nosiło u pasa schowany w pochwie pałasz; młodzieniec miał łuk i kołczan z wojłoku zawieszony na plecach.

Prowadzili jucznego konia z ekwipunkiem, spośród którego wyróżniał się koszykowany hełm, wiązka dziurytów i piękna bandura, z pudłem rezonansowym ozdobionym wymyślnym spiralnym ornamentem i inkrustacjami z macicy perłowej.

Młodzieniec mówił po videssańsku z nieco gardłowym akcentem. Nosił skórzaną czapkę [z trzema krągłymi, wystającymi do przodu wstawkami, szeroką nakrywką na kark i kilkoma jasnymi wstążkami powiewającymi na wietrze. Marek widział wielu Vaspurakańczyków z takim nakryciem głowy — sporo z nich osiadło na tych ziemiach, leżących niezbyt daleko od ojczyzny ich przodków. Na większości z nich taka czapka wyglądała dziwacznie i niezgrabnie, lecz młodzieńcowi w jakiś sposób dodawała wigoru i swobody.

Jego olśniewający uśmiech i wesołość brzmiąca w jego głosie nie zrobiły żadnego wrażenia na Gajuszu Filipusie, który spojrział na niego marszcząc brwi. — Sam nie wyglądasz lepiej — warknął, nieświadomie powtarzając to, co Mavrikios powiedział do Thorisina. — Jeśli jesteśmy Rzymianami, czego chcesz od nas?

Kwaśne powitanie centuriona nie zraziło jeźdźca. Odpowiedział swobodnie: — To wy możecie korzystać ze mnie. Mam być waszym przewodnikiem przez przełęcz mojej uroczej ojczyzny. Jestem księżę Senpat Sviodo z Vaspurakanu. — Wyprostował się w siodle.

Marek ucieszył się, że odgadł narodowość młodzieńca, lecz równocześnie zatrwożyła go konieczność radzenia sobie z nowym i nieznanym członkiem rodziny królewskiej. — Wasza Wysokość... — zaczął tylko po to, by przerwać, zakłopotany, kiedy Senpat Sviodo i jego towarzyszka wybuchnęły śmiechem.

— Naprawdę *jesteście* z dalekiego kraju, najemniku — powiedział Senpat. — Nigdy nie słyszeliście, jak Vaspurakan nazywany jest krajem książąt?

Cofając się myślami wstecz, trybun rzeczywiście przypomniał sobie jakąś lekceważącą w tonie uwagę Mavrikiosa rzuconą podczas odprawy, zanim jeszcze imperialna armia opuściła Videssos. O jej znaczeniu jednak nie miał pojęcia, i powiedział to teraz.

— Każdy Vaspurakanin jest księciem — wyjaśnił Sviodo. — Jakżeż może być inaczej, jeśli wszyscy jesteśmy potomkami Vaspura, pierwszej i najszlachetniejszej z kreacji Phosa?

Skaurus natychmiast nabrał przekonania, że Videssańczycy nie mogą lubić takiej teologii. Nie miał jednak czasu, by się nad tym zastanowić, ponieważ dziewczyna trąciła Senpata, mówiąc: — To

półprawdy i do tego męskie półprawdy. Bez księżniczek Vaspurakanu nie byłoby książąt.

— To jasne — rzekł czule Senpat Sviodo. Odwrócił się z powrotem do Rzymian. — Panowie — powiedział, spoglądając na Gajusza Filipusa tak, jakby się to do niego nie odnosiło: — Oto moja żona, Nevrata. Zna Vaspurakan i jego szlaki przynajmniej tak dobrze jak ja.

— Zatem *ciebie* niech kruki zadziobią! — zawołał ktoś z trzeciego szeregu Rzymian. — Pójdę za nią choćby do piekła!

Legioniści, którzy go usłyszeli, radosnymi okrzykami wyrazili swoje poparcie. Marek z ulgą zobaczył, że Senpat Sviodo śmieje się razem z nimi i Nevrata również. Była urodziwą dziewczyną o wyrazistych rysach, ciemnej, jak jej mąż, cerze, i olśniewająco białych zębach. Zamiast charakterystycznej vaspurakańskiej czapki, jaką nosił Senpat, na swych czarnych, falistych włosach miała jedwabną chustę w kwieciste wzory.

Aby następna kpina nie zakończyła się mniej szczęśliwie, trybun pospiesznie przedstawił Vaspurakańczykom niektórych ze swych oficerów. Potem zapytał: — Jak to się stało, że jesteście w służbie Videssos?

Senpat Sviodo opowiedział swoją historię, kiedy ruszyli na zachód; niewiele różniła się od tego, czego spodziewał się Skaurus. Młodzieniec pochodził ze szlacheckiej rodziny — jego świetny koń, wytworna bandura i srebro, które nosiła Nevrata, zdążyły już przekonać trybuna, że nie jest zwyčajnym żołnierzem.

— Bycie szlachcicem w ciągu ostatnich paru lat w Vaspurakanie nie należało do dobrodziejstw — zaczął. — Kiedy przybyli Yezda niszcząc wszystko po drodze, nasi chłopcy mogli uciec, niewiele tracąc z tego powodu, że schronili się tutaj, wewnątrz Imperium. Lecz na dobra mojej rodziny składały się urodzajne pola, mała kopalnia miedzi i wieża warowna, tak uzbrojona i zaopatrzona jak każda inna. Postanowiliśmy walczyć, by utrzymać nasz majątek.

— I dobrze nam szło — dodała Nevrata. — Wiele razy wypędziliśmy najeźdźców z naszych ziem poszczerbionych tak, że musieli lizać rany. — To, w jaki sposób jej szczupła ręka spoczęła na rękojęści pałusza powiedziało Markowi, że „wypędziliśmy” należy rozumieć jak najdosłowniej.

— Tak było — przytaknął z uśmiechem Senpat. Lecz ten uśmiech zgasł, kiedy pomyślał o rozpaczliwej walce, którą stoczył — i którą przegrał. — Jednak nigdy nie przepędziliśmy ich wystarczająco daleko ani nie poszczerbiliśmy dość mocno. Miesiąc po miesiącu, rok po roku, wciąż naciskali nas mocniej. Nie mogliśmy uprawiać ziemi, nie mogliśmy wydobywać miedzi, nie mogliśmy oddalić się bardziej niż na strzelenie z łuku od wieży, nie ściągając na siebie ataku. Dwa lata temu jakiś pułk Videssańczyków mijał naszą posiadłość ścigając Yezda i tak Senpat Sviodo, księżę Vaspurakanu, stał się Sen—patem Sviodo, imperatorskim zwiadowcą. Znam gorsze losy. — Wzruszył ramionami.

Pociągnął za postronek, na którym wiódł jucznego konia. Kiedy wierzchowiec zbliżył się, ści-

ągnął z jego grzbietu bandurę i uderzył w struny, wydobywając z niej ognisty akord. — Doprawdy, gorsze losy! — krzyknął, na wpół śpiewając. — Wilki z zachodu, strzeżcie się! Wracam, by odebrać, co moje! — Nevrata objęła go mocno, z twarzą lśniąca dumą.

Rzymianom spodobał się ów pokaz animuszu, lecz dla Gorgidasa miał szczególne znaczenie. Obeznany z polityką rozrywanych waśniami greckich miast, powiedział: — Temu człowiekowi i jego żonie powiedzie się. Wygnańcowi tak niezwykle łatwo jest pozostawić nadzieję za sobą wraz ze swoim opuszczonym domem. Ci, którzy w jakiś sposób potrafią ją zachować, są szczególnym rodzajem ludzi.

Kiedy armia zatrzymała się na noc, Senpat Sviodo i jego żona, tak samo jak to czyniło przed nimi tak wielu mieszkańców Imperium Videssos, podeszli, by obserwować z niekłamanym podziwem, jak Rzymianie wznoszą swój obóz. — Jaki wspaniały pomysł! — zawołał Sviodo. — Przy takich fortyfikacjach łatwo będzie odeprzeć napastników.

— Tak, taka koncepcja walki jest dla nich niezrozumiała — zgodził się Skaurus, obserwując swoich ludzi wyrzucających suchą, czerwobrunatną ziemią płaskowyżu z rowu, który kopali, by utworzyć przedpiersie obozu. — Będziesz miał u nas status oficera, tak więc wasz namiot będzie jednym z tych, które stoją przed moim — wzdłuż *viae principalis*... — Na widok zakłopotania malującego się na twarzy Senpata uświadomił sobie, że użył łacińskiej nazwy i pospiesznie przetłumaczył: — Głównej drogi, chciałem powiedzieć.

— Zatem nie najgorzej — rzekł Vaspurakanin. Zdjąwszy z głowy czapkę z trzema daszkami, rękawem tuniki starł z czoła zlepiony potem kurz. — Przydałaby mi się dobrze przespana noc — mojemu tyłkowi wcale nie jest przykro, że nie siedzi w siodle.

— Twojemu? — zdziwiła się Nevrata. — Ty przynajmniej miałeś siodło, z którego mogłeś zsiąść — ja przez całą dzieję siedziałam na wystającym końskim kręgosłupie i moje pośladki są zupełnie skostniałe. — Spojrzała znacząco na swego męża. — Mam nadzieję, że nie planujesz spędzenia całej nocy w siodle.

— Kochanie, są siodła i siodła — uśmiechnął się Senpat. Jego ramię objęło jej kibić; Nevrata wtuliła się w niego radośnie.

Widząc, jak siebie pragną, Skaurus zaklął cicho po łacinie — Videssański był dla niego zbyt nowym językiem, by móc w nim swobodnie przeklinać. Dopiero teraz przypomniał sobie o zasadzie, jaką wprowadził, zakazując obecności kobiet w obozie. Jeśli obowiązywała wobec jego własnych ludzi, nie mógł jej złamać dla tych przybyszów.

Tak delikatnie jak potrafił, wyjaśnił Vaspurakańczykom, na czym ona polega.

Słuchali z niedowierzaniem, zbyt zdumieni, by się naprawdę rozgniewać. W końcu Senpat powiedział: — Widok twoich żołnierzy wznoszących ten obóz przekonał mnie, że nie jesteście ludźmi o zwykłej dyscyplinie. Lecz żeby wydać *taki* rozkaz i podporządkować się mu... — Potrzęsnał gło-

wą. — Jeśli wy Rzymianie jesteście na tyle głupi, by się na to godzić, to jest sprawa twoja i twoich ludzi. Lecz niech mnie Skotos porwie, jeśli ja się z tym pogodzę. Chodźmy, kochanie — zwrócił się do Nevraty. I ich namiot wyrósł nie wewnątrz rzymskiego częstokołu, lecz tuż przy nim, gdyż woleli cieszyć się swoim towarzystwem bezpiecznie, w bezpośrednim sąsiedztwie wykopu, szańca i palisady. Później tego wieczoru, samotny w swym namiocie, Marek stwierdził, że nie może ich winić.

Sen ogarniał go wolno. Przyszło mu do głowy, że Phostis Apokavkos może potrafiłby powiedzieć mu coś więcej ponad to, co już wiedział o tym zdecydowanym ludzie wywodzącym się z Vaspurakanu. Apokavkos pochodził z dalekiego zachodu i przypuszczalnie miał już wcześniej do czynienia z Vaspurakańczykami.

Adoptowany Rzymianin również nie spał, lecz grał w kości z legionistami ze swego manipułu. — Szukasz mnie, panie? — zapytał, kiedy ujrzał Marka. — Nie będzie mi przykro, jeśli tak — nie mam dziś szczęścia.

— Jeżeli szukasz pretekstu, żeby wymigać się od gry, to właśnie ci się poszczęściło — rzekł trybun. Powiedział to w swym ojczystym języku i Apokavkos nie miał kłopotu, by go zrozumieć; jednak kiedy były chłop—żołnierz próbował mówić po łacinie, sepleniący videssański akcent wciąż utrudniał zrozumienie go. Ćwiczył wszakże uparcie i czynił widoczne postępy.

Skaurus wrócił z nim do swojego namiotu. — Opowiedz mi to wszystko, co wiesz o Vaspurakanie i jego mieszkańcach — powiedział. Pamiętając o niechęci Apokavkosa wobec Namdalajczyków za ich innowierstwo przygotował się, by odfiltrować z jego odpowiedzi to, co mogło być podyktowane uprzedzeniem.

— O „książętach”? — powiedział Phostis. — O ich kraju mogę powiedzieć ci tyle — tam, gdzie dorastałem, był niczym więcej jak górami na północnym horyzoncie. Okropnie mroźny w zimie, jak słyszałem. Hodują tam ręczne konie, ale to wszyscy wiedzą.

Nawet Skaurus słyszał pochlebne opinie o vaspurakańskich koniach i miał wobec sztuki jeździeckiej tradycyjne rzymskie nastawienie — że jest to wspaniała umiejętność; dla innych. Miał świadomość, że użycie strzemion czyni z jazdy konnej coś zupełnie odmiennego od tego, co znał, lecz mimo to dalej z trudem przychodziło mu traktować tę koncepcję poważnie.

Apokavkos kontynuował ku jego zaskoczeniu, bowiem mówił o samych Vaspurakańczykach bez podejrzliwości, lecz z autentycznym i oczywistym szacunkiem. — Powiada się, iż trzech „książęta” działający razem potrafią sprzedać lód samemu Skotosowi, i ja w to wierzę, bo współpracują ze sobą jak nikt. Nie wiem, gdzie się tego nauczyli, chyba że wymogło to na nich życie pomiędzy dwoma większymi krajami, które na nich napierają, w każdym razie pomagają sobie, zawsze. Walczą między sobą, to prawda, lecz niech tylko jakiś cudzoziemiec wmiesza się w ich sprawy, natychmiast stają przeciwko niemu zwarci jak szczęki potrzasku.

Markowi wydawało się to tak oczywistym przejawem zdrowego rozsądku, że aż niewartym komentarza, lecz głos Phostisa Apokavkosa przepełniał tęskny podziw. — Wy — *my*, chciałem powiedzieć — Rzymianie też tacy jesteśmy, lecz znalazłoby się mnóstwo Videssańczyków, którzy wynajęliby samego Skotosa, jeśli tylko mogliby w ten sposób odplacić któremuś ze swych wrogów.

Myśli trybuna powędrowały ku rozkładającym się głowom, które widział u podstawy Kamienia Milowego w Videssos; głowom generałów, którzy o poparcie buntu zwrócili się do Yezda, tak jeden jak i drugi. Pomyślał też, z niepokojem, o Vardanesie Sphrantzesie. Apokavkos miał rację.

Próbując pozbyć się ze swych myśli tych trapiących obrazów, Skaurus postanowił podrażnić odrobinę Phostisa, żeby zobaczyć, jak zareaguje. — Jak możesz mówić tak dobrze o heretykach? — zapytał.

— Ponieważ to uczciwi ludzie; religijni czy nie — odpowiedział natychmiast Apokavkos. — Nie są tacy jak twoi wspaniali wyspiarze — proszę o wybaczenie, panie — nieustannie wykpiwający wierzenia innych ludzi i zmieniający swoje własne, ilekroć wiatr powieje w inną stronę. „Książęta” wierzą w to, co wierzą, i tyle ich obchodzi co końskie łajno, czy ktoś inny wierzy, czy nie. Nie wiem — ciągnął z zakłopotaniem — ale przypuszczam, że wszyscy są przekleci — lecz jeśli tak, to stary Skotos musi lepiej się pilnować, bo gdy w jego piekle znajdzie się dość Vaspurakańczyków, to mogą z nim skończyć odbierając mu je.

Do pierwszego napadu na imperialną armię doszło na dwa dni przedtem, nim dotarła do Amorionu. Było to zaledwie ukłucie, nic więcej — garstka Yezda napadła na videssańskiego zwiadowcę. Kiedy nie wrócił, jego towarzysze zaczęli go szukać i szukali tak długo, dopóki nie znaleźli ciała. Yezda, oczywiście, ograbili zwłoki i uprowadzili konia.

Nieco większe starcie miało miejsce następnego dnia, kiedy to mały oddział Khamorthów wdał się w wymianę strzał z Yezda, dopóki posiłki nie przepędziły wroga. Doprawdy błahostki, uznał Marek, lecz zmienił zdanie, kiedy przypomniał sobie obietnicę Imperatora, że etap od Garsavru do Amorionu będzie łatwy, jak ten od stolicy do Garsavru. Więcej najeźdźców grasowało w Imperium, niż przypuszczał Mavrikios.

A kiedy armia dotarła do Amorionu okazało się, że miasto zdążyło już mocno ucierpieć. Położony na północnym brzegu Ithomu, będącego dopływem Arandosu, Amorion, jak większość miast zachodnich prowincji Videssos, już dawno temu rozebrał swoje mury przeznaczając kamień na potrzeby budownictwa. Najeźdźcy z Yezd w pełni wykorzystali bezbronność miasta, pustosząc jego przedmieścia i w kilku miejscach przenikając niemal do brzegu rzeki. Armia, zbliżając się do miasta, mijała splądrowane tereny, ostro kontrastujące swą jałowością i gruzami z żywnością, jaką rzeka zapewniała sąsiednim okręgom.

Kontyngent, jaki Gagik Bagratouni zgromadził, by wzmocnić siły Mavrikiosa, nie dorównywał wielkością temu, któremu dowodził Baanes Onomagoulos, lecz składał się, jak wkrótce stwierdził

Marek, z lepszych ludzi. Większość, tak jak ich dowódca, była Vaspurakańczykami — ciemnoskórymi, kędzierzawowłosymi mężczyznami o krzaczastych brodach, zwykle tęższej budowy niż Videssańczycy, wśród których żyli. Nosili zbroje ze stalowych łusek; wielu miało koszykowe hełmy, takie jak Senpat Sviodo, często ozdobione wyplatany z łożyny rogami albo skrzydłami. Niemal wszyscy wyglądali na weteranów.

— Bo tak powinniśmy wyglądać — rzekł Senpat Sviodo, kiedy Marek zwrócił na to uwagę. — W ciągu tych ostatnich paru lat przynajmniej w takim samym stopniu jak *akritai* Imperium zagradzaliśmy drogę Yezda i byliśmy tarczą Videssos. Wierz mi, nie to chcieliśmy robić, lecz mieszkając w tym miejscu, które Phos wybrał dla swych książąt na tym świecie, nie mieliśmy wyboru.

Wzruszył ramionami, a potem mówił dalej: — Moi rodacy opowiadają baśń o małym skowronku, który usłyszał, że niebo ma właśnie runąć. Odwrócił się na grzbiet i wyciągnął łapki do góry, by je złapać. „Więc stałeś się teraz drzewem?” zapytały go inne zwierzęta. „Nie”, odpowiedział, „jednak muszę robić wszystko, co w mojej mocy”. I tak jak on robił, tak i my robimy.

Tak jak na powitanie Onomagoulosa, tak i teraz armia przygotowała się, by uczcić Gagika Bagratouniego. Kiedy generał podjeżdżał na dereszowatym ogierze, Skaurus stwierdził, że jest pod wrażeniem jego powierzchowności. Jeśli Cezar był drapieżnym ptakiem, ludzkim wyobrażeniem rzymskiego orła, to Gagik Bagratouni był lwem.

Jego śniada skóra, grzywa kruczoczarnych włosów i gęsta, ciemna broda, zakrywająca niemal po same oczy jego szeroką twarz o wystających kościach policzkowych, wystarczały same w sobie, by stworzyć takie wrażenie. Pewne spojrzenie tych oczu, oczu myśliwego, potęgowało to wrażenie, tak samo jak czynił to jego silny nos — był grubszy i bardziej mięsisty od typowego, garbatego videssańskiego nosa, lecz nie mniej władczy. Nawet dosiadał swego konia w sposób zwracający uwagę, jakby pozując do posągu jeźdźca, lub, co bardziej prawdopodobne, jak gdyby pławiąc się w świadomości, że spoczywa na nim tak wiele oczu.

Bagratouni, wciąż z taką samą, niewzruszoną postawą, mijał oddział po oddziale. Dla żołnierzy jedynym dowodem, że jest świadom ich obecności, był błysk, z jakim jego oczy przebiegały ich szeregi, i niemal niedostrzegalne skinienie głowy, jakim witał każdego z dowódców. Sam Mavrikios nawet w przybliżeniu nie zachowywał się tak wyniośle, lecz dla nikogo nie ulegało wątpliwości, że Gagik Bagratouni nie ma zamiaru wywyższać się nad Imperatorem, a tylko postępuje tak, jak zawsze zwykł postępować w takich przypadkach.

Kiedy zbliżył się do Rzymian, ustawionych obok halogajskich gwardzistów Imperatora, jego krzaczaste brwi uniosły się — dotychczas nie miał okazji widzieć żołnierzy takich jak oni. Przyjrzał im się taksujące, badając wzrokiem ich ekwipunek, postawę, twarze. Bez względu jednak na to jak ich osadził, nie pokazał tego po sobie. Lecz kiedy zobaczył Senpata i Nevratę Sviodów stojących razem z rzymskimi oficerami, jego posępne rysy rozjaśniły się w pierwszym uśmiechu, jaki

Skaurus ujrzał na jego twarzy.

Zakrzyknął coś we własnym języku. Jego głos, basowy ryk, pasował do całej reszty jego postaci. Senpat odpowiedział w tej samej mowie; choć zupełnie jej nie znając, Marek zdołał wyłowić kilkakrotnie powtórzone nazwisko „Sviodo”. Gagik Bagratouni zawołał coś znowu, potem zeskoczył z konia i zamknął Senpata Sviodo w niedźwiedzim uścisku, całując go w oba policzki. To samo uczynił z Nevratą, czerpiąc jednak z tego zupełnie odmienny rodzaj przyjemności.

— Syn Sahaka Sviodo! — powiedział w ochryple akcentowanym videssańskim, przechodząc na ten język z uprzejmości dla stojących w pobliżu Rzymian — i na dodatek z tak uroczą panną młodą! Macie szczęście, oboje! Sahak był wielką znakomitością; nikt tak jak on nie potrafił pociągnąć Yezd za brodę; tak, i Imperatora również, gdy wetknął ją w nasze sprawy. Masz całkiem te same rysy — znałem go dobrze.

* — Chciałbym móc powiedzieć to samo — odpowiedział Senpat. — Zmarł, zanim wyrosła mi broda.

— Tak, słyszałem, i wielka to szkoda — rzekł Bagratouni. — Teraz musisz mi powiedzieć — kim są ci dziwni ludzie, z którymi podróżujesz?

— Czy zauważyłeś, drogi Skaurusie — mruknął Viridoviks — że każdy z tych vaspurakańskich włóczykijów, gdy tylko spojrzy na ciebie i twoich ludzi, natychmiast stwierdza, że śmiesznie wyglądacie? Moim zdaniem to prawie grubiaństwo.

— Prawdopodobnie najpierw dostrzegają ciebie — wtrącił Gajusz Filipus, ściągając na siebie wściekłe spojrzenie Viridoviksa.

— Wystarczy, wy dwaj — przerwał im Marek. Być może na szczęście, Gal i centurion woleli klócić się po łacinie i Vaspurakańczycy nie mogli ich zrozumieć. Skaurus powiedział Bagratouniemu, jak się nazywają, przedstawił niektórych ze swych oficerów i, jak to wielokrotnie czynił dotychczas, wyjaśnił pokrótce, w jaki sposób przybyli do Videssos.

— To zupełnie zdumiewające — rzekł Gagik Bagratouni. — Ty... wy wszyscy... — wylewnym gestem objął wszystkich, których przedstawił mu trybun — musicie przyjść do mnie dziś wieczorem na kolację i opowiedzieć mi dokładniej swoją historię. Chętnie wysłuchałbym jej teraz, ale za mną robi się tłoczno.

Powiedział prawdę; procesja, którą prowadził, a którą tworzyli oficerowie jego kontyngentu oraz czołowi obywatele i wyżsi urzędnicy Amorionu, zatrzymała się w nieładzie, kiedy zeskoczył z siodła. Jej członkowie stali tu i tam albo siedzieli w siodłach czekając, by ruszył dalej. Jeden z nich, wysoki kapłan o odpychającej twarzy, który na smyczy z mocnego żelaznego łańcucha trzymał dzikiego psa, szczególnie jadowicie wpatrywał się w Bagratouniego. Vaspurakańczyk udawał, że nic nie zauważa, lecz Skaurus stał dość blisko, by usłyszeć, jak mruczy: — Żeby cię zaraza, Zemar-khos, ty łysogłowy sępie.

Bagratouni wskoczył na siodło i armia urzędników znowu zaczęła posuwać się w stronę Imperatora. Kiedy kapłan postąpił naprzód, jego pies przysiadł na zadzie, opierając się. Kapłan szarpnął smyczą. — Chodź, Vaspur! — warknął i zwierzę, zdławione obrozą, zaskowyczało i ruszyło za nim.

Marek nie wiedział, czy wierzyć swoim uszom. Najwyraźniej nie wszyscy Videssańczycy podzielali sympatię,

jaką Phostis Apokavkos darzył lud Vaspurakanu — nie w sytuacji, kiedy jakiś kapłan nazywa swego psa imieniem legendarnego przodka Vaspurakańczyków. Senpat Sviodo stał obok Skaurusa z ustami zaciśniętymi w wąską kreskę, bez wątpienia czując palące żądło zniewagi. Rzymianin zastanowił się, jak Gagik Bagratouni może znieść taką rozmyślną bezczelność.

W przeciwieństwie do Baanesa Onomagoulosa w Garsavrze, Bagratouni zsiadł z konia i złożył Imperatorowi pełen hołd, który za nim powtórzyła cała procesja. Nawet w formalnym akcie poddania się swemu suzerenowi wciąż pozostawał majestatyczną postacią, klękając, a następnie kładąc się na brzuch z kocią godnością i gracją. Skaurus zauważył z rozbawieniem, że w porównaniu z nim, grubiański kapłan Zemarkhos wyglądał jak kiepsko zbudowany chudzielec.

Po krótkiej przemowie Mavrikiosa, w której podziękował Bagratouniemu za ludzi, jakich zgromadził, vaspurakański generał i jego grupa jeszcze raz złożyli hołd, a następnie wycofali się sprzed oblicza Imperatora. Wracając, Gagik Bagratouni zatrzymał się na chwilę, by powiedzieć Sen —patowi Sviodo i Skaurusowi, jak trafić tam, gdzie mieszka. Zemarkhos nigdy przedtem nie widział Rzymian, lecz ze spojrzeń, jakie im rzucał, wynikało, że gotowość zostania gośćmi Vaspurakańczyka wystarczała, by napiętnować ich jako agentów Skotosa.

Kiedy Senpat Sviodo i jego żona spotkali się z Rzymianami, którzy razem z nimi szli do Bagratouniego, okazało się, że młodzi Vaspurakańczycy zmienili swój podróżny strój na bardziej wytworne szaty. Senpat miał na sobie nieskazitelnie białą tunikę sięgającą niemal do kolan, luźne spodnie z czerwonawobrazowej wełny i sandały ze złotymi sprzączkami. Jego głowę okrywała znana już Rzymianom vaspurakańska czapka; swoją bandurę niósł przerzuconą przez plecy.

365

Nevrata była w długiej sukni z jasnoblękitnego lnu, różniącej się nieco krojem od videssańskich wzorów. Ten strój wspaniale podkreślał śniadość jej ciemnej skóry, w czym pomagały mu masywne srebrne bransolety, naszyjnik i kolczyki.

Senpat wytrzeszczył ze zdumieniem oczy na Rzymian. — Z jakimi ludźmi ja się spotykam? — zawołał. — Czy wy zadowalacie siebie nawzajem? Gdzie są wasze kobiety, na święte imię Phosa?

— Zwykle nie leży w naszym zwyczaju zabierać je, nie zaproszone, na ucztę — odpowiedział Marek, lecz on i Kwintus Glabrio spojrzeli na siebie tak samo lękliwie. Młodszy centurion związał się z Demaris, videssańską dziewczyną o wybuchowym temperamentem. Ona i Helvis nie ucieszyłyby się, gdyby się dowiedziały, że zostały wykluczone z uroczystości, w której mogły uczestniczyć.

Resztę Rzymian fakt, że są sami, nastrajał bardziej optymistycznie. — Z pewnością znajdzie się tam parę dziewcząt spragnionych widoku dobrze wychowanego celtyckiego wojownika — rzekł Viridoviks. — Wcale nie myślę wracać do siebie sam.

Gajusz Filipus był mężczyzną godnym podziwu pod niemal wszystkimi względami, lecz jak doskonale wiedział Marek, poza łóżkiem kobiety się dla niego nie liczyły. Spojrzał na Senpata Sviodo z takim samym brakiem zrozumienia, jaki widniał w skierowanych ku niemu oczach Vaspurakańczyka.

— Patrzysz na mnie? — zapytał Senpata Gorgidas. — Całkowicie podzielam pogląd Diogenesa, mędrca mego ludu. Kiedy zapytano go o odpowiedni czas na zawarcie małżeństwa, powiedział: — Dla młodzieńca — jeszcze nie nadszedł; dla starca — już dawno minął.

— Ale co z tobą? — zapytał Senpat. — Nie jesteś ani jednym, ani drugim.

— Radzę sobie — odparł sucho Gorgidas. — Właśnie teraz udało mi się poczuć głód zamiast pościąg do kobiet. Idziemy czy nie?

Dom Gagika Bagratouniego był na wpół willą, na wpół fortecą. Stał wśród rozległych i dobrze utrzymanych ogrodów z niewielkimi gajami cytrusów, fig i palm daktylowych, pomysłowo przeplatanych rabatami pełnymi różnobarwnego kwiecia. Lecz główny budynek mieszkalny był twierdzą, jak gdyby żywcem przeniesioną tutaj ze wzgórz Vaspurakanu, chronioną zewnętrznymi umocnieniami, które uradowałyby dowódcę każdej nadgranicznej warowni.

Gdy Bagratouni witał swych gości przy masywnych, licowanych metalem wrotach, zauważył taksujące spojrzenie trybuna i wyraz zawodowej oceny w patrzących otwarciem oczach Gajusza Filipusa. — Nie wygląda to tak, jak chciałbym, żeby wyglądało — powiedział, machając ręką ku groźnym, szarym kamiennym ścianom. — Lecz obawiam się, że zbyt wielu ludzi w Amoronie nie zachwyca widok powodzenia książąt. Ale mnie się powodzi i sam potrafię zatroszczyć się o siebie.

Było to, oględnie mówiąc, zbyt skromne przedstawienie sprawy, bowiem Gagik Bagratouni do prawdy nie musiał sam bronić swych murów. Obsadzała je jego osobista gwardia, drużyna wybranych młodych Vaspurakańczyków o tak groźnym wyglądzie, jakiego w żadnym ze znanych sobie oddziałów nie widział.

— A teraz nie zwracajmy sobie głowy takimi sprawami — oświadczył generał. — Wchodźcie na dziedziniec; jedzcie, pijcie, rozmawiajcie, weselcie się.

Zasadniczy styl, zgodnie z którym zaprojektowano dom Bagratouniego, Marek znał dobrze, ponieważ cieszył się on popularnością wśród zamożnych mieszkańców Italii. Zamiast wystawiać się na widok zewnętrznego świata, serce domu mieściło się wewnątrz, na centralnym dziedzińcu.

Lecz budowla bardziej przypominała warownię, niż jakkolwiek znany Markowi rzymski dom. Jedynie kilka otworów okiennych wychodziło na zewnątrz, a i te bardziej dla prowadzenia ostrzału z luków, niż dla podziwiania widoków. Bramy, które wiodły z ogrodów na dziedziniec, zbudowano

niemal tak solidnie jak te, które chroniły całą posiadłość.

Drzewa rosnące na dziedzińcu poobwieszano latarniami. Miały szybki z wielobarwnego szkła i kiedy zmierzch zgęstniał, w listowiu zatańczyły snopy czerwieni i złota, błękitu i zieleni. Jednak centralne stoły pośrodku dziedzińca zostały jasno oświetlone, aby skierować uwagę na odbywającą się tam ucztę.

Vaspurakańska kuchnia w niczym nie przypominała videssańskiej, która preferowała owoce morza i sosy ze sfermentowanych ryb. Jako główne danie podano pieczone kozłę, przyprawione polewą z estragonu, mięty i cytryny oraz ozdobione kawałkami ostrego żółtego sera. Uzupełnił to gulasz z jagnięcia oraz gotowane na twardo jaja, zaprawione cebulą, kolendra i cynamonem i faszzerowane ciecierzycą. Oba dania wyciskały łzy z oczu i napełniały usta śliną, lecz oba smakowały wyśmienicie.

— HUU! — wydyszał Viridoviks, wachlując usta ręką. — Dużo w tym tego wszystkiego. — By ugasić płomień, wypił duszkiem wino z pucharu i sięgnął po stojącą przed nim karafkę. Ze wszystkich gości Bagratouniego, wielki Celt prawdopodobnie najbardziej odczuwał pikantność potraw. Oprócz octu, miodu i paru mdłych ziół północna Galia niewiele przypraw miała do zaofierowania.

Skaurus siedział po prawej ręce Gagika Bagratouniego, pomiędzy generałem a jego pierwszym adiutantem, mężczyzną wkraczającym w wiek średni, o imieniu Mesrop Anhoghin, który miał twarz zarośniętą jeszcze bardziej niż jego dowódca. Po lewej ręce Bagratouniego, potwierdzając

słowa Senpata Sviodo, siedziała żona generała, Zabel, pulchna, spokojna kobieta, która swego skromnego zasobu videssańskich słów używała głównie po to, by przeprosić, że nie umie więcej. Anhoghin opanował urzędowy język Imperium niewiele lepiej. W rezultacie trybun musiał rozmawiać głównie z Gagikiem Bagratounim, co, jak wkrótce zaczął podejrzewać Marek, zostało rozmyślnie zaaranżowane.

Generał — *nakharar*, jak określał siebie w swym ojczystym języku; oznaczało to księcia—wojownika — cechował się głodem wiedzy o dalekich rubieżach świata, który mógł współzawodniczyć z ciekawością Gorgidasa. Być może, pomyślał Skaurus, wynikał on z jego wysiłków, by wyrosnąć poza granice tego izolowanego kraju, w którym wkroczył w wiek męski. Bez względu na przyczyny, zasypywał Rzymianina pytaniami nie tylko dotyczącymi spraw wojskowych, lecz również pytał o jego ojczyznę, jej mieszkańców, o to jak wygląda miasto Videssos, a nawet co przypomina widok oceanu. — Nigdy go nie widziałem — stwierdził ze smutkiem. — Rzeki, tak, jeziora, te również, lecz nigdy nie widziałem morza.

— Czy dobrze usłyszałem, że jego czcigodność pytał cię o morze? — odezwał się do Marka Viridoviks, który siedział kilka miejsc od nich. Kiedy trybun potwierdził to skinieniem głowy, Gal rzekł z przejęciem: — Powiedz mu, że jest to miejsce dla obłąkanych i dla nikogo innego. Statek

jest niczym więcej jak więzieniem, gdzie poza tym można się utopić.

— Dlaczego on tak mówi? — zapytał Gagik. — Na rzekach i jeziorach lubię łowić ryby z łodzi.

— Cierpi na chorobę morską — odpowiedział Skaurus i zaraz musiał wyjaśnić to pojecie Bagratouniemu. Vaspurakańczyk szarpał się za brodę rozważając słowa Rzymianina; Marek zastanowił się, czy przypadkiem nie przypuszcza, że z niego zakpiono.

Deser składał się z owoców i jakichś interesujących kulistych ciastek — mieszaniny pszennej mąki, rozdrobnionych daktyli i siekanych migdałów — obsypanych sproszkowanym cukrem. To ostatnie okazało się dla Rzymian prawdziwym odkryciem, ponieważ zarówno oni sami jak i Videszańcy słodzili miodem. Sięgając po czwarte, Gorgidas zauważył: — I dobrze, że nie widuję ich częściej, bo inaczej obrósłbym tłuszczem.

— Ba! — rzekł Gajusz Filipus. — Dlaczego to zawsze chudzi skarżą się, że mogą utyć? — Tylko twarde życie, jakie prowadził, ratowało centuriona przed przegraniem walki ze swym brzuchem.

— Nie tylko są bardzo dobre — wtrącił Kwintus Glabrio, oblizując palce — ale też wyglądają na takie, które można długo przechowywać i są tak pożywne, że kilka nakarmiłoby człowieka na jakiś czas. Byłyby dobrym wiktem na podróż.

— Tak też były i są. Zatem jesteś człowiekiem, który dostrzega w rzeczach to, co jest w nich ważne? To cenna zaleta — zadudnił z aprobatą Bagratouni. — My, Vaspurakańczycy, często zabieramy je w podróż.

— Videssańczycy również — zwrócił się do niego z uśmiechem Senpat Sviodo. — Nazywają je „książęcymi jajkami”. — Rzymianie i większość Vaspurakańczyków parsknęli śmiechem; Gagik Bagratouni spoglądał na nich bezradnie. Senpat przetłumaczył kalambur na jego ojczysty język. *Nakharar* mrugnął, a potem on i jego żona równocześnie zaczęli się śmiać. Kiedy Zabel się śmiała, łatwo można było dostrzec, skąd wzięły się zmarszczki przecinające jej rysy; jej twarz została stworzona do śmiechu. Gagik uśmiechnął się do niej czule. Daleko jej było do piękności, lecz własnego, specyficznego uroku nikt nie mógł jej odmówić.

— Naprawdę je tak nazywają? — chichotał jej małżonek. — Naprawdę?

Po deserze ktoś zawołał do Senpata: — Zagraj nam coś, skoro już przyniosłeś swoją bandurę.

— Doskonale — odpowiedział. — Kto ze mną? — Jeden z Vaspurakańczyków miał flet; szybkie przeszukanie domu zakończyło się wydobyciem z jego zakamarków małego ręcznego bębenka dla jeszcze jednego ochotnika. I bez dalszych ceregieli zaintonowali pieśń o ich górzystej ojczyźnie. Wszyscy Vaspurakańczycy zdawali się znać słowa i śpiewając klaskali do taktu. Palce Senpata tańczyły po strunach instrumentu; jego czysty, silny tenor pomagał śpiewającym utrzymać melodię. Gagik Bagratouni śpiewał z entuzjazmem i ogromnie głośno, lecz nawet Marek mógł stwierdzić, że straszliwie fałszuje.

Trybun czuł się osamotniony, zarówno z uwagi na swoją obojętność wobec muzyki w ogólności,

jak i nieznamość tej właśnie muzyki. Zastanawiał się, co też powiedziałyby o niej Helvis, i poczuł kolejne ukłucie sumienia wywołane tym, że nie zabrał jej ze sobą. Dla jego niewykształconych uszu większość pieśni brzmiała wyzywająco, co licowało z duchem tego prężnego ludu, który je stworzył.

W miarę jak muzycy grali, Vaspurakańczycy jeden po drugim podnosili się od stołu i zaczęli tańczyć albo z kobietami, które im towarzyszyły, albo ze służebnymi dziewczętami Gagika. Płyty dziedzińca rozbrzmiewały odgłosem obutych stóp tupiących w zawiłym rytmie. Ciało kołysały się, giętkie i krzepkie jednocześnie. Tancerze byli fizycznym wyrazem tego co słyszeli, pomyślał z zaskoczeniem Marek i zaczął rozumieć, jak silny wpływ może wywierać muzyka, choć sam nie potrafił go odczuwać.

Natomiast Viridoviksa muzyka wyraźnie oczarowała; przyglądał się i słuchał jak gdyby pogrążony w transie. Kiedy w końcu Senpat i jego towarzysze zaczęli grać szczególnie skoczną melodię, Celt nie potrafił już dłużej ustać — czy raczej usiedzieć — na miejscu. Wstał, by dołączyć do tancerzy.

Nie próbował jednak naśladować ich kroków; zamiast tego zatańczył na własną galijską modłę. Podczas gdy ich torsy kołysały się w takt muzyki, jego ciało od pasa w górę pozostawało niemal nieruchome, z rękoma bezwładnie zwieszonymi wzdłuż boków, natomiast jego nogi i stopy aż migąły w skomplikowanych figurach celtyckiego tańca. Podskoczył, zawirował, na pozór zawieszając się w powietrzu, zawirował w drugą stronę, podskoczył znowu. Jego ruchy w niczym nie przypominały ruchów tańczących wokół niego ludzi, ale równocześnie w osobliwy sposób uzupełniały je.

Grupkami po kilkoro osób, Vaspurakańczycy utworzyli krąg wokół Viridoviksa, oklaskując go. Muzycy grali coraz szybciej i szybciej, lecz Gal sprostał wyzwaniu, wirując i podskakując jak opętany. Gdy muzyka dotarła do ognistego finału, zwięńczył swój taniec wyskakując na wysokość równą niemal jego wzrostowi. W górze krzyknął gromko i opadł na ziemię, kończąc swój taniec wspaniałym, zamaszystym gestem rąk.

Wyklaskiwanie rytmu zmieniło się w prawdziwą burzę oklasków, z całego serca wspomagana przez tych, którzy jeszcze siedzieli. — Cudowne, cudowne! — zawołał Gagik. — Tego właśnie kroku chciałbym się nauczyć, gdybym był mniej sztywny w kolanach i chudszy w pasie. Cudowne! — powtórzył.

— Dziękuję waszej czcigodności — wydyszał Viridoviks; wysiłek zabarwił głębokim rumieńcem jego jasną skórę. Celt otarł pot z czoła. — Taniec wywołuje też pragnienie. Czy byłabyś na tyle dobra, żeby podać mi puchar wina, kochanie? — poprosił jedną z dziewczek służebnych, która stała w otaczającym go kręgu. Marek zauważył, że wybrał dziewczynę, która nie mogła oderwać od niego oczu, kiedy tańczył. Wielki Celt mógł traktować niedbale to i owo, lecz gdy chodziło o wybór

dziewczyny, zauważał każdy drobiazg.

— Dziękuję ci, dziewczyno — zamruczał Gal, gdy przyniosła mu wino. Otoczył ją ramieniem w geście, który mógł sprawiać wrażenie, że jest niczym więcej jak podziękowaniem, lecz kiedy przysunęła się do niego, zamiast odsunąć się przytulił ją w sposób, który odzwierciedlał wprawę.

— Twój przyjaciel nie rzuca słów na wiatr — zauważył Senpat Sviodo, zwracając się do trybuna.

— Właśnie to samo przyszło mi do głowy — roześmiał się Marek.

Jeden z gwardzistów Bagratouniego wbiegł na dziedziniec z jakąś wiadomością do swego pana. Mówił w gardłowym vaspurakańskim, tak więc Skaurus, siedzący obok *nakharar*, nie zrozumiał tego, co powiedział, lecz mimo to Rzymianin wyłowił kilkakrotnie powtórzone imię Zemarkhos. Gagik Bagratouni zmarszczył w gniewie swe czarne brwi. Zadał krótkie pytanie gwardziście, który w odpowiedzi skinął głową.

Zachmurzona twarz Bagratouniego sposepniała jeszcze bardziej. Siedział przez chwilę pogrążony w myślach, nawijając na palce pasma gęstej brody. Potem z warknięciem wyrzucił z siebie kilka szybkich rozkazów. Gwardzista, zaskoczony, powtórzył pierwszy z nich pytającym tonem, a potem wyszczerzył zęby w uśmiechu, gdy Gagik wyjaśnił, o co mu chodzi. Mężczyzna oddalił się pośpiesznie.

— Proszę cię, wybac mi mój brak wychowania — rzekł *nakharar*, zwracając się ponownie do Skaurusa. — Kiedy ogarnia mnie gniew, zapominam języka Imperium.

— Tak jak i ja — przyznał trybun. — Okazałeś mi wiele uprzejmości dzisiejszego wieczoru. Słyszałem, jak twój człowiek wymienił imię kapłana, który cię nienawidzi. Czy mógłbym ci jakoś pomóc? Sądzę, że Imperator wysłucha mnie, jeśli poproszę go, by kazał temu człowiekowi zostawić cię w spokoju — Mavrikios nie jest człowiekiem, który poświęciłby jedność Imperium z powodu uczuć jakiegoś kapłana.

— Nie potrzebuję, by ktokolwiek walczył za mnie w mojej bitwie — natychmiast odpowiedział Gagik i Skaurus przestraszył się, że uraził dumnego *nakharar*. Lecz Bagratouni wahał się, a jego lwia twarz wyrażała zakłopotanie — wyraz, który jednak gościł na niej z najwyższym trudem. — Lecz na nieszczęście ten głupi kapłan chce rozmawiać nie ze mną, tylko z tobą i twoimi ludźmi.

— Ze mną? Dlaczego? — To była zatrważająca perspektywa; Marek widział w Videssos dość fanatycznych kapłanów, by wystarczyło mu to na całe życie.

— Żeby zrozumieć kundla, człowiek musi stać się kundlem. Lepiej nie próbować. Chcesz z nim porozmawiać?

Trybun w pierwszym odruchu chciał powiedzieć „nie” i mieć to za sobą. Lecz to mogłoby postawić jego gospodarza w kłopotliwej sytuacji. — Zrobię to, co będzie dla ciebie najkorzystniejsze — odparł w końcu.

— Jesteś zacnym człowiekiem, mój przyjacielu. Niech pomyślę. — *Nakharar* potarł czoło, jak

gdyby próbując w ten sposób pobudzić mądrość.

— Może będzie lepiej, jeśli się z nim spotkasz — zdecydował. — W przeciwnym razie ten cały Zemarkhos może twierdzić, że nie dopuściłem go do ciebie. Dla mnie nie ma to większego znaczenia, ponieważ mam opuścić Amorion z tobą i Imperatorem. Lecz dla moich ludzi, którzy tu zostaną, mogłoby to oznaczać nie kończące się kłopoty.

— Dobrze więc. — Marek szybko zebrał razem Gajusza Filipusa, Kwintusa Glabrio i Gorgidas, ale Viridoviks zdołał już zniknąć. Rozejrzawszy się, Skaurus nie zdołał również dostrzec służebnej dziewczki, którą Celt wybrał na swoją ofiarę tej nocy. Postanowił nie wysłać pościgu za Viridoviksem; nie spieszyło mu się, by Zemarkhos poznał prawdziwą naturę rzymskiej grupy.

— Chętnie zamieniłbym się miejscami z Galem, panie — stwierdził z szerokim uśmiechem Glabrio.

— Jestem starszy stopniem od ciebie, szczeniaku — zgromił go Gajusz Filipus. — Czekaj na swoją kolej, żeby się odezwać.

Nie zwracając uwagi na tę wymianę zdań, Gorgidas zapytał Skaurusa: — Czego ten kapłan może chcieć od nas?

— Chce nam powiedzieć, że wszyscy jesteśmy przekłęci, tak przynajmniej przypuszczam. Cieszę się, że jesteś tutaj z nami; jesteś dobry w teologicznych sporach.

— Moja ulubiona rozrywka — stwierdził Gorgidas, wywracając z rozpaczą oczy. — No dobrze, załatwmy to już. Sądzę, że tak będzie najlepiej — nasz gospodarz niecierpliwi się coraz bardziej. — Była to święta prawda; jak zamknięty w klatce dziki zwierz, *nakharar* chodził tam i z powrotem po dziedzińcu, co jakiś czas uderzając pięścią w dłoń.

Kiedy Bagratouni zobaczył, że Rzymianie są wreszcie gotowi, poprowadził ich przez wonne ogrody do frontowych wrót swej posiadłości. Po drodze dołączył do nich gwardzista, który przyniósł Bagratouniemu wiadomość o przybyciu Zemarkhosa. Grube rękawice chroniły jego ręce, w których niósł zwój czegoś, co wyglądało na płócienne prześcieradło. Na jego twarzy widniał wyraz oczekiwania.

Wrota stały zamknięte, jak w obliczu każdego wroga. Na niecierpliwy gest *nakharara*, jego ludzie odryglowali je i rozwarli na oścież. I, jak gdyby wkraczając tryumfalnie do zdobytego miasta, Zemarkhos wszedł na ziemię Vaspurakańczyków, ze swym psem u nogi.

Zobaczył Gagika Bagratouniego, zanim jeszcze dostrzegł stojących za nim Rzymian. — A więc — powiedział — nie ośmieliłeś się dopuścić tych ciemnych obcokrajowców do źródła prawdy, a tylko usiłujesz wplątać ich w swe złowrogie knowania?

Bagratouni niemal dostrzegalnie nabrzmiał gniewem. Zacisnąwszy pięści, zrobił krok w stronę kapłana. Pies Zemarkhosa zawarczał ostrzegawczo; sierść na jego grzbiecie zjeżyła się. Zemarkhos ujął mocniej smycz. — Do nogi, Vaspur! — rozkazał, lecz to polecenie z pewnością nie kazało

człowiekowi, w obliczu którego się znalazł, pokochać go bardziej.

Próbując oddalić groźbę wybuchu, Marek pospiesznie wyprowadził swych towarzyszy zza pleców *nakharara*, tak by Zemarkhos mógł ich zobaczyć. — Jesteśmy tutaj, tak jak prosiłeś — zwrócił się do kapłana — jak też z uwagi na usilne nalegania naszego miłego gospodarza. Dlaczego to, co masz do powiedzenia, ma być tak ważne dla ludzi, których nigdy przedtem nie spotkałeś?

— Z twego obcego stroju a i teraz z twojej mowy widzę, że jesteś cudzoziemcem i to na tyle głupim, by wejść do takiego siedliska nikczemności. Moja powinność wobec twojej duszy i dusz twoich ludzi sprowadziła mnie tutaj, aby wyrwać cię ze szponów tego nikczemnego heretyka, który zwabił cię do swego gniazda.

Trybun niechętnie podziwiał odwagę Zemarkhosa, którą marnował tu bez potrzeby. Bojaźliwy człowiek nie przemawiałby tak zuchwale pod twierdzą swego zaciętego wroga. Lecz, tak jak u nadto wielu duchownych, z jakimi Skaurus spotkał się w Videssos, dogmaty kapłana nie pozwalały mu dostrzec wartości tych wszystkich, którzy nie wyznawali ich razem z nim.

Odpowiedział najuprzejmiej jak potrafił: — Jako że nie dyskutowaliśmy o sprawach religijnych, temat herezji wcale się nie pojawił.

— Och, to chytry człowiek, szczwany jak lis, nienasycony jak szakal. Mimo to, lód i tak go ogarnie. — Ludzie Bagratouniego pomrukiwali gniewnie słysząc obelgi, jakimi Zemarkhos obrzucał ich zwierzchnika, lecz *nakharar* stał nieruchomy i milczący, jakby wyrzeźbiony w kamieniu. Choć jego twarz odzwierciedlała szalejącą w nim burzę, to jednak ani słowem nie odpowiedział kapłanowi.

Przemówił natomiast Gorgidas. Jego namiętne zainteresowanie wszystkim, na co się natykał, kazało mu zbadać święte pisma Videssos zaraz, gdy tylko potrafił je odczytać; nawet jeśli nie mógł zaakceptować głoszonych w nich przykazań. Teraz, korzystając ze swej zdolności do przytaczania trafnych cytatów, zapytał Zemarkhosa: — Czy nie jest napisane w rozdziale czterdziestym ósmym: „Niech furia zostanie zgnieciona! Ukróćcie przemoc, wy którzy chcecie się zbawić, siłą swej prawości”?

Lecz cytowanie świętych pism pozwoliło kapłanowi walczyć na dobrze znanym mu gruncie. Odpowiedział szybko i pewnie: — Tak, a w trzydziestym trzecim rozdziale napisano też: „Ktokolwiek czyni zło niegodziwym, cieszy Phosa i spełnia jego wolę”. Imperator może sobie myśleć, że dokonuje wielkiej rzeczy wyprawiając się przeciwko poganom Yezd. Mógłby jednak zrobić coś lepszego w samym Videssos, oczyszczając je z jadowitych heretyków mieszkających wewnątrz naszych granic!

Bagratouni przepchnął się obok Rzymian. — Kapłanie, rzygasz swoją nienawiścią, jak pijak swoją kolacją. I całą skierowałeś na mój kraj. Niech tylko pozwolę moim ludziom, a potraktują cię tak, jak na to zasługujesz.

Zemarkhos poruszył postronkiem swego psa. Bestia natychmiast skoczyła na Bagratouniego,

lecz smycz zatrzymała ją w miejscu, kłapiącą ze złości zębami i warczącą głucho z głębi gardzieli. Kapłan roześmiał się. — Poszczuj na mnie swoje psy — zobaczysz, jak szybko podwiną pod siebie ogony.

— Dlaczego nazwałeś to zwierzę Vaspurem? Powiedz mi to — zwrócił się do niego zwoźniczo łagodnym tonem Bagratouni.

— Dlaczego? — zadrwił kapłan. — A jakie imię może być lepsze dla psa?

Pod wpływem tej ostatniej zniewagi cała cierpliwość Gagika Bagratouniego prysnęła. Jego głos rzeczywiście przypominał ryk lwa, kiedy w swym rodzinnym języku huknął rozkaz do gwardzisty, który niósł zwój płótna. Zręcznie jak gladiator—sieciarz, mężczyzna skoczył naprzód, by zasunąć swój ogromny wór z grubego materiału na głowę Zemarkhosa. Skrzecząc przekleństwa, kapłan runął, szamocząc się, na ziemię.

Pies Vaspur skoczył warcząc, by bronić swego pana. Lecz gwardzista Bagratouniego był przygotowany na atak psa. Choć szamoczący się ze swoją ofiarą, wepchnął jedną chronioną rękawicą rękę pomiędzy rozwarte szczęki bestii, a drugą przycisnął ją do swej opancerzonej piersi. Warczenie zmieniło się w wpół zduszone skamlanie.

Vaspurakańczyk pochylił się, by unieść otwarty koniec worka, który teraz otaczał mlójące na wszystkie strony nogi Zemarkhosa. Uchylając się przed salwami kopniaków, wepchnął psa do worka, a potem zawiązał jego koniec.

We wrzaskach Zemarkhosa pojawiła się nagle, rozpaczliwa natarczywość, gdy Vaspur, oszalały ze strachu, zaczął dziko kęsać wszystko, co znajdowało się w pobliżu — a co, w tej akurat chwili, składało się niemal w całości z kapłana. Z ogromnym zadowoleniem na twarzy Bagratouni podszedł do worka, by posłać mu kilka energicznych kopniaków. Pies zaskowyczał, kapłan wrzasnął jeszcze głośniejsze przedtem, a wirowanie w trzepoczącym płótnie osiągnęło zdumiewającą szybkość.

Vaspurakańczycy podeszli bliżej, by nacieszyć oczy widokiem uwięzionego w ten sposób wroga i by samemu kopnąć raz czy dwa. — Jak to powiedziałaś, kapłanie? — krzyknął Bagratouni. — „Ktokolwiek czyni zło niegodziwym cieszy Phosa”? Dziś w nocy Phos bardzo się ucieszy.

Z odgłosów dochodzących z worka należało sądzić, że Zemarkhos jest rozdierany na kawałki. Skaurus nie kochał fanatycznego kapłana, lecz nie sądził, by zasługiwał na tak paskudną śmierć. — Wypuść go — ponaglił Bagratouniego. — Żywy nie będzie mógł nienawidzić ciebie i twoich ludzi bardziej niż dotychczas, lecz zabity stanie się męczennikiem i symbolem zemsty w latach, które nadejdą.

Nakharar spojrział nic nie rozumiejącymi oczyma na Rzymianina; niemal jak człowiek, któremu przerwano akt miłosny. Potem, z wolna, jego wzrok wypełnił się niechętnym zrozumieniem. — W tej młodej głowie masz doświadczony umysł — powiedział, wolno wymawiając słowa. — Dobrze.

Twoja prośba będzie spełniona.

Gwardziści poruszali się z taką samą niechęcią, jaką okazywał ich zwierzchnik, lecz jednak się poruszali; rozcięli worek, tak by jego lokatorzy mogli sami się uwolnić. Pies Vaspur wypadł przez dziurę w tej samej chwili, gdy stała się na tyle duża, by mógł się przez nią przecisnąć. Vaspurakańczycy odskoczyli w trwodze, lecz w przerażonej bestii nie pozostał nawet cień woli walki. Błyskawicznie umknęła w noc, pobrzękując wleczonym za sobą łańcuchem.

Kiedy Zemarkhos w końcu uwolnił się ze spowijającego go płótna okazało się, że jego widok może zaspokoić z nawiązką nawet najbardziej wygłodzoną żądę zemsty. Na ramionach i nogach miał głębokie rany od ugryzień; pies odgryzł mu też połowę jednego ucha. Tylko szczęście uchroniło jego twarz i brzuch od kłów zwierzęcia.

Gorgidas podskoczył do niego na widok tych ran, mówiąc: — Przynieście mi bandażę i pełen dzban wina. Możemy się cieszyć, że pies nie był wściekły, lecz ugryzienia trzeba oczyścić, żeby nie zaropiały. — Kiedy żaden Vaspurakańczyk nie poruszył się, lekarz przewiercił oczyma jednego z nich i warknął: — Ty! Ruszaj! — Mężczyzna pospieszył z powrotem do domu Bagratouniego.

Lecz Zemarkhos, podnosząc się chwiejnie na nogi, nie pozwolił Gorgidasowi opatrzyć swych ran. — Żaden poganin nie będzie mnie dotykał — powiedział i kuśtykając wyszedł przez bramę posiadłości Bagratouniego. Jego kapłańskie szaty, porozrywane zębami psa, zwisały wokół niego w trzepoczących strzepach. Ludzie *nakharara* zahukali radośnie, gdy ciemność pochłonęła ukaranego wroga.

Viridoviks podbiegł do bramy wraz z Vaspurakańczykiem, którego Gorgidas posłał po bandażę. — O co ta cała awantura z udzielaniem pomocy? Ten włóczykij rozumie mój videssański, lecz ja nie mogę pojąć słowa z tego, co mówi.

Kiedy Gal dowiedział się, jakie widowisko go ominęło, zawiedziony tupnął w ziemię. Jeśli cokolwiek cieszyło Gala bardziej od towarzystwa kobiet, to była tym walka. — Czy nie ma na to jakiegoś sposobu? Jeszcze jedna wspaniała awantura przepadła, ponieważ zabawiałem się w krzakach! To nie wydaje się sprawiedliwe.

— Sam sobie jesteś winien, dobrze wiesz. Mogłeś być tutaj z nami, ale wolałeś pobiec za spódniczką — rzekł niezyczwilwie Gajusz Filipus.

A Gorgidas zapytał: — Czy tylko to się liczy dla ciebie? Rozrywka? Tylko okrutny człowiek może się cieszyć oglądając skutki nienawiści innych.

— Och, dajże mi spokój — odciął się Celt. — Jesteś teraz zły jedynie dlatego, że ten łajdaki kapłan uciekł nie pozwalając, byś go połatał. — To oszczerstwo zawierało w sobie wystarczającą dawkę prawdy, by doprowadzić Gorgidasa do stanu prychającej furii.

Kwintus Glabrio powiedział spokojnie: — Nie musisz czuć się ograbiony z możliwości igrania z niebezpieczeństwem, Viridoviksie. Czy możesz z całym przekonaniem powiedzieć mi, że uważasz

miłość za mniej niebezpieczną od walki?

Celt zamrugał bezmyślnie, lecz oczy Gorgidasa zwięzły się w namyśle, jak gdyby dopiero teraz naprawdę zobaczył młodego centuriona. A kiedy Gagikowi Bagratouniemu przetłumaczono rozmowę — ponieważ w większości przebiegała po łacinie — położył rękę na barkach Glabria, mówiąc: — Wiedziałem, że jesteś bystry. O wielu ludziach można to powiedzieć, lecz teraz widzę, że jesteś też mądry. To rzadsza i o wiele cenniejsza zaleta. Skaurus, tego młodzieńca musisz otoczyć troskliwą opieką.

— Aż do teraz sam doskonale potrafił troszczyć się o siebie, jak też powinno być — odpowiedział Marek. Zastanowiwszy się nad tym uświadomił sobie, jak bardzo to było prawdziwe. Milcząca fachowość Glabria sprawiła, że trybun niekiedy ledwie go zauważał w ciągu mijających dni, lecz manipuł, którym dowodził, był zawsze doskonale wyszkolony i teraz, kiedy się nad tym zastanowił, odniósł wrażenie, że jego ludzie sprawiają mniej kłopotów dyscyplinarnych niż pozostali Rzymianie. Dobry człowiek na podporządku, pomyślał Marek, naprawdę doskonały.

XII

W jakiś sposób to, że ani Hel vis, ani Amorion nie wybuchnęli, tak jak tego oczekiwał, sprawiło trybunowi zawód. Jego panią tak pochłonęła relacja o zemście Gagika Bagratouniego nad Zemarkhosem, że zapomniała być zła o to, że jej tam nie było. Fakt, że kapłan głosił ortodoksyjną wiarę widessańską, tym słodszy uczynił dla niej jego upadek.

— Więcej z nich powinno być tak potraktowanych — oświadczyła. — To utarłoby nosa ich rozumiałości.

— Czy twoja radość z ich klęski nie jest równie zła, jak ich uciecha z gnębienia twoich współwyznawców? — zapytał Marek, lecz jej jedyną odpowiedzią było spojrzenie równie puste jak to, którym Viridoviks obdarzył Kwintusa Glabrio. Ustąpił — przekonanie o prawdziwości jej wiary zakorzeniło się w Helvis zbyt mocno, by dyskusja mogła coś dać.

Amorion powstałby przeciwko zamieszkującym w nim Vaspurakańczykom przy najslabszym słowie zachęty ze strony Imperatora, lecz takie nie nadeszło. Kiedy Zemarkhos pojawił się przed namiotem Mavrikiosa Gavrasa, by wnieść oskarżenie przeciwko Bagratouniemu, Imperator zdążył już zapoznać się z relacjami *nakharara* i Rzymian. Odesłał zgnębnionego duchownego, mówiąc: — Jako kapłan, czy nie, nie miałeś żadnych powodów, by nachodzić dom tego człowieka i denerwować go wulgarnymi zniewagami. Nie można go winić, że wystąpił przeciwko tobie; ani on, ani jego ludzie nie powinni być narażeni na jakiegokolwiek prywatne próby zemsty.

Bardziej bezpośredni, jego brat Thorisin dodał: — Tak jak ja to rozumiem, dostałeś to, na co zasłużyłeś za wtykanie nosa w nie swoje sprawy. — Takie też było odczucie większości armii, która ceniła sobie niewybredny dowcip pomysłu Gagika. Chór poszczekiwań i skowytów towarzyszył Zemarkhosowi, gdy kulejąc opuszczał obóz. Bez reszty wypełniała go nienawiść, lecz groźba Imperatora powstrzymywała go, podczas gdy armia uzupełniała zapasy w Amorionie.

Skaurus czuł wyraźnie, że Mavrikios żałuje każdej minuty, którą spędzał w mieście na płaskowyżu. Konflikt pomiędzy Zemarkhosem a Gagikiem Bagratounim, poważny pod niemal wszystkimi względami, był dla niego teraz niczym więcej, jak niemile widziana sprawa, odciągająca jego uwagę od najważniejszej rzeczy. Od czasu pierwszych potyczek z Yezda sprawiał wrażenie konia z wędzidłem pomiędzy zębami i zdawał się płonąć chęcią rozpoczęcia wielkiej bitwy, którą zaplanował.

Jednak dobrze się stało, że jego armia zatrzymała się, by odpocząć i uzupełnić zapasy przed wypuszczeniem się na pomocny zachód w stronę Soli. Ta podróż, krótsza niż każdy z dwóch pierwszych etapów, była trudniejsza niż oba z nich razem wzięte. Te wszystkie kryjówki z zapasami jedzenia, które miejscowym przedstawicielom videssańskiej władzy udało się zaprowiantować dla armii, wpadły w ręce najeźdźców. Yezda robili wszystko, by zmienić kraj w pustynię, podpalając pola i zasypując kanały rozdzielające tę odrobinę wody, która nimi płynęła.

Koczownicy z Yezd, którzy napływali do imperium, czuli się na takiej pustyni jak w domu. Wychowani w twardej szkole stepów, z łatwością dawali sobie radę tam, gdzie videssańska armia głodowałaby, gdyby nie zapasy, które ze sobą niosła. Coraz więcej i więcej koczowników ciągnęło jak cień za siłami Imperium. Kiedy tylko sadzili, że okoliczności im sprzyjają, uderzali błyskawicznie, by zaraz potem znowu zniknąć jak dym na wietrze.

W miarę upływu czasu napady stawały się coraz zuchwalsze. Mniej więcej w połowie drogi pomiędzy Amorionem a Solą, oddział liczący około pięćdziesięciu ludzi przedarł się przez osłaniających armię jeźdźców z Khamorthu i przemknął przed maszerującą kolumną, zasypując ją gradem strzał.

Marek zobaczył chmurę kurzu zbliżającą się od zachodu, lecz nie zwrócił na nią większej uwagi. Może, pomyślał, zwiadowcy spostrzegli większą grupę Yezda i wysłali łączników po pomoc.

Gajusz Filipus nie zgodził się z tym. — Jest ich na to zbyt wielu. — Jego twarz nagle sposepniała. — Wcale nie sądzę, żeby to byli nasi ludzie.

— Co? Nie mów bzdur. Musieliby... — Bez względu na to, jakiego argumentu trybun chciał użyć, by sprzeciwić się opinii centuriona, zamarł on w jego ustach, kiedy jeden z legionistów krzyknął z bólu i trwogi, gdy strzała przeszła mu ramię. Odległość, z jakiej padł strzał, była skandalicznie duża, lecz szybko zmniejszyła się, gdy koczownicy, wyciskając ze swych lekkich wierzchowców wszystko co się dało, przemknęli ze świstem obok czoła kolumny, opróżniając swe kołczany

najszybciej jak mogli. Na plecach siedział im oddział Khamorthów będących w służbie Imperatora.

— Wszystkie manipuły stać! — zabrzmiał bojowy ryk Gajusza Filipusa. — Tarcze w górę! — Rzymianie zdjęli swoje *scuta* i unieśli je, by osłonić twarze.

Nic innego nie mogli zrobić; Yezda przemykali poza zasięgiem *pilum*. Adiatun i jego procarze pospiesznie wypuścili kilka pocisków, lecz nie doniosły. Zatem to, co cały czas twierdzili Khamorthci, okazało się prawdą — łuki koczowników posiadały zasięg, jakiemu nie mogła sprostać żadna broń, którą dysponowali Rzymianie. Skaurus włączył ten fakt w poczet przyszłych trosk.

Jeźdźcy rozdzielili się na grupy po czterech i pięciu, i rozproszyli się we wszystkich kierunkach. Nie uczynili nic, co można byłoby nazwać szkodą, lecz zdołali wprowadzić zamieszanie w armii, która tysiącrotnie przewyższała ich liczebnością.

Najemna kawaleria Videssos wciąż ściagała Yezda. Coraz to nowi jeźdźcy dołączali do pościgu. Marek miał trudności z rozróżnieniem przyjaciół od wrogów. W wirującym przed nim kurzu koczownicy, którzy walczyli pod sztandarem Yezd, niewiele różnili się od najemników Imperium. Być może Khamorthci mieli ten sam problem, ponieważ zaledwie kilku Yezda padło, nim reszta zdołała umknąć.

Spotkanie oficerów, które imperator zarządził na ten wieczór, nie należało do radosnych. Zuchwalstwo Yezda zapiekło Mavrikiosa, a fakt, że uszli niemal bezkarnie, dodatkowo go rozwścieczył. — Na słońca Phosa! — wybuchnął Imperator. — Pół dnia marszu zmarnowane z powodu paru chudych, brudnych barbarzyńców! Ty, mospanie! — warknął na Ortaiasa Sphrantzesa.

— Wasza Wysokość?

— O czym to bez przerwy paplałeś? Że jedynymi ludźmi mogącymi złapać koczowników są inni koczownicy? — Imperator czekał ze złowieszczym wyrazem twarzy, lecz Sphrantzes, wykazując rozsądek, o który Skaurus go nie podejrzewał — a może po prostu przerażenie odjęło mu mowę? — milczał.

Jednak jego rozważne milczenie nie zdołało go uratować. — To przez twoich cholernych koczowników przedarli się Yezda, chłopcze. Jeśli zrobią to znowu, możesz zapomnieć o swoim drogocennym lewym skrzydle — znajdziesz się z powrotem na tyłach, pod opieką zbieraczy końskiego łajna. — To, że Mavrikios jest bratem Thorisina, stawało się niewątpliwe, kiedy wpadał w złość. Sam Sevastokrata milczał tak samo jak Ortaias Sphrantzes, lecz z jego uśmiechu wynikało, że raduje go każde słowo przemowy Mavrikiosa.

Kiedy Imperator skończył, Ortaias powstał, skłonił się konwulsyjnie i mamrocząc: — Z pewnością postaram się poprawić — wycofał się niegodnie z imperatorskiego namiotu.

Jego wyjście tylko częściowo uspokoiło Mavrikiosa. Teraz swój gniew skierował na nominalnego podwładnego Sphrantzesa, Nephona Khournosa. — Znajdziesz się tam razem z nim, żebyś

wiedział. Postawiłem was tam razem, żebyś ty nim kierował, nie odwrotnie.

— Raz każdemu może się nie udać — rzekł flegmatycznie Khoumnos. Jak to leżało w jego zwyczaju, wziął na siebie odpowiedzialność bez słowa skargi. — Wypadli na nas niespodziewanie, a myśmy się zagapili. Jeśli zdarzy się to znowu, to, na Phosa, zasługuję na to, żeby zamiatać końskie łajno.

— Zatem zostańmy przy tym. — Imperator skinął głową, nieco ułagodzony.

Khoumnos również dotrzymał słowa; przez resztę drogi do Soli czujki jego kawalerii udaremniały jedną zasadzkę po drugiej. Niemniej jednak tempo marszu spadło. Potyczki z najeźdźcami zdarzały się teraz ciągle; potyczki, które podczas innej kampanii, prowadzonej na mniejszą skalę, uznawano by za normalne bitwy. Raz za razem armia musiała odpierać Yezda, zanim mogła ruszyć dalej.

Kraj, który przemierzała, stawał się coraz bardziej jałowy, spustoszony. Oprócz videssańskiej armii i jej wrogów niemal nikt inny nie przebywał na tej ziemi; jej rolnicy i pasterze albo ponieśli śmierć, albo uciekli. Jedyne liczące się grupy ludności mieszkaly w chronionych murami miastach. Takich jednak było tam niewiele po długich latach pokoju i nie wszystkie one pozostały nietknięte. Gdzie brakowało rąk do pracy na polach i w zagrodach, tam miasta usychały na własnych śmieciach.

Armia minęła niejedną pustą skorupę tego, co niegdyś było miastem, lecz teraz gościło tylko żywiące się padliną ptaki — lub, co gorsza, Yezda, którzy zasadzali się w opuszczonych budynkach i kiedy ich atakowano, walczyli jak przyparte do muru szczury.

Tutaj, jak gdzie indziej, najpotworniejsze bestialstwa najeźdźcy pozostawiali dla świątyni Phosa. Inne ich barbarzyństwa bledły w obliczu szatańskiej pomysłowości, na jaką zdobywali się dla takich profanacji. Nie wszystkie ołtarze miały takie szczęście, by zostać porąbanymi na podpałkę; krwawe obrzędy i ofiary składane na innych sprawiały, że zwykle profanacje wydawały się dzieciinną igraszka. Tak zahartowany weteran jak Nephon Khoumnos zwymiotował kolację po wizycie w jednej ze splądrowanych świątyni. Jeśli przedtem Imperator zachęcał swych żołnierzy do oglądania roboty ich nieprzyjaciół, tak teraz zaczął wydawać rozkazy, by pieczętowane zbezczeszczone świątynie; tak by to, co mogli tam zobaczyć, nie odbierało im odwagi.

— Takie podłości wskazują na Avshara; przyciąga je równie pewnie jak magnetyt gwoździe — stwierdził Gorgidas. — Musimy zbliżyć się do niego.

— To dobrze! — powiedział z naciskiem Gajusz Filipus. Dowodził grupą Rzymian odkomenderowaną do pilnowania opieczętowanej świątyni i skorzystał z przywileju swej rangi, by zerwać pieczęcie i wejść do środka. Chwilę później wypadł przez drzwi, z twarzą pobladłą pod głęboką opalenizną i czołem zroszonym potem. — Im szybciej świat j zostanie oczyszczony z takiego plugastwa, tym lepiej dla wszystkich, którzy na nim żyją — tak, łącznie z tymi! biednymi, prze-

klętymi bękartami, którzy za nim podążają.

Marek nie sądził, że kiedykolwiek usłyszy swego starszego centuriona mówiącego w ten sposób o którymś z nieprzyjaciół. Wojna była zawodem Gajusza Filipusa, tak jak ciesiołka mogła być zawodem jakiegoś innego człowieka, i centurion traktował swych przeciwników z szacunkiem, na jaki zasługiwały ich umiejętności. Zaciekawiony trybun zastanowił się głośno: — Co takiego zobaczyłeś w tamtej świątyni?

Twarz Gajusza Filipusa zastygła, jak gdyby nagle zmieniła się w kamień. Przez zaciśnięte zęby powiedział: — Proszę, panie, nigdy mnie o to nie pytaj. Jeśli bogowie zechcą, może uda mi się zapomnieć o tym przed śmiercią.

Imperialna armia dotarła do Soli w smętnym nastroju. To, co tam zastali, w żaden sposób nie dało im otuchy. Nowe miasto, pozbawione murów obronnych na modłę tak wielu videssańskich miast, tuliło się do mętnożółtych wód rzeki Rhamnos, by stanowić tym lepszą przynętę dla handlu. Stara Solą, leżąca wyżej na wzgórzach — od stuleci garnizon strzegący granicy z Makuranem — świeciła pustkami... dopóki nie przybyli Yezda.

Wówczas to nowe miasto przepadło w ogniu i śmierci — w rzeczywistości plądrowane wielokrotnie w ciągu wielu lat, aż w końcu nic już nie pozostało do złupienia. A wtedy Stara Solą, niemal u progu ostatecznego wymarcia, przeżyła ponowne, smutne narodziny, gdy uciekinierzy z nadbrzeżnego miasta zaczęli łątać zrujnowane mury i naprawiać walące się budynki, w których przed sześcioma pokoleniami urodzili się ich przodkowie.

Nie zważając na to, co jego ludzie mogą sobie z tego wywróżyć, Mavrikios rozłożył się obozem wśród ruin martwego miasta na brzegu rzeki Rhamnos. Armia tak wielka jak ta, którą wiódł, potrzebowała więcej wody, niż mogły jej dostarczyć studnie i cysterny Starej Soli, a rzeka — logicznie — najlepiej się do tego nadawała. Miało to też sens pod względem militarnym, lecz z drugiej strony denerwowało żołnierzy.

— Pewne jak nic, że to rozżołości duchy tutejszych mieszkańców — oświadczył Viridoviks. — One wszystkie domagają się zemsty na tych, którzy ich zabili. O! — zawołał. — Słyszycie jak zawodzą? — I rzeczywiście, seria żałobnych pohukiwań rozległa się w ciemnościach zalegających wokół obozu Rzymian.

— To jakaś sowa, ty cymbale — rzekł Gajusz Filipus.

— Och, tak, to *brzmi* jak sowa — odparł Gal, nie—przekonany ani o jotę.

Marek poruszył się niespokojnie na swoim miejscu przy ognisku. Powiedział sobie, że nie wierzy w duchy, i potrafił przekonać świadomą część swego umysłu, że mówi prawdę. Lecz w głębi duszy wcale nie był taki pewien. A jeśli duchy w ogóle istniały, z pewnością zamieszkiwałyby w takim miejscu jak to.

Większość budynków wymarłej Soli uległa zniszczeniu albo z rąk Yezda, albo z powodu rujnu-

jącego upływu czasu, lecz tu i tam jakaś wieża lub poszarpany fragment solidniej wzniesionego budynku wciąż jeszcze stały, majacząc głębszą czernią na tle nocnego nieba. Właśnie stamtąd wydobywały się żalosalne tony sów i furkoczące zawoływania lelków — jeśli to były ich głosy. Nikt nie wyglądał na spragnionego, by to sprawdzać, a i trybun nie miał ochoty na szukanie ochotników.

Jak gdyby niesamowitość samego miejsca nie wystarczała, w miarę upływu nocy z rzeki Rhamos zaczęła wypełzać rzadka mgła, okrywając na wpół przezroczystym całunem obóz imperialnej armii. Teraz z kolei Gajusz Filipus zaczął się denerwować. — Ani trochę mi się to nie podoba — oświadczył, gdy mgła pochłaniała jedno obozowe ognisko za drugim. — To zapewne jakiś podarunek Avshara, żeby osłonić jego atak. — Badał wzrokiem kłębiącą się mgłę, usiłując przeniknąć ją samą siłą woli. Oczywiście nie udało mu się to, co tylko zwiększyło jego niepokój.

Lecz Marek dorastał w Mediolanie, leżącym nad dopływem Padu, Olonną. Musiał potrząsnąć głową. — Mgła często podnosi się nocą znad rzeki — nie ma się czym martwić.

— Właśnie — przytaknął Grek. — Natura postarała się, żeby cząsteczki unosiły się w powietrze znad oceanów i potoków. Ta mgła jest tylko zwiastunem chmury. Kiedy ten opar spotka się z przeciwnie skierowanymi emanacjami spływającymi z eteru, który mieści w sobie gwiazdy, zgęstnieje w prawdziwą chmurę.

Epikurejski opis tworzenia się chmur w żaden sposób nie uspokoił centuriona. Viridoviks próbował dogadywaniem przywrócić mu dobry humor. — Nic się nie martwiłeś, kiedy widziałeś, jak sama ziemia paruje, albo jeszcze gorzej, gdy szliśmy do Garsavru. Oczywiście — dodał przebiegle — wtedy byliśmy o wiele dalej od Yezda.

Jednak nawet posądzenie o tchórzostwo nie wywołało u Gajusza Filipusa większej reakcji. Potrząsnął głową, mrużąc: — Chodzi o to przekłete miejsce, to wszystko; nawet bez mgły wygląda to jak obozowanie w grobowcu. Najszybszy wymarsz stąd nie byłby dla mnie za szybki.

Lecz mimo serdecznego pragnienia centuriona, by stamtąd odejść, imperialna armia nie wyruszyła natychmiast. Zwiadowcy badający szlaki wiodące przez Vaspurakan donieśli, że kraj na zachód od Soli jest pustkowień ogłoconym niemal ze wszystkich żywych istot.

Senpat Sviodo i jego żona należeli do jeźdźców, którzy wyruszyli do Vaspurakanu. — Zapłacą za to, nawet gdyby miało to trwać tysiąc lat — powiedział po powrocie Sviodo. To, co zobaczył w swym ojczystym kraju, na zawsze wypaliło w nim część jego młodości. Zimna wściekłość brzmiała w jego głosie i widoczna na twarzy wydawała się bardziej pasować do człowieka dwa razy starszego od Svioda.

— Nasi biedni rodacy przeżyli tylko w górskich lasach i w paru twierdzach — powiedziała Nevrata. Wydawała się niewiarygodnie znużona; jej oczy wypełniał smutek zbyt gorzki dla łez. — Łąki, pola — nic się tam nie porusza z wyjątkiem Yezda i innych bestii.

— Miałem nadzieję wrócić tutaj z oddziałem książąt, by walczyli z najeźdźcami pod sztandarem

Imperatora — ciągnął Senpat — ale nie pozostał nikt, kogo mógłbym zabrać. — Jego ręce zadygotały w bezsilnej furii.

Marek przyglądał się surowym bruzdom, które pojawiły się po obu stronach ust Senpata. Upłyło wiele czasu, nim znowu pojawił się ów wesóły chłopak, którego poznał przed kilkoma dniami, a trybun nie miał pewności, czy lubi tego posępnego, obcego niemal człowieka, jaki zajął jego miejsce. Nevrata ujęła dłoń męża w swoje, próbując wyciągnąć z niego ból, lecz on siedział, ze wzrokiem wbitym przed siebie, mając przed oczyma wyłącznie wizję swej spustoszonej ojczyzny.

Na takim terenie armia nie mogła liczyć, że utrzyma się z tego, co zdobędzie; na drogę przez pustkowia musiała zabrać ze sobą własne zaprowiantowanie. Mavrikios rozkazał, by rzeką Rhamnos dostarczono zboże z nadbrzeżnych równin leżących na północy, tak więc on i jego ludzie musieli czekać, dopóki nie przybędą łodzie.

Irytujące opóźnienie w tak ponurym otoczeniu napięło nerwy Imperatora do granic wytrzymałości. Łatwo wybuchał gniewem od czasu, gdy garstka jeźdźców z Yezd zakłóciła marsz armii. Teraz, znowu zatrzymany w marszu, ulegał zgryzocie zawiedzionych nadziei, kiedy każdy kolejny dzień mijał bez widoku łodzi z niezbędnymi zapasami. Ludzie obchodzili go ostrożnie, w obawie, by jego powstrzymany gniew nie spadł na nich.

Do wybuchu doszło piątego dnia pobytu w Soli. Skaurus przypadkiem znalazł się w pobliżu. Chciał pożyczyć jakąś mapę Vaspurakanu ze zbioru, jaki Mavrikios przechowywał w swoim namiocie, by lepiej zrozumieć relacje Senpata Sviedo opisującego kraj, który mieli przebyć, jeśli łodzie z zapasami kiedykolwiek nadejdą.

Dwóch Halogajczyków z Gwardii Przybocznej Imperatora przepchnęło się przez klapy wejściowe namiotu, włokąc pomiędzy sobą chudego videssańskiego żołnierza. Trzej inni Videssańscy podążali nerwowo za gwardzistami.

— O co chodzi? — zapytał gniewnie Imperator.

Jeden z gwardzistów odpowiedział: — Ten śmieć podkradał miedziaki swym towarzyszom. — Potrząsnął swym więzieniem wystarczająco mocno, żeby zęby zakłapały mu w ustach.

— Teraz właśnie? — Imperator spojrzął na videssańskich żołnierzy stojących za Halogajczykami. — Wy trzej jesteście świadkami, jak sądzę?

— Wasza Wysokość, panie? — wydukał jeden z nich. Wszyscy trzej gapili się na luksusowe wnętrza namiotu, jego miękkie łóżce i pomysłowo zaprojektowane, przenośne meble — Mavrikios miał mniej spartański gust niż Thorisin.

— Jesteście świadkami, tak? — Z jego tonu wynikało, że cierpliwość zaraz mu się skończy.

Mówiąc na przemian, opowiedzieli, co się zdarzyło. Więzień, o imieniu Doukitzes, został przyłapano na opróżnianiu sakiewki z miedziakami, kiedy jego trzej towarzysze niespodziewanie wrócili do namiotu, w którym we czterech zamieszkiwali. — Pomyśleliśmy, że parę pasów kazałoby mu

trzymać palce z daleka od tego, co do niego nie należy — powiedział jeden z żołnierzy — a ci ludzie — wskazał na Halogajczyków — przypadkiem znaleźli się w pobliżu, więc...

— Chłosta? — przerwał mu Gavras. Machnął pogardliwie ręką. — Złodziej zapomina o chłości wcześniej, nim zagoją mu się ślady po niej. Damy mu coś, co zapamięta do końca swoich dni. — Odwrócił się do Halogajczyków i warknął: — Odjąć mu rękę w nadgarstku.

— Nie! Na miłosierdzie Phosa, nie! — wrzasnął Doukitzes. Wyrwał się gwardzistom i padł Mavrikiosowi do stóp. Objął Imperatora za kolana i całował skraj jego szaty, mamrocząc: — Nigdy już tego nie zrobię! Przysięgam na Phosa! Nigdy, nigdy! Litości, panie, błagam, litości!

Nieszczęśni współlokatorzy złodzieja spojrzeli ze zgrozą na Imperatora — chcieli, by ich lepkopalcy towarzysz został wychłostany, lecz nie okaleczony.

Marka na równi z nimi przeraził drakoński wyrok Gavrasa. Teoretycznie, złodziejstwo w rzymskiej armii mogło być karane śmiercią, lecz nie w wypadku tak śmiesznej sumy, o jaką chodziło tutaj. Powstał znad skrzyni z mapami, którą przeszukiwał. — Wasza Wysokość, czy to jest sprawiedliwe? — zapytał przez zawrodozenie Doukitzesa.

Z wyjątkiem więźnia, wszyscy w namiocie Imperatora — Mavrikios, halogajscy gwardziści, videssańscy żołnierze i wszędobylscy służący Imperatora — odwrócili się i wytrzeszczyli oczy na Rzymianina, zdumieni, że ktokolwiek ośmielił się wezwać monarchę do złożenia wyjaśnień.

Głos Imperatora był równie zimny jak wieczne śniegi zalegające szczyty Vaspurakanu. — Kapi-tanie najemników, zapominasz się. Masz nasze zezwolenie, by odejść. — Nigdy przedtem Mavri-kios nie użył imperatorskiego „my” zwracając się do trybuna: było to wyraźne ostrzeżenie.

Lecz Skaurus wyrósł w kraju, który nie zna króla i nikt od urodzenia nie uczył go, by akceptować jakiegokolwiek innego człowieka jako uosobienie władzy i prawa. Mimo wszystko ucieszył się słysząc pewność w swoim głosie, gdy odpowiedział: — Nie, panie. Pamiętam kim jestem, lepiej niż ty. W swej trosce o wielkie sprawy pozwalasz, by w rozwiązywaniu drobnych rozgoryczenie brało w tobie górę. Pozbawienie człowieka ręki za parę miedziaków nie jest rozwiązaniem sprawiedliwym.

W mieście zapadła kamienna cisza. Imperatorscy słudzy odsunęli się od Skaurusa, jak gdyby nie chcąc zostać skażonymi jego bluźnierczą praktyką mówienia prawdy tam, gdzie ją widzi. Halogaj-czycy równie dobrze mogli być rzeźbiarzami z drewna; videssańscy żołnierze, nawet Doukitzes, zniknęli ze świadomości trybuna, gdy czekał, by zobaczyć, czy Mavrikios skaże go również.

Imperator, wolno wymawiając słowa, powiedział: — Czy wiesz, co mógłbym ci zrobić za twoje zuchwalstwo?

— Z pewnością nic gorszego niż Avshar. Szambelan głośno wciągnął powietrze gdzieś z lewej strony Skaurusa. Marek nie odwrócił głowy, całą uwagę skupiając wyłącznie na Imperatorze. Gavras przyglądał mu się równie uważnie. Nie spuszczał wzroku z trybuna, Mavrikios po-

wiedział do Halogajczyków: —Wyprowadźcie tego skamlącego głupca — trącił Doukitzesa stopą — na zewnątrz i dajcie mu pięć batów, tak żeby poczuł, a potem oddajcie go jego towarzyszom.

Doukitzes przemknął po podłodze do Marka. — Dziękuję ci, wielki panie, och, dziękuję ci! — Nie stawiał żadnego oporu, gdy Halogajczycy wyprowadzali go z namiotu.

— Zatem to cię zadowala, czy tak? — zapytał Mavrikios.

— Tak, Wasza Wysokość, całkowicie.

— Pierwszy człowiek, jakiego zdarzyło mi się widzieć, który z radością idzie na chłostę — zauważył Imperator, unosząc ironicznie brew. Dalej uważnie obserwował Skaurusa. — Zatem to nie tylko duma kazała ci odmówić złożenia mi hołdu, wtedy w Videssos, przed kilkoma miesiącami, czy tak?

— Duma? — To nigdy nie przyszło Rzymianinowi do głowy. — Nie, panie.

— Nie myślałem tak, nawet wówczas — powiedział Mavrikios z czymś w rodzaju szacunku. — Gdybym tak sądził, pożałowałbyś tego bardzo szybko. — Roześmiał się bez śladu wesołości w głosie.

— A teraz zmiataj stąd — ciągnął — zanim zdecyduje, że mimo wszystko powinienem cię zabić. — Skaurus wyszedł szybko, nie do końca pewien, czy Imperator tylko żartował.

— Postąpiłeś bardzo odważnie, ale jeszcze bardziej głupio — powiedziała tej nocy Helvis. Rozleniwieni po kochaniu, leżeli obok siebie w jej namiocie; Marek wciąż nakrywał skuloną ręką pierś Helvis. Bicie jej serca wypełniało mu dłoń.

— Tak? Naprawdę nie myślałem wtedy o tym, jak się zachowuję. Po prostu nie wydawało mi się słuszne, by cały gniew Mavrikiosa miał spaść na tego biednego łotrzyka. Jego największa wina polegała nie na tym, że ukradł parę miedziaków, ale na tym, że znalazł się na drodze Imperatora w nieodpowiedniej chwili.

— Jego gniew równie łatwo mógł skazać ciebie, jak tego nic niewartego Videssańczyka. — W głosie Helvis brzmiał prawdziwy lęk. Może i pochodziła z ludu cieszącego się większą wolnością niż lud Imperium — pomyślał Marek — lecz uważała absolutną władzę Autokraty za rzecz równie naturalną jak każdy obywatel Videssos.

Jej lek jednak nie miał tak abstrakcyjnych przyczyn, lecz brał się z o wiele przyziemniejszych trosk. Ujęła jego rękę i poprowadziła ją w dół gładkiej miękkości swego brzucha. — Byłeś lekomyślny — powiedziała. — Czy chciałbyś, by twoje dziecko wyrastało bez ojca?

— Moje...? — Trybun usiadł na miękkiej macie i spojrzał na Helvis, która wciąż przyciskała jego rękę do swego ciała. Uśmiechnęła się do niego. — Jesteś pewna? — zapytał niemądrze.

Jej ciepły, głęboki śmiech wypełnił mały namiot. — Oczywiście, głuptasie. Wiesz, są sposoby, by się upewnić. — Teraz ona również usiadła i pocałowała go.

Ochoczo odwzajemnił jej uścisk, kierowany nie pożądaniem, lecz czystą radością. I wówczas coś

go rozśmieszyło. — Skąd dziś rano miałem wiedzieć, że mogę osierocić swoje dziecko, jeśli wcale nie wiedziałem, że mam dziecko?

Helvis szturchnęła go w zębra. — Nie spieraj się ze mną o drobiazgi, jak jakiś kapłan. *Ja* wiedziałam, i to wystarczy.

I może rzeczywiście był to drobiazg. Ostatnimi czasy dobre wróżby zdarzały się rzadko, a jaki znak mógł wróżyć lepiej przed bitwą niż narodziny nowego życia?

Następnego dnia rano patrole, które Mavrikios wysłał na północ, wreszcie spotkały szkuty z zapasami, z mozołem posuwające się w górę rzeki. Pękate, brzydkie statki dotarły do Soli późnym popołudniem tego samego dnia. Nie miały lekkiej podróży; grasujący po obu brzegach rzeki Rhamnos rabusie z Yezd uniemożliwili wykorzystanie koni do holowania łodzi, a ich strzały zmieniły życie wioślarzy w piekło.

Jedna szkuta straciła tak wielu ludzi, że nie mogła już posuwać się pod prąd i zdryfowała na przybrzeżną mieliznę. Reszta floty wyłowiła jej pozostałych przy życiu członków załogi, lecz Yezda z radością spalili porzuconą łódź aż do linii zanurzenia.

Tej nocy nikt nie miał czasu, by martwić się niesamowitym otoczeniem. Ludzie pracowali aż do świtu, ładując worki ze zbożem na setki wozów. Kiedy wzeszło słońce, armia przetoczyła się z dudnieniem przez wielki kamienny most łączący brzegi rzeki Rhamnos i zagłębiła się w Vaspurakan.

Marek wkrótce zobaczył to, co kazało Senpatowi Sviodo zapalać tak gorzką nienawiścią. Yezda pustoszyli Videssos ze wszystkich sił, lecz zniszczenia, jakie tam powodowali, były dziełem zaledwie kilku lat. Vaspurakan czuł na sobie rękę najeźdźcy o wiele dłużej i ręka ta dzierżyła ów kraj znacznie mocniej; w niektórych co częściej pustoszonych przełęczach dobrze wyrosnięty pokłos zdążył już zakiełkować, by okryć całunem to, co niegdyś, w szczęśliwszych czasach, było zagrodami i wioskami.

Najeźdźcy tak często przybywali do kraju książąt, że zaczęli uważać go za swój własny dom. Tak samo jak w drodze do Imbros, tak i tutaj trybun obserwował pasterzy pędzących swe stada w góry na pierwszy widok maszerujących oddziałów. Lecz ci pasterze nie byli pieszymi Videssańczykami, którym towarzyszyły owczarki; byli to uzbrojeni w łuki koczownicy, dosiadający kudłatych stepowych kuców, niepokojąco podobni do Khamorthów służących w imperialnej armii.

W Vaspurakanie nawet otoczone murami miasta znajdowały się we władzy Yezda; albo zdobyte, albo — o wiele częściej — po prostu zmuszone głodem do poddania się. W dwa dni po wymarszu z Soli armia Mavrikiosa dotarła do pierwszego z nich — miasta zwanego Khliar; jego cień w popołudniowym słońcu sięgał daleko w głąb doliny, przez którą maszerowała armia.

Yezdański dowódca odmówił poddania się, przesyłając szorstką wiadomość dziwnie przypominającą odpowiedź, jakiej Skaurus udzielił Imperatorowi: „Jeśli zwyciężysz, nie zdołasz zrobić mi nic gorszego niż to, co uczyniliby ze mną moi władcy, gdybym się poddał”.

Gavras nie marnował czasu na dalsze negocjacje. Wykorzystując zmierzchające światło dnia, otoczył Khliat, szybko wypierając harcowników Yezda z powrotem za miejskie mury. Gdy tylko krąg oblegających się zamknął, objechał miasto tuż poza zasięgiem strzałów z łuków decydując, gdzie jest najbardziej podatne na ogień machin oblężniczych.

I znowu noc minęła na zawziętej pracy; tym razem żołnierze rozładowywali drewniane belki i inne części składowe maszyn oblężniczych. Na odbytej tej nocy naradzie dowódców, Imperator oświadczył: — Nasza jutrzejsza grupa szturmowa składać się będzie z Rzymian i Namdalajczyków. Jako najciężej uzbrojeni żołnierze, jakich posiadamy, najlepiej nadają się do sforsowania wyłomów w murach.

Marek przełknął ślinę. Mavrikios rozumował być może trafnie, lecz atakujący mogli ponieść straszliwe straty. Namdalajczycy będą mogli uzupełnić szeregi nowymi rekrutami z Księstwa, lecz gdzie on znajdzie nowych Rzymian?

— Proszę Waszą Wysokość — odezwał się Gagik Bagratouni — by mając na względzie mój przywilej dowodzenia tym atakiem, raczył wyznaczyć do niego moich ludzi. To własne domy mają wyzwalać. Może są lżej uzbrojeni, lecz do ataku również pójdą z lżejszymi sercami.

Mavrikios potarł szczękę. — Zatem niech tak będzie — zdecydował. — Zapłał urodził niejedno zwycięstwo tam, gdzie nie miało prawa do niego dojść.

— No, no, mimo wszystko bogowie czuwają nad nami — szepnął Gajusz Filipus do Skaurusa, zasłaniając usta ręką.

— Już tak długo przebywasz w tym kraju czarodziej, że nauczyłeś się czytać w myślach — również szepem odpowiedział Marek. Centurion błysnął zębami w bezgłośnym chichocie. Po zakończonej naradzie Soteryk dopędził trybuna.

— Jakżeż interesujące — rzekł sardonicznie — i jakżeż szczęśliwe dla was, że zostaliście wybrani, by razem z nami wziąć udział w tej masakrze. Imperator cieszy się z naszej pomocy; tak, lecz też z radością wyssie z nas ostatnią kroplę krwi.

— Czy nie słyszałeś? Vaspurakańczycy idą za nas.

Soteryk machnął z rozgoryczeniem ręką. — Tylko dlatego, że Bagratouni ma więcej honoru niż rozumu. Prawda, zostaliśmy oszczędzeni, lecz nie zapomniani, obiecuję ci to. Wszyscy wiedzą, co Mavrikios sądzi o mieszkańcach Księstwa, a ty wcale nie polepszyłeś swojej sytuacji, kiedy sprzeciwiłeś mu się onegdaj. Zapłacisz za to — tylko czekaj i patrz.

— Znowu rozmawiałeś ze swoją siostrą? — zapytał Marek.

— Z Hel vis? Nie, nie widziałem się z nią dzisiaj. — Soteryk spojrział z zaciekawieniem na trybuna. — Na Hazardzistę, człowieku, ty nic nie wiesz? Wszyscy przekłęci Videssańczycy szepcą tylko o tym, jak to uratowałeś dwunastu ludzi przed obcięciem im głów.

Skaurus i Gajusz Filipus spojrzeli na siebie z osłupieniem. Bez względu na to, jak bardzo starał

się tego unikać, wydawało się, że trybunowi wciąż narzucano rolę przeciwnika Imperatora. Jednak mimo to uważał, że Soteryk się myli. Gavras mógł postępować przewrotnie, rozprawiając się ze swymi wrogami, lecz nigdy nie istniały najmniejsze wątpliwości, kim byli ci wrogowie.

Kiedy i to powiedział Soterykowi, Namdalajczyk roześmiał się z jego naiwności. — Czekaj, a zobaczysz — powtórzył i, wciąż potrząsając głową nad tym, co uważał za łatwowierność Rzymianina, odszedł w swoją stronę.

Gajusz Filipus obserwował z zadumą oddalające się plecy wyspiarza. Począł, aż Soteryk znalazł się daleko poza zasięgiem głosu, nim wydał wyrok. — Ten człowiek zawsze będzie widział najczarniejszą stronę *rzeczy*, bez J względu na to, czy ona tam jest, czy nie. — W ustach centuriona, urodzonego pesymisty, stwierdzenie to zabrzmiało zaskakująco.

Gajusz Filipus spojrzał ostrożnie na Skaurusa; ostatecznie, człowiek, którego krytykował, był bratem kobiety trybuna. Mimo to Marek musiał skinąć głową. Opinia centuriona charakteryzowała Soteryka zbyt trafnie, by j móc jej zaprzeczać.

Bojowe okrzyki, jakie zamknięci w Khliat Yezda wykrzykiwali z miejskich murów w stronę *vi-dessańskiej* armii, dobrze harmonizowały w swej zuchwałości z wyzywającą odpowiedzią, jakiej ich dowódca udzielił Imperatorowi. Wschodzące słońce lyskało krwawo, odbijając się od ich pałaszy. Był to wspaniały pokaz odwagi, lecz nie zdołał zastraszyć zawodowców tworzących widowię. — To będzie łatwe — stwierdził Gajusz Filipus. — Jest ich o wiele za mało na to, by mogli sprawić nam jakieś kłopoty.

Wydarzenia szybko dowiodły, że miał rację. Miotające maszyny imperialnej armii oraz mocne łuki Khamorthów zasypały obrońców Khliat taką lawiną pocisków, że nie zdołali przeszkodzić atakującym, którzy w trzech różnych miejscach podeszli do murów z taranami. Grunt dygotał w odpowiedzi na każde, kruszące mury uderzenie.

Jeden taran został na jakiś czas wyłączony z akcji, kiedy obrońcom udało się zerwać część chroniących go osłon i zrzucić rozpalony do czerwoności piasek na obsługującą go załogę. Zaraz jednak nowi żołnierze popędzili naprzód, by zająć miejsce tych, którzy padli. Surowe skóry osłony chroniły przed płonąca oliwą i główniami zrzucanymi przez koczowników; wielu jednak obrońców na tyle śmiałych, by zdobyć się na taki wysiłek i wystawić się przy tym na strzały, płaciło życiem za swoją odwagę.

Mur rozkruszył się pod wpływem uderzeń jednymi, a potem — zaledwie kilka minut później — rozpadł się tam, gdzie uderzał drugi. Yezda na blankach wrzasnęła z przerażenia i bólu, gdy wśród lawiny gruzu runęła na dół. Inni, sprytniej usadowieni za murem, w który waliły tarany, zasypali załogi machin obłączniczych kąśliwym ogniem strzał.

Wówczas Vaspurakańcy, z Gagikiem Bagratounim na czele, popędzili ku wylomom w murze. W ich bojowych okrzykach brzmiała okrutna radość; dzikie zadowolenie z możliwości odplacenia

najeźdźcom, którzy doprowadzili ich ojczyznę do takiej ruiny.

Jakiś czarodziej Yezda, kanciasta postać w łopoczących, krwistoczerwonych szatach, wdrapał się na stos gruzu w jednym z wyłomów, by cisnąć piorun w szturmujących przeciwników. Lecz wtedy Marek dowiedział się, co miał na myśli Nepos, kiedy mówił o zawodności bojowej magii. Choć błyskawica zalsniła na końcach palców maga, to jednak zamigotała i zgasła w odległości nie większej niż długość ramienia od jego ciała. Jeden z jego własnych żołnierzy rozgoryczony niepowodzeniem czarodzieja, po—walił go ciosem pałasza.

Yezda bronili wyłomów zaciekle, lecz walka trwała krótko. Koczownicy z natury swej nie umieli walczyć pieszo, ani też w obronie ufortyfikowanego miasta nie było miejsca na ich zwykłą, kąsającą taktykę konnicy. Ciężej uzbrojeni niż przeciwnicy, Vaspurakańczycy przerąbali się przez linię oporu koczowników i wdarli się do Khliat.

Kiedy Mavrikios ujrzał, że wojska wroga związały się w zaciętej walce z „księżętami”, dał rozkaz do ogólnego ataku. Jak nagle wyrosły las ogołconych z gałęzi pni, mnóstwo drabin uniosło się ku murom Khliatu. Tu i tam, nie upadli jeszcze na duchu obrońcy przewracali je z łomotem, odpychając od murów, lecz wkrótce imperialne wojska zdobyły przyczółek na blankach i zaczęły wlewać się do samego miasta.

Udział Rzymian w tym, co zasługiwało na miano walki, był niewielki. Sam ciężar ich pełnych zbroi, dających przewagę w walce wręcz, czynił ich powolnymi i niezgrabnymi na drabinach oblężniczych. Dlatego Imperator roztropnie nie pchnął ich do walki, dopóki nie minęło największe niebezpieczeństwo. Khliat w większości znajdował się już w rękach imperialnych sił, gdy do niego wkroczyli — fakt, który miał zarówno dobre jak i złe strony. Ich jedyna strata polegała na złamanej kostce legionisty, który potknął się i spadł z kondygnacji schodów, lecz z drugiej strony zdobyli niewiele łupów i niektórzy narzekali z tego powodu, j

— Ludzie są głupcami, jeśli skarżą się na coś takiego — zauważył Gorgidas bandażując stopę poszkodowanego j legionisty. — Pomyśl, ile więcej byłoby łupów, gdyby' Yezda zabili wszystkich żołnierzy, którzy wdarli się do miasta przed nami, i jakżeż powinno nam być przykro, gdybyśmy wówczas je zdobyli.

Słyszac to, Gajusz Filipus powiedział: — Jak na człowieka, który już jakiś czas przebywa z armią, jesteś ufny jak dziecko. Większość z tych chłopców z radością sprzedałaby swoje matki, gdyby tylko uznali, że dostaną za te podstarzałe dziewczęta więcej niż po dwa miedziaki za sztukę.

— Może masz rację — westchnął Gorgidas — lecz ja wolę myśleć inaczej. — Odwróciwszy się do Rzymianina ze złamaną kostką, powiedział: — Jeśli możesz, przez trzy tygodnie nie stąpaj na tej stopie. Gdybyś ją przeciążył, zanim się zagoi, mogłaby cię boleć przez całe lata. Opatrunek zmienię pojutrze.

— Bardzo ci dziękuję — odpowiedział legionista. — Czuję się jak ostatni głupiec, że się tak

przewróciłem o własną nogę.

Gorgidas sprawdził, czy bandażę nie są założone zbyt ciasno, co mogło grozić martwicą stopy. — Odpoczywaj, kiedy tylko będziesz mógł — wrócisz do swojego fachu prędzej, niż się spodziewasz, obiecuję ci to.

Brawurowa odwaga Yezda prysnęła, kiedy stało się jasne, że nie zdołają utrzymać Khliatu. Zaczęli się poddawać; najpierw pojedynczo, a potem całymi grupami, i zostali spędzeni jak bydło na miejskim rynku. Niektórzy z tłoczących się wokół Videssańczyków chcieli wyróżnić ich wszystkich, lecz Mavrikios nie chciał o tym słyszeć. W blasku zwycięstwa stać go było na miłosierdzie.

Otoczył więźniów kordonem złożonym z Halogajczyków i Rzymian, potem rozkazał rozbroić szeregowych żołnierzy pokonanego wroga i odesłać ich pod eskortą do Soli. Tam mogli czekać na dyspozycje do chwili, aż skończy się z ich rodakami. Większość z nich walczyła pod sztandarem Yezda a nie Videssos tylko dlatego, że w swych wędrówkach trafili najpierw do tamtego kraju.

Z ich dowódcami sprawa miała się inaczej. Doskonale znali pana, któremu służyli, i robili to z całą świadomością. Lecz wybór suzerena wcale nie czynił z oficerów Yezda ludzi choć odrobinę mniej nieustraszonych. Mavrikios podszedł do ich dowódcy, który siedział przygnębiony na ziemi niedaleko od miejsca, gdzie stał Marek.

Dowódca ów, wraz z garstką swoich ludzi, został osaczony w jakimś domu i nie chciał się poddać dopóty, dopóki Videssańczycy nie zagrozili, że spalą im dach nad głową. Patrząc na niego teraz, Skaurus uznał, że nie jest czystej krwi mieszkańcem stepu, jak większość wojowników, którymi dowodził. Miał szczuplejszą budowę ciała i subtelniejsze niż oni rysy, z ogromnymi, lśniącymi oczyma; być może wśród jego przodków znajdowali się rdzenni Makurańczycy.

Thorisin Gavras towarzyszył swemu bratu. — Powstań przed Imperatorem, ty tam! — warknął.

Yezda nawet się nie poruszył. — Nie sędzę, żeby powstał przede mną, gdyby to on był na moim miejscu, a ja na jego — powiedział. Mówił po videssańsku płynnie i niemal bez akcentu.

— Co?! Ty zuchwały... — Sevastokrata wpadł we wściekłość, lecz Mavrikios powstrzymał go gestem ręki. Nie po raz pierwszy Marek zobaczył, jakim szacunkiem Imperator darzy szczerłość.

Mavrikios spojrzał na swego więźnia. — Gdyby tak było, co byś ze mną zrobił?

Yezda odpowiedział na jego spojrzenie nieugiętym wzrokiem. Zastanawiał się przez chwilę, a potem powiedział: — Sędzę, że kazałbym zachłostać cię na śmierć.

— Pilnuj języka w gębie, śmieciu! — rzekł gniewnie Czerwony Zeprin, wając w rękę swój topór. Halogajski oficer tolerował traktowanie Mavrikiosa przez Rzymian z mniejszą niż przepisana ceremonią; ostatecznie, byli sprzymierzeńcami. Jednak zuchwalstwa ze strony więźnia nie potrafiłby ścierpieć.

Sam Imperator zachował spokój. — Ja nie będę tak surowy jak ty — powiedział do yezdańskiego dowódcy. — Jesteś odważnym człowiekiem — czy nie wyrzekniesz się zła, które

wspierasz, by wspólnie z nami wypłenić je ze świata?

Coś zamigotało w wyrazistych oczach Yezda. Być może błysnęła w nich pokusa. Bez względu jednak na to, co to było, zniknęło zanim Marek zdążył się upewnić, że je widzi. — Nie wyprę się swojej przysięgi tak samo, jak ty byś się jej nie wyparł, gdybyś siedział w tym kurzu — odparł oficer i zarówno Thorisin Gavras jak i Czerwony Zeprin niechętnie wyrazili mu swoje uznanie, skinąwszy krótko głowami.

— Jak chcesz — rzekł Mavrikios. Charakter człowieka, przed którym się znalazł, sprawił, że Imperator zapragnął zdobyć sobie w nim sojusznika. — Nie wtrąć cię do więzienia, choć odstawię cię na jakąś wyspę do czasu, aż pobiję twojego khagana i jego czarnoksięskiego ministra. Wówczas, być może, zmienisz swoje postanowienie.

Skaurus pomyślał, że Yezda, mimo wszystko, został potraktowany zbyt łagodnie, lecz mężczyzna tylko wzruszył ramionami. — To, co ze mną zrobisz, nie ma żadnego znaczenia. Avshar i tak pozbędzie się mnie, kiedy tylko zechce.

Wówczas dopiero Imperator się zirytował. — Teraz jesteś w mojej władzy, nie twojego księcia — czarownika. — Yezda ponownie wzruszył ramionami. Mavrikios odwrócił się gniewnie na pięcie i odszedł wyciągniętym krokiem.

Następnego ranka posłał swoich ludzi, by zabrali oficera i odstawili go drogą morską na wschód. Znaleźli go martwego, z ustami spalonymi trucizną, którą połknął. Jego sztywna, zaciśnięta w pięść ręka wciąż trzymała kurczowo maleńką, szklaną fiolkę.

Wieść o tym sprawiła, że w umyśle Marka pojawiło się nieprzyjemne pytanie. Czy Yezda zabił się ze strachu przed zemstą, jaką wedle jego mniemania — wywarłby na nim Avshar, czy też jego samobójstwo samo w sobie było ową zemstą? W obu przypadkach implikacje, jakie się nasuwały, były wysoce niepokojące.

Mimo owego niejasnego znaku, następne dwa tygodnie minęły dla imperialnych wojsk pomyślnie. Wykorzystując Khliat jako bazę operacyjną, Mavrikios zdobył kilka innych, znajdujących się w rękach Yezda, miast: Ganolzak i Shamkanor na północy, Baberd na południowym wschodzie i Phanskert na południe od Khliatu.

Żadne z nich nie stawiało dłuższego ani trudnego do przełamania oporu. Yezda byli o wiele straszniejszym przeciwnikiem walcząc konno niż zza murów, a videssańskie maszyny oblężnicze co rusz dowodziły swej wartości. Poza tym, Vaspurakańczycy, którzy pozostali jeszcze w miastach, nienawidzili swych ciemżycieli — nomadów i przy każdej sposobności zdradzali ich na rzecz imperialnych wojsk. Mnóstwo więźniów wyruszyło, wlokąc się smętnie na wschód; videssańskie garnizony zajęły ich miejsce.

Marek zauważył, że Mavrikios Gavras do obsadzania świeżo zdobytych miast wykorzystuje żołnierzy o wątpliwej wartości albo lojalności, a na dowódców garnizonów mianuje oficerów, których

wierność wydaje mu się podejrzana. Gajusz Filipus dostrzegł to samo. Powiedział: — Rzeczywiście, przygotowuje nas na prawdziwą akcję. Lepiej zostawić niepewnych i bojaźliwych tam, gdzie mogą się przydać, niż gdyby w prawdziwej potrzebie mieli podwinąć ogony pod siebie i uciec.

— Też mi się tak wydaje — przytaknął Marek. Mimo to nie potrafił stłumić wspomnień głębokiego żalu, jaki go ogarnął z powodu konieczności skierowania swoich Rzymian do tłumienia zamieszek w Videssos.

Phanaskert był sporym miastem, choć mocno wyludnionym przez najazdy Yezda i ich okupację. Kiedy Mavrikios wracał z resztą swych wojsk do Khliatu, pozostawił ponad połowę kontyngentu Namdalajczyków do obsadzenia długich miejskich murów na wypadek ewentualnego kontrataku z zachodu.

Soteryk należał do wyspiarzy odkomenderowanych do służby garnizonowej. Przed powrotem głównej części videssańskiej armii do jej bazy, Soteryk zaprosił na wspólną wieszczę swoją siostrę i Skaurusa. Znad zdobycznego vaspurakańskiego wina — jeszcze gęstsze i słodsze niż Videsańskie — Namdalajczyk rzekł do Marka: — Teraz rozumiesz, co miałem na myśli, kiedy rozmawialiśmy po naradzie u Imperatora. Stosując tę sztuczkę albo inną, Mavrikios i tak znajdzie sposób, by się nas pozbyć.

Udając, że nie rozumie, o co mu chodzi, trybun odpowiedział: — Jesteś niezadowolony ze swojego zadania? Bronienie miasta zza murów wydaje mi się bezpieczniejszą służbą niż zdobywanie go.

Soteryk zaklął z rozdrażnieniem nad tępotą Rzymianina, lecz Helvis poznała go już na tyle dobrze, by rozpoznać obłudę w jego słowach. Powiedziała: — Czy zawsze musisz twierdzić, że Imperator postępuje słusznie? Powinieneś zrozumieć, że jedynym powodem, dla którego skierował żołnierzy z Księstwa do tej służby, jest jego obawa o naszą wierność.

Marek zwykle zbywał skargi Soteryka dotyczące postępowania Imperatora, traktując je jako wytwory nieco obsesyjnie myślącego umysłu, lecz im więcej myślał o tej właśnie, tym bardziej wydawała mu się uzasadniona. Rozpoznał myśl Mavrikiosa w słowach Soteryka; sam Imperator coś takiego powiedział, kiedy mówił o Ortaiasie Sprantzesie.

Nagle trybun roześmiał się głośno. Nawet ludzie, którzy wciąż uważają się za prześladowanych, mogą niekiedy mieć rację.

Cały dowcip rozmył się, kiedy popełnił błąd próbując go wyjaśnić.

Skaurus prowadził właśnie musztrę swoich ludzi na przedpolu Khliatu, kiedy spostrzegł jakiegoś jeźdźca zbliżającego się do miasta od zachodu. — To jakiś koczownik, sądząc z wyglądu — rzekł Viridoviks, osłaniając oczy przed popołudniowym słońcem. — Pytanie, czy to któryś z naszych, czy też może jakiś biedny, samotny Yezda, któremu pomieszało się w głowie od tego upału i wyruszył, by zabić nas wszystkich za jednym zamachem?

Jeździec nie był wrogiem. Miał za sobą długą i ciężką jazdę; jego okryty pianą wierzchowiec dyszał głośno, a szaty jeźdźcy oblepiały zmieszany z potem kurz. Mimo to tak mu było pilno do przekazania wieści, że ściągnął cugle, kiedy zbliżył się do ćwiczących Rzymian. Machnął ze znużeniem ręką w stronę Marka, co najwyraźniej miało oznaczać salut.

— Jestem Artapan, syn Pradtaka, zwiadowca armii Baana Onomaga — powiedział, na modłę mieszkańców równin obcinając nazwisko generała. — Nie jestem z zachodu — naszym hasłem jest „Światło Phosa”.

Onomagoulos przed dziesięcioma dniami wyruszył na zachód z czwartą częścią pozostałych Mavrikiosowi wojsk, by zająć miasto Maragha, zagradzające armii drogę w głąb Yezd. — Jakie wieści przywozisz? — zapytał trybun.

— Najpierw wody, proszę. Ostatnie pół dnia jechałem z pustą manierką — powiedział Artapan, pokazując Markowi pusty bukłak u pasa. Przełknął ciepłą, zatechłą wodę z manierki Skaurusa, jakby pił schłodzone wino starego rocznika, a potem otarł usta. — Oby duchy miały cię w swojej opiece za to, co dla mnie zrobiłeś. Teraz musisz zaprowadzić mnie do miasta — Onomag został zaatakowany i osaczony w miejscu, które dzieli od Maraghy niecały dzień marszu. Bez posiłków jesteśmy zgubieni.

— Cholernie mu się spieszy, co? — rzekł podejrzliwie Gajusz Filipus. — Gdybym to ja zastawił pułapkę, użyłbym takiej samej historii, jaką on opowiada, żeby wciągnąć w nią pędzącą na łeb na szyję armię.

Marek zastanowił się. Równie dobrze Yezda mogli przechwycić posłańca i torturami wydobyć z niego wiadomość. Jednak... — W Khliat muszą być ludzie, którzy znają tego człowieka, jeśli rzeczywiście służy w imperialnym wojsku. Musiałby być głupcem sądząc, że jego opowieść nie zostanie sprawdzona. A jeśli jest prawdziwa... — Jeśli jest prawdziwa — powiedział wolno trybun — to Mavrikios zrobił dokładnie to, co chciał zrobić: zmusił Yezda do otwartej walki.

Nieco podniecony, trybun odwrócił się do Artapana, lecz nie zobaczył już koczownika przed sobą. Zniecierpliwiony rozmową prowadzoną w języku, którego nie rozumiał — ponieważ zarówno centurion jak i Skaurus mówili po łacinie — ruszył do miasta, zmuszając konia do powolnego kłusu.

— To już do nas nie należy — rzekł Gajusz Filipus, bez wielkiego niezadowolenia przyjmując fakt, że został uwolniony od odpowiedzialności związanej z podjęciem decyzji. — Jednak jest tak jak mówisz — Mavrikios jest o wiele za sprytny, by ruszyć na wroga nie sprawdzwszy najpierw, czy nie wsadza palca między drzwi.

Wkrótce stało się jasne, że Imperator potraktował poważnie wieści dostarczone przez Artapana. Minęła niecała godzina od chwili, kiedy Marek wrócił z ćwiczeń, kiedy ordynans wezwał go na pilną naradę oficerów.

— Zatem ten Khamorth mówi prawdę, czy tak, panie? — domyślił się Kwintus Glabrio. Ten sam zapal, który wcześniej ogarnął trybuna, zaczął teraz wzbierać w jego ludziach.

Starając się ze wszystkich sił zachować zewnętrzny spokój stosowny starszemu oficerowi, Skaurus wzruszył ramionami, mówiąc tylko: — Dowiemy się tego, i to wkrótce.

Mimo wszystkich swoich wysiłków, by pozostać beznamiętnym, nie zdołał stłumić mrowiącego uczucia podniecenia, kiedy zobaczył Artapana, syna Pradtaka, siedzącego w pobliżu Imperatora w pomieszczeniu, które niegdyś pełniło rolę sali przyjęć *hypasteosa* Khliatu albo rady miejskiej. Jeszcze jeden koczownik, z zabandażowanym ramieniem, siedział obok Artapana.

Skaurus i Gajusz Filipus osunęli się na krzesła. Ich ciekawość, rozpalona wcześniejszym spotkaniem z Khamorthem zwiadowcą sprawiła, że przybyli jako jedni z pierwszych. Zasiedli na lekkich składanych krzesłach z drewna i płótna, najwyraźniej pochodzących z imperialnego obozu, nie zaś części pierwotnych umeblowania sali.

Z kolei stół, przy którym siedzieli, wyglądał zupełnie inaczej; był masywną konstrukcją z jakiegoś ciężkiego, ciemnego drewna i sprawiał wrażenie, że stoi na tym miejscu od stuleci. Nosił piętno vaspurakańskich wyrobów, przywołując na myśl mieszkalną twierdzę Gagika Bagratouniego w Amorionie. „Książęta” tak przywykli do życia w nieustannym zagrożeniu, że już same ich wyroby odzwierciedlały dążenie do siły i ochrony tych, którzy je wykonali.

Yezda musieli wykorzystywać biuro *hypasteosa* na swoją kwaterę główną, zanim Videssańczycy wyparli ich z Khliatu, ponieważ stół szpeciły ślady od uderzeń miecza i prymitywne wizerunki. Jeden symbol powtarzał się bez przerwy: dwa bliźniacze pioruny o trzech rozgałęzieniach. Marek zwrócił na nie uwagę dopiero wówczas, kiedy Nephon Khoumnos usiadł przy nim i zaklął, ujrzawszy je. — Plugawe świnię — powiedział — oznaczają piętnem Skotosa każde miejsce, do którego trafiają. — Trybun przypomniał sobie mroczny obraz w apartamentach Avshara w stolicy i skinął głową ze zrozumieniem.

Mavrikios szorstko przywołał zgromadzonych do porządku, uderzywszy otwartą dłonią o blat. Szum przyciszonych głosów ucichł. Bez dalszych wstępów, Imperator oświadczył: — Baanes Onomagoulos natrafił na gniazdo Yezda niedaleko na wschód od Maraghy. Bez naszej pomocy — jak twierdzi — nie sądzi, by mógł opierać się tam długo.

Głowy poderwały się z wyrazem zaskoczenia na twarzach — Imperator nie zapowiedział, jaki cel ma narada, którą wyznaczył. Marek poczuł zadowolenie, że nie został zaskoczony.

— Skąd o tym wiadomo? — zapytał ktoś.

Gavras wskazał na koczowników — zwiadowców. — Możecie podziękować tym dwóm — prześlizgnęli się przez najeźdźców, żeby nas zawiadomić. Spatakar — był to Khamorth w bandażach — przybył dosłownie przed chwilą z pisemnym raportem Onomagoulosa. Pieczęcie, jakie nosił, zostały sprawdzone — są autentyczne. Nie dość tego, Spatakar i jego towarzyszy, obecny tutaj

Artapan, są dobrze znani swoim współplemięcom przebywającym z nami w Khliat. To też zostało sprawdzone. Krótko mówiąc, panowie, stało się to, na co czekaliśmy.

Gajusz Filipus trącił Marka w ramię i szepnął: — Miałeś rację. — Nie musiał starać się o taką dyskrecję. Całe pomieszczenie wypełniła wrzawa, wszyscy rozmawiali jednocześnie, niektórzy wołali coś do swoich sąsiadów, inni wykrzykiwali pytania do Imperatora.

Głos Thorisina Gavrasa przebił się przez wrzawę. — W każdym razie, to rzeczywiście *może* być to, na co czekaliśmy. Jeśli o mnie chodzi, byłbym skłonny poczekać jeszcze trochę.

— Och, na Phosa, więc znowu zaczynamy to samo — jęknął Nephon Khoumnos.

Skaurus podrapał się w głowę, zaskoczony nagłym odwróceniem ról, w jakich dotychczas występowali Gavrasowie. Thorisin oznaczał się zawsze popędliwością, podczas gdy Mavrikios zwykle wołał czekać na to, co przyniesie przyszłość. Jednak teraz Imperator był cały za ruszeniem naprzód, zaś Sevastokrata opowiadał się za ostrożnością. Trybun nie potrafił tego zrozumieć.

Thorisin, przyciągnąwszy uwagę zebranych, mówił dalej: — Zastanowiłbym się trzy razy, zanim wysłałbym całą naszą armię, by popędziła na ratunek Baanesowi Onomagoulosowi z powodu jego pierwszego meldunku o kłopotach. Onomagoulos jest być może niezwykle zdolnym dowódcą, lecz też żałośnie skłonny do ostrożności.

Baanes jest tchórzem, przetłumaczył sobie Marek. Rzymianin nie znał dobrze Onomagoulosa, lecz nie sądził, by ledwo zawołowane oskarżenie Sevastokraty miało w sobie coś z prawdy. Jego przekonanie, że ma rację wzrosło, kiedy przypomniał sobie zadawnioną zazdrość Thorisina o towarzysza starszego brata. Tak, teraz wszystko stawało się bardziej zrozumiałe. Nephon Khoumnos, który znał Gavrasów od dawna, musiał zrozumieć to od chwili, kiedy Thorisin otworzył usta.

I, oczywiście, rozumiał to Mavrikios. Warknął: — Thorisinie, gdyby zamiast Baanesa znalazł się tam Khoumnos albo Bagratouni, czy też doradzałbyś ostrożność?

— Nie — odparł natychmiast brat. — A gdyby to był obecny tu, nasz dobry przyjaciel, Ortaias — nie zawracał sobie głowy, by ukryć brzmiającą w jego głosie pogardę do młodego Sphrantzesa — czy wyruszyłbyś walczyć o niego?

Mavrikios zgrzytnął zębami z zawodu. — To uderzenie poniżej pasa, Thorisinie, i dobrze o tym wiesz.

— Czyżby? Zobaczymy. — Sevastokrata zaczął zadawać pytania Khamorthom Onomagoulosa i, rzeczywiście, ich odpowiedzi zdawały się wskazywać, że jego wojska nie znajdują się w tak groźnym położeniu, jak to się początkowo wydawało. Jednak jego indagacja przypominała Markowi przesłuchanie prowadzone przez zręcznego prawnika, wydobywającego ze świadków tylko te fakty, które są mu na rękę. Lecz czy tak było, czy nie, Thorisinowi udało się wzbudzić w radzie wystarczającą wątpliwość, by skończyła się bez podjęcia decyzji o jakimkolwiek w ogóle działaniu.

— Urazy — rzekł Gajusz Filipus, gdy razem ze Skaurusem wracali do obozowiska Rzymian.

Włożył w to słowo takie bogactwo uczuć, że zabrzmiało paskudniej niż jakiegokolwiek przekleństwo.

— Mówisz tak, jakby Rzym był od nich wolny — odpowiedział trybun. — Pamiętasz, jak Sulla i Gajusz Flawiusz Fimbrio walczyli z Mitrydatesem nie biorąc siebie nawzajem pod uwagę? Kiedy połączyli siły, tak wielu ludzi Fimbria przeszło pod dowództwo Sulli, że Fimbrio zabił się z samego wstydu.

— I dobrze się stało — rzekł natychmiast Gajusz Filipus. — Podburzał do rewolty przeciwko dowódcy, żeby samemu przejąć dowodzenie tamtą armią; taka świnia. On... — Centurion urwał nagle, a potem z obrzydzeniem machnął ręką.

— W porządku, rozumiem twój punkt widzenia. Jednak dalej mi się to nie podoba.

— Nigdy nie powiedziałem, że mnie się podoba.

Następny ranek minął na oczekiwaniu; imperialne wojska w Khliat zastanawiały się, czy Baanesowi Onomagoulosowi udało się wyslizgnąć z zastawionej przez Yezda pułapki... i czy taką pułapkę w ogóle zastawiono. Około południa Skaurus otrzymał wezwanie na kolejną naradę wojenną.

Tym razem posłańcem Onomagoulosa nie był Khamorth, lecz videssański oficer średniego stopnia. Twarz miał ściągniętą wyczerpaniem i mocno poparzoną słońcem, z wyjątkiem miejsca zakrytego przez występ hełmu osłaniający nos. Mavrikios przedstawił go zebranym dowódcom jako Sisiniosa Mouselea, a potem pozwolił mu mówić samemu.

— Sądziłem, że wszyscy nasi posłańcy zostali przechwyceni, zanim do was dotarli — rzekł pomiędzy łykami wina; tak jak w przypadku Artapana, syna Pradtaka, jego podróż pozostawiła go tak spragnionym, jak sprazona ziemia wokół Khliatu. — Lecz kiedy dotarłem tutaj dowiedziałem się, że dwaj Khamorthci przybyli dzień przede mną.

— Dlaczego nie wyruszyliście — zapytał z rozpaczą — jeśli wieści, które przywożę, wyprzedziły mnie? Tak, bronimy naszej małej doliny przed Yezda, lecz jak jeszcze długo? Potok, który ją wyłobił, jest latem zaledwie błotnistą strugą — prawie wcale nie mamy wody, a i jedzenia niewiele. A barbarzyńcy są tak tłusci jak szarańcza na polu pszenicy — nie myślałem, że na całym świecie jest tylu Yezda. Pewnie moglibyśmy się przebić; tak, lecz nie zaszlibyśmy daleko, nim rozrwaliby nas na strzępy. Na święte imię Phosa, bracia, bez pomocy wszyscy, którzy tam są, zginą, i to zginą na próżno.

Przez cały czas, kiedy Mousele mówił, Mavrikios spoglądał kamiennym okiem na swego brata. Jednak nie uczynił mu publicznie żadnego wyrzutu z powodu dnia, jaki armia straciła w wyniku zawistnych podejrzeń Thorisina wobec Onomagoulosa. W jakiś sposób — pomyślał Marek — podnosiło to na duchu — w obliczu prawdziwego kryzysu udawana nienawiść pomiędzy Gavrasami przedstawiała się liczyć.

Thorsin potwierdził to, pytając radę: — Czy jest tu teraz ktoś, kto sądzi, że nie powinniśmy wyruszać? Przyznaję, że myliłem się wczoraj; przy waszej pomocy, i waszych ludzi, być może zdoła-

my naprawić mój błąd.

Po błaganiach Sisinniosa Mouselea oficerowie prawie wcale nie dyskutowali. Jedynym problemem było to, jak szybko armia może wyruszyć. — Nie martw się, Sisinnios, uratujemy twoich chłopców! — zawołał jakiś videssański kapitan.

Dopiero kiedy Mousele nic na to nie odpowiedział, oczy wszystkich skierowały się na niego. Zasnął tam, gdzie siedział; kiedy już przekazał swoją wiadomość, nic nie zmusiłoby go, by czuwał choć chwilę dłużej.

XIII

Tego popołudnia Khliat przypominał mrowisko, w które wetknięto kij. Żeby przyspieszyć wy marsz armii, Mavrikios obiecał po sztuce złota dla każdego żołnierza kontyngentu, który pierwszy będzie gotowy do wyjścia. Ludzie jak obłąkani biegali to tu, to tam, wyciągając swoich towarzyszy z zajazdów i burdeli.

Wielu również zegnało się pospiesznie, ponieważ Imperator nie miał zamiaru opóźnić marszu z powodu markietanek, kobiet, dzieci i innych osób nie biorących bezpośredniego udziału w walce. Żaden z jego żołnierzy nie narzekał z tego powodu; gdyby przegrali, lepiej żeby ich ukochani przebywali bezpieczni za murami Khliatu, niż w połowym obozie, wydani na łaskę szturmującego wroga.

Helvis była siostrą wojownika i wdową po wojowniku. Już przedtem wysyłała swoich mężczyzn na wojnę i miała za dużo rozumu w głowie, by obarczać Skaurusa swoimi obawami. Powiedziała tylko: — Phos będzie miał cię w swojej opiece, dopóki nie zobaczę cię znowu.

— Przyniesiesz mi głowę Yezda, tato? — zapytał Malrik.

— Takiś krwiożerczy? — zdziwił się Marek, ściskając syna Helvis. — A co byś z nią zrobił, gdybyś ją dostał?

— Spaliłbym ją całą — oświadczył chłopiec. — Mama mówi, że Yezda są gorsi od Videssańskich heretyków. Całą bym spalił!

Trybun spojrział na Helvis, unosząc żartobliwie brew. — Nie powiem, że się myli. Jednak dla mnie w zupełności wystarczy, jeśli wrócę z własną głową na karku.

Zgodnie z oczekiwaniami Marka, nagrodę Imperatora zdobyli Rzymianie — perspektywa walki z Yezda napawała ich bez porównania mniejszym strachem, niż konieczność stawienia czoła Gajuszowi Filipusowi w wypadku, gdyby przegrali. Lecz cała reszta armii stanęła w gotowości tuż po

nich, ożywiona myślą o wybawieniu swych towarzyszy z opresji, jaką zgotowali im Yezda. Ku zdumieniu trybuna, wrota Khliatu rozwarły się na oścież na godzinę przed zachodem słońca, a ostatni żołnierz przekroczył je, nim zmierzch zdążył zgęstnieć w noc.

Gnany pilnością wezwania, Mavrikios kazał maszerować armii przez wczesne godziny nocy. Nie kończący się łomot maszerujących stóp, kłapanie podkutych żelazem końskich kopyt oraz zgrzyty i turkot setek wozów załadowanych prowiantem i sprzętem wojennym, atakowały słuch z taką przenikliwością, że uszy wkrótce przestały je słyszeć. Reagowały tylko na przekleństwa i głuche odgłosy upadków towarzyszące potknięciom, o jakie łatwo w ciemnościach; reagowały w taki sam sposób, w jaki przyspieszone bicie serca zwraca uwagę, choć miarowy puls pozostaje niezauważony.

Na Marku zrobiła wrażenie odległość, jaką imperialne wojska zdołały przebyć tym pierwszym, niepełnym przecież marszem, pomimo nieznanego terenu i ciemności. — Zapomniałeś, jak to jest, kiedy się idzie z armią gotową do walki — powiedział Gajusz Filipus. — Mam tylko nadzieję, że Mavrikios nie zamęczy nas zbyt szybkim tempem.

— Och, oby bogowie do tego nie dopuścili! — sapnął Viridoviks. — Jestem dzisiaj niemal tak samo zmęczony jak wówczas, kiedy wychodziliśmy z Videssos.

— Byłbyś w lepszej formie, gdybyś nie zęgnął się tak dokładnie — zauważył zgryźliwie starszy centurion. — Ledwie mogłeś chodzić, kiedy uznałeś za stosowne wrócić do nas.

— A potrafisz wymyślić lepszy sposób spędzenia letniego popołudnia?

— Nie, ty draniu — odparł Gajusz Filipus i nie ukrywana zazdrość brzmiała w jego głosie wywołała wybuch śmiechu wokół obozowego ogniska Rzymian.

Płomienny ogień zapału pchał armię na zachód następnego dnia, i jeszcze następnego. Oporu prawie nie napotykali. Wojska Onomagoulosa w znacznej mierze oczyściły drogę imperialnej armii z nieprzyjaciół, a małe oddziały Yezda, powracające na obszar pomiędzy Khliatem a Maraghą, nie były żadnym przeciwnikiem dla wielkiej wyprawy Mavrikiosa. Większość wybierała ucieczkę zamiast walki.

Przez te dwa pierwsze dni pospiesznego marszu, armia przebyła ponad połowę odległości dzielącej ją od otoczonych wojsk Onomagoulosa. Lecz potem, tak jak obawiał się tego Gajusz Filipus, tempo zaczęło spadać. Żołnierze, wyczerpani ponad miarę nieustannym marszem, musieli zwolnić. Oficerowie nakłaniali ich do zwiększenia wysiłków, lecz sami byli równie zmęczeni jak ich podwładni.

Marek żył w jakimś rozpalonym, szarym świetle, ogarniając myślami nie więcej niż następny krok obolałych stóp, pancerz, ocierający mu barki i miecz, uderzający o zewnętrzną stronę uda za każdym krokiem, który robił. W krótkich chwilach, kiedy sięgał myślami dalej, czuł wdzięczność, że Rzymianie maszerują na czele kolumny imperialnych wojsk; zamiast oddychać kurzem wzbijanym przez innych, sami go wzbijali.

Kiedy armia zatrzymała się na noc, natychmiast zapadał w sen tak głęboki, jak sen Sisinniosa Mouselea. Budził się wolno, otępiały, jakby zamroczony jakimś narkotykiem.

Późnym rankiem czwartego dnia od opuszczenia Khliatu, khamorthańscy zwiadowcy wrócili pędem z zachodu, meldując o chmurze pyłu, jakby wzniecanej przez wielu maszerujących ludzi, zbliżającej się do videssańskiej armii. Mavrikios nie ryzykował; rozkazał rozwinąć kolumnę marszową w szyk bojowy. Marka ogarnęło pełne znużenia uniesienie, kiedy rozkaz dotarł do Rzymian. W taki czy inny sposób — pomyślał — jego męka wkrótce się skończy. Był tak zmęczony, że prawie nie obchodziło go, co z tego wyniknie.

Wkrótce żołnierze głównego trzonu videssańskiej armii mogli zobaczyć brunatne plamy kurzu na zachodnim horyzoncie. Zaczęli więc sprawdzać swoją broń. Tu i tam jakiś żołnierz mówił z przejęciem do swojego towarzysza w szeregu, dając mu ostatnie zalecenia na wypadek, gdyby sam nie przeżył walki.

Obłoki kurzu kryły tych, którzy je wzbijali, bez względu na to, kim byli. Imperator wysłał dwie setki Khamorthów, by sprawdzili, kto jest przed nimi. Skaurus odprowadzał ich wzrokiem, aż skurczyli się do czarnych kropek i zniknęli w kurzu. Tych parę minut, które minęły nim pojawili się znowu, pędząc z powrotem, zdawało się trwać o wiele dłużej.

Galopowali w stronę imperialnej armii wyraźnie podnieceni. Zawracali końmi, zmuszali je, by stawały dęba, i machali nad głowami swoimi futrzanymi czapkami — z którymi nigdy się nie rozstawali, bez względu na pogodę. Wykrzykiwali też coś, powtarzając to bez przerwy. Wreszcie zbliżyli się na tyle, że Marek zrozumiał, co krzyczą: — Onomag! Onomag!

Trybun gonił resztkami sił, lecz mimo to poczuł przebiegający przezeń dreszcz. Ksenofont — pomyślał — musiał doznać takiego samego dreszczu, kiedy z tyłów pobitej greckiej armii usłyszał, jak idący na czele ludzie krzyczą: *Thalassa! Thalassa!* Morze! Morze!

Przed nimi znajdowali się nie tylko wojownicy Onomagoulosa; Yezda byli tam również, przeskadzając im w odwrocie. Mavrikios rzucił przeciwko nim kawalerię — Videssańczyków, Khamorthów, Khatrishów i, w końcu, Namdalajczyków. Druzgocąca szarża wyspiarzy rozbiła lżej uzbrojonych nieprzyjaciół — którzy przerażeni rozpierzchli się na wszystkie strony — i pozwoliła niedobitkom z dywizji Baanesa dołączyć do ich towarzyszy z głównego korpusu armii.

Radość armii Mavrikiosa z tego spotkania trwała krótko; rzut oka na ludzi, którzy zataczając się przechodzili przez jej szeregi wystarczył, by się rozwiała. Jęki i krzyki rannych oraz widok ich niedoli aż nadto wyraźnie unaocznily niebezpieczeństwa, jakich miały jeszcze zakosztować wojska Mavrikiosa.

Sam Onomagoulos został przyniesiony na noszach, z wielką raną ciętą uda, zabandażowaną strzypami jego płaszcza.

— Musisz mi wybaczyć — rzekł Gorgidas do Skaurusa. — Te biedaczyska potrzebują pomocy.

— I nie czekając na zezwolenie trybuna, oddalił się pospiesznie, by pomóc rannym na tyle, na ile potrafił.

Jednak Marek szczególnie przypatrywał się tym wojownikom, którzy nie odnieśli ran. Nie spodobało mu się to, co zobaczył. Jeśli kiedykolwiek jacyś żołnierze byli pobici, to właśnie ci. Widniało to w ich oczach, w odrętwiałym oszołomieniu na wymizerowanych twarzach, w obwisłych ramionach i wleczonej za sobą broni. Sprawiali wrażenie ludzi, którzy na próżno próbowali przeciwstawić się lawinie.

Z ich ust wydobywały się dwa słowa. Jedno brzmiało: — Wody! — Każdą ofiarowaną manierkę przechylali, wysączali do ostatniej kropli, i dysząc podziękowania, zwracali pustą.

Drugie słowo wypowiedziano cicho. Pokonani nie czynili z niego ostrzeżenia, by nie szerzyć trwogi wśród swych wybawicieli. Marek pomyślał, że woleliby je przemilczeć. Lecz za każdym razem, kiedy grupki niedobitków, potykając się mijały jego legionistów, słyszał je wypowiedziane przyciszonym i nabrzmiewającym strachem głosem. Ponieważ mówiono je szeptem, dopiero po paru minutach wyłowił imię Avshara. Usłyszawszy je, zrozumiał.

Marek zobaczył, że uciekinierzy Onomagoulosa wprowadzili zamęt w porządek marszowy jego ludzi. Słońce niemal dotykało zachodniego horyzontu; zamiast posuwać się naprzód w takich — nie wróżących niczego dobrego — okolicznościach, Imperator rozkazał rozbić obóz, tak by mógł bezpiecznie wyjść na spotkanie następnego ranka.

Żołnierze głównego korpusu armii zabrali się do tego z ochotą. Marek musiał przyznać, że pracowali lepiej w obliczu zagrażającego ataku. Palisady i proste ziemne barykady zostały zbudowane z szybkością będącą wyzwaniem nawet dla Rzymian, podczas gdy kawaleria, która wcześniej odpędziła Yezda od ludzi Onomagoulosa, teraz osłaniała przed nimi obozowisko.

Nie przychodziło jej to łatwo. Druzgocąca szarża Namdalajczyków zmusiła Yezda do ucieczki, co wcale nie oznaczało, że zaprzestali walki. Nieustannie zasilani nowymi jeźdźcami przybywającymi z zachodu, z obrony obozu uczynili bitwę, z całym zamieszaniem typowym dla działań wiążących znaczne siły kawalerii. Oddziały jeźdźców pędziły tam i z powrotem, strzały spadały całymi chmurami, pałasze pobłyskiwały, wznosząc się i opadając.

— To dobrze, że roboty przy fortyfikacjach posuwają się tak szybko — rzekł Gajusz Filipus, spoglądając przez mgłę kurzu na zachód. — Nie sądzę, żeby naszej konnicy powodziło się tam zbyt dobrze. Tamte przeklęte bękarty potrafią jeździć — a w ogóle, ilu ich tam jest?

Na to Skaurus nie potrafił odpowiedzieć. Kurz i odległość uniemożliwiały określenie liczby tych, którzy brali udział w walce. Co więcej, zarówno Yezda, jak ich kuzyni Khamorthci walczący pod sztandarem Imperatora, mieli ze sobą zapasowe wierzchowce, co zapewniało im świeżego konia każdego dnia, lecz również tworzyło wrażenie, że jest ich o wiele więcej niż w rzeczywistości.

Pomijając sprawę liczebności, centurion miał niestety rację. Namdalajczycy mogli przewyższać

Yezda w bezpośrednim starciu, a Khamorthci dorównywać im w szybkości. Lecz Videssańczycy, którzy tworzyli podstawowy trzon imperialnej kawalerii, nie potrafili rozbić ich w starciu bezpośrednim ani nie mogli równać się z nimi w walce podjazdowej. Początkowo wolno, lecz jednak, jeźdźcy Mavrikiosa zaczęli cofać się, a potem chować za umocnieniami, które ich towarzysze wciąż jeszcze uzupełniali.

Marek usłyszał ochryple okrzyki tryumfu, kiedy Yezda ruszyli w pościg. Zgromadziwszy się w zbyt dużej liczbie, by wjechać naraz, Videssańczycy i najemnicy stłoczyli się przy sześciu bramach wiodących do imperialnego obozu. Ich przeciwnicy, wykrzykując z radości, ślali jedną salwę strzał za drugą w te łatwe cele. Ludzie jak gdyby w zwolnionym tempie osuwali się z siodeł; konie kwiczały trafione strzałami. Zranione zwierzęta wyrwały się na wszystkie strony, potęgując chaos panujący wokół bram.

Co gorsza, w panującym zamęcie i gasnącym świetle dnia, żołnierze w obozie nie potrafili rozróżnić swoich Khamorthów od atakujących Yezda. Całkiem sporo najeźdźców przedostało się do obozu, gdzie dalej zabijali jak szaleni, dopóki nie zestrzelono ich z siodeł. Skaurus obserwował w pełnym grozy podziwie, jak jakiś Yezda ściał raz za razem trzech videssańskich piechurów, a potem przeskoczył na koniu wysoką po pierś palisadę i zniknął bezpieczny w kurzu.

Zabijano również Khamorthów, mylnie branych przez spanikowanych Videssańczyków za wrogów. Raz czy drugi ich współplemieńcy, widząc swoich towarzyszy umierających na ich oczach, brali doraźny odwet. Nagle wojna w szeregach armii Imperatora stała się równie realną groźbą, co wróg za palisadą.

Dużo później Marek słyszał jak Phostis Apokavkos, relacjonując wydarzenia tej straszliwej nocy, powiedział: — Wolalbym umrzeć, niż przeżyć coś takiego jeszcze raz. — Z dumnego, pewnego siebie wojska, które wyruszyło z Videssos, armia przeistoczyła się we wczesnych godzinach tej nocy w ogarnięty przerażeniem motłoch, tłoczący się za lichymi barykadami, będącymi wszystkim, co chroniło ich przed szponami wroga.

Marek uznał, że gdyby Yezda ruszyli do szturm natychmiast, siły videssańskie załamałyby się przed nimi jak wiązka suchych patyków. Lecz koczownicy niechętnie myśleli o atakowaniu ufortyfikowanego obozu, a być może nieustanny ruch wewnątrz — w rzeczywistości tak bezsensowny, jak bieganina mrówek w zniszczonym mrowisku — wyglądał jak przygotowania gotowych do boju oddziałów. W każdym razie szturm nie nastąpił i Imperator stopniowo zaczął zaprowadzać porządek w szeregach swoich ludzi.

Zdawał się być wszędzie jednocześnie, już nie w swych uroczystych szatach, lecz w pozłacanej zbroi nad karmazynowymi, imperatorskimi butami. Wyciągał dekwoników ze zdradliwego bezpieczeństwa ich namiotów do palisady. Zbyt wiele było w nim z żołnierza, by ustąpił bez walki, mimo trudnej do pozazdroszczenia sytuacji jego armii.

Kiedy znalazł się w rzymskiej części obozu, jego znużona twarz rozjaśniła się w wyrazie pochwały. — Bardzo schludnie — pogratulował Skaurusowi. — Rów, wał obronny, żerdzie — tak, i woda również, to rozumiem — prawdziwy obóz. A jak z duchem twoich ludzi?

— Nie najgorzej, Wasza Wysokość — odparł trybun.

— O to nie ma co się martwić — wtrącił Viridoviks. — Wszyscy ci Rzymianie są zbyt gruboskórni, by się bać.

Gajusz Filipus nastroszył się odruchowo, lecz Imperator machnięciem ręki nakazał ciszę. — Spokojnie tam. W taką noc jak ta byłoby wam o wiele łatwiej, gdybyście tacy byli. Phos świadkiem, sam chciałbym to o sobie powiedzieć. — Nawet czerwony blask obozowych ognisk nie potrafił zarumienić jego twarzy; w ich migoczącym świetle wyglądał blado i staro. Pochyliwszy ramiona jakby pod jakimś wielkim ciężarem, odwrócił się i odszedł.

Jego brat, Sevastokrata, również dodawał ducha oszołomionej armii — na swój własny, bardziej bezpośredni sposób. — Na lewe jajo Phosa! — krzyczał gdzieś niedaleko Marka. — Daj mi ten łuk, ty nieudaczna kupo łajna! — Brzęknęła cięciwa; Thorisin zaklął ogniście, gdy chybił. Strzelił znowu. Gdzieś w mroku jakiś koń kwiknął rozdzierająco w agonii. — Tak! — powiedział Sevastokrata. — Tak to się robi!

Orataias Sphrantzes również pomagał dojść do siebie Videssańskiej armii, choć w dość dziwny sposób. Błąkał się po całym obozie, deklamując takie sentencje, jak: — Miłujący mądrość ludzie — ponieważ nazwałbym was bardziej filozofami niż żołnierzami — powinni pokazać barbarzyńcom, że zapał, który nimi kieruje, jest nieśmiertelny. — I: Dusze Yezda nie są podwójne ani ich ciała nie są z diamentu. Oni również zostali wprowadzeni w misteria śmierci.

To przedstawienie powinno być śmieszne, i rzeczywiście takie było. Ludzie uśmiechali się słuchając, jak młody szlachcic deklamuje swoje frazesy, choć w tym miejscu uśmiechy z trudem pojawiały się na twarzach. Co więcej, bez względu na to, jak nużący był Sphrantzes, mówił też prawdę, i ci, którzy poświęcili czas, by go wysłuchać, nic na tym nie stracili.

Kapłani krążyli po obozie, modląc się z żołnierzami i ponownie odbierając od nich przysięgi na wierność Imperium. Wydawało się, że tej nocy nikogo nie obchodzi, czy jakiś Namdalajczyk uzupełnia swoim dodatkiem obowiązujące w Videssos wyznanie wiary, ani czy mieszkanie Vaspurakanu uważa się za pierworodnego syna wcielenia Phosa. W obliczu niebezpieczeństwa, przynajmniej wszyscy się zjednoczyli.

Kiedy ich o to poproszono, pogańscy Khamorthci również złożyli nowe przysięgi wierności. Nie wysłuchiwali ich kapłani, lecz przed niektórymi z pisarzy Mavrikios przysięgali na swoje miecze, że dochowają wierności Imperatorowi. Już sama ich niechęć, z jaką się do tego odnosili po tragicznym zamieszaniu przy bramach, przekonała Skaurusa, że dotrzymają słowa. Gdyby zamierzali zdradzić — pomyślał — składaliby swoje przysięgi z większą ochotą, by łatwiej zamydlić oczy.

— Witaj, witaj. — To był Nepos, który od kilku minut stał u boku trybuna, nie mogąc zwrócić na siebie uwagi. Mały kapłan wyglądał na tyle poważnie, na ile pozwalały mu jego pulchne, wesołe rysy. Rzekł nieśmiało: — Czy mógłbym prosić ciebie i twoich ludzi, byście na wzór reszty armii złożyli śluby wierności wobec Videssos? O nic was nie podejrzewam ani nie chcę nikogo urazić, lecz ta chwila wydaje się odpowiednia na odnowienie przysięgi wierności.

— Oczywiście. — Skaurus skinął głową. Gdyby tylko Rzymianie zostali w ten sposób potraktowani, przyjąłby to źle, lecz tak jak powiedział kapłan, w obozie wszyscy bez wyjątku potwierdzali swoją lojalność. — Jaka jednak przysięga zadowoliłaby cię? Większość z nas nie wyznaje waszej wiary.

— Hmm. — Nepos podrapał się w wygoloną czaszkę. — A to kłopot... masz może jakąś propozycję?

Marek zastanowił się przez chwilę, a potem powiedział: — Mamy zwyczaj, wstępując na służbę do legionu, że jeden człowiek składa śluby, a wszyscy pozostali przysięgają postępować zgodnie z nimi. Gdybym złożył teraz tę przysięgę znowu, tym razem na moich bogów i na twego, czy to by wystarczyło?

— Nie potrafię wymyślić, o co więcej mógłbym prosić.

— W porządku. — Na rozkaz trybuna trębacze zadęli w swoje instrumenty, by zwrócić uwagę legionistów. Czyste dźwięki trąbek przebiły się przez wrzawę; Rzymianie poderwali głowy, by zobaczyć, co się stało.

Kiedy Marek stwierdził, że wszyscy patrzą na niego, zapytał czy jest ktoś, kto nie chce złożyć przysięgi, o jaką prosi Nepos. Nikt się nie odezwał. — Zatem doskonale — zwrócił się do swoich ludzi. — Na bogów, których zabraliśmy z Rzymu, i na boga, którego spotkaliśmy tutaj, ślubuję być posłusznym wobec Imperatora i spełniać jego rozkazy najlepiej jak potrafię. Czy teraz przysięgniecie to samo, co ja?

— *luramus!* — zawołali w tej samej łacinie, w której przysięgali wstępując do swoich legionów. — Przysięgamy! — Nepos mógł nie rozumieć tego słowa, lecz jego znaczenie nie pozostawiało żadnych wątpliwości. Ukłonił się dziękując Markowi i oddalił się pośpiesznie, by odebrać potwierdzenie wierności od innych oddziałów.

Na zewnątrz obozu noc kotłowała się w niewiarygodnej wrzawie. Nie mając na tyle śmiałości, by szturmować wały obronne, Yezda robili wszystko co w ich mocy, żeby wzbudzić przerażenie w ludziach za nimi. Niektórzy podjeżdżali zupełnie blisko, by wyrzaskiwać groźby w łamanym videssańskim, podczas gdy inni zadowalali się nieartykułowanymi okrzykami nienawiści.

Jeszcze gorsze — pomyślał Marek — były wielkie bębny, które huczały wokół wszystkich obozowisk Yezda, jak nieregularne tętno jakiegoś umierającego, obłąkanego boga. Ziemia przenosiła wibracje tak samo jak powietrze i zdawały się one odbijać echem i rozbrzmiewać w ludzkich

kościach.

Sen w takich warunkach okazał się przedsięwzięciem z góry skazanym na klęskę, nawet dla flegmatycznego Skaurusa. Z takim zapałem powitał posłańca oznajmiającego o wyznaczonej przez Mavrikiosa nocnej naradzie, że mężczyzna odszedł potrząsając w oszołomieniu głową. Marek nie potrzebował żadnych wskazówek, by trafić do namiotu Imperatora. Nie tylko przewyższał wszystkie inne wielkością, lecz również stał na najwyższym wzniesieniu obozu, by zapewnić Mavrikiosowi najlepszy z możliwych widok na otaczający teren.

Jednak dotarcie do niego przypominało przedzieranie się przez tłumy, które zawsze zapełniały rynek Palmas w stolicy Imperium. Po całym obozie krążyli ludzie; niektórzy kroczyli w wyraźnie określonym celu, inni błakali się tu i tam, wykorzystując sam fakt ruchu do uśmierzenia dręczących ich myśli. Mimo iż dążył w określonym celu, trybun również nie zwracał na otoczenie takiej uwagi, jaką mógłby mu poświęcić. Ostrzeżenie Gajusza Filipusa nadeszło zbyt późno, by ustrzec go przed uderzeniem w plecy jakiegoś Halogajczyka.

Jasnowłosy olbrzym odwrócił się zirytowany; na prawym oku miał skórzaną opaskę. — Uważaj jak idziesz, niezdaro... — Urwał nagle.

— Skapti! — zawołał Marek. — Nie sądziłem, że jesteś w armii Imperatora. Już dawno powinieneś nas odwiedzić.

— Kiedy widziałem się z tobą ostatni raz, powiedziałem, że znowu się spotkamy. — Dowódca garnizonu Imbros wzruszył ramionami. Mówiąc bardziej do siebie niż do Rzymian, ciągnął: — Człowieczy los to dziwna rzecz — jeśli sam nie wyjdiesz mu na spotkanie, on i tak cię spotka.

Ujął dłoń Skaurusa w swoje, na halogajską modłę, a potem potrząsnął głową, z posępnym rozbarwieniem na twarzy. Nie dając Rzymianom czasu na rozwiązanie swej zagadki, odwrócił się i odszedł; wysoki, samotny i dumny. Odprowadzając go wzrokiem, Gajusz Filipus rzekł: — Widywałem już ludzi z takim spojrzeniem. Skazany na śmierć, tak określił go Viridoviks.

— Tak, i zdaje się uważać, że w jakiś sposób jestem częścią jego losu — oby bogowie dowiedli, że się myli. — Coś innego uderzyło Skaurusa. — Od kiedy to ty, właśnie ty, zapożyczasz powiedzenia od Celta?

Na twarzy centuriona pojawił się wyraz, jaki trybun widział przed chwilą, patrząc na Skaptiego, syna Modolfa. — Jednak pasuje, czyż nie?

— Temu nie mogę zaprzeczyć. Chodźmy — zobaczymy, czy czarodzieje Mavrikiosa znaleźli jakiś sposób, by dać nam skrzydła i wydobyć jakoś z tych tarapatów.

Żaden z czarodziei nie uczestniczył w przedbitewnej naradzie, bez względu na to czy mieli, czy nie, jakieś wiadomości o skrzydłach. Mavrikios zabrał ze sobą czarodziei — to prawda — lecz bardziej po to, by udaremnić czary wroga, niż aby wykorzystywać własne jako broń zaczepną; był człowiekiem wierzącym w siłę broni — z urodzenia i z wychowania. Walka, przed którą teraz sta-

nał, może nie będzie odbywała się na warunkach, jakich pragnął, lecz to wcale nie oznaczało, że zamierza się przed nią uchylać.

W rzeczy samej był zaskakująco radosny, czemu dał wyraz, mówiąc do Ortaiasa Sphrantzesa: — Nie sądzę, że jest to sposób, który Kalokyres zalecałby jako odpowiedni na zwabienie wroga do bitwy, lecz nie powinno się to zbyt źle skończyć. O ile się nie mylę, koczownicy będą tak napuszeni po dzisiejszym zwycięstwie, że choć raz spróbują dotrzymać nam pola. A kiedy to zrobią, rozbijemy ich. W walce wręcz nie mają na nas sposobu.

Marek pomyślał, że wszystko wskazuje na to, iż Imperator może mieć rację. Z obrazu Yezda, jaki zdążył sobie wyrobić wynikało, że zwycięstwo mogło uczynić ich lekkomyślnymi. Prawdopodobnie tak bardzo będą pragnęli skończyć z Videssańczykami, że bez trudu dadzą się wciągnąć w pułapkę.

Myśli Imperatora biegły tym samym torem. Odzwierciedliły to rozkazy, jakie wydawał swemu bratu i Sphrantzesowi. — Wy dwaj na skrzydłach odegracie decydującą rolę w tym przedsięwzięciu, ponieważ dysponujecie większością lekkiej kawalerii. Szeroko rozwarte — oba skrzydła stworzą lej, którym Yezda uderzą w środek. Ciężkozbrojni zatrzymają ich uderzenie; gdy tylko zwiążą się walką na całej długości środkowej linii, zewrzenie skrzydła — o tak. — Imperator złączył rozwarte ramiona na wysokości piersi. — Otoczymy ich z trzech stron albo, jeśli Phos da, z czterech, i to powinno zakończyć całą sprawę.

Thorisin słuchał spokojnie wywodu Mavrikiosa, co jakiś czas tylko potakując skinieniem głowy, gdy Imperator dochodził do co istotniejszych konkluzji. — Jest wyjątkowo spokojny, prawda? — mruknął do Skaurusa Gajusz Filipus.

— Dlaczego ma nie być? To dla niego z pewnością żadna nowość. On i Mavrikios omawiali ten plan pewnie od zachodu słońca.

Z kolei Ortaias Sphrantzes słuchał tego wszystkiego po raz pierwszy i jego oczy rozbłysły podnieceniem. — Klasyczny fortel, Wasza Wysokość — wyrzucił z siebie — i pewna pułapka na niedyscyplinowany barbarzyński motłoch. — Skaurus nie miał nic przeciwko temu, by zgodzić się z pierwszą częścią tego, co powiedział Ortaias, lecz druga część jego wypowiedzi uraziła trybuna, i to dość mocno. Plan Mavrikiosa przypominał mu manewr, jaki Hannibal zastosował pod Kannami, i wówczas tamta pułapka zamknęła się wokół Rzymian.

Imperator ucieszył się z pochwały. — Dziękuję ci, Ortaiasie — rzekł łaskawie. — Liczę, że jutro zagrzejesz swoich ludzi wspaniałą porywającą mową. — Mavrikios musiał czuć się doprawdy bardzo pewny siebie — pomyślał Marek — jeśli miał ochotę traktować tak uprzejmie bratanka swego rywala.

— Zagrzeje! Przygotowałem już przemowę na taki właśnie dzień, skomponowaną dokładnie po to, by rozpalić okrucieństwo w sercach wojowników.

— Doskonale.

Siedzący tuż obok Skaurusa Gajusz Filipus wznosił oczy do nieba i jęknął, lecz tak cicho, że tylko trybun zdołał go usłyszeć. Starszy centurion wysłuchał już kiedyś fragmentu tej przemowy, przypomniał sobie Marek, i jeśli zrobiła na nim wrażenie, to tylko swoją nieudolnością. Lecz to do prawdy nie miało znaczenia. Skaurus obserwował Nephona Khournosa — nominalnie stojącego dość nisko w oficjalnej hierarchii starszeństwa — słuchając z uwagą planu Mavrikiosa, i wręcz widział, jak stary weteran realizuje w myślach poszczególne jego etapy. Wszyscy — wyjąwszy być może Ortaiasa Sphrantzesa — wiedzieli, że w rzeczywistości to on dowodzi lewym skrzydłem.

Na zewnątrz, w ciemnościach zalegających wokół otoczonego obozu, bębny przerwały swój nieharmonijny łomot, przez chwilę milczały, a potem zaczęły na nowo, tym razem wszystkie w zgodnym rytmie: (dum—dum, dum—dum, dum—dum). Dwutaktowa fraza, powtarzana bez końca, obłąkańczo, wypełniała głowę tępym bólem, wybijała szczękające zęby z dziąseł. Ochryple głosy Yezda dołączyły do bębnów: (Av—shar! Av—shar! Av—shar! Av—shar!)

Marek poczuł, jak jego ręce zaciskają się w pięści, kiedy zrozumiał monotony zaśpiew koczowników. Spojrzał na Mavrikiosa, ciekaw jak on na to zareagował. Napotkał wzrok Imperatora, który patrzył na niego spod uniesionej brwi. — Wszystkie figury są już na planszy — powiedział. — Teraz możemy grać.

Dzień zaświtał bezchmurny i upalny; miedzianobarwne słońce wręcz wskoczyło na nieskazitelnie błękitne niebo. Trybuna piekły oczy, kiedy jadł swoją poranną owsiankę. Bębny biły bez chwili przerwy przez całą noc i ten sen, jakiego udało mu się zaznać, był płytki i naszpikowany męczącymi koszmarami. W całym videssańskim obozie ludzie ziewali jedząc śniadanie.

Kwintus Glabrio przeczyścił pustą miskę piaskiem i zapakował z powrotem do swego plecaka. On również ziewał, lecz nie martwił się tym. — O ile wszyscy koczownicy z Yezd nie są głusi, to mieli takie same kłopoty ze snem jak ja — powiedział. Marek skinął głową, doceniając jego zdolność do zachowania właściwego punktu widzenia.

Namioty Yezda leżały rozrzucone na równinie jak wielobarwne muchomory. Na zachód od videssańskiego obozu stały gęściej; wiele gromadził wokół siebie ogromny namiot ze smoliście czarnego wojłoku. Skaurus nie musiał się nad tym zastanawiać, by mieć pewność, że jest to siedziba Avshara. Yezda spływali tam nie kończącym się potokiem. Trybun obserwował, jak ich szyk bojowy nabiera kształtu.

Tak jak się tego obawiał, koczownicy próbowali unieruchomić imperialną armię w obozie, lecz Mavrikios poradził sobie z tym. Łucznicy zza palisady trzymali koczowników na odległość, a kiedy trzy albo cztery miotające dzirydami katapulty spotęgowały ich ostrzał, Yezda wycofali się ku własnym liniom. Wówczas Imperator, tak jak poprzednio, wykorzystał lekką jazdę, by utworzyć zasłonę, za którą jego główne siły mogły ustawić się w szyku bojowym.

Skaurus czuł już, jak pancerz zaczyna ocierać mu wrażliwe od spływającego potu barki, kiedy wreszcie wprowadził swoich legionistów na ich miejsce w Videssańskiej linii. Wzmocnili lewą flankę środkowej części szyku pod dowództwem Mavrikiosa; z kolei po swojej lewej mieli kontyngent kawalerii z Khatrish, który łączył środek z lewym skrzydłem Ortaiasa Sphrantesa.

Dowódca Khatrishów, szczupły mężczyzna o ospowatej twarzy, imieniem Laon Pakhymer, machnął trybunowi ręką, kiedy go zobaczył. Marek odpowiedział tym samym. Od czasu pierwszego spotkania z Taso Vonesem, trybun polubił Khatrishów. Wolał też, by na jego flance stali oni, a nie ich kuzyni Khamorthci. Niektórzy wojownicy z równin Pardraji znajdowali się w ponurym nastroju, o co zresztą Skaurus nie mógł mieć do nich pretensji po tym, jak przez pomyłkę zostali ostrzelani przez swych sprzymierzeńców.

Viridoviks spoglądał ponad jałową równiną w stronę gromadzących się nieprzyjaciół. Podrapał się po nosie. Jego jasna skóra cierpiała w palących promieniach videssańskiego słońca, czerwieniąc się i niszcząc, zamiast pokrywać się prawdziwą opalenizną. — Nie bardzo to przypomina tę ostatnią awanturę, w której braliśmy udział, nie sądzisz? — zwrócił się do Marka.

— Wcale, prawda? Ranek zamiast nocy, upał zamiast miłego cienia, ta naga kamienista równina zamiast twojej galijskiej puszczy... ba, teraz jesteśmy nawet po tej samej stronie.

— Właśnie — zachichotał Viridoviks. — Nie pomyślałem o tym. Mimo wszystko powinna to być wspaniała bijatyka. — Skaurus zachnął się na takie stawianie sprawy.

Piszczalki świsnęły, a bębny zadudniły, rozkazując imperialnym wojskom ruszyć naprzód. Rzymianie obchodzili się bez takich przygrywek, z wyjątkiem sygnałów granych na zbiórkę, lecz trybun raczej cieszył się z wojskowej muzyki rozbrzmiewającej wokół jego ludzi. Sprawiała, że czuł się mniej samotny; rozpraszała wrażenie, jakby wszyscy ci Yezda właśnie jego wyznaczyli sobie na cel.

Najeźdźcy również ruszyli naprzód, nie wyraźnie wyodrębnionymi oddziałami, lecz wysuwali się to tu, to tam, jak fala zalewająca pagórkowatą plażę. Bez trudu można było rozpoznać Avshara, nawet z odległości dzielącej oba wojska. Postanowił prowadzić swoją armię bardziej z prawego skrzydła niż ze środka, tak jak Mavrikios. Biel jego szat rozblyskiwała jasno nad sylwetką ogromnego, czarnego jak sadza ogiera, którego dosiadał. Sztandar Yezd łopotał nad jego głową.

— To zła barwa na chorągiew — rzekł Kwintus Glabrio. — Przypomina mi bandaż przesiąknięty skrzepłą krwią. — Porównanie było trafne, lecz i zaskakujące, zważywszy iż wydobyło się z ust rzymskiego oficera. Brzmiało bardziej jak coś, co mógłby powiedzieć Gorgidas.

Gajusz Filipus powiedział: — Pasuje do nich, ponieważ zrobili dość, żeby przesiąkła.

Dwa wojska zbliżyły się mniej więcej na pół mili, kiedy Mavrikios, dosiadający dereszowego rumaka, wyjechał przed swoich ludzi, by do nich przemówić. Spojrzawszy w lewo, a potem w prawo, Marek zobaczył, że Ortaias Sphrantzes i Thorisin robią to samo przed swoimi dywizjami. Yezda za-

trzymali się również, kiedy Avshar i inni wodzowie zwrócili się do nich z przemową.

Imperator mówił krótko i do rzeczy. Przypomniawszy swoim ludziom o krzywdach, jakie Yezd wyrządziło Videssos; powiedział im, że ich bóg walczy po ich stronie — trybun miał ochotę założyć się, że Avshar zapewnił swoich wojowników o tym samym — i w paru słowach naszkicował taktykę, jaką zaplanował.

Trybun nie zwracał większej uwagi na słowa Mavrikiosa — ich przesłanie stało się oczywiste po pięciu czy sześciu zdaniach. Bardziej interesujące okazały się urywki przemowy Ortaiasa Sphrantzesa, które dochodziły do niego wraz z powiewami kapryśnego, wiejącego od południa wiatru.

Przemawiając swoim piskliwym tenorem, młody szlachcic robił co mógł, by zachęcić żołnierzy przy pomocy tej samej sentencjonalnej retoryki, jakiej używał poprzedniej nocy w obozie. — Walczcie każdym członkiem; niech żaden wasz członek nie zetknie się z niebezpieczeństwem! Kampania Yezd ma przeciwko sobie sprawiedliwość, ponieważ pokój jest dla nich czymś wstrętnym, a ich umiłowanie walki jest miłością, która zaszczyca boga żadnego krwi. niesprawiedliwość nierzadko bywa silna, lecz też często obraca się w perzynę. Będę dowodził bitwą i moim zapalem do walki wesprę wszystkich — wstydzę się pozwalać na cierpienia innych nie cierpiąc samemu...

I tak dalej, i tak dalej. Marek stracił wątek przemowy Sphrantzesa, kiedy Mavrikios skończył swoją i żołnierze za środka szyku wzniesli radosne okrzyki, lecz kiedy wrzawa ucichła, Ortaias wciąż jeszcze rozprawiał. Żołnierze na lewym skrzydle słuchali z pochmurnymi minami, prze—stępując z nogi na nogę i pomrukując do siebie. Spodziewali się i potrzebowali dodającej ducha, gorącej mowy, nie takiego pompatycznego monologu.

Bratanek Sevastosa zbliżał się do porywającego zakończenia swej przemowy. — Niech nikt, kto kocha przyjemności zbytku, nie weźmie udziału w obrzędach wojny, i niech nikt nie rozpocznie boju z myślą o łupach. Trzeba kochać niebezpieczeństwo, żeby szukać swego miejsca w bitwie pomiędzy dwiema armiami. Chodźmy, zwieńczmy wreszcie słowa czynami i rozwińmy naszą teorię w bitewną linię!

Przerwał w oczekiwaniu na oklaski, jakie otrzymali już obaj Gavrasowie. Rozległo się parę kłaśnięć i jeden czy dwa okrzyki, lecz nic więcej. — Rzeczywiście ma mózg jak j groszek — burknął Gajusz Filipus. — Wyobrażać sobie, że zakaze armii najemników brania łupów! Jestem zaskoczony, [że nie kazał im przy okazji przestać pić i pieprzyć.

Z wyrazem przygnębienia na twarzy, Sphrantzes podjechał z powrotem do szeregu. Nephon Khoumnos znalazł się zaraz przy nim, by klepnąć go po okrytych zbroją plecach i spróbować jakoś pocieszyć — oraz, jak wiedział Marek, by uchronić armię przed iskrami dowcipu młodego j wodza.

Teraz już nie mogło to długo trwać. Wreszcie wszystkie i przemowy zostały wygłoszone, obie armie znowu posuwały się naprzód, a najbardziej wysunięci jeźdźcy już zaczęli zasypywać się strzałami. Skaurus poczuł znajomy uciski w brzuchu i stłumił go odruchowo. Właśnie te chwile tuż

przed rozpoczęciem walki — były dla niego najgorsze. Gdy już się zaczęła, nie starczało czasu na strach.

Yezda przeszli w kłus. Marek widział słońce rozbłyskujące na ich hełmach, obnażonych mieczach i ostrzach włóczni, widział uniesione wysoko chorągwie i żerdzie z końskimi ogonami. Nagle zamrugał i przetarł oczy; Rzymianie wokół niego krzyknęli ze zdumienia i trwogi. Zbliżająca się linia nieprzyjaciół migotała jak płomień świecy na wietrze, raz wyraźna, raz na wpół widoczna, jak gdyby przez mgłę, to znowu znikająca bez śladu. Trybun ścisnął rękojeść miecza aż mu kłykcie pobiegały, lecz nie! dało mu to poczucia bezpieczeństwa. Jak miał uderzyć w nieprzyjaciół, których nie potrafił dostrzec?

Choć wydawało się, że trwa to całą wieczność, Yezda nie mogli pozostawać niewidoczni dłużej niż przez kilka uderzeń serca. Przez krzyk swoich ludzi, Skaurus usłyszał przeciwzakłęcia, które wykrzykiwali czarodzieje towarzyszący imperialnej armii. Wróg pojawił się znowu, tak wyraźny i solidny, jak gdyby nigdy przedtem nie rozmył się w powietrzu.

— Wojenna magia — rzekł drżącym głosem trybun.

— Bez wątpienia — przytaknął Gajusz Filipus. — Choć nie zadziałała, bogom niech będą dzięki. — Mówił z roztargnieniem, nie odwróciwszy się, by spojrzeć na Skaurusa. Całą swoją uwagę skupił na Yezda, którzy kiedy ich fortel zawiódł, popędzili konie szarżując na Videssańczyków. — Tarcze w górę! — krzyknął centurion, gdy strzały sypnęły się łukiem ku Rzymianom.

Marek nigdy dotychczas nie musiał stawiać czoła takiemu gradowi strzał. Jakaś strzała bzyknęła mu gniewnie tuż koło ucha; inna uderzyła w jego *scutum* z taką siłą, że aż cofnął się o krok. Dźwięk jaki wydawały, gdy nadlatywały z sykiem i uderzały w tarcze i pancerze, przypominał odgłos deszczu padającego na metalowy dach. Jednak ludzie nigdy nie wrzeszczeli ani nie skręcali się, kiedy deszcz spadał na ich miękkie, wrażliwe ciała.

Yezda pędzili naprzód w grzmocie kopyt, już na tyle blisko, że trybun widział ich uważne twarze, gdy kierowali konie w stronę luk, jakie uczyniły ich strzały. — *Pila* — krzyknął, i chwilę później: — W nich!

Ludzie spadali z siodła, by zawirować krótko w powietrzu, lub osuwali się z grzbietów koni, które wlokły ich za sobą ku czerwonej śmierci. Zatem strzemiona mają jednak wady, pomyślał Skaurus. Konie również padały albo rozbiegały się na wszystkie strony, kiedy traciły jeźdźców. Zderzały się z tymi, które biegły obok, i przewracały je z łomotem na ziemię. Wojownicy pędzący w drugiej linii, nie mogąc powstrzymać na czas swoich wierzchowców, potykali się na powalonych albo rozpaczliwie ściągałi wodze, by przeskoczyć przeszkodę, która nagle przed nimi wyrosła — i stawali się łatwym celem dla przeciwników.

Salwa Rzymian wstrząsnęła przerażającym impetem szarży Yezda, lecz przecież nie zatrzymała, bo nie mogła zatrzymać jej zupełnie. Wyjąc jak opętani, koczownicy zderzali się z żołnierzami,

którzy zagradzali im drogę. Jakiś wojownik z krzaczastą brodą i pałaszem w ręku zamachnął się na trybuna z siodła. Skaurus przyjął cios na tarczę i sam ciął koczownika w nogę, pozostawiając ziejącą ranę na jego udzie i przy okazji kalecząc konia.

Krzyk bólu jeźdźca i przerażony kwik konia zlały się w jedno. Nieszczęsne zwierzę stanęło dęba, odsłaniając ociekający krwią brzuch. Z głuchym uderzeniem wbiła się weń strzała. Koń obrócił się na zadnich nogach i upadł, przygważdżając pod sobą jeźdźca. Pałasz wypadł z jego bezwładnej ręki, gdy uderzył o ziemię.

Z prawej strony, z odległości kilkuset kroków, doszły do Marka stłumione okrzyki, gdy Namdalajczycy rzucili się naprzód na atakujących ich Yezda. Przez chwilę czynili straszliwą rzeź, rażąc mieczami i lancami, i przewracając nieprzyjaciół samym impetem swej szarży. Jak odgryzające się niedźwiedziowi wilki, koczownicy ustąpili przed nimi, lecz nawet w odwrocie ich śmiertelne strzały zbierały swe żniwo.

Ponownie Yezda próbowali uderzyć na Rzymian i znowu oszczepy ciśnięte w zdyscyplinowanej salwie przez legionistów załamały ich szarżę, zanim zdołała ich rozbić. — Chciałbym mieć więcej ciężkozbrojnych oszczepników — westchnął Gajusz Filipus. — Nic tak pewnie nie osadziłoby tych drani jak linia *hastati*, — Jednak *hasta* wychodziła z użycia w rzymskich armiach i niewielu legionistów umiało się nią posługiwać.

— Tak samo mógłbyś chcieć gwiazdki z nieba — odpowiedział Marek, zmuszając do ucieczki jakiegoś koczownika, który po upadku z konia postanowił walczyć pieszo. Yezda pierzchnął, zanim trybun zdążył z nim skończyć.

Viridoviks, jak zwykle będący sam w sobie małą armią, wyskoczył przed linię Rzymian i wyminawszy zwodem zamaszyste cięcie jeźdźca, jednym ciosem swej potężnej klingi odrąbał łeb wierzchowca koczownika. Rzymianie krzyknęli tryumfalnie, Yezda z przerażeniem, poruszeni potęgą ciosu.

Jeźdźcowi udało się zeskoczyć z padającego konia, lecz wysoki Celt był już przy nim, jak kot osaczający mysz. Koczownik nic nie mógł zrobić przeciwko zasięgowi ciosów i sile Viridoviksa i w chwilę później jego własna głowa zawirowała w powietrzu, spadając z karku. Pochwyciwszy ociekające krwią trofeum, Gal wrócił do szeregów Rzymian.

— Wiem, że zabieranie głów nie leży w waszym zwyczaju — zwrócił się do Skaurusa — lecz ta będzie miłą pamiątką z walki.

— Możesz zjeść ją na śniadanie, jeśli o mnie chodzi — odkrzyknął trybun. Jego zwykle opanowanie zostało mocno nadszarpnięte wywołanym walką napięciem.

Nieugięta obrona legionistów i wyczyn Celta, tak okrutny jak ich własne, zniechęciły Yezda do bezpośrednich ataków. Zamiast tego, wycofali się z zasięgu oszczepów i zasypali Rzymian strzałami. Marek najchętniej wydałby rozkaz do ataku na koczowników, lecz zdążył już zobaczyć, co się

stało, kiedy kompania Vaspurakańczyków, podobnie atakowana, ruszyła bezładnie na Yezda. Zostali odparci i rozniesieni na strzępy w mgnieniu oka.

Mimo to nie widział żadnego powodu, dla którego Rzymianie mieliby znosić takie cięgi nie oddając ciosu. W tej sytuacji, Skaurus posłał gońca do Laona Pakhymera. Khatrish potwierdził przyjęcie jego prośby kilkakrotnie machnąwszy hełmem nad głową. Wysłał naprzód dwa szwadrony swoich rodaków; tyle tylko, by odeprzeć Yezda poza zasięg strzałów z łuku. Gdy koczownicy wycofali się, Marek wysunął swoją linię, aby wzmóc osłonę sprzymierzeńców, którzy przyszli mu z pomocą.

Zastanowił się, jak przebiega walka. Na jego niewielkim odcinku wszystko szło całkiem dobrze, lecz ta bitwa była o wiele za duża, by dało się ją ogarnąć jednym spojrzeniem. Liczebność wojsk po obu stronach, długość linii walki i wszechobecne tumany kurzu czyniły to przedsięwzięcie beznadziejnym.

Lecz z tego, jak wyginał się front wydawało się, że plan Mavrikiosa jest realizowany. Yezda, ścisłszy na obu skrzydłach, zmuszeni zostali do rzucenia się na środek videssańskiej linii. Pozbawieni możliwości przeprowadzania szybkich manewrów — swej zasadniczej przewagi — stawali się łatwym kąskiem dla żołnierzy ciężkozbrojnych oddziałów, które skoncentrował tam Imperator. Wielkie topory jego halogajskich gwardzistów wznosiły się i opadały, wznosiły i opadały, przerabując małe, lekkie tarcze koczowników i ich pancerze z prażonej w ogniu wolej skóry. Halogajczycy śpiewali walcząc; ich powolny, głęboki, bitewny zaśpiew rozbrzmiewał pewnie wśród otaczającego ich zgiełku.

Z głębi gardła Avshara wydobył się głuchy pomruk, dźwięk tłumionej furii. Środek videssańskiej linii okazał się jeszcze silniejszy, niż się spodziewał, choć przecież wiedział, że tam właśnie znajdują się najlepsi żołnierze wroga. A wśród nich, przypomniał sobie nagle, walczył cudzoziemiec, który pokonał go na miecze. Avshar rzadko przegrywał w czymkolwiek; zemsta będzie słodka.

Trzykrotnie mierzył ze swego śmiertcionośnego łuku w Skaurusa. Dwukrotnie chybił; wbrew przerażającym pogłoskom, strzały z tego łuku nie zawsze trafiały w cel. Za trzecim razem wymierzył celnie, lecz jakiś nieszczęsny koczownik znalazł się na drodze strzały. Padł nieświadom, że zginął z ręki własnego wodza.

Czarodziej zaklął kiedy zobaczył, że ów doskonały strzał poszedł na marne. — Zatem inaczej — burknął do siebie. Zamierzał rzucić ten czar na kogoś innego, lecz tutaj również spełni swe zadanie.

Oddał łuk towarzyszącemu mu oficerowi, uspokajał swego wierzchowca uściskiem kolan, dopóki nie stanął bez ruchu — rzucanie czaru wymagało równoczesnych ruchów obu rąk. Kiedy zaczął inwokację, nawet Yezda trzymający jego łuk odsunął się od niego ze wzdrygnięciem, tak lodo-wato i straszliwie brzmiały jej słowa.

Przez chwilę miecz Marka płonął oślepiającym blaskiem. Zmroziło go to, lecz tego dnia wiele

czarów rzucono na polu bitwy. Machnął na trębaczy, by wezwali na pozycję pozostający z tyłu manipuł.

Avshar zaklął znowu czując, że jego czary chybiły celu. Zaciśnął pięści, lecz nawet on musiał ustąpić w obliczu konieczności — zatem powrót do pierwotnego planu. Zwiadowcy Yezda wielokrotnie obserwowali ćwiczenia imperialnej armii i donieśli mu o tym, co zobaczyli. Ze wszystkich ludzi w tamtej armii, jeden był kluczem — a czar Avshara nie zbłądzi dwukrotnie.

— Tam! Naprzód! Naprzód! Tam! Odpędźcie tych skurwysynów! — ryczał Nephon Khoumnos. Ochrypl i zmęczył się, lecz czuł coraz większą radość z przebiegu bitwy. Ortaias, ku chwale Phosa, nie przeszkadzał mu zbyt mocno, a żołnierze stawali lepiej, niż śmiał mieć nadzieję. Zastanowił się, czy Thorisin z równym powodzeniem wykonuje swoje zadanie na prawym skrzydle. Jeśli tak, to wkrótce wokół Yezda zaciśnie się stalowy pierścień.

Generał kichnął, zamrugał zirytowany, kichnął znowu. Mimo piekielnego upału, nagle zrobiło mu się zimno; pot zastygł zimną warstwą na jego ciele. Zadygotał w swej zbroi — lodowe ostrza wbiły się w jego kości. Przy każdym ruchu nieznośny ból przeszywał stawy. Oczy wyszły mu z oczodołów. Otworzył usta, by krzyknąć, lecz z gardła nie wydobyło się żadne słowo. Jego ostatnią świadomą myślą było to, że zamarzanie wcale nie jest tak lekką, bezbolesną śmiercią, jak powszechnie sądzono.

— Zdaje się, że nacierają mocniej — rzekł Ortaias Sphrantzes. — Jak sadzisz, Khoumnos? Powinniśmy skierować jeszcze jedną brygadę, by ich odeprzeć? — Nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, odwrócił się, by spojrzeć na starszego mężczyznę. Khoumnos niewzruszenie patrzył przed siebie wytrzeszczonymi oczyma i zdawał się nie zwracać żadnej uwagi na otoczenie.

— Nic ci nie jest? — zapytał Sphrantzes. Położył rękę na nagim ramieniu generała, a potem odewał ją ze zgrozą, pozostawiając na nim swoją skórę. Dotknięcie Khoumnosa przypominało zetknięcie się z powleczoną lodem ścianą w samym środku zimy, tyle że było jeszcze gorsze, bo to zimno paliło jak ogień.

Zaskoczony nagłym ruchem, koń generała przesunął się spłoszony. Jeździec zakołysał się, a potem runął sztywno; wyglądało to tak, jak gdyby zwierzę dosiadał skamieniały posąg człowieka. Setka gardeł powtórzyła pełen grozy krzyk Sphrantzesa, ponieważ ciało Khoumnosa, jak rzeźba wycięta z kruchego lodu, roztrzaskało się na tysiąc zmarzniętych odłamków, kiedy uderzyło o ziemię.

— Zaraza! — zawołał Gajusz Filipus. — Coś idzie nie tak na lewym skrzydle! — Tak wrażliwy na zmienne pływy bitwy, jak jeleń na zmieniający się wiatr, centurion wyczuł, że Yezda przechodzą do ofensywy, nim jeszcze przypuścili atak.

Pakhymer również zwietrzył swąd kłopotów i na jego rozkaz jeden z jeźdźców pogalopował za linią walczących na południe, by dowiedzieć się, co się stało. Wysłuchał tego, co jego człowiek zameldował mu po powrocie, a potem krzyknął do Rzymian: — Khoumnos padł!

— Och, niech to piekło pochłonie — mruknął Marek. Gajusz Filipus uderzył się ręką w czoło i zaklął. Oto możliwość, której Imperator nie wziął pod rachubę — odpowiedzialność za trzecią część videssańskiej armii spadła bezpośrednio na wątłe barki Sphrantzesa.

Khatrish, który przyniósł wieści, wciąż coś mówił. Laon Pakhymer wysłuchał go, a potem przemówił tak ostro, że Rzymianie zdołali usłyszeć część z tego, co powiedział: — ...język za zębami, zrozu... — Jeździec skinął głową, zsalutował mu niedbale i wrócił na swoje miejsce w szeregu.

— Ciekaw jestem, co się tam stało — rzekł Viridoviks.

— Nic dobrego, ręczę ci za to — odpowiedział Gajusz Filipus.

— Jesteś wyjątkowo ponurą duszą, drogi Rzymianinie, lecz obawiam się, że tym razem masz rację.

Kiedy lewe skrzydło zachwiało się, Mavrikios domyślił się, dlaczego. Natychmiast posłał na południe Czerwonego Zeprina, by ratował sytuację, lecz halogajski dowódca został porwany w wir zacieklej, pełnej zamieszania walki, która wywiązała się, kiedy oddział Yezda przedarł się przez imperialną linię i zaczął szaleć na tyłach Videssańczyków. Oburęczny topór Halogajczyka wyprawiał na tamten świat niejednego koczownika, lecz w tym czasie lewym skrzydłem dowodził Ortaias Sphrantzes.

Tak jak statek z wolna zanurzający się pod wodę, tak sytuacja lewego skrzydła nieustannie się pogarszała. Oficerowie rozmaitych kontyngentów prowadzili je najlepiej jak potrafili, lecz ze śmiercią Nephona Khoumnosa zniknęła jednocząca ich działania kierownicza siła. Ortaias, na skutek swego niedoświadczenia, jak oszalały przepędzał swoich ludzi to tu, to tam, by odeprzeć pozorowane ataki, jednocześnie pozostawiając bez odpowiedzi prawdziwe szturmy.

Lewe skrzydło stało się bardziej podatne na ataki wroga z jeszcze jednego powodu. Mimo iż Pakhymer nakazał milczenie swemu posłańcowi, pogłoski o tym, jak zginął Khoumnos, wkrótce rozeszły się po całej videssańskiej armii. Były pogmatwane i niekiedy absurdalnie niezgodne z prawdą, lecz we wszystkich pobrzmiwało wyraźnie imię Avshara. Ludzie z każdego odcinka videssańskiej linii spoglądali z obawą na południe nie wiedząc, czego mogą się stamtąd spodziewać.

Imperator, widząc niepowodzenie swego planu i to, jak Yezda na każdym odcinku linii frontu wypierają jego upadłych na duchu żołnierzy, wydał rozkaz odwrotu do obozu, który opuścił tak pełen nadziei. Wykorzystując swoją większą ruchliwość oraz zamieszanie panujące na lewym skrzydle, Yezda zaczęli przemykać małymi oddziałami za flankę imperialnej armii. Jeśli przedostałoby ich się tam dość, by odciąć Videssańczyków od ich bazy, to to, co wyglądało na nie rozstrzygniętą partię, szybko zmieniłoby się w klęskę.

Mavrikios nie zamierzał rezygnować z walki. Videssańczycy mogli przegrupować się pod osłoną polowych fortyfikacji i przystąpić do bitwy następnego ranka.

Przez chwilę Marek nie potrafił rozpoznać sygnału, jaki zagrały bębny i piszczałki. „Odwrot”, z

oczywistych powodów, nie należał do manewrów zbyt często przeprowadzanych na musztrze. Kiedy uświadomił sobie, co oznacza ten sygnał, prawidłowo odczytał zamiary Mavrikiosa. — Jutro ruszymy na nich znowu — przepowiedział Gajuszowi Filipusowi.

— Bez wątpienia, bez wątpienia — zgodził się centurion. — Szybciej, szybciej, wy tępe pały! — wrzasnął na legionistów. — Szyk obronny — won stąd, oszczepnicy! Trzymać tych nicponi z dala od nas. — Jego furia brała się bardziej z przyzwyczajenia niż z potrzeby; Rzymianie zgrabnie przegrupowali się w formację obronną.

— To oznacza, że uciekamy, czy tak? — zapytał zaskoczony Viridoviks. — To nie ma sensu. Rzeczywiście, nie pobiliśmy tych drani, ale też nikt nie może powiedzieć, że oni nas pobili. Zostanmy i wyjaśnijmy to sobie do końca. — Machnął mieczem w stronę Yezda.

Gajusz Filipus westchnął, otarł pot z twarzy, potarł z roztargnieniem rozcięcie na lewym policzku. Miał równie wojowniczą duszę jak Celt, lecz zwracał większą uwagę na niekiedy bolesne realia pola bitwy. — Nie pobili nas, prawda — powiedział. — Lecz chwiejemy się na całej linii, a bogowie tylko wiedzą, co dzieje się tam. — Machnął lewą ręką. — Lepiej wycofać się w porządku, niż rozpaść się próbując dotrzymać pola.

— To zimnokrwisty styl walki, pewne jak nic. A jednak we wszystkim można znaleźć jaśniejszą stronę — teraz będę mógł właściwie posolić tego tu kochasia. — Klepnął czule głowę Yezda przywiązaną do pasa. Tego było za wiele nawet dla twardego centuriona i Gajusz Filipus splunął z obrzydzeniem.

Planowany odwrót podczas toczącej się walki jest chyba najtrudniejszym do przeprowadzenia manewrem na polu bitwy. W oczach żołnierzy odwrót równa się klęsce i tylko najsilniej wpojona dyscyplina nie dopuszcza do nich paniki. Videssańczycy i ich zacieżni sprzymierzeńcy wykonywali manewr lepiej, niż Marek mógł się spodziewać po tak niejednorodnym wojsku. Chronieni koleczastym płotem oszczepów zaczęli odrywać się od przeciwnika, cofając się tu krok, tam dwa, zabierając po drodze rannych, zawsze zwrócenii do wroga litym frontem walczących.

— Stójże, powoli! — Marek chwycił uzdę wierzchowca Senpata Svioda. Młody Vaspurakańczyk miał właśnie zaszarżować na jakiegoś Yezda, zuchwale paradującego na koniu nie dalej jak trzydzieści kroków od nich.

— Puść mnie, przeklęty!

— Dostaniemy go jutro — na dzisiaj zrobiłeś już swoje. — Była to szczerza prawda; piękny pleciony hełm Svioda zwisał luźno nad jednym uchem, roztrzaskany, a prawą łydkę spowijał prowizoryczny bandaż pokazując, że walka nie do końca przebiegała tak, jakby sobie tego życzył. Jednak wciąż miał ochotę na więcej; wbił ostrogi w swego wierzchowca, by poderwać go dęba i wyrwać się z uchwytu trybuna.

Skaurus trzymał mocno. — Jeśli nie ma odwagi, by zbliżyć się do nas, zostaw go. Teraz musimy

tylko utrzymać ich z dala od siebie, a wszystko będzie dobrze.

Spojrzał wściekle na buntowniczego Vaspurakańczyka. Swoim legionistom mógł po prostu rozkazywać, lecz Senpatowi Sviodo daleko było do ich posłuszeństwa, i — żeby oddać mu sprawiedliwość — miał bez porównania więcej powodów, by nienawidzić tego szczerzącego zęby Yezda niż Rzymianie. — Wiem, z jaką radością rozciągnąłbyś jego flaki na piasku, lecz co będzie, jeśli wpakujesz się w tarapaty? Nie mówię już o tym, jakim smutkiem napełniłoby to twoją żonę, ale weź pod uwagę, że musielibyśmy cię ratować, ryzykując odcięcie od cofającej się armii.

— Nie mieszaj do tego Nevraty! — rzekł gwałtownie Sviodo. — Gdyby tu była, razem ruszylibyśmy na tę świnię. A co do reszty, to nie potrzebuję waszej pomocy i nie chcę jej. Nie obchodziecie mnie, wszyscy razem i każdy z osobna!

— Lecz czy jej chcesz, czy nie, i tak miałbyś ją, ponieważ ty nas obchodzisz, chłopcze. — Marek puścił uzdę. — Rób, psiakrew, co ci się podoba — ale nawet Viridoviks jest z nami, zauważ.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. — Jest, naprawdę? — Chichot Senpata Svioda nie brzmiał tak radośnie jak wówczas, zanim armia wkroczyła do spustoszonego Vas—purakanu, lecz Marek wiedział już, że zdołał postawić na swoim. Sviodo zawrócił wierzchowca i pokłusował do linii Rzymian, która zdołała oddalić się o kolejne dwadzieścia kroków w czasie, kiedy on i Skaurus się kłócili.

Trybun podążył za nim nieco wolniej, starając się zobaczyć — na tyle, na ile mógł — do jakiego stopnia armia zdołała zachować zwartość przy odwróceniu. Doprawdy, szło lepiej, niż śmiał mieć nadzieję; nawet lewe skrzydło zdawało się trzymać całkiem dobrze. — Wiesz — powiedział, zrównując się z Vaspurakańczykiem — zaczynam wierzyć, że to może się udać.

Avshar obserwował Ortaiasa Sphrantzesa, który galopował wzdłuż lewego skrzydła videssańskiej armii w stronę środka szyku. I chyba się uśmiechał pod zwojem zakrywającym mu twarz.

— Równać do szeregu! Zachować porządek! — wołał Sphrantzes, machając energicznie do swoich ludzi. Rzemiosło wojenne było tak podniecające, jak się spodziewał, choć wprowadzie nieco trudniejsze. Decyzje musiało się podejmować natychmiast, a zdarzenia na polu bitwy z trudem dawały dopasować się do zgrabnych schematów nakreślonych przez Mindesa Kalokyresa. A kiedy pasowały, zmieniały się tak szybko, że rozkazy często okazywały się bezużyteczne już w chwili, kiedy zostały wydane.

Szlachcic wiedział, że kilkakrotnie dał się wyprowadzić w pole, tracąc w rezultacie żołnierzy. Bolało go to; nie były to symbole rysowane na pergaminie ani figury, które dawało się bez śladu zdjąć z planszy, lecz ludzie, którzy walczyli, krwawili i umierali po to, by on mógł nauczyć się tego rzemiosła.

Jednak oceniając całość, nie uważał, by szło mu źle. Kilkakrotnie przerwano front, jednak nigdy nie okazało się to czymś poważnym — nie miał pojęcia, że wciąż jeszcze dowodzi z powodu jedne-

go z tych ataków, który przerwał front i zatrzymał Czerwonego Zeprina. Sama jego obecność, tego był pewien, robiła wiele, by dodać otuchy jego ludziom. Wiedział, jaki wspaniały wojenny obraz tworzył, galopując na koniu w połacanym hełmie i zbroi, z połyskującym rapierem o wykładanej drogimi kamieniami rękojeści, i w wojskowej opończy, powiewającej za nim na wietrze.

To prawda, przeżył pełen grozy chwile, kiedy Avshar rzucił swoje czary, by zabić Nephona Kho-umnosa. Lecz nawet okryty bielą nikkzemnik okazywał mu szacunek, na jaki zasługiwał, śledząc go nieustannie, gdy przebiegał na koniu wzdłuż linii frontu.

Zrobił wszystko, krótko mówiąc, czego w granicach rozsądku można oczekiwać od generała... z wyjątkiem walki.

W szeregach wroga zagrzmiały rogi. Sphrantzes wykrzywił pogardliwie wargi słysząc ich pełen dysonansów ryk. Nagle pogarda zniknęła z jego twarzy i zastąpiło ją przerażenie. Tysiąc Yezda mknęło prosto na niego, a na ich czele pędził Avshar.

— Ortaias! — wołał książę—czarodziej; jego głos rozbrzmiewał z upiorną wyrazistością wśród grzmotu kopyt. — Mam coś dla ciebie, Ortaias! — Uniósł zbrojną pięść. Dzierżona w niej klinga nie była ozdobioną klejnotami zabawką, lecz wielkim, morderczym pałaszem, czerwono—czarnym od zakrzepłej krwi niezliczonych ofiar.

Pierwszy spośród wszystkich Videssańczyków, Ortaias Sphrantzes przeniknął oczyma swej duszy spowijające Avshara welony i ujrzał jego twarz, a imię tej twarzy brzmiało — strach. Wnętrznosci Sphrantzesa zmieniły się w wodę, a jego serce w lód.

— Niech Phos zlituje się nad nami! Jesteśmy zgubieni! — zaskowyczał. Zawrócił konia, wbił mu ostrogi w boki. Zgarbiony nisko nad jego szyją dla większej szybkości, pomknął przez szeregi swoich zaskoczonych żołnierzy — dokładnie tak jak Avshar, oceniając go, przewidział. — Wszystko stracone! Wszystko stracone! — jęczał. Po chwili zostawił już za sobą ostatniego ze swych ludzi, galopując na wschód z największą szybkością, na jaką mógł zdobyć się jego rasowy wierzchowiec.

W chwilę później linia Videssańczyków, ogłuszonych dezercją generała, rozpadła się w proch pod wpływem druzgocącego uderzenia czarodzieja.

Wystaw dzban wody za próg w mroźny zimowy dzień. Jeśli woda jest bardzo czysta i nie zamieszasz jej, może pozostać płynna nadspodziewanie długo. Lecz niech jeden płatek śniegu osiądzie na powierzchni tej schłodzonej wody, a zetnie się w lód szybciej, niż zdołasz o tym opowiedzieć.

Tak właśnie stało się z videssańską armią, ponieważ ucieczka Ortaiasa Sphrantzesa spełniła rolę płatka śniegu, który zmienił odwrót w popłoch. A ziejąca dziura wyrwana w jej szeregach i Yezda przelewający się przez nią, by zaatakować armię z flanki i od tyłu, nie pozwalały uznać paniki za nieuzasadnioną.

— No, stało się! — powiedział Gajusz Filipus, wściekły bardziej, niż mógłby to wyrazić jakimkolwiek przekleństwem. — Formować czworobok! — ryknął, a potem wyjaśnił Markowi: — Im większy porządek zademonstrujemy, tym mniej prawdopodobne, że te skurwysyny nas zaatakują. Bogowie mogą poświadczyć, że gdzie indziej te dranie będą miały łatwiejsze żniwa.

Trybun z goryczą skinął głową. Odcięte lewe skrzydło armii już zdążyło rozsypać się w ucieczce. Tu i tam grupki odważnych lub upartych wojowników wciąż walczyły z koczownikami, którzy otoczyli ich ze wszystkich stron, lecz coraz więcej i więcej uciekało na wschód, wyciskając z koni wszystko, co się dało i odrzucając tarcze, hełmy, a nawet miecze, by umykać tym szybciej. Wykrzykując radośnie, Yezda ścigali ich, jak chłopcy goniący za królikami.

Lecz Avshar zachował dość władzy nad tą niesforną armią, którą prowadził, by przegrupować jej tyły do zabójczego uderzenia na środek videssańskiego szyku. Na skutek ataku przeprowadzonego równocześnie na czoło i na tyły, wiele jednostek po prostu przestało istnieć. Brakowało im wpojonej wieloletnią musztrą zdolności manewrowej Rzymian i rozerwały swe szeregi, próbując przegrupować się dla odparcia obustronnego ataku. Nawet dumne szwadrony Halogajczyków beznadziejnie porozrywały swe szyki. Yezda napływali w tworzące się w zamieszaniu luki, szerząc rzeź strzałami i pałaszami. Uciekinierzy rozpierzchli się po całym polu bitwy.

Pod naporem dzikiego ataku, niejednokrotnie natura Videssańskiej armii stała się dla niej przekleństwem, którego tak bardzo obawiał się Marek. Każdy kontyngent próbował ratować tylko siebie, niewiele myśląc o armii jako całości. — Do mnie! — sygnalizowały piszczałki Mavrikiosa, lecz na to było już za późno. W panującym chaosie wiele pułków nie zrozumiało rozkazu, a te, które go usłyszały, nie mogły posłuchać z powodu wszechobecnych, napierających bez chwili wytchnienia hord Yezda.

Niektóre jednostki nie dały się rozerwać. Namdalajczycy odpierali szarżę po szarży, aż w końcu Yezda dali im spokój. Walcząc z furią zrodzoną z rozpacz, Vaspurakańczycy Gagika Bagratouniego również zniechęcili najeźdźców. Lecz żaden z tych kontyngentów nie był w stanie przeprowadzić kontrataku.

Tak jak przepowiedział to Gajusz Filipus, żelazny porządek wciąż utrzymywany przez Rzymian pozwolił im wycofać się we względnym spokoju. Mało tego, przyciągali do siebie niedobitków — niekiedy w sile oddziału lub plutonu — ludzi szukających wyspy bezpieczeństwa w tym morzu klęski. Marek witał ich z radością, jeśli wciąż okazywali gotowość do walki. Teraz liczył się każdy miecz, każdy oszczep.

Posiłki przybyły zaiste na czas. Jeden z dowódców Yezda miał dość oleju w głowie, by zrozumieć, że pozostawienie jakiegokolwiek zorganizowanej siły może okazać się niebezpieczne. Wykrzyknął rozkaz i skierował swoich ludzi na Rzymian.

Dudnienie kopyt czuło się przez podeszwy równie wyraźnie jak słyszało dźwięk... —Atakują,

tak, atakują! —ryknął Viridoviks. Otoczony zewsząd zagładą, on mimo to dalej rozkoszował się walką. Wskoczył naprzeciw szarżującym Yezda, lekceważąc strzały, uchylając się przed ciosami pałaszy, które błyskały wokół niego jak kłuszące węże. Dowódca koczowników zaatakował go, tnąc pałaszem. Viridoviks szarpnąwszy głową umknął przed ciosem i odpowiedział własnym, oburęcznym uderzeniem, które rozrąbało zarówno pancerz z prażonej w ogniu skóry jak i żebra, zmiatając przeciwnika Celta z siodła w kurz pod końskimi kopytami.

Rzymianie nagrodzili męstwo Viridoviksa radosnymi okrzykami — ci, których akurat nie zajmowała walka o własne życie. Brakowało już *pilonan* i szarża Yezda uderzyła w cel niemal niezakłócona. Mimo całej ich dyscypliny, legionieści zachwiali się pod ciosem. Czoło czworoboku ugięło się, zaczęło się łamać.

Marek, w pierwszym szeregu, zabił dwóch Yezda, jednego po drugim, lecz dwóch innych jeźdźców minęło go z obu stron i uderzyło w zmaltretowaną linię Rzymian.

Jakiś jeździec uderzył trybuna w głowę drzewcem włóczni, machnąwszy nim jak maczugą. Cios ześlizgnął się po hełmie, lecz Skaurusowi zrobiło się ciemno przed oczami i osunął się na kolano. Inny Yezda, walczący pieszo, rzucił się naprzód z wzniesionym do ciosu pałaszem. Trybun zaczął unosić tarczę, by sparować cios, z mdlącą świadomością, że się spóźni.

Kątem oka dostrzegł wyłaniającą się przy nim wysoką sylwetkę i jakiś topór spadł z mięsistym *chrup*; Yezda runął martwy, zanim z jego ust zdołał wydobyć się przedśmiertny krzyk. Skapti, syn Modolfa, przydepnął zwłoki obutą stopą, napiął się i wyrwał topór z ciała.

— Gdzie są twoi ludzie? — krzyknął Skaurus.

Halogajczyk wzruszył ramionami. — Martwi albo rozproszeni. Dali krukowi do oczyszczenia więcej obcych kości niż własnych. — Skapti bardziej niż kiedykolwiek przedtem przypominał wilka; starego wilka, ostatniego ze swego stada.

Otworzył usta, by powiedzieć coś jeszcze, lecz nagle zeszywniał. Marek zobaczył sterczącą w jego piersi strzałę; jedną z tych, jakich używali koczownicy. Skapti wpatrywał się swoim zdrowym okiem w Rzymianina. — To miejsce jest mniej przyjemne niż Imbros — powiedział wyraźnie. Jego srogie błękitne spojrzenie powlekleła mgła, gdy osuwał się na ziemię.

Skaurus przypomniał sobie prorocze słowa, które Halogajczyk wypowiedział, kiedy Rzymianie opuszczali Imbros. Jednak nie miał czasu, by się tym zdumiewać. Legionieści padali tak szybko, że ich towarzysze nie byli w stanie wypełniać na czas luk, jakie tworzyły się w ich szeregach. Wkrótce przestaną być zdolnym do walki wojskiem i zmienią się w tłum pobitych uciekinierów, wycinanych dla zabawy przez najeźdźców.

Trybun zobaczył, jak Gajusz Filipus rozgląda się rozpaczliwie, szukając na próżno nowych ludzi, których mógłby rzucić do walki. Centurion wyglądał bardziej na strapionego niż pobitego; zmartwiony niemożnością uczynienia czegoś, co powinno przyjść mu z łatwością.

Nagle Yezda krzyknęli z zaskoczenia i trwogi, kiedy to z kolei oni zostali zaatakowani od tyłu. Morderczy napór zelżał. Koczownicy pierzchli na wszystkie strony, jak kropla rtęci zmiażdżona spadającą pięścią.

Laon Pakhymer podjechał do Marka, ze znużonym uśmiechem przezierającym przez rozwichrzoną brodę. — Konnica i piechota razem lepiej sobie poradzą, niż każde osobno, nie sądzisz? — powiedział.

Skaurus wyciągnął rękę, by uścisnąć mu dłoń. — Pakhymer, mógłbyś mi teraz powiedzieć, że jestem małą, błękitną jaszczurką, a ja bym ci przytaknęła. Nigdy widok żadnej twarzy nie sprawił mi większej radości jak widok twego oblicza.

— To doprawdy pochlebstwo — rzekł cierpkim tonem Khatrish, drapiąc się po dziobatym policzku. Szybko spoważniał znowu. — Więc zostajemy razem? Moi jeźdźcy mogą osłaniać twoich żołnierzy, a wy dacie nam bazę, na której w razie potrzeby będziemy mogli się oprzeć. Zgoda?

— Zgoda — odparł natychmiast Skaurus. Nawet w świecie, w którym żył przedtem, kawaleria stanowiła najsłabszą formację rzymskiej armii, zawsze wzmocnianą sprzymierzeńcami lub najemnikami. Tutaj strzemiona i niewiarygodna sztuka jeździecka, na jaką pozwalały, nadawały takim oddziałom pomocniczym tym istotniejsze znaczenie.

Podczas gdy Rzymianie walczyli o przeżycie na lewym skraju środka videssańskiej linii, o wiele większy dramat rozgrywał się na prawym skrzydle. Z całej armii prawe skrzydło ucierpiało najmniej. Teraz Thorisin Gavras, wykrzykując słowa zachęty do swoich ludzi i walcząc w pierwszym szeregu, próbował poprowadzić je na ratunek swemu bratu i żołnierzom z łamiącego się środka szyku. — Idziemy! Idziemy! — wołali wojownicy Sevastokraty. Te kontyngenty centrum, które wciąż pozostawały względnie nietknięte, odkrzyknęły z rozpaczliwą mocą i podjęły próbę przebiccia się na pomoc.

Ratunek jednak nie miał przyjść. Los prowadzonej przez Thorisina szarży został przesądzony, zanim jeszcze naprawdę się zaczęła. Mając Yezda z obu swoich stron, wojownicy Sevastokraty musieli przebyć najokrutniejszy rodzaj toru przeszkód, by dotrzeć do swoich gromionych towarzyszy. Strzały rozdzierały ich jak osłepiający grad. Nieprzyjaciel uderzał raz za razem bezlitosnymi atakami z flanki, które musiano odpierać za wszelką cenę — a ceną był impet szarży.

Thorsin i tylko Thorsin prowadził swych ludzi naprzód wbrew wszelkim przeciwnościom. Nagle jego wierzchowiec potknął się i padł, trafiony jedną z tych czarnych strzał, które łuk Avshara mógł miotać na tak wielkie odległości. Sevastokrata był wyśmienitym jeźdźcem; skoziółkował z padającego wierzchowca i poderwał się na nogi, krzycząc o nowego konia.

Lecz raz zatrzymani w pędzie, choć tylko na chwilę potrzebną mu, by dosięść nowego wierzchowca, ludzie Thorisina nie zdołali ponownie ruszyć na przód. Wbrew swej woli — jeden z poruczników Sevastokraty dosłownie uczepił się uzdy jego konia — młodszy Gavras został zmuszony

do odwrotu.

Rozdzierający jęk rozpaczy wydobyl się z piersi Videssańczyków, kiedy zrozumieli, że mający dać im ratunek atak załamał się. Wszędzie wokół nich Yezda wrzasnęła ochryple z radości. Mavrikios, widząc przed sobą ruinę wszystkich swych nadziei zrozumiał też, że ostatnią przysługą, jaką może oddać swemu stanowi i państwu, będzie zabranie autora tej klęski ze sobą.

Wykrzyknął rozkazy do pozostałych przy życiu Halogajczyków z Gwardii Przybocznej. Wśród ogłuszającego zgiełku bitwy Marek wyraźnie usłyszał ich odpowiedź: — Rozkaz! — Ich topory łysnęły szkarłatem w promieniach zachodzącego słońca, gdy unieśli je wysoko w ostatnim salucie. Z Imperatorem na czele, rzucili się na Yezda.

— Avshar! — zawołał Mavrikios. — Stań twarzą w twarz, butna, plugawa kanalio! — Książę—czarodziej spał konia i pomknął ku niemu, a za nim rój koczowników. Otoczyli Halogajczyków i pochłonęli ich. Na całym polu ludzie przerwali zmagania, by obserwować ostatni pojedynek.

Imperatorscy gwardziści, odrzuciwszy wszelkie wahania i nadzieje w obliczu zagłady, jaką widzieli przed sobą, walczyli z nieustępliwością ludzi, którzy wiedzą, że nic już nie mają do stracenia. Jeden po drugim padali; Yezda nie byli tchórzami i również oni walczyli na oczach swego zwierzchnika. W końcu pozostała tylko mała grupka Halogajczyków, do końca chroniąc Imperatora swymi ciałami. Książę—czarodziej i jego wojownicy runęli na nich, miecze załomotały jak rzeźnicze topory, i po chwili na tej części pola bitwy pozostali już tylko Yezda.

Jeśli videssańska armia żywiła jeszcze jakiś cień nadziei na przeżycie, to rozwiały się one wraz ze śmiercią Mavrikiosa. Ludzie nie myśleli już o niczym więcej, jak tylko o ratowaniu własnej skóry i porzucali swych towarzyszy, jeśli przez to mogli uratować własne głowy z pogromu. Niektóre oddziały prawego skrzydła pozostały nierozproszone pod dowództwem Thorisina Gavrasa, lecz tak zmaltretowane, że nie mogły uczynić nic innego, jak tylko wycofać się na północ, zachowując niejaki pozory porządku. Niemal na całym polu bitwy przerażenie — i Yezda — sprawowali niepodzielną władzę.

Gajusz Filipus, bardziej niż ktokolwiek inny, pomógł Rzymianom podczas tego rozpaczliwego odwrotu. Weteran, w swej długiej karierze doświadczył zarówno zwycięstw jak i klęsk, i teraz zdołał utrzymać pobitych żołnierzy razem. — Dalej! — mówił. — Pokażcie, że jesteście kimś, do diabła! Zewrzeć szeregi, miecze na zewnątrz! Wyglądajcie, jak byście chcieli jeszcze więcej głów tych skurwysynów!

— Ja chcę tylko wydostać się stąd żywy! — wrzasnął jakiś ogarnięty paniką żołnierz. — Nie obchodzi mnie, jak szybko będę musiał uciekać! — Inne głosy poparły go; szeregi zachwiały się, choć Yezda nie atakowali ich.

— Głupcy! — Centurion machnął ręką, ogarniając gestem całe pole, rozciągnięte zwłoki, wszechobecnych koczowników docinających uciekinierów. — Rozejrzyjcie się — tamte biedne po-

kraki też sądziły, że zdołają uciec, i zobaczą, co *ich* spotkało. Przeegraliśmy, tak, lecz dalej jesteśmy mężczyznami. Pokażmy Yezda, że jesteśmy gotowi do walki i że będą musieli się na nią zdobyć, by nas dostać — a mamy szansę, że jej nie podejmą. Lecz jeśli odrzucimy tarcze i rozbiegniemy się jak głupie kurczęta, każdy myśląc tylko o sobie, to żaden z nas nigdy już nie zobaczy domu.

— Nie mógłbyś mieć większej racji — rzekł Gorgidas. Wyczerpanie i ból wymizerowały twarz greckiego lekarza. Zbyt często przyglądał się, jak ludzie umierają od ran, na które jego sztuka lekarska nie miała żadnej rady. Dręczył go również fizyczny ból. Lewe ramię miał zabandażowane, a krwawe plamy na jego poszarpanym płaszczu pokazywały, gdzie pałasz koczownika przejechał mu po żebrach. Jednak wciąż starał się nieść pomoc tam, gdzie była potrzebna, podtrzymywać na duchu innych, choć w nim samym niewiele już ducha zostało.

— Dzięki — mruknął Gajusz Filipus. Uważnie badał wzrokiem żołnierzy, zastanawiając się czy ich uspokoił, czy też potrzebne będą surowsze środki, by to osiągnąć.

Gorgidas mówił dalej: — W taki właśnie sposób żołnierze mogą bezpiecznie przeprowadzić odwrót — pokazując wrogowi, jak bardzo gotowi są siebie bronić. Wiesz czy nie, lecz postąpiłeś tak jak Sokrates w bitwie o Delium, kiedy wycofywał się do Aten i wyprowadził ze sobą swoich towarzyszy.

Gajusz Filipus wyrzucił obie ręce do góry. — Tego mi właśnie potrzeba, gadania, że jestem podobny do jakiegoś gładzącego filozofa. Zajmij się swoimi rannymi, doktorze, i pozwól mi postawić na nogi tych chłopców. — Nie zwracając uwagi na obrażone spojrzenie Gorgidasa, ponownie zmierzył wzrokiem Rzymian i potrząsnął z niezadowoleniem głową.

— Pakhymer! — krzyknął. Khatrish machnął ręką pokazując, że słyszy. — Każ swoim jeźdźcom zastrzelić pierwszego człowieka, który zacznie uciekać. — Oczy oficera rozszerzyły się z zaskoczenia. Gajusz Filipus powiedział: — Lepiej samemu zabić paru, niż ryzykować popłoch, który grozi zgubą nam wszystkim.

Pakhymer rozważył to, skinął głową i oddał centurionowi najbardziej zdyscyplinowany salut, jaki Marek miał okazję widzieć u niezbyt służbistych Khatrishów. Wydał rozkaz swoim ludziom. Rozmowa o ucieczce nagle ucichła.

— Nie zwracaj uwagi na Gajusza Filipusa — rzekł Kwintus Glabrio do Gorgidasa. — Nie myśl tak jak mówi.

— Ani przez chwilę nie zakłóciłoby mi to snu, przyjacielu — odparł sucho lekarz, lecz w jego głosie brzmiała wdzięczność.

— Ten młodzieniec o cichym głosie ma rację, jeśli o to chodzi — rzekł Viridoviks. — Kiedy on zaczyna gadać, o ten tam — dźgnął kciukiem w stronę Gajusza Filipusa — to przypomina to człowieka, który nie może uszczęśliwić swojej kobiety — wszystko zdąży mu wytrysnąć, zanim się do

niej zabierze.

Starszy centurion prychnął, mówiąc: — Niech mnie diabli. Założę się, że po raz pierwszy stajesz w kłótni po tej samej stronie, co Grek.

Viridoviks zadumał się nad tym, szarpiąc wąsy. — Bardzo być może, jeśli już o tym mowa — przyznał.

— I powinien wziąć stronę Greka — powiedział Marek, zwracając się do Gajusza Filipusa. — Nie miałeś żadnego powodu, by naskoczyć na Gorgidasa; szczególnie po tym, jak obdarzył cię najwyższą pochwałą, na jaką mógł się zdobyć.

— Dość, wy wszyscy! — zawołał z rozdrażnieniem Gajusz Filipus. — Gorgidas, jeśli chcesz moich przeprosin, masz je. Bogowie wiedzą, że jesteś jednym z niewielu lekarzy, jakich poznałem, wartych chleba, który jedzą. Pomogłeś mi, kiedy potrzebowałem pomocy, a ja bez zastanowienia poczęstowałem cię kopniakiem.

— Wszystko w porządku. Właśnie powiedziałeś mi komplement jeszcze wspanialszy niż ten, którym ja ciebie obdarzyłem — powiedział Gorgidas. Niedaleko od nich jakiś legionista zaklął, gdy strzała przeszła mu rękę. Lekarz westchnął i oddalił się pospiesznie, by oczyścić i zabandażować ranę.

Teraz miał mniej ran do opatrywania. Wygrawszy bitwę, Yezda wyslizgnęli się spod kontroli Avshara. Niektórzy wciąż jeszcze polowali na videssańskich uciekinierów, lecz większość obdzierała ciała zabitych albo zaczynała rozbijać wśród nich obóz; słońce już zaszło i nadciągał mrok. Nasyceni, przesyleni walką, koczownicy nie mieli już ochoty atakować tych paru kompanii nieprzyjaciela, które wciąż tworzyły zwarte formacje.

Gdzieś w gęstniejącym mroku wrzasnął jakiś człowiek, gdy w końcu dopadł go Yezda. Skaurus zadrżał na myśl, jak niewiele brakowało, by Rzymian spotkał ten sam los. Zwrócił się do Gajusza Filipusa: — Gorgidas miał rację. Bez ciebie ucieklibyśmy jeden po drugim, szukając schronienia jak spłoszone bydło. Sprawileś, że zostaliśmy razem, kiedy najbardziej tego potrzebowaliśmy.

Weteran wzruszył ramionami, bardziej zdenerwowany pochwałą niż najgorętszym zamętem bitewnym. — Wiem, jak organizować odwrót, to wszystko. I, psiakrew, powinienem to umieć — dość ich widziałem w ciągu lat mojej walki. Zostałeś zaangażowany przez Cezara do kampanii galijskiej, prawda?

Marek skinął głową wspominając, jak sobie planował krótki pobyt w armii, co miało pomóc realizacji jego politycznych ambicji. Wspomnienia tamtych dni wydawały się tak niewyraźne, jakby przydarzyły się komuś innemu.

— Tak też mi się zdawało — rzekł Gajusz Filipus. — Całkiem dobrze sobie poczynaleś; wiesz, w Galii, i tutaj też. Zwykle zapominałem, że nie zamierzałeś poświęcić na to życia — zachowywałeś się jak żołnierz.

— Dziękuję ci — odparł szczerze Skaurus wiedząc, że w ustach centuriona jest to pochwała równie wygórowana, co porównanie z Sokratesem autorstwa Gorgidasa. — Pomogłeś mi bardziej, niż potrafię to wyrazić słowami; jeśli w ogóle jestem jakimś żołnierzem, to tylko dlatego, że ty mi pokazałeś, jak nim być.

— Hmm. Zawsze tylko wykonywałem swoją robotę — rzekł Gajusz Filipus, bardziej zażenowany niż kiedykolwiek przedtem. — Dość tych bezużytecznych pogaduszek. — Spojrzał w gęstniejący mrok. — Myślę, że odeszliśmy już dość daleko od tego piekła, żeby rozbić obóz na noc.

— Dobrze. Kiedy będziemy kopać, Khatrishe mogą osłaniać nas przed tymi koczownikami, których być może przyciągnęliśmy za sobą. — Skaurus zwrócił się do trębaczy, którzy odtrąbili rozkaz do postoju.

— Oczywiście — odparł Pakhymer, kiedy trybun poprosił go o osłonę. — Będziecie potrzebować osłony podczas wznoszenia fortyfikacji, które nam wszystkim dadzą schronienie na noc. — Pochylił głowę ku Rzymianinowi gestem, który przypomniał Skaurusowi Taso Vonesa, choć co dwaj Khatrishe zupełnie nie byli do siebie podobni. — Jednym z powodów, dla których przyłączyłem się ze swoimi ludźmi do was, była możliwość skorzystania nocą z zalet waszego obozu, jeśli tylko żywi ujrzemy koniec dnia. My nie umiemy wznosić fortyfikacji.

— Być może, ale za to jeździcie jak same diabły. Posadź mnie na konia, a zaraz stłukę sobie tyłek albo, co bardziej prawdopodobne, złamię sobie kark. — Bez względu na ten kiepski dowcip, Marek nie mógł się powstrzymać, by nie spojrzeć z podziwem na Khatrishę. Trzeba było nie lada jakiej rozwagi i opanowania, by w zamęcie tego popołudnia myśleć o tym, co może przynieść noc.

Dobrze się stało, że Yezda nie zaatakowali, kiedy wznoszono obóz. Rzymianie, oszołomieni ze zmęczenia, poruszali się jak lunatycy. Wbijali łopaty i wyrzucali ziemię z powolnym, zawziętym uporem wiedząc, że zasną, jeśli przerwą pracę choć na chwilę. Uciekinierzy z innych oddziałów, którzy do nich dołączyli, pomagali najlepiej jak potrafili, krępowani nie tylko wyczerpaniem, lecz również brakiem doświadczenia w tego typu robotach.

Większość nie—Rzymian była dla Skaurusa tylko nowymi twarzami, kiedy szedł przez obóz, lecz niektórych znał. Zaskoczył go widok Doukitzesa, gorliwie mocującego żerdzie na szczycie ziemnego przedpiersia, które legioniści już usypali. W życiu nie pomyślałby, że chudy, drobny Videssańczyk, którego rękę uratował, przetrwa dłużej niż dwadzieścia minut na polu bitwy. Jednak był tutaj, krzepki i cały, podczas gdy z niezliczonych zastępów wysokich, potężnie zbudowanych mężczyzn pozostały tylko sztywniejące zwłoki... Tzimiskes, Adiatun, Mousalon, jak wielu jeszcze? Dostrzegłszy Marka, Doukitzes skinął mu lekko i zaraz wrócił do swego zajęcia.

Czerwony Zeprin również był tutaj. Tęgi Halogajczyk nie pracował; siedział w kurzu, z głową wspartą na rękach, przedstawiając sobą obraz czystej żalości. Skaurus zatrzymał się przed nim. Zeprin uchwycił ruch kątem oka i uniósł wzrok, żeby zobaczyć, kto przyszedł, by zakłócić jego roz-

pacz. — Ach, to ty, Rzymianinie — powiedział, a jego głos zabrzmiał jak smętna parodia jego zwykłego byczego ryku. Wielki siniak zabarwił na purpurowo lewą skroń i kość policzkową Halogajczyka.

— Mocno cię boli? — zapytał trybun. — Przyślę naszego lekarza, żeby się tobą zajął.

Halogajczyk potrząsnął głową. — Nie potrzebuję medyka, chyba że zna jakąś sztuczkę, by wciąć bolesne wspomnienia. Mavrikios leży martwy, a mnie tam nie ma, by go strzec. — Ponownie zakrył twarz dłońmi.

— Chyba nie możesz winić się za to, kiedy to z pewnością sam Imperator odesłał cię od siebie?

— Odesłał mnie od siebie, tak — powtórzył gorzko Zeprin. — Posłał mnie, bym zajął się lewym skrzydłem po tym, jak Khoumnos padł, oby bogowie zachowali dla niego miejsce przy swoim kominku. Lecz po drodze było dużo walki, a ja zawsze wolałem bardziej walić toporem, niż zajmować się bezkrwawym wyszczekiwaniem rozkazów. Mavrikios zwykł mi to wytykać. Tak więc posuwałem się wolniej, niż powinienem, a waleczny Ortaias — wymówił to imię jak przekleństwo — przez ten czas dowodził.

Gniew nadał szorstkości jego głosowi, gniew zimny i mroczny jak burzowe chmury jego mroźnej ojczyzny. — Wiedziałem, że to tuman, lecz nie uważałem go za tchórza. Kiedy to końskie łajno uciekło, byłem jeszcze zbyt daleko, by opanować popłoch, nim wymknął się spod wszelkiej

kontroli i przerodził w pogrom. Gdybym zwracał większą uwagę na swoje obowiązki, a mniej na to, jak leży mi topór w garści, to być może Yezda uciekaliby tej nocy.

Marek mógł tylko kiwać głową i słuchać; słowa Zeprina, którymi siebie obwinił, zawierały dość prawdy, by zdławić wszelkie próby pocieszenia go. W posępnym pośpiechu Halogajczyk zakończył swoją opowieść. — Wyrąbałem sobie drogę z powrotem do Imperatora, kiedy dostałem to. — Dotknął swej opuchniętej twarzy. — Następne co pamiętam, to to, że wlokłem się z ramieniem przezuconym przez barki twojego małego doktora. — Trybun nie pamiętał, by zauważył Gorgidasa podtrzymującego masywnego Halogajczyka, lecz z drugiej strony, niełatwo byłoby dostrzec Greka pod cielskiem Zeprina.

— Nawet nie mogłem umrzeć dla Mavrikiosa śmiercią wojownika — jęknął Halogajczyk.

Wówczas cierpliwość Skaurusa wyczerpała się. — Zbyt wielu zginęło dzisiaj — warknął. — Bogom — twoim, moim, bogom Imperium, nie obchodzi mnie, jakim — niech będą dzięki, że niektórzy z nas pozostali przy życiu, by ratować to, co jeszcze można uratować.

— Tak, rachunek zostanie wystawiony — mruknął posepnie Zeprin — i wiem, od czego musi się zacząć. — Zimna obietnica w jego oczach kazałaby Ortaiasowi Sphrantzesowi rzucić się znowu do ucieczki, gdyby tam był, by ją zobaczyć.

Obóz Rzymian znajdował się nie tak daleko od pola walki, by nie docierały do niego jęki rannych. Tak wielu pozostało na nim rannych, że odgłos ich cierpienia rozchodził się daleko. Żaden pojedynczy głos nie wyróżniał się, żadna narodowość; ani przez chwilę słuchający nie mogli być pewni, czy jęk męki, który słyszą, wydobywa się

z gardła videssańskiego szlachcica, powoli wykrwawiającego się na śmierć, czy też z ust jakiegoś Yezda, wijącego się ze strzałą w brzuchu.

— Oto lekcja dla nas wszystkich, choć co prawda nie mamy dość rozumu, by z niej skorzystać — zauważył Gorgidas, gdy spoczął na chwilę przed udaniem się do następnego rannego.

— A cóż to może być za lekcja? — zapytał Viridoviks z szyderczym westchnieniem narażanej na próbę cierpliwości.

— W cierpieniu wszyscy ludzie są braćmi. Oby istniał łatwiejszy sposób, by ich o tym przekonać. — Grek zmierzył Celta wściekłym spojrzeniem, wyzywając go do sprzeczki. Viridoviks pierwszy odwrócił wzrok; wyciągnął nogę, podrapał się w nią, i zmienił temat.

Skaurus wreszcie znalazł czas, by zasnąć; zapadł w niespokojny sen pełen koszmarów. Wydawało się, że ledwo zamknął oczy, a już jakiś legionista zbudził go, potrząsając. — Proszę o wybaczenie, panie — rzekł żołnierz — ale jesteś potrzebny przy palisadzie.

— Co? Dlaczego? — wymamrotał trybun, przecierając sklezione powieki i pragnąc, by Rzymianin poszedł sobie i pozwolił mu odpocząć.

Odpowiedź, jaką otrzymał, wypędziła sen tak gwałtownie i skutecznie, jak kubek zimnej wody. — Avshar chciałby z tobą rozmawiać, panie.

— Co?! — Bez udziału jego woli, dłoń Marka zacisnęła się na rękojeści miecza. — Dobrze. Przyjdę. — Narzucił na siebie pełną zbroję najszybciej jak potrafił — nie miał pojęcia, jaki podstęp mógł szykować książę—czarodziej z Yezd. Potem, z obnażonym mieczem w ręku, podążył za legionistą przez pograżony w niespokojnym śnie obóz.

Dwaj khatrishańscy wartownicy spoglądali w ciemność zalegającą za kręgiem światła rzucanym przez obozowe ogniska. Każdy dzierżył luk z nałożoną na cięciwę strzałą. — Podjechał jak jakiś gość zaproszony na przyjęcie pod gołym niebem, wasza czcigodność, naprawdę, i zapytał o ciebie, wymieniając twoje imię — powiedział jeden z nich Skaurusowi. Ze zwykłą czupurną odwagą swego ludu, był bardziej oburzony nieproszonym przybyciem Avshara, niż zalekziony jego czarno-księską mocą.

Nie tak, jak jego towarzysz, który powiedział: — Strzelaliśmy, panie, obaj, kilka razy. Był tak blisko, że nie mogliśmy chybić, lecz żadna z naszych strzał nie trafiła. — Oczy miał szeroko roz-

warte ze strachu.

— Jednak zmusiliśmy bękartą, żeby wycofał się poza zasięg strzałów — rzekł śmiało pierwszy Khatrish.

Druidyczne runy wyryte na galijskiej klindze Marka zapłonęły żółtym blaskiem; nie tak ogniście jak wówczas, kiedy Avshar próbował rzucić czar na trybuna, lecz jednak ostrzegając o czarach. Nieustraszony jak tygrys bawiący się myszą, książę—czarodziej wyłonił się z ciemności, która go zrodziła, siedząc nieruchomo jak posąg na grzbiecie swego wielkiego, karego konia. — Gnidy! Waszymi strzałami nie zmusilibyście nawet robaka, żeby schował się za łajno!

Śmielszy Khatrish szczechnął jakieś przekleństwo i naciągnął cięciwę do strzału. Skaurus powstrzymał go, mówiąc:

— Sądzę, że znowu zmarnowałbyś strzałę — musiał otoczyć się ochronnym czarem.

— Bystry wniosek, książę robaków — rzekł Avshar, składając trybunowi pogardliwy ukłon. — Lecz zbyt oschle mnie witasz, zważywszy że przybywam, by zwrócić ci coś, co należy do ciebie, a co znalazłem dzisiaj na polu bitwy.

Nawet gdyby Marek nie zdołał jeszcze poznać cech charakteru stojącego przed nim nieprzyjaciela, już samo chytre, złowrogie poczucie humoru kryjące się w tym okrutnym głosie powiedziałyby mu, że podarunek czarodzieja należy do tych, które radują darczyńcę, nie obdarowanego. Jednak nie miał innego wyboru jak tylko dokończyć rozpoczętą przez Avshara grę. — Jaką wyznaczyłeś za to cenę? — zapytał.

— Cenę? Nie wyznaczyłem żadnej. Jak powiedziałem, to jest twoje. Bierz to i ciesz się. — Książę—czarodziej pochylił się po coś, co wisiało przy jego prawym bucie, wziął zamach od dołu i cisnął w stronę trybuna. Przedmiot wciąż jeszcze znajdował się w powietrzu, kiedy zawrócił ogiera i odjechał roztapiając się w ciemności.

Marek i jego towarzysze odskoczyli na bok, w obawie przed jakąś zastawioną na pożegnanie pułapką. Lecz podarunek czarodzieja wylądował nieszkodliwie za palisadą i potoczył się, by znieruchomieć u stóp trybuna. Wówczas makabryczny żart Avshara objawił się w całej swej grozie, ponieważ Skaurus zobaczył u swych stóp wytrzeszczającą na niego ślepo oczy, z rysami zastygłymi w grymasie przedśmiertnej męki, głowę Mavrikiosa Gavrasy.

Ujrzawszy ją, wartownicy wystrzelili za księciem—czarodziejem, na oślep, bezradnie. Jego okrutny śmiech spłynął ku nim oznajmiając, jak niewiele warte były ich strzały.

Kierowany swym darem wietrzenia kłopotów, Gajusz Filipus podbiegł do szańca. Miał na sobie tylko wojskową spódniczkę i hełm, a w ręku dzierżył obnażony *gladium*. Niemal potknął się o podarunek Avshara; jego twarz stwardniała, gdy rozpoznał, co to jest. — Jak to się tu znalazło? — zapytał tylko.

Marek powiedział mu, albo przynajmniej próbował. Wątek jego opowieści nieustannie się rwał,

ilekroć spojrział w martwe oczy Imperatora.

Starszy centurion wysłuchał go, a potem warknął: — Niech się chełpi ten przeklęty czarownik. W końcu zapłaci za to, zobaczysz. To... — oddał Mavrikiosowi ostatni salut— ...nie pokazało nam nic, czego już byśmy nie wiedzieli. Zamiast marnować czas na to, Avshar mógł skończyć z Thorisinem. Lecz on pozwolił mu się wycofać — i to z niemałą częścią armii, właśnie gdy zaczęli dochodzić do siebie.

Skaurus skinął głową, podniesiony na duchu. Gajusz Filipus miał rację. Dopóki żył Thorisin, Videssos miał wodza — a po tej klęsce Imperium będzie potrzebowało wszystkich żołnierzy, jakich zdoła znaleźć.

Myśli trybuna powędrowały ku rankowi, by uwolnić się od obrazów pola Maraghy. Dyscyplina legionistów z pewnością opłaci się po raz wtóry, tak jak tego popołudnia; przytłaczające zwycięstwo wprowadziło w szeregi Yezda niemal taki sam rozgardiasz, jaki w videssańskiej armii wywołała klęska. Teraz miał na dodatek khatrishańską jazdę, zatem mógł liczyć na to, że spotka się z koczownikami jak równy z równym. W taki czy inny sposób — powiedział sobie — wybrnie z tarapatów.

Spojrział wyzywająco w kierunku, gdzie zniknął Avshar, i powiedział cicho: — Nie, gra nie skończyła się jeszcze. Daleko jej do tego.